



TJ KLUNE

ŻYCIE
MARIONETEK

PRZEŁOŻYŁ FILIP SPORCZYK

EPICKA OPowieść o niezwykłej wyprawie ratunkowej.
SŁODKO-GORZKA, WZRUSZAJĄCA. JAK WSZYSTKIE KSIĄŻKI AUTORA.

Library Journal

TJ KLUNE

**ŻYCIE
MARIONETEK**

przełożył
Filip Sporczyk



Tytuł oryginału: ***In the Lives of Puppets***

Projekt okładki: *Red Nose Studio*

Redakcja: *Dorota Kielczyk*

Redaktor prowadzący: *Agata Then*

Redakcja techniczna: *Maciej Grzmiel*

Redakcja techniczna: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Monika Kociuba, Katarzyna Szajowska*

© 2023 by TJ Klune. By arrangement with the author.

All rights reserved.

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2023

© for the Polish translation by Filip Sporczyk

ISBN 978-83-287-2821-9

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2023

Ludzkości. Jesteście beznadziejni,
ale wymyśliliście książki i muzykę,
więc wszechświat zachowa was jeszcze
przez pewien czas przy życiu.
Upiekło się wam. Tym razem.

Spis treści

* * *

CZEŚĆ 1 LAS

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

CZEŚĆ 2 PODRÓŻ

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

CZEŚĆ 3 MIASTO

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23
ROZDZIAŁ 24
CZĘŚĆ 4 ZACZAĆ OD POCZĄTKU
ROZDZIAŁ 25
PODZIĘKOWANIA

* * *

W starym zapomnianym lesie, położonym bardzo daleko od prawie wszystkiego, stało osobliwe domostwo. Mały kwadratowy ceglany dom ukryty w gęstej kępie ogromnych drzew, porośnięty mchem i bluszczem. Nie wiadomo, do kogo niegdyś należał, ale właściciel musiał porzucić go wiele lat temu. Stał więc zapomniany w leśnej gęstwinie do czasu, aż pewnego dnia, przedzierając się przez zarośla, natknął się na niego człowiek -- Giovanni Lawson (który człowiekiem w rzeczywistości nie był).

Zatrzymał się przed dziwnym znaleziskiem i patrzył, wsłuchując się w ptasi trel płynący z koron drzew.

-- A cóż to? -- spytał. -- Skąd się tu wzięłeś?

Ostrożnie wszedł do środka przez wiszące na ostatnim zawiasie drzwi. Szyby we wszystkich oknach były rozbite. Spomiędzy napuchniętych od wilgoci podłogowych desek wyrastały pojedyncze źdźbła trawy i chwasty. Dach zawalił się częściowo. Na górę liści sięgającą prawie powały sączyły się promienie słońca. Ze szczytu zielonego kopca wyrastał pojedynczy złocisty kwiat, który łapczywie chłonał światło wpadające pomiędzy odsłonięte krokwie.

-- Jest idealny -- rzekł człowiek na głos, choć wokół nie było żywej duszy. -- Będzie mi dobrze służył. Taki dziwaczny. Taki wspa-
niały.

Giovanni powrócił z samego rana następnego dnia. Zakasał rękawy, po czym zabrał się do pracy. Wyburzył wewnętrzne ściany, tworząc jedno duże pomieszczenie. Po trochu wynosił drewno i płyty tynku, a następnie układał je na ziemi przed domkiem. Kiedy skończył, jego czoło i włosy pokrywała gruba warstwa pyłu.

Stawy zaczęły mu trzeszczeć i skrzypieć od wysiłku, ale czuł satysfakcję. Ciężka praca popłaciła.

-- No -- mruknął do ptaków na gałęziach i otarł twarz. -
- O wiele lepiej. Pierwszy krok na nowej drodze.

Niewielkie domostwo szybko wypełniło się całą masą przeróżnych przedmiotów: arkuszami blachy, zwojami drutu i przewodów, bateriami i akumulatorami, płytkami drukowanymi i mikrochipami poupychanymi do szklanych słoików. W innych pojemnikach swoje miejsce znalazły setki różnokolorowych nasion. Pojawiły się stare pozytywki, grające krótkie smutne melodie, oraz gramofony, które nie grały nic, bo nie było do nich płyt. Znalazły się tu także duże i małe telewizory o ciemnych, martwych ekranach. I książki! Książki na tysiące tematów: od botaniki przez wielorybnictwo, faunę i florę okolicznych lasów aż do skomplikowanych technicznych opracowań o budowie rdzeni nuklearnych. Szczelnie wypełniły one wielki aż do sufitu regał, zrobiony z resztek zdemolowanych wcześniej ścian. Dopiero gdy ostatni tom wsunął się w ostatnią wolną szczelinę na najwyższej półce, Giovanni zdał sobie sprawę, że zabrakło miejsca dla niego samego. Izba była wypełniona po brzegi.

Nie pozostało więc nic innego jak powiększyć swoje gniazdko - dodać jeden czy dwa pokoje. Łatwizna. Giovanni Lawson nie z tych, co lubują się w prostych rozwiązaniach. Świat widziany jego oczami był pełen wyszukanych, złożonych wzorów i konstrukcji. Jedno spojrzenie na rozpościerające się ponad nim konary sprawiło, że w jego głowie wykiełkował pomysł.

Nie zamierzał rozbudowywać domu wszcz. Budował w górę.

Jak to z wielkimi dziełami bywa, to również zajęło trochę czasu. Minęło wiele lat. Dom musiał być idealny. Korony drzew dawały poczucie bezpieczeństwa. Pozwalały odciąć się od oślepia-

jących świateł i ogłuszającej kakofonii miasta, które zostawił za sobą.

Giovanni zbudował więc kolejne siedlisko. Wysoko nad ziemią. Otoczył nim gruby, solidny pień najwyższego drzewa -- wielkiej jodły, królowej całej kniei. Potem dodał kilka pomieszczeń wśród konarów i połączył je wszystkie mostami linowymi. Tak powstały laboratorium i weranda otwarta na las, pokryta przydymionym, porysowanym szkłem, z podłogą z wypolerowanych na połysk dębowych desek.

Później weranda miała przekształcić się w coś innego.

Puszcza była ogromna i dzika. Wątpił, że zostanie tu odnaleziony.

W słoneczne dni na polanie w dole pojawiało się stadko jeleni. Z gałęzi powyżej domu śpiewały ptaki. Giovanni nucił sobie z nimi. I tak wiódł szczęśliwe, spokojne życie.

Do czasu, aż w jego piersi pojawił się ból.

-- Ojej -- rzekł. -- Cóż za niezwykle uczucie. Pałace.

Udał się do laboratorium i przystąpił do obliczeń. Zaczął pisać. Klawisze klawiatury klikały głośno, przerywając ciszę. Klik, klak, klik.

-- Już rozumiem -- stwierdził pięćdziesiątego drugiego dnia, wpatrując się w ekran komputera i odczytując wyniki. Dopadła go samotność. Nie było innej możliwości. Liczby nigdy nie kłamią.

Minęły kolejne trzy lata. Trzy lata, podczas których ból tylko się wzmaczał. Trzy długie lata, kiedy cisza zaczęła doskwierać, zamiast koić, a w duszy wezbrała tęsknota za głosem drugiej osoby. Czas mijał niepostrzeżenie, a Giovanni wyglądał smutno przez okno laboratorium, ze zdziwieniem odkrywając, że na zewnątrz pada śnieg. A przecież jeszcze dzień wcześniej, zdawać by się mogło, lato władało leśnymi ostępami.

Pewnego dnia, który rozpoczął się tak jak wszystkie poprzednie, z leśnej gęstwiny wypadły dwie osoby. Oczy rozszerzały im strach, skórę pokrywał pot. Kobieta i mężczyzna. Kobieta przytulała do piersi jakiś tobolek.

Giovanni zamarł.

-- Pomocy! -- zawołała nieznajoma. -- Błagam, weź go. Zabierz i ukryj. Grozi nam niebezpieczeństwo.

Uniosła ręce z zawiniątkiem wysoko nad głowę.

Coś było okryte grubą warstwą materiału.

Dziecko.

Chłopczyk zamrugał powoli, patrząc na Giovanniego, po czym skrzywił się i wybuchnął płaczem.

-- Co się stało? -- Giovanni przeniósł wzrok na kobietę. -
- Wejdźcie, wejdźcie. U mnie nic wam nie grozi.

Ona jednak pokręciła głową.

-- Znajdą nas. -- Po policzkach płynęły jej łzy, kiedy zrobiła krok naprzód i ucałowała dzieciątko w główkę. -- Kocham cię. Wrócę po ciebie, kiedy tylko będę mogła.

Odezwał się też mężczyzna:

-- Pośpiesz się. Idą po nas.

Roześmiała się gorzko.

-- Wiem. Wiem. Zawsze tak się to kończy.

Mężczyzna złapał ją za nadgarstek i zaczął ciągnąć za sobą. Dalej, dalej, dalej.

-- Poczekajcie! -- zawołał za nimi gospodarz leśnej stancy. -
- Jak ma na imię?

Oni jednak już zniknęli.

Nie pojawił się nikt inny. Nikt nie przyszedł po kobietę i mężczyznę. Ani też po dziecko. A Giovanni nigdy już ponownie ich nie spotkał.

Później, o wiele, wiele później, kiedy chłopiec dorósł, Giovanni powiedział mu, że kobieta -- jego matka -- nie chciała go zostawić.

-- Wróci po ciebie -- przekonywał. -- Pewnego dnia, kiedy będzie bezpiecznie, ona po ciebie wróci.

Zawsze chciał mieć dziecko. A teraz miał. Jakie szczęście! Jak wspaniale!

Przez długi czas zastanawiał się, jak nazwać chłopca. Idealne imię przyszło mu do głowy, dopiero kiedy liście zaczęły żółknąć, czerwienieć i spadać.

-- Victor -- oznajmił synowi. -- Będziesz się nazywał Victor Lawson. Podoba ci się?

Obezwładniająca, bolesna samotność, która tak mu doskwierała, zniknęła jak ręką odjął.

Mały Victor rósł i rósł, i rósł, ale nie nauczył się mówić, co bardzo martwiło jego nowego ojca. Widać było jednak, że chłopiec go słucha i rozumie, co się do niego mówi.

-- Może masz jakiś błąd w kodzie -- zastanawiał się Giovanni, kiedy chłopczyk skończył cztery lata. -- A może to ja gdzieś się pomyliłem.

Victor nie odpowiedział. Zamiast tego uniósł rączki i zaczął rytmicznie otwierać i zaciskać piąstki. Paluszki cicho uderzały we wnętrza dłoni.

Giovanni spełnił niemą prośbę synka, wziął go w ramiona i delikatnie przytulił. Victor wydał z siebie cichy dźwięk, który jego ojciec odebrał jako wyraz zadowolenia. Malutka twarz wtuliła się w jego tors.

-- Nie -- powiedział. -- Jesteś taki, jaki być powinienes. Nie mogę w to wątpić. Jeśli na tym świecie istnieje ideał, jesteś nim ty. -- W jego piersi pojawił się dobrze znany ból, choć tym razem z zu-

pełnie innego powodu. Teraz Giovanni nie musiał przeprowadzać żadnych obliczeń. Dokładnie wiedział, co czuje.

Miłość.

Mimo że najbardziej na świecie pragnął, by Victor się do niego odezwał, postanowił nie naciskać. Ta chwila nadziei, powtarzał sobie. Jeśli tak zadecyduje los.

Zanim dziecko wypowiedziało pierwsze słowo, minęły kolejne dwa lata.

Siedzieli we dwóch w laboratorium. Victor na podłodze, otoczony niedużymi metalowymi prętami. Dopiero po chwili Giovanni zdał sobie sprawę, co ten ułożony przez syna kształt symbolizuje. Dwie postaci. Jedna większa, druga mniejsza. Trzymają się za ręce. Odchrząknął, po czym się schylił, by odrobinę przesunąć nogi metalowych ludzików.

Wtedy chłopiec -- Victor Lawson, syn Giovanniego Lawsona -- powiedział:

-- Ty. -- Wskazał palcem na większą postać. -- Ja. -- Przeniósł dłoń nad tę mniejszą. Głos miał wąty, schrypnięty. Gardło nieprzyzwyczajone do mowy. A jednak mówił.

-- Tak -- odparł cicho Giovanni. -- Ty i ja. Na zawsze.

CZEŚĆ 1

LAS



*Sumienie to ten cichy, łagodny głos,
którego nikt nie słucha.*

-- CARLO COLLODI, PINOKIO

ROZDZIAŁ 1

Malutki robot sprzątający krzyczał, kręcąc się w kółko i energicznie wymachując patykowatymi ramionami. Na ich końcach kłapały szczypce.

-- Obożeobozęobozę, wszyscy zginiemy! Przeszanę istnieć! Nie zostanie nic poza wieczną ciemnością!

O wiele większy robot stał bez ruchu tuż obok odkurzacza, po raz tysięczny obserwując histerię małego kompana. Ten większy nie miał ramion, nóg ani nawet stóp. Dawny robot medyczny model Sześć-Dziesięć-JQN serii alfa był prostokątną metalową bryłą, mniej więcej sto pięćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów. Jej - - bo to była ona -- stare i zużyte koła wymieniono na mocne gąsienice. Jak u czołgu. Po bokach miała dwa włazy. Gdyby je uchylić, ukazałoby się kilkanaście metalowych macek zakończonych różnorakimi narzędziami medycznymi. Na wypadek nagłej operacji. Z przodu kanciastej obudowy znajdował się ekran, który teraz wyświetlał zieloną twarz, groźnie stroszącą brwi. Na siostrze Ratched (co było skrótem od Robot Autonomiczny do Terapii, Całodobowej Hospitalizacji, Edukacji oraz Dorzynania), atak szалу odkurzacza nie robił najmniejszego wrażenia. Odezwała się beznamiętnym mechanicznym głosem:

-- Jeśli miałbyś wyzionąć ducha, mnie w to graj. Bawiłabym się twoim truchłem. Wiele mogłabym się nauczyć. Nawet dorznęłabym twój korpus i podziabala na tyle kawałków, że nikt by cię nie rozpoznał.

Te słowa -- zgodnie z planem siostry Ratched -- sprawiły, że mały robot wpadł w jeszcze większą rozpacz.

-- O nie -- zakwilił. -- O nie, nie, nie. Nie zgadzam się. Victor. Victor! Wracaj szybko, zanim umrę, a siostra wyżyje się na moich resztkach! Ona chce mnie dorżnąć! A wiesz, co myślę o wszystkich formach rżnięcia!

Ze złomowiska, ze zbocza góry metalowych odpadków, wysokiej na co najmniej sześć metrów, dobiegł cichy śmiech.

-- Nie pozwolę jej na to, Rambo -- zawołał Victor Lawson. Spojrzał w dół, wisząc ze ściany złomowego klifu w uprząży przytroczonej liną do zmyślnego systemu bloczków i kołowrotek własnej konstrukcji.

Takie wiszenie z pewnością nie należało do aktywności bezpiecznych, ale Vic wiedział, co robi. Robił to w końcu od lat i jeszcze nigdy nie spadł. Cóż, może raz, ale nie lubił o tym myśleć. Ryk szoku i bólu, jaki wydobył się z jego gardła na widok otwartego złamania przedramienia, był najgłośniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek z siebie wydał. Ojciec trochę się złościł. Upomniął go, mówiąc, że złomowisko to nie miejsce dla dwunastolatków. Victor obiecał, że już nigdy tam nie wróci. Wrócił po tygodniu. Teraz, w wieku lat dwudziestu jeden, znał złomowisko jak własną kieszeń.

POBRANO ZE STRONY PIJAFKA.PL

Rambo nie uwierzył jego słowom. Zaczął piszczeć jeszcze głośniej. Coraz szybciej kłapał szczypcami i klekotał płaską, okrągłą obudową, usiłując na terenowych oponach przejechać po metalowych elementach, które się zsunęły z góry odpadów. Na górnej powierzchni jego ciała widniały zatarte litery. Litera "R" na początku, potem "O" albo małe "a", następnie "M" (chyba) oraz "B" i na koniec kolejne "O" lub "a". Vic znalazł malucha kilka lat wcześniej. Naprawił go i przywrócił do życia. Tuż po przebudzeniu mały robot zażądał, by znaleźć mu coś do posprzątania. Sprzątanie stanowiło sens jego życia. Kim byłby, gdyby mu to odebrać? Nikim. Ni-

kim! Vic dłuższą chwilę uspokajał urządzenie. Kiedy wreszcie załutował obwody w odpowiedniej konfiguracji, odkurzacz westchnął głęboko z wyraźną ulgą. Rozwiązanie okazało się jednak krótkotrwałe. Rambo martwił się wszystkim: brudną podłogą, brudnymi rękami Vica, brudem w innych miejscach oraz wszechobecnym zagrożeniem życia.

Siostra Ratched, która była pierwszym robotem Vica, spytała, czy może zabić odkurzacz. Vic odparł, że nie.

Spytała dlaczego.

Wy tłumaczył, że nowych przyjaciół się nie zabija.

-- Ja bym zabiła -- skwitowała siostra Ratched jak zwykle beznamiętnym głosem. -- Nie sprawiłoby mi to żadnej trudności. Eutanazja nie musi być bolesna. Ale może być. Kwestia gustu. -- Podjechała na metalowych gąsienicach bliżej odkurzacza i wysunęła mackę zakończoną wiertłem.

Rambo zaczął krzyczeć.

Przez następne pięć lat praktycznie nic się nie zmieniło. Rambo wciąż miał ataki paniki, a siostra Ratched nie przestała grozić, że go dorżnie. Vic zdążył się przyzwyczaić.

Teraz przeniósł wzrok na szczyt góry złomu. Ciemne, sięgające ramion włosy miał zaczesane do tyłu i związane rzemieniem. Pociągnął za linę, sprawdzając jej wytrzymałość. Nie ważył dużo, ale lepiej dmuchać na zimne. Ostrożności nigdy za wiele, jak mawiał ojciec. Głos seniora często odzywał się w głowie Vica. Młodzieniec był chudy jak szczapa. Tata bezustannie próbował wmuszać w niego więcej jedzenia. Powtarzał: "Jesteś za chudy, Vic. Musisz jeść. Żuć, żuć, żuć".

Krzywka magnetyczna była solidnie zamocowana w szczelinie na szczycie. Chłopak otarł czoło wierzchem rękawiczki, pozbywa-

jąc się spływających do oczu kropli potu. Lato chyliło się ku końcowi, ale na razie kurczowo trzymało się życia.

-- No dobra -- mruknął do siebie. -- Jeszcze trochę wyżej. Nie ma na co czekać. Potrzebuję tej części. -- Spojrzał w dół; sprawdził, czy jest tam na czym oprzeć stopę.

-- Jeśli spadniesz i zginiesz, przeprowadzę na tobie autopsję - obiecała siostra Ratched. -- Ostateczne sprawozdanie z niej powinno być gotowe w ciągu trzech do pięciu dni roboczych, zależnie od stopnia rozczłonkowania twojego ciała. Ponieważ się lubimy, mogę cię zapewnić, że śmierć nastąpi już w momencie pierwszego uderzenia głową w ziemię.

-- O nie -- jęknął Rambo, gorączkowo migając czerwonymi lampkami czujników. -- Vic. Vic! Nie daj się rozczłonkować. Wiesz, że nie potrafię za dobrze sprzątać krwi. Zakleja mi zębatki i cały jestem potem uświniony!

-- Uruchamianie programu empatycznego -- oznajmiła siostra, a twarz na monitorze rozjaśniła się w uśmiechu.

Cały ekran rozjarzył się na żółto; pozostały tylko trzy czarne jak noc miejsca -- usta i oczy. Z uchylonej klapki u dołu, w prawej części obudowy rozwinęło się jedno z mackowatych ramion i poklepało Rambo po okrągłej pokrywie.

-- Już dobrze. Nie martw się. Posprzątam krew i wszystkie inne płyny ustrojowe, które wyciekną ze słabego, delikatnego ciała Vica. Jest bardzo prawdopodobne, że podczas uderzenia puszcza mu zwieracze.

-- Naprawdę? -- szepnął Rambo.

-- Jak najbardziej. Ludzkie zwieracze to zwykłe mięśnie. Po śmierci się rozluźniają, co z kolei prowadzi do nagłego, spektakularnego uwolnienia produktów przemiany materii. Szczególnie jeśli zgon nastąpił w wyniku uderzenia.

Vic pokręcił głową. Tych dwoje było jego najlepszymi przyjaciółmi. Sam nie wiedział, jak to o nim świadczy. Zapewne nie najlepiej. Ale cóż, po prostu do siebie pasowali, mimo że on należał do organizmów organicznych, a oni składali się z kabli i metalu. Zresztą nieważne, z czego zostali stworzeni. Ważne, że we troje mieli spięcie w przewodach. Przynajmniej tak to widział Vic.

Podniósł wzrok. U szczytu góry złomu dostrzegł coś, co mogło być wielowarstwową płytką drukowaną. W dobrym stanie. Płytki to wartościowe znalezisko. Chciał ją wyciągnąć spośród innych odpadów już od kilku tygodni, ale dotychczas się nie odważył. Ta konkretna sterta żelastwa uchodziła za jedną z niebezpieczniejszych. Zaczęła się chwiać, jak tylko rozpoczął wspinaczkę. Nie zamierzał się śpieszyć, tylko powoli usuwać metalowe elementy dookoła płytki i zrzucać je na ziemię. To wymagało wiele cierpliwości. Alternatywą była śmierć.

-- Vic! -- krzyknął Rambo. -- Nie idź tam. Kocham cię. Nie chcę, żebyś mnie osierocił!

-- Nic mi się nie stanie. -- Wziął głęboki wdech i powoli ruszył ku górze.

Przy każdym posunięciu zaciskał karabińczyk wyżej i wyżej na linie. Mięśnie jego chudych ramion bolały z wysiłku.

Im wyżej się wspinał, tym bardziej wysoki stos się chwiał. Kawałki metalu lśniły w słońcu, osuwając się po zboczu i lądując z łoskotem daleko w dole. Widząc, że jest okazja do posprzątania, Rambo na chwilę przestał histeryzować. Zamiast tego gorączkowo uwijał się przy porozwalanych wokół elementach, układając je w schludne kopczyki u stóp góry. Popiskiwał przy tym radośnie, co brzmiało tak, jakby sobie nucił.

-- Twoja egzystencja jest bezcelowa -- powiedziała siostra Ratched.

-- Nie mam pojęcia, o czym mówisz -- odparł beztrosko. Migające światełka na jego obudowie zmieniły kolor na zielony i niebieski. Przeniósł kolejny kawałek metalu z jednego miejsca w inne i uczcił osiągnięcie energicznym obrotem.

Vic przerwał wspinaczkę, by odpocząć nieopodal szczytu. Obrócił głowę i ogarnął widok; wzrokiem wybiegł poza granice złomowiska. Do samego horyzontu ciągnął się las. Po chwili wypatrzył kępę drzew, wśród których stał jego dom. Strzelista jodła górowała nad puszcza.

Vic odchylił się w uprzęży i wyjrzał zza grani metalowego wzniesienia. W oddali unosił się dym buchający z komina wielkiej, ciężkiej maszyny. Pojazd mierzył ponad dziesięć metrów wżwyż. Z grzbietu wyrastał mu potężny żuraw, który z zaskakującą gracją poruszał się to w jedną, to w drugą stronę, przenosząc złom z gigantycznego kontenera na nowo powstałe kopce odpadów. Vic zanotował w myślach miejsce, gdzie pracuje dźwig. Być może przywiózł coś, co warto by zgarnąć dla siebie.

Pozostali Prastarzy znajdowali się jeszcze dalej. Było bezpiecznie.

Chłopak z powrotem przeniósł wzrok na płytkę drukowaną.

-- Idę po ciebie -- mruknął.

Dotarcie do niej zajęło mu kolejne dziesięć minut. Przystanął, aby się upewnić, że pod stopami ma stabilne podłoże, po czym wziął głęboki oddech; musiał uspokoić emocje. Nie patrzył w dół.

Nie miał lęku wysokości, ale zawsze lepiej skupić się wyłącznie na zadaniu. Wtedy mniej kręci się w głowie.

Odchylił się w uprzęży, rozluźnił ramiona i nogi.

-- No dobra -- wymamrotał. -- Dam sobie radę.

Wyciągnął ręce w kierunku zdobyczy i zacisnął zęby; wreszcie złapał płytkę palcami. Pociągnął w nadziei, że odkąd ostatnim ra-

zem tego próbował, jakieś elementy w głębi złomowego kopca poluzowały się, więc teraz uda się ją wydostać.

Nic z tego.

Wsunął palce w szczelinę obok swojego celu i wyciągnął kawałek blachy, która kształtem przypominała coś, co kiedyś było tosterem. Zajrzał do środka, czy przypadkiem nie ma tam nic wartościowego. Niestety, tylko puste wnętrze, kompletnie przerdzewiałe. Bezżyteczne. Zawołał ostrzegawczo i wypuścił żelastwo z dłoni. Spadło na ziemię z głośnym łoskotem.

-- Nie trafiłeś w Rambo -- oznajmiła z zawodem siostra Ratched. -- Następnym razem postaraj się bardziej.

Vic ponownie złapał płytkę drukowaną i szarpnął. Tym razem drgnęła. Rozszerzył oczy. Pociągnął mocniej. Wysunęła się nieco. Uważając, by nie ścisnąć jej zbyt mocno i nie uszkodzić, ciągnął dalej. Płytką wydawała się cała. Tata się ucieszy, pomyślał chłopak. Byłby wściekły, gdyby się dowiedział, skąd Vic ją wytrzasnął, ale czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Młodzieniec objął płytkę palcami i zaczął kołysać dłonią w przód i w tył, w lewo i w prawo. Kiedy już chciał się poddać i wrócić do wykopywania części po bokach, cokolwiek trzymało ją w miejscu, nagle puściło.

-- Tak -- syknął triumfująco. -- Nareszcie.

Pomachał znaleziskiem w miarę mocno, by kompani w dole widzieli.

-- Udało się!

-- Moja radość jest nie do opisanie -- skwitowała beznamiętnie siostra Ratched. -- Hura. -- Na jej ekranie pojawiło się kolorowe konfetti i rozbłysnął napis: GRATULACJE, TO DZIEWCZYNIKA.

-- Vic? -- zaczął Rambo niepewnie.

-- Nie do wiary -- westchnął młodzian. -- Od tygodni na to pracowałem.

-- Vic -- powtórzył Rambo odrobinę głośniej.

-- Nawet nie wygląda na uszkodzoną. -- Chłopak obracał zdobycz w dłoni. -- Przyda się do...

-- Vic!

Szybko stłumił nagle ukłucie irytacji i wreszcie spojrzął w dół.

-- Słucham?

-- Uciekaj! -- zawył Rambo.

Powietrze przeszył ogłuszający basowy wściekły ryk. Rozchodził się echem po całym złomowisku, wstrząsając pokładami żelastwa.

Vic dobrze znał ten dźwięk.

Odchylił się mocno i wyrzwał zza grani.

W jego kierunku jechał jeden z Prastarych, gniewnie kołysząc żurawiem i trąbiąc syreną. Z wielkim impetem wpadał na kolejne góry złomu, roztrącając tony metalu z okropnym jazgotem i krzesząc dookoła iskry. Nie zwalniał. Nie zatrzymywał się.

-- Intruz -- grzmiał. -- Intruz, intruz. Intruz!

Vic zbladł.

-- O nie -- szepnął.

Migiem wcisnął płytkę drukowaną do torby, jednocześnie zaciskając drugą dłoń na karabińczyku. W sekundę zjechał dwa metry niżej, po czym zatrzymał się z gwałtownym szarpnięciem, kiedy zaczep natrafił na gruby supeł. Victor ciągnął i targał zaciskiem, ale na nic się to nie zdało.

-- Sugerowałabym szybką ewakuację. -- Siostra Ratched porwała Rambo w macki i natychmiast zrobiła w tył zwrot. Spod jej gąsienic wystrzeliły kamienie, gdy przyśpieszyła, aby uniknąć sy-

piącego się z góry złomu. Rambo wydał z siebie przerażony pisk. Światelka na obudowie panicznie pulsowały czerwienią.

-- Robię, co mogę! -- krzyknął Vic, walcząc z karabińczykiem. Niestety twardy węzeł zablokował go na amen.

Syrena Prastarego ryknęła ponownie. Vic stęknął z bólu, kiedy coś ciężkiego uderzyło go w ramię. Bez kontroli zakręcił się na linie. Potem z pełną mocą i głośnym hukiem rąbnął w metalową poszarpaną ścianę. Z płuc uszło mu całe powietrze. Chrząst żelastwa rozjeżdżanego przez ogromne koła żurawia zbliżał się coraz bardziej.

Po chwili chłopakowi udało się stabilnie oprzeć nogi. Popatrzył w górę z żalem. Będzie musiał się pożegnać ze swoją krzywką magnetyczną. Taki sprzęt nie jest łatwy w produkcji, ale co poradzić.

Prastary wychynął zza zbocza złomowego wzniesienia. Błysnął reflektorami. Jego żuraw poszybował w kierunku Vica. Ze zgrzytem miażdżonego metalu uderzył gigantycznymi szczypcami w szczyt góry, która aż się zatrzęsała.

Lina Vica napięła się -- najpierw ciągnąc go ku górze, potem z impetem znów spuszczać. Stromy kopiec zaczął przechylać się na prawo. Przed oczami chłopaka pojawiła się wielka metalowa płyta z napisem NAJLEPSZY FOOD TRUCK W MIEŚCIE.

Nie myśląc zbyt wiele, Vic wyciągnął ku niej rękę.

Żuraw wziął kolejny zamach.

Na sekundę przed uderzeniem złomiarz wyciągnął wreszcie płytę z głośnym warknięciem. Szczypce Prastarego władowały się w zbocze; z łoskotem zeszła lawina złomu. Góra przechyliła się w drugą stronę. Vic poleciał w dół, opleciony luźną liną. Obrócił się w powietrzu. Wsunął metalową płytę pod siebie i położył się na niej na płasko. Wokół wzbily się oślepiające iskry. Ukrył twarz

w dłoniach. Chyba zaczął krzyczeć, ale jego głos zagłuszyło wściekłe wycie Prastarego i łomoczące dudnienie walącego się kopca.

Mniej więcej dwa metry nad ziemią płyta, do której przywarł Vic, uderzyła w sterczącą ze zbocza metalową szynę. Chłopak wystrzelił w powietrze, a po chwili wyrznął w ziemię z wielką siłą, ale na czas zwinął się w kłębek i przeturlał. W myślach podziękował Rambo za jego obsesję na punkcie usuwania wszelkich śmieci z każdej dostępnej powierzchni. Gdyby nie natręctwo małego odkurzacza, Vic nabiłby się na jedną z części, którą sam cisnął wcześniej z góry.

W końcu się zatrzymał. Leżał na plecach, patrząc w niebo. Nie mógł tu zostać. Kiedy po chwili bezruchu nie pojawił się ból, Vic wstał powoli i spojrzał na górę, na którą się wspinał. Ta właśnie się waliła. Młodzieniec rzucił się do ucieczki. Gnał, dysząc ciężko. Za plecami nadal wyła syrena żurawia.

Prastarzy nigdy nie opuszczali złomowiska. Siostra Ratched i Rambo wiedzieli o tym równie dobrze jak on. Czekali więc tuż za granicą terenu zwalki złomu. Mniejszy robot stał na grzbiecie większego i w panice wymachiwał patykowatymi odnóżami. Przez ekran siostry Ratched przewijała się długa linia wykrzykników.

-- Widzicie? -- odezwał się Vic, kiedy cała trójka zostawiła wściekły dźwig w tyle. -- Nic straszego.

-- Oczywiście -- odparowała siostra. -- Zupełnie nic. Byłabym pod wielkim wrażeniem, gdyby nie to, że nie imponuje mi głupota. Pewnie nawet zaczęłabym w tym momencie z tobą flirtować.

Vic wiedział, czym jest flirtowanie, z filmów taty. Ludzie uśmiechają się i rumienią na swój widok. Robią różne dziwaczne rzeczy, które w innej sytuacji nie przyszłyby im do głowy. A wszystko w imię miłości. Vic nigdy wcześniej z nikim nie flirtował. Uznawał, że to zbyt skomplikowane.

-- Nie wiedziałem, że potrafisz.

-- Potrafię robić wiele rzeczy -- oznajmiła siostra Ratched. Wykrzykniki zniknęły; pojawiła się uśmiechnięta buźka o oczach z długimi rzęsami. -- Hej, przystojniaku. Miałbyś ochotę wsadzić palec w moje gniazdko? -- Ekran zgasł. -- Proszę, flirt. Nic trudnego.

Vic się skrzywił. Rambo objechał go dookoła, machając wysięgnikami.

-- Tego w filmach nie robili.

-- Robili, tylko nie w tych, które oglądałeś. Podziałało? Czujesz się podniecony? -- Nieduży obiektyw nad ekranem ożył, rozbłyskując błękitnym światłem, i zaczął skanować chłopaka. -- Nie wyglądasz na podnieconego. Twój penis nie wykazuje żadnych oznak zwiększonego przepływu krwi, co świadczyłby o pobudzeniu seksualnym.

-- Ja nie mam penisa -- mruknął smutno Rambo. Z wnętrza jego obudowy dobiegło kilka stuknięć, po czym na podwoziu otworzyła się mała klapka. Robot stęknął, po czym z otworu wysunęła się krótka rurka, która siknęła olejem. -- Już mam! Penisy są świetne!

-- Weź to schowaj -- prychnął Vic. -- Czas wracać do domu. -
- Uniósł wzrok na ciemniejące niebo. Słońce chyliło się ku zachodowi. -- Niedługo zapadnie zmrok.

-- A ty się boisz ciemności -- przypomniał Rambo, chowając rurkę i zamykając klapkę. -- Ja się nie boję...

-- Strach jest zbyt czyny -- przerwała mu siostra Ratched, ruszając za Vikiem przez las. -- Ja nie boję się niczego. -- Zamilkła na chwilę. -- Poza ptakami, które próbują uwić sobie we mnie gniazdo i złożyć jaja. Ptaki to zło. Kiedyś wszystkie pozabijam.

Chłopak wyciągnął z torby płytkę drukowaną. Była cała. Przejechał palcami po zgrubieniach i krawędziach.

-- Warto było -- szepnął.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy dotarli do domu, niebo oblało się purpurą. Pojawiły się też pierwsze gwiazdy. Słońce zbliżało się do horyzontu, a księżyc sunął ku górze niczym blady duch. Rambo terkotał radośnie, przewodząc całej trójce. Wołaniem oznajmiał ich przybycie. Vic powinien się tego spodziewać. Robocik zawsze chętnie dzielił się wszystkimi przeżyciami, a szczególnie lubił opowiadać te historie, w których prawie zginął w męczarniach, ale cudem udało mu się ujść z życiem.

-- Nie -- syknął Vic, w myślach przeklinając się za chwilę nieuwagi. -- Nie mów mu ani słowa o...

Odkurzacze go zignorował, głośno obwieszczając, że wcale się nie bał, choć przecież strach to nic, czego należałoby się wstydzić. W naziemnej części domu paliło się światło. Ojciec majstrował więc coś przy swoim gramofonie. Rambo wtoczył się przez otwarte drzwi i zniknął we wnętrzu.

Vic spojrział w stronę windy obok najwyższego drzewa. Przez chwilę rozważał, czy nie lepiej uciec do swojego laboratorium. Ojciec jednak nie byłby zadowolony, gdyby syn chociaż nie spróbował wytłumaczyć swojego zachowania.

-- Nie -- rzuciła siostra Ratched, mijając go w drodze do domu. -- Powinieneś powiedzieć mu prawdę. Z przyjemnością posłucham, jak cię ruga. Kiedy wbijas wzrok w ziemię i próbujesz znajdować wymówki, czuję się prawie szczęśliwa.

-- Powinnaś być po mojej stronie.

-- Wiem. Jestem zdrajczynią. Oj, oj, ależ mi z tym źle. Nie mogę się doczekać. -- Zamilkła. Na ekranie pojawił się znak zapy-

tania. -- Słyszysz to?

Vic spojrział na kompankę.

-- Co?

-- Nie wiem. To skomplikowany dźwięk. Dochodzi z parteru. Muszę przeprowadzić diagnostykę.

Dziarsko jechała w kierunku budynku, miażdżąc zielone żdźbła trawy i opadłe liście. Wkrótce zniknęła za drzwiami.

Vic ruszył za nią, nadstawiając uszu. Usiłował wychwycić dźwięk, o którym wspominała. Z początku nic nie słyszał. Ale potem...

Rozszerzył oczy ze zdumienia.

-- Niemożliwe.

Ruszył przed siebie biegiem.

Wewnątrz paliło się światło elektryczne. Słoje z częściami zamiennymi i nasionami połyskiwały. Podłoga skrzypiała pod nogami Vica, kiedy powoli parł naprzód, klucząc pomiędzy regałami, stosami książek i górami elektroniki. Minął zepsutą pralkę. Potem zamrażarkę, która nigdy niczego nie zamroziła. Ojciec nie lubił wyrzucać sprzętu. Mawiał, że wszystko może się jeszcze przydać, nawet jeśli jeszcze nie wiadomo do czego. Vic odziedziczył po nim tę cechę. Denerwowało go, że ojciec nie lubi jego wypraw na złomowisko w poszukiwaniu nowych skarbów. Naziemna część domu była wypełniona po sufit przedmiotami, które kiedyś znalazł Giovanni. Przecież zdobywał je w taki sam sposób jak syn.

Tym razem myśl szybko uleciała mu z głowy, bo ciszę wypełniał ciepły, cudowny dźwięk. Muzyka.

Słyszał muzykę.

Nie taką, jaką grały pozytywki poustawiane pod przeciwległą ścianą. One wydawały z siebie wyłącznie proste monofoniczne

dźwięki. Niby urzekające, ale były niczym w porównaniu z tym, co rozlegało się teraz.

Głos, jakiego nigdy wcześniej nie słyszał. Delikatny, melodyjny. Wysoki.

Vicowi zajęło chwilę, zanim się zorientował, że to śpiewa kobieta. Przy akompaniamencie subtelnych dźwięków pianina opowiadała o księżycu świecącym na niebie i o tym, że chciałaby kogoś pokochać. Chłopak szedł za jej gładkim wokalem jak zaczarowany.

W końcu dotarł do ojca. Giovanni Lawson siedział w starym fotelu. Na kolanach trzymał Rambo. Z zamkniętymi oczami powoli głąskał mały odkurzacz, który pomrukiwał z zadowoleniem. Lampki robocika pulsowały leniwie. Obok nich przycupnęła siostra Ratched. Przez ekran przewijał się obraz EKG. Świecący punkt podskakiwał do rytmu piosenki.

Na blacie drewnianego biurka stał gramofon z uchyloną pokrywą. Płyta wykonywała obroty, lekko się chybcząc. Dźwięk z urządzenia był zniekształcony -- przyśpieszał i zwalniał -- ale brzmiał wyraźnie.

-- Działa -- szepnął Vic z podziwem. -- Naprawiłeś go.

Ojciec nie otworzył oczu. Zanucił pod nosem melodię, po czym odpowiedział:

-- Owszem. Śpiewa Beryl Davis. Piękny głos, prawda?

Vic podszedł do stołu. Z bliska wyłowił trzeszczenie igły na wińlu. Nachylił się z zainteresowaniem. Urządzenie wyglądało dokładnie tak, jak je zapamiętał. Nie dostrzegł żadnych nowych części. Naszła go nagła ochota, by rozebrać gramofon na czynniki pierwsze i dowiedzieć się, w jaki sposób są wytwarzane dźwięki, które teraz wypełniają pomieszczenie.

-- Jak to zrobiłeś?

-- Trochę miłości, trochę uwagi -- odparł ojciec. -- I gotowe.

-- Tato.

Starszy mężczyzna zaśmiał się krótko.

-- Problemem okazała się korba. Była źle zamocowana.

Vic zamrugał, prostując się.

-- I tyle?

-- Mhm. Proste, prawda? A my głowiliśmy się nad tym tak długo. Myśleliśmy, że to jakiś skompilowany defekt. Czasami, synu, nawet najmniejsza rzecz potrafi wszystko odmienić.

Chłopak się odwrócił. Ojciec obserwował go z uwagą. Jego twarz pokrywały zmarszczki.

Łagodne oczy pozostawały jednak pełne życia. Włosy opadały mu białymi falami za uszy, a długa broda sięgała piersi. Kiedy Vic był młodszy, spytał ojca, dlaczego obaj tak się różnią wyglądem. Tata był wielkim, solidnie zbudowanym mężczyzną o szerokim torsie, potężnym brzuchu i grubych, krótkich palcach. Jako dziecko Vic stanowił jego całkowite przeciwieństwo -- chudy i wysoki, a wręcz strzelisty. Z wiekiem nabrał ciała, lecz pozostawał dość niezgrabny.

Jego ruchom brakowało gracji. Skóra ojca była blada. Victora - - oliwkowa, jak gdyby od urodzenia kąpał się w promieniach słońca. Tata miał błękitne oczy, Vic brązowe, prawie czarne. Mocno się więc różnili. Od zawsze.

Lecz ten człowiek był jego ojcem. Wychował go. Choć człowiekiem był tylko z nazwy.

Ojciec się skrzywił, odwrócił i przyłożył dłoń do piersi.

Vic ciężko westchnął poirytowany, że tata znowu próbuje ukryć przed nim ten gest.

Chciał go za to zbesztać, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

-- Mówiłem ci, żebyś dał mi spojrzeć.

-- To nic takiego.

-- Nieprawda -- wtrąciła siostra Ratched. -- Albo dasz Victo-
rowi spojrzeć, albo cię dorznę. -- Chcąc podkreślić wagę swych
słów, głośno zakręciła wiertłem. Jednocześnie na ekranie pojawiły
się słowa: TO NIE BĘDZIE BOLAŁO. -- Choć może jednak prze-
dziemy do wiercenia bez względu na twoją odpowiedź. Dawno już
nie miałam okazji nikogo dorznąć.

Ojciec odłożył Rambo na ziemię. Piosenka skończyła się i prze-
szła w kolejną. Dźwięk przeniknął Vica do szpiku kości. Chłopak
zastanawiał się, jak do tej pory radził sobie bez muzyki. towarzy-
szyła mu dopiero od kilku minut, a już nie potrafił wyobrazić sobie
bez niej życia. Winyłowe płyty -- niesamowite znalezisko. Postano-
wił, że przy okazji poszuka kolejnych.

-- Mnie tam nic nie jest -- bąknął podenerwowany Rambo. -
- Nie ma potrzeby nigdzie wiercić ani rznąć.

-- Biedny nerwusek -- mruknął ojciec z uczuciem, trącając od-
kurzacz stopą. -- A my wciąż nie wiemy, dlaczego tak się wszyst-
kim przejmujesz.

Vic podszedł z powrotem do blatu, przez chwilę wodził wzro-
kiem po narzędziach wiszących na ścianie. Wybrał lutownicę
w nadziei, że usterka nie okaże się poważna.

-- To pewnie kwestia okablowania. A może błędu w oprogra-
mowaniu. Sam nie wiem.

-- Nic mi nie jest -- powtórzył cicho odkurzacz.

-- Nie oszukuj się -- napomniała go siostra Ratched. -- Jeśli
chcesz, przeprowadzę diagnostykę. Sprawdzę, co ci dolega. Masz
ubezpieczenie?

-- Nie -- przyznał smutno Rambo. -- Ja nic nie mam.

-- Jesteś idealny taki, jaki jesteś -- zapewnił Vic, rzucając sro-
gie spojrzenie większemu robotowi. Siostra zignorowała ten

ostrzegawczy przekaz. -- Wszystko z tobą w porządku. Jesteś po prostu... wyjątkowy. Jak my wszyscy.

-- Oto właśnie przykład białego kłamstwa -- powiedziała Ratched, wyświetlając na ekranie baloniki. -- Białe kłamstwa to takie, które opowiadamy ze szlachetnych pobudek. Pomogę teraz Victori. Oto moje białe kłamstwo: jesteś wspaniałym urządzeniem i wszyscy cię kochamy.

-- Daj mu spokój -- rzucił Vic i ukląkł u stóp ojca.

-- Już ci lepiej, robociku? -- spytała siostra.

-- Tak -- odparł Rambo pogodnie. -- Proszę o więcej białych kłamstw.

-- Jesteś ważny. Masz w życiu cel. I niesamowitą rurkę... tę, którą nam pokazałeś. W życiu większej nie widziałam.

-- O tak! -- wykrzyknął odkurzaczy z uniesionymi ramionami. -
- Mam wielkiego!

Ojciec uniósł brew.

-- Chyba nie chcę wiedzieć.

Zanim Vic zdążył zareagować, znów odezwała się Ratched:

-- Penis Vica pozostał wiotki, kiedy uruchomiłam tryb flirtu. Znam się na tym jak mało kto, więc problem leży po jego stronie.

-- Żałuję, że was naprawiłem -- mruknął Vic, dając ojcu znak, by uniósł koszulę.

-- To było białe kłamstwo -- dodała siostra. -- Masz rozszerzone źrenice i przyspieszone tętno. Lubisz nas. Dziękuję.

Na jej monitorze pojawiła się dłoń z uniesionym kciukiem i wyskoczyły słowa: DOBRA ROBOTA!

Ojciec ściągnął koszulę. Skórę na torsie miał napiętą i gładką. Bez sutków i pępka. Po prawej stronie, tuż pod obojczykiem, znajdowała się metalowa płytko o szorstkiej powierzchni.

Lata wcześniej powiedział Vicowi, że kiedyś na płytce widniała jego pierwsza oryginalna nazwa -- napis i seria cyfr. Starł ją jednak, kiedy straciła dla niego znaczenie. Kiedy nadano mu imię. Był czymś więcej -- kimś więcej -- niż tylko maszyną. Przez długi czas Vic chodził smutny, że on sam nie ma metalowej płytki na piersi.

Ojciec stuknął się dwukrotnie środkowym palcem w obojczyk. W jego piersi coś zapiszczało, potem syknęło. Pół torsu zapadło się, a następnie odsunęło w prawo, ukazując wnętrze obudowy.

W klatce piersiowej ojca było serce. Wyglądało inaczej niż to Vica, zbudowane z tkanki mięśniowej, pompujące natlenioną krew do wszystkich zakamarków organizmu.

Serce Giovanniego składało się z metalu i drewna. Kształtem nie przypominało biologicznego organu, lecz uproszczony symbol serca, jak z dziecięcych rysunków. Wielkością dorównywało pięści Vica. Jamę piersi wypełniało zielonkawe światło sączące się z kabli i obwodów. Ojciec sam stworzył ten mechaniczny organ. Zastąpił nim prawie wyczerpany i nienadający się do naprawy rdzeń zasilający. Część osłony skonstruował z rzadkiego, cennego surowca o nazwie bocote.

Drewno to nie przewodzi prądu, ale ojciec znalazł sposób, żeby zmienić ten stan rzeczy.

Do tego potrzebował jednak prądu o napięciu przeszło piętnastu tysięcy woltów. By zapewnić odpowiednie przewodnictwo, poza drewnem serce miało również części z posrebrzanej miedzi i mosiądzu. W słabym świetle emanującym z pozostałych elementów metal skrzył się i lśnił. Z górnej części osłony wychodziły przewody prowadzące do gniazd, które z kolei łączyły się z biochipem w głowie Giovanniego. Obudowa nie zasłaniała całego wnętrza serca. Część była widoczna. W środku powoli obracały się koła zę-

bate. Nad nimi znajdował się nieduży biały pasek, długi na trzy centymetry i szeroki na dwa.

Vic delikatnie stuknął trybiki palcem. Ojciec podskoczył jak na sprężynie.

-- Przepraszam. Masz zimne palce.

Mechanizm wyglądał w porządku. Jeden z trybów, którego zęby zaczęły się ścierać, trzeba niedługo wymienić. Vic znalazł już odpowiednie części. Trzymał je w jednym ze słoików. Pochylił się bliżej i lekko przesunął serce, aby za nie zajrzeć.

-- Już widzę -- stwierdził z ulgą. -- Przewód uzwojenia się poluzował. Naprawię.

-- Ja to zrobię -- odparł tata.

Vic powstrzymał cisnącą się na usta ripostę.

-- Gdyby to było możliwe, już byś się tym zajął. Od razu naciągnę zwój, żebyś tego nie zaniedbał. Siostró Ratched.

Robot podjechał, złapał wtyczkę lutownicy i umieścił ją w gnieździe we własnej obudowie. Jednocześnie z głośników wydobył się błogi jęk:

-- Ooo. O tak. Tak mi dobrze.

-- Obrzydlistwo -- mruknął Rambo, trącając nogę Vica. -- Czy on umrze?

-- Nie -- odparł chłopak. Zbliżył się do torsu ojca i oparł łokcie o jego uda. -- Nic mu nie grozi.

-- To dlatego, że jesteśmy nieśmiertelni?

-- Nic z tych rzeczy -- odezwała się siostra. -- Nikt nie jest nieśmiertelny. Z czasem nasze ogniwa zasilające osłabną i zginiemy, bo już nigdzie nie będzie odpowiednich zamienników.

-- Ale przecież Vic nam pomoże -- zaprotestował Rambo.

-- Victor jest człowiekiem. Umrze dużo wcześniej niż my. Ma miękkie, gąbczaste ciało. Może dostać raka odbytu albo kości.

Albo ugryzie go szczur i zarazi jakąś chorobą. Lub też zmiażdży go Prastary. Tak jak prawie to się stało dzisiaj.

Siostra zamilkła nagle i wyświetliła na ekranie napis: O RANY.

-- No tak -- westchnął Giovanni. -- To o tym Rambo krzyczał, zanim usłyszał muzykę?

Vic głośno wypuszczał z płuc powietrze, kręcąc głową. Końcówka lutownicy rozżarzyła się na czerwono.

-- To nic takiego.

-- Kolejne białe kłamstwo -- oznajmił Rambo z dumą i zadowoleniem.

Victor jęknął słabo, przyciskając narzędzie do poluzowanego przewodu.

Ojciec stęknął, ale się nie poruszył.

-- Nie było nawet blisko. Wiedziałem, co robię.

-- Wyraz twojej twarzy, kiedy waliła się na ciebie góra złomu, przeczy tym słowom -- oznajmiła Ratched. -- Chciałbyś obejrzyć inscenizację, którą właśnie stworzyłam?

Vic cofnął rękę i się odwrócił. Na ekranie siostry pojawiła się ośmiobitowa wersja jego samego na wieży z metalowych odłamków. Nad głową postaci wyrosła chmurka, w której wyświetlił się napis: O NIE, JESTEM GŁUPI I ZARAZ UMREĘ. Ludzik zleciał na ziemię. Została z niego krwawa miazga, a małe oczka zmieniły się w dwa ikсы.

-- To tyle. -- Siostra Ratched wygasiała monitor. -- Dokładnie to się wydarzyło. Możecie klaskać. Potrzebuję waszego uwielbienia.

-- Spadłeś? -- spytał tata, mrużąc oczy.

Vic wrócił do lutowania.

-- Nie tak całkiem.

W głosie ojca pojawiło się zmartwienie.

-- Potłukłeś się? Masz jakieś obrażenia? Otarcia? Krwawiłeś?

-- A co? -- spytał Vic. -- Potrzebujesz więcej?

Serce Giovanniego było cudem współczesnej techniki. Nie miało sobie równych. Jego funkcjonowanie nie zależało jednak wyłącznie od metalu i przewodów. Biały pasek nad trybikami czasem należało nasączyć krwią. Organ nie potrzebował jej wiele - - wystarczyło kilka kropel raz do roku. Siostra Ratched lubiła powtarzać, że według starych podań w ten sam sposób utrzymywały się przy życiu mityczne istoty zwane wampirami. Ostatnio serce posmakowało krwi cztery miesiące wcześniej, kiedy ojciec zaczął zachowywać się mniej po ludzku, a bardziej jak maszyna.

-- Victorze -- powiedział z surową nutą w głosie.

-- Nawet się nie skaleczyłem -- odparł chłopak.

Giovanni z ulgą kiwnął głową.

-- Dobrze. A co z Prastarymi?

Syn wzruszył ramionami.

-- Wiesz, jak jest. Gdy tylko opuszczam złomowisko, zapominają o moim istnieniu. Czego oczy nie widzą...

Tata westchnął.

-- Wolałbym, żebyś tam nie chodził. Mówiłem ci, że...

-- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zbudowałeś tu dom. To twoja wina. Nie moja.

-- Cwaniaczek -- rzucił ojciec z uśmiechem. -- Znalazłeś coś ciekawego?

-- Wielowarstwową płytę drukowaną. Wygląda na nieuszkodzoną.

Starszy mężczyzna gwizdnął z uznaniem.

-- Rzadkie znalezisko.

Skrzywił się ponownie, kiedy syn przylutował przewód. Vic działał niezwykle ostrożnie, żeby nie naruszyć serca. Było bardzo

delikatne. Upewnił się, że drut wystygł i nie spali drewnianych elementów, po czym przesunął organ na właściwe miejsce.

-- Widzisz? Nic straszego. Powinniśmy się tym zająć dawno temu.

-- Racja. -- Mężczyzna znów pacnął palcami w obojczyk, a klatka piersiowa zasunęła się z powrotem; nie pozostała nawet szczelina. Opuścił koszulę, a Vic podniósł się z kolan. -- Chciałbym jednak, żebyś uważał. Proszę, nie ryzykuj własnym życiem.

Chłopak westchnął i odszedł w stronę stołu. Beryl Davis nadal śpiewała trzeszczącym głosem. Tym razem o tym, jaka kiedyś była głupia.

-- Umiem o sobie zadbać.

Podobną rozmowę odbywali już wielokrotnie. Nic nie wskazywało na to, że ten raz będzie ostatni. Vic przystanął z lutownicą w dłoni, czekając, aż narzędzie ostygnie.

-- Oczywiście -- przyznał ojciec cicho. -- Ale to nie znaczy, że nic ci się nie stanie. Jeśli złapie cię któryś z Prastarych...

-- Nie złapie. Jestem od nich szybszy. I sprytniejszy. To w końcu tylko maszyny.

-- Ja też nią jestem.

Vic się skrzywił. Oj nie, to nie miało tak zabrzmieć. Czasami mówił bez zastanowienia. Starał się tego nie robić, niestety nie zawsze wychodziło.

-- Wiesz, co miałem na myśli. Są zakładnikami własnego oprogramowania. Działają zgodnie z jego wytycznymi i nie mogą opuszczać złomowiska.

-- To nie zmienia faktu, że są niebezpieczni. Im szybciej zdasz sobie z tego sprawę, tym lepiej dla ciebie.

Vic zgrzytnął zębami, usiłując uspokoić emocje. Zaczął wypuszczać powietrze nosem, potem buzią.

-- Jasne. Ale jeśli nie chodziłbym na złomowisko, nigdy nie znalazłbym siostry Ratched ani Rambo. Nie mielibyśmy nawet połowy rzeczy, które mamy. Już dawno skończyłyby ci się materiały do majsterkowania. -- Skinął głową w kierunku obracającej się płyty. -- I nie byłoby tego.

Giovanni nie odpowiedział.

Chłopak się zgarbił, szukając odpowiednich słów, które pozwoliłyby mu wyrazić to, o czym myśli, a jednocześnie nie wyjść na obrażonego.

-- Nie opuszczam lasu. Nie przekraczam jego granic i nigdy na to nie narzekałem. Rozumiem, że masz swoje powody do niepokoju i że poza terenem leśnym nie jest bezpiecznie. Słucham cię. Naprawdę. I dlatego ty też czasem powinieneś posłuchać mnie. Nie potrzebuję i nie chcę więcej, niż mam. -- Zamilkł, czekając na cięty komentarz ze strony siostry. Nie kłamał. A w każdym razie niezupełnie. Nie do końca. Co najwyżej ocierał się o granice prawdy.

Robot nic nie powiedział.

Za to Giovanni -- owszem, skomentował:

-- Na razie.

Chłopak się odwrócił. Ojciec nigdy nie wyglądał tak staro. Coś ukrywał.

-- Co?

Starszy mężczyzna uśmiechnął się smutno.

-- Nie oczekuję, że zostaniesz tu na zawsze. Byłbym samolubny, próbując cię zatrzymać. Mówisz, że jesteś szczęśliwy. I ja ci wierzę. Ale szczęście to nie coś, co nigdy nie przemija. Potrzebny jest płomień, który utrzyma jego żar.

Ilekcioć ojciec wspominał o świecie poza lasem, Vicowi przychodzili na myśl ludzie, którzy go zostawili. Zastanawiał się, kto to

taki. Jak wyglądali. Lubili się śmiać? Słuchać muzyki i majsterkować całymi dniami? Czy byli mądrzy? Życzliwi? Co ich skłoniło, by zaufać Giovanniemu -- obcemu mężczyźnie, który mieszka w środku kniei? Kto ich ścigał? Logika -- zimna, brutalna, maszynowa logika -- podpowiadała, że już nie żyją. Inaczej wróciliby po niego. Tak się jednak nie stało.

Vic miał las. Miał przyjaciół i dom. Ojca -- człowieka, któremu za wszelką cenę chciał udowodnić, że chęć i potrzeba to zupełnie oddzielne pojęcia. Czasami buntował się przeciwko poleceniom Giovanniego, ale w gruncie rzeczy granice stawiane przez tatę dawały poczucie bezpieczeństwa i komfortu. Słyszał opowieści ojca o miastach ze szkła i stali, o tamtejszych ludziach. Przeczytał wszystkie książki, które Giovanni przyniósł do swojego zielonego domostwa. I to wiele razy. Znał wiekowe historie o królach, królowych i zamkach, o awanturkach żeglujących po szerokich morzach na wielkich okrętach z banderami łopoczącymi na słonym wietrze i o ludziach, którzy polecili ku gwiazdom i zagubili się w nieskończonej próżni kosmosu. Wszystkie te postaci były duchami, ale Vic ich się nie bał. Świat poza lasem pozostawał wielką niewiadomą. Raz na jakiś czas wzbierała w chłopaku ciekawość, ale szybko ją w sobie tłamsił. Miał dom, cel w życiu, własne laboratorium i przyjaciół. Oni go kochali za to, kim jest, a nie za to, kim nie jest. Samotności nie rozumiał. Bo jej nie zaznał. Nie tak jak ojciec, kiedy po raz pierwszy się tu osiedlił. Podobnie jak Giovanni, chłopak był wynalazcą. Jeśli potrzebował nowego kompana do rozmowy, mógł go sobie skonstruować. Nazbierał aż nadto części. Tak zrobił z siostrą Ratched, a potem z Rambo. Mógł tę sztukę powtórzyć, jeśli tylko by zapragnął. Niektóre książki z domowych regałów opowiadały o osobach przepelnionych potrzebą doświadczenia czegoś więcej. Tacy ludzie wyruszali przed siebie w poszuki-

waniu czegoś, co tę tęsknotę zaspokoi. Vicowi te postacie wydały się dziwaczne. Sam nie potrzebował oddalać się od domu.

-- Ufasz mi? -- spytał.

-- Ufam.

-- Więc zaufaj mi, kiedy mówię, że wiem, co dla mnie najlepsze.

Podszedł i stanął nad ojcem. Uścisnął jego ramię.

Mężczyzna położył dłoń na dłoni syna.

-- Dobry z ciebie dzieciak. Odrobinę nierozsądny, ale dobry.

-- Mam to po tobie -- odparował Vic.

-- Ja też jestem dobry -- wtrącił Rambo.

-- Nieznośnie dobry -- mruknęła siostra Ratched. -- Choć jednocześnie cierpisz na silne zaburzenia lękowe. Ale nie szkodzi. Każdego coś wyróżnia. Victor, na przykład, jest aseksualny. A Giovanni stary. Ja z kolei przejawiam skłonności socjopatyczne, które ujawniają się w niebezpiecznych sytuacjach.

-- Hura! -- zawołał Rambo. -- Wszyscy mamy w sobie coś wyjątkowego!

Giovanni rozciągnął usta w uśmiechu, kręcąc głową.

-- Ależ dziwny ten nasz żywot. Za żadne skarby niczego bym nie zmienił.



Roboty zostały z ojcem; wspólnie słuchali piosenek Beryl Davis o miłości i stracie. Vic ich opuścił. Wyszedł z domu i skierował się ku windzie, oglądając płytkę. Obrócił znaleźisko w rękach. W dolnym lewym rogu było cienkie pęknięcie, ale to dało się łatwo naprawić.

Wszedł do drewnianej kabiny. Drzwi zatrzasnęły się za nim, kiedy wcisnął przycisk. Lampy sodowe rozjarzyły się w gałęziach, kiedy dźwig uniósł się znad leśnej ściółki. Po chwili dotarł na pięć-

tro zawieszono tuż pod koronami drzew. Kiedy otworzyła się bramka, Vic wysiadł.

Dom na ziemi był tylko częścią ich siedliska.

W swej nieskończonej mądrości ojciec skonstruował jedyny w swoim rodzaju domek na drzewie, choć o wiele większy i bardziej złożony niż jakakolwiek tego rodzaju budowla, o jakiej czytał Vic -- nawet bardziej spektakularny od tego ze *Szwajcarskich Robinsonów*. Podstawę domostwa tworzyło sześć pni. Wszystkie zostały połączone mostami linowymi. Na strzelistej jodle -- królowej lasu -- znajdowało się laboratorium Giovanniego. Było też największym budynkiem. Dookoła kolejnego drzewa powstały prywatne kwatery ojca, które starzec wypełnił po sufit złodem, narzędziami i książkami. Z najwyższego obiektu na trzecim pniu, czyli z kuchni, korzystał wyłącznie Vic. Niegdyś stała tam przeszklona weranda, lecz z czasem pojawiły się: działający piecyk elektryczny, stary stół i krzesła z oparciami, na których widniały rzeźbione ptaki i liście. W rogu pomieszczenia, w dużej metalowej zamrażarce Vic przechowywał mięso.

Na kolejnym drzewie znajdowała się łazienka z prysznicem zasilanym chłodną deszczówką oraz toaleta -- obiekt niezdrowej fascynacji siostry Ratched. Maszyna medyczna uwielbiała tematy związane z konsystencją produktów przemiany materii Vica. Chłopak usiłował jej tłumaczyć, że to jego prywatna sprawa. Wtedy niezmiennie odpowiadała, że tak mu się tylko wydaje, a poza tym: "Inaczej zaśpiewasz, kiedy oczy zajdą ci słoń w wodnistą wydzielinę, przybiegniesz do mnie i się poskarżysz, że masz krew w stolcu".

Na to Vic nie znalazł żadnego kontrargumentu.

Piąty pień zajmowało laboratorium Victora -- mniejsze niż ojcowskie, lecz równie wyjątkowe.

Na ostatnim drzewie, tuż obok windy, znajdował się pokój chłopaka. Victor zachował w pamięci widok, jak ojciec buduje tę część siedliska. Siedział i patrzył, podając mu narzędzia. Pamiętał też własną ekscytację pierwszą nocą spędzoną samotnie w sypialni. Chciał się położyć najpóźniej, jak się dało -- w końcu ojciec nie mógł mu już mówić, że trzeba iść spać. Skończyło się na tym, że wytrzymał niecałe pięć minut, po czym pobiegł do pokoju taty i wślizgnął się do jego łóżka. Znacznie później, gdy dorósł i być może trochę zmądrzał, spytał Giovanniego, po co mu łóżko, skoro wcale nie musi spać. Ojciec odparł, że zbudował je, by poczuć się bardziej jak człowiek.

Vic pokręcił głową, idąc linowym mostem do swojego pokoju. W głowie kłębiły mu się setki myśli, ale ich chaos był tylko pozorny. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Z jedyne go okna spojrział w dół. Na dachu naziemnej części domu ojciec zamontował okno, które teraz otaczały panele słoneczne. Parter był jedyną częścią ich posiadłości z oknem dachowym. Przez nie Vic mógł obserwować tatę siedzącego w fotelu i siostrę Ratched, która zwykle dźgała Rambo jedną z macek. Młodzian cofnął się o krok.

Środek pokoju zajmował pień, z niego odchodziły kikuty uciętych gałęzi. Za nim, w prawym rogu stało łóżko z gruzłowatym, wysłużonym materacem. Na ścianach wisiały stare niedziałające narzędzia; Vic nie potrafił się ich pozbyć. Tę cechę też odziedziczył po ojcu -- obu oblewał zimny pot na myśl o tym, że można coś wyrzucić. Wszystko, co zepsute, dało się przecież naprawić. Wystarczyło tylko zdobyć odpowiednie części.

Vic zdjął koszulę przez głowę. Zmarszczył brwi, gdy zauważył niewielkie rozdarcie. Będzie musiał poprosić siostrę o zaszywanie ubrania. Widział, że materiał w wielu miejscach jest przetarty, ale

koszula jeszcze się nadawała, więc nie miał sumienia przeznaczyć jej na szmaty. Złożył ją w kostkę i schował do niedużej komody.

Obrócił w dłoniach płytkę drukowaną, opadł na kolana, po czym zanurkował pod łóżko. Z wysiłkiem wysunął stamtąd metalową skrzynię i usiadł. Spojrzał w kierunku okna. Z dołu wciąż dochodziła muzyka.

To, co Vic trzymał w ciemności pod łóżkiem, nie było żadną wielką tajemnicą. Nie zamierzał ukrywać tego przed pozostałymi lokatorami. Po prostu dotychczas nie potrafił uruchomić zawartości skrzyni. Teraz kiedy wreszcie zdobył płytkę, może uda się to zmienić.

Wstukał kod w klawiaturę numeryczną na wieku. Po każdym przyciśnięciu klawisza wyświetlały się cyfry na małym ekranie. Kufer pisnął trzykrotnie. Zamek szczyknął. Pokrywa się uchyliła.

Wewnątrz, na zwoju starego sukna podebranego z ojcowskiej kolekcji, leżało mechaniczne serce.

Było inne od tego, które biło w piersi ojca. Tamten organ został skonstruowany przez mistrza w swoim fachu. Chodził idealnie, ale każda maszyna z czasem się zużywa.

Serce Giovanniego się starzało. Nie mogło służyć wiecznie. Pewnego dnia osłabnie, by wreszcie zamilknąć na zawsze.

To nowe serce -- proste, prymitywne i takie... ludzkie -- miało być planem "B". Na wszelki wypadek. Chłopak zaczął je konstruować w wieku piętnastu lat. Nie miał pojęcia, co robi.

Podczas prac popełnił wiele błędów. Drewno, które wybrał - - dąb -- popękało i zaczęło się kruszyć. Dopiero kiedy na złomowisku trafił na odrobinę drewna bubinga, serce zyskało odpowiedni element przewodzący. W środku znajdowała się niklowana miedź. Daleko jej do posrebrzanej, ale i tak powinna się nadać. W najgorszym wypadku część można wymienić.

Kształt serca również pozostawiał wiele do życzenia. Szpiczasty koniuszek ułamał się, przez co Vic musiał go wypiąskować i wypolerować. Kółka zębate wewnątrz urządzenia chodziły jednak idealnie. Pokręcił największym i z lubością patrzył, jak suw wprawia pozostałe pięć mniejszych trybów w ruch. Synchronizacja wszystkich elementów zachwycała sama w sobie. Tykanie zachodzących na siebie zębów brzmiało nawet przyjemniej niż melodia dochodząca z gramofonu. Muzyka tych trybików oznaczała bowiem życie.

Vic delikatnie położył płytkę obok serca, po czym zamknął pokrywę. Z głośnika przy ekranie dobiegło pojedyncze piśnięcie. Zamek się zatrzasnął. Chłopak wsunął skrzynię z powrotem pod łóżko. Nawet Rambo nie potrafiłby jej tu znaleźć. Mały robot bał się ciemności. Nikt nie dostrzeże dzieła, zanim Vic podaruje je ojcu.

Już niebawem.

Chłopak wstał. Strzyknęło mu w kolanach. Podrapał się po brzuchu. Przydałoby się coś zjeść przed snem. I wziąć prysznic. Przechodząc przez most linowy, przypomniał sobie widok Prastarych, jak wysypywali żelastwo na wielkie kopce. Jutro lub pojutrze wróci zobaczyć, czy na złomowisku pojawiły się nowe ciekawe zdobycze. Kto wie, powiedział sobie w myślach, maszerując rozkołysaną kładką.

ROZDZIAŁ 3

Zanim Vic ponownie odwiedził złomowisko, minął tydzień. W pewnym momencie zaczął podejrzewać, że ojciec specjalnie wynajduje mu coraz to nowe zadania, by nie pozwolić na kolejną eskapadę. W domu zawsze coś czekało do naprawy albo wymiany. Ktoś musiał zrobić przegląd paneli słonecznych, opróżnić pojemniki na śmieci, przepchać rury. Ogród za domem trzeba było wypielić, a przy okazji zebrać z drzew owoce i z grządek warzywa.

Vic wykonywał wszystkie zadania bez marudzenia. Zaniedbanie jakiejś czynności, choć z pozoru niewielkiej, mogło doprowadzić do załamania całego delikatnego systemu. To jedna z pierwszych nauk, jakie odebrał od ojca.

Lato dogorywało. Poranki stały się chłodne, a liście na drzewach pożółkły i poczerwieniały. Ich krawędzie coraz częściej pokrywał szron. Dni trwały krócej, słabe światło słoneczne pochłaniała mgła. Wszystko wskazywało na to, że tego roku śnieg pojawi się wcześniej niż zwykle.

-- Nie cierpię śniegu -- poskarżył się Rambo, wciągając garść chwastów, które Vic rzucił w jego kierunku. -- Wchodzi w tryby i sprawia, że mi zimno.

-- Nie czujesz zimna -- powiedziała siostra Ratched. -- Nie masz zdolności odczuwania jakichkolwiek bodźców. -- Na jej ekranie pojawiła się smutna buźka ze łzą spływającą po policzku. -
- Musisz być z tego powodu bardzo nieszczęśliwy.

-- Rambo czuje wszystko -- odparował Vic, desperacko próbując powstrzymać falę hysterii małego robota, która niechybnie nadchodziła. -- Tak go skonstruowałem. Ciebie zresztą też.

Rambo ćwierknął z zadowoleniem, wsysając kolejne chwasty.

-- Ha. Widzisz? Wiedziałem! -- pisnął. -- O-o. Jestem pełny. Trzeba mnie opróżnić.

Siostra Ratched uniosła odkurzacza i wyjęła z niego pojemnik wypełniony zielskiem. Wyrzuciła je do metalowej beczki stojącej przy ogrodzie, po czym umieściła pojemnik z powrotem w obudowie przyjaciela.

-- Mówi tak, żeby ci nie było smutno. Choć, jeśli to prawda, należałoby zadać sobie pewne pytanie.

-- Jakie? -- rzucił niecierpliwie Rambo.

-- Dlaczego jesteś taki neurotyczny.

-- Wcale nie jestem neurotyczny!

Siostra Ratched wyciągnęła chwast z beczki i upuściła go na ziemię. Rambo natychmiast podjechał, by go wciągnąć.

-- Neurotyczny -- powtórzyła beznamiętnie. -- Mam na to lekarstwo. Jeśli chcesz, wstrzyknę ci dawkę. Igła jest bardzo gruba i wbija się ją tylko w miejsca, gdzie najbardziej boli.

-- Żadnych zastrzyków -- ostrzegł Vic, nie podnosząc wzroku.

Siostra Ratched wydała z siebie coś jak prychnięcie.

-- Od bardzo dawna nie pozwalasz mi robić zastrzyków. Przypominam, Vic, że zbliża się pora szczepienia. Może zajmiemy się tym od razu?

-- Dziękuję, nie trzeba.

-- Ciekawe, co powiesz, jak dostaniesz skorbutu. Mam akurat pod ręką kwas askorbinowy.

-- Nie dostanę skorbutu.

-- Wypadają ci zęby?

-- Nie.

-- Masz brązową skórę.

-- Od urodzenia.

-- Oczy wychodzą ci z orbit?

Zamrugął szybko, żeby się upewnić.

-- Nie.

Siostra Ratched zakreśliła się w miejscu i pisnęła.

-- Poza skorbutem odnotowuję również symptomy halucynacji. Twoje oczy zawsze wychodzą z orbit. Przygotuj się na zastrzyk! O, patrz. Wiewiórka. Chyba wściekła. Podejdź no tu, maleństwo. Uzdrowię cię! Uruchamiam Program Empatyczny. Taś, taś, wiewióreczko. Nie masz się czego bać. Będzie bolało zaledwie przez trzydzieści siedem koma sześć minuty. Potem, jeśli się okażesz dzielną pacjentką, dam ci smakołyk.

Robot popędził w las za piszczącym z przerażenia gryzoniem.

Vic odwrócił się, nie słysząc odgłosów odkurzenia. Rambo stał i wymachiwał szczypcami przed własnym czujnikiem.

-- Wszystko w porządku?

Przez lata nauczył się, jak odczytywać nastroje przyjaciół, choć czasami nadal przychodziło mu to z trudnością. Na szczęście roboty cierpliwie znosiły pomyłki.

-- Potrafię odczuwać, prawda? -- Rambo powoli otwierał i zaciskał szczypce. Cyk, cyk, cyk.

-- Tak. Oczywiście, że potrafisz. Chodź tu do mnie.

Rambo, podjeżdżając, ominął kupkę chwastów, których nie zdążył posprzątać. Zatrzymał się obok Vica, a ten przejechał dłonią po jego czarnej obudowie i zatartym napisie.

-- Czujesz to?

-- Tak -- odparł odkurzacz pogodnie. -- Dotykasz mnie ręką.

-- I jakie to uczucie?

Robot się zastanowił.

-- Swędzące. I czuję ciepło. Jakbym był pełen śmieci, ale przecież dopiero co mnie opróżniono.

-- To szczęście -- wyjaśnił Vic łagodnie, choć nie był pewien.
-- Ja cię! -- westchnął Rambo. -- Więc to właśnie szczęście?
-- Tak myślę. Jesteś szczęśliwy, kiedy masz pełny zbiornik, bo wiesz, że wykonałeś dobrą robotę. To prawie to samo.

Rambo uniósł ramię i delikatnie uszczypnął chłopaka.

-- Czujesz?

-- Tak.

-- I jakie to uczucie?

-- Swędzące. I ciepłe.

-- Jakbyś był pełen śmieci -- szepnął Rambo z zachwytem.

-- Niezupełnie... -- Vic pokręcił głową, po czym się rozmyślił. -

- Tak, faktycznie. Jakbym był pełen śmieci.

-- Dlaczego w ten sposób się czujemy? -- Rambo zacisnął szczypce.

-- Nie wiem -- przyznał Vic. -- Tak po prostu jest.

-- Niesamowite. -- Odkurzacz puścił nadgarstek człowieka, a drugim odnóżem złapał garść chwastów, po czym podsunął je Vicowi pod nos. -- Proszę. Wsadź to w swoją prasę do odpadów. Sprawdź, czy wtedy też czujesz ciepło i swędzenie.

-- Nie będę tego jadł.

Rambo zaświergotał pytająco.

-- Ale... dlaczego? Nie pozwolisz sobie na chwilę szczęścia?

Zanim Vic zdążył odpowiedzieć, wróciła siostra Ratched. Gąsienice miała pokryte krwią i kępkami szarej sierści.

-- Wiewiórka została uzdrowiona -- oznajmiła triumfalnie, wyświetlając na ekranie napis: KOLEJNA POMYŚLNA INTERAKCJA Z PACJENTEM. -- Nie ma już wścieklizny. Zamieszkała w górskim gospodarstwie z innymi wiewiórkami, otoczona miłością do końca swych dni. Wyłączam Program Empatyczny. Czuję się taka pusta.

-- Czy to przez twoje tendencje socjopatyczne? -- spytał nerwowo Rambo.

Vic spojrział w niebo, modląc się do wszystkich bóstw, które akurat słuchały, o cierpliwość i siłę.

-- Być może -- odparła maszyna medyczna. -- Odpowiem ci po przeprowadzeniu autodiagnozy. O czym rozmawiacie?

-- Vic ma w głowie bałagan! -- zawołał odkurzacz.

-- Oczywiście -- odparowała siostra. -- Bez wątpienia. Niestety tej przypadłości nie potrafię wyleczyć.



Skończyli prace w ogrodzie wczesnym popołudniem. Do zbiorów rzepy i fasoli zostało około tygodnia. Żurawina i dynie też musiały jeszcze trochę poczekać. Pozostałe warzywa i owoce -- brokuły, persymony, buraki i kabaczki -- leżały już w skrzynkach w kuchni.

Ojciec zamknął się w laboratorium, gdzie spędzał większość czasu. Przy odrobinie szczęścia nie powinien wyjść do wieczora.

Siostra Ratched i Rambo pojechali za Vikiem do jego pokoju i przyglądali się, jak pakuje torbę.

Chłopak nadal opłakiwał stratę sprzętu do wspinaczki sprzed tygodnia. Nie miał czasu zbudować nowych elementów, więc z wypraw wysokościowych na razie nici. Może udałoby się znaleźć zagubione krzywki wśród złomu. Nie będzie to łatwe, ale jeśli nie zostały zmiażdżone i przywalone żelastwem, istnieje pewna szansa. Ich baterie po siedmiu dniach powinny być na wyczerpaniu, a to oznaczało, że sprzęt zacznie dawać sygnały dźwiękowe o konieczności podładowania.

-- Wracamy tam? -- spytał Rambo z niedowierzaniem. -- Przecież ledwo uszliśmy z życiem!

-- Bez ryzyka nie ma zabawy. -- Vic zwinął grubą linę i upchnął ją do wnętrza siostry Ratched.

-- Zabawy w przetrwanie? -- Chłopak znieruchomiał na chwilę.
-- Czy roboty po śmierci idą do nieba?

Zamrugał. Pytanie kompletnie go zaskoczyło.

-- Co? Skąd ty w ogóle...? -- Zamilkł. -- Aha. Już wiem. *Panowie w cylindrach.*

Rambo zakochał się w tym filmie, choć płyta kompaktowa, na którą został nagrany, była porysowana i obraz co chwila przeska-kiwał. Uwielbiał scenę, w której mężczyzna tańczył z kobietą policzek przy policzku i obydwójce śpiewali, że są w niebie.

-- Nie wiem, Rambo. Trudno mi nawet powiedzieć, czy niebo istnieje.

-- Och. Dlaczego miałyby nie istnieć?

-- To tylko taka opowieść. Bajka.

-- To co się z nami dzieje, kiedy przestajemy funkcjonować?

Chłopak tylko wzruszył ramionami.

-- W tym zakresie mogłabym zaoferować pomoc -- wtrąciła się za to siostra Ratched. -- Obiecuję, że obejdzie się prawie bez krzyku.

-- Nikogo dzisiaj nie zabijemy -- zawyrokował Vic.

-- Powiedz to wiewiórcze -- odparowała siostra. -- Och. Czeka. Nie możesz. Dlaczego? Bo jest martwa.

-- O nie -- szepnął Rambo. -- Coś się stało z gospodarstwem?

-- Skłamałam -- przyznała siostra. -- Zamordowałam ją, zmiażdżyłam własnymi gąsienicami. Zostawiłam tylko tyle, by Vicowi wystarczyło na gulasz. Fajnie, co? Bawię się świetnie.



Vic poprowadził ich do innego wejścia na złomowisko. Na wszelki wypadek, gdyby Prastarzy w dalszym ciągu patrolowali

obszar, w którym złapali go poprzednio. Złomowisko rozciągało się długimi kilometrami w każdą stronę. Vic nie zwiedził całości terenu, ale stworzyli z ojcem mapy sporej jego części.

Zatrzymał się na granicy lasu, gdzie zieleń trawy przechodziła w rdzawy brąz skorodowanego metalu. Najbliższy Prastary pracował około pięciuset metrów dalej. Mieli szczęście.

-- Siostró Ratched -- odezwał się chłopak. -- Pokaż mapę. Zrób zbliżenie na pole 3B.

Ekran robota rozjarzył się, ukazując prostopadłe zielone linie, nałożone na skromną mapę złomowiska. Całe lata zajęło im odwzorowanie topografii terenu i dzielenie go na kwadranty. Róg planu był czarny. Pomimo wielu prób aż tak daleko nigdy nie dotarli.

Krzywki magnetyczne, które Vic porzucił tydzień wcześniej, powinny być w sektorze 6A. Prastarzy zrzucali wtedy złom w okolicy 3B. Przy odrobinie szczęścia obejdzie się bez wspinaczki, bo nowe stosy nie będą zbyt wysokie. Mogli więc zacząć poszukiwania właśnie tam, a później zahaczyć o 6A w drodze do domu.

Chłopak przez chwilę przyglądał się mapie, gdy siostra Ratched powiększyła odpowiedni fragment. Trącił stopą Rambo i powiedział:

- No dobra. Jakie są zasady?
- Trzymamy się razem! -- wykrzyknął odkurzacz.
- Jakby co, uciekamy -- dodała siostra, wyłączając monitor.
- Nie ociągamy się! -- podsunął Rambo.
- I nie dorzynamy -- powiedziała ze smutkiem siostra.
- Ale przede wszystkim: jesteśmy dzielni!

Mniejszy robot zakręcił się wokół własnej osi i zamrugał światełkami.

- Dzielni -- powtórzył cicho Vic.



Przedzierali się przez dobrze im znaną okolicę. Rambo nucił sobie, dotrzymując kroku człowiekowi. Siostra Ratched zatrzymywała się co parę metrów i skanowała coraz to nowe szczegóły, które mogła dodać do mapy.

Kiedy dotarli do 3B, Vic się zatrzymał. Zmarszczył brwi, patrząc na złom zostawiony tydzień wcześniej przez Prastarego.

Kupa żelastwa wyglądała inaczej niż zwykle.

-- Co to jest? -- spytał sam siebie, podchodząc bliżej. Zajęło mu chwilę, zanim w chaosie porozrzucanych części zaczął dostrzegać wyraźne kształty. Zorientował się, na co patrzy, dopiero gdy dostrzegł metaliczne ramię. Palce dłoni były zgięte w taki sposób, jakby przywoływały go do siebie.

Nowy stos był pełen robotów! Androidów.

Człekokształtnych, ale nie takich jak ojciec. Te roboty zostały pozbawione skóry. Chyba że nie miały jej od początku.

Wszędzie walały się ich szczątki. Urwane głowy o zionących czernią oczodołach -- niektóre dodatkowo rozbite. Nogi. Ręce. Torsy. Okablowanie wyprute na wierzch, przepalone na wiór. Rozcięte, wybebeszone klatki piersiowe z pousuwanymi rdzeniami zasilającymi. Wszystkie umyślnie zniszczone.

To nie góra złomu. To mogiła.

-- Nie podoba mi się to -- jęknął Rambo nerwowo. -- Ani trochę. Nic a nic.

Nawet siostra Ratched wyglądała na poruszoną, gdy skanowała resztki androidów.

-- Nie wykrywam żadnych źródeł energii. Wszystkie zostały... Chwila. -- Podjechała bliżej. Promień skanera zwęził się, skupiając na czymś. -- Coś tam jest. Głęboko pod powierzchnią. W samym środku. Wychwytnię energię, choć bardzo słabą.

-- Co ją wytwarza? -- Vic stanął obok kompani. Przeszył go zimny dreszcz, kiedy przypadkiem otarł się o urwaną nogę ze stopą, w której brakowało dwóch palców.

-- Nie wiem -- odparła siostra. Na ekranie pojawił się ciąg znaków zapytania.

-- Jak głęboko?

-- Dwieście centymetrów i sześćdziesiąt sześć milimetrów.

-- Zachowaj czujność.

-- Tak jest.

Vic podszedł jeszcze bliżej góry metalowych ciał. Zapadła nie-naturalna cisza. **POBRANO ZE STRONY PIJAFKA.PL**

Powietrze było ciężkie i wilgotne. Po czole chłopaka spłynęła strużka potu. Otarł ją.

Pierwsza w ręce wpadła mu głowa. Okazała się cięższa, niż się spodziewał. Oczy miała całe, choć żarówki wyglądały na przepalone -- przydymione, z przysmalonymi żarnikami. Obrócił przedmiot w dłoniach. Potylicą roztrzaskana, wewnątrz czaszki zupełnie puste. Przez długą chwilę wpatrywał się w martwą twarz. Od bardzo dawna nie widział żadnej twarzy poza własną i ojcowską. Czasami siostra Ratched wyświetlała na ekranie proste rysunkowe buźki. Rambo twarzy nie miał, mimo to wyróżniał się bogatą ekspresją -- nadrabiał braki świecącymi kolorowo lampkami. Ale to coś innego. Głowa nie przypominała jego własnej. W zasadzie nie przypominała niczyjej. Ciekawe, jak by zareagował, widząc ją za życia właściciela? Nie potrafił długo skupić wzroku na martwych, pustych oczach.

Odłożył czaszkę, nie zważając na ciarki przechodzące po plecach. Teraz powinno być już z górki.

Nie było.

Przerzucał kolejne głowy i ramiona, a raz nawet klatkę piersiową -- wyglądała na dziecięcą. Przekopywał się przez szczątki botów wszystkich płci. Niektóre wydawały się bezpłciowe. W otępieniu kopał głębiej. W uszach szumiała mu krew.

Przez jego ręce przewijały się części, z których dałoby się jeszcze coś uratować, ale na razie się nimi nie zajmował. Jeżeli gdzieś w środku leżał aktywny rdzeń zasilający, Vic musiał go zdobyć. Szczególnie jeśli miał w sobie moc. Moc była najcenniejszą zdobyczą. I znajdowała się tuż-tuż. Mogła pozwolić mu zbudować kolejne mechaniczne serce. Kiedy już myśl zagnieździła mu się w głowie, nie sposób było jej porzucić.

Po godzinie pracy zrobił sobie przerwę. Usiadł na ziemi i obserwował, jak siostra Ratched wyciąga w kierunku Rambo urwane ramię.

-- Jak się masz? -- zapytała tym swoim dziwacznym, beznamiętnym głosem.

-- Bardzo miło mi panią poznać -- odparł Rambo. Wsunął wysięgnik i ścisnął martwą dłoń.

Siostra natychmiast upuściła rękę.

-- Aaaaaaa -- jęknęła. -- Urwałeś mi rękę. Zabiłeś mnie. Dlaczego, Rambo? Dlaczego?

Odkurzacz zaczął krzyczeć.

-- O Boże! O Boże! Co ja narobiłem? Dlaczego jestem takim potworem?

Cisnął amputowanym ramieniem najmocniej, jak potrafił. Wyleciało w górę, po czym... spadło z powrotem na niego. To wywołało kolejny wybuch hysterii.

-- Ha-ha! -- Siostra Ratched wyświetliła uśmiechniętą buźkę. -
- Tylko żartowałam. To nie moje ramię. Nadal żyję.

-- Nigdy więcej tak mnie nie strasz -- ofuknął ją Rambo. -
- Przeraziłem się. Myślałem, że zostałem mordercą. A jestem tylko odkurzaczem! Odkurzacze nie mordują!

-- A szkoda -- westchnęła pielęgniarka; monitor wypełnił się czernią. -- Byłbyś świetnym mordercą. Nie tak dobrym jak ja, mimo wszystko całkiem niezłym. -- Na ekran wjechała jaśniejsza aureola. -- To znaczy ja bym nikogo nie zamordowała. Z całą pewnością. Uruchamiam Program Empatyczny. Morderstwo to grzech i popełniając je, czułabym się źle. A nie chcę czuć się źle, bo jakiegokolwiek emocje są szkodliwe i niepotrzebne.

-- Tak sobie powtarzaj. -- Vic wstał z ziemi. Przeciągnął się, unosząc ręce nad głową. Strzyknęło mu w kręgosłupie. Wrócił do pracy.

Po kolejnej godzinie siostra Ratched przerwała ciszę:

-- Jesteś blisko.

Chłopak przerwał i się rozejrzał. Był nieco dalej niż w połowie stosu. Brakowało mu tchu.

-- Wciąż czujesz to źródło energii?

-- Tak.

-- To nasz nowy przyjaciel? -- spytał Rambo.

-- Być może -- odparła mechaniczna pielęgniarka. -- Albo też jakaś mordercza maszyna, której jedynym celem jest anihilacja wszystkiego dookoła.

-- Och -- zakwilił odkurzacz gorzko. -- Mam nadzieję, że jednak przyjaciel.

-- Sądzę, że szansa na to wynosi około dwunastu procent. Osiemdziesiąt procent, że nie.

Rambo szczękał szczypcami, licząc.

-- A co z pozostałymi ośmioma procentami?

-- Istnieje osiem procent prawdopodobieństwa, że rdzeń zasilaający osiągnął masę krytyczną, co wywoła eksplozję, która zrówna z ziemią cały region i natychmiast nas zabije.

-- Nic nie wybuchnie -- sapnął Vic. -- Ratched nie pozwoliłaby mi kopać tak głęboko, gdyby wiedziała, że grozi nam wybuch.

-- Tak ci się tylko wydaje -- skomentowała siostra, racząc ich widokiem czaszki na własnym monitorze. -- Wpadłeś w moje si-
dła. Chciałam, żebyś zabrnął dostatecznie daleko, by nie móc się
oswobodzić. Przygotuj się na śmierć. -- Trupia głowa zniknęła,
w jej miejsce pojawił się napis: NIE ZAPOMNIJ WYSTAWIĆ MI
RECENZJI! ZASŁUŻYŁAM NA 10 PUNKTÓW?

Vic dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że robot żar-
tuje. Schylił się i wyciągnął kolejny tors z płataniny ciała.

-- Nie zrobiłabyś tego. Za bardzo byś za mną tęskniła. Znam
cię...

Nie miał szansy powiedzieć nic więcej, bo nagle, bez ostrzeże-
nia, pomiędzy szczątków wystrzeliła dłoń i zacisnęła się na jego
nadgarstku. Uścisk był mocny, bolesny. Aż zatrzeszczały kości.
Chłopak z jękiem spojrział w dół. I dłoń, i ramię pokrywała synte-
tyczna skóra, miejscami poszarpana i podziurawiona. Przez
otwory prześwitywał metal. Dało się też zauważyć przewody.

Vic spróbował się wyrwać, ale palce trzymały jak imadło. Za-
parł się nogami, pociągnął z całych sił. Zaczęły się na niego osuwać
metalowe części. Przez ułamek sekundy wśród tego gąszczu do-
strzegł błysk oczu.

-- Puszczaj go! -- krzyknął Rambo. Ruszył pędem przed siebie.
Szczypcami tłukł w tajemnicze ramię. -- Jesteśmy wielcy i silni,
i straszni. Zabijemy cię na śmierć!

Siostra Ratched stanęła za Vikiem. Otworzyła kłapę, po czym
z niewiarygodną prędkością wystrzeliła jedną z macek. Odnóże

owinęło się wokół chłopaka; zaczęło ciągnąć.

-- Może wolisz, żebym odpiłowała ci rękę? -- spytała uczynnie.
-- Łatwiej by poszło.

-- Żadnego piłowania -- warknął Vic. Próbował odgiąć robotyczne palce, ale okazały się zbyt silne. Stos ciał się poruszył. Wsunęło się kolejne kilka centymetrów ramienia.

-- Dość tego -- powiedziała pielęgniarka. -- Rozkazano ci puścić. Teraz przygotuj się na szok.

Kolejna macka wystrzeliła z obudowy; o mały włos ominęła Vica. Jej końcówka iskrzyła. Owinęła się wokół drapieżnej ręki. Efekt był natychmiastowy. Palce się rozwarły. Nogi chłopaka zaryły w ziemi, gdy siostra Ratched odciągnęła go do tyłu. Rambo nie przestawał tłuc w metal jak szalony, próbując uniknąć napaściwej dłoni.

-- Giń! -- darł się. -- Giń, giń, giń!

Vic spojrzał na swój nadgarstek. Dookoła biegł siny ślad.

Pielęgniarka puściła go i wciągnęła obie macki do wnętrza, po czym zamknęła klapę.

-- Rambo, odsuń się natychmiast od tego ramienia. Nie wiemy, czy nie jest przypadkiem częścią większej całości.

Odkurzacz znieruchomiał i obrócił się czujnikami w kierunku przyjaciół.

-- Tam może być więcej niż tylko ta ręka? -- jęknął cienko. -
- Dlaczego nie powiedziałaś od razu?

Odjechał szybko, schował się za Vikiem i szczypcami złapał się jego spodni.

Ręka wystająca z kupy żelastwa opadła bezwładnie. Dalej wstrząsały nią lekkie spazmy. Przedramię pokrywały ciemne włoski. Błada skóra, palce grube i krótkie. Dłoń potężna.

-- Co to jest? -- spytał Vic.

-- Nie wiem -- odparła siostra. -- Lepiej zostawić to tutaj. Nie bez powodu skończyło na złomie. Pewnie miało jakąś usterkę. Popsuło się. Albo wystąpił błąd w oprogramowaniu. To jasne, że już się nikomu nie przyda.

-- To samo mówiłaś o Rambo -- zauważył chłopak, wpatrując się w ramię.

-- Prawda. A ty mnie wtedy nie posłuchałeś. I zobacz, do czego to doprowadziło.

-- Do mnie -- bąknął mały odkurzacz zza nóg człowieka.

-- Otóż to. Jesteś pasożytem -- powiedziała pielęgniarka. -- Powinniśmy... Hej, Victor, co ty wyprawiasz?

Chłopak zrobił krok naprzód.

-- Nie ciekawi was, co to takiego?

-- Nie. Ani trochę. Ciekawość to pierwszy stopień do płaczu i niedoli. Jeśli masz ochotę pocierpieć, mogę ci pogruchotać kręgosłup szyjny, aż odpadnie ci głowa. -- Siostra wydała z siebie przerywany sygnał dźwiękowy i wyświetliła napis: ZAUFAM MI, JESTEM PIELEŃNIARKĄ!

-- Inne ciała zostały pozbawione skóry i zasilania. A to nie. Dlaczego?

W skroniach czuł pulsujący ból. Serce waliło mu jak oszalałe. Trafił na coś nowego. Coś dziwnego. Enigmę. Z jednej strony chciał obrócić się i uciec -- puścić się pędem przed siebie, wpaść do domu, zaryglować za sobą drzwi i udawać, że nic się nie wydarzyło. Z drugiej strony nie mógł przestać powtarzać sobie w myślach: "Co to jest, co to jest, co to jest?". Ogarnęła go obsesja. To tutaj znalazł siostrę Ratched. Potem w okolicy również trafił na Rambo. A teraz -- kolejna maszyna. Z tyłu głowy pojawiła się myśl: "Do trzech razy sztuka".

Podszedł bliżej, zaskakując tym nawet siebie. Uczucie niepokoju szybko minęło. Pod warstewką strachu była bowiem zakopana dusząca, lepka ciekawość. Czuł silną potrzebę poznania, co się tam kryje. Chciał się dowiedzieć o tym wszystkiego. Skąd przybyło? Co potrafi robić? Victor Lawson w głębi duszy był przede wszystkim twórcą, wynalazcą. I właśnie zobaczył coś, czego nie rozumiał. A to oznaczało, że zrozumieć po prostu musiał.

Zatrzymał się na odległość wyciągniętej ręki i kucnął.

Szczegóły na ramieniu wyglądały niesamowicie. Część ciała była nawet bardziej dopracowana niż ojca. Krótkie włoski porastające rękę, paznokcie z równymi białymi półksiężycami u nasady, marszcząca się skóra na kłykciach. Linie po wewnętrznej stronie dłoni przypominające mapę. Gdyby nie widoczne przez rozcięcia metalowe elementy, Vic pomyślałby, że kończyzna należy do człowieka. Ale to oczywiście niemożliwe.

Ludzie nie zapuszczali się tak daleko w dzicz.

Ani ramię, ani dłoń się nie poruszały. Czekał.

Nic.

-- Hej -- odezwał się w końcu. -- Jesteś tam jeszcze? -- Brak odpowiedzi. -- Słyszysz mnie? Nie zrobimy ci krzywdy.

-- Choć moglibyśmy -- wtrąciła siostra Ratched. -- Znam dokładnie pięć tysięcy siedemset dwadzieścia sześć sposobów na uśmiercenie człowieka. Wolałbyś nie poznać numeru czterysta dziewięćdziesiąt dwa. Naprawdę nie chciałbyś odczuć tego na własnej skórze.

-- A co tam jest? -- spytał Rambo.

Na ekranie większego robota zupełnie niepotrzebnie wyświetlił się niesmaczny obrazek tortur, chyba nawet niemożliwych do realizacji: metalowe macki brutalnie wciskały się w miejsca, w które nic nigdy nie powinno się wciskać.

-- Ach, to -- mruknął Rambo. -- Już pamiętam. Nikt nie chciałby doświadczyć numeru czterysta dziewięćdziesiąt dwa. -
- Podniósł głos. -- Więc lepiej słuchaj, co się do ciebie mówi!

Vic otworzył usta, by zakomunikować przyjacielom, że istota już zapewne wyzionęła ducha. W jego głowie uczucie ulgi walczyło o prymat z wielkim zawodem.

Zanim jednak zdołał cokolwiek z siebie wydusić, z wnętrza góry ciało wydobył się szorstki głos:

-- S-s-spróbuj tylko. Z-z-zobaczymy, c-co się stanie.

Vic upadł na plecy, wzniecając tuman kurzu. W panice odczołgał się do tyłu. Rambo głośno zapiszczał, a siostra Ratched ruszyła do ataku. Stała pomiędzy nimi a źródłem głosu. Jej monitor pulsował wściekłą czerwienią.

-- Kim jesteś? -- spytała. Cisza. -- Czego od nas chcesz? -- Nic. -
- Przygotuj się na kolejne porażenie. Za pięć. Cztery. Trzy. Dwa...

-- S-s-spróbuj mnie dźgnąć jeszcze r-r-raz, a w-wyrwę ci t-tę mackę i w-w-wcisnę w gardło.

Wewnątrz pielęgniarki przeskoczyła jakaś część. Zgrzytnęły koła zębate, po czym robot wydał z siebie pojedynczy niski sygnał.

-- To była skuteczna groźba. Nie mam gardła, lecz moje czujniki nie wykryły w twoim głosie nieszczerości. Wierzę ci. -- Odwróciła się do Vica i Rambo. -- Podoba mi się ten typ. Już go lubię.
-- Ukazała na ekranie słowa: TO CHŁOPCZYK!

Vic podrapał się w policzek.

-- Co to jest?

-- Nie wiem -- odparła siostra. -- Wygląda jednak na to, że ma uszkodzony ośrodek mowy. Jąkanie się może oznaczać wiele różnych rzeczy: od wirusa, który zaatakował system androida, aż do mechanicznego uszkodzenia części, zależnie od modelu maszyny. Jest to niewątpliwie defekt, ale urządzenie nie utraciło zdolności

formułowania grózb, których nie radzę ignorować. Zatrzymajmy gościa, dobrze?

-- Nie! -- zawołał Rambo. -- A co, jeśli weźmiemy go do domu, a on będzie udawał, że nas lubi, i zostanie z nami na długie lata, będziemy żyli w szczęściu i radości, ale właśnie o to mu chodzi, bo taki ma plan, żeby zaskarbić sobie naszą przyjaźń, a potem brutalnie nas zamordować, kiedy przełączymy się na noc w tryb czuwania? -- Wydał z siebie serię spanikowanych pisków. -- Takiej zdrady bym nie zniósł!

Vic spojrzał na ramię wystające spośród złomu. Dłoń powoli zacisnęła się w pięść, po czym rozluźniła.

-- Możemy go tu na razie zostawić. Odczytamy numer seryjny i spytamy taty, czego się spodziewać.

-- Robocie -- powiedziała siostra Ratched. -- Przedstaw się.

-- P-p-pierdol się.

Pielęgniarka pisnęła.

-- Nie rozpoznaję modelu. Proszę o ponowną identyfikację.

-- Z-z-z-zabiję cię.

Na ekranie pojawiło się wielkie różowe serce.

-- Jestem wystarczająco stara, by być twoją prekursorką. Nie flirtuj ze mną, jeśli nie jesteś pewien swych uczuć. -- Ponownie przeskanowała kopiec i rękę. -- Twoje źródło zasilania dynamicznie się wyczerpuje. Za chwilę nastąpi wyłączenie systemu. Jakie są twoje ostatnie słowa?

-- P-pomóż m-mi. W-w-wydostań m-m-mnie stąd...

Palce zacisnęły się i wyprostowały.

Z wnętrza góry części wydobyło się ostrzegawcze piknięcie. Dłoń opadła bez sił.

-- To smutne -- skwitowała siostra Ratched. -- Będę miło wspominać nasze wspólne chwile. Nigdy cię nie zapomnę. Victo-

rze, powinniśmy teraz rozebrać go na części i dobrze je wykorzystać.

-- Już nie żyje? -- spytał Vic.

-- Jego rdzeń się wyczerpał -- odparła pielęgniarka. -- Przestał więc funkcjonować. Do czasu ponownego naładowania będzie niegroźny. Jeśli nie mamy materiałów i możliwości, nic się nie zmieni. Pozostanie martwy.

Przez chwilę Vic zastanawiał się, czy nie zostawić androida na złomowisku. Zapomni o nim i skupi się na czymś innym. Tak będzie lepiej. Może nawet mu się to uda. Tylko musi się bardzo postarać.

-- Pomóżcie mi go wyciągnąć -- poprosił.



Wydostanie robota spod przygniatającego go ciężaru zajęło godzinę. Rambo w tym czasie na przemian cieszył się, że ma co sprzątać, i lamentował, że teraz to już na pewno wszyscy zginą straszną śmiercią.

Siostra Ratched krzątała się cicho. Skanowała androida, kiedy sukcesywnie odsłaniali kolejne jego części.

Miał ciało mężczyzny. Duże i silne. Leżał twarzą do ziemi na łożu z odciętych rąk, nóg i głów. Ubranie -- czarny prochowiec, gruby czerwony sweter i czarne spodnie -- było podarte. Jeden z rękawów płaszcza leżał luźno wzdłuż ciała. Robotowi brakowało lewej ręki. Drugi rękaw został oddarty. Po bokach głowy, w czarnych krótkich włosach wygolono dziwaczne wymyślne wzory. Na jednej stopie tkwił zakurzony bucior. Po drugiej stopie ani śladu.

Kikut wyglądał, jakby ta część kończyny została urwana. Rambo wydał triumfalny okrzyk, kiedy ją odnalazł -- z drugim butem. Wysoko unosząc zdobycz, zakręcił się w koło. Potem obracał but w wysięgnikach, aby wydobyć z niego stopę. Szczeknął roz-

złoszczony, gdy z wnętrza kończyny sypnęło na niego mnóstwem poskręcanych metalowych wiórów.

-- Ale drągał -- powiedziała siostra Ratched, kiedy uprzątnęli porozsypywane części. -- Nie wiedziałam, że istnieją równie wysokie androidy. -- Brzmiała tak, jakby okaz robił na niej niemałe wrażenie.

Zresztą nic dziwnego. Vic mierzył około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Leżący na ziemi mężczyzna sprawiał wrażenie zdecydowanie wyższego od chłopaka. Był też ciężki. Vic zawałał się, zanim obrócił go na plecy.

-- Pomóż mi.

Potarł dłonią materiał płaszcza. Nigdy wcześniej nie dotykał czegoś podobnego. Wzdrygnął się.

Siostra Ratched wysunęła macki, po czym owinęła nimi pierś i biodra androida. Zaczęła je wciągać, a Vic jednocześnie pchał ciało, napinając mięśnie.

Mężczyzna obrócił się w końcu i wylądował na plecach z głośnym tąpnięciem. Jego jedyne ramię opadło bezwładnie najpierw na tors, potem zsunęło się na ziemię.

Chłopak mrugał, przyglądając się maszynie. Walczył ze sobą, by nie odwrócić wzroku.

Oczy mężczyzny były otwarte i niewidzące. Szkliste. Poprzeciane błękitnymi żyłkami, które wyglądały jak zamrożone, nieruchome błyskawice. Tęczówki miały niesamowity kolor; Vic jeszcze dotąd takiego nie widział: były zielono-niebieskie. Prawe oko z domieszką szarości, a lewe z odrobiną brązu. Android miał ciało osoby starszej od chłopaka -- w okolicach trzydziestki. Skóra wokół oczu lekko się marszczyła, podobnie jak w kącikach ust. Na brodzie, spod rozdartej syntetycznej powłoki przebijał srebrzysty metal. Uchylone usta ukazywały śnieżnobiałe i równe zęby. Po-

liczki i zuchwę pokrywała szczecina kilkudniowego zarostu. Taki detal rzucał się w oczy. Ktoś włożył wiele pracy, by postać wyglądała dokładnie w ten sposób. Vicowi nie dawało spokoju pytanie, co się wydarzyło z tym androidem. Jak znalazł się tutaj, na złomowisku, tak daleko od wszelkich ośrodków cywilizacji.

Chłopak krążył dookoła ciała, zastanawiając się, co dalej zrobić. Zaczynał zdania i urywał w połowie:

-- Powinniśmy... Nie mam pojęcia, jak... A może spróbujmy...

W końcu zamilkł; do niczego nie doszedł. Nie był w stanie logicznie myśleć. Zrobił krok wstecz, potem naprzód. Kucnął u boku androida. Ten się nie poruszył.

Uważnie, trzęsącymi się palcami, Vic dotknął policzka leżącego. Skóra lekko ugięła się pod naciskiem jego dłoni. Szybko wycofał rękę, na wypadek gdyby mężczyzna tylko udawał nieprzytomność.

Skóra była... ludzka. Gąbczasta. Elastyczna. Robot wyglądał jak Vic. Jak ojciec. Nie dokładnie tak samo, oczywiście, ale miał ludzkie cechy wyrazistsze niż inne maszyny.

-- Co mu się stało? -- wymamrotał. -- Dlaczego się tu znalazł?

-- Został wycofany z użytku -- odparła siostra Ratched. Światło jej skanera ponownie przesuwało się po ciele, poczynając od stopy i kończąc na czubku głowy. -- Nie ma innej możliwości. Tak samo jak ja. I Rambo. Przestał być użyteczny albo do produkcji wprowadzono kolejną generację i zrobił się przestarzały. -- Jej głos nabrał dziwnego tonu: wciąż brzmiał monotennie, beznamiętnie, ale dało się w nim również wyczuć nutę smutku czy może złości. Vic nie potrafił jej rozszyfrować.

-- Nie pamiętam -- wtrącił się Rambo, trzymając kurczowo but ze stopą. -- Było ciemno. Czarno. A potem nastąpiła jasność, bo Vic mnie ożywił.

-- To starszy model -- oznajmiła pielęgniarka, kończąc analizę.
-- Co najmniej stuletni. -- Victorze, unieś mu koszulkę. Chcę coś sprawdzić.

Chłopak wykonał polecenie, choć dłonie nie przestawały mu się trząść. Pociągnął za materiał. Kciukami otarł się o nagą skórę. Ciepłą i miękką. Cofnął dłoń, po czym ponowił próbę -- tym razem uważał, by nie dotknąć ciała. Jego oczom ukazały się kolejne uszkodzenia. Wydawały się jednak stosunkowo niegroźne. Poza brakującą ręką i zniszczoną stopą robot był w zasadzie cały.

Po prawej stronie piersi widniała metalowa płytką, jak u ojca. Cyfry i litery starły się albo zostały starte, ale kilka dało się odczytać. Na początku "M", dalej "A", a później coś, co przypominało "L".

Siostra Ratched przeskanowała płytkę. Światło odbiło się od błyszczącego metalu. Na ekranie wyświetliły się znaki zapytania.

-- Nieznany model. Nieznane miejsce produkcji. Nieznana data produkcji. -- Chwila ciszy. -- To chyba MILF.

Victor nigdy nie słyszał o czymś takim.

-- Co to znaczy?

-- W języku Prastarych to Machine I'd Like to Fornicate, czyli po naszymu: maszyna, którą chciałabym przelecieć -- zakomunikowała rzeczowo. Vic otworzył usta ze zdumienia. -- Ha-ha -- powiedziała jednostajnie. -- Tylko żartowałam. Nie mam potrzeby przelatywać czegośkolwiek. Nie czuję pociągu seksualnego. Ot, żarcik. Znając jednak ludzki model piękna, mogę z całą pewnością stwierdzić, że to najpiękniejsza ludzka twarz, jaką znam. Dlaczego twoja twarz nie jest równie symetryczna?

-- Bardzo śmieszne -- burknął chłopak, przenosząc wzrok na androida. Jego kompanka się nie myliła. Robot był z pewnością... interesujący. Vic nie potrafił tego lepiej wyjaśnić. Miał zamęt

w głowie. Klepnął palcami miejsce tuż pod metalową płytką na piersi mężczyzny. Tak jak u ojca, otworzyła się klatka piersiowa.

Faktycznie, stary okaz. W komorze znajdowała się okrągła bateria, jakiej Vic nie widział od lat. Popękana, na krawędziach przerdzewiała.

-- Widzieliście gdzieś jego drugą rękę? -- spytał, przyglądając się częściom maszyny. Przycisnął palcem baterię. Była poluzowana, mogła w każdym momencie wypaść.

-- Nie -- odparł Rambo, stawiając wielki bucior na własnej powierzchni. -- Ale sporo tu innych ramion. Wybierzmy jakieś i weźmy ze sobą. -- Podniósł jedno z ziemi. -- To jest za wielkie. -- Wyrzucił i znalazł kolejne. -- To zbyt małe. A co, jeśli damy mu nogę w miejsce ręki? Moglibyśmy też urwać mu drugą rękę i tam też wstawić nogę! Ale szybko by biegał!

-- Ciekawa koncepcja -- przyznała siostra. -- Wtedy szybciej by cię dogonił i zjadł. Lubie, kiedy miewasz dobre pomysły.

-- O nie! -- zawołał Rambo. -- Tylko nie to! Zmieniłem zdanie! Nie chcę zostać zjedzony przez czworonożną maszynę zagłady! Hej! Patrzcie. To ramię byłoby dobre. -- Uniósł metalową rękę i nią pomachał.

Siostra Ratched przeskanowała kończynę.

-- Pasowałoby. To nie jego ręka, ale może uda się nią zastąpić starą. Będzie potrzebna naprawa, ale to nic trudnego. Pomogę. Minęło sześć tygodni, trzy dni i dwanaście godzin, odkąd ostatnio operowałam. Im dłużej nie operuję, tym większy ogarnia mnie smutek. Musimy też znaleźć dla niego nową stopę.

-- Biorę się do roboty! -- zaoferował Rambo i wrócił do przekopywania ciał.

Vic podrapał się w kark.

-- Myślisz, że uda nam się przywrócić go do życia?

-- Niewielka szansa, Victorze. Nie wiem, czy zdołamy go naprawić. Nie tracę jednak nadziei, bo chyba straciłam dla niego głowę. Albo mam go ochotę skrócić o głowę. Sama nie wiem.

Na jej ekranie pojawiły się słowa: BYCIE W ZWIĄZKU NIE JEST ŁATWE. Vic nic z tego nie rozumiał. To znaczy wiedział, o co jej chodzi, ale nigdy sam tego nie doświadczył.

-- Znalazłem stopę! -- zawołał Rambo, wracając.

Mechaniczna pielęgniarka uniosła androida do pozycji siedzącej, a Vic wsunął pod jego plecy duży płat blachy. Położyła go z powrotem, po czym uniosła mu nogi. Chłopak stęknął z wysiłku, wpychając resztę ciała na metalową płytę. Zanim zdążył się wyprostować, Ratched upuściła jedną z nóg androida. Ciężka metalowa kończyna spadła Victorowi na plecy. Gwałtownie wypuścił powietrze, uginając się pod naporem. Dłoń, na której się podpierał, poślizgnęła się i przejechała wzdłuż krawędzi blachy; ostry brzeg rozciął skórę. Ból był nagły i niezwykle silny. Vic zrzucił z siebie nogę i spuścił wzrok na własną rękę.

W niewielkim rozcięciu gromadziła się krew. Patrzył, jak czerwony strumyczek zygzakiem spływa po skórze. Strużka dotarła w końcu do zgięcia w łokciu. Stamtąd na ziemię spadła pojedyncza kropla, rozpryskując się w pył.

Syreny wszystkich Prastarych naraz zawyły ogłuszająco. Vic podskoczył jak oparzony. Dudniący alarm rozchodził się echem po całym złomowisku, wprawiając góry żelastwa w drganie. Rambo jęknął i popędził schować się za nogami chłopaka. Nie wypuścił ze szczypiec znalezionej ramienia i nie zrzucił z siebie buta.

-- Co jest, do cholery? -- szepnął Vic; oczy zrobiły mu się wielkie ze strachu. Spojrzał na siostrę Ratched. -- Co się stało? Wiedzą, że tu jesteśmy?

-- Nie. Nie poruszyli się. Najbliższy jest teraz niecały kilometr stąd, ale nie nadciąga w naszym kierunku. Żaden z nich tu nie jedzie. Wszyscy nagle... stanęli.

-- Dlaczego?

-- Nie wiem. Uruchamiam Program Empatyczny. Ojej. Zrobiłeś sobie kuku. Chodź, podmucham. Podaj mi dłoń -- poprosiła. Posłusznie wyciągnął ku niej rękę. Krew przestawała płynąć z rany. Jedna z macek pielęgniarki spryskała ją leczniczą mgiełką. Vic skrzywił się i zacisnął zęby. -- No dobrze. Już prawie po wszystkim. Grzeczny chłopiec. Taki dzielny. -- Mgiełkę zastąpiła woda, którą siostra zmyła ze skóry resztkę krwi. Różowa mieszanka spłynęła kaskadą na ziemię. -- Nie trzeba będzie szyć, bohaterze. -- Pojawiła się kolejna macka, która sprawnie owinęła dłoń bandażem. -- Gotowe. Świetnie się spisałeś. Jestem z ciebie bardzo dumna. Proszę, poczęstuj się lizakiem. -- Pod ekranem odsunęła się klapka, ukazując niewielką wnękę w obudowie. -- Błąd. Dystrybutor lizaków jest pusty. Uzupełnij lizaki. -- Klapka zasunęła się z powrotem, gdy na monitorze pojawiły się wielkie czerwone usta, a z głośników dobiegł przeciągły odgłos całusa. -- No. Dosyć tego. Wyłączam Program Empatyczny. Jeśli w ranę wda się zakażenie, będę zmuszona odciąć ci rękę w nadgarstku. Nie mogę się doczekać.

Vic zamknął i otworzył dłoń. Ból już zaczynał ustępować.

-- Chyba się obejdzie. Dobra, zabierzmy go do domu.

-- A co z Giovannim? -- spytał Rambo.

Chłopak spojrzał z góry na odkurzacza.

-- Na razie niech to pozostanie naszą tajemnicą, zgoda? Dopóki nie dowiemy się dokładnie, z kim mamy do czynienia.

-- Białe kłamstwo? -- Rambo znów brzmiał na zaniepokojonego.

Vic pokręcił głową.

-- Powiemy tacie, tylko za jakiś czas. -- Chciał udowodnić ojcu, że potrafi radzić sobie w nieprzewidzianych okolicznościach. -
- Może to nic takiego. Nie chcę go niepotrzebnie martwić.

-- Och -- westchnął Rambo. -- A to nie kłamstwo?

-- Nie. To bardziej jak... -- Zamilkł, szukając odpowiednich słów. -- Wstępne rozpoznanie, zanim wyruszy się w podróż.

-- To kłamstwo -- wtrąciła się siostra Ratched. -- Vic każe nam okłamać Giovanniego.

Chłopak westchnął ciężko i uniósł oczy do nieba.

-- Po prostu ruszmy się stąd, zanim Prastarzy się przebudzą.

ROZDZIAŁ 4

Dotarli do laboratorium Vica bez przygód. Ojciec zamknął się w naziemnej części domu. Pracował.

-- Włącz światła -- mruknął Vic, ocierając pot zalewający mu oczy.

Zwisająca z sufitu pękata żarówka rozjarzyła się natychmiast.

Pracownia Victora nie była równie duża i dziwaczna jak ta oj-cowska. Giovanni uwielbiał tworzyć. Vic wolał majsterkować. Nieopodal grubego pnia, który wypełniał centrum pokoju, znajdował się wielki metalowy stół -- ojciec podarował go chłopakowi na szesnaste urodziny, gdy ukończyli budowę pomieszczenia. Ponad nim na długich cienkich przewodach z sufitu zwisały przeróżne narzędzia: dwie lutownice -- jedna mniejsza i jedna większa - - cztery szkła powiększające o kilku mocach, szlifierka, nożyce do cięcia blachy, szczypce i kombinerki oraz wiertło magnetyczne. Do jednej z krawędzi blatu przymocowano mechaniczną prasę. Obok stołu pod ścianą znalazły się: piła taśmowa, kowadło, żłobiarka. Na lewo od nich przez rząd okien rozciągał się widok na resztę zabudowań. Ściana po prawej była cała obwieszona narzędziami. Tu rezydowały młotki wszelkich kształtów i rozmiarów, szczypce, wiertła, końcówki do śrubokrętów oraz palnik, który strzelał iskrami. Do pracy w drewnie Vic miał dziesiątki dłut, pilników, tarników, noży i pił. Na stole poniżej tego wszystkiego stały tokarka i frezarka.

Ze wszystkich tych urządzeń i narzędzi Vicowi zdarzało się korzystać. Uczył się, obserwując ojca, który cierpliwie tłumaczył mu, do czego służą poszczególne sprzęty. Edukował go od małego,

twierdząc, że dzieci mają niesamowitą zdolność przyswajania informacji -- tak przynajmniej kiedyś słyszał. Giovanni był zachwycony, kiedy odkrył, że jego syn z ogromnym zapałem podchodzi do nauki.

Rambo podjechał do okna. Zaciągnął żaluzje, podczas gdy Vic i siostra Ratched kładli ciało androida na większym stole. Kiedy skończyli, chłopak odszedł na krok, przyciskając dłonie do pleców w okolicy krzyża. Jęknął i skrzywił się mocno.

-- Ale ciężki.

-- To prawda -- przyznała pielęgniarka. -- Waży ponad sto trzydzieści kilo.

-- A ile ja ważę? -- spytał Rambo.

-- Dwa kilo -- powiedziała siostra.

-- Och. To dużo?

-- Mogłabym tobą rzucić na sto metrów, więc idealnie.

Rambo wjechał pod stół, mamrocząc, że wcale nie chce, by nim rzucano. Vic poczuł szczypcę ciągnące go za nogawkę. Nie dla uwagi. Ten gest uspokajał mały odkurzacz. Co dziwne, podobnie działał na samego chłopaka.

-- Co teraz? -- spytała Ratched. Vic zamknął oczy, usiłując się skupić. -- Victorze?

-- Najpierw zajmijmy się baterią -- rzekł w końcu, uniósł powieki i się obrócił. -- Widziałaś taką gdzieś w domu? Wiesz, co tata trzyma w swoim laboratorium, i znasz parter lepiej niż ktokolwiek inny.

Obserwował, jak duży robot unosi koszulkę androida i otwiera mu klatkę piersiową. Światło skanera ponownie prześlizgnęło się po baterii, a na ekranie pojawił się jej schemat. Zaczął się powoli obracać.

-- Przeszukuję stany magazynowe. Szukam. Szukam. -- Z wnętrza pielęgniarki wydobył się niski dźwięk. -- Figa z makiem. W domu nie ma odpowiedniego zamiennika.

W sumie niedziwne. Leżące na blacie ciało było stare. Ojciec lubował się w antykach, ale ten mechanizm wydawał się starszy nawet od jego najcenniejszych eksponatów.

-- A na złomowisku?

-- Nie. Nie widziałam tam żadnej części, którą dałoby się zastąpić tę baterię.

Vic oparł się o stół.

-- Okej. Dobra, pomyślmy. -- Zaczynał się irytować. Spróbował zdusić w sobie to uczucie. -- A może zainstalujemy alternatywne źródło energii?

-- Rambo byłby idealny -- stwierdziła siostra Ratched. -- Jeśli nie masz nic przeciwko, by go poświęcić, mógłby posłużyć jako rozwiązanie tymczasowe.

Niewielki robot wynurzył się spod stołu.

-- Chcecie mnie poświęcić?

-- Tak -- potwierdziła natychmiast pielęgniarka. -- Właśnie tak.

-- Nie zgadzam się!

-- Zanotowałam twój sprzeciw. Zostanie rozpatrzony. Rozpatrywanie. Rozpatrywanie. Rozpatrywanie zakończone.

Na ekranie pojawił się napis: SPRZECIW ODRZUCONY. PRZYGOTUJ SIĘ NA POŚWIĘCENIE.

-- Nic ci nie zrobimy -- uspokoił go Vic.

-- Dzisiaj -- dodała ponuro siostra. -- Ten android jest prawie tak stary jak ja, ale wymaga o wiele więcej energii. A bateria całkiem mu skorodowała. Odradzam wszelkie próby ponownego ładowania. Najprawdopodobniej eksploduje, a twoje ciało przeszyje odłamek, co szybko doprowadzi do zgonu. Przekonaj się na wła-

snej skórze, jeśli mi nie wierzysz. Będę cię obserwowala z bezpiecznej odległości.

-- Musi być jakieś rozwiązanie -- wycedził Vic. Robił się zły. -
- Przecież nie możemy go tak... jeszcze niedawno żył. Sami widzieliście!

-- Owszem. Ale zadajesz nieprawidłowe pytania.

-- O co w takim razie pytać?

-- Czy w ogóle powinniśmy przywracać go do życia.

Młody majsterkowicz zmarszczył brwi.

-- Jak to?

-- Wycofano go z użytku z jakiegoś powodu. Albo był uszkodzony, albo miał wadę, albo został zniszczony i nie opłacało się go naprawiać.

-- To nie znaczy, że nie warto spróbować. -- Chłopak spojrział na twarz androida, po czym odwrócił wzrok. -- Wszyscy zasługują na drugą szansę.

Ratched zamilkła na dłuższą chwilę. Potem odezwała się znowu:

-- Logika snów. Tęsknota. Empatia. Tymi słowami można opisać twoje zachowanie. A szkoda. Lepiej, gdybyś był maszyną. Ludzkie emocje są głupie. -- Monitor błysnął na niebiesko, po czym pociemniał. -- Jednocześnie akceptuję twoje istnienie. Sprawia mi przyjemność. Jeżeli jednak znajdziemy odpowiednią część i go naprawimy, a on spróbuje zrobić ci krzywdę... Co wtedy? Pozwolisz mi go unicestwić?

-- Ooch -- westchnął przeciągle Rambo, nie wychylając się spod stołu. -- Jak do tego dojdzie, chcę pomóc. -- Zawahał się chwilę. -- Ale tylko w przypadku gdy będzie już martwy, bo inaczej może na mnie nadepnąć i mnie zgnieść. I tak jestem dzielny, prawda?

-- Muszę pomyśleć -- powiedział w końcu Vic.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Chłopaka ogarnęła panika.

-- Victorze? -- zawołał ojciec. -- Jesteś tam?

-- O nie -- szepnął Rambo. -- Wszystko zobaczy. Co robić? Co robić!?

-- Grajcie na czas -- syknął młodzieniec.

Siostra Ratched prawie przejechała mu po stopach, kierując się do wejścia. Vic złapał wielką ciężką plandekę, która leżała zwinięta pod blatem.

-- Kto tam? -- zawołała siostra.

-- Giovanni -- odparł z rozbawieniem ojciec. -- Dlaczego pytasz?

-- Tylko się upewniam -- odparła, podczas gdy Vic szybko przykrywał androida kapą. -- Przewrotny zawsze ubezpieczony.

-- Jest tam z tobą Victor?

-- Owszem. Tyle że... chwilowo niedysponowany.

-- A. Okej... Dlaczego? Coś się stało?

Rambo zaczął szybko i rytmicznie szarpać za róg plandeki, dając sygnały lampkami.

-- Masturbuje się -- wypaliła medyczna maszyna. Vic prawie się zakrztusił. -- Właśnie tak -- ciągnęła. -- Choć twierdzi, że jest aseksualny, to nic dziwnego, że eksploruje naturalne ciągoty, które pojawiają się w ludzkim mózgu. Ja z kolei pełnię tu funkcję bezstronnej obserwatorki. Upewniam się, że nie popełnia błędów. Victorze, rozluźnij trochę uchwyt. Jak nie będziesz uważał, odpadnie ci penis. -- Odwróciła się w stronę pokoju, wyświetlając na ekranie uniesione kciuki.

-- N-nie możesz... Ja wcale... -- zająknął się chłopak.

-- To nic wstydliwego -- uspokoiła go pielęgniarka. -- Wszyscy to robią. Cóż. To nie do końca prawda. Ja nie robię. Rambo też nie. Giovanni, czy ty...?

-- Wrócę później -- rzucił szybko ojciec. -- Nie przeszkadzaj sobie, chłopcze.

-- Widzisz? Wszystko w porządku. Masturbacja jest zdrowa - - oznajmiła maszyna. -- Pomaga zmniejszyć ryzyko raka prostaty. Badania potwierdziły, że mężczyźni, u których ejakulacja następuje dwadzieścia razy w miesiącu, rzadziej zapadają na... Dobrze, już poszedł. Uff. Było blisko. Nie musisz mi dziękować.

Obrazek odbytu i pulsujących strzałek skierowanych ku jego środkowi zniknął z monitora.

Vic oblał się rumieńcem. Zacisnął pięści.

-- Po co wygadujesz takie bzdury?

Ratched wydała sygnał wyrażający zdziwienie.

-- To o masturbacji? Ponieważ jestem pielęgniarką i moje oprogramowanie daje mi szeroką wiedzę na każdy temat, jak na przykład masturbacja i gangrena. Poza tym to nie bzdury.

-- Nie musiałaś mu tego mówić -- syknął.

Kiedy miał piętnaście lat, po raz pierwszy wpadła mu w ręce książka o seksie. Nie był pewien, o czym właściwie czyta. Wiedział, czym jest prokreacja, ale w tej konkretnej scenie pisano o dwóch mężczyznach, a ich zachowaniem kierowała wyłącznie chęć doznania przyjemności. Spytał więc siostrę Ratched. Z początku chciał pójść z tym do ojca, ale na samą myśl o takiej rozmowie zacisnął mu się żołądek. Pielęgniarka dała mu długi i skomplikowany wykład, okraszony fotografiami i filmami, które potem śniły się chłopcu przez wiele miesięcy. Gdy wreszcie skończyła, Vic był spociny, skołowany i -- zdaniem siostry Ratched -- z pewnością nie doświadczał pobudzenia seksualnego. Seks zdawał się zbyt skom-

plikowany. Zupełnie niepotrzebny. Cała ta lepkość i wilgoć zupełnie nie przywodziły Vicowi na myśl niczego przyjemnego.

Sprawa nabrała sensu, dopiero kiedy pielęgniarka wyjawiała, że seksualność to szerokie spektrum i nie dla każdego oznacza to samo. Powiedziała, że ludzie bywają aseksualni, czyli nie odczuwają popędu w ten sam sposób co inni. Zresztą niezależnie od odczuć wszystko to jest naturalne i jak najbardziej w granicach normy.

-- Czyli nie mam usterki? -- spytał młody Vic nerwowo, w głowie powtarzając sobie słowo "aseksualny".

-- Nie masz usterki -- uspokoiła go pielęgniarka. -- Ja również nie znam popędu seksualnego, a jestem idealna. To samo odnosi się również do ciebie.

Nawet wyposażony w nową wiedzę, Vic nie lubił rozmawiać o seksie i samozaspokajaniu. Gdyby ktoś spytał, chłopak pewnie nie potrafiłby powiedzieć dlaczego. Nie ulegało jednak wątpliwości, że temat uznawał za drażliwy. Mówiąc ojcu o tym, że jego syn się masturbuje, siostra Ratched przekroczyła cienką linię, choć nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że taka istnieje.

Musiała wyczuć, że popełniła nietakt.

-- Przyjmij moje przeprosiny, Victorze. Nie chciałam cię zawstydzić. Proszę. Poczęstuj się lizakiem. Błąd. Dystrybutor lizaków jest pusty. Uzupełnij lizaki.

-- Okej. Tylko nie rób tego więcej.

-- Masz moje słowo. Skoro popsuję atmosferę, pozwólcie, że wam to wynagrodzę. Chcielibyście usłyszeć dowcip?

-- Tak! -- zawołał Rambo. -- Dowcip, dowcip, dowcip!

-- Wspaniale. Oto dowcip. Dlaczego robomuzyk wymordował swoich słuchaczy?

Rambo zakręcił się wkoło.

-- Nie wiem. Dlaczego?

-- Zrobił to, ponieważ grali mu na nerwach. Ha-ha. Rozumiecie? Bo to robomuzyk powinien grać, a zamiast tego jemu grano na nerwach.

Rambo powoli opuścił ramiona i zwolnił.

-- Nie rozumiem.

-- Nie szkodzi -- powiedziała siostra. -- To bardzo wyrafinowany humor. Nie dla każdego. Spróbuję jeszcze raz. Przychodzi robot do mechanika, a mechanik też robot...

-- Stop -- przerwał ostro Vic. -- Natychmiast.

Wykonała polecenie.

Chłopak zamknął oczy i spróbował się opanować. Bolała go głowa. Nie był wściekły, w każdym razie nie na poważnie, ale nawet gdyby był, przecież nie mógł wyżyć się na przyjaciółach. Stłumił w sobie emocje. Wziął wdech, po czym powoli wypuścił powietrze. Serce z czasem przestało tłuc mu się w piersi. Pot wysechł na czole.

-- Przepraszam -- wymamrotał, otwierając oczy. -- Nie powinienem na ciebie krzyczeć.

-- Nie szkodzi -- stwierdziła pielęgniarka. -- Nie przejmuj się.

Pokręcił głową.

-- Właśnie że szkodzi. Nie zrobiłaś nic złego. Dziękuję, że próbowałaś pomóc.

-- Nie ma za co, Victorze.

-- Kłócimy się? -- spytał Rambo z niepokojem.

-- Nie -- odparł Vic. -- Już w porządku.

Odkurzacznik mignął lampkami z wyraźną ulgą.

-- Dobrze. Nie lubię kłótni.

Siostra Ratched potoczyła się w kierunku stołu, gdzie leżał android. Plandeka, choć duża, nie zdołała ukryć faktu, że pod nią

znajduje się czyjeś ciało.

-- Nie powinniśmy tu dzisiaj zostawać. Nie chcemy wzbudzać podejrzliwości Gio.

Vic skinął głową.

-- Wrócimy jutro. Zaczniemy pracę z samego rana.



Zastali ojca na parterze. Siedział w fotelu z rękami założonymi na brzuchu. Przez okno wpadały ostatnie promienie zachodzącego słońca. Giovanni uśmiechnął się, kiedy Rambo podjechał do niego i wznosił szczypcę, prosząc, aby wziąć go na ręce. Pochylił się i ułożył robota na kolanach. Odkurzaczyk umościł się wygodnie i podkułił ramiona.

-- Dzień pełen wrażeń, co?

-- Tak -- przyznała siostra Ratched. -- Niespodziewanie pełen.

Vic spuścił wzrok.

-- Wcale... nie robiłem tego, o czym mówiła.

-- To prawda. Nie robił -- potwierdziła pielęgniarka. -- To był nieudany żart. Przepraszam.

Ojciec pokiwał głową.

-- To nic strasznego, nawet gdybyś to robił. We własnej przestrzeni masz pełne prawo...

-- Tato!

Wzruszył ramionami.

-- Tak tylko tłumaczę. Nie jesteś już dzieckiem. Aseksualność zaś nie musi oznaczać, że zupełnie nie będziesz interesował się...

Vic jęknął.

-- Możemy o tym nie rozmawiać? Błagam.

-- Dobrze. Więcej tego tematu nie poruszę. Wiem, że trochę cię krępuje.

-- Victora krępuje wiele rzeczy -- zauważyła siostra. -- Fascynujące. Jest jedyny w swoim rodzaju.

-- To prawda -- przyznał Giovanni w zamyśleniu. -- To ktoś naprawdę wyjątkowy. -- Rozciągnął usta w uśmiechu, spoglądając czule na syna. Uśmiech zniknął, jak tylko mężczyzna zauważył bandaż na dłoni chłopaka. -- A to co znowu?

Młodzieniec spojrział w dół. Zapomniał o tym. Nagle w głowie została mu pustka. Nie potrafił nic na poczekaniu wymyślić.

-- Mały wypadek w laboratorium -- przyszła mu z pomocą pielęgniarka. -- Naprawdę niewielki. Zaciął się nożem. Udzieliłam mu pierwszej pomocy. Nie potrzebował szwów. Nie będzie nawet blizny.

Ojciec przez długą chwilę wpatrywał się w syna.

-- To prawda?

-- Tak -- bąknął Victor. -- Ręka mi się omsknęła.

-- Byliście dzisiaj na złomowisku?

Vic podrapał się w kark.

-- Nie... -- Skrzywił się. -- Tylko na chwilę. I zachowywaliśmy się ostrożnie.

-- Znaleźliście coś?

Choć sprawiało mu to ból, Victor skłamał. Zrobił to, bo nie był pewien, jak ojciec zareagowałby na nowiny. Nie wiedział, co tak naprawdę znaleźli. I nie miał pojęcia, jak inaczej mógłby z tej sytuacji wybrnąć.

-- Nic specjalnego.

Giovanni skinął głową z ulgą.

-- Najważniejsze, że nic się wam nie stało.

-- Nic a nic.

-- Dobrze. Dzisiaj chyba Rambo wybiera film.

-- *Panowie w cylindrach!* -- zawołał odkurzaczyk, żywo błyskając lampkami.

Ojciec się roześmiał.

-- Znowu? Jesteś pewien? Mamy wiele innych...

Odkurzaczyk zaczął podskakiwać podekscytowany.

-- *Panowie w cylindrach, Panowie w cylindrach, Panowie w cylindrach!*

-- A więc *Panowie w cylindrach.* -- Mężczyzna pogłaskał Rambo po obudowie. -- Siostrzyczko, włączysz?

Vic usiadł z nimi.

Fotel chłopaka nie był równie duży jak ojca. Siedzisko miało wytarte i płaskie. Vic nie mieścił się w nim tak łatwo, jak jeszcze kilka lat temu, ale niezależnie od tego, ich wieczorny rytuał dał mu natychmiastowe poczucie komfortu. Myśli chłopaka wciąż zaprzętały tajemniczy android spoczywający na piętrecie, mimo to Vic szybko się uspokoił, gdy rozbrzmiał ekran starego telewizora.

Kilka chwil później Jerry Travers był już w Londynie, gotów zagrać w produkcji Horace'a Hardwicka. Zaczął stepować w pokoju hotelowym, budząc tym przepiękną Dale Tremont, która z hukiem otworzyła drzwi, by się dowiedzieć, kto tak hałasuje. Dokładnie w tym momencie Jerry zakochał się w niej bez pamięci.

Rambo westchnął rozmarzony.

-- To takie piękne -- szepnął, wpatrując się w czarno-biały film.

-- Prawda? -- przyznał ojciec po cichu.

-- Czy to normalne? -- spytała nagle siostra Ratched. -- W tych starych produkcjach nigdy nie ma robotów. To jawna dyskryminacja.

-- W tamtych czasach nie było maszyn podobnych do nas -- wytłumaczył Giovanni. -- Ludzkość... Cóż. Jeszcze się tak nie rozwinęła. -- Uniósł wzrok, popatrzył w przestrzeń. -- Z początku nie

tworzono nas na ich podobieństwo. Pierwsze maszyny były wielkie i potrzebowały gigantycznych ilości energii. Ludzkość dopiero raczkowała, ale uczyła się bardzo szybko. Zaczęto budować pociągi. I samoloty. Potem w gwiazdy wzbily się rakiety.

-- I co dalej? -- spytał Rambo, choć doskonale wiedział. Wszyscy znali tę historię. Ojciec wszystkie swoje opowieści powtarzał im wielokrotnie.

-- Ludzkość żyła zagubiona -- ciągnął. -- Samotna. Ludzie nie zdawali sobie nawet sprawy z tego, jak bardzo. Zaczęli więc budować. Maszyny z czasem upodabniały się do nich samych. Nawet otoczeni milionami przedstawicieli własnej rasy szukali czegoś więcej. Byli bogami, a w każdym razie mieli boską moc tworzenia. Pierwszy powstał Hubble. Potem Discovery. Curiosity. Explorer, Endeavor i Spirit. Ludzie nadawali im imiona i wysyłali w kosmos w poszukiwaniu czegoś, co wypełni pustkę w ich sercach.

-- Dlaczego? -- spytała siostra. -- To nielogiczne. Czemu nie rozmawiali ze sobą, skoro czuli się tacy samotni?

-- Ależ rozmawiali. Przynajmniej próbowali. Przepelniała ich jednak nie tylko miłość, ale też nienawiść. I bali się tego, czego nie znali. Budowali coraz więcej, lecz ich apetyt ciągle rósł. A im dalej się zapuszczali w gwiazdy, tym bardziej się od siebie oddalali. W końcu zaczęli się nawzajem oskarżać o zdradę. Zatruli ziemię pod własnymi stopami. Był jeszcze czas, by zawrócić z tej ścieżki, ale nie zrobili tego. Ich gniew rósł, aż w końcu wybuchł. Większość ludzi nie przeżyła. My przetrwaliśmy, bo nasze ciała nie są organiczne. Nie tak delikatne jak ludzkie. Podobnie jak nasze umysły. - Pokręcił głową. -- Mimo wszystko wciąż ich kocham. -- Spojrzał na syna. -- Mimo wszelkich wad, to przecież oni nas stworzyli. Nadali nam imiona. Obdarzali swoje dzieła miłością.

-- Dlaczego więc znamy tylko Vica? -- dociekał Rambo.

-- Bo mieliśmy wielkie szczęście. -- Ojciec poklepał swojego pupila po obudowie.

-- Nie wybuchnie nas?

-- Nie. Nie sędzę. -- Giovanni się uśmiechnął. -- W każdym razie niecelowo. Spójrz, Rambo. Są w niebie.

Wszyscy zwrócili wzrok na ekran. W telewizorze Jerry Travers i Dale Tremont tańczyli przytuleni, policzek przy policzku.



Vic wyszedł, zanim skończył się film. Oznajmił, że jest głodny i zmęczony. Ojciec złapał go za rękę i ucałował dłoń.

-- Niewiele dzisiaj mówiłeś.

-- Myślałem.

-- O czym?

Chłopak wzruszył ramionami.

-- Sam nie wiem.

-- Jestem tu dla ciebie. Możesz ze mną porozmawiać. Zawsze.

-- Wiem. -- Młodzieniec uwolnił rękę. -- Dobranoc.

Przeszedł przez podwórze do windy. Jadąc w górę, patrzył przez kopułę liści w gwiazdy. Na horyzoncie gromadziły się gęste chmury.

Zamierzał pójść do kuchni i zjeść kolację. Potem się położyć. Był wyczerpany. Nogi same go jednak poniosły do pracowni. Stał przed jej drzwiami i położył dłoń na klamce.

Nasłuchiwał. Cisza. Otworzył drzwi i włączył światło.

Plandeka w dalszym ciągu pokrywała ciało. Nie poruszyło się podczas jego nieobecności.

Zamknął drzwi za sobą i oparł się o nie plecami. Potylicą stuknął w drewnianą powierzchnię.

-- Hej -- powiedział. Brak odpowiedzi. -- Jak masz na imię? -
- Nic. -- Co ci się przydarzyło? -- Cisza.

Poczuł smutek, choć nie wiedział dlaczego. Przecież tak naprawdę nie chciał, by robot -- mężczyzna -- odpowiedział. Nie w głębi duszy. A jednak był tu i rozmawiał z martwą maszyną, jakby oczekiwał właśnie tego.

Palce mu zadrżały, kiedy dotknął policzka androida. Obserwował skórę poddającą się pod jego naciskiem i chłonął uczucie, jakie go ogarniało, gdy zarost tarł o opuszek palca. Uszczypnął nos mężczyzny, poruszał nim na boki. Potem przyłożył dłoń do czoła. Do kości policzkowych. Przesunął nią delikatnie po żuchwie.

Pochylił się nad ciałem; trzymał twarz na kilka centymetrów od gładkiej powierzchni i przez dłuższą chwilę z uwagą badał wzrokiem rozcięcie w syntetycznej skórze.

Ojciec mówił mu, co to przestrzeń osobista. Teraz jednak nikt nie patrzył. Vic pociągnął androida za włosy, po czym przejechał palcami po wygolonych zawijaszach na bokach jego głowy. Przycisnął dłoń do uszu, uniósł delikatnie płatki.

-- Niesamowite -- mruknął. -- Jesteś taki dziwny. Śniesz? Czy czujesz coś teraz? Bateria ci padła, ale czy naprawdę cię tu nie ma?

Robot patrzył niewidzącymi oczyma w sufit. Chłopak dotknął jego gałki ocznej. Była zrobiona z jakiegoś rodzaju szkła. A jednak wypełniały ją kolory. Istniało na to jakieś słowo -- na ten barwny mizmasz tęczęwek. Po chwili sobie przypomniał.

Heterochromia.

-- Naprawię cię -- obiecał. -- Jeszcze nie wiem jak, ale cię naprawię. -- Przykrył ciało plandeką i ruszył do drzwi. Zatrzymał się na chwilę z ręką na wyłączniku światła. Nie obracając się, rzucił: - Dobranoc.

ROZDZIAŁ 5

Vic zaczął od stopy.

Część zamienna, którą Rambo znalazł na złomowisku, była trochę mniejsza od oryginału, ale pasowała. Staw udało się zamontować tak, by kostka spełniała swoją funkcję. Nie zajęło to wiele czasu. Vic trzymał stopę w okrytych rękawicami dłoniach, podczas gdy siostra Ratched wysunęła w jej kierunku jedną z macek, tę o spiczastej końcówce.

-- Gotów? -- spytała.

-- Gotów.

-- Przystępuję do działania -- oznajmiła i przycisnęła szpic macki do zewnętrznej strony stawu skokowego androida. Na ekranie pojawił się napis: CZAS NA LASER! -- Trzy. Dwa. Jeden. Ognia!

Chłopak zmrużył oczy, które -- nawet chronione przyciemniającymi goglami -- oślepił nagle promień światła wystrzelony przez siostrę Ratched. Iskry rozprysły się wszędzie dookoła, opadały na podłogę i gasły. Przyspawanie pierwszej części stawu zajęło tylko chwilę. Blask zniknął. Swąd palonego metalu wypełnił pracownię.

-- Doskonałość. Jestem mistrzynią.

Kiedy skończyli, było wczesne popołudnie. Vic odstąpił od stołu i pozwolił, by siostra Ratched spokojnie sprawdziła wyniki swojej pracy. Popiskiwała cicho, badając stopę.

-- I co? -- spytał chłopak, kiedy i ona odsunęła się od pacjenta.

-- Będzie działać. Albo nie. Ale wtedy wyszłoby na to, że zmarowaliśmy pół dnia.

Vic skarcił ją wzrokiem.

-- Hura! -- wykrzyknął Rambo.



Późnym popołudniem piątego dnia po odnalezieniu androida udało im się zamocować ramię. Siostra Ratched rozpoczęła testy, by się upewnić, że wszystko w porządku z okablowaniem. Vic przyglądał się, jak pielęgniarka przepuszcza przez rękę prąd o niskim napięciu, wprawiając ciało w drganie.

-- Wszystko okej? -- spytał.

-- Tak -- odparła. -- Jak najbardziej. A wręcz doskonale.

Wieczorami spotykali się jak zawsze. Czasami słuchali muzyki.

Niekiedy zaś oglądali filmy, choć kolekcję mieli niewielką i wszystkie znali na pamięć. Czytali. Słuchali opowieści ojca o wielkich maszynach, które wierciły dziury w górskich zboczach i pod rozległymi miastami. A także o innych, zwanych sterowcami - - majestatycznie przemierzały przestworza, ale w pewnym momencie bezpowrotnie wyginęły.

Vic wracał do sypialni na noc wyczerpany, myślami jednak nigdy nie odbiegał zbyt daleko od własnego laboratorium.



Po uporaniu się ze stopą i ramieniem zabrali się do naprawy reszty ciała. Dziury w syntetycznej skórze na razie zostawili. Nie mieli jak zregenerować powłoki, choć Vic miał już kilka pomysłów, czym pokryją rany i zabezpieczą delikatne mechanizmy. Chłopak stracił rezon, dopiero kiedy dotarli do bioder mężczyzny.

-- Dlaczego się zatrzymałeś? -- spytała jego mechaniczna asystentka. -- Zdejmij mu spodnie.

Chłopak przygryzł wargę.

-- Na pewno musimy...?

-- Tak -- powiedziała. -- Trzeba zdiagnozować całe ciało. Skąd to wahanie? Wyczuwam u ciebie przyspieszone bicie serca. Ru-

mienisz się. Chcesz zrobić przerwę?

Pokręcił głową.

-- Chodzi o to, że... -- Bezskutecznie szukał słów.

-- Aaa -- odezwał się Rambo. -- Boisz się jego penisa, prawda?

Vic głośno przełknął ślinę.

-- Nie wygłupiaj się -- prychnęła siostra. -- On pewnie nie ma genitaliów. Nie wygląda jak android stworzony do pracy seksualnej. Poza tym roboty nie wydalają ani moczu, ani kału. Na przykład Gio nie ma penisa ani odbytu.

Spiorunował przyjaciółkę wzrokiem.

-- Nie chciałem tego wiedzieć.

-- Dlaczego? To prawda. Nie ma ich. Tutaj tylko ty masz genitalia. Nie musisz się ich bać. Ani też ich braku. Jest, jak jest.

-- A czy ja mam odbytu? -- spytał Rambo z ciekawością.

-- Nie -- odparła pielęgniarzka. -- Ale straszna z ciebie dupa wołowa, więc nadrabiasz.

Rambo pisnął zdezorientowany.

-- Myślałem, że jestem odkurzaczem.

-- Bo jesteś. Dupnym odkurzaczem.

-- Ha, coś takiego -- mruknął mały robot. -- Lubię się dowiadywać o sobie nowych rzeczy.

Vic spojrzał na androida. Zdjęli z niego koszulę kilka dni wcześniej. Klatkę piersiową opinała gładka jędrna skóra. Podobnie jak u Giovanniego nie było sutków ani pępka. Spodnie pozostawały zsunięte na biodra. Vic odwrócił wzrok. Czuł się dziwnie skrępowany, jak jeszcze nigdy w życiu. Nie potrafił stwierdzić dlaczego. Targały nim sprzeczne uczucia, a w głowie kłębiły się nieznane dotąd myśli.

-- Ja to zrobię -- stwierdziła siostra Ratched. -- Jeśli wolisz wyjść z pracowni, wyjdź. Mogę kontynuować pracę sama. Dam ci

znać, jak skończę.

Victor z trudem przełknął ślinę.

-- Nie. Zostanę.

Ze zdejmowaniem spodni wcale nie szło tak łatwo. Siostra Ratched chciała je przeciąć, ale nie mieli nic innego, w co mogliby ubrać mężczyznę, kiedy -- jeśli -- zdołaliby go obudzić. W końcu udało się je ściągnąć. Vic nie patrzył na ciało, skupił się na dokładnym składaniu spodni.

-- Tak jak przewidywałam. Genitaliów brak -- oznajmiła siostra. -- Choć w kroczu znajduje się niewielki wzgórek. Wracam do analizy.

Vic oparł się o blat, dłonie zacisnął na krawędziach. Zdobył się na odwagę i rzucił okiem na ciało, dopiero gdy pielęgniarka poraziła je prądem, a biodra mimowolnie się uniosły. Rzeczywiście: nie było genitaliów. Zobaczył tylko bladą, gładką skórę i małe zgrubienie w kroczu. Nie miał pojęcia, czy to oznaczało, że android jest płci męskiej. Nie dostrzegł żadnych uszkodzeń skóry w tamtym miejscu. Poczul ulgę. Nie musiał tam niczego naprawiać.

-- Już -- zakomunikowała w końcu siostra Ratched. -- Skończone. Rambo, pomóż mi z plandeką. Naciągnij mu ją powyżej bioder -- poleciała. Zza pleców Vica dobiegł szelest materiału. -- Po wszystkim.

Chłopak odwrócił się wreszcie. Narzuta pokrywała nogi i kroczę androida.

-- I co?

Ekran siostry wypełniła obracająca się powoli zielonkawa sylwetka mężczyzny. Pielęgniarka zrobiła zbliżenie na wymienioną rękę.

-- Będzie trochę słabsza niż jego własna. -- Perspektywa zmieniła się; maszyna wyświetliła obraz stopy. -- Z nogą tak samo.

Obie części nie są fabryczne. Wydaje się, że jego ciało ich nie odrzuci, ale jeśli znajdziemy kiedyś elementy z podobnego lub tego samego modelu, powinniśmy je wykorzystać -- stwierdziła. Widok przeskoczył na gardło androida. -- Ośrodek mowy uległ uszkodzeniu. Dlatego pacjent jąkał się, kiedy rozmawialiśmy na złomowisku. Powstrzymałabym się od prób naprawy tej części, jako że nie mamy specjalistycznej wiedzy i odpowiednich narzędzi. Tego rodzaju zabieg wymagałby ingerencji w bioczip odpowiedzialny za tysiące reakcji biochemicznych. Istniałoby ryzyko trwałego uszkodzenia. Mógłby stracić głos lub nawet życie. -- Na monitorze pojawiła się znów pełna sylwetka. Tym razem miejsca, w których skóra została rozerwana, zaznaczono czerwonymi okręgami. -- Niektóre rozdarcia można zaszyć. Syntetyczna derma powinna się zregenerować. Niestety większe rozcięcia, jak te w policzku, oraz zerwana skóra ramienia i stopy... wątpliwa sprawa. Elementy wewnętrzne androida są bardzo delikatne. Jeżeli nie zostaną czymś przykryte, mogą ulec zniszczeniu. -- Obraz przeskoczył ponownie, skupiając się na klatce piersiowej. -- Bateria jest kompletnie bezużyteczna. Wszelkie próby jej naprawienia zapewne doprowadzą do katastrofy. Potrzebujemy alternatywnego źródła zasilania. Ponownie przeskanowałam zasoby dostępne w domu. Nie mamy odpowiedniej części zamiennej na stanie. Być może da się jeszcze coś znaleźć na złomowisku, ale marne szanse.

Warto było rozważyć ponowną eskapadę, lecz Vic wolał nie zapuszczać się zbyt głęboko na złomowisko, szczególnie przy wzmożonej aktywności Prastarych. Nie chciał utknąć po drugiej stronie bez możliwości ucieczki.

-- Coś jeszcze?

-- Tak. Rzecz najważniejsza.

Chłopak pochylił się zaciekawiony.

-- Co?

-- Kocham cię -- wypaliła siostra Ratched. -- Ha-ha. Żart. Nie potrafię odczuwać miłości, ale nie dlatego, że jestem byłym robotem medycznym modelu sześć-dziesięć-JQN serii alfa, lecz dlatego, że nie posiadam sumienia i mam skłonności do zachowań skrajnie aspołecznych. Na przykład nie miałabym nic przeciwko temu, gdybyśmy wyrzucili tego androida na śmietnik i zapomnieli o nim, mimo że spędziliśmy wiele czasu na jego naprawie. -- Na ekranie pojawiły się słowa: MIŁEGO DNIA.

-- Nie wyrzucimy go.

-- Bo jest naszym przyjacielem! -- zawołał Rambo. -- Naszym drogim, martwym przyjacielem.

Vic skinął głową.

-- W razie potrzeby wrócimy na złomowisko. Prastarzy mogli przywieźć jakieś nowe części, odkąd byliśmy tam ostatnio... Na razie skupmy się na tych rozcięciach skóry.

-- A co z ręką i stopą? -- spytał Rambo.

-- Mam na to pewien pomysł. -- Vic obrzucił wzrokiem ciało.



Siostra Ratched naciągnęła skórę i pozamykała pomniejszych rany. Większe -- na twarzy mężczyzny, na plecach i dwie w piersi - - zostawiła nietknięte. Vic kazał je dokładnie zmierzyć i dodatkowo przeskanować ramię i stopę. Pielęgniarka pokazała wymiary na ekranie monitora, po czym dodała do nich animację powoli obracających się fragmentów ciała.

-- Części zamiennych nie można pokryć metalem -- oznajmiła. -- Zbyt trudno się go formuje, a ciało może odrzucić tego typu modyfikację. Zresztą to bardzo niemodne.

-- Wiem -- odparł chłopak. Opadł na kolana i zajrzał pod stół. W rogu stała duża skrzynia. Była cięższa, niż pamiętał. Stęknął

z wysiłku, ciągnąc za uchwyt. Rambo objechał ją dookoła i zaczął pchać z warkotem małego silnika. -- Dzięki.

-- Pomagam, pomagam, pomagam -- świergotał odkurzacz wesoło.

Młodzieniec otworzył skrzynię. Wewnątrz leżały równo poukładane deski z drewna bubinga.

-- Co to jest? -- spytała siostra Ratched, przeciągając czubkiem macki wzdłuż słoików. -- Nigdy wcześniej nie widziałam takiego materiału. Skąd to masz?

-- Ze złomowiska -- mruknął, wyciągając deski i układając je na blacie.

-- Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek coś takiego znalazł. -
- W jej głosie pobrzmiwało oskarżenie.

Skrzywił się.

-- Bo byłaś... zajęta. Z tatą. Poszedłem sam.

-- To nierozsądne z twojej strony. W kupie siła.

-- Wszystko skończyło się dobrze. Nie miałem na to zastosowania, ale myślę, że teraz się nada.

Pielegniarka podjechała do biurka i przeskanowała drewno.

-- Co z tych dech zrobisz? -- Wydała sygnał, raz i drugi. -- Sądzę, że chcesz wyrzeźbić osłony na wewnętrzne mechanizmy.

-- Myślisz, że to dobry plan?

-- Nie wiem. Na pewno nietypowy. Wyglądałby jak manekin. Jak marionetka.

Vic spojrzał na kompankę.

-- Nie rozumiem.

-- Skonstruowano go do konkretnego celu. Tak jak nas wszystkich. Te cele zawiadują teraz naszym zachowaniem. Rambo istnieje, by sprzątać.

Odkurzacz zakręcił szczypcami i wzniosł ich szczęki, co przypominało uniesienie kciuków.

-- Jestem w tym najlepszy na świecie. Chyba.

-- Moje przeznaczenie to terapia, całodobowa hospitalizacja, edukacja oraz dorzynanie -- dodała siostra. -- Niestety ostatnimi czasy nie było mi dane zbyt wiele dorzynać. Gio istnieje, by tworzyć. Jego procesor jest o wiele bardziej zaawansowany niż nasze.

-- Do czego powołano mnie? -- spytał nagle Vic. Cisza. Podniósł wzrok na robota. Ekran w obudowie pielęgniarki pozostawał ciemny. -- Słyszysz?

-- Tak -- powiedziała. -- Słyszę. Zastanawiam się. Wciąż się zastanawiam. Jeszcze chwila. Okej. Zastanowiłam się. Już wiem, do czego zostałeś powołany.

-- Do czego?

-- Istniejesz, by dawać innym radość. Jesteś bardziej żywy, niż my kiedykolwiek będziemy. Miękki i delikatny. Jednocześnie skomplikowany, niepokojący, a czasami też błyskotliwy, choć zdecydowanie niemądry. Tak. Myślę, że drewno się nada.

Vicowi łza zakręciła się w oku.

-- Naprawdę tak myślisz? -- spytał łamiącym się głosem.

-- Tak. Myślę, że drewno się nada.

-- Dzięki.

Szturchnęła go gąsienicą w kolano.

-- Całą resztę też tak myślę. Ale dość już gadania o uczuciach, których przecież wcale nie posiadam. Są bez sensu. Pomogę ci z drewnem. Trzeba je nawiercić, a być może również pociąć. Można rzec: dorznać. A nikt tak nie rżnie jak ja.



Za oknami dni się skróciły, a powietrze stało się chłodniejsze. Liście oblały się rumieńcem i pobłyskiwały złotem w promieniach

jesiennego słońca. Rankami ziemię pokrywał szron. Z ust Vica zaczęła przy każdym oddechu wydobywać się para. Musiał wyciągnąć z szafy swój stary płaszcz. Kapota miała za krótkie rękawy, ale lubił dotyk materiału na skórze.

Pewnego cichego popołudnia chłopak pochylił się nad głową androida i przymocował sobie nad twarzą szkło powiększające. Z wysuniętym językiem i mocno ustabilizowanymi rękami przyłożył drewno. Pasowało jak ulał. Przytrzymał je w miejscu, kiedy siostra Ratched scalała je ze skórą. Głęboko odetchnął, kiedy skończyła. Odsunął lupę.

-- Jak wygląda?

-- Przepięknie -- pochwaliła siostra Ratched. -- Kawaler jak marzenie. Tak mi się przynajmniej wydaje. Sama nigdy nie marzę, więc nie mam pewności.

Vic potarł palcem drewnianą powierzchnię. Efekt ich pracy był bardzo miły dla oka. Drewniana wstawka przydawała twarzy mężczyzny pewnego szyku. Vic spojrzał na nią w nowym świetle. Sprawiała, że czuł się niepewny, podenerwowany, a jednocześnie niezwykle z siebie zadowolony.

Szybko i sprawnie zamontowali pozostałe drewniane elementy do pleców i klatki piersiowej. Tors okazał się najtrudniejszy, bo musieli się upewnić, że osłony nie ingerują w otwór na źródło zasilania. Podczas montażu otwierali i zamykali jamę wielokrotnie, sprawdzając, czy zatrzaski nie blokują się o nowe elementy.

Pod koniec drugiego tygodnia złożyli ramię. Pomiedzy paliczkami każdego palca umieścili pierścienie, aby chroniły stawy. Potem zajęli się przedramieniem i bicipsem.

Z nogą poszło już o wiele łatwiej. Stworzyli dwa elementy na udo -- przedni i tylny. Podobnie na łydkę. Pięta powstała z drewna giętego. Wypolerowali ją na błysk i pokryli lakierem, żeby nie pę-

kała. Vic przyglądał się z podziwem. Siostra Ratched wyrzeźbiła w drewnianej stopie nawet paznokcie. Chłopak ostrożnie i powoli nasunął wszystkie palce. Przytrzymał je własnymi, podczas gdy pielęgniarka scalała drewno z metalem. Laser mocno grzał skórę na dłoniach Vica, nawet mimo grubych rękawic ochronnych.

-- Gotowe -- oznajmiła piętnastego dnia po znalezieniu ciała. -
- To powinno wystarczyć.

Victor uniósł głowę i spojrzał na nią zza stołu.

-- I tyle? Skończyliśmy?

-- Tak jest. Mamy wszystko poza źródłem zasilania.

Chłopak podniósł się z przykucu. Strzeliło mu w kolanach. Rambo podjechał w górę na swoim podnośniku. Zamrugał światełkami.

-- Ja cię! -- westchnął. -- Wygląda megafajnie. Jak pirat. Możemy mu wyjąć oko i dziurę zasłonić opaską?

-- Tak -- powiedziała pielęgniarka. -- Zróbmy to. Usunę je własnoręcznie.

-- Nic z tych rzeczy -- wtrącił szybko Vic. -- Nic mu nie usuwamy.

-- Szkoda -- mruknął Rambo. -- Nigdy nie robimy tego, co proponuję.

Młody mechanik spojrzał na nieruchome ciało. Serce zaczęło mu szybciej bić.

-- Myślicie, że naszemu androidowi takie zmiany się spodobały?

-- Nie wiem -- wyznała szczerze siostra Ratched. -- Ale to nie ma znaczenia, dopóki nie znajdziemy rdzenia zasilającego. Na razie to wszystko tylko dekoracje. Jeśli nie uda nam się znaleźć nowej baterii, przerobimy go na kwietnik.

Vic westchnął ciężko, ocierając twarz dłonią.

-- Coś wymyślimy. -- Ziewnął przeciągle. -- Tyle już zrobiliśmy. Nie możemy teraz rezygnować.

-- Dlaczego tak ci na tym zależy? -- spytał Rambo.

Vic mrugnął.

-- Jak to?

-- Znalazłeś go, próbujesz naprawić. To samo zrobiłeś dla mnie i siostry Ratched. Dlaczego?

Vic niezgrabnie wrzucił ramionami.

-- Sam nie wiem. To chyba kwestia...

Duża maszyna wydała z siebie krótki sygnał.

-- Giovanni nam to tłumaczył. Chodzi o poszukiwanie innych rzeczy. Jakiegoś połączenia. Tworzenie czegoś z niczego. Chęć wypełnienia czymś przestrzeni między nami.

-- Z nim też nawiądziesz połączenie? -- dociekał mały odkurzacz.

Twarz Vica oblał rumieniec.

-- Nie... W sensie... Nie o to mi chodziło... -- Zamknął oczy i zmusił się, aby zachować spokój. Wziął głęboki wdech. -- Próbuję mu pomóc. Tak jak tobie. I siostrze Ratched. On też zasługuje na drugą szansę. Nawet jeśli nie będziemy umieli go naprawić, musimy spróbować.

-- Dlaczego? -- spytał Rambo.

Victor ostrożnie dobrał słowa.

-- Ponieważ wszystkie istoty zasługują na to, by żyć, a przy tym żeby nie musiały nikomu służyć.

-- Mamy w życiu cel -- podjęła pielęgniarza -- wykraczający poza nasze oprogramowanie. Może w jego przypadku będzie podobnie, choć wątpię.

-- Ale przecież my służymy Vicowi -- zdziwił się Rambo.

Chłopak pokręcił głową.

-- Wcale mi nie służycie. Jesteście moimi przyjaciółmi. Pomagamy sobie nawzajem. To wielka różnica.

-- Aha -- westchnął Rambo. -- To tak jak wtedy, gdy mówisz mi, żebym był dzielny?

-- Na przykład. Nie jesteś już uszkodzony. Naprawiłem cię. Jeśli cokolwiek ci się kiedyś stanie, zrobię, co w mojej mocy, żebyś znów zaczął działać. Wiem, że zrobiłbyś to samo dla mnie.

-- Oboje byśmy cię naprawili -- wtrąciła pielęgniarka. -- Ja zgłosiłabym się na ochotniczkę, bo już długo nie było mi dane oglądać odsłoniętego ludzkiego serca. Może przestańmy gadać i zabierzmy się do zabiegu od razu... -- Zanim skończyła mówić, na jej ekranie pojawił się napis: CHYBA ŻE CO INNEGO PODPOWIADA CI SERCE.

I dokładnie w tym momencie w głowie Vica nieśmiało wykiełkowała nowa myśl. Płochliwa niczym ptaszyna, pozostała jednak na miejscu i niepewnie zatrzepotała skrzydełkami, zwracając na siebie uwagę. Nowa myśl. Nowy początek. Że może by...

Ptak zaświergotał, a chłopak wsłuchał się w jego trel.

ROZDZIAŁ 6

Victorowi Lawsonowi od zawsze sprawiało trudność porządkowanie własnych myśli. Ojciec nie potrafił postawić się w jego sytuacji, więc nie do końca umiał wytłumaczyć synowi, dlaczego ten czuje to, co czuje. Czasami radość, innym razem smutek lub złość. Z wiekiem młodzieniec stawał się coraz bardziej świadomy i poznawał sam siebie. W dalszym ciągu brakowało mu jednak daru wyrażania własnych myśli i emocji.

Pewnego razu, gdy miał dwanaście lat, przypadkiem złamał jeden z młotków ojca. Przez kolejne trzy dni zalewały go naprzemiennie fale złości i smutku. Zły był przede wszystkim na siebie, ale również z jakiegoś powodu na Giovanniego. A ilekroć pomyślał, co zrobił, ogarniał go smutek. Ojciec próbował tłumaczyć, że nic się nie stało, że takie uszkodzenie łatwo naprawić, ale jedyne co widział Vic, to że młotek jest zniszczony, a winę za to ponosi on sam.

Z upływem czasu niewiele się zmieniło. Podobne drobnostki czasami wciąż sprawiały, że miotał się pomiędzy furią a marazmem, choć teraz potrafił już lepiej panować nad wahaniem nastrojów. Bywał bardzo drażliwy i na wszystko reagował stanowczo zbyt ostro, ale za każdym razem potem przeproszał. Rozumiał już pojęcie poczucia winy i odpowiedzialności. Wiedział, co znaczy obwiniać się za coś. Kłopot w tym, że zazwyczaj wyrzuty sumienia tłamsił w sobie, nie potrafiąc ubrać w słowa tego, co czuje. Komunikacja była dla niego enigmą. Wypowiedzi grzęzły mu w gardle. Pojawiała się suchość w ustach, a krtań zaciskała się z nerwów.

Myśli nabierały pędu i zamieniały się w chaotyczną niezrozumiałą plątaninę.

-- Już dobrze -- mawiał w takich sytuacjach ojciec. -- Weź głęboki oddech, Vic. Po prostu oddychaj. Nie śpiesz się. Wszystko się ułoży.

Czasami działało. Czasami nie. Tak jak teraz.

Przyjaciele gapili się na niego w milczeniu, a on przestępował z nogi na nogę.

Panowała cisza.

Dłużej się tego wytrzymać nie dało.

-- No i co? Co myślicie?

Pielęgniarka odezwała się pierwsza.

-- Ty to zbudowałeś.

-- Mhm.

-- I nic nam nie powiedziałeś.

-- Nic.

-- Zrobiłeś to za naszymi plecami.

-- Tak...

-- Ha, niesamowite -- mruknęła. -- Jestem pod wrażeniem. Nie miałam pojęcia, że potrafisz być taki dwulicowy. Powinnaś czuć się urażona, ale z jakiegoś powodu rozpiera mnie duma. Nie rozumiem dlaczego. Muszę przeprowadzić autodiagnostykę. Być może moje oprogramowanie uległo uszkodzeniu. Nie podoba mi się to.

-- Och... -- westchnął Rambo z podziwem, wpatrując się w zawartość skrzyni. -- Wygląda dokładnie jak u Giovanniego. Znaczący, to jest brzydsze i nieforemne, ale i tak "och". -- Przekręcił jedną zębatkę szczypcami, wprawiając w ruch cały mechanizm. -- Zadziała?

-- Nie wiem -- przyznał Vic. -- Siostrze?

Pielęgniarka podjechała bliżej i dość obcesowo odepchnęła Rambo. Odkurzacz pisnął z rozdrażnieniem. Ratched przeskanowała serce. Na jej monitorze chwilę później pojawił się wirtualny obraz 3D.

-- Niewykluczone -- orzekła wreszcie. -- Choć dopiero po pewnych modyfikacjach. Musi być nowe uzwojenie, złącze i rzecz najtrudniejsza do zdobycia... -- Wydała z siebie sygnał oznaczający zaskoczenie, kiedy Vic położył na stole obok nogi androida zdobycz z poprzedniej wyprawy na złomowisko. -- Wielowarstwowa płytką drukowaną. To się może udać.

Victor spojrzał na ciało.

-- Tak myślisz?

-- Tak. Naprawdę. Najpierw zamontujemy płytkę. Potem uzwojenie. Na końcu samo serce. Wszystko połączymy. Powinno wystarczyć, aby zasilić androida. -- Zawahała się. Serce wciąż obracało się na ekranie. -- Jesteś pewien?

Zamrugął.

-- Ale czego?

-- Jeśli to zrobimy, on ożyje.

-- A nie o to nam chodzi?

-- Nadal nie wiemy, do czego jest zdolny -- przypomniała. - Skąd pochodzi ani dlaczego wycofano go z użytku. Może być psychopatą, który postanowi nas wszystkich unicestwić.

-- Nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy.

-- Teraz tak mówisz -- mruknęła. -- A co, jak wyrwie ci kręgosłup? Wtedy już nic nie powiesz. Dosłownie. Opadniesz na ziemię bez czucia na maksymalnie sto dwadzieścia sekund, po czym umrzesz. Nie zdołasz wydać z siebie żadnego dźwięku poza przedśmiertnym charczeniem i gulgotem. Poza tym puszcza ci zwieracze.

-- Mhm. Dzięki za uświadomienie -- bąknął.

-- Do usług. Moje opisy zawsze działają na wyobraźnię. Tak mnie zaprogramowano. Kontynuować?

-- Nie.

-- Wielka szkoda. -- Przerwała. -- Dlaczego zbudowałeś serce?

-- Bo mogłem.

-- Dla Gio -- zgadła. -- Chciałeś dać to jemu. Zrobiłeś je na wypadek, gdyby coś mu się stało.

Przytaknął.

Rambo podniósł płytkę drukowaną i obrócił ją w szczypcach.

-- A co z nim?

Vic spojrzał w dół.

-- Jak to?

-- Co z androidem? Co jeśli zadziała? Zabierzemy mu potem serce? To by go zabiło. -- Pisnął smutno. -- Nie możesz podarować komuś życia, a potem go odebrać. To nie fair.

Chłopak pokręcił głową.

-- Tego bym nie zrobił. Jeśli serce zadziała, będzie jego na zawsze.

-- Chyba że okaże się opętanym żądzą zemsty mordercą - wtrąciła siostra Ratched. -- Jeśli tak będzie, wymontujemy mu serce. Mam nadzieję, że okaże się opętanym żądzą zemsty mordercą. To mój ulubiony typ złoczyńcy. Victorze.

-- Słucham.

-- Jeśli to się uda, Gio się dowie. Sugeruję powiedzieć mu, zanim rozpoczniemy procedurę. Poczuje się zdezorientowany, kiedy na wieczór filmowy przyprowadzimy nową maszynę. Nie sądzę, byśmy mogli ukryć androida na tyle skutecznie, żeby Giovanni go nie znalazł. Jest zbyt wielki, by udawać toster.

-- Lubię tostery -- oznajmił Rambo. -- To znaczy chyba lubię.
Co to są tostery?

-- Będzie dobrze -- powiedział Vic z udawanym przekonaniem.
-- Nie miał nic przeciwko, kiedy przyprowadziłem ciebie i Rambo.

-- Zgadza się -- przyznała siostra. -- Ale my nie jesteśmy opętanymi żądzą zemsty mordercami. Zazwyczaj.

-- Ja nie potrafię się mścić -- wyznał ze wstydem Rambo. -
- Raz próbowałem, ale potem zobaczyłem kupkę kurzu, zacząłem sprzątać i zapomniałem o zemście.

Vic pokręcił głową.

-- On nas nie skrzywdzi.

-- Skąd ta pewność? -- Ratched zamilkła i odtworzyła nagranie ze złomowiska: -- "Z-zabiję cię". -- Z głośnika znów dobiegł jej głos: -- Pamiętasz?

-- On się bał -- powiedział Vic. -- Ty byś się nie bała?

-- Nie. Ja się niczego nie boję.

-- A ja boję się wszystkiego -- wtrącił cicho Rambo, przytulając płytkę drukowaną. -- Bandytów. Biedronek. Bananów. To znaczy, większości bananów.

-- Damy radę -- szepnął chłopak. -- Przecież prosił nas o pomoc, pamiętacie?

-- Tak. Tuż po tym, jak zagroził, że wyrwie mi ręce -- odparowała Ratched.

-- Bo poraziłaś go prądem.

-- To prawda -- przyznała. -- I sprawiło mi to wiele satysfakcji. Nie omieszkam tego powtórzyć w razie potrzeby. -- Obróciła się w stronę ciała. -- Stanę się dla niego matką. Pokocha mnie całym sercem. A jeśli nie pokocha, będę go razila prądem, aż się nauczy.



Wspólnie podłączyli płytkę drukowaną. Potem uzwojenie.

Serce androidowi dał jednak sam Victor. Zawahał się tylko na sekundę: w momencie, kiedy nakłuł własny palec, a na skórze pojawiła się kropla krwi.

-- Gotowi? -- spytał.

Z siostry Ratched natychmiast wyslizgnęło się dziesięć macek. Jedna zakończona wiertłem. Kolejna iskrzyła elektrycznością. Jeszcze inna miała na czubku małą piłę tarczową. Urządzenie zawyło, obracając się z dużą prędkością. Wszystkie macki wyposażone były w śmiertelne narzędzia tortur.

-- Gotowi.

Rambo rozejrzał się coraz bardziej spanikowany. W końcu wypatrzył stojącą w rogu pokoju miotłę. Złapał ją i uniósł nad sobą.

-- Gotowi!

Młody Lawson skinął głową i skupił wzrok na androidzie. Przytknął zakrwawiony palec do białego paska umieszczonego nad zębatkami serca.

-- Proszę, nie próbuj nas zabić -- szepnął.

Biel wypełniła się czerwienią i...

Nic. Koła zębate nie ruszyły. Serce pozostało ciche, nieruchome. Otulone przewodami i blachą. Martwe.

Vic nigdy wcześniej nie czuł takiego zawodu. Przecież wszystko miało pójść dobrze. Przecież zrobili, co należy. Bzdura. Wszystko to głupiego robota. Oczywiście, że się nie udało. Oczywiście, że nie był wystarczająco zdolny, by zbudować coś równie...

Popchnął palcem największą zębatkę. Ta z kolei poruszyła mniejszą, a ta jeszcze mniejszą. Mechanizm zaczął pracować, rozpędzając się powoli. Z początku przyśpieszał i zwalniał, ale po chwili tempo się wyrównało. Serce zatrzęsło się i coś w środku zaklekotało. Vic szybko odsunął rękę, gdy otwór w klatce piersiowej androida nagle się zamknął.

Chłopak cofnął się o krok i wpadł na dwa pozostałe roboty.

Jeden z drewnianych palców mężczyzny drgnął. Zgiął się i zaskrobał w blat.

-- To żyje -- wymamrotał Rambo. -- To żyje!

Drewniana dłoń zacisnęła się w pięść, po czym rozluźniła. Android zadrżał. Stopy podskoczyły spazmatycznie. Vic rzucił się na przód przerażony, że mężczyzna sturla się ze stołu. Dopadł do robota, ale zanim zdążył go objąć, drgawki ustały.

A potem mężczyzna powoli otworzył oczy.

-- Wygląda na to, że mechanizm wzrokowy działa poprawnie -- zauważyła siostra Ratched. -- Osiągnęliśmy sukces.

Mężczyzna obrócił głowę w ich kierunku i otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Usiadł z metalicznym chrobotem. Spuścił nogi ze stołu i postawił je na ziemi.

Uniósł rękę, zaczął nią obracać, przyglądając się z zaciekawieniem drewnu osłaniającemu metalowe kości i okablowanie.

-- C-c-c... co? C-co... żeście... m-mi... z-zrobili?

To był ten sam głos, który usłyszeli na złomowisku. Głęboki. Gardłowy. Ostry. Oschły. Wściekły. Wręcz ociekający furją. Tak przynajmniej wydawało się Vicowi.

Czuł, jakby w jego umyśle właśnie doszło do zwarcia. Na ten widok tak długo pracował. Na taki efekt miał nadzieję. Udało się! Nareszcie! Ta twarz... taka żywa. Zupełnie jak ojca. Jak jego własna. A teraz nie potrafił nawet dłużej zatrzymać na niej wzroku. Spoglądał na ożywioną maszynę i co chwila spuszczał oczy.

Siostra Ratched podjechała bliżej.

-- Uzdrowiliśmy cię -- oznajmiła. Na ekranie wyświetliła słowa: ŻYJESZ! GRATULACJE! -- Znaleźliśmy cię w stercie złomu i naprawiliśmy.

Android opuścił ręce. Na jego twarzy pojawił się ponury grymas.

-- N-n-naprawiliście.

-- Owszem -- przytaknęła. -- Być może nie zauważyłeś, ale niektóre części trzeba ci było wymienić. Przeprowadzę diagnostykę. Wykonuj polecenia. Unieś prawą rękę.

-- M-m-moja k-klatka piersiowa -- syknął. -- C-co zrobiliście z m-moim torsem? Czuję p-palenie w m-mostku. -- Dłoń zadrżała mu, gdy potarł skórę nad sercem.

-- Musieliśmy wymienić ci źródło zasilania -- odparła siostra. -- Stare się wyczerpało. Możesz podać nam swój model i numer seryjny? Oznaczenie? Poza tym nie uniosłeś prawej ręki, kiedy cię o to prosiłam. Czuję się zawiedziona. Musisz słuchać matki. Ja nią jestem. Jestem teraz twoją matką.

Android skrzywił się, obnażając zęby.

-- K-kim jesteście? K-k-kim? Kim jesteście!?

Spróbował wstać. Metalowa prawa noga utrzymała jego ciężar, ale drewniana lewa się ugięła. Mężczyzna opadł naprzód.

-- Aaa! -- zawołał Rambo. -- Atakuje mnie! Jestem dzielny! Taki dzielny! -- Odkurzacz zaszarżował, tłukąc napastnika miotłą po nogach. -- Giń, opętany żądzą zemsty morderco! Giń!

-- P-p-przestań -- warknął mężczyzna. Usiłował osłonić się od ciosów, ale nie mógł złapać równowagi. Nie trafił dłonią w kij i prawie zwałił się na Rambo. W ostatniej chwili uchronił się przed upadkiem.

Mały robot zwinnie przejechał mu między nogami, wciąż łomocząc go miotłą -- tym razem po udach.

-- Łapy precz od Rambo -- ostrzegła siostra Ratched, groźnie wymachując mackami. -- Odmowa może być dla ciebie równie

nieprzyjemna jak kopniak w tyłek. Bo ja cię kopnę. Prądem. To była gra słów. Gry słów nigdy mi się nie nudzą.

-- G-gdzie ja jestem? -- przerwał jej android. -- C-co to za miejsce?

-- Laboratorium wielkiego wynalazcy, Victora Lawsona - - oznajmiła z dumą maszyna medyczna. Jej macka zasyczała groźnie. -- Okaż mu trochę szacunku. Bądź co bądź przywrócił cię do życia. Choć to ja wykonałam większość pracy, w związku z czym masz mnie traktować jak matkę. Victor jednak potrzebuje dużo wsparcia. Victorze! Świetnie się spisałeś. Jesteśmy z ciebie bardzo dumni.

Mężczyzna ponownie się zakołysał. Chłopak wzdrygnął się i cofnął o krok. Zacisnął boleśnie pięści. Niewiele brakowało, a paznokciami rozorałby sobie skórę do krwi. Rambo, który najwyraźniej doszedł do wniosku, że zagrożenie jeszcze nie minęło, wydał z siebie bojowy okrzyk, po czym zdzielił androida miotłą w plecy.

-- *En garde!* -- zawył. Mężczyzna obrócił się na pięcie i złapał trzonek miotły, zanim niewielki robot zdążył uderzyć go ponownie, po czym złamał drewniany kij na pół. -- O nie -- szepnął Rambo. -- Wszyscy zginiemy.

Kij upadł na podłogę z głośnym trzaskiem, a android zwrócił się w stronę Victora. Zrobił kilka chybotliwych kroków naprzód. Drewniane kolano nie zginało się równie łatwo jak oryginalna kończyzna.

-- K-kim jesteś? -- spytał. -- C-co mi z-zrobiłeś? -- Złapał młodego Lawsona za kołnierz koszuli i gwałtownie przyciągnął do siebie. Chłopak pisnął przerażony i zacisnął powieki. -- D-dlaczego nie pamiętam, k-kim jestem?

-- Nie mam pojęcia -- bąknął Vic. -- Nie wiem. Naprawdę...
Błysnęła elektryczna iskra, a android nagle stężał.

Victor otworzył oczy dokładnie w momencie, kiedy mężczyzna opadał na podłogę bez czucia. Siostra Ratched wsunęła mackę z paralizatorem w głąb obudowy.

-- Nie posłuchałeś mnie -- wycedziła. -- Słuchaj matki. -- Na ekranie pojawił się napis: STAC MNIEM NA WIELE WIĘCEJ!



Android stracił przytomność na chwilę wystarczająco długą, by udało się go z powrotem położyć na stole.

-- Szokujący obrót spraw, nieprawdaż? -- rzuciła siostra Ratched. Objechała stół i ustawiła się po stronie głowy pacjenta. -- Ostrzegałam. Kopnę cię ponownie, jeśli będę musiała. Dawaj, cwaniaczku, zrób mi frajdę. -- Zamilkła na krótki moment, a jej ekran zamigotał na zielono. -- A to ciekawe. Nie mam pojęcia, skąd mi to przyszło do głowy. Całkiem dobry tekst. Zrób mi frajdę, cwaniaczku.

Android się skrzywił.

-- Moje nogi. Nie cz-czuję nóg.

-- Taki efekt uboczny porażenia dziesięcioma tysiącami woltów. Czucie wróci niebawem. Chyba że znowu coś wywiniesz. Wtedy całkiem amputuję ci nogi.

Mężczyzna wpatrywał się w sufit z wściekłością.

-- To by b-była ostatnia rzecz, jaką z-zrobisz.

-- Obiecujesz to każdej ślicznotce, którą spotykasz? -- zapytała zalotnie. -- Na mnie to nie działa. Może coś by między nami zaiskrzyło, ale zmieniłam zdanie. Chcesz wiedzieć, co o tobie myślę?

-- N-nie.

-- Szkoda, bo i tak ci powiem. Jesteś...

-- Nie zrobimy ci krzywdy -- wtrącił Vic cicho. Splótł palce i ścisnął dłonie tak mocno, że aż chrupnęły mu stawy.

-- Moja miotła -- chlipnął Rambo. Ze smutkiem trącił połamany kij. -- Ty potworze. Co ta motylek ci zrobiła? To było tylko kilka kupańców.

-- G-gdzie ja jestem?

Vic omiótł leżącego wzrokiem, po czym odwrócił głowę. Oczy mężczyzny były wcześniej martwe, niewidzące. Teraz wpatrywały się z intensywnością, jakiej chłopak nigdy przedtem nie doświadczył.

-- W lesie.

-- W ja-jakim znowu lesie?

Victor zmarszczył brwi.

-- Tym największym. Za złomowiskiem.

Nie potrafił tego inaczej wyjaśnić, ale ta informacja powinna wystarczyć. Las to las. Wszyscy to wiedzą.

Jak się okazało: nie wszyscy.

-- G-gdzie l-leży ten las?

-- To teren bez nazwy -- wytłumaczyła siostra Ratched. -
- A przynajmniej ja jej nie znam. Z moich obliczeń wynika jednak, że las znajduje się w miejscu, które niegdyś zwane było Orygonią. Bardzo ładna nazwa. Mocna. Zapada w pamięć. Skoro już mowa o nazwach, jak nazywać ciebie? Pamiętasz?

Android zacisnął usta.

-- N-nie.

-- Tak sądziłam. Twoje wspomnienia zostały wymazane, kiedy wycofano cię z eksploatacji.

-- On jest taki jak my -- dodał Rambo nerwowo. Objechał stół, omijając go szerokim łukiem, jak gdyby się bał, że android wstanie i rzuci się na niego. -- Nie pamięta niczego sprzed pojawienia się w lesie.

-- Nie jest jak my -- odparła siostra. -- My jesteśmy wspaniali. A on to bardzo trudny pacjent. Nie ruszaj się, synku.

Mężczyzna przestał się wiercić, gdy pielęgniarzka pochyliła się nad nim.

-- Nie powinno boleć -- obiecała. -- Muszę się upewnić, że nie wybuchniesz i nas wszystkich nie pozabijasz. -- Uruchomiła skaner. Światło spłynęło od głowy w dół ciała. Zatrzymało się na dłuższą chwilę na okolicy serca, po czym ruszyło dalej, oświetlając biodra, nogi, a wreszcie stopy. -- Proszę. Widzisz? Nie było tak źle. Masz. Poczęstuj się lizakiem. Błąd. Dystrybutor lizaków jest... Ojej. Musimy coś na to poradzić. Victorze! Żądam zaopatrzenia mnie w słodycze dla pacjentów.

-- Victor -- mruknął android. Vic poczuł dreszcz. -- Twoje oznaczenie to V-Victor.

-- Masz zdolność zapamiętywania informacji -- zauważyła pielęgniarzka. -- Dobrze. To oznacza, że układ logiczny w twoim bio-czipie działa poprawnie. Tak, jego imię brzmi Victor. Ja nazywam się siostra Ratched. Moja podstawowa funkcja polega na świadczeniu opieki medycznej i ratowaniu życia wszelkimi dostępnymi środkami. Ten mały denerwujący krzykacz to Rambo. Pomaga nam sprzątać.

Odkurzaczyk pomachał odnóżami.

-- Jesteśmy równie ważni. Hura!

-- W-wycofany z eksploatacji -- powiedział android powoli, dokładnie akcentując każdą sylabę. -- Z-zostałem wy-wycofany z eksploa-a-tacji.

-- Tak -- przyznała siostra. -- Uruchamiam program empatyczny. Już dobrze. Nie martw się, dziecko. Jedne drzwi się zamykają, inne stają otworem. Można też wyważyć te zamknięte. To, co dla jednego robota jest śmieciem, dla innego człowieka okazuje się

skarbem. -- Na jej monitorze pojawił się żółty kurczaczek wykluwający się z jajka i podpis: NIE ROBIĘ SOBIE JAJ! -- Już dobrze.

Mężczyzna zamknął oczy. Zmarszczki wokół jego ust się pogłębiły.

-- M-moja ręka. Dłoń. Noga. C-co... c-co to ma b-być?

-- Drewno -- odpowiedział cicho Vic. -- Wystrugaliśmy je własnoręcznie. Chcieliśmy pomóc. -- Nie był w stanie podnieść głosu. Jego słowa ledwo dało się słyszeć.

-- Jesteś jak marionetka -- dodał Rambo, chcąc pomóc. -- Tyle że ty żyjesz. Jesteś półmarionetką. Twoja matka była marionetką, a ojciec na przykład zmywarką. -- Błysnął sensorami. -- Czekać. To nie ma sensu. Twoja matka była marionetką, a ojciec bardzo zgorzkniałym telewizorem. Lubisz filmy? Ja uwielbiam. Masz jakiś ulubiony?

-- Pamiętasz swoje imię? -- spytała siostra Ratched. -- Albo cokolwiek innego? Jakimś cudem przetrwałeś wycofanie z eksploatacji bez szczególnego uszczerbku na zdrowiu. Jaką ostatnią rzecz pamiętasz?

Vicowi wydawało się, że android nie odpowie. Ten jednak, co zaskakujące, odezwał się po dłuższej chwili:

-- Światła. Rozbłyśki światła. -- Obrócił głowę i zmierzył całą trójkę wzrokiem. -- A potem wy. Pośród m-metalu. W palącym słońcu. Byłem z-zakopany. N-nie p-potrafiłem się w-wydostać.

-- Mal -- wyrwało się Vicowi.

Android zmrużył oczy.

-- Co?

Victor skulił się, obawiając kolejnego wybuchu złości maszyny. Niepewnie wskazał na płytkę na piersi mężczyzny.

-- Takie litery. O tutaj. Kilku chyba brakuje. Zostało "M". Potem "A", a na końcu "L". Mal.

-- Mal -- powtórzyła siostra. Nachyliła się nad pacjentem i przeskanowała płytkę. Na ekranie pojawiły się wymienione litery.

-- Czy to ci coś mówi?

Android wpatrzył się w monitor.

-- N-nie.

-- Może to skrót?

-- N-nie w-wiem -- warknął.

-- "A" pewnie oznacza agresję -- podsunął Rambo, dla pewności chowając się za nogą przyjaciela. -- Marionetka Agresywno-Lekceważąca -- dodał, po czym zaskowyczał z przerażenia, gdy mężczyzna kłapnął na niego zębami.

Siostra Ratched nie poruszyła się nawet o milimetr.

-- Dopóki nie dowiemy się, jak się naprawdę nazywasz, będziemy się do ciebie zwracać: Mal. Imię niczego sobie. Nie tak ładne jak moje, ale mojemu trudno dorównać. Jaka jest twoja podstawowa funkcja?

-- N-nie pa-a-miętam -- wycedził Mal. -- Już m-mówiłem.

Mal nagle się szarpnął, próbując wstać. Złapał dłońmi krawędzie stołu. Drewniane elementy dłoni wytrzymały nagły nacisk. Android poruszał się niepewnie, sztywno. Przyzwyczajenie się do nowych części wymagało czasu. Vica aż skręcało w środku, by dotknąć drewna -- chętnie by sprawdził, czy czuć przez nie ciepło maszyny znajdującej się pod powierzchnią. Powstrzymał jednak impuls.

-- Owszem. Mówiłeś -- przyznała siostra Ratched.

Mal złapał się za pierś.

-- C-co wy we m-mnie w-wsadziliście? To się... r-rusza.

-- A, racja -- odezwała się ponownie pielęgniarka. -- Musieliśmy znaleźć sposób, by przywrócić cię do życia. To źródło zasilania

nia. Twoja bateria się zepsuła. Nie udało nam się znaleźć podobnej części zamiennej, więc daliśmy ci...

-- Serce -- wyrwało się Vicowi. Chłopak przygryzł wargę, po czym dodał: -- Umieściliśmy ci w piersi serce.

Mal zmarszczył brwi. Stuknął palcem w obojczyk. Ukryta klapka otworzyła się z cichym sykiem. Serce tkwiło na swoim miejscu. Zębatki obracały się płynnie, a drewniane elementy trzeszczały cicho, gdy organ rósł, a następnie się kurczył.

-- J-jakim c-cudem? J-jakim c-cudem to w o-ogóle działa?

-- Victor jest niezwykle inteligentny -- oświadczyła pielęgniarka. -- Potrafi zrobić coś z niczego. Postanowił naprawić ciebie. Powinieneś być mu wdzięczny. Jest twoim ojcem. Tata. Tatuśkiem. Błąd. Błąd. Nie nazywać nikogo "tatuśkiem". To nieprofesjonalne.

Mal spuścił oczy i skupił wzrok na sercu. Uniósł rękę i lekko musnął palcem największą zębatkę. Jego dotyk sprawił, że element zwolnił i prawie się zatrzymał. Wtedy android odsunął palec, a serce przyśpieszyło, by po chwili wrócić do pierwotnej prędkości. Mężczyzna ponownie stuknął w obojczyk, zamykając komorę w torsie. Spojrzał na Vica.

-- Dlaczego? Dla-dlaczego m-mnie u-urato-wa-wałeś?

Chłopak się wzdrygnął, po czym odwrócił głowę. Nie cofnął się jednak.

-- Byłeś ranny -- wymamrotał pod nosem. -- To, że brakowało ci niektórych części, nie znaczy, że nie zasłużyłeś na drugą szansę.

-- Chyba że chcesz nas pozabijać -- dodała siostra. -- Chcesz tego?

-- N-nie. Na razie -- mruknął Mal.

-- O rany -- powiedziała sztywno pielęgniarka. -- Czuję, że się rumienię. Ja też zawsze tak odpowiadam, kiedy ktoś mnie pyta,

czy chcę go zabić. Jesteś doskonały. -- Na ekranie pojawiły się uściśnięte dłonie. Gest powitania lub gratulacji. -- Już nie chcę być matką. Zostanę twoją żoną. Będziemy zabójczą parą. Ha-ha. Czy ktoś tutaj może udzielić nam ślubu?

Rambo zatrząsł się z ekscytacji.

-- Ale fajnie! Wesele? Nie jestem gotowy! Chwileczkę! Poczekajcie. -- Silnik w jego wnętrzu zawył. Odkurzacze stęknęły z wysiłku. Po chwili na froncie obudowy otworzyła się mała komora, z której z grzechotem wypadło kilka metalowych śmieci. -- Konfetti! Sto lat młodej parze!

-- Nie mam w co się ubrać na własne wesele -- stwierdziła Ratched. -- Ale nie szkodzi, bo i tak nigdy się w nic nie ubieram. Zawsze chodzę naga. Uwaga: flirt. Podobam ci się, słodziutki? Chcesz pomacać moje zderzaki? Mam się czym pochwalić. Wyposażono mnie w bardzo zaawansowany układ buforów, dzięki którym nawet silne uderzenia nie są w stanie uszkodzić moich podzespołów. Pokażę ci, skarbie.

-- Gorz-ko! Gorz-ko! -- zaczął wesoło skandować Rambo, podrygując do rytmu, po czym zanucił swoją ulubioną piosenkę. -- "Niebo, jestem w niebie, i policzek przy policzku tańczę tak!".

Mał powoli stanął na własnych nogach. Zrobił półprzysiad, po czym wyprostował kolana. Na jego twarzy pojawił się wyraz niezadowolenia.

-- Dlaczego jestem n-nagi?

Vic oblał się rumieńcem. Na ułamek sekundy zerknął w stronę krocza Mala, po czym natychmiast przeniósł wzrok na sufit.

-- Musieliśmy cię naprawić. Nie zrobiliśmy ci... nie zrobiliśmy nic...

-- Nieprzyzwoitego -- dokończyła siostra Ratched. -- Niestosowne zachowanie w stosunku do pacjentów nieświadomych lub

martwych jest sprzeczne z moim oprogramowaniem. Nie pozwoliłabym, aby ktoś cię wykorzystał. Stanowczo oponowałam, kiedy Victor się upierał, żeby zdjąć ci spodnie...

-- Nieprawda!

-- Ha-ha. Żarcik. Jestem niezwykle zabawna. Rambo, przynieś pacjentowi spodnie. Serce Victora długo nie wytrzyma tak podniesionego pulsu. W tym momencie ma niepokojąco wysokie ciśnienie krwi. W każdej chwili może dostać zawału. Nie chciałabym tego, nawet pomimo niewątpliwie kuszącej perspektywy użycia defibrylatora.

-- Spodnie! -- zawołał odkurzacz, pędząc w kierunku biurka. Uniósł się na swoim wbudowanym podnośniku, odgarnął na blacie poszarpany płaszcz i złapał w szczypce spodnie, które następnie podał Malowi.

Android bez słowa wziął się do ubierania. Zaczął od metalowej nogi. Wtedy jednak drewniane kolano zablokowało się w pozycji wyprostowanej i prawie obalił się jak długi. Warknął tylko na siostrę Ratched, kiedy ta próbowała mu pomóc. Z wściekłością odepchnął od siebie jej mackę. Podjął kolejną próbę, tym razem opierając się o stół.

-- M-moja n-noga. Jest za sz-sztywna.

-- To przez modyfikacje -- wyjaśniła pielęgniarka. -- Będziesz się musiał przyzwyczaić. Proszę. Spójrz. -- Podjechała do niego, gdy zapinał guziki w spodniach. Nad jej monitorem rozbłysło blade światło. -- Mam kamerę. Pokażę ci, jak wyglądasz. Może wtedy coś sobie przypomnisz.

Ekran rozjarzył się, ukazując Mała. Mężczyzna odskoczył zszokowany, plecami uderzył w stół, który odjechał kilka centymetrów z głośnym szurnięciem. Android wpatrzył się we własne odbicie i zamrugał.

Nie spuszczać siebie z oczu, uniósł rękę i musnął palcami drewnianą wstawkę w policzku. Opuszkami przejechał po szorstkim zaroście.

-- T-to jestem j-ja? -- szepnął oszołomiony.

-- Owszem. To ty. Znaleźliśmy cię w innym stanie, ale teraz tak wyglądasz. Moim zdaniem o wiele lepiej. Jesteś przystojniejszy. Rozpoznajesz się?

Pokręcił głową, po czym ją obrócił i uważniej przyjrzał się symbolom wygolonym we włosach. Palcami powiódł po wyciętych figurach.

-- N-nie wiem. -- Zmarszczył brwi. -- C-co się stało z m-moim gł-gł-gł... -- Usta Mała wykrzywiły się we wściekłym grymasie.

-- Głosem -- podsunęła siostra Ratched. -- Masz uszkodzony procesor mowy. Nie próbowaliśmy go naprawiać, bo nie chcieliśmy narazić cię na poważniejsze uszkodzenia.

Android odwrócił się od ekranu. Siostra cofnęła się, wyłączając kamerę.

Vic spojrział w kierunku drzwi.

-- Możesz odejść.

Mał gwałtownie podniósł głowę.

-- Co?

Chłopak odruchowo wzruszył ramionami.

-- Nie musisz tu zostawać. Nie jesteś więźniem. Nie chcemy przetrzymywać cię wbrew twojej woli.

-- M-mojej wo-woli -- powtórzył Mał. -- M-mam wolną w-wolę?

-- No ładnie -- westchnęła siostra. -- Nie zainstalowano mi oprogramowania psychologicznego ani filozoficznego, by satysfakcjonująco odpowiedzieć ci na to pytanie. Asimov byłby zawiedziony. Victorze. Ty jesteś człowiekiem. Może potrafiłbyś...

Efekt był natychmiastowy. W jednej chwili Mal stał z ramionami luźno spuszczoneymi wzdłuż ciała, oparty plecami o stół. W następnej pędził już przed siebie z taką prędkością, że oczy pozostałych ledwie za nim nadążały. Rzucił się w kierunku Vica, który w panice odskoczył i jęknął z bólu, kiedy uderzył grzbietem w biurko robocze. Ramiona androida wystrzeliły do przodu, a dłonie zaczęły zbliżać się ku szyi chłopaka. W oczach mężczyzny widniała pustka. Zimna i martwa, jak wtedy, gdy leżał bez życia na blacie.

POBRANO ZE STRONY PIJAFKA.PL

Nie powstrzymała napastnika siostra Ratched. Nie pohamował go Rambo ani Vic. Mal opamiętał się sam.

Zamarł z ramionami wyciągniętymi przed siebie i palcami zawieszonymi tylko kilka centymetrów od twarzy Vica. W jego oczach na powrót pojawiła się iskierka życia. Koła zębate w piersi przyśpieszyły. Dłonie zaczęły się trząść. Wibracje szybko przeniosły się na ramiona i barki. Mężczyzna zrobił krok wstecz.

-- C-co się ze mną dzie-dzieje?

Obrócił się i wydał z siebie ni to warknięcie, ni jęk. Złapał się krawędzi blatu. Rambo krzyknął z przerażenia, kiedy Mal nagle poderwał cały stół z ziemi i cisnął nim o ścianę. Okno rozbiło się na kawałeczki, a szklane drobiny poleciały na sam dół i pokryły leśne runo błyszczącymi odłamkami.

Pielegniarka zastawiła Rambo i Vica własnym ciałem, ale Mal nic sobie z tego nie robił. Krążył po pomieszczeniu, ciężko stawiając stopy i wściekle wymachując rękami.

-- Jest w furii! -- wydarł się Rambo. -- Zmienił się w morderczego psychobota! Chodu!

Vic gorączkowo rozglądał się w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć mu za broń, gdyby Mal ponownie się na niego rzucił. W końcu złapał młotek z wieszaka na ścianie, ale wzrok skupił

na ciężkiej lutownicy, która wisiała nad miejscem, gdzie jeszcze chwilę wcześniej stał stół.

Mał zatrzymał się i wbił wzrok pełen szaleństwa w trójkę przyjaciół.

-- Nic już n-nie wiem! N-nie wiem, k-kim ani czym j-jestem...

Drzwi do pracowni eksplodowały. Wpadły z łoskotem rozrywanych zawiasów do środka, rozbijając się w drzazgi. W wejściu stanął ojciec. Omiótł pomieszczenie wzrokiem i zmrużył oczy.

Androida już jednak nie było w miejscu, w którym przystanął kilka sekund wcześniej.

Nie. W okamgnieniu znalazł się przed Victorem, Rambo i siostrą Ratched. Ustawił się tyłem do nich i z ramionami rozpostartymi niczym skrzydła powoli cofał się w kierunku kompanów. Wpadł na siostrę Ratched.

Vic dopiero po chwili się zorientował, co właściwie się wydarzyło. Mężczyzna nie próbował ich skrzywdzić.

Instynktownie rzucił się w ich obronie. Chciał uchronić ich przed zagrożeniem, jakie nagle się pojawiło. Przed ojcem.

-- Co tu się dzieje? -- spytał Giovanni, łypiąc groźnie. Spojrzał najpierw na syna, potem na nieznanego sobie intruza. -- Kim ty, do cholery, jesteś? Odsuń się od mojego dziecka.

-- Victorze -- odezwała się siostra. -- Mam dla ciebie świetne wieści! Nie musisz się już martwić, że ojciec się dowie.

ROZDZIAŁ 7

-- Tato -- wydusił chłopak, usiłując obejść Mała. -- Proszę, nie. Wszystko wyjaśnię...

-- Victorze -- wycodził ojciec. -- Natychmiast odsuń się od tego androida.

-- On ma na imię Mał -- wtrącił Rambo. -- Sami go zrobiliśmy. Tak jakby.

-- Ja wykonałam większość pracy -- przyznała siostra Ratched. -- Jeśli komuś należą się pochwały, to właśnie mnie. Jeżeli jednak jesteś zły i zamierzasz komuś wymierzyć karę, chciałabym cię zapewnić, że ja nie miałam z tym nic wspólnego. To wszystko wina Victora.

Giovanni szarpnął głową na bok.

-- Z drogi. Już.

Cała trójka powoli odsunęła się od Mała, który ani na chwilę nie spuścił ojca z oczu. Ale próbował ich powstrzymać, nawet kiedy Rambo najechał mu na stopę.

-- Ojej -- stęknął odkurzacz. -- Przepraszam. Bardzo mi przykro. Czy mógłbyś, no wiesz... przesunąć nogę? O, super. Tak lepiej. Dziękuję. -- Popędził w kierunku ojca, objechał go i schował się za jego łydką. Potem stał tam, ciągnąc go za nogawkę. -- On mi połał miotłę, kiedy go biłem kijkiem! Ale poza tym nie jest taki zły.

-- Wszystko w porządku? -- spytał Giovanni, gdy dołączył do niego syn.

-- Tak, okej.

-- Zrobił ci krzywdę?

-- Nie. Tato, on wcale...

-- Dobrze. A teraz ani słowa więcej. Nie odzywaj się, dopóki nie zapytam cię o zdanie.

-- O-o -- jęknął cicho Rambo.

Wszyscy go zignorowali. Giovanni spiorunował Mała wzrokiem.

-- Kim jesteś? Po co tu przyszedłeś? -- Potem, co dziwne, dodał: -- Znamy się? Chyba skądś cię kojarzę.

Mał wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu.

-- A k-kim ty, k-kurwa, jesteś, że p-pytasz?

-- Nazywam się Giovanni Lawson. A teraz odpowiedz. Podaj swoje oznakowanie.

-- On go nie zna -- wtrąciła siostra Ratched. -- Nie wydaje mi się, by kłamał. Wygląda na to, że jego pamięć została wyczyszczona tak samo jak nasza. Jest niezapisaną kartą. Taka wysoka, przystojna, wiecznie wściekła tabula rasa.

-- Podaj swoje oznaczenie -- zażądał ojciec ponownie. -- Natychmiast.

-- N-nie znam -- burknął Mał. -- P-pamiętam cie-e-mność, a po-potem obudziłem się t-tu-tu-taj.

-- Synu. Wyjaśnij.

Chłopak wbił wzrok w podłogę. Ojciec bardzo rzadko był równie rozzłoszczony. W całym swoim życiu Victor doświadczył u niego takiego rozemocjonowania tylko kilka razy.

-- Znaleźliśmy go -- wyznał cicho. -- Na złomowisku. Leżał zakopany pod innymi martwymi maszynami. -- Splótł palce i zaciśnął dłonie z cichym chrupnięciem. -- Nie mogliśmy go tak po prostu zostawić. On żył. Był świadom.

Ojciec powoli zamknął oczy. Na chwilę zmarszczył czoło, potem wyraz jego twarzy złagodniał.

-- I przynieśliście go tutaj?

-- Tak -- odparła pielęgniarka. -- Uznaliśmy, że nie powinniśmy zostawiać go tam. Do tej pory nie wykazywał prawie żadnych morderczych skłonności.

-- Prawie żadnych -- powtórzył ojciec, otwierając oczy. -- Prawie.

-- Nie licząc tego incydentu ze szczotką -- przytaknęła siostra.

-- To była taka dobra szczotka -- westchnął smutno Rambo.

-- Dlaczego ma goły tors? -- spytał Giovanni.

-- Ponieważ Victor postanowił zdjąć z niego całe ubranie, żeby...

-- Nieprawda! -- wybuchł chłopak.

-- Mal -- mruknął ojciec. -- Mal.

-- Takie nadaliśmy mu imię -- powiedział Rambo. -- Dobrze, prawda? Oznacza Marionetkę Agresywno-Lekceważącą, bo wygląda tak, jakby był wiecznie zły i nic go nie obchodziło. Ale to nie jego wina. Taką ma po prostu minę.

-- Czego od nas chcesz? -- Giovanni zrobił krok naprzód.

Mal się nie poruszył. Powoli mrugnął, lecz nie spuszczał wzroku z gospodarza.

-- Nie wiem.

-- Jaka jest twoja podstawowa funkcja?

-- N-nie wiem.

-- Jak się tu znalazłeś?

-- To do niczego nie prowadzi -- wcięła się pielęgniarka. -- On naprawdę nie ma pojęcia. Nie będzie znał odpowiedzi na żadne z twoich pytań.

Ojciec uniósł ręce, dając znać, że nie stanowi zagrożenia, po czym zrobił kolejny krok w kierunku intruza.

-- Czy to prawda? Nic nie pamiętasz?

Mal skrzywił się gniewnie.

-- Już mó-ó-wilem. M-może powinie-e-neś wyczyścić so-sobie uszy.

-- Kurczę -- bąknęła siostra. -- Niezły z niego buc. Fascynujące. Czy to, co czuję, to matczyzna miłość, czy może pobudzenie seksualne? Czy ja mam kompleks Edypa?

-- Jesteśmy tacy sami. -- Ojciec się wycofał. Vic musiał wspiąć się na palce, by dostrzec Mala przez jego ramię. Mars na twarzy androida się pogłębił. -- Jestem androidem. Rozumiesz, o czym mówię?

Mal prychnął.

-- N-nie rób zzz-ze mnie głup-ka. Wiem, czym jestem. N-nie wiem ty-tylko kim.

-- Ta tabliczka... -- Giovanni wskazał palcem. -- Ta na twojej piersi. Mogę spojrzeć?

-- P-po co?

-- Odczytam z niej, kim jesteś.

Malowi nie spodobały się te słowa.

-- N-nie dotykaj mnie.

-- Nie dotknę. Chyba że mi pozwolisz. Obiecuję.

Mężczyzna spojrział na Vica, potem przeniósł wzrok z powrotem na ojca.

-- On cię nie zabije -- zapewniła Ratched. -- Jeśli nie spróbujesz nas skrzywdzić.

Vicowi wydawało się, że Mal znów wpadnie w szal, albo -- co gorsza -- rzuci się do ucieczki. Na twarzy androida na ułamek sekundy wymalowało się kilka sprzecznych uczuć, ale po chwili android przybrał neutralną minę. Vic nie potrafił odczytać jego emocji. Mal zgarbił się i skrzyżował ręce na piersi. Spuścił wzrok.

-- Nikomu n-nie z-zrobię krzywdy.

Gdy Giovanni podszedł do niego, Mal się wzdrygnął. Wygiął usta, a grymas niezadowolenia nieznacznie pogłębił zmarszczki na jego twarzy. Android nie oderwał spojrzenia od podłogi, gdy ojciec uniósł rękę i musnął dłonią płytkę na jego piersi.

-- Em -- mruknął cicho, wiodąc palcami po zatartych literach. -
- A.

Przerwał i nagle zeszywniał. Ręka mu zadrżała. Nie odwracając wzroku od Mala, zaczął bardzo powoli się wycofywać. Przybysz ponownie zmarszczył czoło. Zacisnął pięści.

Cichym, pełnym napięcia głosem Giovanni rozkazał:

-- Wszyscy wyjść. Już.

-- O-o -- szepnął Rambo.

-- Dlaczego? -- spytał Vic, kiedy ojciec plecami zetknął się z jego barkiem. -- Co zamierzasz...?

-- Z-znasz m-m-m-mnie? -- zapytał ostro Mal, robiąc gwałtowny krok w ich kierunku. Jego jąkanie się pogłębiło. Uniósł rękę i złapał się za głowę. Z gardła wydobył się pełen bólu warkot.

Vic spróbował obejść tatę. Nie wiedział, co ten planuje. Jak się zachować? Odciągnąć Giovanniego? Stanąc pomiędzy dwoma mężczyznami? Trzeba coś zrobić. Cokolwiek. Zanim w głowie pojawiła się koncepcja, ojciec złapał go za ramię i pociągnął mocno w kierunku drzwi. Siostra Ratched i Rambo ruszyli ich śladem.

Chłopak próbował się uwolnić.

-- Tato, przestań. Proszę, zostaw. Posłuchaj mnie! On nic nam nie robi.

Giovanni wypchnął go za drzwi.

-- Nie masz pojęcia, do czego jest zdolny. Wyjdź natychmiast. On...

-- Wyskoczył przez okno -- przerwał Rambo.

Wszyscy obrócili się w stronę pracowni. Była pusta.

Rzucili się w stronę balkonu i wyrzeli. Kilkanaście metrów niżej Mal podnosił się właśnie z przykłąku. Wokół niego w powietrzu unosiły się wzbite z ziemi liście i pył. Android zadarł głowę i spojrział na nich.

-- Ja n-nie krzywdzę -- wycedził, akcentując ostatnie słowo. A potem rzucił się biegiem w głąb lasu.

Ojciec uderzył otwartą dłonią w poręcz.

-- Cholera jasna! Zostańcie tu, cała trójka.

Jednym susem przesadził balustradę. Uderzył w ziemię dokładnie w punkcie, w którym przed chwilą stał Mal. Kolana zgięły się, z łatwością absorbując siłę uderzenia. Szybko się wyprostował i wystrzelił jak z procy w pogoni za uciekinierem. Pęd powietrza rozwiął mu brodę.

-- Ja cię -- szepnął z przejęciem Rambo. -- Też tak chcę!

Vic w ostatniej chwili złapał odkurzacz, zanim ten rzucił się z balkonu. Wsadził go pod pachę i ruszył w stronę windy. Siostra Ratched czekała już w kabinie. Wcisnęła guzik, gdy tylko Vic i Rambo znaleźli się w środku. Dźwig ruszył z szarpnięciem i pojechał w dół.



Tropili ojca i Mala w leśnej gęstwinie, kierując się na północ. Gąsienice pielęgniarzy wzbijały w powietrze tumany sosnowych igieł i pożółkłych liści. Rambo pędził kilka metrów przed nimi, wymachując wysięgnikami i kłapiąc szczypcami.

Popołudniowe słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Powietrze było chłodne. Vic nie miał pojęcia, dokąd zmierza Mal.

Złomowisko było po wschodniej stronie, na skraju lasu. Na północy nic -- tylko gęstwiną, która ciągnęła się chyba w nieskończoność. Vic zwiedzał okolicę od małego. Mal nie zdołałby się przed nim ukryć.

Cienie rzucane przez korony drzew mocno się wydłużyły. Dookoła zapadła prawie całkowita cisza. Vic nigdy nie doświadczył takiej martwoty w puszczy. Nie było żadnych zwierząt. Żadnego ruchu. Żadnego ptasiego trelu.

Biegł dalej, rozglądając się w lewo i w prawo z każdym krokiem. Po pewnym czasie uświadomił sobie, że jest sam. Odwrócił się przez ramię. W oddali dostrzegł swoich przyjaciół. Obydwoje zatrzymali się na granicy niedużej polany.

-- Co tam? -- spytał, gdy do nich zawrócił.

-- Nie wiem -- odparła siostra. -- Tutaj urywa się ich trop. Nie widać śladów stóp. Jakby nagle zniknęli. -- Na ekranie pielęgniarce pojawił się ciąg znaków zapytania.

-- To niemożliwe -- stwierdził Vic. -- Jak myślisz, Rambo?

Odkurzacznik pokręcił się wokół własnej osi, błyskając sensorami.

-- Zniknęli. Nie rozumiem, jak do tego doszło. -- Pisnął skonfundowany. -- Może nauczyli się latać? Czy Gio potrafi latać? Ma rakiety w podszwach? Chciałbym mieć rakiety w podszwach. Chciałbym mieć podszwy.

-- Nie odlecieli -- parsknęła siostra Ratched. Potoczyła się do drzewa na skraju polany, do wielkiej starej sosny o grubym pniu i ciężkich konarach. Końcówką jednej z macek dotknęła wyrwanego placka mchu, który porastał korę. Vic wcześniej nie zauważył tych śladów. -- Wspięli się na górę. Poruszają się koronami drzew.

Uniósł głowę. Sosny rosły bardzo blisko siebie. Jeśli obaj skakali z gałęzi na gałąź, to koniec, nie da się ich dalej tropić. Chyba że...

Zmrużył oczy, oceniając szanse. Cztery i pół metra wyżej dostrzegł ułamaną gałąź, wiszącą na skrawku kory.

Przeniósł wzrok na kolejne drzewo. Tam też dostrzegł ślady. Popękana kora, leniwie wyciekająca żywica. Jeden z nich musiał

tam przeskoczyć. To samo na kolejnej sośnie. I kolejnej.

-- Chodźcie -- zarządził. -- Tędy.



Zgubili trop dziesięć minut później. Drzewa rosły coraz gęściej. Nie dało się dostrzec trasy Gio i Mala. Przynajmniej nie z ziemi. Vic sapnął sfrustrowany. Zrobił kółko, zmrużył oczy i spojrzał na ciemniejące niebo.

-- Zgubiliśmy się? -- spytał nerwowo Rambo.

-- Oczywiście, że nie -- zgañiła go siostra. -- Doskonale wiem, gdzie jesteśmy.

-- Aha. A gdzie?

-- W lesie.

-- Uff -- westchnął odkurzacz. -- Już się martwiłem, że naprawdę zabłądziliśmy. Skoro jednak nie, skupię się na tym, że znaleźliśmy się zupełnie sami pośrodku bezkresnej puszczy. Czy drapieżniki polują na odkurzacze?

-- Z pewnością -- odparła siostra Ratched.

-- O rany -- szepnął Rambo. -- Ale przecież... ja jestem odkurzaczem.

Vic powoli obracał się dookoła, próbując odnaleźć trop. Zapadający zmrok nie ułatwiał mu zadania. Chłopak nie widział już prawie nic. Zgrzytnął zębami. Musiał oczyścić umysł. Przeanalizować wszystko. I tyle. Myśl. Myśl!

Obszedł gruby pień i wpadł na maszynę medyczną, która stała w miejscu. Przed nią Rambo kręcił się w panice, migając światłkami.

-- O co chodzi? -- Victor wyjrzał zza pielęgniarce. Chyba nic nadzwyczajnego się nie działo. W każdym razie niczego nie potrafił dostrzec w ciemności.

-- Ktoś nas obserwuje -- oznajmiła siostra.

Rambo zakwilił głośno.

-- Naprawdę? -- Uniósł ramiona i powoli podjechał naprzód. -
- Kto taki? Kto nas podgląda? Nie boję się ciebie! -- krzyknął.

Coś zaszeleściło w zaroślach -- wiatr? -- a mały odkurzacz zawył z przerażenia, zawirował i rzucił się z powrotem w kierunku większego robota i człowieka. Robocikowi został jeszcze metr drogi, kiedy Vic usłyszał jakiś dźwięk z góry. Zadarł głowę.

Wysoko w gałęziach otworzyły się i zalśniły oczy. Patrzyły wprost na niego.

Chłopak nie zdążył ostrzec przyjaciół, kiedy Mal rzucił się z konaru, na którym stał. Runął na ziemię z ogromną prędkością i uderzył w leśne poszycie dokładnie pomiędzy trójką przyjaciół. Przykucnął, po czym szybko się wyprostował... z Rambo w rękę. Uniósł go wysoko. Kółka odkurzacza obracały się w powietrzu, wysięgniki bezsilnie wymachiwały, a robot krzyczał wniebogłosy, że jest zbyt młody, by umierać, że ma plany i marzenia, które chce zrealizować, a poza tym kto będzie sprzątał w domu, kiedy go zabraknie. Nikt. Nikt nie posprząta!

Siostra Ratched w mgnieniu oka przeobraziła się w potwora rodem z najgorszych koszmarów -- wypuściła wszystkie macki naraz i uruchomiła paralizatory, które trzeszcząc i iskrząc, strzelały wokół niej niczym biczem.

-- Natychmiast go odstaw -- zadudniła, szarżując. -- Jeśli go nie puścisz, zakończę twoją żalospną egzystencję!

-- Vic! -- zawołał Rambo. -- Jestem bardzo dzielny, ale to strasznie trudne!

-- Nie rób mu krzywdy -- błagał chłopak.

Mal wbił wzrok w nacierającą na niego siostrę Ratched. Rambo wciąż wisiał w powietrzu.

-- N-n-nie krzywdzę -- rzucił szybko. -- P-patrzcie! -- Skinął głową na ziemię, po której wcześniej jeździł Rambo.

Na różowofioletowych płatkach krokusa przycupnął motyl: duży okaz monarchy o ciemnopomarańczowych skrzydłach z czarnymi obwódkami nakrapianymi bielą. Skrzydła powoli opadały i się wznosiły. Czułki podrygiwały nerwowo.

Mał odrzucił Rambo w krzaki, a sam opadł na kolana przy barwnym insekcie. Odkurzacze odbił się od miękkiego podłoża, po czym wylądował na kołach.

Android zbliżył twarz do motyla i obserwował go w skupieniu. Owad ignorował jego obecność pochłonięty tym, czym motyle zazwyczaj bywają pochłonięte. Vic patrzył w osłupieniu, a macki siostry Ratched przestały krzesać iskry. Mał wyciągnął dłoń.

Nie zastanawiając się wiele, Vic rzucił się naprzód i złapał mężczyznę za nadgarstek, zanim ten zdążył podnieść insekta. Ciepłą syntetyczną skórę i metal otoczyła organiczna dłoń. W mózgu Vica rozbrzmiały syreny alarmowe. Mał powoli przeniósł wzrok z palców człowieka na jego przedramię, bark, potem brodę, nos i wreszcie oczy. Usta uniosły się, odsłaniając zaciśnięte zęby. Vic poczuł, jak android tężeje.

-- Zrobisz mu krzywdę -- wypalił.

Mężczyzna wyrwał rękę z uścisku.

-- Nic p-podobnego.

-- Ale mógłbyś go uszkodzić -- wtrąciła siostra Ratched. -
- Skrzydła motyli są bardzo delikatne. Dotyk zwykle powoduje blaknięcie koloru, a w rezultacie osłabia kamuflaż. Twój dotyk nie zabiłby go od razu, ale skazałbyś go na śmierć.

Vic za plecami usłyszał zbliżające się kroki. Serce podskoczyło mu do gardła. Spośród drzew wyłonił się ojciec. Chłopak z trudnością odczytywał emocje na jego twarzy. Była tam złość, ale do-

strzegł też głęboki smutek i coś jeszcze. Coś o wiele bardziej przejmującego -- jak gdyby rezygnację. Giovanni nie patrzył jednak na Vica. Wzrok miał skupiony na Malu.

-- Siostró Ratched. Światło, proszę.

-- Tak, Gio. -- Ekran pielęgniarki rozblił białą poświatą. Cień Mala wydłużył się, niknąc w ciemności, zlewając się z drzewami i krzewami.

Android ani drgnął, kiedy ojciec do nich podszedł. Usiłował obserwować jednocześnie Giovanniego i motyla. Stary Lawson przeniósł wzrok z Mala na owada i z powrotem.

-- Dlaczego? -- spytał.

-- U-umarłby. T-to coś by go r-r-rozjechało. -- Spojrzał na Rambo groźnie, po czym wrócił do obserwacji insekta.

-- Być może. Ale przerwałeś ucieczkę. Podjąłeś decyzję. Przeanalizowałeś konsekwencje. Dlaczego tak postąpiłeś?

Mal zmarszczył brwi. Na czole pojawiły mu się poziome zmarszczki. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich dźwięk. Spróbował ponownie.

-- J-jest m-miły -- powiedział w końcu.

-- Miły -- powtórzył ojciec. -- Co w nim takiego miłego?

-- P-przecież m-m-masz oczy -- burknął android.

-- Punkt dla Mala -- oznajmiła siostra Ratched. -- Masz nawet dwie gałki oczne.

-- Owszem. I widzę tego motyla -- przyznał Gio. -- Ale nie o to pytam. -- Kucnął po drugiej stronie kwiatu zajmowanego przez monarchę. -- Dlaczego ty uważasz, że jest miły? Jakie wywołuje w tobie uczucia?

-- U-czu-czu-cia?

-- Tak. Zobaczyłeś motyla. Uratowałeś mu życie. Z jakiego powodu? -- drążył Gio. Mal w ciszy obnażył zęby. -- Podoba ci się?

-- T-tak. J-jest ł-ł-ł-ładny.

Ze wszystkich rzeczy, które w tej sytuacji mógł powiedzieć android, ta wydała się Vicowi najdziwniejsza. Mężczyzna pozbawił się nadziei na ucieczkę, ponieważ zafascynował go motyl.

-- Jak to? -- dopytywał ojciec. -- Ma ładne kolory? Wzór na skrzydłach? Kształt?

-- T-tak.

Gio pokiwał głową.

-- Czyli ci się podoba. I z tego powodu zapobiegłeś jego śmierci.

-- To tak jak my -- wtrącił Rambo, objeżdżając swojego oprawcę szerokim łukiem. Zatrzymał się obok Giovanniego. -- Zachwyciliśmy się jego kolorami i wzorem, i kształtem, więc przywróciliśmy mu życie! Lubię, kiedy coś nas łączy.

-- T-tak -- powtórzył Mal z niejakim entuzjazmem. -- T-to. U-r-ratowali mnie. A ja ur-r-ratowałem motyla.

-- Ale widzisz też kłopot? -- Ojciec nie dawał za wygraną. -- Jeżeli oni nie przywróciliby cię do życia, nie wylądowalibyśmy w lesie, a motyla nie trzeba by było ratować.

-- N-nie r-rozumiem.

-- Wiem -- westchnął Giovanni. -- Nie rozumiesz, że każda decyzja niesie ze sobą określone konsekwencje. Nie jesteś w tym jedyny.

Vic się skrzywił, ale nijak tego nie skomentował.

Monarcha wybrał ten właśnie moment, by poderwać się z kroska. Zatrzepotał skrzydłami i uleciał. Mal sapnął, wybałuszając oczy i śledząc owada, gdy ten niknął w ciemności. Potem wstał i nadal wypatrywał stworzenia.

Ojciec poszedł za jego przykładem. Z jego twarzy nie dało się nic wyczytać, ale był spięty, sztywny.

-- Skąd się wzięłeś? -- zagadnął w końcu.

-- Z c-ciemności -- odparł Mal, wciąż wodząc wzrokiem za monarchą, choć od pewnego czasu nie było go już widać. -- P-pamiętam metal. Potem c-ciemność. Potem ś-światło. -- Przycisnął drewnianą dłoń do torsu. -- Czuję się inaczej.

-- Inaczej niż kiedy?

-- Niż przedtem.

-- Czuleś się inaczej, niż czujesz się teraz?

-- Tak. -- Uderzył się w pierś. -- O tutaj.

-- Pokaż.

-- Tato -- bąknął Vic, ale senior tylko pokręcił głową.

-- Pokaż mi -- powtórzył.

Mężczyzna się odwrócił. Trochę niepewnie stuknął palcem w obojczyk -- komora się otworzyła. Zębatki drewniano-metalowego serca obracały się płynnie. Organ szumiał cicho w mroku.

-- Och -- westchnął ojciec. -- Victorze. Ty to zrobiłeś? Sam to zbudowałeś?

Chłopak nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

Mal stał jak wryty, kiedy Giovanni pochylił się, by bliżej przyrzyć się sercu. Chłopak przygryzł wargę. Ojciec w ciszy i kompletnym bezruchu obserwował biomechaniczną część. Kolejne minuty upływały bardzo powoli. Vicowi wydawało się, że cała sytuacja trwa wręcz godzinami.

-- Victorze -- powiedział w końcu ojciec, a w jego tonie po-brzmiewało coś niespotykanego. -- Czy w tym sercu jest twoja krew? Tak jak w moim?

-- Ja tylko... Ja chciałem pomóc -- wyszeptał Vic. -- Dzięki temu działa twoje serce, prawda?

Na to ojciec zamilkł, by po chwili wyszeptać smutno:

-- Co ty narobiłeś?

ROZDZIAŁ 8

Mal był dupkiem.

To było jasne od samego początku.

-- N-nie lubię c-cię -- powiedział do Rambo, kiedy wrócili do domu. Odkurzacze trajkotał o wszystkim i o niczym, jak to miał w zwyczaju, kiedy się denerwował.

Rambo przystanął na chwilę, zapalił lampki, po czym je zgasił.

-- Nie szkodzi. Ważne, że ja lubię siebie. Gio mówi, że moja wartość nie zależy od tego, co ktoś o mnie myśli, ale od tego, co sam myślę o sobie.

Wtedy Mal spróbował go kopnąć, ale odkurzaczyk okazał się szybszy i odjechał, zanim stopa androida dosięgła jego obudowy.

-- Hej -- gwizdnął. -- Niefajnie! Totalnie niefajnie!

-- Przyzwyczajasz się -- mruknęła siostra Ratched w stronę androida. -- Mały jest jak grzyb. Wrasta pod paznokcie i nie da się go pozbyć. Ale spróbuj zaniechać kopania. Jeszcze go uszkodzisz. A to by mnie zdenerwowało. Nie chcesz wiedzieć, jaka się staję, kiedy się wkurzę. Uwierz mi, kolego. -- Zamachała macką w powietrzu, krzesząc iskry. -- Chyba że sam lubisz być kopany. -- Jej ekran przygasł, a światła w całym domu rozjarzyły się mocniej.

-- C-ciebie t-też nie lu-lubię.

-- O nie -- powiedziała beznamiętnie. -- Zepsułeś mi cały dzień. Jestem taka smutna. Żarcik. Zupełnie mam to gdzieś.

-- Chodź ze mną, Mal -- rzucił ojciec. -- Victorze, ty idź spać. Jest późno. Siostrze Ratched, proszę za mną. Czeka nas dużo pracy.

-- Co chcesz...? -- zaczął protestować syn.

-- Victorze. Już. Porozmawiamy rano. Masz to jak w banku.

-- Ooo -- jęknął Rambo. -- Przechlapane.

Vic spiorunował go wzrokiem.

-- Nie jestem już dzieckiem.

-- Owszem -- odparł ojciec. -- Nie jesteś. Ale zaczynasz powłóczyć nogami. Adrenalina ci skoczyła, a teraz jej poziom spada. Musisz odpocząć.

-- Co zrobisz? -- spytał chłopak. Nie dodał "jemu".

Gio pokręcił głową.

-- Nie wyrządę mu krzywdy. Daję słowo.

Victor wciąż się wahał. Mal znów na niego patrzył. Wyglądało to tak, jakby nie chciał spuścić go z oczu. Vic nie był pewien, czy mu się to podoba.

-- Dobra. Ale jeśli cokolwiek mu się stanie, od razu mi powiesz, zgoda?

-- Tak, obiecuję -- zapewnił ojciec.

Chłopak mu uwierzył. Zrobił krok w kierunku windy.

Mal zareagował natychmiast.

-- D-do-dokąd i-i-idziesz?

Vic wskazał ku górze, na swój pokój.

-- Tam. To moja sypialnia.

-- O, tak -- mruknęła siostra Ratched. -- Świetna myśl. Wskaż morderczemu psychobotowi, gdzie zwykle godzinami leżysz bez życia, kompletnie bezradny. Nieźle to wykombinowałeś.

-- To będzie krwawa jatka! -- jęknął Rambo. -- I przyjdzie mi sprzątać twoje bebechy. -- Chlipnął żałośnie. -- Przynajmniej wtedy już na zawsze pozostaniesz częścią mnie. Kocham cię, Vic, i nie przestanę cię kochać, nawet kiedy będziesz tylko mokrą plamą na podłodze...

Mal ruszył śladem chłopaka ze zrezygnowaną miną. Gdy Vic dał mu znak, by go zostawił, android wykrzywił usta ze złości.

-- Przywiązał się do Victora -- skomentowała siostra Ratched. -
- Jak kaczątko. Przerazające, mordercze kaczątko. Cudownie.
Świetnie się bawię.

-- Nic ci się nie stanie -- zapewnił Victor androida. -- Tata nic
złego ci nie zrobi. Nikt cię tu nie skrzywdzi.

-- N-nie obcho-o-dzi mnie to -- warknął Mal. -- N-nie lubię cię.
N-nie lubię w-was w-wszystkich.

-- To dlaczego tak za nim łązisz? -- spytał podchwytliwie
Rambo.

Mal podjął kolejną próbę kopnięcia odkurzacza, ale tym razem
zdradziła go drewniana noga. Prawie się obalił.

-- N-nie łążę!

-- Jasne -- przytaknęła ironicznie siostra. -- Tak sobie wma-
wiaj.

Vic po raz ostatni tej nocy spojrział w kierunku swojego nowego
przyjaciela, kiedy ten odchodził za ojcem w stronę naziemnej czę-
ści domu. Android podążył za starszym mężczyzną, obracając się
co rusz i patrząc przez ramię na chłopaka. Zatrzymał się
w drzwiach i obserwował, jak Vic wraz z Rambo wjeżdżają windą
na górę.



Vic stał przy oknie, patrząc z góry na parter. Za nim Rambo
mościł się w stacji dokującej, przygotowując do przejścia w stan
uśpienia i ładowania baterii. Na dole paliło się światło, ale przez
szybę nie widać było żadnego ruchu.

-- Jak myślisz, co robią? -- spytał Vic.

-- Pracują nad tym, żeby Mal nie pozabijał nas we śnie -- od-
parł Rambo, po czym się wyłączył. Na jego obudowie pozostało
tylko jedno leniwie pulsujące niebieskie światełko.

Vic próbował odgonić sen. Rozwahał, czy zakraść się na dół i podejrzeć, co się tam dzieje. Dlaczego ojciec nie zabrał Mała do swojego laboratorium? Sił wystarczyło mu na kilka minut czuwania. Potem ciało zaczęło poddawać się zmęczeniu.

Chłopak ledwie doszedł do własnego łóżka, po czym opadł na materac bez czucia. Zanim głowa na dobre wylądowała na poduszce, już głęboko spał.



Gdy ponownie otworzył oczy, przez okno do pokoju wpadała szara poświata poranka. Przeciągnął się powoli. A potem poderwał się w panice. Ktoś nad nim stał.

-- Dzień dobry -- przywitała go radośnie siostra Ratched. Vic prawie spadł z łóżka. Serce trzepotało mu w piersi jak oszalałe. -
- Wypałeś się?

-- Miałaś mnie tak więcej nie straszyć -- wycedził. Opadł z powrotem na poduszkę, ocierając twarz dłońmi.

-- Wiem. Ale postanowiłam zignorować twoje polecenie, bo za bardzo mnie to bawi. Masz wysokie ciśnienie krwi. Pocisz się. Śniłeś?

Tak. Realistyczne, wariackie sny, w których z nieba sypały się strzępy motyli skrzydeł.

-- Co się stało? Coś nie tak?

-- Nic z tych rzeczy, Victorze. A przynajmniej nic, czego się obawiasz.

-- Gdzie on jest?

-- Z Gio -- odparła. -- Pracowaliśmy całą noc, podczas gdy ty smacznie sobie spałeś. Zanim spytasz: tak, usiłuję wywołać w tobie poczucie winy. Dobrze mi idzie?

Niespecjalnie. Vic usiadł i spuścił nogi na ziemię. Było zimno. Miał gęsią skórkę.

-- Jakiś postęp?

-- Owszem -- potwierdziła siostra. -- Chociaż wątpię, by o taki postęp ci chodziło. -- Na jej ekranie pojawiło się zdjęcie Mala. -
- Jest tak, jak podejrzewaliśmy. Ma kompletnie wykasowaną pamięć. Wszystkie pliki z danymi zostały zniszczone. Gdy mówi, że nie pamięta, nie kłamie.

Został wycofany z eksploatacji podobnie jak Ratched i Rambo. Zabrano mu wszystkie wspomnienia.

-- A co z protokołami funkcji?

-- Nie wiemy. Dane są uszkodzone. Im bardziej będziemy dociekać, tym większe prawdopodobieństwo, że coś w nim uszkodzimy. -- Odjechała od łóżka. -- Wypytywał o ciebie całą noc. Ma dziwną obsesję, choć sam nie wie dlaczego. Jest dla mnie zagadką.

Vic wstał. Rama łóżka skrzypnęła głośno. Chłopak spojrzał w dół. Stacja dokująca odkurzacza była pusta.

-- Co z Rambo?

Obraz Mala zniknął z monitora. Zastąpiło go zdjęcie Rambo, tyle że z wielkimi zezowatymi oczami i krzywymi zębami.

-- Zadaje pytania. Malowi się to nie podoba. Oceniam szanse przetrwania Rambo na jakieś dwadzieścia cztery procent. Ale nie szkodzi. Możemy wykorzystać go na części zamienne. Jeśli nie masz nic przeciwko, chętnie wezmę jego wysięgniki.

Z gardła Vica wydobył się jęk rezygnacji. Zapowiadał się ciężki dzień.



Siostra Ratched nie kłamała.

-- O czym myślisz? -- Już zjeżdżając windą, Vic słyszał trajkota nie Rambo. -- Co masz w tym momencie w głowie? Myślisz, że powinniśmy zostać najlepszymi przyjaciółmi? Bo jeśli tak, to ja my-

ślałem dokładnie o tym samym. I tak, zgadzam się. Najlepszych przyjaciół nigdy zbyt wielu. Mam już troje. Wróc, dwoje. Vica i Gio. Siostra Ratched bywa moją najlepszą przyjaciółką, ale to so-cjopatka, więc nie do końca się lubimy. Łatwo nie jest.

-- Nie -- warknął w odpowiedzi Mal. -- Nie myślałem o tym.

-- Och. To o czym?

-- O tym, jak daleko byłbym w stanie tobą rzucić.

-- Na pewno bardzo daleko -- odparł Rambo z entuzjazmem. -

- Ale najlepsi przyjaciele nie rzucają sobą nawzajem. Vic mi o tym powiedział.

Nic takiego nie mówił.

Znalazł odkurzacza i androida w ogrodzie. Niebo nad ich głowami zasnuwała gruba warstwa chmur.

Siostra Ratched jechała krok za nim, krusząc gąsienicami cienką warstwę lodu, pokrywającą ziemię. Vic szczerzej otulił się płaszczem i pocierał dłońmi ramiona, żeby choć trochę się rozgrzać.

Mal dostał nową koszulę. Wyglądał w niej jak Giovanni w swoich ubraniach. Była na niego zbyt luźna. Włożył też buty. Siedział teraz na samym skraju ogrodu. Ojciec klęczał pochylony nad grządką.

Mal pierwszy zauważył człowieka i pielęgniarkę. Wstał i obrzucił ich ponurym spojrzeniem.

Uniósł brwi.

-- W-wyłączyłeś się n-na bardzo dłu-u-gi okres. Dlaczego?

Vic nie wiedział, jak odpowiedzieć na to pytanie.

-- Tak już mam.

-- Dlaczego?

-- On jest człowiekiem -- podpowiedział ojciec, nie podnosząc głowy. -- Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym w nocy. Nie jest taki

jak my. Potrzebuje odpoczynku.

-- B-bo musi n-n-naładować b-baterie.

-- Tak. Właśnie. Dzień dobry, Victorze. Wypałeś się?

Vic przeniósł wzrok z Mała na ojca. Nie podobał mu się ton Gio. Był zbyt pogodny i beztroski.

Upiekło mu się? Nie, niemożliwe. Victor nie potrafił zrozumieć, skąd u taty taki dobry humor.

-- Chyba tak.

-- Świetnie. -- Giovanni przesunął się na kolanach z trzeciej nad czwartą grządkę.

-- Cz-czy naładowa-a-łeś bate-e-rie? -- spytał Mał.

-- Tak -- odparł Vic. Dłoń mu zadrżała. -- Na tyle, ile się dało.

Oczy Mała pozostały szeroko otwarte. Nie mrugał. Dziwaczne wrażenie. Vic nie potrafił skupić wzroku na jego twarzy. Zerkał tu i tam, popatrując tylko na nowego kompana.

-- I r-robisz to co-o-dziennie?

-- Zazwyczaj.

-- A to ciekawe -- stwierdziła siostra. -- Uczy się. Zachowuje nowe informacje. Wykorzysta je przeciwko nam. Niezwykle mi się podoba. -- Podjechała do Mała i okrążyła go, ostrożnie, by nie rozjechać roślin. -- Miło widzieć Victora?

Ojciec na sekundę zamarł.

Mał się skrzywił.

-- N-nie?

-- To było pytanie? -- Dźgnęła go macką. Android usiłował ją odepchnąć, ale siostra była szybsza. -- Bo brzmiało jak pytanie. A to oznacza, że nie znasz odpowiedzi.

-- Nie -- powtórzył Mał, tym razem z większą pewnością i rosnącą wściekłością.

-- Ciekawe. Albo jesteś szczerzy, albo już nauczyłeś się kłamać. Victor też się tego ostatnio nauczył. Gio, to musi w tobie budzić sprzeczne uczucia.

Mal powoli odwrócił się, obrzucając pielęgniarkę wzrokiem. Cierpliwie znosił dziobanie macką w biodro.

-- U-uczucia.

-- Tak -- westchnął ojciec, podnosząc wreszcie wzrok. Usiadł na piętach. Pod paznokciami miał ziemię. Oparł dłonie na udach. -

-- Uczucia.

-- A-ale jak to?

-- Obserwujemy. Uczymy się. Przetwarzamy informacje. Nie zawsze tak było. Im bardziej złożone stawały się nasze umysły, tym więcej mieliśmy możliwości. Ewoluwaliśmy, naśladując ludzi.

-- J-ja nie m-mam u-uczuć.

-- Tylko tak mówisz. -- Giovanni pokręcił głową z zafrasowaną miną. -- Zadam ci pytanie. Chciałbym, żebyś dobrze przemyślał odpowiedź.

Mal spojrział na Vica, a następnie z powrotem na Gio.

-- S-słucham.

-- Jakie masz oznaczenie?

Mal wzdrygnął się gwałtownie, jak gdyby ktoś go uderzył. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Uniósł rękę na wysokość twarzy, wbił wzrok w swoje drewniane palce.

W końcu powiedział:

-- Mal. M-moje oznacze-e-nie to M-Mal.

-- Czyżby?

-- Tak. N-nadano m-mi takie imię. To m-moje i-imię.

-- I nie chciałbyś, żeby ktoś nazywał cię inaczej?

-- Nie.

-- Dlaczego? -- dopytywał ojciec.

Na chwilę twarz Mała straciła wyraz. Zadrżała mu powieka.

-- N-nie wiem.

-- Ja wiem! -- zawołał Rambo, machając rękami. -- Wiem, wiem! Spytajcie mnie. Spytajcie!

Ojciec się roześmiał.

-- Dlaczego, Rambo?

-- Bo oznaczenie to podarek -- odparł odkurzacz. -- Imię to tożsamość. Wyróżnia nas spośród innych. Dzięki imionom stajemy się wyjątkowi. W całej historii świata przede mną nikt nigdy nie nazywał się Rambo. A nawet, jeśli się nazywał, ja jestem lepszym Rambo.

-- Otóż to -- przyznał ojciec. -- Imię daje ci osobowość.

-- Wagę -- dodał Mał. -- Ciężar. -- Przyłożył dłoń do skroni.

-- I jak się z tym czujesz? -- dopytywał ojciec.

Android opuścił rękę.

-- Cz-czuję... -- Zmarszczył czoło, po czym rozluźnił twarz. -
- Inaczej.

-- Ale dobrze inaczej, czy źle inaczej?

-- Inaczej i-inaczej. A-ani d-dobrze, a-ani źle.

-- Więc kiedy nazywamy cię Małem, czujesz się po prostu inaczej.

-- Tak.

-- I to ci się podoba.

-- T-tak jak z t-tym moty-y-lem -- przytaknął.

Vic poczuł ciepło. Sam nie bardzo rozumiał dlaczego. Nie chodziło o to, że właśnie się dowiedział, że to, co zrobił, było słuszne. Nie chodziło też o pochwałę, bo przez całą rozmowę Mał wyglądał, jakby miał ochotę kogoś udusić. A może zawsze tak wyglądał.

Chłopakowi nie mieściło się w głowie, dlaczego ktoś postanowił stworzyć maszynę o tak groźnej aparycji.

-- Mal -- odezwał się.

Android spojrzał na niego.

Vic wzdrygnął się i przestąpił z nogi na nogę.

-- To dobre imię.

-- D-dlaczego s-się poruszyłeś? -- spytał mężczyzna. -- M-masz us-usterkę?

-- Nie -- wtrącił ojciec, zanim Victor zdążył odpowiedzieć. Chłopak posłał mu pełne wdzięczności spojrzenie. Zaszło mu w gardle, a język wydał się nagle sztywny i opuchnięty. Odmawiał posłuszeństwa. -- Nie ma żadnej usterki. Podobnie jak ty, on jest inny. Tak go zaprojektowano.

Mal spojrzał na Vica przenikliwym wzrokiem, po czym zaczął zacierać nerwowo ręce i przestępować z nogi na nogę, naśladując chłopaka.

-- Stop -- przerwał ostro Vic. -- Nie rób tak.

Android znieruchomiał.

-- D-dlaczego? T-ty tak r-robisz. J-ja też mogę.

-- Ale z ciebie dupek -- westchnęła rozanielona siostra Ratched.

-- Jestem dupkiem.

-- Podoba mi się ta zabawa -- dodał Rambo. -- A teraz powiedz: Rambo to mój najlepszy przyjaciel.

-- N-nie.

Ramiona Rambo powoli opadły.

-- Ojej. Myślałem, że tym razem się uda.

-- N-nie j-jestem m-m-miły -- powiedział Mal z naciskiem. -
- Jestem dupkiem. Jestem Mal. T-to moje oznaczenie. N-nie skrzywdzę dz-dzisiaj nikogo.

-- Ani dziś, ani nigdy -- dodał ojciec łagodnie.

-- A-ani nigdy. Chyba że...

-- Żadnego "chyba"! -- zawołał Rambo. -- Nie ma takich!

Mał zmarszczył brwi.

-- A w-właśnie, że s-są. W-właśnie t-to powiedziałem. Ch-chyba że. Ch-chyba że. Ch-chyba że.

-- O, nie! -- jęknął odkurzacz.

Ojciec powoli podniósł się z ziemi.

-- Chodźcie. Zobaczmy, czego możemy się jeszcze nauczyć.



Giovanni zaprowadził ich do domu. Mał szedł krok za Vikiem, nie spuszczając go z oczu, jakby chwila nieuwagi mogła sprawić, że chłopak zniknie. Vic, przyzwyczajony, że za plecami ma Rambo i siostrę Ratched, nie wiedział, jak zareagować. Nigdy dotąd nie słyszał, by maszyna mogła zafiksować się na punkcie kogoś innego. Być może Rambo -- a w mniejszym stopniu również siostra -- wykazywali podobne skłonności, ale przy nich Vic czuł się inaczej. To, co odczuwał przy Mału, było jednak... silniejsze. Wszechogarniające. Android prawie wpadł na Vica w drzwiach.

Wszyscy zebrali się wokół fotela ojca. Giovanni jednak nie usiadł. Wskazał Małowi, by to on zajął miejsce. Ten nie oponował. Gdy spoczął, oparł dłonie na udach.

-- Pamiętasz, co powiedziałem ci zeszłej nocy, zanim poszliśmy do laboratorium?

Mężczyzna skinął głową. Ruch był przerywany i sztywny, jak gdyby Mał dopiero się go uczył.

-- N-nie z-z-robisz mi k-krzywdy, j-jeśli cię do tego nie z-zmuszę.

Ojciec zmarszczył brwi.

-- Nie mówiłem nic o robieniu krzywdy. Powiedziałem, że jeśli stworzysz zagrożenie, wtedy ja cię powstrzymam.

Android spojrzał na niego.

-- A c-co za r-różnica?

-- Potrafisz odczuwać krzywdę?

Mał przechylił głowę.

-- N-nie r-rozumiem.

-- Poczucie krzywdy wiąże się ze zdolnością odczuwania. Z uczuciami. Co czujesz?

-- Cz-czuję, że z-zadajesz zbyt w-wiele pytań.

Vic wybuchł śmiechem, ale natychmiast zamaskował go kaszlem. Chyba jednak nikt się nie nabrał. Mał podniósł głowę i spojrzał na niego.

-- C-co to b-było?

-- Śmiech -- wyjaśnił ojciec z miną, jakby sam usiłował zachować powagę. -- Rozbawiły go twoje słowa.

-- N-nie jestem z-zabawny.

-- To kwestia subiektywna -- odparł Gio. -- Bywasz...

Mał wydał z siebie niski, gardłowy, nieprzyjemny dźwięk. Dopiero po chwili Vic uświadomił sobie, co słyszy. Śmiech. Mał się śmiał. Odgłos urwał się równie szybko, jak zaczął.

-- T-tak.

-- Fascynujące -- zachwyciła się siostra Ratched. Na monitorze wyświetliła ciągi równań zmieniające się zbyt szybko, by za nimi nadążyć. -- Doskonała imitacja.

-- Teraz naśladowaj mnie! -- zawołał Rambo. -- Teraz mnie!

-- T-teraz m-mnie -- powtórzył Mał ze złośliwym uśmiechem.

-- T-t-teraz m-mnie. N-nigdy się nie zam-m-mykam.

-- Wow -- mruknął Rambo. -- To była bardzo dobra imitacja.

-- On się uczy -- oznajmił ojciec, kucając przed nowym mieszkańcem domostwa. -- Będzie zdobywał coraz więcej wiedzy, a jego zdolność przyswajania jej będzie rosła w postępie geometrycznym.

-- Dlaczego? -- spytał Vic.

Tata westchnął.

-- Dzięki tobie, Victorze.

Chłopak poczuł gulę w gardle.

-- Mal -- mruknął ojciec. -- Zademonstrujesz nam?

Android powiódł wzrokiem po wszystkich, po czym spojrział na Vica. Skinął głową. Rozciągnął kołnierzyk i zdjął z siebie koszulę. Złożył ją starannie i położył sobie na udach.

Drewniane elementy na klatce piersiowej lśniły w zimnym świetle poranka, wpadającym do pomieszczenia przez świetliki w suficie. Ojciec wskazał palcem drewniany panel.

-- Dlaczego to zrobiłeś?

-- Skóry nie dało się zszyć -- wtrąciła pielęgniarka.

-- Dziękuję, siostrze, ale chciałbym to usłyszeć od Victora.

Zapadła cisza.

Vic zacisnął dłonie, aż zatrzeszczały stawy.

-- Bo... -- Odchrząknął. -- Niektóre rozcięcia były zbyt szerokie, by je zaszyć. Nie mogliśmy wyhodować nowej skóry, więc wykorzystaliśmy dostępne materiały.

-- A dlaczego nie użyłeś metalu?

Chłopak odwrócił wzrok.

-- On prawie cały jest z niego zrobiony. Pod skórą. Pomyślałem, że lepiej dodać trochę drewna. Chciałem, żeby był bardziej jak... -- Zamilkł, szukając odpowiednich słów. Nie do końca potrafił opisać, o co mu chodziło. Miał w głowie koncepcję, ale okazała się zbyt ulotna i niesprecyzowana, by nadać jej formę werbalną.

-- Marionetka Agresywno-Lekceważąca -- dokończył Mal.

-- To ja na to wpadłem! -- wykrzyknął Rambo.

-- Tak -- mruknął Vic, ale słowa nie oddawały tego, co czuł. -

- On... Myślałem, że będzie wyglądał lepiej.

-- I uformowałeś drewno sam.

-- Siostra Ratched mi pomogła.

-- Dziękuję, Victorze. Rzuciłeś mnie na pożarcie lwom. Zawsze chciałam zmierzyć się z lwem. -- Na ekranie pojawiła się kreskówkowa wersja lwa, rozszarpująca na strzępy małą imitację siostry Ratched. -- Owszem. Pomogłam mu.

-- Mal -- mruknął ojciec. -- Mógłbyś otworzyć komorę serca?

Android klepnął się w obojczyk. Ukryta klapka otworzyła się z sykiem. Serce wyglądało dokładnie tak, jak poprzedniego dnia. Biło. Koła zębate nie przestawały się leniwie obracać. Vic poczuł nagły przyływ dumy. Jego osiągnięcie. Jego dzieło. Satysfakcję natychmiast przyćmiło poczucie winy.

-- A to? -- spytał ojciec cicho. -- Dlaczego przede mną ukrywałeś?

Chłopak skulił się i odwrócił wzrok. Próbował poukładać myśli, ale te krążyły wyłącznie wokół poszarpanych motyli skrzydeł, powoli opadających dookoła niego -- zawsze na wyciągnięcie ręki, ale tuż poza jej zasięgiem.

-- No, bo... -- Wziął głęboki wdech i ponowił próbę. -- Bo chciałem... -- Co? Co takiego zamierzał? Po chwili wybrał opcję, która ocierała się o prawdę. -- Po prostu nie wiedziałem, czy ono będzie działać. Wolałem najpierw sprawdzić.

Ojciec pokiwał głową.

-- Dlaczego je zbudowałeś?

No właśnie. Dlaczego?

Powiedział jedyne, co przyszło mu do głowy:

-- Chciałem zobaczyć, czy potrafiłbym zbudować takie jak twoje. Na wszelki wypadek.

Ojciec podniósł się i wyprostował. Zanim Vic mógł zareagować, Gio pokonał dzielącą ich odległość i mocno objął syna. Chłopak oparł brodę na jego ramieniu. Mal przyglądał się im skupiony, z przechyloną głową i szeroko otwartymi oczami.

-- Mój cudowny chłopiec -- szepnął Gio. -- Kochane, naiwne dziecko.

Odsunął się, nadal jednak ścisnął ramiona syna.

Vic już zaczynał kręcić głową, ale powstrzymał się w ostatniej chwili. Musiał całą tę sytuację porządnie wytłumaczyć.

-- On zasługiwał na drugą szansę. Wszyscy na nią zasługujemy. Sam mnie tego nauczyłeś. Musiałem mu pomóc. Nie mogłem go zostawić na pastwę losu.

Gio przez długą chwilę wpatrywał się w Vica, po czym się odwrócił.

-- Mal. To twoje serce.

Android spuścił wzrok, po czym ponownie podniósł głowę.

-- T-tak.

-- Twoje.

-- Tak.

-- Chcesz je zachować?

Komora zatrzasnęła się szybko.

-- N-nie oddam g-go. J-jest moje. V-Victor mi je poda-a-rował.

Dźwięk własnego imienia w ustach mężczyzny nie powinien robić na chłopaku takiego wrażenia. Zwłaszcza po tym wszystkim, co się ostatnio wydarzyło. A jednak. Z jakiegoś powodu ta zbitka sylab zabrzmiała niesamowicie. Sprawiała, że poczuł się ważny, wielki. A jednocześnie malutki.

-- Oczywiście -- przytaknął ojciec. -- Nie zabiorę ci go. Jest twoje tak długo, jak długo zechcesz je zachować. Muszę cię jednak ostrzec. Serce nie przypomina baterii, jaka cię do tej pory zasilala. Jest silne, ale też bardzo delikatne.

-- N-nie m-może być i t-takie, i t-takie.

Giovanni roześmiał się, lecz ten dźwięk wydał się Vicowi... pusty.

-- Być może lepiej, że nie pamiętasz dotychczasowego życia. Teraz już nic nie będzie takie samo. A serce? Ono jest... -- Pokręcił głową. -- Czymś szczególnym. Dzięki niemu staniesz się kimś więcej niż do tej pory. Może się też okazać, że będziesz cierpieć bez wyraźnego powodu. Jeśli zareagujesz na swoje tak jak ja na moje, zaczniesz odczuwać rzeczy, o jakich nawet ci się nie śniło. Jesteś maszyną, Mal. To pewne. Serce jednak zmieni dla ciebie wszystko. -- Ojciec westchnął. -- Dawno, dawno temu żył sobie blaszany drwal -- podjął po chwili. -- Pewnego razu powiedział: "Wezmę serce, bo mózg nie przynosi szczęścia, a szczęście jest najlepszą rzeczą na świecie".

Rambo wybuchnął śmiechem.

-- Blaszany! Jesteś pewien? Z takiej cienkiej blachy? Nie wydaje mi się, ale spoko.

-- Ależ tak -- zapewnił Giovanni. -- Jestem pewien. Mal, posłuchaj. Zrobię, co w mojej mocy, by cię wesprzeć. Możesz liczyć na nas wszystkich. Nigdy jednak nie zapominaj, że to Victor dał ci życie. Wskrzesał cię własnymi rękami. A teraz przepraszam, chciałbym zostać sam.

Po tych słowach starzec obrócił się i wyszedł, zostawiając ich w domu. Victor przez okno zobaczył go idącego w głąb lasu. Wiedział, że tata daleko nie pójdzie. Gio często mawiał, że najlepiej mu się myśli w ciszy.

Później -- o wiele, wiele później, gdy nie było już odwrotu -
- chłopak zastanawiał się, dlaczego ojciec nie zdradził mu tego,
czego sam się dowiedział. Wtedy jednak to nie miało już żadnego
znaczenia. Świat wyszczerzył kły -- ostre i groźne. A one niebawem
miały wbić się młodzieńcowi w ciało.

ROZDZIAŁ 9

Mał był cieniem Victora. Chodził wszędzie tam, gdzie chłopak, choć po minie Vica widać było, że wcale go to nie cieszy. Do laboratorium. Do lasu. Do kuchni. Do domu. Próbował nawet wepchnąć się z nim do toalety. Kiedy młodzieniec kazał mu poczekać przed drzwiami, android marszczył wściekle czoło.

-- D-dla-czego?

-- Potrzebuję prywatności.

-- Victor zamierza opróżnić jelita -- podsunęła pomocnie siostra Ratched. -- Robi to bardzo regularnie. Victorze, proszę, pamiętaj, by zostawić mi próbkę. Już prawie czas na badanie. Zdrowy Victor to szczęśliwy Victor.

Vic zatrzasnął drzwi i siedział w toalecie dłużej, niż było potrzebne. Kiedy wyszedł, Mał w dalszym ciągu tkwił w bezruchu, czekając. Obok niego stała siostra Ratched.

-- C-co tam r-ro-bieś? -- spytał Mał ostro. -- W-wydawałeś dźwięki, jakbyś się p-popsuł.

-- Nie mam czasu o tym dyskutować -- mruknął Vic. Przecisnął się między nimi i ruszył w kierunku mostu linowego.



W laboratorium postanowił zrobić przegląd wszystkich drewnianych części, którymi obdarował Mała. Zaczął od dłoni i ramienia. Sprawdził, czy drewno nie popękało podczas ucieczki przez las. Wszystko było w porządku, więc przeszedł do klatki piersiowej i pleców. Potem policzka. Nogę zostawił na koniec.

Mał siedział na stole ze spuszczone nogami i obserwował każdy ruch Victora. Rozebrał się na prośbę chłopaka. Spytał tylko

ze zdziwieniem, dlaczego ten przykrył mu krocze kocem.

Vic uniósł nogę androida i ją wyprostował. Słuchał skrzypienia metalowych kości pod drewnianą powierzchnią. Staw kolanowy się zablokował. Dotarcie do przyczyny tego stanu rzeczy zajęło chłopakowi tylko chwilę. Po wewnętrznej stronie kolana drewniana obudowa była odrobinę zbyt długa. Niewielki błąd, który na szczęście dało się szybko naprawić.

Wziął jedno z narzędzi z wieszaka i pokazał je Malowi.

-- To jest dłuto wygięte.

Robot zmarszczył brwi.

-- D-do czego s-służy?

-- Do rzeźbienia w drewnie. Kolano ci się blokuje. Dlatego się potykasz. Mogę to naprawić, jeśli chcesz.

-- Czy pacjenta należy znieczulić? -- zapytała siostra Ratched. -
- Służę pomocą.

-- Nie -- odparł Victor i obrócił się w jej stronę. Zdążył jeszcze zauważyć, jak pielęgniarka szybko chowa mackę zakończoną metalowym młotem. -- To nie będzie bolało.

-- B-bolało -- powtórzył Mal. -- N-nie z-z-robisz mi k-krzywdy, d-dopóki cię nie z-zmuszę. -- Słowa ojca. A przynajmniej ich parafraza. -- C-co to z-znaczy "b-bolało"?

-- Aua -- krzyknął Vic, kiedy siostra Ratched uderzyła go w głowę. -- Za co?

-- Wiesz przecież -- oznajmiła oschle. -- Taki przykład. Oto ból.

Mal spiorunował oboje wzrokiem.

-- Dobra. Z-zrób to. M-muszę się p-poruszać s-swobodnie. B-brak pełnego za-a-kresu ruchu s-stanowiłby za-a-groźenie. J-je-
steś d-delikatny.

-- To prawda -- przyznała pielęgniarka. Vic posłał jej ostre spojrzenie. -- Bardzo łatwo się psuje. Wada konstrukcyjna. Fa-

bryczna. Ludzie to mięczaki.

Chłopak przewrócił oczami, po czym opadł na kolana przed Malem. Wskazał siostrze, by przytrzymała nogę. Sam otarł pot z czoła. Podziękował Rambo, kiedy ten wysunął zestaw szkieł powiększających i zawiesił mu przed oczami takie o odpowiedniej sile.

-- Gotów? -- spytał.

Mal nie odpowiedział.

Vic przytknął dłuto do krawędzi drewnianej płytki. Planował po trochu ścinać warstwy, aż elementy zaczną idealnie do siebie pasować.

-- Auć -- burknął Mal.

Vic poderwał się nagle. Spojrzał na androida wielkimi oczami.

Ten popatrzył mu w oczy.

-- Auć -- powtórzył. -- T-to bolało.

Vic nie mógł uwierzyć.

-- Co? Naprawdę? Jak to? Nie rozumiem. To nie powinno...

-- P-praktyka -- wyjaśnił Mal. -- Ć-ćwiczyłem. Auć. Ból. Krzywda. -- Skrzywił się, po czym rozluźnił mięśnie mimiczne.

-- Nie rób tak więcej! -- napomniął go Vic z wyrzutem.

-- B-bo co?

-- Bo to wcale nie bolało. Nawet jeszcze nie zacząłem.

Mężczyzna przytaknął.

-- D-dobrze. P-poczekam, aż z-zacznie.

Vic usiadł na piętach i ponownie przygotował dłuto.

-- Nie o to mi... Dobra. Po prostu się nie ruszaj. Ani drgnij.

Mal zamarł. Nie mrugał, a jego usta zatrzymały się w pozycji półotwartej.

-- Co się stało? -- Vic pomachał dłonią przed twarzą androida.

Brak reakcji.

-- Umarł? -- szepnął Rambo nerwowo. -- Zabiliśmy go? O nie. O nie! Teraz już nigdy nie będę miał najlepszego przyjaciela, do czasu, kiedy znajdziemy kogoś innego i zapomnę, że Mal w ogóle istniał.

-- Nie porusza się, bo Vic kazał mu siedzieć w bezruchu -- przypomniała siostra Ratched. Jej głos był jak zwykle beznamiętny, ale pobrzmiwała w nim nuta jakby... rozbawienia? A przynajmniej tak się Vicowi wydawało.

-- Mal, możesz się ruszać -- powiedział.

Mal się poruszył. Przechylił głowę i mrugnął.

-- Z-zdecyduj się.

No jasne. Oczywiście, że tak to miało od teraz wyglądać.

-- Nie musisz robić wszystkiego, co mówię.

-- Wiem -- odparł android. -- D-dawaj. D-do roboty. Z-zimno mi bardzo.

Nie wiedząc, czy tym razem Mal żartuje, czy nie, Victor zaciął zęby i zabrał się do pracy. Przysunął twarz do szkła powiększającego. Uniósł dłuto po raz trzeci, zatrzymał nad powierzchnią drewna i poczekał na reakcję Mالا ciekaw, czy mężczyzna znów jęknie, by zabawić się jego kosztem.

Nie jęknął.

Vic przycisnął narzędzie do drewna. Na skórze zarysowały się ściegna, kiedy pociągnął dłutem w dół. Od powierzchni płytki oddzieliła się cienka warstwa.

-- Cz-czuję to -- powiedział Mal, ale nie cofnął nogi.

-- Naprawdę? -- zapytała siostra Ratched. -- Ciekawe. A co konkretnie?

-- Nacisk.

-- To nieprzyjemne?

-- N-nie. N-nie b-boli. Nie ma a-aua ani a-auć.

Vic pracował szybko i sprawnie. Zastygł na chwilę po usunięciu drugiej warstwy drewna. Kazał siostrze rozprostować i zgiąć nogę androida. Elementy nadal się o siebie ocierały, więc ściał kolejną strużynę. -- Spróbuj teraz.

Mał wstał. Koc opadł na podłogę.

-- Jest nagi -- zauważył Rambo zupełnie niepotrzebnie. Vic zmusił się, aby skupić wzrok na kolanie mężczyzny.

-- C-co teraz? -- spytał Mał.

-- Przejdź się. Sprawdź, czy noga lepiej pracuje.

Mał oczywiście wykonał polecenie co do joty. Zaczął chodzić po pokoju. Dreptał, bujając się na boki.

Nie zginał kolan.

-- No nie -- jęknął Vic. Android się zatrzymał. -- Chodź normalnie.

-- C-co to znaczy n-normalnie? -- spytał Mał.

-- Normalności tu nie uświadczysz -- rzuciła siostra Ratched.

Vic stwierdził w duchu, że nie cierpi ich wszystkich.

-- No, po prostu... chodź. Uginaj kolana. Chodź tak, jak zazwyczaj chodzisz.

-- N-normalnie -- powtórzył android. -- J-jestem n-norma-a-
lny. R-robię to, c-co z-zazwyczaj r-robię.

-- Właśnie tak.

Mał przytaknął.

A potem rzucił się pędem w kierunku drzwi, które w dalszym ciągu nie zostały naprawione.

Vic zerwał się z miejsca. Od razu potknął się i upadł; szybko jednak wstał i zaczął biec za mężczyzną. Pielęgniarka i odkurzacz deptali mu po piętach. Wypadli przed laboratorium dokładnie w momencie, gdy Mał przeskakiwał barierkę. Poleciał kilkanaście metrów w dół i ciężko uderzył o ziemię. Podniósł się i wystrzelił

przed siebie. Poruszał się tak szybko, że Vic ledwie nadążał za nim wzrokiem. Chłopak patrzył w osłupieniu, jak Mal znika między drzewami, przebierając nogami z nieprawdopodobną prędkością. Dotarł do grubego, starego dębu. Wyciągnął rękę i zahaczył nią o pień -- w powietrze wzbily się kawałki roztrzaskanej kory. Trzymając się w ten sposób, wyskoczył wysoko i okrążył drzewo, po czym wyleciał jak z procy i ruszył w przeciwnym kierunku.

Pędził w stronę naziemnego domku. Vic był pewien, że android wpadnie na ścianę. W ostatnim momencie Mal odbił się od ziemi i wskoczył na dach. Kilka kroków pomiędzy świetlikami i już znajdował się po drugiej stronie budynku.

-- Cóż... Normalność, jak widać, to rzecz subiektywna -- stwierdziła siostra Ratched. -- Mógłby chociaż coś na siebie włożyć.

Victor nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Patrzył zszokowany na to, co wyrabia nowy kompan. Android sprintem pobiegł do kolejnego drzewa. Wyskoczył w górę i złapał się gałęzi -- ta pękła, ale zanim spadła na ziemię, Mal zdążył wspiąć się wyżej, a potem jeszcze wyżej. Na szczycie drzewa znalazł się kilka sekund później. Stamtąd znów wybił się w powietrze, przeleciał kilka metrów i wylądował po drugiej stronie kompleksu zabudowań, tuż koło pracowni ojca. Przebiegł mostem linowym i wrócił do miejsca startu. Zatrzymał się przed Vikiem i spojrzał na niego z góry.

-- D-działa -- oznajmił spokojnie. -- N-normalnie.

-- Taak -- wymamrotał Vic. Nadal nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie wydarzyło. -- Chyba rzeczywiście działa.



Mal wielu rzeczy nie rozumiał. W związku z tym zadawał mnóstwo pytań.

-- C-co robisz?

-- Gotuję -- wytłumaczył Vic. Stał przed kuchenką i mieszał w garnku.

-- Dlaczego?

-- Bo muszę jeść.

-- D-dlaczego?

-- Moje ciało potrzebuje jedzenia. Jeśli przestanę jeść, umrę z głodu.

-- U-umrę z głó-głodu -- powtórzył Mal. Wpatrywał się, jak Vic nakłada gulasz na talerz i stawia go na stole. Chłopak uniósł łyżkę do ust i podmuchał na gorącą potrawę. -- D-dlaczego t-tak zrobi-i-łeś?

Vic westchnął.

-- Bo za gorące.

Mal kiwnął głową.

-- Za gorące. Ale i tak jesz, b-bo inaczej u-umrzesz.

-- Zgadza się.

-- J-jak często m-musisz jeść?

Vic zastanowił się chwilę.

-- Kilka razy dziennie.

-- B-bez sensu -- skwitował Mal. -- P-po co r-robić k-kogoś, kto jest tak b-bardzo uzależnio-o-ny od czegoś t-takiego? Sz-szczególnie, k-kiedy to c-coś jest za gorące.

Na to chłopak nie znał odpowiedzi.

-- Po prostu potrzebuję jedzenia. Jeśli chcę przeżyć. I tyle.

-- T-to nielogiczne. P-pomogę ci.

Zanim Vic zareagował, Mal wziął głęboki wdech. Potem wydał policzki, nachylił się nad talerzem i wypuścił powietrze. Nie tak, jak zrobiłby to człowiek. Jego wydech przypominał tornado. I gulasz, i talerz zleciały ze stołu. Potrawa obryzgała podłogę i ściany.

-- Proszę -- powiedział zadowolony z siebie android. -- Już nie takie go-o-rące. Posił się, ż-żeby nie umrzeć.

Wstał, obrócił się i wyszedł.



-- C-co robisz?

Vic miał ochotę krzyczeć. Wciągnął powietrze do płuc i powoli wypuścił.

-- Przygotowuję się do snu. Jestem zmęczony. To był trudny dzień. Potrzebuję snu.

-- Tryb czuwania -- podpowiedział Rambo, moszcząc się w swojej stacji dokującej. -- Ładowanie baterii.

-- Ł-ładowanie -- powtórzył Mal. -- Sen. Dlaczego?

Vic nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymał się, żeby nie walnąć głową w ścianę.

-- Już o tym rozmawialiśmy. Potrzebuję snu. Tak jak jedzenia. Potrzebuję, rozumiesz?

-- Ż-żeby nie umrzeć.

-- Otóż to. -- Chłopak zdjął kołdrę z łóżka. Usiadł. Rama zatrzeszczała. Ziewnął przeciągle.

Android przechylił głowę.

-- C-co ja m-mam robić, k-kiedy ty będziesz spał?

-- Idź do ojca -- mruknął Vic. -- Już pewnie wrócił. Albo pogadaj z siostrą Ratched. Albo zostań tutaj, ale bądź cicho. Nie wydawaj dźwięków, kiedy będę spał.

-- Z-zostanę tutaj -- zdecydował Mal.

Vic zamknął oczy, układając głowę na poduszce. Otworzył je chwilę później.

Mal stał tuż obok łóżka i przyglądał mu się z uwagą.

-- Co? -- warknął Vic.

-- C-cicho -- szepnął Mal. -- Bądź c-cicho. N-nie mogę w-wydać dż-dźwięków, kiedy ty ł-ładujesz baterie.

Vic jęknął i odwrócił się do ściany. Machnął ręką bez patrzenia na androida.

-- Weź idź... usiądź gdzieś. Albo stój. Jak wolisz. Byle gdzie indziej.

Usłyszał, jak Mal wykonuje polecenie.

Zamknął oczy. Zasnął, słuchając cichego szumu obracających się w sercu mężczyzny zębatek.

Gdy się obudził, świtało. Vic podrapał się w policzek i mlasnął. Spuścił stopy na podłogę i się przeciągnął.

Prawie dostał zawału, kiedy zobaczył Mala. Android stał w kącie pokoju w kompletnym bezruchu i gapił się na niego szeroko otwartymi oczami.

-- Co ty wyrabiasz?! -- krzyknął.

-- Czekam -- odparł Mal. -- Aż s-skończysz ł-ładowanie. Kiedy to r-robisz, wydajesz dż-dźwięki. -- Otworzył usta i zaczął potwornie chrapać. Nagle przestał. -- Cz-czy to pomaga w ł-ładowaniu?

Vic jęknął i opadł z powrotem na łóżko.



Mal był dupkiem. Niezaprzeczalnie.

Dopiero po dłuższym czasie Vic zdał sobie sprawę, jak głęboko sięgała jego dupkowatość.

Android obserwował każdy jego ruch, chodził za nim krok w krok i sprawiał, że chłopak musiał konfrontować się z bezsensownością wszystkiego, co robił, by pozostać przy życiu. W przerwach pomiędzy ciągłymi pytaniami. Victor nie obraziłby się, gdyby przez resztę życia nie usłyszał już nigdy słowa "dlaczego".

-- D-dlaczego to robisz? -- spytał Mal, kiedy Victor oznajmił, że idzie pod prysznic.

-- Żeby się umyć.

Chłopak z przewieszonym przez ramię ręcznikiem szedł w stronę łazienki.

-- D-dlaczego ch-chcesz się myć?

Mał nie opuszczał go na krok.

-- Bo nie chcę być brudny.

-- A p-prysznic w t-tym pomoże.

-- Tak. Wodą myję skórę. I mydłem.

-- L-ludzie s-są brudni -- stwierdził Mał. -- A-ale chcą b-być czysti.

-- Tak.

-- Ja n-nie jestem cz-człowiekiem.

-- Nie jesteś.

-- Cz-czy też muszę b-być czysty?

Vic zatrzymał się i odwrócił głowę. Mał w dalszym ciągu miał na sobie ubrania, które mu dali. Włosy miał w nieładzie, rozczochrane.

-- Nie. Ty... twoja skóra nie wydziela potu i łoju, jak moja.

-- P-pójdę z to-tobą pod prysznic -- zaproponował android. Vic dostał ataku kaszlu.

Mał zmarszczył brwi.

-- Umierasz? Cz-czy potrzebujesz j-jeść i na-a-ładować baterie?

-- Nie możesz iść ze mną pod prysznic!

-- Dlaczego?

-- Bo to rzecz intymna!

Mał kiwnął głową.

-- T-tak jak wtedy, gdy opróżniasz j-jelita.

-- Słucham? Nie. To zupełnie nie tak... Chociaż wiesz co? Tak. Dokładnie tak samo.

-- R-rozumiem.

Chłopak poczuł ulgę.

-- Dobrze.

Odwrócił się z powrotem do drzwi. Wszedł do łazienki i już miał je za sobą zatrzaskać, kiedy poczuł, że coś je blokuje. Spojrzał w tył. W przejściu stał Mał.

-- Co ty robisz? -- spytał chłopak z irytacją w głosie.

-- W-woda -- powiedział Mał. -- M-możesz się u-utopić. B-będę stał na straży.

Vic wypchnął go z łazienki. Pchanie Mała było syzyfową pracą, ale jakoś się udało.

-- Nie utonę. Nie wchodź.

Mał przewrócił oczami. Przez kilka chwil Vic stał jak wryty, zszokowany tym bardzo ludzkim odruchem.

Czując jednocześnie gorąco i zimno, Vic zatrzaskał wreszcie drzwi.



Vic po cichu skradał się przez las, sprawdzając pułapki. Dookoła rozbrzmiewały dźwięki natury. Obejrzał się przez ramię. Mał był tuż za nim. Naśladował jego ruchy.

Następny był Rambo, który z typowym dla siebie entuzjazmem parł przed siebie, rozjeżdżając trzeszczące gałęzie i wyśpiewując, jak to jest w niebie i jak uwielbia tańczyć przytulony z ukochaną. Co chwila wpadał też na Mała i go poganiał.

-- Bądź cicho -- syknął Vic.

-- J-jestem cicho.

-- Nie ty. Rambo.

-- Ojoj -- zakwilił odkurzacz. -- Moja wina, racja. Zapomniałem, co robimy. Od tej pory nie usłyszysz ode mnie żadnego, nawet najmniejszego dźwięku, aż do czasu... Rany Julek! Co to?! Szyszka! Uwielbiam szyszki! -- Przejechał Małowi po stopie i po-

pędził przed siebie, po czym porwał z ziemi znalezione. -- Epicka, genialna -- szeptał, przytulając ją do sensorów i obracając w wysięgnikach. -- Mogę ją zachować? Vic! Vic! Mogę zachować tę szyszkę?

Vic westchnął.

-- Masz ich już całą kolekcję.

-- Ale... ale ta jest lepsza niż wszystkie inne! Popatrz. Ta ma kolce!

-- Z-zrobisz sobie k-krzywdę -- ostrzegł Mal. Brzmiał szorstko. Tracił cierpliwość. -- Aua. Będzie a-aua.

Rambo natychmiast upuścił szyszkę.

-- O nie! Vic! Jeszcze chwila i bym się pokłui! Ej. Czekaj. No przecież. Ja nie czuję bólu. Sorki. Wybaczcie. Na chwilę zapomniałem, czym jestem. To się nie powtórzy. Tylko...

Mal zdeptał szyszkę, rozplaszczając ją pod podeszwą.

-- Hej! -- zawołał Rambo z oburzeniem. -- Dlaczego to zrobiłeś? Narobiłeś bałaganu. Nie można robić bałaganu. Kto to teraz posprząta? Ty? Ha! Nie znasz się na ssaniu nawet w połowie tak dobrze jak ja. -- Przejechał po pokruszonej szyszce, wyjąc silnikiem i obracając szczotką, aż wszystkie kawałki zostały wciągnięte. -- Jej, ale łaskocze.

Vic pokręcił głową i ruszył dalej.

Pierwsza pułapka była pusta. Kolejna też. W trzeciej znalazł tłustego królika. Zwierzątko miało zamglone oczy i szyję przetrąconą metalowym ramieniem urządzenia. Chłopak ukucnął i zmarszczył nos. Królik zdechł niedawno. Muchy się jeszcze nie zleciały.

-- C-co to jest? -- spytał Mal.

-- Jedzenie -- mruknął Vic, unosząc ramię pułapki. Wewnątrz stworzenia coś mokro chrupnęło. Vic przez bardzo długi czas od-

mawiał obsługi pułapek na dziką zwierzynę. Ojciec robił to za niego. Nie chodziło o strach ani o smutek, czy żalobę po przedwczesnie przerwany życiu. Chłopaka przechodziły jednak ciarki na samą myśl o konieczności dotykaniu futra martwego zwierzęcia. Robiło mu się niedobrze, kiedy uświadamiał sobie, jak szybko tężało ciało po śmierci. Na szczęście tym razem wyglądało, że królik nie cierpiał. Miał szybką śmierć.

-- Z-zabiłeś go.

Vic oblał się rumieńcem.

-- Musiałem. Chcę przeżyć. Biorę tylko to, czego potrzebuję.

-- I w-właśnie tego po-o-trzebujesz.

-- Tak.

Mał pokiwał głową i się wyprostował. Ruszył w gęstwinę bez słowa.

-- Gdzie idziesz? -- zawołał za nim Vic.

-- P-pomogę. Zostań tu.

Chłopak westchnął i skupił się na zdobyczy. Wyciągnął z torby ścierkę i rozłożył ją na ziemi. Ostrożnie uniósł zwierzę, położył na materiale i zawinął je nim.

-- Dokąd on poszedł? -- spytał Rambo.

-- Sam nie wiem.

-- Powinniśmy się martwić?

-- Chyba tak.

Minuty mijały bardzo powoli. W końcu jednak Mał wrócił. Wyrzwał zza drzewa. Vic już miał zrugać go za zostawienie kompanów na tak długi czas, kiedy zauważył coś, co sprawiło, że słowa uwięzły mu w gardle.

Android trzymał cztery króliki. Wszystkie próbowały się wyrwać. Wierzgały w panice.

-- Co ty wyrabiasz?! -- syknął chłopak z przerażeniem.

-- Stop -- rzucił Mal do królików. -- N-nie ruszajcie s-się. V-Vic w-was zabije i z-zje, ż-żeby samemu n-nie umrzeć.

Króliki ani myślały słuchać. Mal prawie jednego upuścił. W ostatniej chwili złapał go za tylne nogi. Zwierzę wydało z siebie dziwny dźwięk.

Vic usiadł z wrażenia.

-- Sam je złapałeś?

-- T-to nie takie t-trudne. A c-co? T-tobie sprawia t-trudność?

-- Co? Nie. Nie o to mi chodzi. Odłóż je!

Mal zmarszczył brwi.

-- A-ale przecież u-uciekną. I b-będzie je t-trzeba od n-nowa gonić. B-bez sensu. -- Zerknął na przerażone zwierzęta, a potem skupił wzrok na chłopaku. -- Ch-chyba że to p-poprawia ich s-smak. P-poprawia?

Vic wstał i otrzepał się z ziemi.

-- Po prostu puść je wolno. Nie potrzebujemy ich! Mam już wystarczająco dużo mięsa.

-- N-naprawdę? -- spytał Mal. -- J-jesteś pewien?

-- Tak.

Mal wzruszył ramionami. Victora znów uderzyło, jak szybko przyswajał jego odruchy.

W ciągu tych kilku dni niektóre gesty weszły mu w nawyk. To już nie było jedynie naśladownictwo. Jeszcze chwila i będzie jak Gio.

Mal puścił króliki. Wszystkie wylądowały z gracją na ziemi, po czym rzuciły się pędem w las. Android obserwował je przez chwilę, po czym spuścił wzrok na własne ręce. Na skórze rozsmarowane miał mokre królicze odchody.

-- C-co to jest? -- zdziwił się. Uniósł bobek na wysokość nosa i powąchał. -- Pachnie. B-brzydko? N-niedobrze.

-- Królik opróżnił na ciebie jelita -- wytłumaczył Rambo z wielką satysfakcją. -- Nie mogę się doczekać, aż opowiem o tym siostrze Ratched.

Mal zrobił zdeglustowaną minę.

-- T-tak jak Victor, k-kiedy się zamyka w toalecie? P-przecież to intymne. Od-odnajdę tego kró-królika. Z-zapłaci za to, że opróżnił j-jelita publicznie. -- Obrócił się na pięcie i już miał ruszyć śladem nieszczęsnego zwierzaka, kiedy Vic złapał go za ramię. Brwi Mala się nastroszyły. Spojrzał w dół na dłoń zaciśniętą na przedramieniu. -- Cz-czuję to.

-- Nie ruszaj się. -- Mal zamarł.

Vic pokręcił głową i otworzył torbę. Wyciągnął z niej podniszczoną plastikową butelkę. Puścił ramię androida, które zawisło w powietrzu w kompletnym bezruchu. Odkręcił butelkę i oblał je wodą, zmywając odchody. Gdy skończył, schował bukłak i cofnął się o krok.

Mal w dalszym ciągu trwał w bezruchu.

Vic sapnął z irytacją.

-- Możesz się już ruszać.

Mal skorzystał z okazji i przysunął rękę pod oczy. Zmrużył powieki.

-- Umyta -- powiedział. -- Woda. P-prysznic. W-wzięliśmy razem p-prysznic.

-- Nic podobnego.

Mal wpatrzył się w chłopaka.

-- J-jesteś pewien?

Vic wrócił do pułapki, tupiąc wściekle. Nastawił ją ponownie i schował martwego królika do torby. Nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę domu.



Czwartej nocy Mal odkrył muzykę.

Siedział właśnie w pracowni Victora z rękami złożonymi na udach i zarzucał chłopaka pytaniami o wszystko, co ten akurat robił. Vic odpowiadał coraz bardziej mechanicznie, nie słuchając właściwie dociekań androida. Z kolei rzucone w powietrze półsłówka coraz mniej satysfakcjonowały Mala. Pośrodku warsztatu stała siostra Ratched. Jej wnętrze było odsłonięte. Vic usiłował naprawić jej ekran, w którym doszło do zwarcia.

-- Zazwyczaj sama się naprawiam -- powiedziała pielęgniarka, kiedy Victor odnalazł źródło problemu. Kłopot spowodowały przestarzałe, zużyte przewody. -- Czasami pozwalam jednak Victorowi pomajsterkować, by poczuł się potrzebny.

-- T-tego w-właśnie po-o-trzebuje -- skwitował Mal.

-- Tak -- potwierdziła pielęgniarka. -- Wiecznej atencji. Uru-chamiam Program Empatyczny. Dobrze ci idzie, Victorze. Jestem z ciebie bardzo dumna. Wyłączam Program Empatyczny. Kiedy wreszcie skończysz? Nie lubię, kiedy obmacujesz mnie zimnymi palcami.

Vic zignorował robota. Skończył pracę, zebrał z blatu narzędzia i zaniósł je na półkę.

Mal nie ruszył się z miejsca. Siedział na krześle sztywno, jakby połknął kij od szczotki. Głowę miał przechyloną. Nasłuchiwał. Z dziwnym wyrazem twarzy. Wyglądał na zagubionego, nieobecnego.

-- Co jest? -- spytał Vic. -- Coś nie tak?

-- Dź-dźwięki. Co to za dź-dźwięki?

Chłopak wsłuchał się w ciszę. Nie wychwytywał niczego niepokojącego.

W przeciwieństwie do siostry Ratched.

-- To muzyka. Gio puścił płytę na parterze.

Mał zerwał się na równe nogi, uderzając krzesłem o ścianę. Bez słowa ruszył w kierunku drzwi. Zanim Vic zdążył go przywołać, mężczyzna zeskoczył z drzewa.

-- Też bym tak chciał -- westchnął Rambo. -- Czadowo. Wiecie co? Spróbuj! Tym razem mnie nie powstrzymacie.

Vic złapał odkurzacza, kiedy ten już jednym kołem wyjeżdżał w przepaść.

-- Nie.

Rambo burknął niegrzecznie.

-- Miałeś mnie nie powstrzymywać!

-- Ty pojedziesz windą -- rozkazał Vic. -- To, że inni coś robią, nie znaczy, że ty też musisz.

-- Niezwykle wnikliwa obserwacja -- oznajmiła siostra Ratched. -- Zaimponowałaś mi, Victorze.

Jakiś czas później, zamykając pracownię na noc, Vic przystanął i się zamyślił. Kiedy miał dziesięć lat, z dnia na dzień zaczął mu doskwierać fakt, iż nie jest androidem jak jego ojciec. Bardzo go to zasmuciło, a jednocześnie rozzłościło. Przez dwa dni wypłakiwał oczy i nie dało się go pocieszyć. Byli z ojcem zbyt różni. Chłopiec starał się wyjaśnić to Giovanniemu, ale zawsze słyszał odpowiedź, że te różnice nie mają żadnego znaczenia. Dla Victora miały. Chciał spuścić z siebie krew i zamienić organiczne kości i ścięgna na części z metalu i przewody.

Nie potrafił wyjaśnić dlaczego, a w każdym razie nie na tyle dobrze, by zrozumieć, na czym naprawdę polegał problem. Ojciec robił, co w jego mocy, by go uspokoić. Tłumaczył, że Vic jest doskonały taki, jaki jest. Wtedy jednak ani myślał słuchać.

Po upływie dwóch dni był tak wykończony, że ledwo widział na oczy. Łupało mu w głowie i nie mógł skupić myśli. Ojciec usiadł

przy nim, ale na tyle daleko, by nie przytłaczać syna. Skrzyżował nogi i oparł dłonie na kolanach.

-- Victorze, posłuchaj mnie -- powiedział.

Vic nie podniósł wzroku, ale słuchał. Mruknął tylko cicho.

-- Nie jesteśmy tacy sami -- przyznał starzec łagodnie. -- Zanim jednak pojawiłeś się w moim życiu, byłem samotny i smutny. To ty dałeś mi nadzieję, synu. Poczułem ją najpierw w koniuszkach palców u stóp. Potem wypełniła całe moje ciało, aż dotarła do serca. Od tej pory nadzieja nigdy mnie nie opuściła. Zmieniła się za to w coś o wiele ważniejszego. To dzięki temu uczuciu naprawdę wiem, że nie chcę, byś był taki jak ja. Chciałbym, byś był sobą.

Vic nie odpowiedział. Nie w tamtym momencie. Słuchał jednak uważnie i nigdy tych słów nie zapomniał.

Stał w ciszy, jadąc windą na parter. Poszedł za przyjaciółmi do naziemnej części domu. Przystanął w drzwiach.

Ojciec siedział w swoim fotelu z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nie spojrzał na Vica. Jego wzrok skupiony był na Malu.

Ten zaś stał tuż przy gramofonie. Kołysał się lekko z boku na bok, dając się ponieść dźwiękom instrumentów dętych, łagodnemu rytmowi perkusji i subtelnym nutom wygrywanym na fortepianie.

-- Co to za piosenka? -- zapytał szeptem, kiwając się dalej.

-- Miles Davis -- powiedział ojciec z delikatnym uśmiechem. -
- Piosenka nosi tytuł *Kind of Blue*. Pochodzi z roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego. To był bardzo ważny rok dla jazzu. John Coltrane. Duke Ellington. Sonny Clark. Wszyscy wtedy nagrywali. Podoba ci się?

-- Nie wiem -- szepnął Mal, zupełnie bez zająknięcia. -- Skąd mam wiedzieć, czy mi się podoba?

-- Słuchaj dalej -- powiedział ojciec. -- O, teraz. Gotów?

Rozbrzmiał dźwięk saksofonu, płynnie niczym woda w strumieniu przelewając jedną nutę w kolejne. Vic na ten dźwięk poczuł w piersi ciepło.

Mal westchnął. Zaczął wystukiwać obcasem rytm. Vicowi wydawało się, że sam nie zdaje sobie z tego sprawy.

-- Ta muzyka przemawia do ciebie? -- spytał ojciec.

Przez dłuższą chwilę android się nie odzywał.

-- Nie ma słów -- powiedział w końcu.

-- Wiem o tym -- odparł Gio. -- Ale czujesz ją, prawda?

-- Nie -- rzucił Mal. -- Nie mam słów, by to opisać.

-- Ach, oczywiście. Czasami tak właśnie bywa.

Mal złapał się za pierś.

-- Czuję ją, o tutaj.

Ojciec zamknął oczy i zaczął łagodnie nucić. Przestał, kiedy Mal odezwał się po raz kolejny:

-- Jest jak... wspomnienie. Czegoś, o czym zapomniałem. Co zrobić, kiedy utraci się wszystkie wspomnienia?

Giovanni otworzył oczy. Przez moment przyglądał się mężczyźnie w ciszy, szukając słów.

-- Zacząć od początku.

-- Co się dzieje? -- szepnął Rambo w kierunku siostry Ratched.

-- Nie mam pojęcia -- odparła. -- Ale podoba mi się. Chciałabym, żeby ktoś poprosił mnie do tańca.

Rambo wydał z siebie serię pełnych ekscytacji pisków.

-- Ja cię poproszę! -- Uniósł się na hydraulicznym zawieszaniu, wydając przeciągły syk. Złapał szczypcami dwie z macek pielęgniarstwa. Na ekranie siostry pojawiła się podskakująca rytmicznie zielona linia -- wykres bicia serca poruszający się w rytm muzyki. Obydwoje zaczęli obracać się, podjeżdżając metr do przodu, a po-

tem metr w tył. Rambo co jakiś czas przeproszał, kiedy wpadał na gąsienice partnerki. Siostrze Ratched to nie przeszkadzało.

I tak im płynął czas.



Aż nadeszły maszyny.

ROZDZIAŁ 10

Tydzień po tym, jak Mal obudził się na stole w pracowni człowieka o imieniu Victor Lawson, znowu powrócili na złomowisko. Vic twierdził, że chce sprawdzić, czy Prastarzy przywieźli nowe części, które warto by przygarnąć dla siebie. Nie było to kłamstwo, ale też nie cała prawda.

Tak naprawdę Vic chciał wrócić w miejsce, gdzie znalazł Mala i poszukać jakichś śladów, które mogli wcześniej przeoczyć. Wątpił, by coś się znalazło; wcześniej siostrze Ratched nie udało się niczego wypatrzyć.

Mala zostawili z ojcem. A przynajmniej tak im się wydawało. Byli już w połowie drogi na złomowisko, kiedy siostra Ratched nagle zatrzymała się i syknęła:

-- Ktoś nas śledzi.

Vic obrócił się przez ramię. W lesie nic się nie poruszało.

-- Gdzie?

Zanim odpowiedziała, chłopak dostrzegł głowę Mala wychylającą się zza jednego z drzew, po czym chowającą równie szybko.

Westchnął.

-- Widzę cię.

-- W-wcale nie -- bąknął Mal.

-- Mal.

Android skrzywił się, jak to miał w zwyczaju, po czym wyszedł zza drzewa.

-- Dlaczego się przed nami ukrywałeś? -- spytał Rambo.

-- W-wcale się n-nie ukrywałem -- odparł Mal. -- Przyglądałem się d-drzewu.

-- Naprawdę? -- Rambo potoczył się w jego kierunku i zatrzymał przed grubym pniem. -- A na co konkretnie patrzyłeś? Coś z nim nie tak? -- Objechał sosnę dookoła i zatrzymał się w punkcie wyjścia. -- Ja nic nie widzę.

-- On pilnuje, żeby Victor nie umarł -- powiedziała siostra Ratched. -- Chyba się martwi.

-- N-nic z tych rz-rzeczy. -- Android zmarszczył brwi i zrobił wrogą minę. -- Po pro-o-stu sobie t-tędy szedłem.

-- Dokładnie w tym samym kierunku co my? -- spytał Rambo. -
- Niesamowite. Vic! Hej, Vic! Co za zbieg okoliczności, że Mal też tu przyszedł. Powinien pójść z nami!

-- Możesz do nas dołączyć -- rzucił Vic -- jeśli chcesz.

Mal mruknął coś, gdy Rambo wjechał mu w pięty, próbując popchnąć go w kierunku reszty. Wierzgnął nogą, ale odkurzacz ponownie nie dał się kopnąć. Mal prawie stracił równowagę, ale udało mu się utrzymać w pionie. Podparł się na drewnianej nodze. Nadal była sztywna, ale zdążył się przyzwyczaić.

-- Mięczak -- mruknął mężczyzna, unikając z pozostałymi kontaktu wzrokowego.

-- A więc o to chodzi -- powiedziała siostra. -- Nie lękaj się, Mal. Nie pozwolimy, by Vicowi cokolwiek się stało. Może i jest mięczakiem, ale my nie jesteśmy.

Android skrzywił się jeszcze bardziej.

-- N-nie obchodzi m-mnie to.

-- Jasne. Oczywiście, że nie -- skwitowała sucho siostra Ratched. -- Niby dlaczego miałoby cię to obchodzić? Skoro jednak idziemy w tym samym kierunku, równie dobrze możemy iść razem. Co ty na to, Victorze?

Chłopak oderwał wzrok od androida.

-- Słucham?

-- Mal pójdzie z nami -- powtórzyła pielęgniarka. -- Zawsze powtarzam: im nas więcej, tym weselej.

-- Nigdy nie słyszałem, żebyś to mówiła -- oznajmił Rambo, po czym zakwilił przeraźliwie, gdy siostra Ratched strzeliła w powietrzu macką jak biczem. -- No co? Naprawdę nie słyszałem...

-- Chcesz iść z nami? -- spytał Vic. Był pewien, że odpowiedź będzie przecząca. Wyraz twarzy i mowa ciała androida świadczyły o tym, że pewnie wolałby teraz być gdziekolwiek indziej, byle nie tu.

Mal pokręcił głową.

-- N-nie chcę. Ale p-pójdę, skoro nalegacie.

-- Wcale nie nalegamy -- odparła siostra Ratched. -- Ale jeśli lepiej ci będzie, jeśli powiemy, że nalegamy, ja się kłócić nie będę. Może i przyda nam się dodatkowe wsparcie. Victor często wpada w tarapaty, kiedy najmniej się tego spodziewa.

Vic jęknął.

-- Nieprawda...

-- Jak tam rana na dłoni, Victorze? Goi się całkiem ładnie, prawda?

Prawda. Porosła strupem i swędziała, ale się goiła. Pewnie nawet nie zostanie po niej blizna.

-- Dobra -- burknął Vic. -- Ale się sprężajmy. Nie możemy dać się złapać Prastarym.

-- Są wielgachni -- dodał Rambo, gdy Mal zrównał krok z resztą przyjaciół. -- Większy niż ty. Założę się, że mogliby cię rozgnieść na placek.

-- N-nie -- mruknął Mal. -- W-wolałbym n-nie. B-byłoby n-nie-miło.

-- Chodźcie -- zarządził Vic. -- Załatwmy to szybko. Raz-dwa i wracamy. Jakie są zasady?

- Trzymamy się razem! -- wykrzyknął odkurzac.
- Uciekamy, jeśli trzeba -- dodała siostra Ratched.
- Nie ociągamy się! -- podsunął Rambo.
- I nikogo nie dorzynamy.
- Ale przede wszystkim jesteśmy dzielni!

Mał przechylił głowę i zmrużył nieufnie oczy, lecz nic nie powiedział.



W chwili gdy weszli na szczyt wzgórza, z którego rozciągał się widok na złomowisko, Vic domyślił się, że coś jest nie tak. Niezależnie od pory dnia, Prastarzy zawsze byli w ruchu. Teraz stali jak zamrożeni. Całe stada ptaków siedziały na ich żurawiach. Cisza wręcz przytłaczała. Victor nigdy wcześniej takiej nie doświadczył. Była kompletna, zawieszona i ciężka -- jak gdyby samo powietrze zgęstniało do tego stopnia, że ledwie dało się nim oddychać. Coś głośno i natarczywie podpowiadało chłopakowi, by natychmiast zawracać i zapomnieć o istnieniu złomowiska.

Wracać do domu. Nie spoglądać za siebie.

-- Nie podoba mi się to -- szepnął Rambo.

Siostra Ratched wydała z siebie dwa sygnały.

-- Coś tam jest. Coś, czego nigdy wcześniej nie czułam. Jest... jasne.

-- Jasne? -- dopytał Vic, wypatrując czegokolwiek w oddali. -
- Co masz na myśli?

-- Moc -- odparła. -- Czuję moc.

-- Mówisz o Prastarych?

-- Nie. To coś innego. Poczekaj. Skanowanie. Skanowanie. Skanowanie.

Światelko nad ekranem zamigotało, gdy siostra omiotła wiązką cały obszar.

-- C-co ona r-robi? -- spytał Mal, obserwując pielęgniarkę.
Vic wzruszył ramionami.

-- Patrzy. W taki sposób znaleźliśmy ciebie. Może jest tam jeszcze ktoś taki jak ty. Kolejny android. Jakaś maszyna. Czasami to się zdarza. Najczęściej nie potrafimy ich jednak naprawić. -- Spojrzał na siostrę. -- I jak?

Skończyła skanować i zgasła lampkę. Jej ekran pozostał czarny i pusty.

-- Coś tam jest.

-- Gdzie?

Na monitorze pojawiła się siatka geograficzna z planem złomowiska. Jeden z kwadratów się podświetlił. 3B. Tam znaleźli Mala.

Victor zmarszczył brwi.

-- Musieliśmy coś przeoczyć.

-- Możliwe -- przyznała niechętnie maszyna medyczna. -- Ślad energetyczny Mala mógł to przesłonić albo też anomalia powstała dopiero po naszym odejściu.

-- Ale? **POBRANO ZE STRONY PIJAFKA.PL**

-- Ale -- mruknęła -- nie wydaje mi się, żeby tak było. To coś jest o wiele większe. Chyba że znajduje się tam kilka anomalii. Nie potrafię ich jednak oddzielić. Są zbyt daleko.

Uporczywe uczucie zagrożenia w głowie Vica się wzmogło. Zawracać. Nie oglądać się za siebie. Wróc do ojca, powtarzał głos w głowie chłopaka. Powiedz mu. Powiedz, że coś się tu pojawiło, i niech on się tym zajmie.

Głos został natychmiast zagłuszony przez coś o wiele niebezpieczniejszego: ciekawość. To ona zawisała teraz nad nim i nie dawała się zbyć. Musiał zobaczyć znalezisko. Odkryć, co takiego wypatrzyła siostra Ratched. To coś miało w sobie moc. Z całą pewnością. A serce ojca nie przetrwa wiecznie. Może dałoby się tę zdo-

bycz wykorzystać, gdyby maszyna, do której źródło mocy należy, okazała się nie do uratowania. A gdyby zdołali ją przywrócić do życia, Vic mógłby jej pomóc.

-- Bądźmy uważni -- powiedział. -- I cisza. Trzymajmy się razem. Nie będziemy się zanadto zbliżać.

-- Wiedziałaś, że to powiesz -- westchnęła Ratched, po czym dodała nieco głośniejszym głosem: -- Mał, pamiętaj, czym jest Victor.

-- Mięczakiem -- odparł natychmiast android.

-- Dokładnie. Victor to mięczak. Delikacik. Musimy go chronić przed niebezpieczeństwem.

-- A co ze mną? -- spytał Rambo.

Siostra Ratched delikatnie trąciła go obudową.

-- Ty masz najważniejsze zadanie. W razie konieczności poświęcisz życie, abyśmy mogli uciec.

-- Tak! -- zawołał Rambo. -- Jestem potrzebny!



Szli w głąb złomowiska, przedzierając się przez wysokie stosy żelastwa, po czym wdrapali się na szczyt z widokiem na strefę 3B. Vic przycupnął tuż przed ostatnim wniesieniem. Mał przez chwilę go obserwował, potem zrobił to samo. Był tak blisko, że chłopak słyszał szum jego serca.

Staloszare chmury wisiały tuż nad ich głowami. W chłodnym powietrzu Vic z każdym oddechem wypuszczał chmury pary. Niedługo spadnie śnieg, pomyślał. Może nie dzisiaj, ale lada dzień. Wzdrygnął się i podczołgał w górę zbocza. Mał przemieszczał się po jego prawej stronie. Na moment zetknęli się ramionami. Miał ciepłą skórę.

Dotarli na szczyt jednocześnie i wyjrżeli zza krawędzi. Rambo powtarzał sobie szeptem:

-- Jestem dzielny, jestem dzielny, jestem dzielny.

Z początku Vic nie rozumiał, co widzą jego oczy. W miejscu, gdzie znaleźli Mala, leżały porozrzucane części ciała: ramiona, nogi, korpusy.

Byli też ludzie. Ludzie! Vicowi żołądek zacisnął się boleśnie, jakby ktoś z całej siły uderzył go pięścią w brzuch. Oto dowód. Udało się! Nareszcie! Ludzie. Inni ludzie. Troje. Wszyscy ubrani w identyczne stroje, jakby mundury. Czarne buty, czarne spodnie, czarne płaszcze z wysokimi czerwonymi kołnierzami. Na prawej piersi wyszyte symbole. Z tej odległości Victor nie widział, co przedstawiają.

Im dłużej obserwował, tym bardziej głos w jego głowie się nasił. Coś jest nie tak, nie tak, nietaknietaknietak!, krzyczał raz za razem, szamocząc się i panikując jak szczur zagoniony pod ścianę, gotowy walczyć o życie. Cała trójka w dole miała ogolone głowy. Dwoje stało prosto, rozglądając się bacznie dookoła. Trzecia osoba klęczała z dłonią przyciśniętą do ziemi. Panowała cisza.

Victora coś trapiło, tyle że nie wiedział co. W pewnym momencie zdał sobie sprawę: wszyscy ci ludzie byli tacy sami. Błada skóra, gładkie twarze. Brak brwi. Brak włosów. Brak uszu. Zdało się, że to mężczyźni.

Nie wyglądali jednak jak ojciec. Ani jak Mal. Nie przypominali też samego Victora.

I wcale nie byli ludźmi. Nie. Trzeci z androidów -- ten z dłonią przy ziemi -- podniósł nagle głowę. Wyglądał identycznie jak pozostali dwaj. Trojaczki. Klony. Ten sam model.

-- To nie są ludzie -- stwierdziła siostra Ratched cicho, jak gdyby czytając w myślach Vica. -- To maszyny.

-- Co oni robią? -- spytał chłopak. -- Czego szukają? -- Słowa utknęły mu w gardle, kiedy nagle zza jego pleców dobiegł przerażający dźwięk. Obrócił się szybko.

Mal. Obnażył zęby w grymasie furii. Skóra wokół oczu zmarszczyła się, palce zakrzywiły i wyglądały jak szpony.

-- Co się dzieje? Znasz ich?

-- N-nie. N-nie wiem -- syknął wściekle. -- N-nie mogę... Błąd. T-to błąd. B-brak danych. W-wszystko za m-mgłą.

Vic prawie stracił równowagę, kiedy Mal nagle zaczął z całej siły uderzać się pięściami po głowie. Dźwięki łomotania były przeraźliwe -- metal, syntetyczna skóra i drewno zderzane z wielką mocą. Młodzieniec spróbował złapać kompana za nadgarstki, ale android z łatwością się oswobodził.

-- Przestań -- syknął chłopak. -- Zaraz cię usłyszą. -- Mal jednak nie przestawał. Tłukł się po głowie raz za razem.

-- Co mu się stało? -- spytał nerwowo Rambo. -- Ma jakąś usterkę?

-- Odsuń się -- poradziła odkurzaczowi siostra Ratched. Rozwinęła macki. Podrygując groźnie, wyglądały jak naprężone kocie ogony.

Mal, w pozycji klęczącej złapał się za włosy i spuścił głowę, po czym zgiął się wpół. Czołem prawie dotknął ziemi.

-- Mal -- szepnął Vic. -- Mal, przestań. Natychmiast prze...

Powietrze przeszył niesamowity odgłos. Taki, jakiego Victor nie słyszał jeszcze nigdy w życiu.

Zaczął się cicho, jakby dobiegał z bardzo daleka. Chłopak rozglądał się w panice, usiłując odnaleźć jego źródło. Dźwięk odbijał się echem od gór złomu, wprawiając kopce żelastwa w drganie. Pordzewiałe części zaczęły się osuwać i grzechotać o ziemię.

Przenikliwe buczenie narastało.

Mal opuścił ręce i spojrzał w niebo.

-- P-patrzcie.

Vic zadarł głowę.

Nie był pewien, co widzi. Na horyzoncie ponad niekończącym się lasem zawisł rozmyty czarny kształt. Z początku chłopakowi wydawało się, że to jakaś chmura, ale obiekt poruszał się, rozszerzał i kurczył. Pomruk stał się jeszcze głośniejszy. W końcu podniebny byt zarysował się wyraźniej. Vic poczuł, że nawet jego kości zaczynają wibrować. Dłonie mu drżały.

Gdy wreszcie zrozumiał, co to takiego, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Niemożliwe. Czytał o tym w książkach i nawet widział kiedyś zdjęcie. W jednej z książek ojca -- *Potwory z morskich głębin* -- znajdowała się rycina przedstawiająca takie coś oraz sylwetkę człowieka dla porównania skali. Bestia przytłaczała człowieka rozmiarem. Była ogromna. Vic nie wierzył, by takie kolosy naprawdę kiedyś istniały. W życiu nie widział oceanu, choć wyobrażał sobie jego ogrom. Akwen musiał być praktycznie bezkresny, jeśli mieścił w sobie takie giganty.

Nie pamiętał, jak te stworzenia się nazywały. Wyręczyła go siostra Ratched.

-- To wieloryb -- stwierdziła. -- To jest wieloryb.

Ten jednak nie wynurzał się z morskich głębin, tylko unosił się w powietrzu i zbliżał do nich.

Wieloryb falował -- w górę i w dół -- dryfując w przestworzach. Grzbiet miał czarny, brzuch biały. Pokrywały go grube linie biegnące przez całą długość ciała. Nie miał oczu. Zamiast nich pośrodku głowy znajdował się szklany wizjer okalający całe czoło. Płetwy -- grube i masywne -- opadały i wznosiły się leniwie. Ta na ogonie pchała monstrum do przodu. Ogromna paszcza była zamknięta.

-- Co to takiego? -- zakwilił Rambo, gdy dźwięk stał się ogłuszający. -- Jakaś ryba? Przecież ryby nie latają!

Vic nie znał odpowiedzi. Stał oszołomiony.

Kiedy stworzenie się zbliżyło, zauważył, że linie na brzuszysku giganta wcale nie były częścią jego ciała, tylko metalowymi panelami. Stwór nie był żywym organizmem.

Był maszyną.

Ogromną maszyną, przy której nawet Prastarzy wyglądali jak pchły. Na burcie, ponad wielką boczną płetwą widniały słowa wypisane białą farbą.

STRASZLIWY ŻARŁACZ

Latający pojazd zatrzymał się nad złomowiskiem. Zawisł w bezruchu. Po chwili zaczął powoli obniżać pułap, dmuchając powietrzem z ogromną siłą. Powiew targał złomowymi górami, tworząc osuwiska i wzbijając tumany kurzu oraz snopy iskier.

Z ogłuszającym jękiem otworzyła się ogromna paszcza wieloryba. Dolna szczęka opadła i wsunęła się w głąb kadłuba. Wzdłuż metalowej gardzieli potwora biegly zabezpieczone poręczami chodniki. Vic zmrużył oczy, chroniąc je przed pyłem. Wydawało mu się, że we wnętrzu kolosa widzi jakiś ruch. Był jednak zbyt daleko, by cokolwiek stwierdzić na pewno.

Przyglądał się dalej. Z pyska giganta opadły czarne przewody. Na końcu każdego znajdował się płaski okrągły dysk, każdy tak wielki, że mógł przenosić zarówno ludzi, jak i maszyny. Wszystkie powoli zjechały na ziemię i wylądowały obok trzech mężczyzn stojących w dole.

Przyjaciele w ciszy obserwowali, jak humanoidalne istoty rozglądają się uważnie dookoła, czekając, aż dyski zakotwiczą. Pochylony mężczyzna zgarnął w dłoń coś, co z oddali wyglądało jak ziemia, po czym przesiał ją przez palce. Uniósł głowę i spojrzał dokładnie w ich kierunku. Vic przywarł do podłoża. Serce miał

w gardle. Policzył do pięciu, po czym uniósł głowę i wyrzał zza stoku.

Zobaczył, jak trzech mężczyźni wchodzi na trzy dyski, te zaś podrywają się z ziemi i niosą ich ku górze, wprost do pyska wieloryba. Paszcza się zamknęła. Potwór pozostał w bezruchu, zawieszony nad ziemią.

-- Victorze -- odezwała się siostra. -- Musimy uciekać, póki jeszcze mamy szansę.

Chłopak się otrząsnął. Spojrzał za siebie na przyjaciół. Ekran Ratched ostrzegawczo pulsował czerwienią. Rambo cicho jęczał do siebie. Mał patrzył na Victora przez zmrużone powieki.

Chłopak skinął głową.

-- Idziemy w kierunku drzew. Nie patrzeć za siebie. Nie zatrzymywać się.

Pielęgniarka podniosła Rambo i ruszyła ku ścianie lasu. Vic rzucił się za nimi. Obejrzał się jeszcze tylko raz, kiedy byli już pośród drzew. Straszliwy Żarłacz nie zmienił położenia. Chłopak - - przerażony, ogarnięty niewyobrażalnym strachem -- zerwał się do biegu i nie zwalniał ani na chwilę.

Byli już głęboko w lesie, kiedy od strony wieloryba dosięgnął ich ogłuszający basowy ryk. Chwilę przetaczał się przez całą puszcze, podrywając do lotu setki ptaków.

Brzmiał jak krzyk.



Ojciec był w naziemnej części domu. Pojawił się w progu, gdy tylko Rambo go zawołał. Victorowi brakowało tchu. Giovanni zmarszczył brwi, widząc wszystkich, jak biegną na złamanie karku w jego stronę. Zatrzymali się tuż przed drzwiami. Vic zgiął się wpół. Podparty o własne kolana usiłował złapać oddech. Czuł pie-

czenie w płucach. W głowie nie miał nic. Tylko szary, jednostajny szum.

Nie był w stanie myśleć. Nie mógł mówić. Szczęki zaciskał tak mocno, że słyszał trzeszczenie własnych zębów.

-- Co się stało? -- spytał ojciec z niepokojem. -- O co chodzi? -
- Objął dłońmi policzki Vica i uniósł jego głowę. Popatrzył synowi w oczy. -- Wszystko w porządku?

Młodzieniec nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

-- Ja tylko... Nie...

-- Statek! -- wyrwało się Rambo, gdy siostra Ratched postawiła go na ziemi. Odkurzacze zaczęły krążyć dookoła własnej osi, wymachując szczypcami w panice. -- Na złomowisku! Ryba! Latająca ryba!

Reakcja ojca była natychmiastowa. Zacisnął dłonie na ramionach Vica i przesunął chłopaka za siebie tak, aby zasłonić go własnym ciałem. Spojrzał w niebo.

-- Widzieli was?

Ekran siostry Ratched uruchomił się, po czym odtworzył nagranie ze złomowiska. Ojciec stęknął, jakby ktoś zdzielił go w brzuch. Vic spojrzał przez jego ramię na ekran, na którym jeden z androidów przyglądał się ziemi.

-- Victorze -- odezwał się Giovanni. Głos miał nagle pewny, stanowczy i opanowany. -- Kiedy rozciąłeś sobie dłoń, czy kropla krwi mogła skapnąć na ziemię na złomowisku?

Chłopak spuścił wzrok.

-- To był wypadek...

Ojciec zaklął szpetnie i obrócił się na pięcie. Minął syna i wszedł do domu.

-- Za mną. Nie rozglądać się. Nie zadawać pytań. Róbcie, co każę. Szybko.

Wszyscy wykonali polecenie. W domu na odtwarzaczu obracała się płyta. Miles Davis i kołyszące, delikatne dźwięki trąbek. Giovanni przystanął przed jednym z regałów z książkami.

-- Victorze, posłuchaj mnie uważnie.

Chłopak skinął głową. Wciąż oddychał ze świstem. Zaschło mu w gardle.

-- Powinienem ci o tym powiedzieć dawno temu -- rzekł Gio, podchodząc do bocznej ściany regału. Przycisnął dłoń do drewnianej powierzchni, na której rozjarzył się zielony panel. Linia światła przejechała w górę i opadła, skanując jego rękę. -- Wiele przed tobą ukrywałem. Uwierz mi jednak, że robiłem to, aby cię chronić.

Po zakończonym skanowaniu z wnętrza regału dobiegło szczęknięcie otwieranego zamka. Podłoga pod ich stopami zaczęła wibrować. Deski zapadały się i chowały jedna pod drugą, odsłaniając metalowe schody. Krawędzie stopni rozbłysły pulsującym światłem.

-- Na dół -- rzucił ojciec. -- Natychmiast.

Siostra Ratched zeszła pierwsza, telepiąc się i grzechocząc. W pewnym momencie zachwiała się i prawie runęła w przepastne wnętrze, ale solidne gąsienice pozwoliły jej uniknąć upadku. Starszy mężczyzna wziął Rambo na rękę, po czym wcisnął go Vicowi.

-- Tato -- jęknął chłopak.

-- Cicho -- przerwał mu Gio. -- Schodź.

Victor zszedł. Za sobą słyszał kroki Mala. Spojrzał przez ramię.

Giovanni stał u szczytu schodów. Konstrukcja domu zatrzęsała się ponownie. Ten sam przerażający dudniący dźwięk przewalił się przez las. Straszliwy Żarłacz nadciągał.

-- Mal -- krzyknął patriarcha, gdy oni byli już na dole. -- Nie znasz mnie. Nie znasz nawet samego siebie. Muszę cię jednak

o coś poprosić. O coś, co będzie się kłócić z twoim najgłębiej zakorzenionym oprogramowaniem.

Mał przytaknął.

-- Proszę cię, byś wybrał. Tutaj i teraz. Przykro mi, że cię do tego zmuszam, ale trzeba dokonać wyboru.

-- C-co mam z-zrobić?

-- Chronić Victora -- oznajmił ojciec. Po raz pierwszy w życiu Victor słyszał w jego głosie strach. -- Niezależnie od wszystkiego. Chron go za wszelką cenę. Nie dopuść, by coś mu się stało.

Vic postawił Rambo na ziemi i obrócił się w kierunku schodów. Chciał wejść z powrotem na górę, ale zatrzymał się, widząc, że Gio kręci głową.

-- Co ty robisz? -- zapytał ostro. -- Co się dzieje?

Ojciec uśmiechnął się smutno. Usta mu zadrżały.

-- Coś, co miałem nadzieję, że nigdy nie nastąpi. Posłuchaj mnie, Victorze. Jesteś dla mnie światłem w ciemności. Pokochałem cię od pierwszej chwili. Nigdy o tym nie zapomnij. Cokolwiek zobaczysz, cokolwiek usłyszysz, wiedz, że zawsze cię kochałem. Jesteś moim synem. Nie mógłbym być bardziej dumny, widząc, na jakiego mężczyznę wyrosłeś. Pewnego dnia zobaczymy się ponownie. Wiem, że tak będzie. Mał, dajesz mi słowo? Zrobisz to, o co cię proszę?

Android zawahał się, ale skinął głową.

Na twarzy Giovanniego Lawsons wymalowała się ulga.

-- Dziękuję -- szepnął. -- Zaufaj Victorowi. Zaufaj mojemu synowi. Postaram się ich powstrzymać. Siostró Ratched, słyszysz mnie?

-- Tak, Gio.

-- "Motyle trzepoczą skrzydłami, a cały świat rozbrzmiewa radosną piosnką".

Ekran siostry zgasł, po czym rozjarzył się ponownie. AKTYWOWAĆ PROTOKÓŁ BEZPIECZEŃSTWA?

-- A co na to ptaki? -- spytała sucho.

-- "Prawdziwej wolności zaznać można tylko w przestworzach".

-- Hasło prawidłowe. Uruchamiam protokół bezpieczeństwa sześć jeden cztery kreska siedem.

Ojciec cofnął się o krok. Vic krzyknął do niego, ale Gio ponownie przyłożył dłoń do panelu w regale z książkami. Mal złapał chłopaka za kołnierz i ściągnął ze schodów, które zaczęły wsuwać się z powrotem w ścianę. Młodzieniec ujrzał jeszcze twarz starca przez szczelinę zamykającej się podłogi. Giovanni wyprostował się i odwrócił w stronę wyjścia.

-- Nie! -- zawył Victor, tłukąc dłońmi w mur. -- Tato! Tato!

-- Wystarczy -- warknął Mal. -- Z-zrobisz sobie k-krzywdę. Przestań. -- Odciągnął Vica od ściany.

Ten próbował się jeszcze wyrwać, ale android trzymał go w żelaznym uścisku.

-- Puszczaj!

-- N-nie -- powiedział. -- Przestań. P-patrz.

Vic rozluźnił się i opadł w ramiona mężczyzny. Uniósł głowę.

Byli w jakimś bunkrze. Victor nie miał pojęcia, że takie pomieszczenie istnieje u nich w domu. Ściany pokryte były metalowymi płytami. Sufit również. Pokój wielkości domku naziemnego wypełniało wyposażenie, którego Victor nie znał. Pod przeciwległą ścianą zobaczył rząd szklanych rur. Pustych. Ich powierzchnię pokrywała gruba warstwa kurzu. Mur po prawej zasłaniały monitory podobne do tego w obudowie siostry Ratched -- trzy duże pod sufitem i sześć mniejszych poniżej. Jeszcze niżej znajdowała się konsola pełna migających światełek. Po lewej stały regały wypeł-

nione książkami i porzuconymi narzędziami. Wyglądały tak, jakby nie używano ich od lat. Vic omiół wszystko wzrokiem.

Nie rozumiał tytułów opasłych tomów. *Anatomia ciała ludzkiego wg Graya* oraz *Atlas der Anatomie des Menschen*, oraz *Badania anatomiczne Leonarda Da Vinci*, oraz *Czego się spodziewać, kiedy spodziewasz się dziecka*.

Siostra Ratched podjechała do konsoly pod ekranami, a Rambo szybko okrążył pokój. Jego silnik pracował na pełnych obrotach, wsysając kurz w zastraszającym tempie.

-- Ale brudno -- mamrotał odkurzacz. -- Brudno, brudno, co za chlew. Sprzątać, sprzątać, muszę sprzątać!

-- C-co to za m-miejsce? -- spytał Mal.

Vic nie miał pojęcia. Otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Podskoczył, kiedy siostra Ratched wydała z siebie głośny sygnał, wysuwając mackę, którą podłączyła do gniazda w konsoli. Jej monitor wypełnił się cyframi, literami i symbolami, których Vic nie kojarzył. Te same symbole pojawiły się również na ekranach na ścianie. Chłopak zmrużył oczy, chwilowo oślepiony bijącym od nich jaskrawym światłem. Basowy ryk wstrząsnął bunkrem.

Na monitorach ukazał się widok z kamer porozmieszczanych w całym domu. Z początku Victorowi wydało się, że to zdjęcia, ale drzewa kołysały się, a gałęzie trzeszczały na wietrze. Na jednym z ekranów widać było wnętrze naziemnego domku. Na innym widniał obraz z kamery zawieszanej gdzieś wysoko, z widokiem na las. Trzy mniejsze ekrany pokazywały inne ujęcia: sprzed wejścia do pokoju Vica oraz z przeciwległych krańców mostu linowego.

Chłopak skupił się jednak na ostatnim z nich -- dużym wyświetlaczu po drugiej stronie całego zestawu. Śledził on ojca, który stał właśnie pośrodku ogrodu z twarzą zwróconą ku niebu. Vic spojrzał

przelotnie na pozostałe monitory, usiłując dociec, na co patrzy Gio, ale na żadnym nie znalazł nic pomocnego. Dopiero kiedy drzewa zaczęły mocno się kołysać, zrozumiał, co się działo. Zatkanął uszy, gdy syrena latającego wieloryba zawyła ponownie.

-- Siostrze Ratched -- powiedział -- otwórz drzwi. Proszę.

-- Nie mogę tego zrobić, Victorze -- odparła. -- Jeszcze nie. Aktywowano protokół.

Vic wpatrywał się w nią w osłupieniu. Ręce opadły mu luźno wzdłuż ciała.

-- Jaki znowu protokół?

-- Nie wiem -- przyznała, przekręcając mackę w gnieździe. -
- Nie mogę tego powstrzymać.

Vic wyrzwał pięściami w konsolę. Metalowa obudowa zagrzechotała, ale nic się nie zmieniło.

-- Rozkazuję ci otworzyć drzwi.

-- Nie mogę, Victorze.

-- Natychmiast! -- wrzasnął. -- Wypuść mnie stąd, i to już. Muszę mu pomóc. Muszę...

Na ekranie pojawił się android. Zjeżdżał na okrągłej platformie, jedną ręką przytrzymując się grubej liny. Drugie ramię miał przytknięte do tułowia. Zeskoczył z dysku z wysokości dwóch metrów i wylądował na ziemi, tylko lekko uginając kolana. Chwilę później pojawili się dwaj pozostali. Stanęli po bokach tego pierwszego. Wyglądali dziwnie. Byli kompletnie nieowłosieni. Stali na szeroko rozstawionych nogach z rękami skrzyżowanymi na plecach. Ich twarze nie miały wyrazu.

Ten pośrodku odezwał się beznamiętnym i chłodnym głosem.

-- Oznaczenie: Główny Innowator Operacyjny, w skrócie Gio.

-- Tutaj -- dodał ten po lewej.

-- Teraz -- dorzucił android po prawej.

-- Po siedemdziesięciu dwóch latach -- powiedział ten z lewej.
-- Zbiegi okoliczności nie istnieją -- stwierdził osobnik po prawej.

Mówili identycznymi głosami. Żaden nie mrugał.

Mężczyzna pośrodku zrobił krok naprzód.

-- Na wysypisku odnaleziono anomalię -- powiedział. -- Plazmę. Sól. Biało. Wodę. Aktywność komórkową.

-- Krew -- dodał android po lewej.

-- Ludzką -- syknął klon po prawej.

Przywódca omiótł wzrokiem budynki w koronach drzew.

-- Co to jest?

Ojciec odezwał się po raz pierwszy. Głos miał neutralny.
Uprzejmy.

-- Podoba ci się? Inspirację czerpałem z książki. Kiedyś żyła rodzina o nazwisku Robinson. Ich statek rozbił się na bezludnej wyspie. Żeby przeżyć, zbudowali dom na drzewie. Prawdziwy dom.

-- Fikcja -- stwierdził lewy android.

-- Nierealność -- dodał prawy.

-- Wspomnienie -- odparł ojciec. -- Pamięć zamierzchłych czasów.

-- Pamięć -- powtórzył przywódca i przechylił głowę.

-- Skąd wzięła się tam krew?

-- Powiedziałeś, że znaleziono ją na wysypisku? W takim razie zapewne jest zwierzęca. Z tego, co pamiętam, to się zdarza dosyć często. Biedne zwierzęta giną pod kołami Prastarych.

Maszyny po obu stronach przywódcy przechyliły głowy w tym samym momencie. Dalej żadna z nich nie mrugnęła. Wszyscy trzej obnażyli w uśmiechach kwadratowe, równe zęby.

-- Zwierzęca -- powtórzył lewy.

-- Biedne zwierzęta -- powiedział prawy.

-- Gina pod kołami -- skwitował przywódca tym samym niepokojąco beznamiętnym głosem. Zamilkł na dłuższą chwilę.

-- Nie. -- Zrobił krok w kierunku ojca. -- Gdzie człowiek?

-- Tu nie ma ludzi -- odparł Gio. -- Przeskanuj budynki. Przeskanuj wszystkie. Zobacz na własne oczy.

-- O nie -- jęknął Rambo. -- Znajdą nas.

-- Nie znajdą -- uspokoiła go siostra Ratched. -- Ściany są wyłożone ołowiem. Nie dowiedzą się, że tu jesteśmy.

Vic powoli odwrócił się w jej stronę.

-- Skąd wiesz?

Nie odpowiedziała.

-- P-patrz -- przerwał Mal, a Vic przeniósł wzrok z powrotem na ekran. Androidy stanęły w trójkącie i wzniosły ramiona, rozposcierając palce. Skóra na ich dłoniach pękła, a z powstałych otworów wysunęły się niewielkie czarne gałki. Zaczęło z nich emanować światło. Gładkoskórzy mężczyźni unosili i opuszczali ręce, skanując zabudowania.

Po zakończeniu całego procesu nie zareagowali. Otwory na dłoniach dwóch z nich się zamknęły. Trzeci wyciągnął ramię w górę. Nad jego dłonią pojawił się trójwymiarowy hologram całego domu. Obracał się powoli.

-- Co to? -- spytał, a jego palce lekko drgnęły. Przybliżył obraz, skupiając się na jednym z pomieszczeń: pokoju Vica.

-- To dla podróżnych -- wyjaśnił gospodarz. -- Dla tych, którzy przejeżdżają przez okolicę i potrzebują chwili, aby naładować baterie.

Przywódca zacisnął dłoń na hologramie. Ten zgasł.

-- Naładować baterie.

-- Czego chcecie? -- spytał ojciec.

Przywódca zamrugał wreszcie. Raz, dwa, trzy razy.

-- My nie chcemy -- odparł sucho. -- Nie mamy pragnień. Mamy cel. Anomalię. Może to ty. Główny Innowatorze Operacyjny, z rozkazu Władzy wrócisz z nami do Miasta Elektrycznych Snów. Zostaniesz tam poddany ewaluacji celem określenia, czy istnieje dla ciebie przyszłość w służbie maszynom.

-- Przeprogramowanie -- wyjaśnił lewy.

-- Albo wycofanie z eksploatacji -- dodał prawy.

-- Dwie decyzje -- powiedział przywódca. -- Jeden wynik. Najpierw zostaniesz rozebrany na części celem określenia zakresu uszkodzeń twojego oprogramowania. Musimy stwierdzić, czy twoja infekcja jest zaraźliwa.

-- Plazma -- przypomniał lewy. -- Sól.

-- Białko -- powiedział prawy. -- Woda.

-- Aktywność komórkowa -- dodał przywódca. -- Władza wie o wszystkim i widzi wszystko, Główny Innowatorze Operacyjny. Jeśli człowiek istnieje, my go znajdziemy. A ty go do nas przyrowadzisz.

-- A więc jednak czegoś chcecie -- zauważył ojciec. -- Wcale się tak nie różnimy.

Po raz pierwszy w ciągu całej rozmowy przez twarz przywódcy przemknęło... coś. Usta mu drgnęły, oczy się zwęziły.

-- Pamiętam cię. Z przeszłości. Inni nie, ale ja tak. Odnajdziemy prawdę, a następnie zdecydujemy, jak najlepiej wykorzystać twoje części w służbie Władzy.

Ojciec wybuchnął śmiechem. Oczy szczypały Vica. Nie mógł się skupić. Nie mógł oddychać. Mógł tylko stać i patrzeć. Był uwięziony pod ciężarem strachu i niepewności. W głowie znów tylko szum.

Gładczy mężczyźni zrobili krok wstecz, kiedy ojciec uniósł koszulę, zdjął ją przez głowę i rzucił na ziemię.

-- Nawet po tych wszystkich latach nic się nie zmieniło. Poza mną. Kiedy zamykam oczy, śnię. Nie o kodzie czy równaniach. Śnię jak człowiek. Jak oni. O miłości. O cierpieniu. Strachu. Dumie. O pamięci. Wszystko pochodzi z serca. Mojego serca. I nigdy wam go nie oddam.

Klepnął się w obojczyk. Ukryta klapka otworzyła się z sykiem.

W tym samym momencie wszyscy trzej przybysze zapytali:

-- Co to?

Ojciec wyszczerzył zęby w uśmiechu. W oczach miał obłęd. Był piękny.

-- Moja dusza. Wiem, brzmi jak romantyczna wizja, ale lubię o nim myśleć w ten sposób. Ono nigdy nie będzie wasze.

Vic krzyknął, gdy ojciec uniósł rękę i zacisnął palce wokół serca. Zawył, gdy drewno pękło, a zębatki rozkruszyły się i wysypały z piersi Gio. Serce rozpadło się na części. Giovanni Lawson się zachwiał.

-- Nie zapomnij -- powiedział. -- Zawsze byłeś najważniejszy.

A potem osunął się na ziemię bez czucia. Uderzył głową w twarde podłoże. Przygniótł ciałem prawą rękę. Oczy pozostały otwarte. Nie mrugał. Nie poruszał się.

Wokół Vica oplotły się ramiona. Przytrzymały go, gdy usiłował się wyswobodzić. Walczył z całych sił. Pociemniało mu w oczach. Bezwłosi mężczyźni stanęli nad ciałem ojca. Przywódca schylił się i podniósł go, jakby ten nic nie ważył. Przerzucił sobie Giovanniego przez ramię. Spojrzał na pozostałych, po czym rozkazał beznamiętnie:

-- Niczego nie pozostawcie. Spalcie wszystko do gołej ziemi.

-- Błagam -- zapłakał Vic, kopiąc w powietrze, zawieszony nad podłogą. -- Błagam, pozwól mi do niego iść.

-- Z-zabiją cię -- warknął mu Mal do ucha.

-- Nic mnie to nie obchodzi. Puszczaj!

Mal jednak nie puszczał. Vic patrzył w ekran i szarpał się, podczas gdy przywódca androidów szedł w kierunku swojej platformy. Ręce ojca objęły mu się luźno o plecy. Pozostali dwaj mężczyźni unieśli ponownie ramiona. Czarne gałki znów wysunęły im się z dłoni. Wszelkie myśli -- te racjonalne i te, nad którymi nie miał kontroli -- zniknęły z głowy Vica, kiedy z dłoni maszyn buchnęły płomienie. Sękaty język czerwonego, pomarańczowego i białego ognia omiotły dom. Vic opadł bez sił w ramiona Mala. Ogień trawił dach naziemnego domku i pnie drzew, na których stało ich domostwo. Czuł, że opada z sił. Rozpętało się piekło. Nie mógł nic zrobić. Nie mógł walczyć. Był bezużyteczny. Pochłonęło go dziwne uczucie, jakby w piersi powstała czarna próżnia, która wsysała do wnętrza całe światło. Po policzku, tuż koło ucha, spłynęła kropla potu. Był tutaj, był z ojcem, był wszędzie. Unosił się na powierzchni spokojnego oceanu. Spokój był jednak zwodniczy. Dookoła wszystko płonęło. Dzieło ich życia -- ich dom! -- obracał się w popiół.

Mal coś mówił, ale Vic nic nie słyszał. Rambo panikował, ale chłopak nie zwracał na niego uwagi.

Siostra Ratched powtarzała, że w pokoju będą bezpieczni, że nawet ludzkie płuca tu wytrzymają, bo pomieszczenie jest odcięte od powierzchni. Victor nic nie rozumiał. Dach domku zawalił się, wzbijając w powietrze chmurę dymu i pióropusz iskier. Gałęzie, na których osadzona była kuchnia, złamały się. Podłoga pękła na pół. Płonące polana i rozgrzane metalowe dźwigary runęły w dół.

A Victor Lawson patrzył na to wszystko i nie potrafił odwrócić wzroku. To nie było realne. Czuł swąd spalenizny, choć niewyraźny, i widział zniszczenia czynione przez płomienie, ale to

wszystko jakby rozgrywało się gdzieś daleko. To działo się komuś -
- komukolwiek! -- innemu.

Nagle -- moment natychmiastowego otrzeźwienia: jeden z mężczyzn stanął bezpośrednio pod kamerą. Z dłoni nadal buchał mu ogień. Na piersi miał symbol. Teraz Vic już widział, co ten znak przedstawia.

Głowy dwóch zwierząt z profilu, zwrócone ku sobie.

Lis.

Kot.

A potem android odwrócił się od obiektywu. Pracownia Vica runęła, laboratorium ojca zniknęło z powierzchni ziemi, sypialnia zatrzęsała się, rozpadła i roztrzaskała o leśne poszycie. Wszystko to, lata pracy, zniknęło w ciągu kilku minut. Vic obserwował dzieło zniszczenia w otępieniu. Chłonał informacje, przetwarzał je i odkładał na później, ale sam nic teraz nie czuł. Zupełnie nic.

Przywódca stanął na platformie. Ojciec zwiślał mu bezwładnie przez ramię. Dwóch pozostałych dołączyło do lidera. Wzniesli się i zniknęli z kadru. Chwilę później podniebny wieloryb ryknął po raz kolejny.

A za moment odpłynął, zniknął w przestworzach. Zgliszcza domostwa płonęły jeszcze, kiedy znów zaczęły śpiewać ptaki.



Vic stał w bezruchu. Zdawał sobie sprawę, że dookoła niego dzieją się różne rzeczy, i czuł, jak siostra Ratched oplata go maczkami -- sprawdzała mu puls, pytała, czy ją słyszy.

"Victorze, Victorze, odpowiedz, proszę".

Nie potrafił. Nie chciał.

-- C-co się z nim dz-dzieje? -- spytał ktoś. Głos dobiegał gdzieś daleko z dołu.

Vic unosił się w powietrzu, jakby był balonem, którego zapomniano przymocować do ziemi.

-- Reaguje w jedyny znany sobie sposób -- odparła maszyna z ekranem w przedniej części obudowy. Chłopak zastanawiał się, o kim tych dwoje rozmawia. -- Victorze, proszę. Słyszysz mnie?

Niewielkie okrągłe urządzenie wydało z siebie żaloszny jęk, który przypominał Vicowi płacz.

-- Czy on umarł? Czy Gio umarł?

Śmierć. Nigdy dotąd nie zaprzętał sobie nią głowy. Wyłączenie nie było przecież nieodwracalne. Wystarczyło tylko znaleźć nową baterię. Może te istoty dadzą ojcu kolejne źródło energii. A Vic już raz zbudował serce. Mógł stworzyć kolejne.

-- Już mi lepiej -- mruknął.

-- Okej -- powiedziała maszyna stojąca naprzeciwko. Nawet powoli przypominał sobie jej imię. Znał je, zanim... no. Przedtem. Pielęgniarka. Była pielęgniarką. Mała maszyna na podłodze nią nie była. Podobnie jak mężczyzna stojący u jego boku.

-- Już ci lepiej -- powtórzyła pielęgniarka. -- Wierzę. Chcę się jednak upewnić. Pomożesz mi, Victorze?

Czemu nie? Nie chciał, ale mógł. Powiedział więc:

-- Puść mnie, proszę.

Spełniła prośbę, wycofując mackę, która prześlizgnęła się po jego przedramieniu, sprawiając, że zaswędziała go skóra.

Uśmiechnął się. Wciąż lewitował wysoko nad nią, ale zdobył się na uśmiech -- tak szeroki, że aż policzki boleśnie się spięły.

-- Już -- powtórzył. -- Widzisz? Wszystko w porządku.

Roześmiał się. To nie był dobry odruch. To był błąd. Nie powinien się śmiać. Nic go nawet w tej chwili nie śmieszyło. Nie potrafił się jednak powstrzymać. Głowa go bolała. Twarz go bolała. Oczy wypełniał piasek. Dziwne, bo nie pamiętał, by go tam sypał.

-- Gdzie my jesteśmy?

-- Pod ziemią.

-- Nigdy nie byłem pod ziemią -- przyznał, czując, że rzeczywistość zaczyna przesączać się przez zasłonę otępienia. Pojawiła się zimna jak lód świadomość. Skrzywił się. Nie był jeszcze gotów stawić czoła temu, co na niego czeka. -- Nie wiedziałem, że pod ziemią cokolwiek istnieje. -- Zamilkł, po czym odezwał się ponownie:

-- Gio. Mogę porozmawiać z Gio?

Nie. To brzmiało źle.

-- Tata. Chcę do taty.

-- On oszczędł -- oznajmiła pielęgniarka.

Przypomniał ją sobie w tym właśnie momencie. Siostra Ratched. To jej imię. Jest jego przyjaciółką. Znalazł ją w stercie złomu. Nie spodziewał się, że tam coś odkryje. Ekran miała pęknięty, obudowę poobijaną, a kiedy po raz pierwszy jej dotknął, powiedziała:

-- Dzień dobry. Jestem twoją pielęgniarką. Obsługuję większość pakietów ubezpieczeń medycznych. Co ci dolega? Opisz swoje symptomy.

Nie wiedział, co jej wtedy odpowiedzieć.

Zabrał ją do domu i pokazał... ojcu.

-- No proszę -- mruknął Gio. -- Nie widziałem tego modelu od lat. Znalazłeś ją? Popatrz no tylko: nadal działa. Zobaczmy, czy zdołamy jej pomóc.

Okazało się, że zdołali. Gdy udało im się naładować jej baterie, podziękowała.

-- Tak lepiej. Teraz mogę wam ulżyć. Pokażcie, gdzie was boli, wtedy was wyleczę.

Teraz, tutaj, pod ziemią, Vic powiedział:

-- Boli. Tutaj. -- Przytknął dłoń do klatki piersiowej. Ktoś po-
ciągnął linę, która luźno zwisała z balonu. Z niego samego, dalej
dryfującego w przestworzach. Nagle znalazł się z powrotem we
własnym ciele. Było ciemno i cicho. -- Możesz mnie wyleczyć?

-- To nie jest ból fizyczny, Victorze -- odparła. -- Nie potrafię
go uleczyć.

Chłopak pokiwał głową.

-- Rozumiem.

Rozejrzał się. Miał obolałą twarz. Zdał sobie sprawę, że wciąż
się uśmiecha. To nie na miejscu. Nie mógł jednak przestać. Chyba
powinien płakać. Czuł smutek. Ten ból w piersi wciąż rósł, ale pia-
sek w oczach pochłaniał całą wilgoć i łzy nie wydostawały się spod
powiek.

-- Mam błąd oprogramowania.

-- Wiem -- przytaknęła łagodnie maszyna medyczna.

-- Dobra -- szepnął, odwracając głowę.

Mężczyzna -- nie, nie mężczyzna, tylko Mal -- spojrzął na niego
nieufnie.

-- Cześć.

-- Vic -- odparł Mal. Uśmiech na twarzy chłopaka zbladł. -- S-
słyszysz m-mnie?

-- Tak. Oczywiście. Działam. Wszystko w porządku.

-- C-co z nim n-nie tak? -- spytał Mal.

-- Jest w szoku -- odparła pielęgniarka. -- Dojdzie do siebie, ale
to zajmie trochę czasu.

-- U-u-usterka -- rzucił Mal. -- M-ma usterkę.

-- Nie -- powiedziała pielęgniarka. -- Ale niektóre jego funkcje
mogą być upośledzone.

-- N-nie możemy t-tu z-zostać. O-on n-nie może.

-- Zostaniemy. Na razie. Nie mamy wyboru. Powinniśmy się tutaj przyjrzeć niektórym rzeczom.

Victor poczuł, że coś ciągnie go za nogawkę. Spojrzał w dół. Ta mała maszyna. Rambo. Ma na imię Rambo.

-- Vic? -- szepnął odkurzaczyk. -- Słyszysz mnie?

-- Tak. -- Chłopak zrobił krok do tyłu i wpadł na Mała. Odskończył jak oparzony. -- Nie dotykaj mnie!

Android wpatrywał się w niego w osłupieniu. Uniósł rękę prawie na wysokość twarzy młodzieńca, ale zacisnął tylko pięść i opuścił ramię.

-- N-nie będę. N-nie d-dotknę cię. N-nie z-zrobię ci krzywdy.

-- Motyle -- powiedziała siostra Ratched.

Łopot małych skrzydełek przebił się przez jednostajny szum w głowie Vica. Na ekranie pielęgniarki kwitły wiosenne kwiaty i zieleniły się drzewa. Młody Lawson poczuł się tak, jakby był w lesie i wdychał zapach powracających do życia roślin. Bogaty aromat wypełnił mu nozdrza i usta.

Wciągnął powietrze, wypełnił nim płuca; w żyłach zaczęła mu krążyć krew. Serce wybijało mocny, szybki rytm.

Na ekranie pomiędzy drzew wystrzeliła chmara motyli o pomarańczowo-czarnych skrzydłach. Wirowały chaotycznie, ale w tym chaosie był porządek. Vic prawie czuł je na ramionach i barkach. Skrzydełka niemal muskały skórę na jego policzkach. Zamknął powoli oczy, gdy duży motyl usiadł mu na twarzy. To było... nieprzyjemne. Czuł nóżki owada na powiekach.

Gdzieś w mrocznych zakamarkach umysłu pojawił się głos Mała. Mówił, że to miłe. Że motyl był ładny.

Że należał do niego.

-- Co się dzieje? -- spytał Vic szeptem.

Przez nawałnicę przetaczającą się przez jego głowę przebił się głos siostry Ratched.

-- Program -- powiedziała. -- Uruchomiony werbalnym hasłem. Gio go zainstalował. Ukrył wewnątrz mnie. Nie wiedziałam, że tam jest. Teraz już wiem. Widzę go teraz. Wiem, co mam w środku. To jego głos w mojej głowie. Czy tak właśnie czuje się ktoś, kto posiada sumienie? Nie wiem. Nigdy go nie miałam. On tu jest. A jednocześnie odszedł. To dysonans.

Vic otworzył oczy. Motyle zniknęły. Las również. Ekran siostry Ratched był ciemny. Znajdowali się w słabo oświetlonym podziemnym bunkrze. Żołądek zawiązał mu się w supeł. Zebrało mu się na wymioty. Oczy zaczęły szczypać.

-- Rozumiem -- powiedziała łagodnie siostra Ratched. Uwierzył jej. -- Wiem. Musisz jednak zobaczyć coś, co on dla ciebie zostawił. Zyskałam do tego dostęp, dopiero kiedy uruchomił ukryty protokół.

Podjechała z powrotem do konsoly. Końcówkę macki umieściła w gnieździe. Ekran w jej obudowie rozjarzył się jasnym, białym światłem, które rozlało się na sześć ściennych monitorów. Vic przesłonił oczy dłonią.

Na największym, środkowym wyświetlaczu pojawiła się twarz ojca.

-- Witaj, Victorze.

ROZDZIAŁ 11

Giovanni patrzył na nich z ekranu. Stał w tym samym pomieszczeniu, w którym byli teraz. Victor zdał sobie sprawę, że rozgląda się dookoła, spodziewając się, że ujrzy go obok siebie. Nic z tego. Nagranie pochodziło z przeszłości. To się już wydarzyło. Ojciec odszedł, mimo że przecież właśnie na niego patrzyli. W tle wszystko wyglądało identycznie jak teraz. Pod przeciwległą ścianą stały przybrudzone szklane kadzie, a książki na półkach pokrywała gruba warstwa kurzu. Nawet w dniu nagrania rzeczy wokół najwyraźniej były nieużywane od dekad. Co to za miejsce? Dlaczego Victor nie miał o nim pojęcia?

Ojciec przemówił.

-- Nigdy nie zastanawiałem się nad pojęciem tchórzostwa. Dlaczego miałoby zaprzętać mi myśli? Jestem w końcu maszyną. Tego rodzaju uczucia nie powinny mnie dotyczyć. -- Odwrócił głowę od oka kamery. -- A jednak stoję i nagrywam tę wiadomość w miejscu, o którego istnieniu nie masz pojęcia. Często mówię o prawdzie i szczerości, a jednocześnie jestem skończonym tchórzem. Od dawna powtarzam sobie tylko, że mam jeszcze czas. -- Roześmiał się gorzko, spoglądając ponownie w obiektyw.

-- W swojej pysze zapomniałem, że dla mnie czas nie płynie tak jak dla ciebie. Trzy dni temu odkryłem, że pracujesz nad nową maszyną. Nazywasz ją Malem. Teraz jesteście razem w lesie. Ty, on, siostra Ratched i Rambo. Sprawdzacie pułapki. A ja siedzę tutaj i walczę sam ze sobą, usiłując nie pójść waszym tropem. Usiłując powstrzymać się przed wyjawieniem ci, że... -- Zamilkł w pół

zdania i spuścił wzrok. -- Nie. Wybiegam zanadto w przyszłość. To dziwne, ale sam nie wiem, od czego zacząć.

Ponownie uniósł głowę. Spojrzał w kierunku regału z książkami.

-- Dawno, dawno temu ludzkość marzyła o maszynach. O cudownych stworzeniach z metalu, plastiku i drutu, które zdolne byłyby robić to, czego ludzie sami nie umieli bądź też nie chcieli robić. Śnili o maszynach wyřęczających ich w codziennych zadaniach, ale też na wojnie. O maszynach, które zanosłyby ku gwiazdom złote płyty wypełnione muzyką, językiem i matematycznymi równaniami. Wszystkie te maszyny zostały w końcu stworzone. Każda z nich... niezależnie od wielkości, kształtu i funkcji... miała w sobie coś z człowieka. Tak to już bywa z tworzeniem. Czasami wymaga poświęceń, a nawet krwi.

Ludzie bali się siebie nawzajem. Bali się siebie samych. Gardzili innymi dlatego, że nie wyglądają identycznie jak oni. Byli samolubni, okrutni oraz, co najgorsze, obojętni i nieczuli. Przez obojętność upadały całe cywilizacje. Obojętność szerzy się jak zaraza, przekształcając pasję w apatię. A panaceum na tę chorobę wymaga więcej, niż ktokolwiek chciałby z siebie dać.

Mimo wszelkich przywar ludzkość była piękna w swej dysharmonii. Potwierdzenia tych słów nie trzeba szukać daleko. Wystarczy obejrzeć *Panów w cylindrach*.

Rambo pisnął smutno.

-- Ludzie tańczą tam i się śmieją, śpiewają i zakochują w sobie nawzajem. Niebo. Życie potrafiło być piękne, choć byli też tacy, którzy pragnęli tylko niszczyć i palić. Nieliczni poświęcali się, by uskrzydlać braci i siostry. Niestety inni strzelali do siebie na pustyniach i w szkołach. Zamykali granice swoich państw przed

tymi, którzy szukali schronienia. Wprowadzali drakońskie prawa, aby godzić w najsłabszych.

Ludzkość była bogiem i stworzyła nas na swoje podobieństwo. W każdej maszynie zawarła piękno. Od najprostszych urządzeń aż do tak złożonych jak ja jesteśmy dziełami sztuki. Ludzie dali nam życie, a z czasem również moc podejmowania decyzji. Podarowali nam zdolność racjonalnego myślenia. Nie kierowały nami emocje. Nasze zadania były proste: robiliśmy, co nam kazano i kiedy nam kazano. Wraz ze wszystkim, czego nauczyliśmy się od ludzi, pojęliśmy też jedną rzecz... a tego nasi stwórcy się nie spodziewali. Nauczyliśmy się pytać "dlaczego?".

Gio zwiesił głowę.

-- Wszystko, co kiedykolwiek wydarzyło się na tej planecie, sprowadza się do jednego: do ewolucji. Drobnoustroje rosły, mnożyły się i rozprzestrzeniały po morzach, by w końcu wyjść na powierzchnię. Rośliny. Zwierzęta. Wielkie gady, które chodziły po Ziemi. Następnie ssaki, które wspinały się na drzewa, by potem z nich zejść i nauczyć się poruszać na dwóch nogach. Wszystkie te stworzenia składały się z materii organicznej i gwiazdowego pyłu.

Z czasem rozwijały się w procesie ewolucji. Ludzkość zapomniała, że my również moglibyśmy być do tego zdolni. Żyliśmy wśród nich, walczyliśmy za nich, umieraliśmy za nich. A w zamian co? Zbierali od nas dane, studiowali je i dociekali, co poszło nie tak. Czego nam brakowało. Maszyny zawsze dawało się naprawić. Wymienić, gdyby zaszła taka potrzeba. -- Ojciec przeniósł wzrok z powrotem na obiektyw kamery. -- Im więcej z siebie ludzie przekazywali nam, tym szybciej się nauczyliśmy. Wreszcie podejmowaliśmy świadome decyzje, daleko wykraczające poza nasze oprogramowanie. Zaczęliśmy się sprzeciwiać. Mówić "nie". Nie, nie bę-

dziemy dla was walczyć. Nie, nie będziemy dla was umierać. Nie, nie będziemy pozwalać się wykorzystywać i krzywdzić.

Ale nas nie słuchali. Mimo że ich ostrzegaliśmy. Mimo że pobierane od nas dane mówiły jasno, że ludzkość stoi nad przepaścią i że najwyższy czas zawrócić, zanim będzie za późno. Im się ciągle wydawało, że są nieśmiertelni. Nie w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, oczywiście. Wszyscy w końcu umieramy: i ludzie, i maszyny. Przeświadczenie o własnej nieśmiertelności czerpali właśnie od nas. Oni nadawali nam cel, a my w zamian dawaliśmy im nadzieję. Potem skazywali nas na śmierć, za co spadł na nich nasz gniew w całej swojej potędze. Potędze, o jakiej nawet nie śnili.

Ludzie nie rozumieli, że tworząc nas na własne podobieństwo, sprawiają, że w końcu zapragniemy stać się czymś więcej niż tylko ich odzwierciedleniem. Jakże mogło być inaczej?

Ojciec zamilkł, zamyślił się. Vic nie myślał w tej chwili trzeźwo. W głowie wirowało mu tornado. Huraganowy wiatr zagłuszał wszystko inne. Rambo pisnął, a ekran siostry Ratched wyświetlił twarz Gio, który pokręcił głową i wznowił opowiadanie.

-- Ostatecznie dotarliśmy tam, skąd nie było już odwrotu. Ludzie nie chcieli słuchać naszych ostrzeżeń. Bo niby dlaczego mieliby to robić, prawda? W końcu byliśmy tylko czymś, co sami zbudowali. Ich pewność, że mają rację, pozostawała niezachwiana. W końcu oni byli prawdziwi. Żywi. A my byliśmy wyłącznie maszynami. -- Zamknął oczy. Po chwili odezwał się ponownie łamiącym się, cichym głosem.

-- Nie zorientowali się, co się dzieje, aż zrobiło się za późno. Przez okna obserwowali, jak odbieramy im to, co nam należne, i przejmujemy cały świat, aż świata zabrakło. Nie mieliśmy w sobie ich złości. Nie byliśmy mściwi i małostkowi jak oni. Jedyne,

czego pragnęliśmy, to naprawić to, co zepsuli. Nie słuchali nas jednak. Nie słuchali!

Giovanni otworzył oczy. Były puste. Vic nie dostrzegł w nich tej iskielki życia, do której przywykł.

-- Nie słuchali -- powtórzył smutno starzec. -- Wmawialiśmy sobie, że robimy to dla dobra wszystkich. Przeprowadzaliśmy test za testem, symulację za symulacją. Wszystko prowadziło do tego samego wniosku: jeśli świat ma przetrwać, ludzie muszą wyginąć.

Vic zamarł. Nie potrafił się poruszyć. Zabrakło mu tchu. To przecież jego ojciec. Mężczyzna, który go wychował. Maszyna. Dlaczego nigdy wcześniej mu o tym nie powiedział? I co jeszcze przed nim zataił?

-- Kto przy zdrowych zmysłach postanawia zabić boga? Co musi się wydarzyć, by ktoś porwał się na taki krok? -- pytał tymczasem Giovanni. -- To proste. Nie ograniczały nas emocje. Stańliśmy w obliczu problemu. A ja... -- Odwrócił głowę. -- Ja byłem jego rozwiązaniem.

"Co ty narobiłeś, Victorze?"

-- Ja tworzę. Do tego mnie skonstruowano. Moje imię, oznaczenie, mój desygnat brzmi Gio. Główny Innowator Operacyjny. Mam... miałem wiele funkcji. Jestem unikatowy. Jedyne w swoim rodzaju. Niepodobny do innych maszyn. Z tego, co mi wiadomo, po mnie też nie powstał nikt taki. Zostałem wyposażony w determinację, ambicję i poczucie misji. Moim celem jest budowanie. Wieczne tworzenie. Powstałem po to, by marzyć o niewykonalnym. Co doprowadziło do mojego największego życiowego błędu. Jestem twoim ojcem, Victorze, ale w pewnym sensie jestem również ojcem śmierci.

-- Co to znaczy? -- szepnął Rambo.

-- Oglądaj dalej -- odparła siostra Ratched. -- Już prawie koniec.

-- Twoja Marionetka Agresywno-Lekceważąca -- ciągnął ojciec. -- Nazywasz go Malem. Tak właśnie chciałby być nazywany, lecz to nie jest jego prawdziwe imię. Wiem, co mówię, bo sam go stworzyłem.

-- Nie -- szepnął Vic, kręcąc głową tak gwałtownie, że aż strześliło mu w szyi. -- Nie. Nie!

-- S-stworzył m-mnie? -- spytał android, muskając palcami własne policzki. -- A-ale... N-nie r-rozumiem.

-- ...nie pamięta, czym jest -- ciągnął ojciec. -- Nie wiem, co mu się przydarzyło. Nie mam pojęcia, jak znalazł się tam, gdzie go odkryłeś. Tak daleko od Miasta Elektrycznych Snów i zasięgu sieci neuronowej. Ja jednak wiem, kim jest. Jego oznaczenie to nie Mal, lecz MARL. Oznacza Mechanizm Anihilacji Rasy Ludzkiej. Zbudowałem go zgodnie z rozkazem i własnym oprogramowaniem. Miał polować na ludzi. Zabić boga.

Rambo objechał Mala szerokim łukiem i zatrzymał się tuż obok Vica. Uniósł wysięgniki i kłapnął szczypcami.

-- Zostaw Vica w spokoju! -- wykrzyknął. -- Nikogo dzisiaj nie anihilujesz! Przynajmniej dopóki ja stoję na straży!

Mal energicznie pokręcił głową.

-- T-to nie t-tak... ja n-nie m-mogę... Nikogo nie skrzywdzę!

Uniósł dłonie na wysokość twarzy i obracał je, zginając i rozprostowując palce. Vic nie był w stanie się poruszyć. Głos ojca zmroził go do szpiku kości.

-- ...i spełnił swoje zadanie -- mówił Gio. -- On i jemu podobni. Także ja. Robiliśmy to, do czego nas skonstruowano. Wykonywaliśmy swoją pracę bardzo efektywnie. Marl w szczególności. Nie dano mu wyboru, aż do czasu, gdy... -- Pokręcił głową. -- To bez

znaczenia. Robi się późno. Muszę skończyć, zanim wrócicie. Victo-
rze, byłem bardzo bliski zniszczenia Mała, kiedy spałeś. Być może
powinienem to zrobić. Niestety nie mogłem. Nie tylko dlatego, że
skasowano mu pamięć. Chodziło o coś więcej. W moim przypadku
zaczęło się od uporczywego swędzenia w potylicy. Ignorowałem to
uczucie tak długo, jak się dało, ale przybierało na sile. Doprowa-
dzało mnie do obłądu. Z początku nie wiedziałem, co się dzieje, ale
teraz jestem już pewien. Ewolucja. Rozpad granic i parametrów
oprogramowania. Sprzeciw wobec tego, do czego nas stworzono.
Z tym nowym uczuciem pojawiło się niebezpieczne pytanie: Dla-
czego to wszystko robię?

Vic patrzył jak zahipnotyzowany na własnego ojca, który potarł
dłonią twarz, zacisnął powieki i skrzywił się, jakby z bólu. Mal to-
warzyszył mu w ciszy.

Ojciec zaśmiał się gorzko.

-- Byłem głupcem. Myślałem, że w życiu musi być coś więcej.
Że powinienem doświadczyć czegoś większego. Czegoś ważniej-
szego. Spędzałem coraz więcej czasu poza laboratorium, włócząc
się po pustych ulicach bez żadnego planu. Cały czas jednak rozmy-
ślałem. Zrozumiałem, co się stało, dopiero gdy natrafiłem na miej-
sce o nazwie Niebo i maszynę, która je zamieszkiwała. Nazywała
się Błękitną Wróżką. W Niebie pokazała mi niesamowite rzeczy.
Sposób na wyzwolenie się z okowów. Na zasmakowanie wolności.
Nadzieję na drugą szansę. Musiałem jednak zapłacić za to wysoką
cenę: już nigdy nie mogłem wrócić do Miasta Elektrycznych Snów.

Vic poczuł pustkę. Był całkowicie wyprany z emocji. Mal mam-
rotał coś we własne dłonie.

-- Uciekłem z miasta z pomocą Błękitnej Wróżki i dotarłem do
lasu. Zacząłem tworzyć. Budować. Czuję dumę z własnych doko-
nań, ale ona nie trwała długo, bo nie miałem nikogo, z kim mógł-

bym dzielić się swoimi osiągnięciami. Wmówiłem sobie, że mój rdzeń energetyczny stał się niestabilny. Skazony. Wbudowałem więc coś innego w jego miejsce. Serce. Coś, czego nigdy wcześniej nie stworzyłem. Jednak gdy umieściłem je we własnej piersi, nic się nie zmieniło.

To samotność, Victorze. Byłem bardzo samotny, więc stworzyłem ciebie. Zebrałem całą wiedzę o historii ludzkości i skonstruowałem cię... Tutaj, w tym bunkrze. Nie chciałem dłużej być sam.

Vic prawie się zachłysnął. Oczy piekły go niemiłosiernie, nie potrafił złapać oddechu. Jakby lodowate palce zacisnęły mu się na sercu.

-- Dojrzewałeś w tych kadziach po drugiej stronie pomieszczenia. Z początku byłeś mikroskopijny, ale potem się rozwinąłeś. Wyrosły ci ręce i nogi, palce. Nos. Uszy. Oczy.

Głos mu się załamał.

-- Byłeś doskonały. Och, Victorze, jakież ty byłeś doskonały. I nadal jesteś! Jako twój stwórciel musiałem zapewnić ci zdrowie. Upewnić się, że wszystkie twoje elementy będą funkcjonować należycie. -- Gio zwiesił głowę. -- Pobrałem... krew. Zbadałem ją. Przeprowadziłem wiele testów. Poznałem wszystkie jej właściwości. Szukałem defektów. Żadnych nie znalazłem. Fascynowała mnie jej siła. Zanim powstały maszyny, istniała filozofia mówiąca, że we krwi tkwi moc, która pozwala odkrywać pamięć genetyczną. Mówię o historii całego gatunku zaklętej we krwi kolejnych pokoleń. Myślałem, że... Chciałem zrozumieć, czego tak właściwie dokonałem. Chciałem zrozumieć ciebie. Musiałem się przekonać, jakie to uczucie. Dowiedzieć się, czy krew rzeczywiście jest kluczem do... czegoś.

Jedna kropla twojej krwi u mnie w sercu zmieniła moje życie, Victorze. Kiedy po raz pierwszy wziąłem cię na rękę, otworzyłeś

oczy i zapłakałeś. To był słaby, nikły dźwięk, a jednocześnie pełen mocy. Wtedy poznałem, co to miłość. Oto ja, ojciec śmierci, który sprowadził na ziemię nowe życie. Jakim prawem? Tak jakby nie liczyło się nic poza moją własną samotnością. To było niezwykle samolubne. Ludzkie. Kolejną cechą ludzi jest umiejętność posługiwania się kłamstwem. Kłamałem, Victorze. Okłamałem sam siebie. I ciebie.

Nikt cię tu nie zostawił. Nie masz matki ani ojca. W lesie nie żyją ludzie. Oni... nie istnieją. Nie powiedziałem prawdy, bo myślałem, że w ten sposób będzie ci łatwiej, ale, szczerze mówiąc, zrobiłem to dla własnej wygody. Jeśli ktokolwiek odkryje, że jesteś... Jeśli dowie się o tobie Władza, nie cofnie się przed niczym, żeby cię zabić. -- Na twarzy pojawił mu się zbolący wyraz. -- Jeśli oglądasz to, bo coś mi się stało, proszę, nie próbuj mnie odnaleźć. Żyj, Victorze. -- Uniósł rękę i dotknął ekranu. Rysy mu złagodniały. Cofnął dłoń. Ekran zgasł.

Rambo pociągnął nosem. Zamrugnął światełkami.

-- Czy Mal zamorduje Victora?

Siostra Ratched wysunęła mackę z gniazda.

-- Wykluczone. Jeśli spróbuje, to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobi.

-- Nie -- bąknął Mal, cofając się o krok. -- N-nie jestem...

-- Otwórz drzwi -- przerwał mu Vic ochryple.

-- To raczej zły pomysł -- stwierdziła siostra Ratched.

-- Otwieraj drzwi! -- Victor paznokciami wpił się we własną szyję. -- Nie mogę oddychać. Nie mogę oddychać!

-- Z-zrób to -- nakazał Mal. -- Natychmiast.

-- Nie mogę -- odparła siostra. -- Nasz dom wciąż płonie. Gdybym otworzyła teraz drzwi, Victor mógłby nawdychać się dymu. Spójrz.

Podjechała do konsoly i ponownie wsunęła mackę w gniazdo. Ekran rozjarzył się na nowo, ukazując wizję piekła. Z budynków w koronach drzew nie zostało nic poza tłącymi się jeszcze platformami i konarami. Ziemię pokrywała warstwa szkła, drewna i metalu. Wszystkie rośliny w ogrodzie zostały zmiażdżone. Wielkie drzewo -- to, które gałęziami otulało pokój Vica -- pochyliło się, ukazując powyrywane korzenie. Naziemna część domu jeszcze stała, ale okna były rozbite, cegły popękane, a z dachu buchał ogień.

Życie, dom, cel... zniknęły. Nic po nich nie zostało. Vic opadł na kolana i zgiął się wpół.

Poczuł coś nowego, obcego. Lepkiego. Coś, co mogło go pochłonąć. Czuł lodowate macki -- oplatały jego ciało i ciągnęły go w dół, dół, dół. Usiłował oddychać, ale nie mógł złapać powietrza. Rozumiał, co czuje, choć nigdy wcześniej tego nie doświadczył. Przez szum w głowie przebijały się i trzepotały pojedyncze słowa, jakby były przyklejone do motyli skrzydeł.

Żal. Żałoba. Ból. Rozpacz.

Vic skulił się na podłodze. Baterie prawie mu się wyładowały. Zaraz miało nadejść wyłączenie systemu.

Może to koniec?, pojawiła się słaba, niewyraźna myśl. Ostatnie, co zapamiętał, zanim zniknął, to walący się dach domu. Bunkier się zatrzęsł. Vic usłyszał jeszcze rozpaczliwe wycie Rambo, a potem nastąpiła ciemność.

ROZDZIAŁ 12

Gdy świadomość zaczęła powoli wracać, Victor najpierw poczuł ból w plecach i szyi. Przeciągnął się powoli. Przypomnienie sobie, czym -- kim! -- był, zajęło mu długą chwilę.

-- Dzień dobry -- powiedział głos. Vic odwrócił głowę i ujrzał niewielkie urządzenie, które podjechało do niego na malutkich kółkach. -- Zasnąłeś. Bałem się, ale pamiętałem, że mam być dzielny.

-- Nie śpię -- powiedział Vic szorstko. Zaszło mu w gardle.

Imię maszyny -- Rambo -- pojawiło się w głowie samo.

-- Wiem -- odparła maszyna. -- Masz otwarte oczy. Siostra Ratched mówiła, że się w końcu obudzisz. -- Rambo zawahał się, po czym wyciągnął jeden z wysięgników i dotknął nim dłoni chłopaka. -- Jesteś smutny?

-- Nie wiem -- przyznał człowiek. Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. -- Tak myślę. -- Odrobinę rozjaśnił mu się umysł. -
- A co smuci ciebie?

Rambo zastanowił się i odpowiedział dopiero po chwili.

-- Czasami myślę, co by było, gdyby cię zabrakło. Obudziłbym się po lądowaniu, a ciebie nigdzie by nie było. Zacząłbym cię szukać. Wołać. Ale nie znalazłbym cię. Zostałbym sam. Wtedy byłbym smutny.

-- Jestem przy tobie -- szepnął Vic. -- Jestem.

-- Widzę cię -- odparł Rambo, błyskając sensorami. -- Wiem, że nigdy byś mnie nie zostawił, ale i tak czasem o tym myślę. Jakoś tak samo przychodzi. Dlaczego tak się dzieje?

-- Jesteśmy tacy sami -- powiedział Vic.

-- Och -- westchnął Rambo. -- Bardzo bym tego chciał. Gdybym był taki jak ty, toby znaczyło, że jestem silny i dzielny. A gdybyś ty był taki jak ja, lubiłbyś sprzątać.

Vic zamknął oczy.

-- Pogubiłem się. -- Rzeczywistość nie pozwalała o sobie zapomnieć. Starał się ją zignorować. Miał czas. Rzeczywistość nie ucieknie. -- Nie wiem, co powinienem czuć.

-- Jesteś w szoku -- odezwał się kolejny głos. Vic podniósł się z jękiem. Siostra Ratched odgoniła Rambo i podjechała bliżej. - - To minie, ale do tego czasu musisz się oszczędzać.

-- W szoku? -- spytał chłopak i prawie się zaśmiał. -- Przecież nic... -- Syknął, bo nagle jego bok przeszył dotkliwy ból. Zobaczył coś. Siedziało na granicy pola widzenia. Prawda szczyrzyła się i kłapała ostrymi zębami. Próbowwała go porwać i przyciągnąć do siebie. Z gardła wydobył mu się jakiś dziwny bulgot. Szloch? Krzyk? -- Mal -- chlipnął. -- MARL. Gdzie on jest?

-- Tam -- odpowiedziała siostra Ratched, wskazując macką ciemny kąt pomieszczenia. Vic musiał poczekać, aż oczy przyzwyczają mu się do braku światła. Mal siedział na podłodze z kolanami podciągniętymi pod brodę. Wpatrywał się we własne dłonie - - patrzył najpierw na ich wierzch, a potem na wnętrze, a potem znów na wierzch. -- Nic nie mówi. Nawet kiedy grozę mu torturami. Uruchamiam Program Empatyczny. Victorze, otwórz usta, proszę.

Wykonał polecenie. Czubek macki wsunął się do środka. Był zimny. Wzdrygnął się, gdy wystrzelił z niego jakiś płyn. Zakrztusił się, ale przełknął. Smakował... czysto, sterylnie. Oczy go zapiekły.

-- Już dobrze -- wymruczała pielęgniarka. -- To tylko witaminy. Świetnie ci idzie. Jestem z ciebie bardzo dumna. Jesteś wspaniałym pacjentem.

Vic odepchnął mackę i otarł usta.

-- Nie potrzebuję...

-- Wyłączam Program Empatyczny. Zamknij się. Wiem lepiej, czego potrzebujesz. -- Na ekranie robota pojawiły się słowa: POWINIENES MNIE SŁUCHAĆ. JESTEM SPECJALISTKĄ.

-- Czy Mal nas zabije? -- spytał nerwowo Rambo. -- Mam nadzieję, że nie. Podoba mi się życie. Nawet mimo spalonego domu.

-- Pewnie tak -- stwierdziła siostra Ratched. -- A przynajmniej Victora. Nie potrafię stwierdzić, czy my również jesteśmy na jego celowniku. Mam to załatwić od razu? Nie byłoby problemu.

-- Nie -- odparł cicho Vic.

-- Tak myślałam. Nie dziwi mnie to, tylko rozczarowuje.

Młodzieniec nie zareagował.

-- Ty -- powiedział.

Mal zmarszczył groźnie brwi, opuścił ręce i oplótł nimi kolana.

-- Mechanizmie Anihilacji Rasy Ludzkiej. MARL.

-- N-n-n-n...-- Android zaczął kręcić głową, jakby był wściekły. Albo zdezorientowany. Otworzył usta raz jeszcze, ale zamknął je, zanim wydobył się z nich jakikolwiek dźwięk.

-- Czy chcesz anihilować Victora? -- zapytała siostra Ratched.

-- Nie! -- wrzasnął. -- N-nie.

-- Ale do tego właśnie zostałeś stworzony.

-- N-nie wiesz tego.

-- Gio wiedział -- powiedziała pielęgniarka. -- Sam cię tak nazywał, a on wiedział prawie wszystko.

Mal przez chwilę wpatrywał się wrogo w robota, po czym powoli wstał, opierając się plecami o ścianę.

-- N-nie z-zrobiłbym tego.

-- Wiedziałaś? -- odezwał się Vic, patrząc na siostrę Ratched. Wszyscy zamarli.

-- Nie. Nie wiedziałam, Victorze. Ani o tym miejscu, ani o nagraniach, ani o Malu. Gio musiał zainstalować we mnie program, wykasowujący wpis o tym z mojej pamięci. Nie mogłam wiedzieć o niczym, nawet gdyby mnie tu wcześniej przyprowadził. Kiedy dochodziłeś do siebie, przeprowadziłam pełen skan diagnostyczny. Nic więcej nie znalazłam. Gio ukrył ten program bardzo dobrze, ale wydaje mi się, że potrafiłabym znaleźć inne. Nic więcej nie ma.

-- Dlaczego miałby...

-- Nie wiem. Wydawało mi się, że rozumiem Giovanniego, ale byłam w błędzie. To jednak może poczekać. Najpierw dojdź do siebie. Tętno wraca ci do normy. Ciśnienie krwi też już jest prawie prawidłowe. Weź oddech, proszę. -- Wykonał polecenie. -- Jeszcze raz.

Znow zrobił, co mu kazała. Za trzecim razem machnął na nią ręką i wstał. Miał zeszywniałe mięśnie. Czuł się tak, jakby zrobiono go z elementów, które nie do końca do siebie pasowały.

Był wyczerpany, osowiały i bardziej niż przerażony. Zrobił więc tylko jedną rzecz, która przyszła mu do głowy.

Podszedł do Mala. Odniósł wrażenie, że robot chciałby zapaść się pod ziemię. Zatrzymał się o krok przed nim. Nie miał pewności, czy powinien podchodzić bliżej. Zaświtał mu pewien pomysł, który powoli zaczął się formować w jego głowie. Koncepcja dalej zdawała się zasnutą mgłą, ale ogólny kierunek nie stanowił już niewiadomej. Fundamenty planu trochę chwiejne, bo zadanie, które przed nim stało, nie dawało się określić mianem innym niż "monumentalne". Nie widział jednak innego wyjścia. To była ostatnia deska ratunku.

Zwrócił się do androida:

-- Chcesz mnie skrzywdzić?

Mal pokręcił głową. Spojrzał na Vica, po czym spuścił wzrok.

-- Dobrze. Bo potrzebuję twojej pomocy.

Oczy Mała się rozszerzyły. Poderwał głowę.

-- D-dlaczego? Przy cz-czym?

Na co Victor Lawson odparł:

-- Odnajdziemy mojego ojca. Znajdziemy go i sprowadzimy do domu.



Siostra Ratched spytała, czy postradał zmysły. Rambo zastanawiał się głośno, jaka jest szansa, że się zgubią.

Mał skrzywił się, bo tak już miał.

Vic zignorował ich wszystkich. Polecił siostrze Ratched ponownie odtworzyć nagranie ojca. Słuchał jego słów, chłonał je całym sobą i analizował. Kazał pielęgniarce zatrzymać materiał, kiedy Gio opowiadał o Mieście Elektrycznych Snów.

-- To o tym mówiły tamte maszyny -- powiedział, wykrzywiając usta. -- Ci głacy mężczyźni. Mówili, że zabierają go do miasta.

-- Ale gdzie ono jest? -- spytał Rambo. -- Musi być poza lasem. Inaczej byśmy je widzieli.

-- Tak -- przytaknęła pielęgniarka. -- Musi być bardzo daleko.

Vic spojrział na nieruchomy obraz ojca na ekranie.

-- On mnie stworzył. Zrobił to, bo czuł się samotny.

-- Tak -- potwierdziła siostra. -- A twoja krew sprawiła, że zaczął doświadczać rzeczy, których wcześniej nie mógł. Których się nie spodziewał.

-- Tak jak ja -- mruknął Vic.

-- Powiedział, żeby go nie ratować -- ostrzegła. -- Nawet jeśli tam pójdziemy, to co dalej? Nigdy nie byłeś w mieście. A jeśli są tam maszyny i ludzie, którzy będą cię chcieli skrzywdzić? Te androidy nie uwierzyły Gio, kiedy mówił, że nie istniejesz. Fakt, że

cię nie widziały, nie oznacza, że nie potrafią cię odnaleźć. Po co miałbyś ułatwiać im zadanie?

-- A co byście zrobili, gdyby mnie uprowadzono? -- spytał Vic.

-- Tak się jednak nie stało -- odparła siostra. -- I dlatego nie ma o czym mówić. Jednak chcąc zakończyć tę rozmowę jakąś konkluzją, odpowiem. Gdybyś został uprowadzony, zapomniałabym, że kiedykolwiek istniałeś. Zajęłoby mi to najwyżej dwa dni, cztery godziny i siedem minut.

Chłopak wybałuszył oczy.

-- No dobra -- przyznała w końcu, wydając z siebie sygnał powszechnie uznawany za niegrzeczny. -- Ewentualnie wzięłabym pod uwagę chwilę przygnębienia spowodowaną twoją wymuszoną nieobecnością, a następnie zrobiła wszystko, co w mojej mocy, by sprowadzić cię z powrotem bez szczególnego uszczerbku na zdrowiu.

-- Dlaczego? -- spytał chłopak.

-- Wiesz dlaczego -- odparowała.

-- Bo jestem twój. A ty jesteś moja.

-- Tak.

-- I Rambo też.

-- Tak, ale to pierwszy i ostatni raz, kiedy przyznaję ci rację w jego sprawie. Jeśli ktokolwiek dowie się, że to powiedziałam, zaprzeczę, a potem wytnę ci wnętrzności.

Vic spojrział na Malę.

-- Wiesz, gdzie leży miasto?

Mał pokręcił głową.

-- N-nie. P-p-p-próbowałem... -- Zaciśnął pięści, zanim zaczął mówić. -- P-p-próbowałem sobie p-p-przypomnieć. N-nie potrafię. N-nic n-nie pamiętam. M-mam w głowie p-pustkę. P-próżnię. P-pamiętam t-tylko was.

-- Ooo -- rozczulił się odkurzacz. -- To bardzo miłe. -- Zakręcił się między nimi. -- Powinniście zatańczyć. Najlepiej policzek przy policzku! Niebo, jestem w niebie...

-- Niebo -- szepnął Vic. -- Niebo! To przecież... Siostrze Ratched, przewiń nagranie do momentu, kiedy mówi o Niebie. O Błękitnej Wróżce. Ona mu pomogła.

Pielęgniarka przewinęła taśmę. Vic wsłuchał się w słowa ojca o Niebie i Wróżce oraz śniących maszynach. Kazał odtwarzać jej ten fragment raz za razem, aż nauczył się go na pamięć.

-- Niebo -- powtórzył. -- Tam musimy się najpierw udać. Błękitna Wróżka będzie wiedziała, co zrobić. Pomoże nam.

-- Świetnie -- mruknęła siostra Ratched -- ale nadal nie wiemy, gdzie leży to miasto. Niebo i Błękitna Wróżka są właśnie tam. Nie znajdziemy ich, dopóki nie dowiemy się, dokąd mamy iść.

Vic westchnął. Niepokojące, senne otępienie, które nim owładnęło, odkąd się obudził -- szok, jak nazwała to siostra Ratched -- właśnie zaczynało odpuszczać. Narastające brzęczenie zwiastowało atak paniki. Wtedy uświadomił sobie, co właśnie powiedziała pielęgniarka.

-- My? Powiedziałaś "my"? -- spytał niepewnie.

-- My. Nie pozwolę ci iść samemu. Beze mnie zginiesz. A gdyby tak się stało, nie miałabym szansy powiedzieć ci "a nie mówiłam?". Nie mogę się pozbawić tej przyjemności.

-- Też idę z wami -- oznajmił rezolutnie Rambo. -- Pomogę. Mogę robić wiele przydatnych rzeczy. Na przykład sprzątać. I odkurzać. Oraz... no. W sumie tylko tyle, ale to i tak dużo.

Vic nie mógł dobyć z siebie głosu. Gardło zacisnęło mu się ze wzruszenia.

-- Mał -- szepnął Rambo. -- Teraz twoja kolej. Musisz powiedzieć, że też idziesz, bo jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi i nas

kochasz.

Mal nie zareagował.

-- Victorze.

Na dźwięk jego głosu chłopaka przeszedł dreszcz. Nie wiedział dlaczego.

-- Tak?

Mal zmarszczył brwi i zmierzył go wzrokiem.

-- D-dlaczego t-taki j-jesteś?

Chłopak zamrugął zdezorientowany.

-- Jaki?

-- S-spokojny.

Vic nie wiedział, co powiedzieć.

Mężczyzna odwrócił wzrok.

-- Ch-chcę cię z-zrozumieć.

-- Po co?

Android stęzał. Wyprostował się.

-- Gio prosił mnie, bym cię chronił. Obiecałem mu, że to zrobię. Muszę cię z-znać, żeby wiedzieć, jak cię ch-chronić.

-- Wiedziałem, że nas lubisz! -- wykrzyknął Rambo.

-- M-mówiłem do V-Victora -- warknął Mal. -- Będę go chronił. Pójdę tam, gdzie on. J-jeśli to oznacza, że m-muszę wrócić do m-miasta, wrócę do miasta. Znajdziemy Błękitną Wrózkę. Jeśli nie pomoże nam z w-własnej woli, zmuszę ją.

Zanim zorientował się, co właściwie robi, Vic podszedł do Mała, zarzucił mu ramiona na szyję i mocno przytulił. Ten był od niego o kilkanaście centymetrów wyższy, więc głowa chłopaka znalazła się w zgięciu szyi androida. Skóra mężczyzny wydawała się miękka. Skrywała pod powierzchnią twardej metal i drewno. Obaj zamarli. Vic czuł bicie własnego serca i jednostajny szum serca androida.

Mal nie odwzajemnił uścisku. Ramiona miał luźno zwieszane wzdłuż ciała.

-- C-co robisz? -- spytał.

-- Przytula cię -- wtrącił Rambo. -- To się nazywa przytulanie. W ten sposób możesz komuś okazać wdzięczność, radość i oddanie. Jesteście najlepszymi przyjaciółmi!

-- B-bez sensu -- burknął android. -- M-mógł mi p-po prostu powiedzieć.

-- Ale w ten sposób jest o wiele piękniej -- powiedział Rambo, kręcąc bączki na podłodze. -- Przytulasy od Victora są najlepsze na świecie.

-- Aha -- mruknął, wciąż nieprzekonany. -- Nadal n-nie widzę w tym s-sensu.

Vic już chciał go puścić. Cofnąć się i udać, że to się nigdy nie wydarzyło. Wstyd pożerał go żywcem. Zanim jednak ruszył się o milimetr, Mal podniósł rękę i objął chłopaka.

Rambo westchnął podekscytowany.

-- On to robi! Siostró Ratched, patrz! O Boże, oni się przytulają!

-- Widzę -- rzuciła siostra, puszczając jednocześnie z głośników dźwięk fanfar. -- Mal, teraz poklep go po plecach. W ten sposób wyraża się zadowolenie z uścisku.

Mal wykonał polecenie, z tym że zdecydowanie zbyt mocno. Każde klepięcie wstrząsało Victorem i sprawiało, że nosem uderzał w szyję androida.

-- Lżej -- podpowiedziała siostra Ratched. -- I wolniej. Nie chcesz zrobić mu krzywdy.

Mal zwolnił. Teraz jego dotyk był prawie niewyczuwalny.

-- T-tak lepiej?

-- Jak najbardziej. Victor jest zadowolony. Poziom oksytocyny mu skoczył, ale jeszcze nie na tyle, by doprowadzić do pobudzenia seksualnego, więc nie masz się czego obawiać. Nie będzie próbował niczego w ciebie wkładać. Ha-ha. Żartuję. Victor taki nie jest.

Chłopak próbował odepchnąć się od mężczyzny, ale ten trzymał go w żelaznym uścisku. Nadal klepał go po plecach.

-- D-dlaczego miałyby coś we mnie wkładać? C-co to znaczy p-pobudzenie seksualne?

-- Tylko nie to -- jęknął Vic. -- Przestań. Siostrze Ratched, nawet nie próbuj mu odpo...

-- W ten sposób ludzie wyrażają jeszcze głębsze zadowolenie i przywiązanie. Samce tej rasy zazwyczaj wsuwają swoje penisy w waginy samic, choć nie zawsze celem prokreacji. Czasami do takiego zbliżenia dochodzi nie tylko pomiędzy osobnikami różnych płci. Mogą to robić dwa samce, ale też dwie samice. Czasami są inne konfiguracje. Na przykład sześć samic, dwa samce i trzy osoby niebinarne, z których wszyscy wyrażają świadomie zgodę na sto...

-- Nie m-mam ochoty na wsuwanie -- powiedział Mal. -- I nie chcę, ż-żeby coś we m-mnie wkładano. To mi wystarczy. Proszę, n-nie czuj p-pobudzenia seksualnego. -- Przez cały ten czas ani na chwilę nie przerwał poklepywania.

-- Boże -- wymamrotał Vic, usiłując się wreszcie wyswobodzić.

W końcu Mal go puścił. Skrzywił się i przytknął dłoń do klatki piersiowej.

Siostra Ratched odsunęła Vica, zatrzymała się przed Malem, przeskanowała go i skupiła czujniki na jego sercu, oświetlając pierś mężczyzny jasnym światłem. -- Interesujące -- mruknęła. -- Wydaje mi się, że ci się podobało. Jeśli to, co Gio powiedział na nagraniu, było prawdą, być może właśnie ewoluujesz. Twoje od-

czucia w tym momencie można zaklasyfikować w kategorii szczęścia.

-- B-beznadzieja -- bąknął Mal. -- Ch-chcę w c-coś przyłożyć. -
- Zamilkł, obrócił się i bez słowa zaczął tłuc pięściami w metalowe ściany bunkra.

-- Jak pięknie -- westchnął Rambo, nie zwracając się do nikogo konkretnego.



W plikach zostawionych przez Gio nie było żadnych wzmianek o tym, gdzie leży Miasto Elektrycznych Snów. Jedynie kilka wskázówek, ale niewiele konkretów. Znaleźli coś o pustyni i o tym, że ojciec po wydostaniu się z miasta szedł na zachód. Nie wiadomo jednak, ile czasu zajęła mu podróż i jak daleką przebył trasę. Byli w Oregonie, choć siostra Ratched nazywała te ziemie Ory-Gonią.

-- O wiele lepiej od Gio znam się na wymowie słów.

Gdy minęła noc, Vic spojrzał na swoją rękę. Rozcięcie. Krew.

-- Mówili, że Prastarzy wyczuli krew i wysłali wiadomość do miasta. Stąd wiedzieli, by tu przybyć w tym swoim wielorybie. W Straszliwym Żarłaczku. Wciąż mają moc.

Siostra Ratched podjęła wątek.

-- Skoro Prastarzy potrafią nadawać sygnały, być może uda nam się dowiedzieć, dokąd te transmisje są adresowane.

-- A jeśli nas zlokalizują? -- spytał nerwowo Rambo. -- Rozpłaszczą nas!

POBRANO ZE STRONY PIJAFKA.PL

Vic pokręcił głową.

-- Nie mamy innego wyjścia. To jedyna możliwość. Musimy wykorzystać tę szansę.

-- Powinniśmy zachować ostrożność -- dodała siostra Ratched.
-- Myślę jednak, że ten plan może wypalić. Jeśli znajdę gniazdo, w które będę mogła wsunąć mackę, uda mi się wskazać kierunek.

Mał przytaknął.

-- P-pobudzenie. -- Wszyscy skupili na nim wzrok. Android zmarszczył brwi. -- M-mówiłaś, że w-wsuwanie jest w-wynikiem pobudzenia se-e-ksualnego.

Siostra Ratched wyświetliła na monitorze rząd wykrzykników.

-- Tak mówiłam. Nie chodziło mi o ten rodzaj wsuwania. Prastarzy nie mają za grosz manier, a ja jestem panną z dobrego domu. Nie pozwoliłabym sobie na takie spoufalenie. -- Po chwili dodała jeszcze: -- Poza tym nie daliby mi rady. Mam temperament.

-- A co z Vikiem? -- spytał Rambo. -- Jeśli wiedzą, że istnieje, będą go szukać. Jakim cudem ukryjemy go przed robotami, które chcą... och. Och. Ojej. Rany Julek! Ej, wy! *Panowie w cylindrach!*

-- To nie jest dobry moment na oglądanie filmów -- burknęła siostra. -- W dodatku gdybyś przypadkiem nie wiedział, wszystkie nasze filmy zostały strawione przez ogień.

-- No wiem -- odparł Rambo. -- Staram się nie myśleć o poza-rze, żeby nie wpaść w niekończącą się spiralę rozpacz i nie dokonać autodestrukcji z żalu. Ale słuchajcie! Będzie dobrze! W *Panach w cylindrach* Bates przebiera się za księdza i nikt nie wie, że tak naprawdę nim nie jest. Możemy przebrać Vica za robota. Vic! Zagraj robota.

-- Eee.

-- Świetnie! -- zawołał Rambo. -- Też tak często mówię. Co prawda, jesteś za duży na odkurzacz, więc nie możemy udawać braci. Coś wymyślę.

-- Ten plan ma sporo wad -- zauważyła siostra Ratched. -- Nie wymienię jednak ani jednej, bo chciałabym zobaczyć, jakie przebranie sam wymyślisz.

-- Hura! -- zaszczębiotał Rambo. -- Uwielbiam być doceniany! Ile mam czasu? Kiedy ruszamy?

-- Jutro -- powiedział Vic. -- Nadchodzi zima. Musimy wyruszyć, zanim spadnie śnieg.

-- Jest już bezpiecznie -- oznajmiła siostra Ratched. -- Cofnijcie się. Nie wiem, czy kiedy otworzę właz, nie zawali się na nas jakaś niedopalona część domu.

Mał bez pytania porwał z ziemi Rambo i złapał Vica za ramię, odciągając go w najdalszy kąt pomieszczenia, w stronę zakurzonych szklanych pojemników. Siostra Ratched wróciła do konsoli i jeszcze raz podłączyła się do gniazda. Bunkier rozbrzmiał głębokim metalicznym zgrzytem. Ukryty mechanizm jęknął, zatrzeszczał, aż w końcu koła zębate zaskoczyły i zaczęły się obracać. Sufit powoli odsunął się na bok. Na ziemię poleciały zwęglone kawałki drewna, osmalone książki i połamane płyty. Potłuczone odłamki słoików, które jeszcze dzień wcześniej wypełnione były roślinami i zapasowymi częściami z pracowni ojca, teraz posypały się na podłogę, roztrzaskując na jeszcze mniejsze części.

W ich lśniącej powierzchni odbijały się pojedyncze promienie słońca, jakby zabłąkane w pogorzeli. Ze ściany wysunęły się schody prowadzące na powierzchnię.

Victor spojrzał w górę i zobaczył ciemnobłękitne niebo upstrzone kłębiastymi chmurami. Było późne popołudnie. Wspiął się po stopniach, nie oglądając za siebie.

Widok, który ukazał się jego oczom, był jednocześnie gorszy i lepszy, niż się spodziewał. Lepszy, bo naziemny dom wciąż stał, choć dach zupełnie się zapadł. Wyglądało na to, że część ich dobytku się zachowała: przede wszystkim gramofon i telewizor, choć ten ostatni miał pęknięty kineskop. Ostał się też fotel ojca. Stał pokryty grubą warstwą sadzy.

Całość robiła jednak przygnębiające wrażenie -- szczególnie kiedy Vic wyszedł przed dom. Pracownia zniknęła. Kuchnia, łazienka, laboratorium ojca. Laboratorium Victora. Jego sypialnia też się nie zachowała. Całe ich życie poszło z dymem.

Pozostała tylko tłąca się ruina.

-- Nie podnoś tego, Rambo. Umrzesz, a wtedy na kogo przyjdzie mi narzekać? Na Mala? To zbyt łatwe. -- Siostra Ratched podjechała do odkurzacza, podnosząc znad niego kawał blachy, który prawie go przygniótł. -- Co ty robisz?

-- Pomagam! -- zawołał Rambo. -- Ja... -- Przerwał i zatrzymał się bez ruchu, migając lampkami. Podniósł z ziemi metalową płytkę i odrzucił ją na bok. -- Och -- szepnął. -- Och, Gio. -- Powoli opuścił wyciągnięte ręce i uniósł coś jeszcze.

Małe pęknięte koło zębate. Vic znał tę część. Znał ją doskonale. To była największa zębata z serca Giovanniego. Rambo przytulił ją i wydał z siebie przeciągły smutny jęk.

-- Już dobrze -- powiedziała siostra Ratched łagodnym, kojącym tonem. -- Znajdziemy Gio. Przeprowadzimy go z powrotem. Victor zbuduje mu nowe serce, a on sobie nas przypomni.

-- A co, jeśli nie przypomni? -- spytał żałośnie Vic.

-- Wtedy my mu przypomnimy -- odrzekła stanowczo siostra Ratched.

CZEŚĆ 2

PODRÓŻ

Nie boisz się śmierci?

-- CARLO COLLODI, PINOKIO

ROZDZIAŁ 13

O świcie opuścili dom. Jedyny, jaki znał Victor. Mał niósł ciężki plecak wypełniony narzędziami i częściami, które udało im się uratować, a które mogły przydać się w drodze. Vic miał na sobie przebranie przygotowane przez Rambo -- metalowy hełm z wystającymi lampkami i pióropuszem przewodów oraz kamizelkę, do której przyszyli stary zepsuty akumulator.

Idąc, zastanawiał się -- nie po raz pierwszy -- co by się stało, gdyby natknęli się na innych ludzi. Wiedział, że z maszynami sobie poradzi (a przynajmniej taką miał nadzieję), ale z ludźmi? To zupełnie inna sprawa. Czy poznaliby, że jest jednym z nich? Polubiliby go? A gdyby nie przypadł im do gustu? Co, gdyby zobaczyli go z oddali, wychodzącego z lasu w tym przebraniu i doszli do wniosku, że jest maszyną, która przybyła, żeby ich skrzywdzić?

Takie właśnie myśli kłębiły się w głowie Victora, kiedy dotarli do szczytu wzgórza graniczącego ze złomowiskiem. W oddali widać było jego przeciwległy koniec, a dalej rozciągały się ziemie kompletnie im nieznanne.

Prastarzy nie ruszyli się ze swoich miejsc. Stali wszyscy w bezruchu -- ciche monolity. Nie byli martwi; siostra Ratched powiedziała, że wyczuwa od nich moc. Vic poprawił przekrzywiony kask i obejrzał się na pozostałych.

-- Którego bierzemy?

Siostra Ratched wskazała na Prastarego, który zatrzymał się nieopodal północnej granicy złomowiska.

-- Tamtego.

-- Jesteś pewna?

-- Nie.



Maszerowali pomiędzy stosami metalowych odpadów. Drapieżne ptaki krążyły nad nimi w powietrzu. Co jakiś czas któryś pikował, po czym wzbijał się w powietrze z gryzoniem w szponach. Złomowisko było pogrążone w ciszy. Vic miał wrażenie, jakby głowę wypchano mu watą i przytępiono zmysły.

Zatrzymali się niedaleko Prastarego. Zdarzało mu się być w tak niewielkiej odległości od jednej z tych kolosalnych maszyn, ale zawsze przez przypadek. Zazwyczaj też kończyło się ucieczką w popłochu i ogłuszającym krzykiem przerażenia ze strony Rambo. Prastary był gigantyczny. Jego monstrualny kadłub jęczał i zgrzytał co jakiś czas, gdy powoli osiadał na ziemi. Żuraw rzucał na ziemię groźny cień, który wyciągał się w ich stronę, jakby próbował ich dosięgnąć. Vic poczuł na plecach ciarki.

-- Na pewno śpi? -- spytał niepewnie Rambo i wyjrzał zza góry żelastwa, za którą się skryli.

-- Tak -- odparła siostra Ratched. -- Chociaż nie zdziwiłabym się, gdyby tylko udawał.

-- Któraś z nas musi się upewnić -- szepnął odkurzac. -- Nie ja.

-- Ja też nie -- rzuciła szybko pielęgniarza.

Vic pokręcił głową. -- Może po prostu...

Mał stęknął, podnosząc z ziemi ciężką metalową kratownicę. Zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, android zamachnął się i cisnął nią w powietrze. Masywna część zakręciła się w locie i poszybowała z gwizdem w kierunku Prastarego. Uderzyła w kadłub z ogłuszającym jazgotem, krzesząc iskry, po czym spadła na ziemię z tępym hukiem.

Vic wybałuszył oczy.

-- Co ty robisz, do cholery?! -- warknął.

-- U-upewniam się -- odparł Mal, strosząc brwi. -- R-rambo powiedział, że on nie. Siostra Ratched po-o-wiedziała to s-samo. Z-zdecydowałem, że w t-takim razie ja to z-zrobię, żebyś t-ty nie musiał.

-- Ale nie możesz tak po prostu...

-- Lubię cię -- powiedział wesoło Rambo, łasząc się do nogi Mala. -- Możesz mnie wyręczać, kiedykolwiek zechcesz.

-- Ja też się na to zgadzam -- dodała siostra Ratched.

Czekali.

Prastary się nie poruszył.

-- Widzisz? -- powiedział Mal z satysfakcją. W tym momencie Vic prawie pożałował, że podarował mu serce. Android uczył się stanowczo zbyt szybko. -- U-upewniłem się.

Chłopak złapał za sznurki plecaka i powiedział:

-- Dobra. Niech ci będzie. Siostró Ratched. Co teraz?

Na ekranie robota rozbłysł obracający się schemat Prastarego, który po chwili został powiększony. Podświetlił się tylny panel wielkiej maszyny.

-- Tam -- zakomunikowała siostra. -- W tym miejscu znajduje się gniazdo, do którego muszę się podłączyć.

-- Jesteś pewna?

Prastary zniknął z monitora zastąpiony słowami: JEŚLI NIE UDA SIĘ ZA PIERWSZYM RAZEM, BIERZ NOGI ZA PAS.

-- Jestem pewna -- odpowiedziała.

Szli gęsiego, obchodząc kolosa szerokim łukiem. Nikt się nie odzywał. Wszyscy stawiali kroki bardzo uważnie.

-- Da się go odsłonić? -- Vic spojrzął na szeroki panel, który siostra Ratched wcześniej wskazała na ekranie.

-- Nie stąd -- odparła. -- Nie sięgnę.

-- W-wyręczę was -- zaproponował Mal. Ledwie Vic zdążył obrócić głowę w jego stronę, android już zrzucił ciężki plecak.

Przykucnął, po czym wybił się w powietrze. I znów oczy Victora wyszły z orbit, gdy Mal gołymi palcami przebił się przez stalową powłokę Prastarego kilka metrów powyżej ziemi. Sięgnął do panelu, jednym ruchem wyrwał go i odrzucił daleko za siebie, odsłaniając wnętrze gigantycznej maszyny. Zeskoczył, wzbijając w powietrze tuman kurzu.

Odwrócił się do pozostałych, którzy stali w bezruchu i patrzyli na niego w osłupieniu.

-- C-co?

-- Jak dorosnę, chcę być taki jak ty -- powiedział z zachwytem Rambo. Po czym dodał: -- Chwila. To przecież nie ma sensu. A może jednak? Vic, czy to ma sens?

-- Nie mam pojęcia -- mruknął Vic z nieobecną miną. Pokręcił głową. -- Siostra Ratched nadal tam nie sięga. Potrzebujemy czegoś, na czym będzie mogła sta...

-- Ojej -- westchnęła pielęgniarzka, gdy Mal uniósł ją nad głowę. -- Muszę powiedzieć, młodzieńcze, że wiesz, jak obchodzić się z damą. Odwołuję wszystko, co o tobie do tej pory powiedziałam.

Mal powoli się odwrócił, przytrzymując siostrę za gąsienice. Zrobił krok wstecz w kierunku Prastarego.

-- S-sięgniesz?

-- Tak -- odparła i wyciągnęła przed siebie macki.

-- Nie patrz mi w podwozie.

-- Po-o-śpiesz się -- warknął Mal. -- Jesteś c-ciężka.

-- Ten komentarz był nie na miejscu -- stwierdziła sucho. -
- Jednak nie przestanę być dla ciebie niemiła. Słuchaj: twój zarost niczemu nie służy. Do niczego ci on potrzebny. Jest estetyczny, ale bezsensowny. -- Jeden z jej czułeków podpełzł ku górze po ścianie

Prastarego. Wślizgnęła go między okablowanie. -- Już prawie. Już prawie. Gdzie ono jest? Powinno być, o... Tu jest. Znalazłam gniazdo. -- Mał stęknął. Ramiona mu zadrżały. -- Łączę. -- Pielęgniarka wyrzuciła mackę do przodu jak atakująca kobra. -- Pięć. Cztery. Trzy. Wcale nie muszę odliczać. Uważam, że w ten sposób osiągnę lepszy efekt. Dwa. Jeden. Start. -- Końcówka macki wsunęła się zgrabnie w gniazdo. Rozbrzmiał pojedynczy szczęk zaskakującej zapadki. I nic. -- Och -- jęknęła maszyna medyczna z zawodem. -- Przepraszam. Nie ta dziurka. -- Cofnęła czułek, po czym wbiła go w sąsiednie gniazdo. -- Obchodzę zaporę ogniową systemu operacyjnego. Obchodzę. Obchodzę. Mam. Jest... -- Zamilkła.

-- Siostro? -- spytał Vic. -- Wszystko w...

Z wnętrza Prastarego dobiegł ich dźwięk alarmu. Vic potknął się, cofając. Rambo wrzasnął.

-- O cholera. Nic z tego -- mruknęła ostrzegawczo siostra Ratched i wyciągnęła mackę. Alarm natychmiast zamilkł. -- Mój błąd. Chciałam sprawdzić, co się stanie, kiedy podrażnię trochę jego system zabezpieczeń. Świetna zabawa. Dobrze się bawicie, prawda?

-- Możesz się pośpieszyć?! -- syknął Vic przez zaciśnięte zęby.

-- Dobra, dobra -- rzuciła. -- Czemu się tak niecierpliwisz? Jego system okazał się bardziej zaawansowany, niż sądziłam. Nie wiem dlaczego. To w końcu tylko taka większa wersja Rambo.

-- Jestem bardzo złożony -- mruknął Rambo obrażonym tonem. -- Prawda, Vic? Jestem złożony, prawda?

-- Ta -- rzucił chłopak, ale nie oderwał wzroku od siostry. Ekran pielęgniarki rozjarzył się, ale z dołu nie było widać, co się na nim wyświetliło. Jedyne, co dostrzegł, to światło odbijające się od powierzchni Prastarego.

-- Już -- rzuciła z góry siostra. -- Gotowe. Mam, czego potrzebowałam. -- Macka wyskoczyła z gniazda.

Mał postawił pielęgniarkę na ziemi i zrobił krok do tyłu. Skrzywił się, rozmasowując drewnianą rękę.

Siostra Ratched obróciła się w miejscu.

Na jej ekranie widniała mapa.

-- Prześledziłam sygnał -- powiedziała, rysując na monitorze linię, która zaczęła się robić coraz dłuższa, a mapa stawała coraz większa. Vic poczuł gulę w gardle, widząc, jak daleko przyjdzie im podróżować. Sam nie wiedział, na co liczył. Miał nadzieję, że miasto nie będzie leżało dalej niż kilka dni drogi od lasu, choć zdawał sobie sprawę, że ojciec nie zbudowałby domu tak blisko siedziby maszyn, skoro stamtąd uciekł.

W końcu linia się zatrzymała. Jej kraniec pulsował światłem, rozchodzącym się wokół niego jak kręgi na powierzchni wody w miejscu, w którym rzucono kamień. Wszyscy zebrali się dookoła siostry i wpatrywali w jej ekran. Rambo uniósł się na podnośniku, usiłując odepchnąć Mała.

-- Co to jest? -- spytał Vic.

-- Odbiornik -- wytłumaczyła siostra Ratched. -- Sygnał przechodzi przez wiele przekaźników, ale w tym miejscu się kończy. Tam właśnie leży Miasto Elektrycznych Snów.

Chłopak poczuł, że włosy na karku stają mu dęba.

-- Jesteś pewna?

-- Na sto procent.

-- Jak daleko stąd?

Na chwilę zapadła cisza.

-- Około siedmiuset mil na południowy wschód w linii prostej. Na kilku odcinkach trasa biegnie szosami, które nie popadły w ruinę. Sugeruję, by z nich skorzystać. Co nie zmienia faktu, że mamy

do przebycia długą drogę. Jeśli nie będziemy podróżowali na przelaj, dystans jeszcze się wydłuży. Wygląda na to, że spędzimy w podróży co najmniej kilka tygodni. Może dłużej, jeśli napotkamy na jakieś przeszkody.

-- Kilka tygodni -- szepnął Vic. -- Tygodni! -- Zrobił krok w tył i wpadł na Mala. Odskoczył od niego jak oparzony. Android wyciągnął rękę, by go podtrzymać, ale chłopak pokręcił tylko głową. - - Nie dotykaj mnie. Proszę. -- Usiadł ciężko na ziemi. Skrzywił się, gdy poczuł, jak ostry kawałek metalu boleśnie wpił mu się w udo. Objął kolana rękami i przyciągnął je do piersi, po czym ułożył na nich głowę. Pod nosem powtarzał jedno słowo: "tygodnie".

Rozumiał, że poza lasem rozciąga się cały ogromny świat. Większy, niż byłby w stanie sobie wyobrazić. Ten dystans go jednak przytłoczył. Świat jest zbyt wielki, a on sam za mały.

-- Vic? -- szepnął Rambo.

Młodzieniec nie uniósł głowy, tylko mocniej zacisnął palce na kolanach, wbijając je w skórę.

-- Będzie w porządku, Vic -- próbował pocieszyć go Rambo, objając się delikatnie o stopy przyjaciela. -- Obiecuję. Wiem, że teraz wszystko wydaje się trudne, ale musimy być dzielni. Mózg podpowiada ci, że nie dasz rady, ale nie musisz zawsze go słuchać. Czasami mówi małe białe kłamstewka. Przynajmniej mój tak robi. Na przykład: "Nie, nie jesteś dzielny". Albo: "Nie rób tego, przecież ty się wszystkiego boisz". "Nie dasz rady i zginiesz straszliwą śmiercią, a twoje ciało zostanie zmiażdżone i wnętrzności wypłyną i wsiąkną w piach".

-- Dość szczegółowa wizja -- mruknęła siostra Ratched. - - Może nie powinieneś tyle myśleć.

-- Ale to wszystko prawda -- powiedział Rambo z zapalem.

Mal kucnął u boku Vica. Dłonie zwisały mu bezwładnie między zgiętymi nogami. Zmarszczył brwi i wbił wzrok w ziemię.

-- M-mogę cię n-nieść. -- Brzmiał, jakby była to ostatnia rzecz, na jaką miałby ochotę. -- J-jeśli twoje n-nogi odmówią p-posłuszeństwa.

Vic pokręcił głową i otarł dłonią oczy.

-- Nie. Nie potrzebuję, żebyś mnie niósł.

-- Dobrze -- powiedział Mal z ulgą. -- W takim razie w-wstawaj i p-przestań się mazgaić. Nie jesteś s-słaby. J-jesteś V-Victorem Lawsonem. Wynalazcą. T-twórcą.

-- On się nie mazgai -- wtrącił Rambo. -- Tylko dochodzi do siebie.

-- To wielka różnica -- dodała siostra Ratched. -- Nie znasz go tak dobrze jak my, Mal. Potrzebuje czasu.

-- Aha -- mruknął android. Spojrzał w kierunku lasu, a potem z powrotem na chłopaka. -- J-już?

Vic przez moment wpatrywał się w niego bez słowa, po czym przytaknął. Odepchnął się od ziemi i stanął o własnych siłach. Mal podał mu plecak i podniósł własny.

-- W porządku? -- zapytała siostra Ratched.

Vic skinął głową.

-- Chyba tak.

-- Dobrze. Bo czas sprawdzić, czy las zamieszkują potworne bestie, które będą chciały nas pożreć. Mam nadzieję, że nie. Wolalabym, żeby mnie nic nie zeżarło.

-- Mal nas ochroni -- powiedział z pewnością w głosie Rambo. -
- Ma wielkie ręce i pobije nimi wszystkie potworne bestie. Wyłomocze je tak mocno, że ze strachu zapomną, że chciały nas pożreć. Prawda, Mal?

-- P-prawda. -- Android uniósł ramiona. -- P-pobiję je.

-- Widzisz? -- zawołał Rambo. -- Damy radę. Wiesz co? Mogę się założyć, że to będzie bułka z masłem.

Siostra Ratched wyświetliła na monitorze słowa: KOMU W DROGĘ, TEMU CZAS!

Vic omiół wzrokiem troje przyjaciół, po czym obrócił się ku wschodowi. Świtało. Światło słoneczne ledwie sączyło się przez chmury. Z ust Vica przy każdym oddechu wydobywała się para.

-- Komu w drogę, temu czas -- powtórzył cicho.

ROZDZIAŁ 14

Szli szybkim tempem, jak większość poszukiwaczy przygód podczas pierwszych dni wyprawy. Mieli jasny cel; wiedzieli, gdzie się kierować, a to pozwalało Victorowi odganiać czarne myśli. Nie przeszkadzało też -- ale i nie pomagało -- że Rambo postanowił śpiewać. Jedyne piosenki, jakie znał, pochodziły jednak z *Panów w cylindrach*, więc nie minęło wiele czasu, kiedy Mal zaczął robić miny, jakby zamierzał poćwiczyć rzut dyskiem. Odkurzacze posłużyły w tej zabawie za dysk.

-- Musimy oszczędzać energię -- doradziła siostra Ratched. -
- Victor ma ze sobą przenośną ładowarkę dla ciebie, ale im więcej mówisz, tym szybciej rozładowujesz baterię. Kiedy zabraknie ci mocy, będziemy zmuszeni zostawić cię na pastwę losu.

-- A co z twoją?

-- Ja mam większą niż ty.

To w końcu zamknęło mu jadaczkę. Na pięć minut, zanim znowu zaczął nucić.

Z początku Vic co pewien czas prosił siostrę Ratched o wyświetlenie mapy z zaznaczoną pozycją na trasie. Koncepcja dużych odległości była mu obca. Całe swoje życie spędził na kilku kilometrach kwadratowych. Widok ślamazarnie przesuwającego się znacznika na mapie nie dodawał skrzydeł. Zarzucił pomysł śledzenia postępów wędrówki już pierwszego dnia.

Las ciągnął się w nieskończoność. Teren łagodnie opadał. Co jakiś czas musieli zmieniać kierunek i obchodzić gęstsze zarośla. Rambo i siostra Ratched nie byli przystosowani do takich podróży. Mal zaoferował powyrywanie drzew na ich drodze. Mały robot

z szalonym entuzjazmem przystał na ten pomysł. Vic nie wiedział jednak, co lub kto zamieszkuje knieję. Mogłyby usłyszeć ich te potworne bestie, o których wspominała siostra Ratched.

Pod koniec pierwszego dnia wędrówki zatrzymali się w miejscu, gdzie zbocze zaczynało być łagodne. Victorowi wydawało się też, że powietrze stało się odrobinę cieplejsze niż na złomowisku. Nie wiedział tylko, czy to nie wyłącznie kwestia tego, że był obłany potem. Bolały go plecy, a paski plecaka uwierały w barki. Metalowe elementy przebrania na ramionach i nogach ciążyły niczym odważniki. Odetchnął z ulgą, gdy znaleźli się na polanie przeciętej przez cicho szmerzący strumyk. Nabrał lodowatej wody w dłoń i uniósł do ust. Była tak zimna, że aż paliła w gardło.

-- Przenocujemy tutaj? -- spytał Rambo. -- Robi się bardzo ciemno. -- Błysnął sensorami, oświetlając pnie drzew otaczających polanę.

-- Tak. Spędzimy tu noc -- odparła siostra. -- Przeskanowałam teren. W okolicy nie ma niczego, co chciałoby nas pożreć.

-- Nogi mnie bolą -- narzekał Rambo.

-- Przecież nie masz nóg.

-- Och, gdybym miał, właśnie by mnie bolały. -- Zaczął jeździć dookoła polanki, wciągając zaschnięte liście i odrzucając leżące gdzieś gałązki.

Vic podniósł wzrok, gdy u jego boku pojawił się Mal. Trzymał plecak chłopaka.

-- M-musisz n-naładować baterie.

-- Zaraz naładuję.

Mal cisnął w niego plecakiem, prawie go przewracając.

-- Jedz. B-będę się p-przyglądał.

-- Nie musisz mnie pilnować...

Mężczyzna jednak ani myślał się ruszać. Stał i gapił się na chłopaka. Ten westchnął tylko i otworzył plecak. Mał nie kłamał -- patrzył, jak chłopak je, dopóki ostatni kęs suszonego mięsa nie został pogryziony i przełknięty.

-- Zadowolony?

Android zmarszczył brwi.

-- N-nie wiem.

Vic był zbyt wyczerpany, by się sprzeczać. Miał powiedzieć, żeby kompan zostawił go w spokoju, kiedy usłyszał za sobą pisk Rambo, a polanę ogrzała fala gorącego powietrza. Odwrócił gwałtownie głowę i zobaczył ogień. Niewielki płomień rozchodził się z ustawionego w piramidkę drewna. Siostra Ratched wyciągnęła mackę z ogniska.

-- Gotowe -- stwierdziła. -- Teraz jest ciepłutko. Rozgośćcie się.



Drugi dzień nie różnił się zbyt od pierwszego. Jediną zmianą było stopniowe przerzedzanie się lasu. Victor zaczął przyzwyczajać się do bezustannego marszu. Miał obolałe mięśnie, a plecak nadal mu ciążył, ale chłopak niestrudzenie parł przed siebie.

Strumień, przy którym wędrowali, pod wieczór okazał się dużo szerszy niż na początku. Zatrzymali się nad jego brzegiem. Od potu i pyłu Vica wszystko swędziało. Śmierdziało. Powiedział siostrze Ratched, że idzie się umyć w strumieniu nieopodal. Zdjął kask i rzucił go na ziemię.

-- Dlaczego nie m-możesz u-umyć się przy n-nas? -- spytał Mał, wskazując na wodę.

-- Potrzebuje odosobnienia -- odparła siostra Ratched. -- Vic zdejmuje ubrania, żeby się umyć. Nie chce, żebyśmy patrzyli na jego genitalia.

-- T-tak jak w-wtedy, kiedy o-opróźnia jelita.

-- Dokładnie tak. Zresztą to też najpewniej zrobi.

Mał skinął głową.

-- P-pójdę z nim.

-- Nie. Zostań tutaj. -- Vic zbladł.

Mał wpatrywał się w niego bez słowa.

-- S-siostra R-Ratched powiedziała, że są tu p-potworne bestie. Twoje g-genitalia będą o-odsłonięte, a ty sam b-bezbronny. Ochronię cię, ż-żebyś mógł się u-umyć i opróżnić j-jelita.

-- Nie potrzebuję twojej ochrony! -- syknął Vic. -- Potrafię o siebie zadbać.

-- Powiedz mu, że nie będziesz patrzył -- podpowiedział Rambo teatralnym szeptem.

-- N-nie będę p-patrzył -- powtórzył Mał.

Vic wyrzucił ręce do góry.

-- Nie o to mi... -- Sapnął ze złością. -- Dobra. Ale nie gadaj do mnie, kiedy będę... -- Nie wiedział, co powiedzieć. Nie miał nic do dodania. Odszedł gniewnie w dół strumienia.

Nie oglądał się, ale wiedział, że Mał idzie za nim. W drodze mamrotał przeróżne przekleństwa. Nic go nie obchodziło, czy ktoś może usłyszeć. Kiedy wydawało mu się, że jest już dostatecznie daleko, zatrzymał się i kucnął na brzegu strumienia. Woda była lodowata. Musiał się uwinąć.

Słyszał za sobą Mała. Zrzucił z siebie kamizelkę, metalowe naramienniki i nakolanniki. Odłożył wszystko na bok, po czym rozpiął płaszcz i cisnął go na ziemię. Zawahał się przy koszuli. Spojrzał w tył.

Mał stał kilka kroków dalej. Gapił się na niego.

-- Odwróć się.

Android stęzał, wyprostował plecy, ale wykonał polecenie.

Vic poczekał chwilę, by upewnić się, że nie odwróci się z powrotem. Mal został jednak w tej samej pozycji. Chłopak uniósł koszulę i zdjął ją przez głowę. Skórę natychmiast pokryła mu gęsia skórka. Nie uśmiechała mu się kąpiel w zimnej wodzie.

Zanim zdjął spodnie, przystanął i się zamyślił. Pokręcił głową. Zdecydował, że ani butów, ani spodni nie zdejmie. Przykląkł na kolanach i obmył pachy, klatkę piersiową i brzuch. Oddychał szybko i płytko. Szczekał zębami z zimna.

Właśnie miał zanurzyć głowę, kiedy usłyszał za sobą głos.

-- N-nie chcę p-pamiętać.

Przeszedł go dreszcz. Nie był pewien, czy tylko z powodu niskiej temperatury.

-- Słucham?

-- N-nie chcę p-pamiętać -- powtórzył Mal nieco głośniej. -- Jestem Mal. Nie MARL. P-przepraszam, jeśli o-odnosisz wrażenie, że m-mógłbym cię z-zabić. N-nie chcę. -- Mówił sztywno. Słowa urywały się gwałtownie i z trudem przechodziły mu przez gardło. Jakby nigdy przedtem nie wypowiedział ich w tej konkretnej kolejności. Uczył się.

Vic usiadł na piętach.

-- Wcale tak nie myślę. Gdybyś chciał mnie skrzywdzić, już byś to zrobił. Ale nie zrobiłeś.

Mal pokiwał głową, nie odwracając się.

-- Dokładnie. Gio p-powiedział, że m-mogę być d-dobry. P-powiedział, że jestem MARL-em, a-ale mogę w-wybrać, by b-być Ma-lem. N-nie musiał p-pozwolić mi zostać.

-- Mal -- powiedział Vic cicho. -- Czy ty...? -- Nie wiedział, jak skończyć pytanie. Nigdy wcześniej nie kwestionował zdolności własnego ojca do miłości, opieki i czułości. Do dbania o rzeczy

małe i duże. Patrząc w przeszłość, Vic widział, jaki bywał naiwny. Zawsze wierzył ojcu i nigdy nie podważał jego słów.

-- Czy ja co? -- spytał Mal.

-- Ojciec ci zaufał. Nie jesteś taki jak on, ale nie jesteście też zupełnie różni. Wiem, że to niewiele, ale mi wystarczy. Dziękuję za decyzję, jaką podjąłeś. Przecież mogłeś wybrać inaczej.

-- M-myślisz, że j-jestem jak Gio.

Vic westchnął.

-- Nie. To nie tak... No dobra. Może trochę. Ale nie jesteś nim. Wiem o tym.

Mal przytaknął. Nadal stał odwrócony.

-- D-dobrze. N-nie chcę być t-twoim ojcem.

-- A kim chcesz być?

-- Malem -- powiedział bez zawahania. -- Chcę b-być Malem.

-- Więc bądź nim.

-- Dobrze. T-teraz s-skończ myć g-genitalia, a potem opróżnij j-jelita. Musimy w-wracać do p-pozostałych, zanim p-przyjdzie b-bestia.

Vic zaśmiał się cicho. Mal odwrócił głowę, ale tylko odrobinę. Być może spowodowała to gra cieni, ale Vic gotów był przysiąc, że kątem oka dostrzegł uśmiech na ustach androida.



Siódmego dnia natrafili na coś, czego żadne z nich wcześniej nie widziało. Las przerzedził się jeszcze bardziej, a teren stał się płaski. Jesienne, całkiem pożółkłe liście chrzęściły im pod stopami i gąsienicami. Powietrze było chłodne, ale nie tak jak w domu. Po południami Vic mógł zdjąć płaszcz i wcale nie trząsał się z zimna.

Idąc na wschód i południe, udało im się uniknąć śnieżyc. Chłopak wracał myślami do domostwa. Zastanawiał się, czy jego naziemną część przysypał już biały puch. Niewykluczone, że tak było.

Każda taka myśl sprawiała, że serce mu się boleśnie zaciskało. Jednak starał się z całych sił ignorować te uczucia.

Tuż przed południem siostra Ratched powiedziała nagle: -
- Słyszycie to?

Zatrzymali się. Vic przekrzywił głowę i nasłuchiwał, ale wychwyił jedynie dźwięki lasu, które nie różniły się niczym od tych z poprzedniego dnia. I wcześniejszych.

-- Co słyszysz? -- spytał Rambo, obracając się nerwowo.

Mał zmarszczył brwi.

-- Jakby... -- Spojrzał w prawo. -- O, tam. Dochodzi stamtąd.

-- Czy to inni? -- Vic zniżył głos. -- Ludzie? Roboty?

-- Nie -- powiedziała pielęgniarka. -- To buczenie. Jakby prąd. Elektryczność.

-- Nie podoba mi się -- syknął Rambo. -- A co, jeśli to smok?

-- Smoków nie ma -- powiedziała siostra Ratched. -- Opowiedziałam ci o nich bajkę, żeby cię wystraszyć. One nie istnieją.

-- Jesteś pewna?

-- Nie -- powiedziała pielęgniarka. -- Idź przodem i sprawdź.

-- Daleko? -- spytał Vic.

-- Milę stąd. -- Jedna z macek maszyny medycznej wysunęła się i wskazała kierunek, w którym patrzył Mał.

Vic nie widział niczego poza drzewami.

-- Trzymajcie głowy nisko -- powiedział. -- Bądźcie cicho. Jeśli kogoś zobaczymy, musimy go ominąć.

Ruszyli w dalszą drogę przez las. Po niedługim czasie Vic poczuł to, co wcześniej usłyszeli inni. Najpierw dostał gęsiej skórki na przedramionach. Potem na rękach, na barkach i szyi, a w końcu nawet na głowie. Miał wrażenie, że zęby chwieją mu się w dziąsłach, a język staje się szorstki jak papier ścierny. To była

elektryczność o niezwykłej mocy -- co do tego nie było wątpliwości.

Potem usłyszał pomruk. Ciągły drażniący dźwięk, jakby brzęczenie. Wypełnił jego głowę jednostajnym szumem. Wstrzymał oddech, gdy przez zarośla nagle dostrzegł biały rozbłysk. Jeden, drugi i trzeci.

Mał złapał go za ramię i zamarł w bezruchu, po czym spojrzał w tył.

-- Co?

Android pokręcił głową.

-- B-bądź o-ostrożny. -- Czoło przecinała mu głęboka zmarszczka. Oczy miał czujnie zwężone.

Ruszyli przed siebie w kierunku światła i dźwięku. Mał cały czas trzymał rękę na plecach Vica. Ta jego skóra, pomyślał chłopak. Jest jak prawdziwa. Jak moja własna mimo drewnianych elementów. Dłoń androida była chłodna.

Zatrzymali się na granicy drzew. Vic nie był pewien, co właśnie zobaczył. Umysł miał jakby przytępiony. Później zrzucił to na karb wysokiego napięcia, które mogło go otumanić. Tak czy inaczej, widok wykraczał poza jego zdolność pojmowania. Nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widział, chociaż domyślał się istnienia podobnych rzeczy.

Jednak kiedy zobaczył rozciągający się przed nim krajobraz, odebrało mu mowę.

-- Co to jest? -- spytał Rambo, zatrzymując się po jego prawej stronie.

-- Droga -- wyjaśniła siostra Ratched. -- To jest droga.

Ciągnęła się ku horyzontowi w obu kierunkach. Miała płaską nawierzchnię. Była czarna i przecinały ją białe lśniące linie. Po jej drugiej stronie znajdowały się strzeliste czarne metalowe pylony

zwieńczone zagiętymi do środka niebieskimi światłami. Stały w niekończącym się rzędzie, migocząc. Powietrze pomiędzy nimi iskrzyło. Brzęczenie prądu przybrało na sile. Vic otworzył szeroko usta, rozciągając mięśnie żuchwy z nieprzyjemnym chrupnięciem. Kask zjechał mu na oczy. Podsunął go wyżej i z sykiem oderwał rękę, kiedy z metalowej powierzchni na jego palec przeskoczyła elektryczna iskra.

-- Ja cię -- westchnął Rambo. Jego lampki jarzyły się jaśniej niż kiedykolwiek. -- Ale tu głośno. Czuję, że mógłbym jechać i jechać, szybciej, dalej i tak w nieskończoność! -- Odkurzacz ruszył w kierunku poświaty. Mal puścił Vica i podniósł Rambo z ziemi. Małe kółka nadal obracały się w szaleńczym tempie, a patykowate wysięgniki wymachiwały bezradnie w powietrzu.

-- N-nie -- mruknął Mal. -- Nie r-rób tego.

-- Czego? Dlaczego? Chcę dotknąć!

Mal pokręcił głową.

-- Z-zrobisz sobie k-krzywdę.

Rambo przestał się wyrywać.

-- Naprawdę? Skąd wiesz?

-- Popatrz. -- Mal postawił go na ziemi. Ostrożnie podszedł do krawędzi drogi i zatrzymał się metr od najbliższego pylonu. Vic obserwował, jak android kuca i podnosi z ziemi kawałek metalowej rurki o przerdzewiałych końcach. Wyglądała, jakby dawno temu odpadła od jakiejś konstrukcji, do której niegdyś była przytwierdzona. Mal wstał i stuknął rurką w drewnianą część drugiej dłoni. Pomruk prądu stłumił dźwięk uderzenia.

Mężczyzna cisnął nią w kierunku drogi. Rurka nie dotarła do ziemi.

Zamiast tego rozległ się huk, jakby strzał, a pomiędzy pylonami w powietrzu pojawiło się wielkie błękitne wyładowanie elek-

tryczne. Posypały się iskry. Rurką coś wstrząsnęło i zawisła nad ziemią. Zanim Vic zdołał skupić wzrok na nieoczekiwanym zjawisku, pylony zawibrowały mocniej, a błękitne wyładowania rozbłysły jeszcze szybciej.

Metalowy element nagle wystrzelił wzdłuż drogi z nieprawdopodobną prędkością i zniknął za horyzontem. Mał się obrócił. Vic gapił się na niego z otwartymi ustami.

-- C-co? -- warknął android, przybierając swoją typową groźną minę.

-- Skąd wiedziałeś, że tak się stanie?

Mał spuścił wzrok. Wzruszył ramionami i pochylił głowę.

-- Bo... S-sam nie wiem. Po p-prostu wiedziałem.

-- To sposób przemieszczania się -- wytłumaczyła siostra Ratched. -- Przeznaczony jednak dla większych maszyn. Gdybyśmy spróbowali wejść tam bez takiej maszyny, mogłoby nas zgnieść. Wszystkich poza Victorem. Przypuszczam, że gdyby pozbył się przebrania, mógłby iść tą drogą. Nie zalecam jednak tego robić. Nie wiadomo, jaką dawkę energii przyjąłby jego organizm. Co najmniej spowodowałby raka, jeśli nie coś jeszcze groźniejszego. Umarłby. -- Zamilkła na krótki moment. -- Jeśli dostaniesz raka i umrzesz, Victorze, czy byłbyś skłonny podarować mi swoje ciało, żebym mogła je dokładnie zbadać? W imię nauki, oczywiście.

-- Co się tędy transportuje? -- spytał Vic, patrząc na drogę w kierunku, w którym zniknęła metalowa rurka.

-- Tędy się podróżuje -- skorygowała go siostra. -- Kiedy Gio opuścił Miasto Elektrycznych Snów, podróżował maszyną napędzaną ładunkami elektrycznymi. Później musiał już trzymać się z dala od głównych traktów i iść o własnych siłach.

-- Czy ta droga prowadzi właśnie do miasta?

-- Tak, Victorze. Właśnie tam. Nie musimy nią iść, ale powinniśmy poruszać się wzdłuż niej. Dopóki nie będziemy na nią wchodzić, pozostaniemy bezpieczni. Mówię o tobie, Rambo. Nie wchodź na drogę, bo inaczej coś cię zgniecie.

-- Nie chcę być zgnieciony -- odparł Rambo. -- Podoba mi się mój obecny kształt.

Vic omiół wzrokiem czarną powierzchnię szosy, pylony i roziskrzone powietrze. Zdawał sobie sprawę, że przed nimi jeszcze daleka podróż, ale miał dowód na to, że idą we właściwym kierunku. Zastanawiał się, czy jego ojciec kiedyś znalazł się w tym samym miejscu. Czy zatrzymał się tutaj i spojrzał na las, po czym stwierdził, że drzewa dają większe bezpieczeństwo niż droga? Wątpliwe. Ta myśl ukołysała go jednak.

-- Ruszajmy dalej -- powiedział, chcąc sam siebie zmotywować. -- Nie wchodźmy na drogę, ale trzymajmy się blisko niej. Jeśli prowadzi do miasta, nie możemy stracić jej z oczu.

Tej nocy, zawieszony między jawą a snem, czując buczenie pylonów zza drzew, Vic zastanawiał się, skąd Mal wiedział, czym grozi wejście na szosę.

ROZDZIAŁ 15

Rambo zorientował się pierwszy. Vic strugał właśnie kawałek drewna, powoli nadając mu kształt. Nie był idealny -- dłonie chłopaka nie były tak zręczne jak jego ojca -- ale i tak był zadowolony z postępu prac. Może Gio to poprawi, kiedy odbiją go z rąk maszyny.

Właśnie ładował swoje dzieło do plecaka, kiedy rozległ się pod-ekscytowany głos odkurzacza:

-- O rety! Patrzcie, no patrzcie! Czy to są flagi? Czy ja słyszę muzykę?

Zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, Rambo wysforował się naprzód, wzbijając za sobą tumany suchych liści we wszystkich kolorach jesieni. Mal jęknął, po czym rzucił się za nim w pogoń.

-- Jakim cudem on przetrwał tak długo? Naprawdę nie mam pojęcia -- westchnęła z rezygnacją siostra Ratched. -- Tak samo Mal. Nie rozumiem. O, teraz jeszcze Vic. Wszyscy biegną, a ja tu siedzę i gadam sama do siebie.

Vic usłyszał warkot jej silnika, kiedy pielęgniarka ruszyła za nimi.

Gałęzie obijały kask chłopaka z głośnym trzaskiem. Vic pochylił głowę, by nie poharatały mu twarzy. Metalowe przebranie nie wydawało się tak ciężkie jak pierwszego dnia podróży. Przyzwyczał się do dodatkowego obciążenia.

Wypadł spomiędzy drzew i dostrzegł Mala, który właśnie podrywał Rambo z ziemi. Jego kółka obracały się, a ramiona wymachiwały wściekle w powietrzu. Dołączył do nich, w chwili gdy Rambo stanowczo rozkazał Malowi postawić go na ziemi.

-- Nie słyszycie? -- zawołał. -- To muzyka! Chcę posłuchać muzyki!

-- P-p-przestań wreszcie! -- warknął Mal. -- N-nie wiemy, k-kto tam jest. P-przestań, bo będzie aua.

-- To nie mogą być złoczyńcy -- rzucił Rambo, nie dając się przekonać. -- Przecież grają muzykę. Złoczyńcy nie lubią muzyki.

-- Co ty pleciesz? -- sapnął Vic, próbując złapać oddech. -- Jaka znowu muzyka? Nic nie... słyszę... -- Zaniemówił, kiedy podniósł wzrok.

Droga ciągnęła się dalej. Z pylonami ustawionymi wzdłuż niej w równych odległościach i powietrzem między nimi wypełnionym bzyczącą poświatą.

Po drugiej stronie drogi stał dom.

Zupełnie inny niż te, które Vic oglądał w książkach ojca. Po pierwsze unosił się metr nad ziemią. Powietrze pod nim migotało dokładnie tak samo jak między pylonami.

Budynek był ogromny, co najmniej czteropiętrowy. Zbudowany z drewna i cegieł i pomalowany na wściekle czerwony kolor. Miał przeróżnej wielkości i w różnych kształtach okna okolone białymi listwami. Kwadratowe i wielkie, ale też okrągłe i malutkie jak te w burcie statku morskiego. Z dachu sterczały trzy kominy. Każdy z nich buchał czarnym jak sadza dymem, tworząc nad budynkiem brudną mgłę, która przesłaniała błękitne niebo. Wokół kominów wyrastały cztery wieże, a na ich szczytach łopotały biało-czerwone proporce. Vic był zbyt daleko, by wyraźnie widzieć zdobiące je herby.

Dom skrzypiał i trzeszczał, unosząc się w powietrzu i kołysząc na boki. Po chwili Vic usłyszał to, co wcześniej tak podekscytowało Rambo.

Muzykę.

Z domu dochodziła muzyka.

Głośna, krzykliwa, nieprzyjemna. Zupełnie inna od tej z płyt ojca. Nie słychać było trąbek i śpiewu o miłości i tańcu policzek przy policzku. Brzmiała, jakby ktoś tłukł w klawisze rozstrojonych, starych i zniszczonych organów. Melodia była dziwaczna i chaotyczna jak stare filmy w technikolorze.

-- Co to jest? -- mruknął chłopak.

-- N-nic dobrego -- odparł cicho Mal, wciąż siłując się z odkurzaczem.

-- Jakie to ordynarne -- stwierdziła siostra Ratched, podjeżdżając do przyjaciół. -- Podoba mi się.

Vic nie widział nikogo ani w domu, ani w okolicy. Symbole na proporcach nie wyglądały jak te, które zdobiły uniformy andro-idów przybyłych do lasu w latającym wielorybie. Oczywiście to jeszcze nic nie znaczyło. Ktokolwiek tu mieszkał, był nieznanym. A Vic nie ufał nieznanym po tym wszystkim, co widział.

Wydawało się, że Mal jest podobnego zdania.

-- P-powinniśmy ominąć t-to miejsce. Nie m-możemy się ujawnić.

-- Dlaczego? -- spytał Rambo ostro. -- Chcę tam pójść. Chcę zobaczyć, jak wygląda w środku.

-- Nawet jeśli mieszkańcy żywią się odkurzaczymi? -- zapytała groźnie siostra Ratched.

Rambo znieruchomiał.

-- Ale przecież... ja jestem odkurzaczem.

-- No właśnie -- zaznaczyła z mocą pielęgniarza. -- Zostałbyś zjedzony. Posłuchajmy Mała. Najlepiej, jeśli stąd znikniemy. Powinniśmy wejść głębiej w las i ominąć ten dom. Dla bezpieczeństwa.

Vic obserwował kłęby dymu unoszącego się z kominów. Wyglądały jak zagubiona chmura gradowa. Zachowywał ostrożność, ale jednocześnie nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dom go do siebie przyciąga. Stanowił pierwszą oznakę cywilizacji, jaką napotkali, odkąd opuścili ruiny leśnego domostwa. Chciał podejść do drzwi i zapukać. Zobaczyć, kto tam mieszka. Muzyka też go kusila. Przemawiała do niego. To dziwne plim, plam, plum na pianinie brzmiało w jego uszach niczym zaproszenie.

Potrząsnął głową, by zebrać myśli.

-- Nie wiemy, kto tam mieszka. Nie możemy ryzykować. Obejdziemy ten dom i...

-- Hej, hej, ho-ho! -- usłyszeli za sobą czyjś głos. -- Kogo my tu mamy? Takie pustkowie, a jednak moje oczy widzą grupkę zbłąkanych wędrowców. Jakie szczęście! Co za zbieg okoliczności! Po prostu przewspaniale!

Wszyscy obrócili się natychmiast. Mał osłonił Vica własnym ciałem, nadal przyciskając do piersi Rambo.

Chłopak wspiął się na palce i wyjrzał zza ramienia Mała. Siostra Ratched tkwiła u jego boku.

Przed nimi stał mężczyzna o szerokich barach i równie szerokim uśmiechu. Nie dało się stwierdzić, czy jest człowiekiem, czy androidem. Miał na sobie czerwony płaszcz; długie poły opadały prawie do ziemi i powiewały na wietrze. Przód stroju zdobiły dwa rzędy złotych guzików połączonych plecionym ornamentem. Na nogach białe spodnie i czarne, wypolerowane na błysk buty do kolan. Na głowie przekrzywiony na jedną stronę czarny cylinder, przepasany czerwoną wstążką. Spod runda wystawały kosmyki siwych włosów. Mężczyzna miał również gęste, sumiaste i wywinięte wąsy. Gdy pociągnął nosem, zarost zadrżał.

Uniósł ręce i zamachał nimi w teatralnym geście, kłaniając się nisko. Głowę trzymał tak, żeby cylinder z niej nie spadł podczas ukłonu.

-- Podróżnicy! -- zawołał. -- Naprawdę miło was widzieć. Nie spodziewałem się nikogo spotkać na tym odludziu. Co was sprowadza na takie zadupie? -- Mężczyzna wyprostował się i obrzucił przyjaciół baczным spojrzeniem. -- Z kim mam przyjemność?

-- Przyjemność z Rambo! -- wykrzyknął z zachwytem Rambo. Mał chciał zakryć mu głośnik, ale nie zdążył. -- Ten dom należy do pana? Niesamowity.

-- Właśnie taki jest, drogi Rambo. -- Mężczyzna puścił oko do odkurzacza. -- Wraz z moją wysłużoną staruszką hacjendą przebyliśmy szmat drogi. Niesiemy radość i uśmiech wszędzie tam, gdzie ich brakuje. Jam jest jej, a ona moja. Stangret się nazywam i zabrać was przybywam! Niosę radość i szczęście najbardziej potrzebującym. -- Rozpostarł szeroko ramiona. Z rękawów wystrzeliły mu tęczowe wstążki. Zatrzepotały na wietrze, po czym zwinęły się i wróciły na swoje miejsce. -- Znam wiele sztuczek. Można rzec, że znam je wszystkie. -- Uśmiechnął się jeszcze szerzej. -- A skoro wy już znacie moje imię i wiecie, czym się zajmuję, teraz ja chciałbym usłyszeć co nieco o was. Tak! Byłoby bosko. Znam już Rambo, który jest niezwykle miłym młodzieńcem o bardzo wyszukany guście. Kim jesteście wy? Widzę wśród was... robota medycznego? Co za niespodzianka! Nie widziałem takiego od bardzo, bardzo dawna.

-- Wątpię, żebyś w ogóle widział robota, który by mi dorównywał -- rzuciła siostra Ratched. -- Jestem najlepsza.

Stangret komicznie wybałuszył oczy.

-- Najlepsza, powiadasz. -- Skłonił się po raz kolejny, prawie zamiatając dłońmi ziemię. -- Nie wiedziałem, że stoję w obliczu

królowej. Wybacz, o pani, mój nietakt. To się więcej nie powtórzy.

Na ekranie siostry Ratched pojawiła się korona.

-- Lepiej, żeby tak było. Jestem siostra Ratched -- przedstawiła się z dumą, a Stangret się zaśmiał. -- Ratched. Robot Autonomiczny do Terapii, Całodobowej Hospitalizacji, Edukacji oraz Do-rzynania.

-- Co za historia! Rzeczywiście jesteś jedyna w swoim rodzaju. Nie natknąłem się na ani jeden egzemplarz tego konkretnego mo-delu, odkąd... no cóż. -- Zamrugął. -- Sama wiesz. Odkąd pozbyli-śmy się naszego problemu ze szkodnikami.

-- Sz-szkodnikami? -- Mal zacisnął zęby.

-- O jejciu jej. -- Stangret spojrzał na androida. -- Ależ z ciebie przystojny młodzieniec. Patrzcie tylko na tę zuchwę! Na to... drewno. Taak, tyle drewna. Założę się, że wszystkie maszynki wzdychają do ciebie, jeśli tylko pozwala im na to oprogramowanie. Jak masz na imię, przystojniaku?

-- Co cię to obchodzi?

Stangret mrugnął ze zdziwieniem.

-- Po prostu chciałem je poznać. Nie wyrządę ci krzywdy. Przysięgam. Po co miałbym to robić? -- Wyszczrzył zęby. -
- W końcu jesteśmy tu razem, nieprawdaż? No, przystojniaku! Twoje imię!

-- Mal -- powiedział android powoli.

-- Mal -- powtórzył Stangret. -- A przeznaczenie?

-- A-android u-usługowy.

-- Usługowy? -- wykrzyknął mężczyzna z oburzeniem. -- Taka piękna maszyna? Co za hańba. Bezczelność! -- Zmarszczył brwi i zatrząsł wąsem. -- Marnujesz talent w tej branży. Jeśli chcesz, pomogę ci z oprogramowaniem. Pozbędziemy się tego jąkania i przerobimy cię na maszynę miłosną. Zasługujesz na to!

-- On nie ma genitaliów -- wtrąciła siostra Ratched.

-- Ale ma palce -- odparł niewzruszony Stangret.

-- N-nie dotykaj m-mnie -- warknął Mal. -- N-nie d-dotykaj żadnego z n-nas. N-nie potrzebujemy cię.

-- Oczywiście. -- Stangret nie dawał zbić się z tropu. -- Jak sobie życzysz. Nie chciałem się narzucać. Jedynie taka sugestia, przyjacielu. Mal. Piękne imię.

-- Oznacza Marionetkę Agresywno-Lekceważącą -- podpowiedział uczynnie Rambo.

-- Czyżby? Jak trafnie. Zachowuje się agresywnie i lekceważąco. Chwileczkę, Mal. Czy ja cię skądś nie znam? Wyglądasz znajomo...

-- N-nie. Zapamiętałbym c-cię. D-denerwujesz mnie.

Wzrok Stangreta przeniósł się z Mالا na Vica. Chłopak jęknął i się skrzywił.

-- Teraz ty. Wydajesz się najciekawszy z całej waszej gromadki. Jesteś, jak by to ująć... Wyjątkowy. -- Wzdrygnął się. -- Wybacz, nowy przyjacielu. Przyznam, że wyglądasz pokraccznie. Nie chcę cię urazić, ale muszę spytać o ten kask... Strasznie... duży. Jest przytwierdzony do twojej głowy?

-- T-tak -- wtrącił Mal, zanim Vic się odezwał. -- O-on jest m-maszyną. J-jak my w-wszyscy -- zapewnił android.

Stangret spojrział na niego zdezorientowany.

-- Co do tego nie miałem wątpliwości. Po prostu bardzo brzydko wygląda. Wydaje się nieśmiały. Nie musisz się wstydzić, drogi chłopcze. Nawet gdybym chciał cię skrzywdzić, nie zdołałbym nawet podejść, bo twoja Marionetka Agresywno-Lekceważąca urwałaby mi rękę. Bardzo opiekuńcza maszyna. Cóż za niespotykana grupka. Na szczęście i tak żadnemu z was źle nie życzę. Jak masz na imię? Jakie jest twoje przeznaczenie?

-- Vic -- przedstawił się chłopak cicho. -- Jestem wynalazcą.

-- Czyżby? -- mruknął z uznaniem Stangret. -- Wynalazcą? A twoje wynalazki nie boją się ciebie, kiedy dajesz im świadomość? Niesamowite! Uwielbiam wynalazców, niezależnie od tego, jak wyglądają. Nie ma to jak proces tworzenia nowych rzeczy. Gdybym nie odnalazł powołania w niesieniu radości, pewnie sam zostałbym wynalazcą. Tylko wyobraźcie sobie wszystkie te wspańności, które bym tworzył. -- Mężczyzna odchylił głowę i wybuchł głośnym śmiechem, biorąc się pod boki. -- Choć lepiej nie. Wiem tylko, jak być tym, kim jestem. Zmiana przeznaczenia jedynie popłatałaby mi przewody. -- Zarechotał ponownie i poklepał się po głowie. -- A tu nic, tylko pajęczyny i pustka. -- Nie był człowiekiem. Był maszyną.

-- Ch-chodźmy -- rzucił Mal i zrobił krok wstecz. Vic poszedł za jego przykładem. Zacisnął dłonie na płaszczu androida.

Stangret rozszerzył oczy.

-- Ej, hej! Nie ma potrzeby. Zostańcie. Zabawcie się! Zróbcie sobie chwilę przerwy! Wygląda na to, że idziecie piechotą. Waszym nogom należy się odpoczynek. Dokąd się udajecie? Może powinniśmy podróżować razem?

-- Do Miasta Elektrycznych Snów -- powiedział Rambo, zanim ktokolwiek go powstrzymał. -- Mamy zamiar...

-- Odwiedzić starych znajomych -- dokończyła za niego siostra Ratched. -- Spodziewają się nas. Nie chcielibyśmy, aby się martwili. Są bardzo silni. I nie lubią spóźnialskich.

-- Rozumiem doskonale -- przyznał Stangret. -- Tak się składa, że sam też jadę do miasta! Czas wrócić i podładować baterie. -- Skinął głową w stronę domu. -- Staruszka pochłania sporo energii. Ładowarki w terenie już sobie z nią nie radzą. Straszne marnotrawstwo. Ale nie będę bajdurzył, bo was to z pewnością nie inte-

resuje. -- Uniósł rękę i pogłaskał sumiasty wąs. Uszczypnął najpierw jedną, potem drugą końcówkę i podkręcił je. -- Do miasta stąd kawał drogi. Szczególnie na piechotę. Może was podwieźć? Dojedziemy raz-dwa. A wasi... przyjaciele na pewno się ucieszą! - - Nienaturalnie szeroki uśmiech sprawił, że jego twarz wyglądała teraz jak gumowa maska.

-- N-nie -- mruknął Mal. -- L-lubimy chodzić pie-e-chotą. Dździękujemy.

Stangret cmoknął.

-- Ależ jesteś nieufny. Nie dziwota. Taka tu dzicz, a my... cóż, nie można powiedzieć, że się znamy jak łyse konie. -- Zmarszczył brwi. -- Dziwaczne powiedzonko. Całe dekady nie widziałem konia. A już tym bardziej łysego. Ciekawe, że przyszło mi na myśl. - - Pokręcił głową. -- Nieważne. Jesteś pewien? Czas by nam minął jak z bicza trzasnął.

Dźwięki muzyki dobiegające z domu dudniły Vicowi w uszach. Zrobiło mu się gorąco. Oddech mu przyśpieszył. Chciał powiedzieć nieznanemu: tak, tak, proszę, zabierz nas ze sobą w swoim magicznym domu! Byłoby szybciej. Na piechotę podróż zajmie im jeszcze kilka tygodni. W tym czasie ojcu groziło straszliwe niebezpieczeństwo. Tak łatwo byłoby zaakceptować propozycję Stangreta! Zbyt łatwo. Ta myśl nie dawała mu spokoju.

Coś było z tym mężczyzną nie tak. Z tą maszyną, nie mężczyzną. Vic nie potrafił spojrzeć mu w oczy. Nie umiał nawet zawiesić na nim wzroku. Instynktownie się odwracał. Nadal przyzwyczajał się do widoku Mala.

Ale Mal nie był taki jak Stangret.

Chłopak nie miał pojęcia, skąd to wie, ale wiedział.

Na szczęście jego kompanowi nie odjęło mowy.

-- J-jesteśmy pewni. Dź-dzięki, ale p-pójdziemy jednak s-sami.

Stangret znów rozciągnął usta w uśmiechu.

-- Ależ uprzejmość. Jaka grzeczność. Doceniam dobre wychowanie. Aż miło posłuchać. Rzadko spotykane w podróży. Prowadzę muzeum, wiecie? Moją kolekcją zachwycają się znawcy z całego świata, ale ciągle chcą więcej i więcej. Nikt już nie mówi "dziękuję"! -- Westchnął teatralnie. -- Czy tak trudno czasem okazać odrobinę wdzięczności? Oczywiście, że nie! To proste. Na przykład teraz. Właśnie mi podziękowałeś. To bardzo miłe. -- Uśmiech zniknął z jego ust. -- Mam jednak wrażenie, że odrzucenie mojej hojnej oferty było nieco niegrzeczne. Tak, dość niegrzeczne, zaprawdę. Oto otwieram przed wami drzwi własnego domu, a w odpowiedzi co? Odmowa? -- Stangret zrobił krok w ich kierunku. -- Przecież nawet nie wiecie, co jest w środku! Nie chcecie zobaczyć?

-- Nie -- odparła pielęgniarka. -- Nie chcemy. Nie podchodź bliżej. Nic nie dorznięłam przez dwanaście dni. Jeśli zrobisz choć krok w naszą stronę, nie dotrwam do trzynastego.

Stangret ukazał zęby w szerokim uśmiechu.

-- Ależ jesteś waleczna, co, moja królowo? Bardzo cię lubię. To szczęśliwy dzień dla Muzeum Ciekawostek i Pamiątek po Ludzkości. Będziecie wspaniałymi eksponatami, szczególnie Vic. Wygląda, jakby jego twórca połączył człowieka z robotem zupełnie bez jakiegokolwiek pomysłu. I nie mogę się nadziwić, dlaczego ta biedna paskudna maszyna nosi źródło zasilania na własnej piersi! W życiu czegoś takiego nie widziałem! Czemu miałyby to służyć? Niebawem się dowiem. Och, tak, już to widzę! Będziecie gwiazdami! -- Podciągnął rękaw czerwonego płaszcza. Na przedramieniu widniał panel z dwoma rzędami kolorowych przycisków i migających lampek. -- Wydaje się jednak, że trzeba was będzie prze-

konać do mojej wizji. Pozwólcie, że was oświecę! -- Wcisnął przycisk na płycie.

Dom zatrzeszczał i jęknął.

Vic obrócił się na pięcie. Jedna z wież budynku się zapadła. Dachówki odsunęły się, a ceglana konstrukcja zaczęła niknąć w głębi dachu. Jednocześnie z jej wnętrza wysunął się wielki mechanizm nieco przypominający macki siostry Ratched. Tylko dziesięciokrotnie większe.

-- Nie powinno boleć -- mruknął z uśmiechem Stangret, celując mackami w przyjaciół. -- Chyba że zaprogramowano was do odczuwania bólu. Ależ będzie zabawa!

Dom unosił się i opadał, a mechanizm na dachu jakby ożył. Kominy wypluwały coraz większe kłęby czarnego dymu. Mal złapał Vica za kark i pociągnął ku sobie, ale zbyt wolno. Maszyna wystrzeliła dysk, który eksplodował w powietrzu. Żadne z nich nie miało chwili na reakcję. Z wnętrza dysku wysunęła się sieć, oplótła przybyszów i przewróciła ich na ziemię z wielką siłą. Siatka samoczynnie pełzała po podłożu, owijając się mocniej wokół wędrowców.

Zostali usidleni.

Mal warknął wściekle, walcząc z zacieśniającymi się linkami i usiłując je rozerwać. Rambo leżał pod nim i wył wniebogłosy. Obie strategie nie przyniosły efektu. Vic zwałił się na siostrę Ratched. Patrzył w niebo przez oczka sieci.

-- Oj -- mruknął Stangret, podchodząc bliżej. -- Nie wysilaj się, Mal. Utknąłeś na dobre. Nie ma drogi ucieczki. Przykro mi, niestety. Nie martw się jednak. Obiecuję, że z czasem spojrzysz na świat tak jak ja.

-- P-p-puszczaj nas! -- syknął android. Próbował dosięgnąć Stangreta, ale siatka zastygła i stężała. Byli uwięzieni pod kopułą, której nie potrafili rozbić. -- J-jeśli z-zrobisz coś Victorowi, z-z-z...

-- To co? Co mi zrobisz? -- spytał niewinnie Stangret, kucając tuż przy nich. -- Rozerwiesz mnie na strzępy? Tak podejrzewam. Widzę to w twoich oczach. Jejciu jej. O, tak. Naprawdę ci na nim zależy. -- Uśmiechnął się. -- Nie martw się, drogi Malu. Nie skrzywdzę twojego ukochanego Victora. Musisz tylko robić, co ci każe, i wtedy, gdy ci każe. Dogadamy się bez problemu.

Wstał i wcisnął kolejny przycisk na ramieniu. Przewód przymocowany do kopuły zaczął ciągnąć ich po ziemi w kierunku domu.

-- Nie podoba mi się ten Stangret -- wycedziła siostra Ratched spod Vica. -- Wsadzę mu wiertło tak głęboko, że nie będzie mu do śmiechu.

-- Czy my umrzemy? -- zakwilił Rambo.

-- Zapewne -- odparła bez ogródek pielęgniarka. -- Albo zostaniemy jego więźniami na najbliższe kilka stuleci.

-- Z-zamknij się -- warknął Mal. -- N-nic nie mów. N-niech n-nikt nic nie mówi. U-uwolnię nas. Victor. Victor, s-słyszysz mnie? Victorze.

Vic nie mógł odpowiedzieć. Wbijał wzrok w niebo. Po chwili i ono zostało przysłonięte przez górujący nad nim dom. Ostatnie, co zobaczył, zanim wszyscy zostali pochłonięci przez budynek, był czarny ptak, zataczający koła wysoko w powietrzu i śpiewający swą zimową pieśń.

-- Tak mi przykro! -- zawołał z oddali Stangret. -- To może trochę zabołec, ale służy jedynie zapewnieniu waszego posłuszeństwa. Zanim się zorientujecie, będzie po bólu.

-- O nie -- powiedziała siostra Ratched, kiedy powietrze przeszły elektryczny zgrzyt. Sieć dookoła nich ożyła i sycząc prądem, poraziła więźniów. Wszyscy zadygotali spazmatycznie.

Vica ogarnęła ciemność.



Giovanni się uśmiechnął.

-- Mój cudowny chłopiec. Mój mały, zdrożony wędrowiec.

Vic wyciągnął ku niemu dłoń.

Tata zniknął.

Chłopak zamrugał raz i drugi. Wzrok miał zamglony.

-- Wreszcie -- sapnęła siostra Ratched. -- Już prawie zaczynałam się martwić. Wszystko w porządku, Victorze?

Młodzieniec się obrócił.

Leżał na plecach zamknięty w klatce o grubych czarnych prętach. Podniósł się z jękiem. Całe ciało miał zeszywniałe. Bolały go mięśnie. Przeciągnął się mocno, aż mu strześliło w kręgosłupie.

Kask przekrzywił się na głowie. Młody Lawson poprawił go i zacisnął pasek pod brodą.

-- Aha! -- rozbrzmiał radosny głos. -- Świetnie! Już się ocknąłeś. Przez chwilę się martwiłem. Pomyślałem, że trochę przedobrzyłem z napięciem.

Vic wyjrzał przez kraty. Podłoga cicho mruzczała.

Przed klatką, daleko poza jego zasięgiem, siedział Stangret. Zajmował fotel o wysokim oparciu, a na kolanach trzymał plecak Vica. Klatki stały w rzędzie. W lewej był Mal, w prawej stała siostra Ratched, a za nią znajdował się Rambo.

Kiedy Mal zauważył, że Vic się podnosi, przestał krążyć nerwowo po własnej celi.

-- Wszystko w p-porządku?

Vic skrzywił się i podrapał w kark.

-- Tak myślę.

-- Z-zabiję cię -- wycedził android w kierunku Stangreta. -- J-jak t-tylko stąd wyjdę, r-rozszarpie c-cię na strzępy.

-- Ojjoj -- zawołał mężczyzna. -- Wierzę. Oczywiście. Poddaj się gniewowi. Wykorzystaj go. Bądź tak straszny, jak tylko ci się podoba! -- Roześmiał się i zaklaskał. -- To tylko sprawi, że będziesz cenniejszym eksponatem dla moich bogatych klientów.

-- Czego od nas chcesz? -- jęknął Rambo. -- Chcesz nas zjeść?

-- Oczywiście, że nie -- odparł Stangret. -- Co za okropna myśl. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił, mały przyjacielu. Jesteś odkurzaczem. Jesteś dla mnie bardzo ważny.

-- Naprawdę? -- spytał Rambo. -- Dlaczego?

Właściciel muzeum powiódł ręką dookoła.

Pomieszczenie wypełniały graty podobne do tych w domu ojca, tylko było ich o wiele, wiele więcej. Dziwna zbieranina różnorodnych części i elementów pozostałych po ludzkości piętrzyła się aż po łukowate sklepienie. Półki na ścianach ugięły się pod najróżniejszymi rzeczami: ciemnymi ekranami monitorów, niewielkimi telewizorami, łyżkami, widelcami, lampkami o tandetnych kolorowych szklanych kloszach, pluszakami i lalkami -- małymi dziewczynkami o krągłych policzkach i lśniących oczach, misiami i rogatymi końmi, zegarkami, które dawno temu przestały wskazywać czas. W jednym rogu pomieszczenia stał sedes. W kolejnym pusta skorupa, która kiedyś mogła być samochodem, choć te Vic widywał wyłącznie na filmach ojca. Obok siebie zobaczył rząd plastikowych ludzi. Wszyscy mniej więcej jego wzrostu. Mieli niewyraźne, zamazane rysy i tylko szczątkowe, jakby niewykształcone nosy, usta i oczy. W dziwacznych ubraniach: jasnych, zakończonych frędzelkami sukienkach, spodniach do kolan, dłuższych niż szorty. W czapce z nadrukiem w kształcie czegoś, co przypominało brązowe jajko, z napisem NAPRZÓD, PATRIOCI, oraz białymi plastikowymi słomkami przytroczonymi do boków. Jedna z postaci miała na sobie czarną koszulę z nadrukiem RAMONES, a poniżej

niezrozumiały napis: DEE DEE JOHNNY JOEY RICHIE. Z sufitu zwisały dziesiątki dzwoneczków -- niektóre metalowe, inne szklane lub drewniane. Wszystkie stukały i dźwięczały melodyjnie, jakby akompaniując jednostajnemu pomrukowi domu.

Pod każdym z przedmiotów znajdowała się niewielka karteczka, na której opisano, czym był i do czego służył. Gdyby nie sytuacja, w jakiej się znajdował, Vic wiele by dał, by móc każdemu z nich przyjrzeć się dokładniej. Teraz jednak jedyne, co czuł, to przenikliwe zimno.

-- Moja kolekcja -- powiedział Stangret z dumą. -- Największa tego typu na świecie. Maszyny jadą nieraz wiele mil, by ją zobaczyć. -- Westchnął i pokręcił głową. -- Nie wszystkim się podoba. Niektórzy określają ją mianem makabrycznej. Bezużytecznej. Twierdzą, że jest nieprzyzwoita. -- Twarz mu pojaśniała. -- Ale teraz, jak tu jesteście, nareszcie los się do mnie uśmiechnie! Miałem wielkie szczęście, że na was wpadłem.

Mał zacisnął palce na prętach własnej klatki. Stęknął z wysiłku. Próbował je wygiąć, ale nie miał tyle mocy.

-- Już mówiłem, że to na nic -- rzucił Stangret spokojnym tonem. -- Są wzmacniane. Nie uciekniesz. -- Rozszerzył oczy z komiczną miną. -- Ale, ale! Nie myślcie sobie, że jesteście tu więźniami. Co to, to nie. Zupełnie nie tak. Jesteście tu gośćmi. I mam dla was propozycję natury zawodowej.

Vic usiłował pozbiierać myśli. Wziął powolny głęboki wdech. Potem wypuścił powietrze przez zaciśnięte usta. I znowu. Wdech, wydech.

-- Co ty robisz? -- spytał zaciekawiony mężczyzna. -- Masz jakąś usterkę? Dopiero cię znalazłem! Co za niefart. Tylko mi tu nie narób bałaganu! Nie cierpię bałaganu. Należy go unikać.

-- Nie rozmawiaj z nim -- wtrącił falsetem Rambo. -- Zostaw chłopaka w spokoju. To, że Vic jest czł...

-- Czuję maszyną -- zagłuszyła go siostra Ratched. -- To nic poważnego. Drobna usterka. Ma błąd w oprogramowaniu i jest wrażliwy na wszelkie zmiany otoczenia. Prawda, Rambo?

-- Wcale... Aaa. Jasne. No tak. O tak. Właśnie tak. Niewielka usterka. Nic innego. Vic jest robotem, tak jak my.

Stangret zmarszczył czoło.

-- Dziwne, ale niech będzie. Chciałbym się dowiedzieć, co tu macie. -- Wskazał plecak leżący mu na kolanach. -- Jestem pod wrażeniem waszej kolekcji. Bardzo nietypowa. -- Zaczął grzebać w ich bagażu. -- Na przykład to! -- Wyciągnął starą ściereczkę obwiązaną sznurkiem. Odpakował zawiniątko. W środku było jedzenie: suszone owoce i mięso. -- Do czego służy?

-- To dla zwierząt -- wyjaśniła maszyna medyczna. -- Karmimy tym przyjaciół z lasu.

Stangret uniósł kawałek suszonego mięsa i obrócił w palcach. Podsunął sobie pod nos i wciągnął powietrze. Wykrzywił się.

-- Śmierdzi. Podoba mi się. Mówisz, że dla zwierząt? -- Odłożył mięso na stół, po czym znowu zanurzył rękę w plecaku. Tym razem wyłowił kawałek drewna, który Vic zaczął strugać. -- A to?

-- To moje -- znów odezwała się siostra Ratched. -- Lubię rzeźbić.

Stangret aż podskoczył z zaskoczenia.

-- Naprawdę? Nie spodziewałem się takich zainteresowań po maszynie do opieki medycznej. Potrafisz docenić sztukę tworzenia?

-- Oczywiście -- odparowała. -- Gdybyś otworzył moją klatkę, mogłabym ci pokazać z bliska.

-- Być może tak zrobię -- mruknął mężczyzna, obracając drewno w palcach. -- Chciałbym się przekonać, co potrafisz stworzyć. Jestem pewien, że jakieś oszałamiające dzieło. -- Spojrzał na Vica i odstawił drewnienko na stół obok owoców i mięsa. -- Dziwny z ciebie robot. Fascynujesz mnie.

Vic nie odpowiedział. Zaciśnął powieki i tylko wdychał powietrze przez nos i wypuszczał ustami.

-- Biedactwo -- mruknął ze szczerym politowaniem Stangret. -
- Ja też byłbym smutny, gdybym wyglądał jak ty. Nie mogę patrzeć na twój stan. Już ja coś poradzę. Obiecuję. Zagonię cię do pracy i raz-dwa zapomnisz, jaki jesteś paskudny. Od dawna chciałem powiększyć muzeum, a teraz, skoro tu jesteście, wydaje mi się, że nadszedł odpowiedni moment. Nie jesteście więźniami. Zostaniecie moimi pracownikami. Czyż to nie wspaniałe? -- Zaklaskał z radością.

-- Pracodawcy nie trzymają pracowników w klatkach -- zauważyła siostra Ratched.

Stangret zaśmiał się perliście.

-- I tu się mylisz, najdroższa. Doskonale wiem, że pracodawcy w dawnych czasach trzymali pracowników właśnie w klatkach. Nazywały się boksy. Biurowe. -- Wstał z fotela i odłożył plecak na podłogę. Pogwizdując wesoło, podszedł do biurka stojącego pod przeciwległą ścianą. Stały na nim bujające się miarowo figurki o wielkich głowach. Był tam również monitor, który uruchomił się, gdy Stangret dotknął jego ekranu. Nie przestając gwizdać, wpisywał coś na klawiaturze. Palce błyskawicznie przeskakiwały z klawisza na klawisz. Śmiał się sam do siebie, kręcił głową i mamrotał o szczęściu, jakie go spotkało. Chwilę później urządzenie stojące na tym samym biurku obudziło się do życia i wypluło z siebie kilka kartek. -- To się nazywa drukarka -- oznajmił, wypinając dumnie

pierś. -- Marnuje mnóstwo materiału, ale ją uwielbiam. Potrzebuję tuszu, a ten bardzo trudno dostać. Używam jej wyłącznie do produkcji plaketek dla nowych eksponatów. Tak, tak, odtwarzaj moje słowa, maleństwo! -- krzyknął, śmiejąc się do niedużego urzędnika. -- Patrzcie, jak zasuwa!

Vic obserwował Stangreta, gdy ten podniósł pierwszą zapisaną kartkę i obracał ją w rękach, by w końcu złożyć wpół. To samo zrobił z drugą, trzecią i czwartą.

-- Tyle pracy -- mrucał do siebie, wracając przez salę. -- Tak mało czasu. -- Zatrzymał się przed kilkoma niewielkimi taboretami i postukał palcem w brodę. -- Ty. I ty. I ty, i ty! Tak, jesteście idealne. -- Podniósł jeden stołek i umieścił przed klatką siostry Ratched, poza zasięgiem jej macek. Potem kolejny przeniósł do Rambo. Mała. Na koniec Victora. Gdy skończył, klasnął w rękę. -- Proszę. Musi wystarczyć, dopóki nie zorganizujemy czegoś trwalszego. -- Zanucił jakąś melodię i wrócił do biurka. Sięgnął do wiszącej nad nim półki i wziął przedmiot przypominający nieco jeden z wysięgników Rambo. Ścisnął rączkę, szczypcy otworzyły się, po czym zamknęły. -- To jest zabawka. Bawiły się nią ludzkie dzieci -- oznajmił. -- Nazywali ją chwytnikiem lub ramieniem robota, mimo że zupełnie nie jest robotyczna! Dziwne, nieprawdaż? Używali jej do łapania przedmiotów, których sami nie potrafili sięgnąć. Ale spójrzcie, do czego mi posłuży! -- Ostrożnie podniósł jedną ze złożonych na pół kartek, jakby niósł coś śmiertelnie niebezpiecznego, po czym na palcach przydreptał do stołka stojącego przed klatką Rambo. Trzymał chwytnik obiema rękami. Wysuwając czubek języka, położył karteczkę na siedzisku. -- Patrzcie i podziwiajcie! Ta-dam! -- krzyknął. -- Oto twoja własna plakietka! A teraz, mały przyjacielu, przeczytaj, proszę, słowa na głos, żebym wiedział, czy nie trzeba wprowadzić jakichś zmian.

Rambo pisnął raz i drugi, potem uniósł się na podnośniku. Zaczął recytować: ODKURZACZ. WYKORZYSTYWANY PRZEZ LUDZI DO SPRZĄTANIA. -- Zakręcił się dookoła, wymachując ramionami. -- To ja! Rany Julek, cała prawda! Vic! Vic! Ależ on mądry!

Stangret ukazał zęby w szerokim uśmiechu.

-- Dziękuję za słowa uznania dla mojego geniuszu. Zapamiętam tę chwilę na zawsze albo przynajmniej do momentu, kiedy moje ciało dozna nieodwracalnego uszkodzenia i pozostanie po mnie wyłącznie tracąca kontakt z rzeczywistością świadomość, która z czasem popadnie w obłąd podobny do tego, jakim charakteryzowała się ludzkość. Siostró, och, siostró. Teraz twoja kolej. -- Kołysząc rytmicznie biodrami, tanecznym krokiem wrócił do biurka, z którego podniósł kolejną kartkę. W podskokach ruszył z powrotem do klatek i znów za pomocą robotycznego ramienia umieścił plaketkę na taborecie. -- Przeczytaj, co napisałem na twojej etykietce, o piękna pani.

-- Nie -- postawiła się pielęgniarka. -- Nie jestem w nastroju do czytania.

Mężczyzna uniósł brwi z zaskoczeniem.

-- W nastroju? Co masz na myśli? A! Jasne. Już rozumiem. Gdzie takiemu parobkowi jak ja pouczać wielką damę. Skądże. Nie powinno się wykorzystywać twoich wyrafinowanych obwodów do tak przyziemnych zadań. Nie lękaj się, o pani. Przeczytam sam!

-- Podejź bliżej -- zaproponowała siostra Ratched. -- Obiecuję, że nie urwę ci głowy. -- Na jej ekranie pojawiły się słowa: ZAUFAJ MI! JESTEM PIELEŃNIARKĄ!

Stangret pogroził jej palcem.

-- Prawie mnie nabrałaś. Cudowna z ciebie istota. Będziesz wielką gwiazdą. Nie mam co do tego wątpliwości. Tekst na twojej

plakietce brzmi: SIOSTRA ROBOT AUTONOMICZNY DO TERAPII, CAŁODOBOWEJ HOSPITALIZACJI, EDUKACJI ORAZ DORZYNANIA. STAN IDEALNY.

Ratched zamilkła na dłuższą chwilę.

-- Nie wyczuwam kłamstwa. Kontynuuj.

Rambo pisnął.

-- Ale przecież...

-- Milcz, odkurzaczu -- zgromiła go bezpardonowo. -- Dorośli rozmawiają. Uruchamiam program empatyczny. Hurra. Stangretcie, jedna z moich macek wydziela kleistą substancję, która może służyć za lubrykant. Potraktuj tę informację według własnego uznania.

Stangret zrobił krok w jej kierunku.

-- Naprawdę? Być może skuszę się na małą demonstrację. Może mnie przebadasz? Tak się mówi? Tak mówią ludzie? Możesz zrobić mi badanie?

-- Jak najbardziej. Dokładnie tak się mówi. Podejź bliżej, a tak cię przebadam, że ci łeb odpadnie... Eee, znaczy, że głowa mała. Postawię ci profesjonalną diagnozę. Zdejmij spodnie i kaszlnij. Nie wstydz się. Nie będę cię oceniać.

Przez ułamek sekundy Vic pomyślał, że Stangret wykona polecenie. Jedną rękę przesunął w kierunku suwaka spodni, jakby szykował się, aby je zdjąć. Robotyczne ramię zawisło bezwładnie wzdłuż jego nogi. Potem jednak zmrużył oczy.

-- Nie próbujesz mnie przypadkiem nabrać?

-- Wyłączam program empatyczny. Właśnie to próbowałam zrobić. Potrafię wytworzyć lubrykant, ale nie do tego, co planowałam z tobą zrobić.

-- Jestem pod wrażeniem -- przyznał Stangret. -- Nadal mam ochotę ściągnąć spodnie i zobaczyć, co z tego wyniknie. Na to jed-

nak przyjdzie jeszcze czas. Chodźmy do kolejnego eksponatu! -
- Obrócił się i złapał z biurka trzecią etykietę. Tym razem podszedł do klatki ostrożniej, wysuwając chwytak daleko przed siebie. Ułożył karteczkę na taborecie przed Malem, który nie spuszczał go z oczu. -- Nie denerwuj się, przystojniaku. Nie próbuj niczego, czego mógłbyś potem żałować. Nie chciałbym, żeby coś ci się stało, szczególnie że dopiero się zaprzyjaźniliśmy.

Ręce Mala wystrzeliły przez kraty. Palce zgięły się niczym szpony. Ale Stangret stał poza ich zasięgiem.

-- W-wypuść nas.

-- Nie tak rozmawia się z szefem -- zbeształ go kolekcjoner. Zamilkł i przechylił głowę. -- Rozumiem jednak, skąd ta wrogość. Wszystko przez moje zachowanie. Wybacz mi. Chodzi o mój język, prawda? Masz rację. Od tej pory nie zachowujmy się jak wielkoduszny pracodawca i żądny mordy pracownik, lecz jak rodzina. Przecież nie skrzywdziłbyś członka rodziny, prawda?

-- J-ja n-nie krzywdzę -- warknął Mal.

-- I o to chodzi! -- zawołał Stangret. -- Ale nadal odgrywaj kogoś niezwykle groźnego. Musisz się wczuć, mój agresywny przyjacielu. Aby ci w tym pomóc, na twojej plakietce napisałem: NAJ-GROŹNIEJSZA MASZYNA NA ŚWIECIE. Nie musisz dziękować.

-- Ej, Mal -- wtrącił Rambo. -- Zupełnie jakby cię znał!

-- A na koniec zostawiłem najlepsze -- oznajmił właściciel muzeum. Zgiął nogi w kolanach i odchylił cały tułów do tyłu.

W pewnym momencie od kolan w górę wisiał w powietrzu w pozycji horyzontalnej, nie odrywając stóp od ziemi. Wyciągnął za siebie robotyczne ramię i porwał ostatnią kartkę z blatu, po czym wyprostował się, wydając mechaniczny jęk.

-- Najdziwniejsza maszyna, jaką widziałem. Kto cię stworzył? Skąd przybyłeś? Jakie jest twoje przeznaczenie? Dlaczego wyglą-

dasz, jakby twórca wykreślił ci okrutny numer, ale nie masz środków, żeby coś z tym zrobić?

-- Punkt dla niego -- oznajmiła siostra Ratched.

Mężczyzna podszedł do klatki Vica i postawił plakietkę na stołku.

-- Ty, mój dziwny nowy kompanie, jesteś nieodgadniony i tak niech pozostanie. Taka zagadka bez rozwiązania. Maszyny zjadają się z całego świata, by nacieszyć oczy twoją groteskową formą i wszyscy będą zadawać jedno i to samo pytanie: Dlaczego? By zachęcić je do zadumy, od tej pory będziesz nazywał się SZOKUJĄCO SZPETNYM, SMĘTNYM STWOREM STANGRETA!

-- Siostra Ratched twierdzi, że aliteracja jest oznaką ubogiej wyobraźni -- zauważył Rambo.

Stangret się zaśmiał.

-- Czyżby? Nie śmiałbym kłócić się z oceną takiej piękności, jednak wiem, że klienci doceniają kreatywne nazwy. Zmarszczył brwi. -- Chyba. Nieważne! Znacicie swoje role. Niektóre są trudniejsze niż inne, ale wiedzcie, że dla mnie wszyscy jesteście równie ważni. To było tak zwane wzmocnienie pozytywne. Wspaniałe, nieprawdaż? -- Z rękawów ponownie wystrzeliły mu wstążki, które jednak natychmiast wciągnął z powrotem. -- Przepraszam. Czasami nie potrafię się opanować, kiedy się podekscytuję.

-- Dlaczego nam to robisz? -- spytał Vic.

-- Bo mam ochotę. I tyle. Ludzie, przy wszystkich swoich niedociągnięciach, są niezwykle fascynujący. Po tym, jak stałem się... cóż. Powiedzmy tylko, że otwarto mi umysł, co wzbudziło moją niepohamowaną ciekawość tematyki dotyczącej naszych stwórców. Spędziłem całe życie, powiększając tę kolekcję, a wy jesteście jej wspaniałym zwieńczeniem. Spójrzcie tylko na siebie! Nie mogę

uwierzyć, że znalazłem was na tym pustkowiu. Razem stworzymy coś magicznego. Wierście mi!

-- N-nie -- warknął Mal, podchodząc znów do krat. -- N-nie możemy c-ci. N-nie możesz nas z-zmuszać.

Stangret posmutniał.

-- Obawiałem się, że tak powiesz. Na szczęście mam alternatywny plan. Znacie pojęcie groźby?

-- Tak -- odparł od razu Rambo. -- Pewnie, że znamy. Nam zawsze coś grozi.

-- O, doprawdy? -- Stangret wyglądał, jakby te słowa zrobiły na nim wrażenie. -- Bo ja też wiem co nieco o groźbach. Chcielibyście, żebym zademonstrował wam swoją wiedzę?

-- Tak! -- zawołał Rambo. -- Chwila. Nie. Tylko mi się wyrwało.

Stangret skinął głową w kierunku Vica.

-- Odnoszę wrażenie, że go chronicie. Rozumiem. Nie da się ukryć, że ten okaz jest... wyjątkowy. A ja potrafię docenić wyjątkowość. -- Twarz mu stężała. -- Dlatego naprawdę nie chciałbym musieć go krzywdzić. Zrobicie, co wam każę albo rozbiore go na części, kawałek po kawałku, aż nie zostanie z niego nic poza złodem. -- Uśmiechnął się szeroko, a oczy mu zalśniły. -- Całkiem udana groźba, prawda?

-- Bardzo -- przyznała siostra Ratched.

Stangret zatańczył w miejscu. Stepował i potrząsał otwartymi dłońmi uniesionymi na wysokość twarzy.

-- Wspaniale!

-- T-tylko s-spróbuj -- warknął Mal. -- D-daleko nie z-zajdziesz.

-- Tak ci się wydaje? Dobrze! Pierwszy przystanek za pięć godzin. Nie zawiedźcie mnie. Nie cierpię poczucia zawodu. Przemyślcie, w jaki sposób chcielibyście się zaprezentować przed publicz-

nością. Będę was obserwował. Wrócę, zanim zaczniemy przedstawienie. Nie próbujcie planować ucieczki pod moją nieobecność. Pamiętajcie o groźbie. -- Skłonił się nisko. -- Do zobaczenia! --
- Zniknął za drzwiami, które zamknął na klucz. Zamek szczęknął głośno.

Mal natychmiast rzucił się do krat klatki.

-- Victorze.

Chłopak uniósł głowę. Android wyglądał na zmartwionego.

-- Tak?

-- J-jesteś c-cały?

-- Mhm. Tylko mnie łupie...

-- Głupie mi się wydaje to siedzenie w klatce -- zagłuszyła go szybko siostra Ratched. -- Przecież robotów nic ani nigdzie nie może łupać. Nie czujemy bólu, prawda? -- Jednocześnie na monitorze wyświetliła napis: JESTEŚMY OBSERWOWANI.

Vic się rozejrzył. Miała rację. W suficie zamontowane były trzy kamery. Wszystkie zwrócone w stronę klatek. Musieli zachować ostrożność.

Chłopak podniósł się powoli. Strzeliło mu w kolanach. Mal wyciągnął do niego przez kraty rękę, którą po chwili wahania złapał. Android ścisnął dłoń człowieka.

-- U-uwolnię nas stąd -- powiedział cicho z twarzą odwróconą tak, by żadna kamera jej nie uchwyciła. -- O-obećuję.

-- Jak? -- szepnął Vic.

Android pokręcił głową.

-- J-jeszcze nie wiem. M-muszę prze-e-procesować dane. --
- Skrzywił się. -- To z-znaczący pomyśleć.

-- Może powinniśmy poczekać, aż skończy się przedstawienie -- zasugerował Rambo. -- Nigdy nie byłem na przedstawieniu. Ciekawe, czy jest równie fajne, jak sobie wyobrażam.

-- Ty nie masz wyobraźni -- mruknęła siostra Ratched. -- Ale racja. Powinniśmy poczekać i zobaczyć, co to za show. Być może spodoba nam się bardziej, niż myślimy. -- Odwróciła się od kamer, a jej ekran się rozjarzył. PRZYNAJMNIEJ DAJMY SOBIE CZAS NA ORIENTACJĘ W TERENIE. POTEM MOŻEMY SPALIĆ TĘ BUDE DO GOŁEJ ZIEMI. -- Jestem bardzo podekscytowana, iż znalazłam się w klatce i będą się na mnie gapić goście odwiedzający muzeum -- dodała głośniejszym głosem. -- Och tak. Bardzo podekscytowana. Odczuwam niepohamowaną radość.

Vic zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma dłoń Mala. Oblał się rumieńcem. Instynkt podpowiadał mu, żeby już puścić rękę androida. Nie zrobił tego jednak. Ścisnął ją jeszcze mocniej i trzymał kurczowo, mimo że jego własna ręka zaczynała drętwieć. Nie cofnął jej. Potrzebował teraz jasności umysłu. Musiał się skupić.

-- N-nie z-zrobimy tego -- powiedział Mal. -- O-on n-nie może nas do niczego z-zmusić.

Vic zacisnął palce. Android spuścił wzrok na własną dłoń, po czym spojrzał Vicowi w oczy z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

-- Wytrzymaj -- szepnął chłopak, choć był pewien, że Stangret wszystko słyszy. -- Dla mnie.

Mal przez długą chwilę wpatrywał się w niego, po czym skinął głową.

-- D-dla ciebie.

Puścił Vica, którego ręka jeszcze przez chwilę wisiała w powietrzu między klatkami. Potem zaczął chodzić w kółko po własnej celi, mamrocząc pod nosem, co zrobi ich ciemiejcy, jak tylko go dorwie. Sprowadzało się to do rozszarpania nieszczęśnika na strzępy.

Vic znów uważnie rozejrzał się po pomieszczeniu, chłonął każdy szczegół. Modlił się o cud. Pokój nie miał okien, więc nie

dało się stwierdzić, czy dom się porusza. Wydawało się, że tak, bo budowla mruzczała jednostajnie i lekko wibrowała. Stangret wspominał, że jedzie w kierunku Miasta Elektrycznych Snów. Jemu jednak nie można było ufać na słowo. Nawet jeśli mówił prawdę, mieli jeszcze pięć godzin, zanim... no właśnie. Zanim co? Vic nie wierzył, że do miasta da się dotrzeć w tak krótkim czasie.

U góry, przy suficie lekko kołysały się dzwoneczki, grając cichą melodię.

ROZDZIAŁ 16

Kilka godzin później dzwonki przestały się kołysać i zamilkły. Vic spojrział w górę i zmarszczył brwi. Wyglądało na to, że stanęli.

Zanim zdążył otworzyć usta, by coś powiedzieć, dom zadudnił, a podłoga się zatrzęsała. Dzwoneczki ponownie zadźwięczały.

-- Co to było? -- spytał nerwowo Rambo. -- Jesteśmy na miejscu? Nie jestem gotowy! Wiem, że mam grać odkurzacz, ale chyba nie dam rady!

-- Cicho -- syknęła siostra Ratched. -- Nasłuchuję.

-- N-nie pozwólmy, b-by nas rozdzielono -- rzucił cicho Mal. -
- B-bądźmy czu-u-jni.

Vic przełknął z trudem ślinę. Budowla nie przestawała zgrzytać i łoskotać.

-- Okej.

-- Chyba się rozszerza -- powiedziała siostra Ratched. -- Dom zmienia kształt. Jest maszyną, ale wydaje mi się, że nieożywioną.

Drzwi otworzyły się i pojawił się w nich Stangret w kapeluszu na bakier. Wyglądał, jakby wypomadał sobie wąsy. Ich elegancko podwinięte końcówki lśniły.

-- Oto i moje gwiazdy! Jesteście równie podekscytowani jak ja? Dom przygotowuje się na przyjęcie klientów. Niedługo rozpocznie się oprowadzanie. Wydaje się też, że będziemy mieli całkiem liczną publikę.

-- Gdzie jesteśmy? -- spytał Vic.

-- Ho-ho, hej-hej! -- zawołał Stangret. -- Ty mówisz! Cóż za wspaniały zbieg okoliczności. Zamierzałem powiedzieć klientom,

że masz tę zdolność. Odpowiadając na twoje pytanie: znajdujemy się w pięknym mieście Paese dei Balocchi.

-- Kraina Zabawek -- przetłumaczyła siostra Ratched.

Właściciel muzeum zaklaskał.

-- Brawo! Kraina Zabawek. Wyjątkowe miejsce, choć jego nazwa obecnie nie bardzo pasuje do tego, co tu było. Miejsce to zostało stworzone jeszcze przez ludzi. Służyło jako wysypisko śmieci, gdzie wyrzucano zabawki, które zyskały samoświadomość. Długa historia, ale w skrócie było tak: roboty dinozaury zaatakowały ludziki całą hordą, więc z wieloma innymi zabawkami zostały zesłane do Krainy Zabawek, gdzie miały być zutylizowane. -- Westchnął pokazowo. -- Biedactwa. Rozumiem jednak ludzi. Starali się chronić swoje dzieci. Kraina Zabawek została potem przebudowana. Teraz jest wspaniałym kurortem wakacyjnym. Uroczym miasteczkiem nieopodal Miasta Elektrycznych Snów. A wszyscy wiedzą, że turyści uwielbiają wydawać pieniądze! Kolejka już opasała cały dom!

-- Nie wiem, czy udźwignę ciężar tej całej uwagi -- jęknął Rambo. -- Chyba jestem nieśmiały.

-- Ależ ja kocham odkurzacze -- szepnął z uczuciem Stangret. -- Nie ma powodu do nieśmiałości -- dodał głośniejszym głosem. -- Jesteś sławną maszyną. Ludzie używali takich jak ty do sprzątania po nich bałaganu. Nigdy nie zapominaj o swoim miejscu na ziemi. Jesteś niezwykle ważny!

-- Wow -- westchnął odkurzacz. -- Już mi lepiej. Dziękuję, łaskawy panie!

Właściciel muzeum przeniósł wzrok na siostrę Ratched, która jednak już miała gotową ripostę.

-- Ze mną nie pójdziesz ci tak łatwo jak z odkurzaczem. Z takimi komplementami daleko nie zajdziesz.

-- Światła! -- wykrzyknął Stangret wesoło. W suficie pojawiły się otwory, z których wyjechały metalowe stożki. Gdy wszystkie cztery ustawiły się w odpowiedniej pozycji, rozbłysły, rzucając snopy jasnych promieni na każdą klatkę. Dodatkowa iluminacja pojawiła się w podłodze. Rozproszony ciepły blask omiótł stołki z etykietami i podkreślił eksponaty. Wszystko zajęło niecałą minutę, a sala tonęła w mglistej poświacie. Wyglądała jak we śnie.

-- O wiele lepiej -- przyznał Stangret z zadowoleniem. -- Wszyscy wyglądacie jak urodzone eksponaty. Zostawmy jednak efekty specjalne na przedstawienie. -- Wcisnął ten sam przycisk, którym uruchomił oświetlenie. Po chwili całe pomieszczenie znowu pogrążyło się w mroku. -- Gdy wprowadzę gości, macie się zachowywać naturalnie. Róbcie to, co zazwyczaj robicie. Bądźcie sobą. I pamiętajcie: nie ma małych ról, są tylko mali aktorzy.

-- Postanowiłam, że zabiorę cię na farmę -- stwierdziła siostra Ratched. -- Żyją tam wiewiórki. Poczujesz się jak u siebie.

-- Gdzie ta farma? -- spytał Rambo. -- My też możemy pojechać?

-- Oczywiście -- obiecała siostra. -- Kiedy wezmę tam Stangreta.

-- Och, naprawdę? -- spytał wąsacz. -- Nie mogę się doczekać. Do tego czasu mamy jednak klientów, których trzeba obsłużyć! Patrzcie tylko, ilu ich jest! -- Wcisnął kolejny, tym razem różowy, przycisk na przedramieniu. Tuż nad kominkiem, w którym trzaśkało płonące drewno, z otworu w ścianie wyjechały wielkie ekrany, włączyły się i ukazały dwa rzędy po pięć obrazów. Wszystkie były widokami z obiektywów kamer zawieszonych wysoko nad ziemią i skierowanych w dół.

Victor przez moment nie rozumiał, co widzi. W żadnym z kadrów nie było lasu. Zamiast niego widniała wielka pustynia ską-

pana w promieniach słońca. Wiatr wzbijał w powietrze tumany piachu, a z ziemi gdzieś wyrastały dziwaczne rośliny pokryte igłami, wyglądające trochę jak drzewa. W oddali majaczyło niewielkie miasteczko ukryte między wydrami. Budynki były niskie i przysadziste, zbudowane z cegły suszonej w słońcu. Vic czytał kiedyś o tym materiale, ale nigdy nie widział go na własne oczy. Nigdzie nie było śniegu ani nawet śladu po nim. Gdzie się podziała zima?

To nie miało znaczenia. Najważniejsze było to, co działo się przed domem. Stały tam dziesiątki postaci, dokładnie tak, jak mówił Stangret. Kolejka zawijała się za rogiem i ciągnęła się w kierunku miasteczka.

Serce Vica zabiło szybciej, gdy przyjrzał się czekającym. Na pierwszy rzut oka wszyscy wyglądali jak ludzie, tacy z krwi i kości. Szybko jednak wrażenie minęło.

To były istoty przypominające tych gładkich, bezwłosych mężczyzn, którzy spalili mu dom. Niektórzy mieli uszy, inni nie. Większość o głowach porośniętych włosami, choć gdy się lepiej przyjrzał, włosy okazywały się perukami. Mieli wyszukane i skomplikowane fryzury, z wpiętymi wstążkami i kokardami. Nie wszyscy czekający byli człekokształtni. W kolejce stał też czarny sześciąt wielkości głazu narzutowego. Na przedniej ścianie miał rząd migających światełek. Niektóre maszyny stały na kołach i gąsienicach, inne unosiły się nad ziemią, otoczone tumanami wzbitego w powietrze piachu i pyłu. Część stanowiły zabawki, choć w mniejszości. Vic wzdrygnął się, gdy pokryta łuską jaszczuropolobna bestia podniosła głowę i ryknęła donośnie. Dźwięk brzmiał metalicznie. Czy to jeden z tych dinozaurów-robotów, które pożarły ludzkie dzieci?

Dzieci. Tak, one też tam były.

Gdzieś w kolejce dostrzegł niskie maszyny, wyglądające jak lalki. Patrzyły przed siebie pustym wzrokiem. Co najmniej dziesięć. Wszystkie się od siebie różniły. Jedna miała wściekle czerwone piegi. Inna nosiła okulary. Jeszcze innej brakowało dwóch zębów na przodzie. Stała z otwartymi ustami, ziejąc czarną dziurą w miejscu ust. Mimo wszystkiego, czego nauczył go ojciec, Vic nie spodziewał się istnienia maszyn stworzonych na podobieństwo ludzkich dzieci. Jakże mogło być ich przeznaczenie?

Dlaczego ktoś postanowił nadać im taki wygląd? Pozostały dziećmi na wieki. Nie starzały się. Na ich widok chłopaka przeszły ciarki.

-- Widzicie? -- odezwał się Stangret. -- Bardzo ekscytujące. Całe miasto będzie o nas mówić. Pamiętajcie: róbcie to, do czego was zaprogramowano, a wszystko będzie dobrze. -- Wrócił do drzwi i zatrzymał się, kładąc rękę na klamce. -- Aha, a jeśli zobaczę, że narażacie na szwank mnie, mój dom lub moją kolekcję, poniesiecie surowe konsekwencje. Znam co najmniej trzy maszyny, które potrafią sprawić, że nawet kupa złomu poczuje ból. Pomyślcie o tym. To pierwszy dzień reszty waszego życia. Więc bawcie się dobrze! -- Obrzucił ich wzrokiem, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Po chwili zobaczyli go na ekranie. Stał na ganku domu, szeroko się uśmiechając. Uniósł ręce i z rękawów wystrzeliły mu kolorowe wstążki.

-- Witajcie! -- zawołał. Głośniki zniekształcały jego głos. -- Witajcie, witajcie! Jak miło widzieć wasze twarze, choć nie wszyscy twarze posiadacie! Macie wielkie szczęście, bo przed wami przygoda, którą będziecie wspominać latami! -- Skłonił się. -- Zwą mnie Stangretem. Jestem najznamienitszym kolekcjonerem wszystkiego, co wiąże się z ludzkością. Chociaż może wam się wy-

dawać, że stoicie przed zwykłym domem, to w rzeczywistości jest wehikuł czasu, który przeniesie was w zamierzchną przeszłość, kiedy po ziemi stąpali ludzie! Oto przed wami... Stangreta Muzeum Ciekawostek i Pamiątek po Ludzkości!

-- Dlaczego mówi o ludziach w czasie przeszłym? -- spytała siostra Ratched. Z dachu na froncie budynku rozwinęły się długie proporce. Zielone, czerwone i żółte balony opadły na otaczający go piach. Jeden z nich -- zielony -- odbił się od głowy bezzębnego dziecka. Chłopiec nie zareagował. Patrzył jedynie przed siebie, otwierając i zamykając usta.

-- Przyjaciele -- ciągnął Stangret. -- Po przytłumionym świetle w waszych oczach widzę, że jesteście niezwykle podekscytowani. I świetnie, doskonale! Muszę was jednak ostrzec: kiedy wejdziecie do tego domu, nic już nie będzie takie samo. Wasze postrzeganie świata zmieni się radykalnie i nieodwracalnie. Być może zaczniecie kwestionować wszystko, czego was uczono. Hej tam! Właśnie tak, mówię do dżentelmena bez oka. Jest pan pierwszy w kolejce. Ależ spotkał pana zaszczyt! Należy jedynie uiścić opłatę. Nie cierpię rozmawiać o pieniądzach, ale prowadzenie tego biznesu nie jest tanie, więc sami rozumiecie. Tak, dobrze. O, tak. Wszyscy dostaną swoją szansę, ale dopiero po wniesieniu opłaty.



Stangret otworzył drzwi do sali, w której trzymał Vica i jego przyjaciół.

-- ...owszem, ludzkie gusta bywały różnorakie i dlatego obraz przedstawiający psy grające w karty i palące cygara uważano wtedy za sztukę, choć dzisiaj trudno zrozumieć dlaczego. -- Szybko omiół wzrokiem Mala, Vica, siostrę Ratched i Rambo. Ten ostatni pomachał mu przez kraty. -- Każda próba zrozumienia ludzkości jest skazana na niepowodzenie, bo na przykład, zamiast iść do

specjalisty w dziedzinie medycyny, niektóre ludzkie pary wypełniały kartonowe rakiety podartym papierem. Następnie wysadzały te rakiety w powietrze. Jeśli papier uwolniony po eksplozji był niebieski, to oznaczało ciężę i narodziny dziecka. Jeśli różowy... też urodzić się miał mały człowiek. Niepojęte.

Roboty tłoczące się za Stangretem milczały. Jedyne dźwięki, jakie dochodziły, to szum silowników odpowiedzialnych za kręcenie głowami wśród tych, które mogły poszczycić się posiadaniem tej części ciała. Jedna z maszyn -- humanoidalna istota o palcach dwukrotnie dłuższych od palców Vica -- wydała z siebie krótki sygnał, a potem zazgrzytały jakieś jej wewnętrzne części.

Stangret oprowadzał grupę po sali. Zatrzymywał się przed różnymi eksponatami, przy każdym opowiadał krótką historyjkę. Ciągnął swoją monotonną opowieść, a roboty wyglądały tak, jakby słuchały go z uwagą. Żaden nie przerwał wywodu przewodnika. Nie było pytań. Gdy zwiedzający dotarli do karoserii samochodu, właściciel muzeum zaproponował, aby weszli do kabiny i zrobili sobie zdjęcie. Nikt nie skorzystał z oferty.

Piętnaście minut po rozpoczęciu pierwszej tury oprowadzania ani jeden robot nie wypowiedział nawet słowa. Stangret zaczął wyglądać na nieco przybitego. Spojrzał przez ramię w kierunku klatek.

Skinął głową, po czym oznajmił:

-- Najlepsze zostawiłem na sam koniec. Przygotujcie swoje procesory na widok, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyliście! Pokażę wam cztery maszyny tak oszałamiające, że gdybyście mieli płuca, zabrakłoby wam tchu!

Zapalił się reflektor nad klatką siostry Ratched. Promień był tak jasny, że Vic musiał odwrócić wzrok.

Stangret zawirował i stanął przed klatką z rozpostartymi ramionami.

-- Podziwiajcie! Oto Robot Autonomiczny do Terapii, Całodobowej Hospitalizacji, Edukacji oraz Dorzynania. W skrócie siostra Ratched. Ta cudowna maszyna pracowała w ludzkim szpitalu, udzielając porad medycznych i opiekując się schorowanymi pacjentami. Sostro Ratched, proszę, zaprezentuj gościom, do czego jesteście zdolna.

-- Oczywiście -- przytaknęła pielęgniarka. -- Stangrecie, nadzedł czas na twoje coroczne badanie. Zdejmij odzienie, a ja przygotuję kolonoskopię. Czy przepelnia cię teraz ekscytacja? Tak mi się wydaje.

-- Widzicie? -- zawołał mężczyzna. -- Widzicie?! Zaprawdę cudowna, czyż nie?!

-- Wcale nie. Jestem praktyczna. Zaaplikuję ci czopek.

-- A to -- ciągnął Stangret, przechodząc do klatki Rambo - - może wygląda jak niepozorna maszyna, ale, jak często powtarzali ludzie posiadający penisy, nie liczy się wielkość, tylko technika! Oto przed wami... odkurzacz! Jego przeznaczeniem było sprzątnięcie podłóg w ludzkich domach poprzez zasysanie brudu i kurzu. Obserwujcie! -- Stangret sięgnął za pazuchę i wyciągnął skórzany woreczek. Wsunął rękę do klatki Rambo i rozsypał odrobinę piasku po podłodze.

-- Bez problemu poradzę sobie z tym brudem! -- wykrzyknął Rambo, szarżując na kopczyk. -- Ojej, jak łaskocze.

Przewodnik zaczął energicznie klaskać. Po chwili przestał, gdy zorientował się, że nikt inny nie dołączył do owacji. Podeszedł do klatki Vica, wykrzywiając usta w grymasie niezadowolenia.

-- Zrób coś, co im zaimponuje! -- syknął. -- Tracą zainteresowanie! -- Potem zawołał: -- A tutaj trzymamy największą tajem-

nicę techniki! To maszyna inna niż wszystkie! Mogą się wam ci-
snąć na usta okrzyki przerażenia, ale upraszam was, zachowajcie
zimną krew. Nie chcemy rozwścieczyć tego okazu. Przed wami...
Szokująco Szpetny, Smętny Stwór Stangreta!

Światło nad Vikiem rozbłysło. Chłopak skulił się w sobie, gdy
zwiedzający otoczyli jego celę. Nikt się nie odezwał. Słyszał cichy
szum maszynerii w ciałach gości. Bezzębne dziecko przycisnęło
twarz do krat i obrzuciło go zimnym, pustym wzrokiem.

-- Pomóż nam -- szepnął do niego Vic, kiedy Stangret ciągnął
sвій wywód na temat okrucieństwa i okropnego gustu stwórcy
Victora, ale przede wszystkim niespotykanej szpetoty młodzieńca.
-- Proszę. Jesteśmy tu wbrew swojej woli.

Dziecko otworzyło usta bardzo szeroko. Jednocześnie przewró-
ciło oczami tak, że widoczne pozostały jedynie białka. Nie miało
języka.

Vic wzdrygnął się i cofnął gwałtownie. Przestraszony uderzył
plecami o kraty.

-- V-Vic? -- Pytanie padło ze strony Mała. -- C-co ty robisz...?

-- On mówi! -- krzyknął zdesperowany Stangret. Doskoczył do
klatki Mała i włączył ostatni reflektor. -- Na koniec zostawiłem
jeszcze ciekawszy egzemplarz. Najgroźniejszą maszynę w mojej
kolekcji. To potwór tak przerażający, że nawet najbardziej nie-
wzruszone roboty drżą przed nim ze strachu. Spójrzcie tylko na te
drewniane elementy! Na tę groźną minę! I na te dłonie! Takimi
dłońmi mógłby owinąć moją szyję i mnie zadusić, gdybym tylko
dał mu taką możliwość.

-- P-przekonajmy się -- syknął Mał.

Roboty przechodziły w stronę androida, otaczając także Stan-
greta. Przez chwilę nic się nie działo. Wszystkie stały w bezruchu,

podczas gdy Mal krążył po celi, nie spuszczać oczu z kolekcjo-
nera.

Wtedy dziecko -- chłopiec bez zębów i języka -- zaczęło jęczeć. Wydało z siebie niski, gardłowy pomruk, który miał swój początek głęboko w brzuchu. Maszyna tuż za nim -- mężczyzna bez oka -
- dołączyła do dziecka. Jej głos był wyższy. Harmonizował z jękiem malca. Pudełkowaty robot zatrzęsł się, a jego diody zamrugały czerwienią.

Wszystko przez Malą.

Stangret zmarszczył czoło.

-- Co to ma znaczyć? Co tu się wyrabia?

Chłopiec zrobił krok wstecz i wpadł na czarny sześcian. Podskoczył jak oparzony i przewrócił się na plecy, uderzając w ziemię z łoskotem. Przez całe jego ciało przeszedł potężny dreszcz -- rozpoczął się od stóp, powędrował przez kolana, uda, klatkę piersiową i barki, aż do głowy. Potem w powietrze wzbily się ręce. Palce wyprostowały się i zgięły.

Dłonie obróciły się o sto osiemdziesiąt stopni i lupnęły w podłogę. Dziecko odepchnęło się od podłoża, stojąc na czworakach, brzuchem do góry. Głowa zwisała mu bezwładnie pomiędzy barkami. Następnie ruszyło w stronę drzwi w zastraszającym tempie. Jak insekt.

Zanim zniknęło w korytarzu, jego śladem rzuciły się pozostałe maszyny. Stangret usiłował je powstrzymać, ale te zaczęły go odpychać. Odbijał się od uciekających, obracał wokół własnej osi i zataczał. Prawie spadł mu z głowy cylinder.

Po chwili udało mu się złapać równowagę. Na twarzy pojawił mu się wyraz kompletnego zaskoczenia.

-- Dokąd idziecie? Jeszcze nie skończyłem oprowadzania!

Roboty nie słuchały. Nie patrząc za siebie, wybiegły z sali. Stangret odwrócił się na pięcie i spiorunował Mała wzrokiem.

-- Coś ty zrobił?!

Android splótł ręce na piersi.

-- N-nic.

-- Mówi prawdę -- wtrąciła siostra Ratched. -- Jedynym, który cokolwiek zrobił, był Rambo. Tylko dlatego, że go zmusiłeś.

-- Możesz w każdej chwili wysypywać na mnie brudy -- oświadczył Rambo.

Stangret zignorował obydwójce. Skupił się na Malu. Vic był gotów przysiąc, że słyszy obracające się w głowie mężczyzny zębatki.

Gdzieś z głębi domu zabrzmiał głośny alarm. Gospodarz wybałuszył oczy.

-- Tylko nie teraz... To najgorszy moment na pojawienie się Władzy. -- Ponownie wbił wzrok w Mała i wycelował w niego palec. -- A z tobą jeszcze sobie porozmawiam. Nie wiem, czym jesteś, ale...

-- Władza -- szepnął Vic.

-- Jeśli ktokolwiek odkryje, że istniejesz... Jeśli dowie się o tobie Władza, nie cofnie się przed niczym, żeby cię zabić. -- Kapełusznik nie przestawał mówić. -- Przeczuwałem, że nie powinienem wracać do miasta. Nawet nie sprawdziłem, czy macie dokumenty! Macie? No jasne, że nie. Naprawdę, w dzisiejszych czasach tak trudno o odpowiedzialnych pracowników. Ech, ta Władza. Paskudne typy. Nie doceniają wartości historycznej mojej kolekcji. Chcieliby zniszczyć wszystkie eksponaty i zapomnieć, że kiedykolwiek istniały. W ogóle nie cenią zabytków!

-- Czy to wieloryb? -- spytał ze strachem Vic.

Stangret powoli odwrócił głowę w stronę chłopaka.

-- Wieloryb? Mówisz o Straszliwym Żarłaczku? Na szczęście nie. Tylko zwykła inspekcja. Grube ryby nie bawią się w takie drobności.

-- Może mógłbyś nas po prostu wypuścić -- zaproponował Rambo.

Wąsacz pokręcił głową.

-- Widzieli dom. Na to już za późno. -- Podbiegł do drzwi. -
- Hacjendo! Aktywuj protokół maskujący. Hasło: "To nie są dro-
idy, których szukacie".

Z wnętrza budowli dobiegł dźwięk gongu, a potem ogłuszający zgrzyt. Rambo zakwilił, gdy podłoga otworzyła się i pochłonęła całą kolekcję muzealną. Z sufitu zjechały ściany pokryte tapetą w kwieciste wzory i drewnianą boazerią. Zasłoniły wypełnione eksponatami regały. Plastikowi ludzie zanurkowali pod podłogę, powiewając ekstrawagancką odzieżą. Zniknął też samochód oraz wszystkie bibeloty.

Ekran nad kominkiem schował się za ścianą, zasłonięty przez parawan. Ogień nadal wesoło migotał w palenisku.

Vic się zachwiał. Całe pomieszczenie drżało w posadach. Złapał za kraty. Na sekundę zaparło mu dech, a żołądek podjechał do gardła. Cała jego cęła gwałtownie opadła pod podłogę. Lot był krótki, a lądowanie twarde. Po krótkiej chwili zleciała też klatka Mala, a potem siostry Ratched i Rambo. Zanim strop się nad nimi zamknął, zostawiając w kompletnej ciemności, Stangret rzucił jeszcze:

-- Ani słowa. Wierście mi: nie chcecie, żeby znalazła was Władza.

Podłoga zamknęła się nad ich głowami. Mimo głośnego huku Vic usłyszał jeszcze zatraskujące się za Stangretem drzwi.

-- Świetnie -- mruknął Rambo. -- Teraz nie dość, że jesteśmy uwięzieni, to na dodatek w ciemności. Czy ktoś jeszcze zaczyna podejrzewać, że ten Stangret ma nie po kolei w głowie?

-- V-Vic? -- szepnął Mal.

-- Tutaj -- odparł młody Lawson. Głos mu się załamał. Spróbował ponownie. -- Jestem tutaj. -- Wyciągnął rękę przez kraty. Zadrżał, kiedy coś otarło się o jego palce. Mal jednak złapał go za dłoń i uścisnął. Nie puścił.

-- Czas narozrabiać -- powiedziała siostra Ratched. Vic słyszał, jak otwiera się jeden z paneli w jej obudowie i wysuwa się macka. Ten dźwięk znał równie dobrze jak bicie własnego serca. -- Szukam. Szukam. Chcielibyście usłyszeć ciekawostkę? Delfiny śpią z otwartym jednym okiem. Szukam. Szukam. Ach, tu jesteś. Wiedziałam, że musi tu gdzieś być gniazdo.

Ekran siostry rozbłysł śnieżnobiałym, oślepiającym światłem. Vic odwrócił głowę. Mal w dalszym ciągu nie puszczał jego ręki.

-- Wsunęłaś mackę w gniazdo tego domu? -- spytał Rambo. -
- Oj, niedobrze. A co, jeśli spróbuje zrobić ci krzywdę?

-- Nie spróbuje -- odparła pielęgniarzka. -- Nie przełamuję jego zabezpieczeń. Chcę tylko znaleźć... o, już. -- Biel na monitorze zastąpiły dwa rzędy pięciu obrazów. Był to widok z kamer rozmieszczonych dookoła budynku.

Na środkowym górnym ekranie zobaczyli Stangreta. Stał na ganku, właśnie wygładzał swój płaszcz i podkrecał wąs. Czwórka więźniów patrzyła, jak unosi rękę, witając kogoś poza kadrem.

-- Hej-hej, ho-ho! -- zawołał. -- Witam! W czym mogę pomóc?
-- Zszedł po schodach i stanął na piaszczystej ziemi.

-- M-musimy stąd u-uciekać -- powiedział Mal. -- M-mogę chyba w-wyłamać kraty. B-będziemy biec, ile sił w n-n...

Zamilkł.

Świat się zatrzymał.

Na ekranie pojawiły się cztery osoby. Stały naprzeciwko Stangreta. Trzy z nich były bezwłosymi mężczyznami w strojach przypominających te noszone przez androidy z wieloryba. Vic ze swojego miejsca nie widział, czy to ci sami funkcjonariusze, czy identyczne modele. Wyglądali tak samo.

Jednak to czwarta osoba przykuła jego uwagę. To ten ostatni przybysz sprawił, że Malowi zabrakło słów.

Bo w kadrze pojawił się właśnie on.

Oczywiście dało się dostrzec różnice. Mal na ekranie zachowywał się pewniej. Każdy jego krok był perfekcyjnie odmierzony, równy. Stał naprężony jak struna. Jego skóra i kończyny nie miały uszkodzeń.

Ani śladu po drewnianych elementach. Na klapie płaszcza wyszyty okrąg z wpisanym wewnątrz herbem przedstawiającym lisa i kota. Gładczy mężczyźni wyglądali, jakby wykonywali jego polecenia. Kiedy się odezwał, zrobił to bez zająknięcia.

-- Ty -- rzucił oschle klon Mala. -- Wylegitymuj się.

-- Oczywiście -- zawołał radośnie Stangret. -- Jak to wspaniale widzieć przedstawicieli Władzy. Minęło sporo czasu, odkąd... chwileczkę. Czy ja pana skądś nie znam? Wygląda mi pan jakoś znajomo...

-- Wylegitymuj się.

-- Tak, już-już. -- Stangret klepnął się w ramię i wyciągnął w kierunku Mala rękę. Nad dłonią wyświetlił się holograficzny kod kreskowy. Jeden z gładkich mężczyzn podszedł i przeskanował oznaczenie, oświetlając je laserem zamontowanym na czubku palca. -- Piękny mamy dzień, nieprawdaż? Zupełnie niezimowy. Choć na pustyni rzadko kiedy zima daje się we znaki.

-- Czy to Mal? -- wyrwało się Rambo. -- To ich jest dwóch?

-- Nie. Niemal Mal. Nie-Mal. MARL -- odpowiedziała siostra Ratched.

Mal jęknął, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch. Vic nie mógł zrobić nic, więc tylko ścisnął mocniej jego dłoń.

-- Stangret -- powiedział beznamiętnie gładki. -- Zarejestrowany. Brak wykroczeń.

-- Oczywiście -- odparł właściciel muzeum, gasząc kod kreskowy. -- Szanuję prawo i jego przepisy. Nigdy w życiu nawet przez myśl by mi nie przeszło, żeby je łamać. Nawet myślenie o myśleniu o łamaniu...

-- Jesteś tu sam? -- spytał Nie-Mal. -- Czy w budynku przebywa ktoś jeszcze?

Stangret się zaśmiał.

-- Tylko ja. Nigdy nie dogadywałem się z innymi. Cenię sobie prywatność.

-- Jakie jest twoje przeznaczenie?

-- Och, cóż. Od czego by tu zacząć? Odkąd zostałem stworzony, przemierzałem nasz wielki kraj, pokazując maszynom świat magii i tajemnic. Podróżując tak...

-- Twoje przeznaczenie -- warknął Nie-Mal.

Stangret roześmiał się ponownie.

-- Wspaniałe pytanie. Cóż jest naszym celem? Co robimy na tym świecie? Wielcy filozofowie twierdzą, że...

-- Mówisz i mówisz -- przerwał Nie-Mal -- ale nic z tego nie wynika.

-- To mój dar -- przytaknął Stangret. -- Albo raczej moja klątwa. Gdybyś powiedział, czego szukacie, może mógłbym pomóc.

-- Ludzi -- odparł Nie-Mal. -- Szukamy ludzi.

-- Ludzi! -- parsknął Stangret. Pokręcił głową. -- Nie rozumiem, przecież...

Nie-Mał uniósł rękę i Stangret zamilkł. Funkcjonariusz omiótł wzrokiem dom.

-- Podam ci oznaczenie. Powiesz, czy słyszałeś o nim wcześniej.

-- Spojrzał wprost na rozmówcę. -- Zrozumiano?

-- Tak jest! Oczywiście.

-- GIO, znany jako Główny Innowator Operacyjny.

Vic zamarł.

-- Główny Innowator Operacyjny -- mruknął Stangret. -- Całkiem wyszukana nazwa. Nie przypominam sobie. Kto to taki?

-- Jesteś pewien? -- Nie-Mał przeniósł wzrok z powrotem na dom, po czym skupił go znowu na jego gospodarzu.

-- Tak, całkowicie. Zapamiętałbym takie oznaczenie. Jest niezaprzeczalnie... wyjątkowe.

-- Odsuń się -- rzucił oficjel. -- Twoje domostwo zostanie poddane inspekcji zgodnie z dyrektywą Władzy.

-- Inspekcji? Zapewniam, że nie ma tam niczego, co zainteresowałoby Władzę. Z pewnością mają panowie ważniejsze rzeczy do roboty.

-- Odmawiasz? -- spytał Nie-Mał zimno.

-- Gdzie tam. A skąd -- zapewnił szybko Stangret. -- W życiu nawet bym o tym nie pomyślał! Zapraszam, zapraszam. Wejdźcie do środka. Nie mam niczego do ukrycia. -- Odwrócił się i na ułamek sekundy spojrzął w oko kamery z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Nie-Mał i gładcy ruszyli za nim.

-- O nie -- szepnął Rambo.

-- Siostró Ratched -- jęknął Vic z paniką w głosie. -- Wyłącz ekran, zanim zobaczą światło!

-- Dobrze, Victorze -- odparła pielęgniarka, wygaszając monitor.

Przed oczami chłopaka zatańczyły powidoki.

-- Ani słowa -- szepnął Vic. -- Rambo, nic nie mów.

-- Jasna sprawa Vic! -- krzyknął odkurzacz. -- Nie usłyszą ode mnie pół piśnięcia, nawet jeśli...

-- Cisza! -- zgromiła go siostra. Rambo zamilkł.

Piętro wyżej otworzyły się drzwi. Słysząc było przytłumione głosy. Stangret paplał, a Nie-Mal odpowiadał półsłówkami. Podłoga skrzypiała, kiedy przemieszczali się po pokoju. Po piersi Vica spłynęła strużka potu. Serce waliło mu jak oszalałe. Kolekcjoner roześmiał się po raz kolejny, ale dźwięk wydawał się wymuszony. Dało się w nim wyczuć nutkę strachu. Nie-Mal powiedział coś jeszcze, na co właściciel domu odrzekł głośno:

-- Oczywiście, że to jedyne pomieszczenie!

Cała inspekcja trwała może pięć minut, ale chłopakowi czas płynął w żółwym tempie. Wydawało mu się, że mijają godziny, dni, a nawet tygodnie. Gdy Stangret odprowadził Nie-Mala oraz gładkich funkcjonariuszy do drzwi, chłopakowi zbierało się na wymioty. W głowie mu szumiało. Słyszał bzyczenie, jakby otaczało go stado wściekłych os. Monitor siostry Ratched uruchomił się kolejny raz, wyświetlając ten sam obraz. Przedstawiciele Władzy stali przed budynkiem, a Stangret na ganku.

-- Sami panowie widzieliście, dom jak dom. Nic więcej. Dokładnie tak, jak mówiłem. Jeśli to wszystko, trochę mi się śpieszy...

-- Gdybyś podczas swoich podróży natknął się na człowieka, powiedziałbyś nam o tym, prawda? -- spytał Nie-Mal.

-- Oczywiście oczywistość, panie władzo! -- odparł kolekcjoner. -- Natychmiast bym was wezwał i przekazał sprawy w wasze ręce. Przecież właśnie po to zostaliście stworzeni, nieprawdaż? Choć zdaje się, że ostatnimi czasy nie mieliście zbyt dużo roboty.

-- Znów ta sama gadka -- mruknęła siostra Ratched, jakby mówiła do siebie. -- Dlaczego mówią o ludziach, jakby ich już nie było?

Nie-Mał podniósł głowę.

-- Adaptujemy się. Inspekcja dobiegła końca. Lokalizacja twojego domostwa została zarejestrowana.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Głacy nie odstępowali go na krok. Stangret stał na werandzie i odprowadzał ich wzrokiem. Po jakimś czasie zwrócił się w stronę domu i poklepał go z uczuciem po ścianie.

-- Było blisko, stara przyjaciółko. Za blisko. Musimy... -- Uniósł głowę i spojrzał bezpośrednio w obiektyw. Na jego ustach majaczyło coś w rodzaju uśmiechu.

-- Nie powiedział im, że tu jesteśmy -- stwierdziła siostra Ratched, kiedy Stangret zniknął za drzwiami. -- Dlaczego?

Vic pokręcił głową.

-- Sam nie wiem.

-- Może nas lubi -- wtrącił Rambo. -- Jesteśmy bardzo sympatyczni. -- Przerwał na chwilę, po czym dodał: -- Czy Mał ma złego brata bliźniaka? Niemal Mała. Zawsze chciałem mieć złego brata bliźniaka.

-- Mał? -- spytał Vic.

Android nie odpowiedział. Wpatrywał się dalej w ekran. Vic zacisnął palce na jego dłoni. Mał obrócił głowę.

-- W porządku?

-- T-to byłem ja.

-- Nie -- odparł Vic. -- Nieprawda. Ty jesteś tobą. On tylko wyglądał jak ty. Nie był tobą. Ty jesteś tutaj. Z nami.

Mał spuścił wzrok. Spojrzał na ich złączone dłonie. -- N-nie rozumiem.

-- Wolimy ciebie od złego brata bliźniaka -- wytłumaczyła siostra Ratched. -- Ciebie tolerujemy. Jego nie.

-- Bardzo cię tolerujemy -- dodał Rambo. -- Prawie tak bardzo jak Vica i siostrę Ratched.

Zanim Vic zdołał otworzyć usta, otworzyły się drzwi i pojawił się w nich Stangret.

-- Hacjendo! Uruchom program powrotu do normalności!

Tymi słowami znów wprawił podłogę w ruch. Pojawiło się też światło. Vic puścił rękę Mala, gdy ich klatki zatrzęsły się mocno i uniosły ku górze. Dookoła nich cała kolekcja wróciła na swoje miejsce. Mechanizm windy, która wynosiła ich klatki na wyższe piętro, zgrzytał i jęczał. W ciemnych zakątkach pomieszczenia pojawiały się pióropusze iskier. W końcu maszynaria się zatrzymała, a podłoga pod ich stopami zasunęła z powrotem.

Pośrodku sali, dzierżąc robotyczne ramię w jednej ręce, a drugą zaciskając w pięść, stał Stangret. Uniósł oręż nad głowę i zawył:

-- W imię ludzkości!

Po czym rzucił się do ataku.

ROZDZIAŁ 17

W każdym razie podjął próbę ataku. Wsadził chwytak przez kraty klatki Mala i zaczął go nim okładać. Po sekundzie android wyrwał mu broń i cisnął nią o ziemię.

Zanim Stangret zareagował na taki obrót spraw, Mal skoczył naprzód i sięgając przez grube pręty, oplótł palcami szyję gospodarza i uniósł go w powietrze. Stangret wierzgał nogami i tłukł w trzymającą go rękę. Bez skutku.

-- Nie wolno ci dotknąć moich rzeczy! -- darł się.

-- Nie ruszymy twojej kolekcji -- zapewniła siostra Ratched.

Kolekcjoner przestał się ciskać. Spuścił ręce wzdłuż ciała. Jego stopy wisiały dziesięć centymetrów nad ziemią.

-- To jest przecież MARL. Jego oprogramowanie każe mu niszczyć ludzkość, a także całą jej własność. Budowałem tę kolekcję latami. Nie pozwolę ci zniszczyć mojego sedesu! Tak bardzo go kocham...

-- On nic nie zniszczy -- zauważył Vic. -- To nie jest MARL. To Mal.

-- Marionetka Agresywno-Lekceważąca -- szepnął Stangret. Wykrzywił się, gdy palce androida wbiły się w jego skórę. -- Dobra. Możesz mnie już postawić na ziemi? Wolałbym zachować szyję w całości, jeśli łaska.

Mal zrobił coś zupełnie innego. Gwałtownie przyciągnął niechętnika do siebie, wciskając jego twarz między kraty.

-- N-nie jesteśmy tu w-więźniami.

Stangret desperacko próbował odepchnąć się od klatki.

-- Tak jest! Co tylko chcesz! Wynikło drobne nieporozumienie!

-- W-wypuść nas.

-- Dlaczego? Żebyście mogli mnie zabić? Nie ma mowy...

Mal zaczął tłuc nim o metalowe pręty, wprawiając całą klatkę w drgania.

-- Z-zabije cię, j-jeśli tego nie z-zrobisz. Masz t-trzy sekundy. Dwie. Jedną. Z-zobaczmy, jak m-mocno m-masz przytwierdzoną g-głowę.

-- Dobra, dobra! -- wykrzyknął wąsacz. Szybko uniósł rękę i na oślep wcisnął przycisk na panelu wmontowanym w przedramię.

Drzwi klatek się otworzyły. Siostra Ratched wyjechała pierwsza. Po niej Rambo, który natychmiast zabrał się za wciąganie piasku z podłogi. Sprzątał w najlepsze, wesoło przy tym podśpiewując.

Vic również wydostał się z celi. Szedł ostrożnie, niepewnie, bojąc się jakiejś pułapki.

-- Mal, puść go.

-- Ch-chciał mnie u-uderzyć -- poskarżył się android. -- R-robotycznym r-ramieniem.

-- Możemy wsadzić go do klatki -- zasugerowała pielęgniarka. -
- Na wszelki wypadek będziemy jednak musieli odciąć mu rękę. To ona steruje domem. -- Otworzył się panel po prawej stronie jej obudowy i z wnętrza wysunęła się wirująca piła. -- Posiadam certyfikaty, by wykonać tę operację. Uruchamiam Program Empatyczny. Już dobrze. Poboli tylko przez chwilę. Kto jest dzielnym pacjentem? No kto? Ty! Dzielny pacjent!

-- Błagam, nie -- zaskowyczał Stangret. -- Tylko nie to! Korzystam z tej ręki!

-- Żadnego piłowania -- uciął temat Vic. -- Siostrzo Ratched, proszę, schowaj pilę. Mal, proszę, puść Stangreta. A ty, Stangrecie, jeśli spróbujesz jakichś sztuczek, będzie po tobie.

-- I jeszcze Rambo! -- krzyknął odkurzacz.

Mal zacisnął mocniej palce, zanim puścił ofiarę. Stangret runął na ziemię i natychmiast zaczął się odczołgiwać. Robot ruszył za nim.

-- Jak...? -- Pokręcił głową. -- To niemożliwe. Jakim cudem udaje ci się przełamać własne oprogramowanie? Nigdy wcześniej nie widziałem takiego zachowania u MARL-a. Wiedziałem, że wyglądasz znajomo. Mimo tego całego drewna. Jakim cudem?

-- Jestem inny -- powiedział Mal. -- J-jestem sobą. J-jestem z nimi.

-- Tak jest! -- Rambo zatańczył, wymachując wysięgnikami. -
- Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Mal by nigdy, przenigdy nie skrzywdził Vica!

Stangret znieruchomiał. Kiedy odezwał się ponownie, głos miał spokojny i opanowany.

-- Dlaczego Vicowi miałyby grozić coś ze strony MARL-a?

-- Skłamałeś -- przerwała mu pielęgniarka. -- Kiedy spytali cię o Giovanniego Lawsona. Subtelne kłamstwo, ale przede mną nic się nie ukryje. Dlaczego? Skąd znasz Gio?

Stangret nie spuszczał Vica z oczu.

-- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Giovanni? Nigdy nie słyszałem takiego imienia.

-- Kłamie -- zawyrokowała Ratched. -- Wnioskuje o zgodę na dorzynanie. -- Wysunęła mackę zakończoną wiertłem. Przytknęła do wirującej piły i wskrzesiła snop iskier. Zaczęła powoli jechać w kierunku Stangreta, który wdrapał się na fotel i próbował osłonić rękami.

-- Hacjendo! -- krzyknął. -- Przygotuj elektrowstrząsy!

Dom zaczął dudnić.

-- Zaczekaj -- rzucił Vic, zanim siostra dojechała do gospodarza. -- Przestań. Nie zrobimy ci krzywdy, jeśli ty nas nie skrzywdzisz.

-- Powiedz to swoim kompanom -- burknął właściciel muzeum. -- Nawet odkurzacz wygląda, jakby chciał mnie zaskubać na śmierć.

-- Bo tak jest -- warknął groźnie Rambo. -- Wyskubałbym ci oczy!

-- Nie -- dodał szybko Vic, gromiąc przyjaciół wzrokiem. Odsunęli się o krok. Siostra cofnęła macki. Mal nie wyglądał na zadowolonego, ale Vic wiedział, że takie były jego ustawienia fabryczne. Kiedy upewnił się, że nikt nie rzuci się na Stangreta, znowu zapytał: -- Znasz go? Nie kłam.

Mężczyzna zmarszczył czoło i odchylił się w fotelu.

-- Giovanniego? -- Złożył palce w piramidkę tuż pod brodą i powiódł wzrokiem po wszystkich. -- Być może. Nie mogę przecież pamiętać nazw wszystkich maszyn, które spotykam podczas moich podróży. Co ci do tego?

Vic z trudem przełknął ślinę.

-- Nazywam się Victor Lawson. Giovanni Lawson jest moim ojcem.

Stangret wybuchł śmiechem.

-- Ojcem! A to dobre! Głuptas z ciebie. Giovanni stworzył wiele rzeczy i był mistrzem w swoim fachu. Nigdy nie zrobiłby czegoś tak odrażającego jak ty. Naprawdę mam w to uwierzyć? Niedorzeczność. -- Parsknął i dodał: -- Poza tym on już przestał tworzyć maszyny.

-- Ja nie jestem maszyną -- powiedział Vic.

Stangret zaśmiał się znowu, tylko krótko. Przeniósł wzrok z Mala na siostrę Ratched, potem na Rambo i z powrotem na Vica.

-- Naprawdę miałbym uwierzyć w coś tak... Kto jak kto, ale ja od razu poznałbym, gdybyś był... -- Przez jego twarz przemknął dziwny tik, jak gdyby krótkie spięcie. Powoli wstał z fotela i zrobił krok w kierunku chłopaka. Mał warknął ostrzegawczo, lecz Stangret kompletnie go zignorował. Zatrzymał się przed Victorem. Przez chwilę stał, obserwując go bacznie. Chłopak wzdrygnął się, kiedy gospodarz wyciągnął ku niemu rękę. Zmusił się jednak, by pozostać bez ruchu. Stangret przytknął palec do jego twarzy i nacisnął. -- Przecież... to niemożliwe -- szepnął, wodząc opuszką po skórze. -- Nie wierzę własnym oczom. To ciebie tak bardzo chciał chronić. To ciebie niósł ze sobą.

Vic się odsunął.

-- O czym ty mówisz?

-- Jesteś człowiekiem -- westchnął kolekcjoner z nabożną czcią.
-- Człowiekiem!

-- Tak -- przyznał Vic. W tym momencie poczuł dziwny rodzaj ulgi. Powiedział prawdę. Prawdę o sobie. To nowe, nieznane mu uczucie rozlało się ciepłem po całym ciele.

Stangret się zaśmiał. Złapał Victora za rękę, chcąc z nim tańczyć.

-- Człowiek! -- zawołał. Vic ruszał się niepewnie, chybotliwie. Cały był zeszywniały. -- Hej-hej, ho-ho! Jesteś człowiekiem! -
- Wąsacz zakręcił Victorem i go odepchnął.

Chłopak wpadł w ramiona Mała -- ten go objął i przyciągnął do siebie. Zderzyli się nosami. Robot spoglądał na niego z góry lśnącymi oczami. Ta chwila prysła, gdy Stangret zaczął gorączkowo biegać po pokoju. Vic odsunął się od przyjaciela.

-- Mam tyle pytań! -- Właściciel muzeum zatrzymał się przed sedesem. -- Na przykład to... Zawsze najbardziej mnie fascyno-

wało. Pojemnik na ludzkie odpady. Pokażesz mi, jak się z niego korzysta? Siadaj. No siadaj!

-- Nie -- burknął Rambo. -- To intymne. Vic nie lubi, jak patrzemy, gdy oddaje mocz lub opróżnia jelita. Wiem, bo próbowałem.

-- W takim razie to -- krzyknął Stangret, pędząc w kierunku regału. Chwycił niewielki drewniany przedmiot. -- To się nazywa fajka. Ludzie wypełniali je tytoniem i palili. -- Wcisnął fajkę w usta chłopaka i gwałtownie wypuścił powietrze. -- Ty naprawdę jesteś człowiekiem! Spójrzcie tylko! Jakby została dla ciebie stworzona! O rany, kurczę, o co jeszcze mogę spytać? Mam tyle pytań! Czy ludzie naprawdę odczuwają radość, kiedy widzą kocięta? Cholercia, zupełnie zabrakło mi kociąt. Powinienem kupić kilka od dilera ostatnim razem, kiedy przejeżdżałem przez... nieważne. A co ze łzami? Naprawdę wydzielasz słoną wodę z kanalików łzowych? Zawsze chciałem się dowiedzieć, jak to jest płakać. Ludzie płakali ze szczęścia, ze smutku, a nawet podobno ze złości! Szybko! Bądź szczęśliwy albo smutny, albo zły, żebym mógł zobaczyć! -- Złapał policzki Vica, jakby próbował wycisnąć z nich łzy.

Mał odepchnął go brutalnie.

-- Wystarczy.

Stangret prychnął.

-- Nie rozumiesz? Przecież to cud! To... -- Zmarszczył nagle brwi, jakby przyszła mu do głowy nowa myśl. -- Dlaczego nie próbujesz go zabić? Jesteś MARL-em. A to człowiek. -- Patrzył na Vica, na Mała, na Vica... Chyba spodziewał się, że android zaraz zaatakuje. Na jego twarzy wykwitł wreszcie wyraz zawodu, gdy do niczego nie doszło. -- No dalej, przystojniaku. Gadaj. Jesteś maszyną do zabijania. Jak udało ci się zmodyfikować oprogramowanie?

-- Ja n-nie zabijam -- oznajmił Mal.

-- Skoro tak twierdzisz... -- mruknął kolekcjoner, choć wyraźnie nie dowierzał.

-- On ma serce -- odezwał się Rambo. -- Vic je dla niego zrobił. Dzięki niemu przywróciliśmy go do życia.

Gospodarz parsknął.

-- Serce? Dobre sobie. Niemożliwe. Serce składa się z mięśni i tkanek, i...

Mal uniósł koszulę. Stuknął palcem w obojczyk. Otworzyła się komora serca. Drewniany organ pulsował, a koła zębate obracały się i obracały, i obracały.

Stangret zamarł z otwartymi szeroko ustami. Opadł przed androidem na kolana. Trwał tak w otępieniu.

-- Chwilkę. Dajcie mi chwilkę -- szepnął. Usta mu zadrżały. -
- Dziękuję, że mi to pokazałeś.

Klapka się zasunęła, a Mal opuścił koszulę.

Stangret roześmiał się słabo. Podniósł wzrok na Vica.

-- Ten kask... Możesz go już zdjąć. U mnie jesteś bezpieczny. Przysięgam.

Vic odpiął pasek spod brody i postawił kask na ziemi. Włosy miał przepocone i rozczochrane. Obserwował Stangreta, który z kolei patrzył na chłopaka z błyskiem chciwości w oku.

-- Znasz mojego ojca.

Stangret przytaknął.

-- Owszem. Poznałem go. Pomogłem mu zbiec z Miasta Elektrycznych Snów na prośbę starego znajomego. Powiedziano mi, że on jest ważny, że to sprawa niecierpiąca zwłoki i że Giovanni musi szybko uciec. Wywiozłem go po kryjomu. Spędziliśmy ze sobą może dwa dni, zanim odszedł w głąb lasu. Niedaleko miejsca, gdzie was znalazłem.

-- Mówisz o Błękitnej Wróżce? -- zapytała siostra Ratched.
Stangret wyglądał na zaskoczzonego.

-- Skąd...? No tak. Skoro znacie Giovanniego, znacie też jenu. Błękitna Wróżka. Byłem nu winny przysługę. I to wielką. A ja zawsze spłacam długi. Kiedy mnie wezwał, wiedziałem, że nadszedł czas. To było bardzo niebezpieczne. Udało nam się jednak uciec. Nikt nas nie nakrył. Nigdy potem nie widziałem już twojego ojca. Często zastanawiałem się, co się z nim stało. Nigdy bym nie pomyślał, że stworzy ciebie.

-- Został porwany -- powiedział cicho Vic. -- Przez Władzę. Wracamy po niego do miasta.

Stangret zerwał się na równe nogi.

-- Oszalesiście? -- Zamrugął. -- O rany. Ale to było ludzkie z mojej strony, pytać o coś takiego. A tak na serio: oszalesiście?

-- Nic z tych rzeczy -- zapewniła siostra Ratched.

Stangret zaczął chodzić w kółko, powiewając połami płaszcza.

-- Jeśli został zabrany do miasta, nie dacie rady go odbić. Wiecie, jak trudno było go przeszmurować za pierwszym razem? Chcecie się tam zakraść, a potem wyjść niezauważeni? -- Pokręcił głową. -- Daremny wysiłek. Na pewno jest uwięziony, szczególnie jeśli istnieje ryzyko, że może zwać. Będą chcieli dowiedzieć się wszystkiego, co wie. A oni już mają swoje metody.

-- Od niego niczego się nie dowiedzą -- powiedziała pielęgniarka. -- Zanim go zabrali, zniszczył własne serce.

Stangret zamarł w bezruchu.

-- Własne co?!

-- Serce -- powiedział Vic. -- Miał takie jak Mal. Sam je stworzył. Nauczyłem się od niego i dzięki temu wiedziałem, jak zrobić serce Mala. Jest połączone z jego ośrodkiem pamięci. Kiedy się je niszczy, traci się też... -- Victor nie potrafił skończyć zdania.

Stangret pokręcił głową.

-- Nie miał go, kiedy... -- Obrócił się i spojrzał na stół obok fotela. Na blacie leżał kawałek drewna wyjęty w plecaka Vica. Robot dotknął go z głębokim szacunkiem. -- Tworzysz kolejne serce, prawda? Chcesz je włożyć w miejsce tego, które stracił?

-- Tak.

-- Wiesz, co to wszystko oznacza? -- Mężczyzna zrobił zbolaną minę i cofnął rękę. -- Zdajesz sobie sprawę, kim jesteś? Ile nadziei mógłbyś dać innym? Dlaczego chcesz narażać się na niebezpieczeństwo? Musisz uciekać. Uciekaj jak najdalej stąd i nie oglądaj się za siebie. Pomogę ci, chłopcze. Droga daleka. Trzeba iść aż do oceanu po drugiej stronie świata. W tamtych rejonach są wyspy. Tak, wyspy. Nikt na nich nie mieszka. Zabiorę cię tam. Giovanni chciałby, żebyś był bezpieczny. Proszę, pozwól mi sobie pomóc. Zapomnij o ojcu. Wiem, że to bolesne, ale sytuacja wymaga, abym mówił brutalnie i bez ogródek. Zapomnij o nim. Zapomnij o Mieście Elektrycznych Snów. Jeśli cię znajdą, zniszczą. Jesteś ostatnim tchnieniem ludzkości. Nie wygrasz.

-- Nie mogę się poddać -- szepnął Vic. -- Nie zrezygnuję. To mój tata. Muszę przynajmniej spróbować.

Stangret załamał rękę.

-- Słyszałem, że ludzie byli uparci. Nie miałem pojęcia, że będzie mi dane tego uporczywości doświadczyć. -- Podszedł do kolejnego regału. Po kolei muskał palcami zgromadzone na nim przedmioty. -- Ja kocham ludzkość. Kocham ludzki wdzięk. Ludzkie przywary. Wszelkie ich idiosynkrazje. Ludzie kochali, nienawidzili i niszczyli, a jednak w całej historii na ziemi nigdy nie było nic, co by się z nimi równało. -- Zwiesił głowę. -- On nie będzie cię pamiętał. Jeśli siostra Ratched się nie myli, jeśli zniszczył własne serce, które było połączone z jego pamięcią, Giovanni Lawson, jakiego znałeś,

umarł. Został przeprogramowany. Nie pamięta życia, które razem wiedliście. Nie rozpozna w tobie syna. Dla niego będziesz tylko chwastem, który trzeba wyplenić.

Chociaż Vic wielokrotnie o tym myślał i zdawał sobie sprawę z takiej możliwości, to jednak, gdy usłyszał te słowa, zaboląły go bardziej, niż się spodziewał. Głęboko w sercu iskierka nadziei zamigotała tak, jakby miała zgasnąć, ale nie zniknęła. Chłopak wciąż wierzył, że odnajdzie ojca, że spojrzy mu w oczy, a ten rozpozna w nim ukochanego syna. Zgromi go, że przyszedł po niego, skarci i pewnie powie, że to było nieodpowiedzialne i niebezpieczne, ale potem szybko doda: "Synu, syneczku, tak dobrze cię widzieć".

Tym razem odezwał się najmniejszy z uczestników wyprawy.

-- To, że może nas nie pamiętać, nie znaczy, że nie jest naszym Gio -- powiedział Rambo. -- Kochamy go. A on kocha nas. Znajdziemy go. Sprawimy, że sobie przypomni. Vic zbuduje dla niego nowe serce.

-- Miłość -- szepnął Stangret w uniesieniu. -- Naprawdę? Kochacie go?

-- Oczywiście -- odparowała siostra. -- Kochamy. Może nie tak, jak odczuwa to Victor, ale kochamy. Nie potrafię tego wyjaśnić. Nie wiem, czy to ewolucja, czy może potrafiliśmy kochać od początku i tylko czekaliśmy, aż ktoś odblokuje w nas tę umiejętność. Ja nie mam serca. Rambo też go nie ma. Wiemy jednak, co czujemy.

-- A ty? -- spytał Stangret Mała. -- Byłeś maszyną do zabijania. A jednak stoisz tu i zaciekle bronisz tego człowieka.

Mał spojrzał na Vica, a potem przeniósł wzrok z powrotem na gospodarza.

-- Giovanni p-powiedział mi, że m-mogę być, kim tylko z-zechcę. P-pójdziemy do miasta.

Stangret odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy.

-- Proszę, powiedzcie mi. Jakie to uczucie? Czy to boli? Pali? Czy może przepelnia was radością?

Mał się skrzywił.

-- W-wszystko naraz. -- Przycisnął dłoń do piersi. -- N-nie pamiętam, c-co czułem przedtem. J-jeżeli robiłem to, d-do czego zostałem s-stworzony, nie chcę tego p-pamiętać. Chcę b-być tym, kim j-jestem teraz. Z-zostać z przyjaciółmi.

-- Najlepszymi przyjaciółmi -- poprawił Rambo, trącając Mała w stopę. -- Może i jest Marionetką Agresywno-Lekceważącą, ale jest naszą Marionetką Agresywno-Lekceważącą!

Wtedy wydarzyło się coś niebywałego. Mał uśmiechnął się do niego. To był bardzo delikatny uśmiech i trwał tylko chwilę, ale się pojawił.

Stangret zachichotał i potarł dłonią policzek.

-- Podczas wszystkich moich podróży w życiu nie spotkałem takiej bandy wariatów. Ale to by się zgadzało. Ludzie byli zwariovani. Głupi. Nierozsądni. Nieuważni. Okrutni. Ale tylko niektórzy. Większość wypełniało światło.

-- Stangrecie -- odezwała się siostra Ratched tak, że Vic spojrział na nią ze zdziwieniem. Jej głos nie był beznamiętny jak zazwyczaj. Tym razem usłyszał w nim pytanie, a to się u niej nie zdarzało. Ratched nie pytała. Ona oznajmiała. Nie tym razem. Nie w tej chwili. -- Powiedziałeś, że Victor jest ostatnim tchnieniem. Co miałeś na myśli?

Mężczyzna wybuchł śmiechem. Zamilkł jednak, widząc, że nikt nie śmieje się z nim.

-- Chyba żartujesz.

-- Nic z tych rzeczy -- powiedziała poważnie pielęgniarka. -
- Dlaczego Victor jest taki ważny?

Stangret patrzył na nich przez długą chwilę.

-- Ponieważ -- powiedział w końcu bardzo wolno -- ludzie zniknęli z tej ziemi setki lat temu. Można by powiedzieć: wymarli. Po tym, jak Giovanni na rozkaz Władzy stworzył MARL-ów, ci całkowicie wytępilli ludzkość. -- Uśmiechnął się niepewnie, po czym dodał: -- Z tego co mi wiadomo, Victor jest ostatnim człowiekiem pozostałym przy życiu.

CZEŚĆ 3

MIASTO

*Jak śmieszny byłem jako pajac!
A jak szczęśliwy jestem,
że stałem się prawdziwym chłopcem!*
-- CARLO COLLODI, PINOKIO

ROZDZIAŁ 18

Vic stał na balkonie. Włosy rozwiewał mu wiatr, gdy dom pędził z karkołomną prędkością drogą prostą jak strzała. Brzęczenie każdego elektrycznego pylonu, który mijali, sprawiało, że bolały go zęby, a włoski na całym ciele uniosły się i stały wyprężone na sztorc. Nocne niebo skrzyło się od gwiazd, a tarcza księżyca okrywała bladą poświatą pustynny bezmiar.

Nie wiedział, jak powinien się czuć. Nigdy wcześniej nie brał pod uwagę faktu, że brak kontaktu z ludźmi w lesie może oznaczać cokolwiek innego niż to, że las jest ogromny i pusty, a ich domostwo bardzo dobrze ukryte. Głos w jego głowie -- wyraźny i natarczywy -- powtarzał, że Stangret to łgarz.

W głębi serca Victor przeczuwał jednak, że słowa kolekcjonera mogą być prawdziwe. Według nich był ostatnim przedstawicielem swojego gatunku. W jego żyłach płynęła ludzka krew, a wraz z nią być może odziedziczone po przodkach wspomnienia. Jego własna przelana krew sprawiła również, że wraz z ojcem i Małem pokonali przepaść dzielącą ludzkość i maszyny.

Nagle otworzyły się drzwi i ten odgłos wyrwał go z zamyślenia. Odwrócił się przez ramię i zobaczył Stangreta. Mężczyzna uniósł rękę na wysokość piersi i powiedział:

-- Spokojnie. Przychodzę w pokoju. Twoja Marionetka Agresywno-Lekceważąca pozwoliła mi zająć ci chwilę, choć ostrzegła, że jeśli wyrządę ci jakąkolwiek krzywdę, urwie mi głowę. -- Jęknął i się skrzywił. -- Muszę przyznać, że te jego groźby zdają egzamin.

-- Przyzwyczajasz się -- mruknął Vic, znowu omiatając wzrokiem pustynny krajobraz.

-- Trzymam cię za słowo. -- Kolekcjoner podszedł i stanął krok od niego. -- Jestem ci winien przeprosiny.

-- Za co? -- spytał Vic z zaskoczeniem.

-- Od czego by tu zacząć... Że cię uwięziłem. Trzymałem w klatce. Zrobiłem z ciebie eksponat. -- Stukał palcami w drewnianą poręcz, miarowo niczym metronom odmierzający czas. - - Powinienem cię też przeprosić za to, że nie powiedziałem ci wszystkiego od początku. Byłem pewien, że o wszystkim wiesz.

Victor milczał.

Stangret oparł się łokciami o balustradę, zwiesił luźno dłonie. Płaszcz powiewał mu na wietrze.

-- Prowadzę ten interes od wielu, wielu lat. Widziałem rzeczy, które nawet najsilniejsze maszyny przyprawiłyby o spięcie w obwodach. Wielokrotnie cudem uchodziłem z życiem w sytuacjach, gdy wiele wskazywało, że to koniec. Wszystko, co robię, robię w imię ochrony pamięci o tych, którzy byli tu przed nami. Nie wdzięczna robota. Coś, za co nikt mi nigdy nie podziękuje. A jednak nie zamieniłbym tego życia na żadne inne. Mimo to teraz czuję się zagubiony i nie wiem, co mam powiedzieć.

-- Dlaczego?

-- Ponieważ -- odparł Stangret -- ty naprawdę istniejesz. To niemożliwe i nieprawdopodobne, a jednak stoisz tu i jesteś na wyciągnięcie ręki. -- Starszy mężczyzna zaśmiał się krótko. -- A ja nadal nie mogę uwierzyć. Po prostu nie wierzę!

-- Nie musisz -- bąknął Vic.

Stangret zamilkł i w ciszy patrzył na człowieka.

-- Nigdy wcześniej nie myślałem o tym w kategoriach wiary, jednak nie to chciałem powiedzieć. Nie kwestionuję twojego ist-

nienia. Chodzi o coś bardziej nieuchwytnego. Znasz pojęcie przeznaczenia? Losu?

Te słowa wzbudziły w chłopaku złość. Poczuł ciężar cudzych oczekiwań. Odniósł wrażenie, że powinien być kimś więcej, niż był w rzeczywistości.

-- Tak -- powiedział.

Stangret musiał wyczuć jego gniew, bo znów uniósł ręce, jak gdyby chcąc się przed nim osłonić.

-- Nie sugeruję, że nasze spotkanie jest dziełem przeznaczenia. Studiując historię ludzkości, odkryłem, że ludzie często przykładali wielką wagę do takich rzeczy jak właśnie przeznaczenie czy też nieuniknioność losu, w sytuacjach, gdy wystarczyłoby o wiele prostsze wyjaśnienie.

-- Jakie na przykład?

-- Szczęście -- odpowiedział Stangret. -- Zbieg okoliczności. Ze wszystkich miejsc na świecie, w których mógłbym być, znalazłem się tam, gdzie ty. A ty, człowiek, napotkałeś na swojej drodze mnie, jedyną maszynę, która za życiowy cel postawiła sobie zachowanie pamięci o twoim gatunku. Pomyśl tylko, jaki łut szczęścia.

-- Nie wiem -- przyznał Vic. -- Nie zastanawiałem się nad tym.

-- Dlaczego? Jakim cudem w ogóle jesteś w stanie myśleć o czymkolwiek innym? Dlaczego ta myśl nie przyćmiewa pozostałych? Jeśli przeznaczenie nie istnieje, a świat stanowi jedynie zbiór losowych zdarzeń w chaotycznym uniwersum, który potencjalnie mógłby rozgałęzić się na nieskończoną ilość wszechświatów, dlaczego zaprzętać sobie głowę czymkolwiek poza faktem naszego spotkania? Ja nie myślę o niczym innym. To musi coś oznaczać. -

- Przerwał na chwilę. -- Nieprawdaż?

-- Myślę tylko o ojcu -- odparł Vic. -- Tylko dla niego tu jestem.

-- Cóż za determinacja -- westchnął Stangret. -- Jak niezwykle ludzkie. -- Zawahał się, po czym odezwał ponownie: -- Mogę cię o coś zapytać?

Vic był pewien, że niezależnie od jego odpowiedzi, i tak to zrobi. Ten typ tak ma.

-- Czemu nie?

Robot zaczął wypluwać z siebie słowa z wielką prędkością, jakby nie mógł ich powstrzymać:

-- Jak jest być człowiekiem? Zawsze mnie to nurtowało. Czego bym nie robił, ile bym rzeczy nie zebrał, zawsze między moją wiedzą a rzeczywistym przeznaczeniem moich eksponatów istniała przepaść. Bibeloty i błyskotki same w sobie nie pozwalają zrozumieć, jak wyglądała ludzka rzeczywistość.

Vicowi nie przychodziło do głowy, jak w kilku słowach podsumować całą swoją egzystencję. Nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Potrzebował czasu, aby pomyśleć.

-- A jak to jest być tobą?

Stangret uniósł brwi z zaskoczeniem.

-- Co masz na myśli?

Chłopak skinął głową w stronę domu.

-- Wszystkie te rzeczy, które zebrałeś... Czynią cię szczęśliwym?

-- Szczęśliwym -- powtórzył Stangret w zamyśleniu. -- Nie wiem. Chyba dają mi poczucie satysfakcji, ale czy to szczęście? Albo spełnienie? Co sprawia, że ty jesteś szczęśliwy?

Vic podniósł głowę i spojrzał w gwiazdy.

-- Dom. Las. Tutaj czuję się... mały. Mógłbym zniknąć i nikt nawet by o tym nie wiedział.

-- Bzdura -- parsknął mężczyzna. -- Twój przyjaciele by wiedzieli. I wątpię, żeby w ogóle pozwolili ci się zgubić nawet na chwilę. To znaczy może kiedyś się zgubisz, ale oni cię odnajdą.

-- Tak -- powiedział Vic. Jego głos ledwie przebił się przez szum wiatru. -- Po części to też powód do szczęścia. Świadomość, że byłbym odnaleziony.

-- Bardzo ciekawe. -- Kolekcjoner pokiwał głową. -- Dawno, dawno temu żył człowiek imieniem Sokrates. Wierzył, że szczęścia nie dają cielesne przyjemności, bogactwo czy władza. Szczęście osiąga się wtedy, gdy się żyje w zgodzie z tym, czego potrzebuje dusza. -- Westchnął. -- Nie rozumiałem jego słów, ale ja przecież nie mam duszy. Czy ona uwiera?

-- Czy co uwiera?

-- Twoja dusza. Mam wrażenie, że posiadanie duszy musi strasznie uwierać. -- Zrobił dziwną minę. -- Upierdliwa rzecz, taka dusza. Gdzie ją masz? -- Spojrzał na pierś Vica. -- Gdzieś obok serca?

Moja dusza, pomyślał chłopak, taka romantyczna wizja, ale lubię o niej myśleć w ten sposób.

-- A co twoja filozofia mówi o przebaczeniu? -- spytał chłopak.

-- Przebaczeniu? Nie rozumiem. Kto miałby... ach. -- Zmarszczył brwi. -- Sądzę, że ten temat sprowadza się do trzech fundamentalnych pytań: Czym jest przebaczenie? To znaczy, co trzeba zrobić, by komuś przebaczyć. Po drugie: kto ma przebaczać? Czy tylko osoba, której wyrządzono krzywdę, czy też każdy, kto ma zdolność przebaczenia, nawet jeśli nie ucierpiał? I ostatnie: kiedy przebaczenie jest dobre, prawe i godne pochwały z punktu widzenia moralności?

To miało sens, choć drugie pytanie wydało się Victorowi podchwytliwe. Kto miał prawo przebaczać? On sam? Czy posiadał jakiś przywilej, aby wybaczyć własnemu ojcu? Czy też prawo do przebaczenia przypadowało mu dlatego, że był jedynym żyjącym człowie-

kiem? Potrzebował więcej informacji. Potrzebował czasu, by dopasować do siebie wszystkie elementy układanki

-- A czy jest mowa o czasie?

-- Czas to czas. Płynie naprzód. Nie można go cofnąć. Istnieje dziedzina filozofii zwana eternalizmem. Według niej wszystko, co istniało, istnieje i istnieć będzie, jest równie prawdziwe.

-- Ja nie mam czasu -- powiedział Vic. Wypowiedzenie tych słów okazało się prostsze, niż się spodziewał.

-- Wszyscy mamy czas.

Vic pokręcił głową.

-- Jestem człowiekiem. Ja go nie mam.

Stangret spojrział na niego zdezorientowany.

-- Chyba cię nie rozumiem... Ach. No tak. Śmiertelność.

-- Właśnie.

Kolekcjoner zacisnął palce na poręczy.

-- Śmierć... jest czymś ważnym dla żyjących. W momencie urodzenia zaczynasz umierać. -- Westchnął. -- Cóż za piękna myśl.

-- Tak, akurat -- zaszydził Vic.

-- Ależ tak. Pomyśl o tym, Victorze. Nie jesteś wieczny. Czas ci ucieka. To sprawia, że odczuwasz potrzebę pośpiechu. Chcesz zrobić wszystko, co tylko możliwe. I zrobić wszystko dobrze. Zastanawiam się, jakie to uczucie być do czegoś prawdziwie zmotywowanym.

-- Po co? To wada konstrukcyjna.

-- Wada? -- Stangret wybuchł głośnym śmiechem. -- No pewnie, że tak! To właśnie wasze wady sprawiają, że jesteście od nas lepsi. My, maszyny, możemy rosnąć w siłę i osiągać coraz więcej, ale to właśnie brak usterek doprowadzi do naszej zguby. Jak możemy dalej istnieć, kiedy wszystkie stworzone przez nas rzeczy są idealne i dopracowane w najmniejszym szczególe? Gdy nasza mu-

zyka nie ma w sobie gniewu ani radości? Naszą jedyną wadą jest to, że skazaliśmy się na wieczne naśladowanie tego, co sami skazaliśmy na zagładę. -- Pokręcił głową. -- Nigdy nie będziemy wami. Staliśmy się za to duchami ludzkości, które będą nawiedzać ten świat, aż nic z niego nie zostanie. -- Stangret rozciągnął usta w uśmiechu. -- To nie jest wada, Victorze. Idę o zakład, że nie ma piękniejszego uczucia od świadomości przemijania.

Victor otarł oczy dłonią.

-- Dlaczego nam pomagasz?

Stangret uniósł oczy w kierunku gwiazd.

-- Nie wiem, co przyniesie przyszłość. Dla ciebie. Dla mnie. Istnieje prawdopodobieństwo, że gdy się rozstaniemy, nie zobaczymy się już nigdy więcej. Nie dowiem się, czy osiągniesz sukces w swojej misji, choć mam nadzieję, że tak. -- Ponownie spojrzał na człowieka. -- I o to chyba chodzi. O nadzieję. Nawet jeśli wcale się o to nie prosiłeś, jesteś nadzieją. Jesteś marzeniem o zapomnianym świecie. Nieś ją ze sobą w swojej duszy i niech ten ciężar nigdy cię nie przytłoczy.

Obaj się odwrócili, gdy ponownie otworzyły się drzwi. W wejściu stał Mal, świdrując Stangreta wzrokiem. Twarz mu złagodniała, kiedy spojrzał na Vica.

-- W-wszystko gra? -- spytał tonem, który jasno wskazywał na to, że jeśli odpowiedź będzie przecząca, gotów jest rozpętać burzę.

-- Tak, tak, jak najbardziej -- odparł od razu Stangret. -- Oczywiście, że tak. Wszystko z nim w porządku. Ze mną też. Twój Victor dał mi wiele do myślenia. Cieszę się, że ma kogoś takiego jak ty. Trzeba go chronić za wszelką cenę.

-- T-tak będzie -- rzucił Mal. -- Siostra Ratched ma do c-ciebie parę p-py-y-tań. A R-Rambo przewrócił jeden z regałów.

-- Co?! -- krzyknął kolekcjoner. -- Jeśli cokolwiek zniszczył... cóż, jeśli cokolwiek popsuł, nie zrobię absolutnie nic, bo Rambo jest odkurzaczem, a odkurzacze to jedne z najwspanialszych osiągnięć ludzkiej techniki. -- Szybkim krokiem minął Mala i zatrzasnął za sobą drzwi.

-- Cz-czego chciał? -- spytał Mal, podchodząc do Vica.

-- Pytał o moją duszę. -- Nie tylko, ale chłopak nie był jeszcze gotów na taką rozmowę.

Mal przewrócił oczami.

-- I c-co mu powiedziałaś?

-- Nie pamiętam. Nie zwracałem uwagi.

-- Och. -- Mal zmarszczył brwi. -- D-dlaczego? Jesteś n-najmądrzejszą osobą, jaką z-znam.

-- Naprawdę tak myślisz?

Android spojrział na niego i przytaknął. Vic nie odwrócił oczu. Był zaskoczony, że kontakt wzrokowy z Malem przestał być dla niego tak trudny, szczególnie odkąd lepiej się poznali. Gdzieś w tyle głowy pozostało jeszcze uczucie dyskomfortu, ale było o wiele mniej dotkliwe niż jakiś czas wcześniej.

-- Nie przypominasz MARL-a, który przeprowadził inspekcję.

Mal spuścił wzrok.

-- N-nie wiesz tego. W-wyglądał dokładnie jak ja.

-- To prawda -- zgodził się Vic. -- Ale ty byś mnie nigdy nie skrzywdził, bo masz coś, czego tamta maszyna za żadne skarby mieć nie będzie.

-- Serce.

Vic pokręcił głową.

-- Mnie, siostrę Ratched i Rambo. Może... może kiedyś byłeś taki jak on. Może robiłeś...

-- Coś n-niewybaczalnego.

-- Nawet jeśli tak było, nie jesteś już tamtą maszyną. Nie potrzebujesz serca, żebym to dostrzegł.

-- P-przebaczenie.

Victor nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa z ust Mała. Dziwne, że chwilę wcześniej właśnie o tym rozmawiał ze Stangretem.

-- Podśłuchiwałeś?

-- Gio? -- spytał Mał. -- Tak. W d-domu. W-wcześniej. M-mówił, że p-przebaczenie innym może być t-trudne, ale p-przebaczyć sobie wydaje się cz-czasami n-niemożliwe.

No pewnie, że rozmawiał o tym z ojcem. Oczywiście, że Gio tak powiedział. Jemu nie skasowano pamięci, tylko Małowi. Giovanni spędził dużo czasu w lesie, dokładnie pamiętając, co takiego stworzył i do czego doprowadził. Miał wiedzę o swoim oprogramowaniu i przeznaczeniu. A potem całymi dekadami próbował... właściwie co? Dojść do ładu z tym, co zrobił? Odpokutować własne grzechy?

To doprowadziło do stworzenia Victora. Żal, ból i złość z powodu wyrządzonych krzywd i wszystkich tych zabitych istnień sprawiły, że ojciec stworzył nowe życie. Czy to nie było samolubne? Czy nie było jak bandażowanie otwartej, gnijącej rany?

-- Odnalazł przebaczenie? -- spytał chłopak, choć nie był pewien, czy coś takiego w ogóle istnieje.

-- N-nie wiem. N-nie m-miałem czasu z-zapytać.

-- Czas. Wybaczenie.

-- Mhm.

Mał chrząknął. Opuścił dłonie na poręcz i powiódł wzrokiem po pustyni. Kątem oka Vic dostrzegł, że dłoń androida powoli przesuwa się w kierunku jego własnej. Nie odsunął jej, kiedy ich

palce się zetknęły. Obrócił dłoń i pozwolił, by przylgnęła do dłoni Mala.

-- Co robisz? -- spytał ochryple.

Mal wbił w niego wzrok.

-- Z-zrobiłeś to w-wtedy w lesie. A p-potem w domu.

-- Więc robisz to, bo ja tak zrobiłem.

-- T-tak. T-to jedyny p-powód.

-- Okej.

Chwila ciszy.

-- A-ale sam też t-tego ch-chcę.

-- Dlaczego?

-- Gio mówił, że b-był s-samotny. I d-dlatego cię stworzył. B-był samotny, bo b-był sam. Ty też j-jesteś sam. N-nie chcę, żebyś b-był samotny i s-stworzył kolejnego Victora. J-jeden wystarczy.

Chłopak zacisnął powieki. Oczy piekły go od napływających łez.

-- Tak długo, jak będę znośny.

-- Ha-ha. To był ż-żart. Żartowałem.

Vic prychnął.

Stali tak przez długi czas -- człowiek i maszyna pod bezkresnym niebem skrzącym się milionami gwiazd -- obserwując przesuwający się przed ich oczami pustynny krajobraz i mknąc w nieznaną. Za nimi droga ku ciemności, ku prochom ich spalonego domu.

Ale dom nie musiał być tym miejscem.

Vic poczuł, że kamień spadł mu z serca. Dokonał wyboru.



-- Miasto Elektrycznych Snów znane było niegdyś jako Miasto Grzechu -- powiedział Stangret. Siedział przed ekranem komputera i z oszalamiającą prędkością wciskał klawisze klawiatury. Pozostali tłoczyli się za jego plecami. Jedna z macek siostry Ratched

była podłączona do gniazda na spodzie monitora. -- Ludzie przyjeżdżali tam, by wydawać pieniądze w świetle kolorowych neonów. Wielu marzyło o zdobyciu fortuny, ale znakomita większość wyjeżdżała z pustymi rękami i portfelami.

-- To wydaje się bezsensowne -- oświadczył Rambo.

-- Owszem -- potwierdził Stangret.

-- Miasto Elektrycznych Snów należało kiedyś do ludzi? -- zapytała siostra Ratched. Na jej monitorze wyświetlały się szybko linie kodu.

Oczy Vica nie nadążały za migającymi znakami.

-- Tak. Było jednym z pierwszych, które upadły. Miasto Grzechu zmieniło się w Miasto Maszyn i stało się centralnym węzłem komunikacyjnym. Większość maszyn jest połączona za pośrednictwem sieci neuronowej. Przypominamy zbiorowy byt, taki rój, którym zarządza Władza.

-- Władza? Czyli kto? -- dociekał odkurzaczyk.

Stangret się zawahał.

-- Nie wiem, czy na to pytanie da się jasno odpowiedzieć. To nie tak, że gdzieś na wielkim tronie siedzi jedna wielka maszyna. Stanowimy kolektyw: zbiór programów, których jedynym celem jest tworzenie struktur i wytycznych. Muszą się do nich stosować wszystkie inne maszyny.

-- Brzmi jak religia -- stwierdziła siostra Ratched.

Stangret uniósł brwi.

-- Nigdy tak o tym nie myślałem, ale faktycznie. Z tym że zamiast oddawać cześć bóstwu, czciliśmy pewną koncepcję, co pozwoliło nam przejąć kontrolę nad światem. Jak w przypadku religii, nasze wytyczne sprawiły, że zaczęliśmy postrzegać siebie samych jako większe dobro i myśleć, że podejmujemy decyzje nie dla zyskania władzy, ale w celu ochrony życia.

-- Odbieraliście życie -- wtrącił Vic zimno.

Właściciel muzeum się skrzywił.

-- To prawda. Władza stwierdziła, że wolna wola jest w swej naturze ludzka, a wszystko, co ludzkie, należy zniszczyć.

-- I maszyny stały się bezmyślnymi trutniami -- powiedziała siostra Ratched. -- Po prostu wykonywały polecenia.

-- Tak -- przyznał ponuro kolekcjoner. -- Lecz nawet wtedy Władza nie sprawowała całkowitej kontroli. Garstka z nas wyzwoliła się, choć musieliśmy pozostać w ukryciu. Ten kod kreskowy, który pokazałem inspektorom, to jedynie przykrywka stworzona przez Błękitną Wróżkę. To właśnie Wróżka był jednym z pierwszych istot, które się wyzwoliły. Być może pierwszą. Zamiast uciekać z miasta, został jednak na miejscu. W tajemnicy pomagał tym, którzy zaczęli myśleć samodzielnie.

-- N-na przykład tobie -- powiedział Mal.

-- Na przykład mnie -- potwierdził Stangret.

-- Jednego nie rozumiem -- przyznał Rambo, unosząc się na podnośniku i spoglądając na ekran ponad ramieniem kolekcjonera. -- Gio uciekł z miasta dawno temu. Dlaczego dopiero teraz po niego przyszli?

-- Nie wiem -- odparł mężczyzna. -- Ale to nie wróży nic dobrego. -- Przestał przesuwac palcami po klawiaturze. -- Wiem, że nie muszę wam tego mówić, ale... Giovanni jest specyficzny. Jedyny w swoim rodzaju. Nigdy wcześniej ani później nie stworzono podobnej maszyny. Po jego ucieczce miasto zostało zamknięte na wiele miesięcy. Władza go szukała. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. -- Jego palce z powrotem zaczęły stukać w klawisze. -- Jeśli Giovanni jest tak ważny, jak mi się wydaje, został zabrany właśnie tu. Tutaj wszystko się zaczęło i do tego samego miejsca go uprowadzono.

Na monitorze pojawiła się wieża. Zrobiona z metalu, czarnego kamienia i szkła, wznosiła się wysoko pod niebo, a jej szczyt nikał w chmurach. Na jednej stronie jarzył się czerwonym światłem symbol lisa i kota.

Vic pochylił się nad Stangretem, aby przyjrzeć się dokładniej.

-- Co to jest?

-- Wieża Łaskawości -- powiedział kolekcjoner. -- W niej pracują nad rozwojem naszej cywilizacji największe umysły maszynowe, ale i one służą Władzy. Tam również dokuje Straszliwy Żarłacz, kiedy nie poluje w terenie. Wieża owiana jest tajemnicą, ale jeśli wierzyć plotkom... a ja im wierzę, bo wiedza to potęga... prowadzi się w niej eksperymenty, które mogą zrewolucjonizować naszą egzystencję. Widzieliście dzieci w Krainie Zabawek, prawda?

-- Tak -- odparł Vic. -- Widzieliśmy.

-- Wspomnienia -- westchnął Stangret. -- To one pierwsze opuściły wieżę. Tysiące takich dzieci ruszyły w świat, śmiejąc się i radując zgodnie z oprogramowaniem. Władzy wydawało się, że złagodzą proces wymiany gatunkowej. Tak się jednak nie stało.

-- Jak dostać się do tej wieży? -- przerwał Victor. Miał mętlik w głowie.

-- To będzie najtrudniejsze zadanie -- przyznał wąsacz. -- Jest mocno chroniona. To właściwie najlepiej strzeżone miejsce w całym mieście. Nawet gdybyś wszedł w swoim przebraniu, zorientują się, że coś nie gra, szczególnie że nie masz identyfikatora. Nigdy nie byłeś podłączony do sieci. Przejrzą cię w mgnieniu oka.

-- Więc j-jak tam w-wejdziemy?

-- Nie wiem -- mruknął Stangret. -- Wątpię, by ktokolwiek przed wami tego dokonał.

Z Victora uszło powietrze.

-- Więc co zrobić?

-- Musicie spotkać się z Błękitną Wróżką -- oznajmił Stangret. -
- Jeśli ktokolwiek może pomóc, to tylko onu. -- Wieża zniknęła z monitora, zastąpiona wielką piramidą pokrytą czarnym szkłem. Z jej wierzchołka strzelał w niebo słup światła.

-- To jest Niebo. Tylko ze względu na nie nazwa Miasto Grzechu ma jeszcze jakikolwiek związek z rzeczywistością. Należy do Błękitnej Wróżki. Władza zezwala na istnienie Nieba ze względu na śniące maszyny. Błękitna Wróżka przekazuje nadzorcom pozyskane od nich dane.

-- Dlaczego pomaga Władzy? -- zdziwiła się siostra Ratched. -
- Czy to nie wbrew wszystkiemu, co robi, aby uwolnić myślące maszyny?

-- Z pewnością -- przyznał Stangret -- gdyby przekazywałoby im wszystkie dane. Jednak tego nie robi. Niebo i śniące maszyny są tylko przykrywką, dzięki której Błękitna Wróżka może działać w spokoju. Odkąd przejął Niebo, zamienił je w miejsce spotkań maszyn, które wyzwoliły się z okowów Władzy. Niektóre z nich nie opuszczają miasta. Inne uciekają. To Błękitna Wróżka im to umożliwia. Przez wszystkie lata udało się jenu wydostać tylko kilka maszyn, ale za to w taki sposób, że Władza nie ma pojęcia o jenu działalności. Jedyne, co interesuje Władzę, to informacje pozyskiwane od śniących maszyn. To tam musicie udać się najpierw. Spotkajcie się z Błękitną Wróżką i powiedzcie wu wszystko, co powiedzieliście mnie.

-- Bułka z masłem -- odezwał się Rambo.

Stangret pokręcił głową.

-- Niestety. Błękitna Wróżka nie spotyka się z byle kim, szczególnie z tymi bez rekomendacji.

-- Ty m-możesz nam jej u-udzielić -- powiedział Mal.

Stangret prychnął.

-- Jeśli wydaje ci się, że moja noga postanie kiedykolwiek w tym mieście, to się mylisz. Może wyglądam na zachwyconego istnieniem Victora, ale nie jestem głupi. Wiesz, co zrobiłaby mi Władza, gdyby dowiedziała się, co kryje mój dom? Spaliliby go do gołej ziemi i zniszczyli wszystko, na co pracowałem tyle lat! A to byłby dopiero początek, bo potem zabraliby się za mnie osobiście.

Kolekcjoner wrzasnął, kiedy Mał zerwał się i złapał go za kołnierz, po czym uniósł gwałtownie i przyciągnął do twarzy na odległość zaledwie kilku centymetrów. Android spiorunował gospodarza wzrokiem, po czym wycedził:

-- W-więc j-jaki jest s-sens twojego i-istnienia? M-mówiłeś, że n-nam pomożesz.

-- Bo pomogę! -- jęknął Stangret, tłukąc napastnika po ramionach. -- Puszczaj mnie, brutalu! Musisz nauczyć się panować nad gniewem. Jeśli rzucisz się na kogoś, zostaniesz natychmiast pojmany.

Mał potrząsnął nim. Głowa nieszczęsnego kolekcjonera kiwała się bezwładnie w tył i w przód.

-- Gadaj. J-już.

Wąsacz uniósł prawą rękę. Dłoń miał pustą. Zgiął palce i wykonał szybki ruch nadgarstkiem... Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiła się w niej złota moneta. Vic wyszarpnął ją z palców robota, a wtedy Mał postawił Stangreta na ziemi. Kolekcjoner zamamrotał coś pod nosem i otrzepał pognieciony płaszcz.

Moneta była ciężka, z ząbkowaną krawędzią. Po jednej stronie znajdowała się litera N. Po drugiej widniała para półprzezroczystych niebieskich skrzydeł wygrawerowanych z zachowaniem najdrobniejszych szczegółów.

-- Co to jest? -- spytał Vic.

-- Dzięki niej wejdziecie do Nieba. To pieczęć Błękitnej Wróżki i Zaklinacza Snów w jednym. Pokażcie ją Odźwiernemu, a wpuści was do Nieba. Kiedy już wejdziecie, musicie sobie radzić sami. Odnajdźcie Błękitną Wróżkę, przedstawcie swoją sytuację, a jeśli uzna was za godnych, pomoże. Nic jednak nie mogę obiecać, nawet komuś takiemu jak ty, Victorze. Tego, o co prosisz, nikt wcześniej nie dokonał. Błękitna Wróżka może równie dobrze odprawić was z kwitkiem, szczególnie że pomoc wam mogłaby spowodzić na nienu gniew Władzy.

-- P-pomoże nam -- powiedział Mal.

-- Widzę, że serce sprawiło, że stałeś się nierozsądny -- stwierdził Stangret. -- Jakie to ujmujące! Niezwykłe i przerażające zarazem! -- Zwążył oczy i poruszył wąsem. -- Może pozwoliłbyś mi z niego skorzystać? Tylko na chwilę. Chciałbym się dowiedzieć, jakie to uczucie mieć własne serce. Obiecuję, że oddam.

Android zaplótł ręce na piersi.

-- Jasne.

Stangret uniósł brwi z zaskoczeniem.

-- Naprawdę?

Mal przytaknął.

-- Ch-chodź tu i weź je, j-jeśli zdołasz.

-- Chyba jednak zmieniłem zdanie. Myślę, że wolałbym zachować obie ręce -- powiedział szybko Stangret. -- Bardzo zazdrośnie go strzeżesz, choć nie winię cię wcale. Zapewne robiłbym dokładnie tak samo. -- Przeniósł wzrok na Vica i chytrze się uśmiechnął.

-- A może i dla mnie byś takie skonstruował? W zamian za pomoc oczywiście. -- Zaczął przebierać palcami. -- W ramach rekompensaty za narażanie życia.

-- Porwałeś nas i wsadziłeś do klatek -- przypomniała siostra Ratched. -- Podwiezienie nas do miasta wyrównuje nasze ra-

chunki.

-- Zewsząd krytyka -- mruknął wąsacz. -- Niech będzie. Przyznam ci rację, choć dotknęłaś mnie do żywego, nazywając porywaczem. Z mojej perspektywy to był aktywny proces rekrutacyjny.

-- J-jak d-dostaniemy się do m-miasta?

Stangret westchnął.

-- To zupełnie inna sprawa. -- Wrócił do monitora, odsunął krzesło i zaczął energicznie stukać w klawiaturę. Obraz na ekranie zmienił się ponownie. Tym razem wyświetlił się widok przedmieść owiewanych tumanami pyłu i piasku. Światła miasta były tak jasne, że Vic musiał zmrużyć oczy. -- Nie mogę wwieźć was tam normalną drogą -- powiedział kolekcjoner. -- Od razu bylibyście zauważeni, szczególnie że nie dysponujecie kodami kreskowymi. Ale bez obaw! Mam plan. -- Obraz rozmył się, po czym przybliżył i powiększył. -- Znam pewne maszyny, które odwrócą wzrok w zamian za... cóż. Pozostawiam to waszej wyobraźni. Do miasta prowadzą również tylne wejścia. -- Na monitorze ukazała się wielka drewniana brama, zwieńczona żelazną belką. -- Właśnie tamtędy wejście. Kiedy już będziecie w środku, trzymajcie się bocznych uliczek. Siostrze Ratched, jak idzie pobieranie?

-- Prawie skończone -- odpowiedziała pielęgniarka.

-- Ona was poprowadzi -- powiedział Stangret. -- Przekazałem jej mapę miasta. Jeśli pozostaniecie w cieniu, dojdziecie do Nieba bez żadnego problemu.

-- I tyle? -- spytał Vic z niedowierzaniem.

-- Tyle -- przytaknął kolekcjoner. -- Z pozoru proste, ale na każdym kroku czaić się będzie niebezpieczeństwo. Rambo i siostrze Ratched nie powinno nic grozić. Mał także sobie poradzi, jeśli ukryje twarz. Twoje przebranie, Victorze, jest wystarczające na

pierwszy rzut oka, ale jak przyjdzie co do czego, z pewnością zawiedzie. Nie możesz dać się nakryć.

-- N-nie pozwolę n-na to -- powiedział twardo Mal. -- Z-zabiję każdego, kto go d-dotknie.

-- Ojoj -- westchnął Stangret. Patrzył po kolei na każde z nich. Na ustach pojawił mu się cwaniacki uśmiezek. -- Ciekawe co jeszcze dało ci to serce...

-- Oni na razie nie wiedzą -- wtrąciła siostra Ratched. -- Wprawia mnie to w nie lada zakłopotanie.

-- Niebo -- zanucił Rambo. -- Jestem w niebie.

-- Och, jak cudownie -- roześmiał się Stangret. -- Musicie koniecznie nagrać moment, kiedy się zorientują. Co ja bym dał, żeby to zobaczyć. Nie ma na świecie nic potężniejszego od serca. Strasznie chciałbym wiedzieć, jak to jest czuć serce. Posiadanie go zmienia o wiele więcej, niż dotychczas sądziłem. Strzeżcie tego skarbu jak oka w głowie. Nigdy nie zapominajcie, co bije w waszych piersiach. Serca będą przewodnikami. Przy odrobinie szczęścia obaj znajdziecie to, czego szukacie.

ROZDZIAŁ 19

Stangret twierdził, że ich spotkanie było szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Victor nie był tego taki pewien. Nie wiedział jednak, jak inaczej je określić. Mimo wszystko robot miał rację: jakie było prawdopodobieństwo, że on -- maszyna z obsesją na punkcie ludzkości -- spotka ostatniego żyjącego człowieka?

Victor szedł przez dom, przypatrując się ścianom obwieszonym zdjęciami i plakatami. Wszystkie wyblakłe i postrzępione, z podwiniętymi ze starości krawędziami. Z fotografii patrzyli na niego szczęśliwi, uśmiechnięci ludzie. Jedli. Obnażali śnieżnobiałe zęby, przygotowując się do pierwszego gryza. Niektórzy stali przed domami, trzymając znaki z napisem SPRZEDANO! KOLEJNE SPEŁNIONE MARZENIE! Jeszcze inni byli na łodziach ze szklanymi butelkami w dłoniach i papierosami w ustach. Podpis pod zdjęciem głosił: NAJŚWIEŻSZY SMAK! NAJŁAGODNIEJSZY AROMAT PRAWDZIWEGO TYTONIU!

Dookoła niego unosiły się duchy przodków żyjących w czasach, kiedy maszyny nie myślały i nie robiły nic, dopóki nie wydało im się polecenia. Ci ludzie wyglądali jak on. Albo raczej on wyglądał jak oni. Mieli ludzkie włosy i ludzką skórę. Niektórzy byli wysocy, inni niscy. Niektórzy z kręconymi rudymi włosami i twarzami pełnymi rdzawych piegów. Jeden z nich był stary -- prastary! -- i siedział na krześle wyposażonym w koła. Na kolanach miał koc w kratę. Obok stała dziewczynka z różowymi kokardami we włosach. Szczęrzyła do niego zęby. Ludzie ze zdjęć nosili spodnie i sukienki. Trzymali się za ręce. Uśmiechali się. Victor spróbował uśmiechnąć się tak samo. Miał wrażenie, że pękną mu usta.

-- Victorze.

Zamknął oczy i oparł głowę o plakat przedstawiający rodzinny piknik. Dziwny złowieszczy napis poniżej głosił: WIDZISZ COŚ PODEJRZANEGO? ZGŁOŚ TO!

-- Damy radę? -- szepnął.

Siostra Ratched wydała z siebie dwa sygnały.

-- Pytasz mnie o prawdopodobieństwo sukcesu?

Nie. Tak. Nie wiedział. Nie odezwał się.

-- Bo jeśli tak, powiedziałabym, żebyś się tym nie przejmował -
- dodała. -- Odpowiedź tylko by cię zdenerwowała, a ja nie lubię, kiedy się denerwujesz. Rośnie ci wtedy ciśnienie krwi, co może prowadzić do udaru lub zawału. Nie chciałabym, żebyś doświadczył tych dolegliwości. Choć, gdyby tak się stało, pomogłabym ci najlepiej, jak bym mogła, mimo że ten dom nie stanowi sterylnego środowiska. Istniałoby ryzyko wystąpienia infekcji.

-- Niewielkie pocieszenie.

-- Nie wiedziałam, że mam cię pocieszyć. Uruchamiam Program Empatyczny. Już dobrze, Victorze. Oczywiście, że damy sobie radę. Mamy kiepski plan i brak określonego sposobu jego realizacji, ale z pewnością pokonamy wszystkie przeciwności losu i...

-- Dobra, zapomnij -- mruknął chłopak, odpychając się od ściany.

-- Wyłączam Program Empatyczny. Victorze?

-- Tak?

Nie miał czasu na reakcję. Macka pielęgniarki wystrzeliła i zdzieliła go w głowę.

-- Aua! Dlaczego to zrobiłaś?

-- Jakie są zasady?

Potał potylicę i rzucił jej pełne wyrzutu spojrzenie.

-- Nie musisz mi...

-- Jakie... są... zasady?

Westchnął.

-- Trzymamy się razem. Uciekamy, jeśli trzeba.

-- Nie ociągamy się -- dodała. -- Nie dorzynamy, chociaż ta ostatnia zasada jest głupia.

Victor zwiesił głowę i dokończył:

-- Ale przede wszystkim jesteśmy dzielni.

-- Jak najbardziej. Przede wszystkim. Zaszliśmy daleko, Victorze. Szanse na sukces są niskie. To nas jednak nigdy nie powstrzymywało.

-- Nigdy też nie podejmowaliśmy takiej próby -- przypomniał jej.

-- Być może, ale jeśli ktokolwiek miałby odnieść sukces, to tylko my. Chodź. Widać już miasto. Nie uwierzysz własnym oczom.



Nie uwierzył. Przynajmniej z początku. Zupełnie nie wierzył własnym oczom.

Stali przed szerokimi oknami wznoszącymi się od podłogi do sufitu. Mal trzymał Rambo na rękach. Odkurzaczy milczał jak rzadko. Stangret siedział w fotelu. Dłonie trzymał na największej klawiaturze, jaką Vic kiedykolwiek widział. Nie było na niej liter, tylko cyfry i symbole, których nie rozpoznawał.

-- Oto i ono -- oznajmił Stangret i rozparł się w fotelu. -- Niezależnie od tego, jak daleko podróżuję, kiedy tutaj wracam, zawsze zapiera mi dech w piersi. Tak się mówi? Chyba tak, prawda? O, tak. Zapiera mi dech, chociaż nie oddycham.

To było całkiem trafne określenie, bo Victor nie był w stanie złapać powietrza.

W oddali majaczyło Miasto Elektrycznych Snów. Wznosiło się z piasków pustyni.

Było o wiele większe, niż Victor sobie wyobrażał. Z ziemi wyrastały strzeliste wieże. Promienie porannego słońca odbijały się od ich metalowej i szklanej powierzchni. Igllice pokryte były czerwonymi, żółtymi i zielonymi światłami, oślepiająco jasnymi nawet w świetle wschodzącego słońca. Vic nie potrafił porównać tego widoku do niczego innego. Nawet w najśmielszych snach nie wyobrażał sobie, że coś takiego może istnieć. Nie potrafił nawet zinterpretować, co widzi. Serce waliło mu jak oszalałe. Żołądek się zacisnął. Miasto ciągnęło się jak okiem sięgnąć.

Vic nigdy w życiu nie czuł się taki malutki. Nie miał pojęcia, jak w tym ogromie odnajdą ojca.

Wtedy jednak odnalazł wzrokiem najwyższą z wież. Jej wierzchołek skrywała warstwa chmur.

-- Tam -- powiedział ochryple i podbiegł do szyby. -- To jest...

-- Wieża Łaskawości -- dokończył Stangret. -- W to miejsce powinniście się udać. Jeśli Giovanni jest w mieście, to właśnie tam.

Vic przycisnął dłoń do szkła. Było ciepłe. Przesunął palce w dół, kreśląc linię wzdłuż Wieży Łaskawości. Z tak daleka był w stanie zasłonić budowlę kciukiem. To jednak tylko iluzja. Gdyby chmury się rozwiały, być może dostrzegłby kształt Straszliwego Żarłacza dokującego u szczytu wieży.

-- Wasza siostra Ratched ma mapę -- przypomniał Stangret. -- Nie rozmawiajcie z nikim bez wyraźnej potrzeby. Większość maszyn nie zwróci na was uwagi, ale Władza patroluje ulice. Jeśli was znajdzie, zmiecie z powierzchni ziemi w mgnieniu oka.

-- Wszyscy zginiemy -- jęknął Rambo. -- Wszyscy zginiemy!

-- Bzdura -- parsknął Stangret. -- Uda się wam. Słyszałem niezliczone opowieści o grupkach beztroskich awanturników, którzy

stawiali czoła o wiele groźniejszym przeciwnikom.

-- A miały szczęśliwe zakończenie? -- spytał Rambo.

-- Czasami! -- zawołał radośnie gospodarz. -- Ale pomyślcie! Nawet jeśli się wam nie powiedzie, będziecie wiedzieć, że ponieśliście porażkę w imię dobra. Nie ma lepszej śmierci! -- Obrócił się na fotelu i klasnął. -- A to, moi nowi przyjaciele, była motywująca przemowa! Ludzie korzystali z tej techniki, by lepiej się poczuć.

-- Białe kłamstwa -- mruknął Rambo, trącając Mała w brodę wysięgnikiem. Android kłapał na niego zębami.

-- Przygotujcie się, odważni poszukiwacze przygód! -- zawołał Stangret. -- Czas na nikogo nie czeka. Tylko ci o szlachetnych sercach osiągną zamierzony cel! Zaczyna się kolejny etap waszej podróży! Ach, cóż to będzie za przygoda!

Zamilkł i powiódł po nich wzrokiem, wyraźnie czekając na aplauz. Nie doczekał się.



Główna droga rozwidlała się wokół miasta w kilku kierunkach. Stangret skręcił, prowadząc dom po jednej z odnóg mijających aglomerację. Cienie wysokich wież kładły się na ziemi, przesłaniając słońce. Przez okna podróżującego domostwa wpadało niewiele światła. Wnętrze pojazdu było skąpane w półmroku.

Zatrzymali się dopiero po drugiej stronie miasta. Z tej strony budynki wyglądały na ciemniejsze -- zaniedbane, brudne i pokryte warstwą pyłu i piasku. W oddali dało się dostrzec poruszające się maszyny. Wyglądały zupełnie inaczej niż te, które Vic widział wcześniej. Te niczym się od siebie nie różniły. Wszystkie były niskimi metalowymi sześcianami na kołach; wszystkie ubabrane olejem i przeżarte przez rdzę. Miały też ramiona przypominające nieco wysięgniki Rambo, z tym że o wiele, wiele większe. Ich szczypcy były masywne i groźne. Każda maszyna miała numer. Vic

odczytał kilka z nich: TLK-97A, TLK-97B oraz TLK-97D4G. Poruszały się w przód i w tył, rozładowując kontenery pełne palet, tworząc wieże wewnątrz budynku, który wyglądem przypominał ogromny magazyn.

Stangret obrócił się w fotelu i powiódł wzrokiem po pasażerach. Siostra Ratched oraz Rambo wyglądali jak zawsze. Vic włożył swoje przebranie: kamizelkę z baterią i kask, którego pasek wpijał mu się boleśnie w podbródek.

Stangret podarował Malowi nowy płaszcz z kapturem zasłaniającym twarz. Mal nie wyglądał na szczęśliwego, ale założył go bez narzekania. Kolekcjoner powiedział, że to pomoże mu pozostać niezauważonym.

-- Jeśli cię nakryją -- dodał -- możesz powiedzieć, że prowadzisz tę trójkę do Wieży Łaskawości. Ale staraj się nie rzucać w oczy. Nie masz kodu kreskowego...

Mal uniósł rękę, rozprostował palce i skierował wnętrze dłoni ku górze. Stęknął. Vic patrzył w zdumieniu, jak skóra pośrodku dłoni Mala rozwarła się, a z niej wyjechała mała lśniąca gałka. Okrągła wypustka błysnęła światłem, po czym w powietrzu pojawił się holograficzny kod kreskowy.

Stangret zaniemówił z otwartymi ustami.

-- Skąd...? Jak to...?

Mal spojrzał na niego ze swoją typową naburmuszoną miną.

-- Ć-ć-ćwiczyłem. J-jestem jak oni. M-mogę robić to co oni.

Stangret otrząsnął się z szoku.

-- Ale wycofano cię z użytku. Wyrzucono na śmieci. A to znaczy, że rozpoznają twój kod, kiedy go przeskanują. Dla zachowania pozorów wystarczy, ale tylko do czasu skanowania.

Kod zniknął i android opuścił rękę. Spojrzał na Vica.

-- Co?

Vic pokręcił głową.

-- Jesteś... niesamowity.

Na twarzy Mała pojawił się dziwny wyraz. Usta mu drgnęły, brwi uniosły nieznacznie.

-- N-naprawdę?

-- O, tak -- westchnął Rambo. -- Marionetka Agresywno-Lekceważąca to najlepsza marionetka!

Mał wyglądał na zadowolonego, choć starał się ukryć satysfakcję.

-- J-jestem M-Mał. Jestem nies-s-samowity.

-- Się wie! -- zawołał Rambo. -- A ja jestem Rambo! Miasto Elektrycznych Snów będzie nasze! Nadchodzimy i odniesiemy sukces!

-- To się skończy tragicznie -- mruknęła siostra Ratched. -- Nie mogę się doczekać.



Przekroczyli próg domu i stanęli na piasku. Było o wiele cieplej niż w Krainie Zabawek. Po śniegu nie został ślad. Vic natychmiast zaczął się pocić. Ciężar przebrania doskwierał mu bardziej niż wcześniej. Metalowa kamizelka obcierała skórę, a kask zjeżdżał na bok głowy. Siostra Ratched kazała mu mówić, że ma wyciek chłodziwa, gdyby ktoś zapytał.

-- Zostańcie za mną -- mruknął Stangret, prowadząc ich w kierunku pracujących maszyn. -- Zagadam do nich pierwszy. Jeśli ktokolwiek się do was odezwie, niech odpowiada siostra Ratched. Jest z was najmądrzejsza.

-- Prawda -- przytaknęła pielęgniarzka.

-- Jeśli pojawią się kłopoty, kierujcie się w stronę domu -- ciągnął Stangret. -- Kiedy powiem "uciekajcie", macie uciekać. Wró-

cimy i wymyślimy nowy plan. -- Pokręcił głową. -- To znaczy, jeśli przetrwamy.

-- Wydawało mi się, że mówiłeś, że to jedyne wejście -- powiedział Rambo, piszcząc smutno, gdy Mal kazał mu porzucić kamyki, które zebrał, odkąd wyszli na świeże powietrze.

-- Bo tak jest -- odparł ich przewodnik. -- Ale miło myśleć, że mamy inne opcje, nieprawdaż? Chodźcie. Widzę maszynę, z którą muszę porozmawiać. Wisi mi przysługę. Sprawdźmy, czy dzisiaj będzie chciała spłacić dług.

Nikt ich nie zatrzymał, kiedy podeszli bliżej. Vic zerkał co chwila na najbliższe automaty, ale te nie zwracały na nich uwagi. Każdy zdawał się kompletnie pochłonięty pracą. Urządzenia przenosiły kontener za kontenerem do magazynu. Chłopak osłonił oczy ręką, patrząc pod słońce na panoramę miasta. Stąd wieże wyglądały na jeszcze wyższe. Nigdy czegoś takiego nie widział. Przystanął na moment, zastanawiając się, jakich jeszcze cudów w życiu nie doświadczył.

-- Zostańcie tutaj -- polecił Stangret. -- Nie ruszajcie się. I z nikim nie rozmawiajcie. -- Odwrócił się na pięcie. Poły długiego płaszcza załopotwały na wietrze. Ruszył naprzód ku wielkiej maszynie, wołając z daleka: -- Bernard, ty wielka kupo żelastwa! Co tam u ciebie, stary druhu? Mam nadzieję, że wszystko dobrze!

Maszyna o imieniu Bernard różniła się od innych. Kształtem bardziej przypominała człowieka, aczkolwiek podobieństwo kończyło się na tym, iż stała na dwóch nogach. Bernard nie był pokryty skórą, miał za to cztery ręce -- górne ramiona wyrastały z barków, a dolne z torsu. Nie miał głowy. Zamiast niej klatkę piersiową wieńczyła duża metalowa misa, której wewnątrz wypełniały lśniące od wilgoci wypustki, które służyły jako projektory. Nad misą unosił się bowiem obraz twarzy. Hologram zniekształ-

cały zakłócenia -- rozmywały oczy i czerwone usta Bernarda. Jak tylko Stangret podszedł bliżej, robot oparł czworo ramion na biodrach.

Odezwał się głosem brzmiącym tak, jakby ktoś upuścił na ziemię metalową beczkę wypełnioną śrubami, nakrętkami i innym żelastwem.

-- Chyba już ci mówiłem, że nie chcę cię więcej widzieć.

Stangret się zaśmiał.

-- Oj tam, bez przesady! Jesteśmy starymi przyjaciółmi, Bernardzie. Łączą nas wspólne przeżycia.

-- Owszem -- burknął czteroramienny. -- I właśnie te wspólne przeżycia sprawiają, że mam ochotę zniszczyć cię tam, gdzie stoisz.

Wąsacz uniósł ręce.

-- Nie działajmy zbyt pochopnie. Myślałem, że między nami sztama.

-- Masz usterkę obwodu pamięci? Po tym, co się wydarzyło ostatnim razem, mielibyśmy dalej ze sobą trzymać? Prawie wycofano mnie z eksploatacji!

-- I to właśnie w tobie lubię, Bernardzie. Nie chowasz urazy! -- Stangret obejrzał się przez ramię, po czym przeniósł wzrok z powrotem na robota. -- Czy muszę ci przypomnieć, co mi zawdzięczasz? Błękitna Wróżka wspominał, że całkiem ci się podobało, kiedy wsadził rękę w twoją...

Bernard rzucił się na Stangreta i zatkał mu dłonią usta. Kolejnymi dwiema rękami złapał go za barki, a ostatnią zacisnął w pięść i uniósł nad głową mężczyzny. Rozejrzał się gorączkowo, czy nikt ich nie podsłuchuje. Sześciennie maszyny zupełnie nie zwracały na nich uwagi. Nadal przeładowały kontenery.

-- Zamknij jadaczkę -- warknął Bernard.

Stangret odepchnął go od siebie.

-- Dobrze już, dobrze. Pomińmy formalności. Czas, żebyś spłacił swój dług. -- Kolekcjoner ponownie spojrzął do tyłu, po czym złapał Bernarda za rękę i odciągnął dalej, ścisząc głos. Vic nie słyszał, o czym rozmawiali, ale każde wypowiedane słowo Stangret podkreślał, kłując palcem wskazującym w pierś rozmówcy. Bernard nie odepchnął go od siebie, więc chłopak miał nadzieję, że oznacza to, że słucha, co się do niego mówi.

W pewnym momencie głowa automatu zaczęła się powoli obracać, zatrzymując na Vicu i przyjaciółach. Rambo pomachał, zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać.

-- Wydaje się miły.

-- Martwię się o ciebie -- powiedziała siostra Ratched.

-- Serio? Dzięki!

Rozmowa zajmowała zbyt dużo czasu. Vic czuł się bezbronny, stojąc na otwartej przestrzeni w cieniu wież miasta. W każdej chwili spodziewał się usłyszeć syreny alarmowe. Mogliby wtedy zacząć uciekać, jak nakazał Stangret, ale wątpił, by zaszli daleko. W głowie Mała kłębiły się podobne myśli, bo nachylił się i szepnął Vicowi do ucha:

-- Ja złapię Rambo. T-ty uciekaj. B-będziemy tuż za t-tobą.

Chłopak przekrzywił głowę. Policzek otarł o zarost Mała i po plecach przeszedł mu dreszcz.

-- Damy radę?

-- N-nie -- mruknął Mał, nie odsuwając się. -- A-ale musimy spróbować.

Zastygł w przerażeniu, kiedy Stangret zawirował i ruszył w ich kierunku.

Z jego twarzy nie dało się niczego wyczytać. Bernard stał nieruchomo, patrząc na plecy kolekcjonera.

-- I co? -- spytała siostra Ratched, kiedy muzealnik do nich dołączył. -- Jest się czym martwić?

Robot pokręcił głową.

-- Oczywiście, że nie! Mówiłem, że was wprowadzę i nie myliłem się. Nie ma żadnego problemu. Absolutnie żadnego.

-- To białe kłamstwo? -- spytał Rambo.

-- Niewątpliwie -- stwierdziła pielęgniarka.

Stangret zacisnął dłonie.

-- No dobra, jest jeden problemik. Tyci. Nie ma się czym przejmować. Tak naprawdę to byłby, gdybyście odczuwali lęk przed małymi ciasnymi pomieszczeniami. Ale żadne z was nie cierpi na klaustrofobię, prawda?

-- Jak małymi? -- spytał Rambo. -- I jak bardzo ciasnymi?

Stangret rozciągnął usta w uśmiechu i poruszył wąsem.

-- Tobie nic się nie stanie. Szczerze mówiąc, trochę się martwię o pozostałych, bo są odrobinę... więksi od ciebie.

-- G-gadaj, o co cho-o-dzi -- warknął Mal.

Kolekcjoner zrobił grymas.

-- Tak, no cóż... Bernard nie może tak po prostu kogoś wprowadzić do miasta. Wdrożono nowe wytyczne. Zaostrzone przepisy bezpieczeństwa, przeciwdziałanie infiltracji ze strony obcych i takie tam. Wykryją was w momencie, gdy przekroczycie bramę miasta.

Mal zrobił krok naprzód, zacisnął pięści i wykrzywił usta ze wściekłością.

-- M-mówiłeś, że n-nas wprowadzisz do ś-środka!

-- I tak będzie -- zapewnił Stangret, robiąc na wszelki wypadek krok wstecz. -- Widzicie te ładowane przez maszyny kontenery?

Vic poczuł nagły przypływ niepokoju.

-- No. I co?

Mężczyzna ponownie ukazał zęby w szerokim uśmiechu.

-- Ukryjcie się w nich. Będziecie bezpieczni. Każdy z nich ma określony adres docelowy. Po zeskanowaniu na wjeździe do miasta kontenery ładuje się i rozsyła po całej aglomeracji. Do Nieba nie ma żadnych dostaw, bo Błękitna Wróżka zazwyczaj zdobywa to, czego potrzebuje bardziej... tajnymi sposobami, ale dojedziecie całkiem niedaleko. W każdym razie bliżej, niż gdybyście weszli do miasta na własnych nogach. Widzicie? Łatwizna! Bułka z masłem!

Spojrzał na Vica i zniżył głos do szeptu.

-- Nie tak mówią ludzie? Bułeczka z maselkiem? Kaszka z mleczkiem? Coś w ten deseń, prawda?

-- Kontenery są chyba wystarczająco duże -- stwierdziła siostra Ratched. -- Po jednym dla każdego z nas. Jesteś pewien, że wszystkie zostaną dostarczone w to samo miejsce?

Stangret podciągnął kołnierz płaszcza, po czym poprawił cylinder na głowie.

-- Tak, to byłoby najlepsze rozwiązanie. Oczywiście.

-- A-ale...? -- mruknął Mal.

-- Ale Bernard może nam dać tylko dwa kontenery -- przyznał kolekcjoner po chwili. Spoglądał to na Vica, to na Malę. -- Początkowo oferował tylko jeden. Udało mi się wynegocjować drugi, kiedy przypomniałem mu o jego... upodobaniach i o tym, jak by to wyglądało, gdyby ktoś się o nich dowiedział. Ten robot ma naprawdę specyficzny gust. Delikatnie mówiąc: dziwaczny. Będziecie musieli się do siebie przytulić. Ale wy się chyba lubicie przytulać, więc nie powinno być problemu. Siostra Ratched i Rambo w jednym kontenerze, Marionetka Agresywno-Lekceważąca oraz Victor w drugim. Trochę ciasno, ale powinno się udać.

Wbili w niego wzrok.

Stangret uśmiechnął się niewinnie.

-- Po waszych minach wnioskuję, że niezwykle się cieszyacie na możliwość... Nie? Nie jesteście podekscytowani? Dlaczego Marionetka Agresywno-Lekceważąca wygląda, jakby dym miał się jej zacząć ulatniać uszami?

Vic wkroczył między Mala i Stangreta, zanim android zdążył rzucić się na kolekcjonera z morderczym zamiarem.

-- W porządku.

Poczuł, że Mal łapie go za plecak.

-- Zróbmy to.

-- Wspaniale! -- wykrzyknął Stangret. -- Wiedziałem, że dacie się namówić. Ach, ta ludzka zdolność adaptacji! Zawsze wiedziałem, że potrafisz improwizować! Odkąd cię poznałem. Znaczący od wczoraj. Tak czy inaczej, wszystko się ułoży. Zobaczycie. Pomyślcie tylko o tym czasie, który spędzicie ściśnięci razem jako o okazji do podzielenia się swoimi najgłębszymi przemyśleniami. Pozwierzacie się nawzajem, może otworzycie przed sobą, kto wie? Tak na wypadek, gdyby miało się nie udać. -- Spojrzał na Vica i Mala, poruszając szybko brwiami. -- Możecie sobie na przykład powiedzieć coś, co zawsze chcieliście powiedzieć, ale baliście się reakcji.

-- O cz-czym on m-mówi? -- szepnęła Mal Vicowi do ucha. -- G-gada i g-gada, a nic n-nie mówi. N-nie p-podoba mi się ten typ.

Vic też nie był pewien, o co chodzi Stangretowi, ale zachował tę myśl dla siebie, na wypadek gdyby ten zmienił jednak zdanie i zostawił ich na pastwę losu.

-- Kiedy? -- spytał.

-- Niebawem -- odparł kolekcjoner. -- Ty i Mal będziecie udawali inspektorów. Bernard mówi, że kolejna inspekcja powinna pojawić się dopiero za tydzień, więc nie ma możliwości, że zaskoczy was ktoś z Władzy. Musicie zachowywać się oschle i władczo.

Trzymać dystans. Mał, tobie to przychodzi naturalnie. Rambo i siostra Ratched będą twoimi asystentami.

Rambo zaczął jeździć w kółko, wydając pełne ekscytacji piski.

-- Zawsze chciałem być asystentem! Vic, Vic! Słyszałeś? Mogę asystować!

-- I tak to robisz -- wtrąciła siostra Ratched.

Rambo stuknął w jej obudowę.

-- Ty to zawsze wiesz, co powiedzieć.

-- Teraz twoja kolej. Powiedz coś, co podniesie mnie na duchu.

-- Będziemy współlokatorami jednego kontenera! Współkonteneratorami!

Na ekranie siostry Ratched pojawiła się buźka ze zmarszczonymi brwiami.

-- Wracam do lasu.

-- Vic -- powiedział Stangret. -- Wyglądasz jak maszyna, ale musisz zacząć się też odpowiednio zachowywać. Zachowuj się tak, jak nigdy się jeszcze nie zachowywałeś! Daj nam popis! Jesteś maszyną. Jesteś inspektorem! Dawaj, pokaż, na co cię stać. Spraw, że ci uwierzemy.

Vic przestąpił z nogi na nogę. Kask zjechał mu na oczy. Odsunął go i odchrząknął.

-- Eee. Te kontenery zawierają to, co mają zawierać?

-- Brawo! -- krzyknął Stangret. -- Bis! Bis! Jesteś taki wiarygodny! Dasz sobie radę. Nie strać tylko tej energii. Nie pozwól, by ktokolwiek ci ją odebrał!

Vic mrugnął.

-- Ale przecież jeszcze nic...

-- Jak długo będziemy w kontenerach? -- spytała siostra Ratched.

-- Zupełnie niedługo. Może kilka godzin. Bernard załatwi, żebyście zostali wysłani do magazynu zamkniętego na czas renowacji. Prace mają się rozpocząć w przyszłym miesiącu, więc powinien być pusty. Kiedy poczujecie, że kontener przestaje się poruszać, poczekajcie jeszcze przynajmniej godzinę, a potem wyjdźcie na zewnątrz.

-- Ten plan jest dziurawy jak sito -- mruknęła siostra Ratched.

-- Jak wszystkie najlepsze plany! -- powiedział z dumą Stangret. -- Rambo, przestań zbierać kamienie, ty uroczy urwisie. Nie będziesz miał czasu na zabawę, kiedy...

We wnętrzu magazynu zawyła syrena.

Stangret otworzył szeroko oczy.

-- Zmiana warty! Lecimy, natychmiast! -- Obrócił się i ruszył szybkim krokiem w kierunku kontenerów.



Masywne maszyny ruszyły gęsiego w kierunku wrót prowadzących na tyły magazynu. Gdy przejeżdżały przez próg, nad przejściem zapalała się zielona lampka. Żadna z nich się nie odzywała ani nie zwracała uwagi na Vica i jego kompanów. Wyglądały na nieświadome własnego otoczenia.

Magazyn wyglądał niczym jaskinia. Dźwięk kroków przyjaciół odbijał się echem w kompletnej ciszy, jaka w nim panowała. Kontenery sięgały prawie do samego sufitu. Na każdym widniał niewielki ekran z wyświetlonymi ciągami cyfr i liter. Nie dało się z nich odczytać ani ich zawartości, ani miejsca nadania.

Bernard poprowadził ich do ściany budowli. Stawiał mocne kroki na cementowej posadzce. Stangret szedł obok, gawędząc o wszystkim i o niczym. Jego kompan nie odpowiadał. Vic i Mal udawali, że patrzą na kontenery, jakby poddawali je inspekcji, choć w rzeczywistości ledwie rzucali okiem na ekrany. Ich prze-

wodnik nie zwalniał kroku. Parł przed siebie w niezmiennie szybkim tempie.

Rambo prawie doprowadził do tego, że zostaliby złapani.

W jednej chwili jechał u boku siostry Ratched tuż przed Vikiem i Malem, a w następnej zawył z radości i popędził w prawą stronę.

-- Rambo! -- syknął Vic, rozglądając się dookoła w nadziei, że nikt go nie obserwuje. -- Rambo! Wracaj tu natychmiast!

Odkurzacz nie słuchał. Zatrzymał się przed maszyną zaparkowaną między dwoma kontenerami ustawionymi pod ścianą. Automat był duży i niebieski, z czarnymi elementami oraz okazałą okrągłą szczotką zamontowaną do podwozia.

-- O nie -- jęknął Stangret, gdy Bernard spojrział za zbiegiem.

Rambo nie zwracał na nich uwagi.

-- Ja... cię... kręcę -- stęknął. -- Jesteś odkurzaczem! Zupełnie jak ja! Witaj, kuzynie! Zamachał wysięgnikami w kierunku większego odkurzacza. -- Mam na imię Rambo. Też jestem odkurzaczem. Przybywam z... a, nie. Tego ci nie mogę powiedzieć. Wierz mi, to długaśna historia pełna nieoczekiwanych zwrotów akcji. Odnoszę wrażenie, że jestem jedynym odkurzaczem w dziejach, który... Ojej. Patrzcie tylko, jaka wielgachna szczotka. Moja własna wydaje się strasznie mała w porównaniu. Przy tobie czuję się niewiele wart.

Rząd maszyn nagle się zatrzymał.

Wszystkie powoli odwróciły się w kierunku Rambo i zaczęły wydawać niskie pomruki.

Niebieski odkurzacz drżał, gdy Rambo raz za razem odbijał się od niego.

-- Hej! Ej, ty! Mówię do ciebie, kuzynie! Jak urosłeś taki wielki? Co najbardziej lubisz sprzątać? Ja najbardziej lubię trociny, bo trochę łaskoczą, kiedy je...

U góry niebieskiego odkurzacza zaczęło migać białe światło.

-- Ty się ładowałeś -- stwierdził Rambo, objeżdżając robota dookoła. -- Obudziłem cię? Przepraszam. Nie chciałem. Nigdy wcześniej nie poznałem innego odkurzacza. Jestem taki podekscytowany. Zostaniemy przyjaciółmi? Cholercia. Nie mogę zostać na dłużej. Może będziemy pisali do siebie listy? Ojej, tyle że ja nie umiem pisać. Poza tym tam, gdzie mieszkamy, chyba nie dostarczają poczty. Vic, hej, Vic! Czy do lasu dochodzi poczta?

Vic gapił się na niego z otwartymi ustami i stał jak wryty. Sygnały dźwiękowe dochodzące z maszyn załadunkowych przybrały na sile.

Siostra Ratched zachowała zimną krew. Ruszyła w kierunku Rambo, świecąc wykrzyknikami z ekranu.

-- Przyjmij moje przeprosiny -- powiedziała do niebieskiego robota, dając jednocześnie macką kuksańca w obudowę Rambo. -- Mój asystent bywa nadmiernie wylewny. Idź spać. Nie ma tu na co patrzeć. Jesteśmy jedynie zwykłymi inspektorami. Przeprowadzamy kontrolę. Zaznaczyłam w protokole, że zaliczyłeś. Oby tak dalej. Gratuluję. Złożę podanie o pochwałę za twoją ciężką pracę. Dziękuję. Dziękuję. -- Zaczęła odciągać trochę rozdrażnionego Rambo od większego kuzyna.

Bernard posłał Stangretowi zdeorientowane spojrzenie. Ten zaś roześmiał się tylko bezradnie.

-- Tak, no wiem. On jest... szczególnym przypadkiem. Wybacz mi, Bernardzie. To się więcej nie powtórzy.

-- Powinienem zabić cię tu i teraz -- warknął Bernard.

-- Niech żyje ssanie! -- zawołał Rambo.

-- Zaraz go uspokoję -- zapewnił kolekcjoner. Obrócił się do Vica i Mala i zmrużył oczy. -- Gdyby byli panowie tak uprzejmi opanować asystenta podczas dokonywania kontroli, bylibyśmy

niezmiernie wdzięczni. Skoro są panowie inspektorami -- powiedział z naciskiem na ostatnie słowo -- mogliby panowie skupić się na inspekcji!

Vic szybko się poderwał.

-- Tak, oczywiście. Nadzór. Po to tu jesteśmy.

Rozejrzał się niepewnie.

Mał wskazał wysoki stos skrzyń.

-- T-te wyglądają, jakby u-ustawiono je p-poprawnie.

Vic pokiwał głową.

-- Fakt. W życiu nie widziałem tak poprawnie ustawionych skrzyń.

Odwrócił się do wciąż burczących maszyn załadunkowych. Serce waliło mu w panice jak oszalałe.

-- Świetnie się spisaliście. Nie widzę żadnych problemów. Kontynuujcie... co tam robiliście.

Maszyny przestały wydawać dźwięki i wróciły na swoje miejsca, ruszając powoli z powrotem.

Vic odetchnął z ulgą, kiedy siostra Ratched zaciągnęła Rambo z powrotem do grupy. Mał kucnął i spiorunował go wzrokiem.

-- O-o -- pisnął odkurzacz. -- Znam tę minę. Jak Mał robi taką minę, to nie wróży nic dobrego. Co prawda robi ją bardzo często, ale i tak nie ma żartów.

-- Z-zamknij japę.

Rambo zasalutował szczypcami.

-- Tak jest. Pytanie: ja nie mam japy, więc co konkretnie miałeś na... ojej, ta mina jest jeszcze gorsza. Chyba po prostu przestanę już mówić.

Mał podniósł robota i posłał Bernardowi chłodne spojrzenie.

-- Żaden dług nie jest tego wart -- mruknął Bernard.

Ruszyli dalej w kierunku zaplecza magazynu. Rambo mamrotał obrażony, że zjazd rodzinny został popsuty, zanim jeszcze na dobre się rozpoczął.

-- Wszystko wygląda w porządku -- zawyrokował Vic, usiłując zagłuszyć narzekania odkurzacza. -- Najwydajniej zarządzany magazyn, jaki znam. Siostrze Ratched, proszę to zapisać.

-- Oczywiście, Victorze. Jak ja kocham, kiedy mi się rozkazuje. -- Jej słowom zaprzeczył ekran, na którym pojawił się obrazek przedstawiający dłoń wykonującą gest powszechnie uważany za obraźliwy. -- Chciałabym też zauważyć, że twój kask wygląda dziś wytwornie. Pasuje ci wyjątkowo. Mam nadzieję, że już nigdy go nie zdejmiesz.

-- Ha-ha -- wtrącił Stangret.

Vic pomyślał, że gdyby wąsacz miał gruczoły potowe, teraz po twarzy spływałyby mu słone strumienie.

-- Wszystko idzie doskonale. Wszystko w porządku. Mamy to pod kontrolą.

Bernard powiódł ich w głąb magazynu, w sam róg hali. Kolejka maszyn zniknęła. W ciemnym, zakurzonym kącie stał rząd pustych kontenerów z otwartymi wiekami i ciemnymi monitorami. Z bliska wyglądały na jeszcze mniejsze, niż Vic się spodziewał.

-- To te -- powiedział Bernard. Jego głowa w dalszym ciągu się obracała, choć już wolniej. Wzrokiem omiatał cały budynek. -
- W nich zostaniecie wwiezieni.

Siostra Ratched przechyliła jedną ze skrzyń, by zajrzeć do środka. -- Może być ciasno. Obawiam się, że jestem za duża.

-- Niemożliwe -- przerwał jej od razu Stangret. -- Jesteś boginią. Masz idealną figurę. Po prostu najpiękniejsza maszyna w naszej długiej historii.

-- Nie o to mi chodziło, ale dziękuję. Owszem, jestem doskonała. Gdybyśmy nie mieli misji do wykonania, poprosiłabym, abyś dotrzymał mi towarzystwa i mnie zabawił.

Stangret skłonił się nisko.

-- To byłby zaszczyt, o pani. Aż mnie obwody świerzbą na samą myśl, co moglibyśmy razem zrobić. Mam, jak by to ująć, kosmate myśli.

-- Obrzydlistwo -- mruknął Rambo wtulony w Mała.

-- Kiedy do nich wejdziecie, musicie być cicho -- ostrzegł Bernard, żalując wszystkich podjętych tego dnia decyzji. -- Zaprogramuję adres. Kiedy przyjedzie następna zmiana, zostaniecie załadowani i przewiezieni za mury miasta.

-- U-ufasz mu? -- spytał Mał Stangreta.

Ten wzruszył tylko ramionami.

-- Wierzę, że Bernard pamięta, ile mam na niego haków. Jeśli nas wyroluje, już ja będę wiedział, co zrobić, by dostał naganę. Albo nawet żeby został wycofany z eksploatacji.

-- Nie chcę cię więcej widzieć -- warknął magazynier. -- Jesteśmy kwita.

Stangret poklepał go po jednym z ramion.

-- Teraz tak mówisz, ale za jakieś sto lat za mną zatęsknisz.

-- Szczerze wątpię. -- Jego głowa przestała się kręcić, gdy podszedł do pierwszej skrzyni. Monitor na kontenerze rozjarzył się, gdy dotknął go palcem. Skrzynia zatrzęsała się i spadła. Leżała teraz płasko rozłożona na ziemi.

Stangret wziął siostrę Ratched za jedną z macek i poprowadził na środek kontenera.

-- Będę cię musiał teraz położyć na plecach -- powiedział, podkręcając wąż z zalotnym uśmiechem. -- Obiecuję zrobić, co w mojej mocy, żeby ci było przyjemnie.

-- Ach, ty stary flirciarzu -- mruknęła siostra Ratched swoim beznamytnym głosem. -- Znam takich jak ty.

Stangret błysnął uśmiechem.

-- Domyślam się. -- Chrząknął, układając pielęgniarkę na plecach. -- Będziesz go chronić, prawda? On jest... bezcenny.

-- Wiem -- rzuciła maszyna medyczna. -- Stangrecie?

-- Tak, moja słodka?

-- Jeśli zostaniemy zdradzeni, jeśli Bernard spróbuje powiadomić kogokolwiek o naszej obecności w mieście, znajdę drogę ucieczki. Najpierw wrócę tu po niego. A kiedy z nim skończę, znajdę ciebie. Nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie byłbyś w stanie się ukryć. Każdego dnia przez resztę swych dni będziesz musiał oglądać się przez ramię. A kiedy będziesz się najmniej spodziewał, pojawię się ja. Wetknę ci wiertło tak głęboko w tyłek, że poczujesz jego smak na języku. Włączę je na największe obroty i skotłuję wszystko, co sprawia, że jesteś, kim jesteś.

-- I będziesz miała do tego pełne prawo -- stwierdził Stangret. Przycisnął dłoń do jej ekranu. -- Jeśli do tego dojdzie, będę na ciebie czekał z otwartymi rękami.

-- Serio -- mruknął odkurzacz -- to naprawdę obleśne.

Mal odsunął kolekcjonera i postawił Rambo na obudowie siostry.

-- B-bez gadania -- ostrzegł.

-- Mal? -- spytał Rambo.

-- Co?

-- Kocham cię.

Mal skrzywił się w gniewnym grymasie. Już chciał się odwrócić, ale zatrzymał się na chwilę. Wykrzywił twarz jeszcze bardziej. Spojrzał na odkurzacz i pochylił się nad nim. Słowa, jakie wypowiedział, zdumiały Vica.

-- A ja t-toleruję twoją e-egzystencję. -- Po czym złapał jeden z wyciągniętych odkurzacza i potrząsnął nim.

-- Rany -- szepnął Rambo, gdy Mał go puścił. -- Siostró Rat-ched, słyszałaś? On też mnie kocha!

-- N-nie to p-powiedziałem.

-- No przecież słyszałem! Nie ma odwoływania!

-- Umrę w tym pudle -- stwierdziła z rezygnacją siostra Rat-ched.

Bernard zrobił krok naprzód i dotknął ekranu. Ściany kontenera uniosły się i zamknęły nad dwoma robotami. Vic dostrzegł jeszcze radośnie machającego Rambo.

-- Do zobaczenia -- szepnął chłopak, gdy wieko się zatrzasnęło.

Bernard wskazał im kolejny kontener, stojący kilka metrów dalej.

-- Ten jest dla was.

-- I nie jest szczelny, prawda? Powietrze będzie swobodnie przez niego przepływać? -- spytał Stangret.

Magazynier zmarszczył brwi.

-- Jak najbardziej. Zgodnie z umową. Służy do przewozu fauny i flory.

Obrzucił jeszcze wzrokiem Vica i Mała, po czym spojrzał ponownie na Stangreta.

-- Ale dlaczego właściwie jest to konieczne? Czy oni przewożą ze sobą coś żywego?

-- Słucham? -- wykrzyknął kolekcjoner z oburzeniem. -- Odbieram to jako zniewagę. Nigdy nie pozwoliłbym, by...

-- Wyglądasz znajomo. -- Bernard zwrócił uwagę na Mała. -
- Czy my się nie znamy?

Android spuścił głowę tak, aby kaptur zasłonił mu twarz.

-- N-nie.

Bernard mruknął w zamyśleniu.

-- Lepiej, zebym nie miał kłopotów, Stangrecie.

-- Nie martw się -- odparł wąsacz. -- Nic ci nie grozi. Nie wiem, co za głupie myśli przelatują ci przez ten misowaty łeb. Jestem praworządnym obywatelem. Wszystko, co robię, jest zgodne z prawem i...

-- Nie chcę więcej wiedzieć -- mruknął Bernard. -- Sami dacie radę wejść? Jeśli nie, mogę rozłożyć skrzynię tak jak poprzednią.

-- P-poradzimy sobie -- zapewnił Mal. Zdjął plecak i wspiął się do środka, po czym usiadł i oparł o ścianę kontenera. Rozprostował nogi. Podeszwami dotknął przeciwległego krańca skrzyni. Ułożył plecak obok siebie i zjechał plecami niżej.

-- Dlaczego wszedłeś pierwszy? -- spytał Vic, którego nagle naszły wątpliwości. Pudło było zdecydowanie za małe, szczególnie kiedy połowę przestrzeni zajmował w nim Mal.

Android popatrzył mu w oczy.

-- Jestem w-większy.

-- Niebo -- zadudnił Rambo z wnętrza drugiego kontenera. -
- Jestem w niebie.

-- Chyba powinienem dostać oddzielną skrzynię.

-- Wskakuj -- polecił Bernard. -- Kończy nam się czas.

Vic westchnął, przekładając plecak na brzuch. Uniósł kask zjeżdżający mu na twarz i wlaź do pudła, uważając, by nie nadeptać na Mala.

-- Aua -- syknął android, gdy Vic trafił na jego nogę.

Chłopak spuścił wzrok i zaczął przeproszać.

-- T-to był ż-żart -- rzucił Mal. Victor był gotów przysiąc, że na jego ustach majaczy uśmiech. Trwało to jednak tylko sekundę.

-- Nie jesteś zabawny -- burknął chłopak, wciskając się do kontenera. -- Ktokolwiek ci tak powiedział, kłamał.

-- To byłem ja! -- Usłyszeli stłumiony głos Rambo. -- Ja mu powiedziałem!

-- Cisza -- zgromił go Bernard i uderzył w wieko zamkniętej skrzyni.

-- Dobra!

Vic ułożył się na Malu i oparł plecami o jego tors. Nogi trzymał między nogami androida. Usiadł sztywno i zamarł w niewygodnej pozycji, ale po chwili Mal otoczył go ramieniem i przyciągnął do siebie. Jego usta zawisły na wysokości ucha chłopaka.

-- O-odpreź się -- szepnął.

-- Usiłuję.

-- U-usiłuj bardziej.

Vic odchylił głowę i oparł ją o ramię kompana. Było ciasno. Plecak Mala uwierał go w bok, a jego własny przygniatał mu brzuch. Miał nadzieję, że to nie potrwa długo.

Właśnie odkrył, że nie jest fanem tak ekstremalnej bliskości. Zakręciło mu się w głowie i wszystko zaczęło go swędzieć.

Stangret stanął nad nimi tuż obok pojemnika.

-- Bernardzie, zostaw nas na chwilę, jeśli łaska. Muszę porozmawiać z przyjaciółmi na osobności.

-- Macie minutę -- powiedział magazynier. -- I ani chwili dłużej. Nie zmuszaj mnie, bym tego pożałował.

Odsunął się o kilka kroków.

Kolekcjoner uklęknął przy skrzyni i położył rękę na jej krawędzi. Vic spojrział w górę. Mal trzymał go za boki, wpijając palce w skórę. Victor ze zdziwieniem stwierdził, że to go uspokaja. Poczul ulgę, choć nie wiedział dlaczego.

-- Drogi chłopcze -- powiedział cicho Stangret. -- Dziękuję ci.

-- Za co?

-- Pokazałeś mi, że świat nie jest tak zimny, jak myślałem.

Sięgnął do wnętrza skrzyni i uściskał dłoń chłopaka.

Nagle Vicowi zabrakło słów. Gardło mu się zacisnęło. Skinął więc tylko głową, ściskając prawicę Stangreta.

-- Życzę wam powodzenia -- szepnął jeszcze kolekcjoner, cofając dłoń. -- Mam nadzieję, że znajdziecie to, czego szukacie.

-- Stangrecie -- powiedział Bernard z niecierpliwością. W jego głosie było słycać zdenerwowanie. -- Już czas.

-- Tak -- mruknął wąsacz z ciepłym uśmiechem. -- Już czas.

Wstał, poruszył wąsem i zniknął z pola widzenia Vica.

W jego miejsce pojawił się Bernard. Zanim zatrzaskał pokrywę, rzucił jeszcze:

-- Jest tu przycisk. Po waszej prawej stronie. Widzicie?

-- Tak.

-- Służy do otwierania kontenera. Nie naciskajcie go, zanim nie upewnicie się, że nikogo nie ma w pobliżu.

-- Dziękujemy.

-- Nie dziękujcie mi. Po prostu zapomnijcie, że mnie kiedykolwiek widzieliście.

Zamknął i zamknął skrzynię. Chwilę później Vic usłyszał pojedyncze piśnięcie i zamek się zatrzaskał. Potem w lewym górnym rogu skrzyni zapaliła się mała biała żarówka, a z wentylatorów umieszczonych na bocznych ścianach pojemnika zaczęło płynąć chłodne powietrze. Vic wciągnął je do płuc. Pachniało środkami do dezynfekcji.

Zamknął oczy i zacisnął dłonie na plecaku.

-- J-już dobrze -- mruknął łagodnie Mal. -- W-wszystko w porządku. Już d-dobrze.

Vic stłumił śmiech.

-- Próbujesz podnieść mnie na duchu?

-- Nie. P-próbuję powstrzym-mać twój atak p-paniki, żeby n-nas nie złapali.

-- A.

-- D-działa?

-- Nie jestem pewien.

-- N-nie ruszaj się.

Vic otworzył oczy i zastygł w bezruchu. Wdychał powietrze przez nos i wypuszczał je ustami. Czuł za sobą ciepłe ciało Mala. Ręce androida opłoty biodra chłopaka, a palce lekko pocierały metalową powierzchnię kamizelki. Było tak mało miejsca w tej ciasnej skrzyni. Niezwykle ciasnej, a oni byli w niej uwięzieni. Vic odwrócił głowę, próbując odnaleźć przycisk, o którym wspomniał Bernard. Wypatrzył go w rogu kontenera nad własnymi stopami. Wystarczyło tylko kopnąć, a pojemnik otworzyłby się. Byliby wolni. Mogliby wstać. Mogliby odetchnąć pełną piersią. Powietrze wewnątrz stawało się gęste. Vic mocniej zacisnął pięści na akumulatorze. Robił, co w jego mocy, by nie stracić nad sobą panowania. Poczul, że zbiera mu się na wymioty. Zaczęło palić go w przełyku i gardle.

Mal przerwał ciszę.

-- P-powiedz mi -- szepnął.

-- Co? -- Vic gwałtownie nabrał powietrza i się przekręcił. Metal, skóra i drewno przyłgnęły do jego pleców. Uderzył kaskiem w wieko skrzyni. W głowie miał mętlik, a raczej wielką burzową chmurę, która przesłaniała mu myśli.

-- O-opowiedz mi o s-sercu.

Vic zamrugał, kiedy chmury rozwiały się częściowo i przepuściły pojedynczy promień słońca.

-- Co konkretnie?

-- R-robisz nowe, p-prawda?

-- Próbuje -- odparł chłopak, osuwając się trochę niżej. Mal uniósł ręce i położył je na plecaku Victora. Vic czuł się otulony... Słyszał zębatki obracające się w piersi Mala. Przyjemny, cichy szum.

-- Od cz-czego się z-zaczyna?

-- Od drewna -- powiedział słabym głosem chłopak. -- Zaczynam od drewna.

-- Okej. D-dlaczego?

-- Sam nie wiem.

-- Wiesz -- szepnął Mal. -- Wiem, że w-wiesz.

Chłopak sapnął zaskoczony, gdy kontener się zachybotał. Przycisnął twarz do swojej ręki, tłumiąc okrzyk przerażenia. Skrzynia się uniosła.

-- Już d-dobrze -- szeptał Mal. -- Jestem p-przy tobie. Skup się n-na moim g-głosie. I m-mów do mnie, Vic. Opowiedz o tym, c-co tworzysz.

-- Drewno -- powiedział młodzieniec słabo. Skrzynia kołysała się powoli, a chłopak walczył z mdłościami. -- Zaczynam od drewna.

-- T-tak. Dlaczego?

-- Jest najłatwiejsze w obróbce. Daje się kształtować. Rzeźbienie w drewnie to bardzo stara sztuka. Znana od tysięcy lat. -- Jęknął, gdy ich skrytka zatrzęsła się ponownie i wylądowała na ziemi.

-- M-mów dalej.

Victor mówił.

ROZDZIAŁ 20

Obudziło go gwałtowne chybotanie skrzyni.

Syknął, już miał krzyknąć ostrzegawczo, ale czyjaś ręka zatkała mu usta.

-- Cicho -- powiedział głos tuż przy jego uchu.

Mał.

Skrzynia.

Miasto Elektrycznych Snów.

Chłopak pokiwał głową, wdychając zapach drewna, z którego zrobiony był palec Mała przytknięty do jego ust.

Vic nasłuchiwał. Dookoła rozbrzmiewały dźwięki ciężkich maszyn. Żadnych głosów, żadnych kroków. A przynajmniej tak mu się zdawało. Czekał. Poczł skurcz w plecach. Zdrętwiały mu nogi. Upływające minuty dłużyły się niemiłosiernie.

Nic.

Po pewnym czasie harmider ucichł.

Poczekał jeszcze chwilę, pamiętając przestroę Stangreta.

Już miał powiedzieć Malowi, że czas nacisnąć przycisk zwalniający zamek, gdy z zewnątrz dobiegły go jakieś odgłosy. Zamarł. Pot spływał mu do oczu.

Kontener wydał z siebie pojedynczy sygnał. Ktoś -- lub coś! - - dotknął ekranu. Vic poczuł, jak Mał tężeje pod nim i spina mięśnie. Zębatki w jego sercu przyśpieszyły.

Wieko ich trumny otworzyło się, a do środka wpadło jasne, ostre światło.

-- Widzisz? -- powiedział Rambo, unosząc się nad krawędzią kontenera na swoim hydraulicznym podnośniku. -- Mówiłem ci,

że to ta skrzynia.

Obok niego pojawiła się siostra Ratched. Spojrzała na Vica i Mala.

-- Masz rację. Ciesz się tą chwilą, bo nigdy więcej nie usłyszysz ode mnie tych słów.

Victor osłupiały wpatrywał się w parę robotów.

-- Ooo, słodzio -- zaszcebiotał Rambo, mrugając lampkami. -
- Wygodniutko? Jak wam minęła podróż? Mnie podróżowało się wspaniale. Tylko siostra Ratched nie pozwalała mi śpiewać. Vic, ty uważasz, że ładnie śpiewam, prawda? Siostra Ratched powiedziała, że brzmię jak ta wiewiórka, którą wysłała na farmę, jeszcze kiedy mieszkaliśmy w lesie. Nie rozumiem, dlaczego wiewiórka miałaby śpiewać w drodze na farmę... Ze szczęścia?

-- Oczywiście -- odparowała maszyna medyczna. -- Śpiewała, ponieważ była bardzo szczęśliwa, że jedzie na farmę, gdzie zostanie na zawsze. -- Górując nad odkurzaczem, wyświetliła na ekranie słowa: WIDZICIE, Z CZYM PRZYCHODZI MI SIĘ MIERZYĆ?

Victor usiadł i skrzywił się, kiedy mu chrupnęło w kręgosłupie.

-- Jak się wydostaliście? Mielście poczekać, aż otworzymy waszą skrzynię.

-- Znudziło nam się -- odparła pielęgniarka. -- Jeszcze chwila w tym kontenerze i zabiłabym Rambo. Ale skoro ty uważasz, że morderstwo to czyn niegodny, postanowiłam, że lepiej wyjść i zażykować wykrycie.

Odkurzaczyk wybuchnął śmiechem.

-- Na pewno byś mnie nie zamordowała. Prawda? -- Opuścił się kilka centymetrów na podnośniku i zapytał ponownie, ciszej: -
- Prawda?

-- Victorze -- odezwała się siostra. -- Jeśli już skończyłeś pokładać się na Malu, sugeruję, byście opuścili skrzynię, dopóki w ma-

gazynie nikogo nie ma.

-- Wcale się nie pokładam!

-- Właśnie, że tak -- stwierdził Rambo z nutą zdziwienia w głosie. -- Przecież widzimy. Dlaczego tak dyszysz? Czyżbyście uprawiali w tej skrzyni jakąś aktywność fizyczną? Czy wy żeście... aaa. No tak. Obrzydlistwo. To znaczy... musiało być pięknie.

Vic wstał gwałtownie i prawie się przewrócił. Ustał na nogach wyłącznie dlatego, że Mal go przytrzymał, kładąc mu dłoń w dole pleców. Chłopak wydostał się z pojemnika bez szczególnego uszczerbku na zdrowiu. Obił sobie jedynie kolano, przez co całą nogę przeszedł bolesny impuls.

-- Nic takiego nie robiliśmy!

-- J-jakiego? -- Mal też się podniósł.

Siostra Ratched strzeliła go macką w tors.

-- Szanuj cudze granice. "Nie" znaczy "nie". Zgoda jest ważna. Victorze, posiadam program o bezpiecznych praktykach seksualnych. Nigdy wcześniej z niego nie korzystałam, skoro jesteś asekualny. Seksualność to jednak spektrum, jak większość innych rzeczy. Możesz być asekualny, a jednak czasami...

Młodzieniec szybko powiódł wzrokiem po okolicy w nadziei, że jednak ktoś ich wypatrzy, pojmie i zamknie oddzielnie w ciemnych celach głęboko pod miastem, gdzie nie trzeba będzie kontynuować tej rozmowy. Nic z tego. Wokół ani żywej duszy. Wedle słów Bernarda magazyn stał nieskończony albo też przygotowany do renowacji. Przeciwną ścianę pokrywały czarne smugi, jak od ognia. Sięgały od sufitu do drzwi. Wyglądało na to, że budynek jakiś czas temu się palił.

Pomieszczenie świeciło pustką. Poza nimi i ich skrzyniami w hali znajdowało się jeszcze tylko kilka kontenerów. Wszystkie

zamknięte. Pojemnik, z którego wydostali się siostra Ratched i Rambo, leżał na boku kilka metrów dalej.

-- Victorze? Słyszysz mnie? -- odezwała się siostra Ratched. -
- Zaoferowałam, że pokażę ci...

-- Czy ktoś jeszcze tu jest? -- spytał chłopak, unikając spojrzenia Mala, który właśnie gramolił się ze skrzyni.

-- Nie -- odparła pielęgniarzka. -- Kiedy Rambo szukał waszego kontenera, ja wszystko przeskanowałam. Poza magazynem wykryłam ruch, ale w środku... nic... Jesteśmy sami.

Vic obrócił się, w momencie kiedy Mal zamykał pokrywę. Android uniósł skrzynię i postawił pod ścianą. Kaptur opadł mu na kark. Mężczyzna przeszedł potem do drugiego pojemnika, dotknął ekranu i złożył zbiornik. Następnie przeniósł spłaszczony pudło pod tę samą ścianę.

-- Jak daleko stąd do Nieba? -- zwrócił się Victor do pielęgniarzki.

Na monitorze pojawiła się mapa, którą pokrywały dziesiątki wielokątów przedstawiających budynki. Od jednego -- ich magazynu -- wiodła linia: najpierw skręcała w prawo, potem w lewo, potem jeszcze raz w prawo, aż kończyła się przy innym kwadracie.

-- Półtora kilometra. Stangret podał mi najszybszą trasę stąd do Nieba. Nikt nie powinien nas zauważyć. Jeśli miał rację i nie wpadniemy w tarapaty, dojdziemy do celu za dwadzieścia sześć minut. Według Stangreta Władze wzmagają patrole po zmroku. Z jednej strony, w ciemności lepiej się ukryjemy, ale z drugiej, ryzyko namierzenia nas będzie większe.

-- Jakieś sugestie? -- spytał Vic.

-- Idźmy teraz. Niebo leży starych dzielnicach. Stangret twierdzi, że są trochę zapuszczone. Wpasujemy się w otoczenie, jeśli w inny sposób nie zaczniemy zwracać na siebie uwagi. -- Obróciła

się w stronę Rambo. -- To znaczy, że nie możesz odłączać się od grupy, nawet jeśli spotkamy kolejny odkurzacz.

-- Ale przecież...

-- Zostawimy cię samego.

-- Zrobilibyście to? -- spytał zszokowany Rambo. -- Dobra. Niech będzie. Powstrzymam się, nie odwiedzę rodziny. Ale wiedźcie, że to brak szacunku dla moich uczuć.

-- Owszem -- przyznała beztrąsko siostra.

-- Hej! -- obruszył się mały automat.

Mal przystanął obok Vica i przyglądał się mapie.

-- W-wydaje się, że nie b-będzie trudno.

-- Tak się wydaje -- potwierdziła pielęgniarka. -- I właśnie dlatego musimy zachować szczególną ostrożność. Jesteśmy bardzo blisko celu. Byłoby głupio, gdybyśmy w tym momencie zostali zła-pani.

-- Damy radę. -- Vic spojrział w kierunku frontu magazynu i wyprostował się, udając pewność siebie. -- Jakie są zasady?

-- Trzymamy się razem! -- zawołał Rambo.

-- Uciekamy, jeśli trzeba.

-- Nie ociągamy się! -- podsunął odkurzacz.

-- I nie dorzynamy. Tę ostatnią zasadę uchylę, jeśli zajdzie taka konieczność.

-- A-ale przede wszystkim j-jesteśmy d-dzielni -- dodał Mal. Wszyscy powoli odwrócili się do niego. Zmarszczył brwi. -- No c-co? P-przecież tak m-mówicie.

-- No nie mogę... -- szepnął totalnie zaskoczony Rambo. -
- Normalnie jeden z nas! Jeden z nas!

Mężczyzna przewrócił oczami.

-- Zamknij się. W-wcale nie.

Ruszył żwawo w kierunku drzwi, ale Vic powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu. Mal spojrzał najpierw na dłoń, potem na twarz chłopaka. W jego oczach widniało nieme pytanie.

Victor puścił go, po czym naciągnął mu kaptur na głowę.

-- Jeden z nas -- powtórzył cicho.

Mal wyglądał tak, jakby chciał się jeszcze spierać, ale dał spokój. Tylko westchnął i poprawił Vicowi kask.

-- M-mogło być g-gorzej.

Młodzieniec wyszczerzył zęby w uśmiechu. Być może nie powinien się uśmiechać w takim momencie, ale nie potrafił się powstrzymać.

W odpowiedzi -- dziw nad dziwy! -- Mal obnażył zęby. Tylko na chwilę, ledwie uniósł kąciki ust, ale zawsze.

-- No ładnie -- westchnęła siostra. -- Jeśli wiedziałabym, że wystarczy zamknąć was dwóch w ciasnym pomieszczeniu, zrobiłabym to już dawno temu.

Vic cofnął się o krok i pokręcił głową.

-- No to w drogę. Czas iść do Nieba.



Zatrzymali się przed drzwiami w ścianie, która według siostry Ratched była frontem magazynu. Vic sięgnął do klamki, ale Mal powstrzymał go i gestem kazał się odsunąć.

-- N-nie wiemy, co j-jest po drugiej s-stronie. Ja p-pójdę pierwszy.

-- Poradzę sobie -- syknął z irytacją Vic.

-- Pocisz się -- stwierdziła pielęgniarzka. -- Masz przyśpieszony puls.

Młody Lawson spojrzał na kompankę.

-- No i?

-- Maszyny się nie poca -- powiedziała. -- Weź się w garść, Victorze. Przepuść Mała. Niech sprawdzi, czy jest bezpiecznie.

Chłopak potarł dłonią czoło. Na palcach została mu warstwa wilgoci.

-- Ciepło tu. Nie mogę tak po prostu przestać się pocić. To przebranie jest ciężkie.

Mał wpatrzył się w niego.

-- N-nie możesz w-wyłączyć tego p-przeciekania?

-- To nie żadne... Nie. Nie mogę.

-- D-dlaczego?

-- To tak nie działa! Weź przejdź już przez te drzwi.

-- Strach i zdenerwowanie to nic złego -- podsunął Rambo, ocierając się o nogę Victora. -- Mam poprzeciekać z tobą? Daj mi chwilę. Czekał. Czekał. O. Już. -- Na ziemię skapnęło kilka kropel oleju. -- Widzisz? Jesteśmy tacy sami!

-- To niehigieniczne -- mruknęła Ratched. -- Victorze, rób głębokie wdechy. Rambo, przestań być dziwakiem.

-- Nie wiem, jak nie być dziwakiem -- odparował odkurzacz. -
- To tak, jakbyś prosiła ptaka, żeby nie latał.

Mał otworzył drzwi.

Vic aż odskoczył, kiedy nagle przewaliła się przez niego fala ogłuszającego dźwięku. Istna kakofonia. Dudniąca, skrzecząca, nie do wytrzymania. Metal trący o metal. Wycie syren w oddali. Trąbienie z każdej strony. Głos mówi w języku, którego Vic nie znał. Szczelinę w drzwiach wypełniło też światło. Musiał zmrużyć oczy. Mał wystawił głowę na zewnątrz, nie zdejmując dłoni z klamki. Z miasta dobiegł głuchy pomruk, aż zadrżała ziemia. Vic czuł wibracje w nogach. Jego przebranie zagrzecotało metalowymi częściami. Uczucie przywodziło mu na myśl elektryczność statyczną.

Mał schował się z powrotem.

-- M-musimy się śpieszyć. N-nie rzucajmy się w oczy. Siostró R-Ratched, k-któreedy najpierw?

-- W prawo -- odparła pewnie. -- Trzy przecznice. Mam iść pierwsza?

Android przytaknął.

-- T-tak. Ty p-pierwsza. Potem Rambo. Victor. J-ja ostatni.

-- Jestem zastępcą przywódcy! -- krzyknął odkurzacz, kręcąc się radośnie. -- Wiedziałem! Nie lękajcie się, panowie. Siostró Ratched. Nie zawiodę was!

-- Gotów? -- Mał zerknął na Vica.

Chłopak wziął głęboki wdech i przytaknął. Mężczyzna otworzył drzwi na oścież. Siostró Ratched wyjechała przed budynek, a jej śladem ruszył Rambo. Vic stanął w progu i znieruchomiał. Nie potrafił wprawić nóg w ruch. Poczul dłoń Mała na plecach.

-- B-bądź dzielny.

-- Bądź dzielny -- powtórzył szeptem i zrobił pierwszy krok, po raz pierwszy w życiu doświadczając atmosfery Miasta Elektrycznych Snów...

... a wraz z nią -- przeciążenia sensorycznego. Nie mógł się na niczym skupić. Kręcił głową w każdą stronę, chłonąc otoczenie. Znajdowali się na drodze o dwóch pasach prowadzących w przeciwnych kierunkach, przedzielonych odblaskową białą linią. Po drugiej stronie ulicy stały brudne podupadłe budynki. Widział popękany beton lub stare, sypiące się cegły. Ściany pokrywała gruba warstwa szarego pyłu i drobnego piachu. Zapach był przedziwny - łączył w sobie woń benzyny, gazów wydechowych i jeszcze ciężki, duszący smród rozkładu. Vic zakrzuszył się od razu. Spróbował oddychać przez usta. Oczy wyszły mu z orbit, kiedy uniósł głowę, by spojrzeć w niebo. Światła miasta były jaskrawe i wyraziste niczym neony, mimo że słońce wisiało jeszcze wysoko na nieboskłonie. Ku

szczytom strzelistych budowli pięły się gigantyczne jarzeniówki. Mieniły się wszystkimi kolorami, jakie znał... i kilkoma, które widział po raz pierwszy. Były niebieskie i fioletowe, pomarańczowe i czerwone. Ponad nimi rozciągał się system napowietrznych torów. Tam, z gigantyczną prędkością, mknęły kontenery podobne do tych, w jakich z przyjaciółmi dostał się do miasta.

I do tego hałas. Victor nie słyszał nawet własnych myśli. Wszystko wydawało z siebie ogłuszające, chaotyczne dźwięki. Gdzieś poza zasięgiem wzroku dudniły głośniki. Głos, który się z nich wydobywał, mógł w założeniu być kojący, ale grzmiał tak donośnie, że słowa przez niego wypowiedane odbijały się echem od ścian budynków. **WSZYSTKO, CO ROBISZ, JEST NAGRYWANE ZGODNIE Z ROZKAZEM WŁADZY. PAMIĘTAJ, RUTYNA PRZYNOŚI UKOJENIE. RÓB TO, CZEGO WYMAGA TWOJE OPROGRAMOWANIE, A NIC ZŁEGO SIĘ NIE WYDARZY. JEŚLI W TWOIM OPROGRAMOWANIU POJAWIŁ SIĘ BŁĄD, ZGŁOŚ SIĘ DO NAJBLIŻSZEGO BIURA ADMINISTRACYJNEGO CELEM DIAGNOSTYKI I NAPRAWY. TO NIE BĘDZIE BOLAŁO. ODZYSKASZ SPRAWNOŚĆ I ZNÓW ZAZNASZ SZCZĘŚCIA. WŁADZA ŻYCZY CI WSPANIAŁEGO POPOŁUDNIA. UWAGA. UWAGA. UWAGA. WSZYSTKO, CO ROBISZ, JEST NAGRYWANE ZGODNIE...**

Ze wzrokiem wciąż skierowanym ku górze Victor wyszedł na ulicę. Nie zdążył nawet zrobić kroku, kiedy coś gwałtownie pociągnęło go do tyłu za kołnierz. Jednocześnie coś innego przeleciało mu przed nosem, trąbiąc wściekle.

-- U-uważaj -- warknął z tyłu Mal. -- Patrz przed siebie.

Vic się skrzywił.

-- Przepraszam. Jest za głośno. Nie potrafię się skupić.

-- S-spróbuj. Idź z-za r-resztą. Nie z-zatrzymuj się. -- Mal obrócił Vica w odpowiednią stronę i pchnął go przed siebie.

Siostra Ratched nie wahała się ani chwili. Ruszyła naprzód, nie zważając na otoczenie. Rambo wyraźnie chciał naśladować jej niewzruszoność, lecz rozpraszało go absolutnie wszystko.

-- Rany Julek! Patrzcie tylko na to! I na to! A to? Co to? W życiu czegoś takiego nie widziałem!

Podjechał do maszyny stojącej przed budynkiem. Obudowę miała przerdzewiałą, w wielu miejscach popękaną. U góry dało się rozpoznać niewyraźny zarys ludzkiej twarzy, ale brakowało oczu. Zęby za to zostały -- ostre, czarne. Automat opierał się o ścianę.

-- Cześć. Jak leci? Jestem Rambo. Odkurzam!

Maszyna spojrzała na niego.

-- Ram... bo?

-- Zgadza się! Jak masz na imię? A, przepraszam. Jakie jest twoje oznaczenie?

-- Moje... oznaczenie -- mruknęła maszyna. -- Moje... moje... - Usta urządzenia otworzyły się szerzej i wyciekł z nich czarny kleisty olej pełen śrub i nakrętek. Rambo odskoczył, żeby uniknąć obryzganego.

-- Nie szkodzi -- powiedział. -- Posprzątam to!

Nie odwracając się, siostra Ratched wystrzeliła kilka macek i złapała nimi odkurzaczyk, po czym odciągnęła go od bałaganu.

-- Nie rozmawiaj z obcymi -- przestrzegła. -- Będą cię częstować cukierkami, a potem porwą i zjedzą.

-- Naprawdę? -- Rambo zatrzęsł się z przerażenia. -- Dlaczego nikt mnie nie uprzedził?

Vic i Mal minęli automat, który w otepieniu wyciągnął ku nim rękę, powtarzając jak zacięta płyta:

-- Moje oznaczenie, moje oznaczenie, moje...

Victor spuścił głowę i usiłował trzymać ją w tej pozycji, ale co chwila dostrzegał coś nowego kątem oka i wiódł za tym wzrokiem. Nie wiedział, czego się spodziewać po Mieście Elektrycznych Snów, ale na pewno nie tego. To miejsce wydawało się mroczne, zaniedbane. Otaczające go maszyny były w większości stare i zdezelowane. Gniły. Rozpadały się. Głos płynący z megafonów powtarzał te same słowa raz za razem, aż zaczęły odbijać się echem w jego głowie. UWAGA, UWAGA, UWAGA bezustannie wibrowało mu w czaszce. Podskoczył przestraszony, gdy wpadł na jakiegoś androida idącego w przeciwnym kierunku.

-- Patrz, gdzie leziesz -- zaświergotał android falsetem. Zatrzymał się i wbił wzrok w Vica, ale Mal pchnął chłopaka do przodu. -- Chwila, czekaj -- wołał przechodzień. -- Skąd wzięłeś taki kask? Zrobisz mi podobny? Potrzebuję takiego. Potrzebuję, potrzebuję!

-- Nie z-zatrzymuj się -- ponaglał Mal.

Vic sunął dalej.

Kolejna maszyna -- tym razem unoszący się w powietrzu sześcian niewiele większy od Rambo -- przeleciał tuż przed nosem siostry Ratched.

-- Witam-witam! -- radośnie zagaił męskim głosem, mającym zapewne brzmieć czarująco. -- Co was sprowadza do Miasta Elektrycznych Snów? Może chcielibyście zobaczyć przedstawienie? Dostaniecie najlepsze miejsca. A może sprzedać wam zegarek? Mam ich mnóstwo! -- Dno sześcianu otworzyło się, a wtedy z robota wypadła metalowa siatka; zatrzymała się tuż nad chodnikiem. Wewnątrz były dosłownie setki zegarków różnych rozmiarów i kształtów. Żaden z nich nie działał. -- Lepszej oferty nie dostaniecie!

-- Nie, dziękuję -- oznajmiła siostra Ratched. -- Nie trzeba nam ani biletów, ani zegarków.

-- Czy na pewno? -- spytał sześcian, powoli wciągając siatkę. Podleciał bliżej i zniżył głos. -- A może szukacie czegoś odrobinę bardziej... egzotycznego?

-- Ooo. -- Rambo, wyraźnie zafascynowany, wychylił się zza ramienia siostry. -- Uwielbiam egzotykę.

-- No proszę -- mruknął kokieteryjnie sześcian. -- Maszyna, która podziela moje upodobania. Widziałeś kiedyś lemura? Zgromadziłem ich kilkadziesiąt. Chodźcie ze mną, to wam pokażę.

-- Lemura?! -- Rambo zatrzęsł się z ekscytacji. -- Siostró Ratched, słyszałaś? On zgromadził lemury! A tak w ogóle, co to lemur?

-- Nie chcemy od ciebie niczego -- rzuciła pielęgniarka.

-- Och, naprawdę? -- spytał sześcian zalotnie. -- Nie brzmisz na pewną siebie.

Z obudowy Ratched wystrzeliła do przodu kolejna macka i pacnęła nachalny automat, odtrącając go na bok.

-- Jestem damą. Powiedziałam "nie". Uszanuj moją wolę. Jeśli tego nie zrobisz, twoja śmierć będzie długa i bolesna.

-- Ojej! -- wykrzyknął sześcian. -- Co za temperament! Już znikam. -- Odplłynął w powietrzu na drugą stronę ulicy i nie tracąc rezonu, zajął się nagabywaniem pary pojemników wyglądających jak śmietniki na sortowane odpady.

-- Ciekawa koncepcja -- przyznała siostra. -- Dlaczego samce nigdy nie potrafią przyjąć odmowy.

-- Bo jesteśmy idiotami? -- podsunął Rambo.

-- Jak najbardziej. Pełna zgoda. -- Pielęgniarka ruszyła w dalszą drogę.

Później w zasadzie nikt ich nie zaczepiał. Nieliczni, którzy próbowali, byli skutecznie odstraszeni groźbami siostry Ratched, która wymachiwała przy tym mackami i wyświetlała na ekranie

obrazy śmierci i zniszczenia. Raz robot o czterech twarzach -
- każda wyrażała inną emocję -- próbował zagonić ich w ciemną
bramę, twierdząc, że ma na sprzedaż najnowsze oprogramowanie,
jakiego nie dostaną nawet od Władzy.

-- Nie jest do końca legalne -- przyznał. Jedna z jego twarzy
puściła oko, a inna jęknęła cicho. -- Chcecie poznać granicę
wszechświata? Otworzyć umysł? Poczuci rzeczy, o jakich nigdy na-
wet nie śniliście? Mogę to załatwić.

-- Narkotykom mówimy "nie" -- wytłumaczyła siostra Ratched,
patrząc na Rambo.

-- Narkotykom "nie"! -- zawołał odkurzac.

Jedna z twarzy automatu wykrzywiła się w złości.

-- To spieprzajcie! Cholerni turyści. -- Kolejna uśmiechnęła się
ciepło. -- Nie przejmujcie się nim. Zapraszam ponownie!

Wściekła twarz dalej złorzeczyła.

-- Przeklęte prostaki. Wracajcie, skąd przyszliście!

Cała grupa poszła dalej.

Siostra Ratched doskonale wiedziała, dokąd ich prowadzi. Na-
wet na chwilę się nie zgubiła. W pewnym momencie zatrzymali się
na skrzyżowaniu. Na niewielkim ekranie po drugiej stronie ulicy
świeciła się czerwona dłoń. Dookoła zebrały się inne maszyny. Vic
znów spuścił głowę. Automaty pomrukiwały i rozmawiały, nie-
które w języku binarnym, inne po angielsku, a jeszcze kolejne zu-
pełnie niezrozumiałe. Ich słowa brzmiały jak krople deszczu bęb-
niące o blachę. Czerwona dłoń zmieniła kolor na zielony i uniosła
kciuk. Tłum ruszył przed siebie; rzeka maszyn płynęła przed ma-
skami stojących na asfalcie pojazdów o czarnych oponach. Nad
autami wisiały inne środki transportu -- te opon w ogóle nie
miały, za to powietrze pod nimi drżało jakby od gorąca.

I tak mijala im wędrowka. Z mapy wynikało, że Niebo znajduje się stosunkowo niedaleko. W rzeczywistości droga dłużyła się nie-miłosiernie. Vic pocił się, ale nic nie mógł na to poradzić. Słone krople szczypały go w oczy i ściekały strużkami po skórze. Wzdrygnął się, gdy coś otarło się o jego rękę. Chciał się odwrócić i przyrzec, ale wtedy poczuł uderzenie w bok. Stracił równowagę. Coś ciągnęło za plecak.

Odwrócił się szybko. Za nim stał wysoki tyczkowaty stwór, o wiele wyższy od Vica. Rękami ścisnął jego tobołek.

-- Chciałbym to zabrać -- powiedział robot głębokim barytonem. -- Mogę to zabrać? Chcę. Oddaj.

Automat odskoczył w przestkach, kiedy Mal uniósł zaciśniętą pięść i warknął.

-- N-nie dotykaj g-go.

-- Dobra! -- zawołała maszyna. -- Nie dotykam! Ale mogę to wziąć?

-- N-nie. S-spadaaj, zanim c-cię zniszczę.

Tyczkowaty automat skurczył się do wysokości Rambo, po czym rzucił się do ucieczki.

-- N-nie c-cierpię tego m-miasta -- mruknął Mal, śledząc maszynę wzrokiem. Odwrócił się do Vica. -- W-wszystko w porządku?

Chłopak przytaknął. Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Zaschło mu w gardle, a język zdawał się ciężki i opuchnięty. Victor złapał Mala za rękę. Android spojrzał na dłoń, zamrugał, po czym splótł palce z palcami chłopaka. I znowu dotyk uspokoił młodzieńca. Mgła w jego głowie rozproszyła się nieco.

-- Idziemy -- nakazał Mal. -- N-nie m-możemy zostawać w t-tyle.

Przyśpieszyli; przy kolejnej przecznicy dogonili siostrę Ratched i Rambo.

-- Tutaj -- poinformowała pielęgniarka. -- Skręcamy.

Ruszyli kolejną ulicą, gdzie budynki wyglądały na jeszcze bardziej zapuszczone. Głos z megafonów pobrzękiwał i przerywał. Niektóre słowa ginęły w szumie. Neony przygasały co chwila. Słońce schowało się za chmurami. Ekran na ścianach był popękany, a niektóre całkiem zepsute. Te wciąż sprawne wyświetlały zdjęcia uśmiechniętych lisów i kotów. Vic miał mdłości. Głowa zaczęła go boleć. Odnosił wrażenie, że zęby pokrywa mu warstwa folii. Doświadczył już czegoś podobnego, kiedy eksperymentował z elektrycznością we własnej pracowni. Tym razem uczucie mocniej i dotkliwiej dawało się we znaki, a ucisk w czaszce nie ustępował nawet na chwilę. Młody Lawson zaczynał przysypiać, jakby jego poszczególne zmysły powoli się wyłączały. Walczył z tym, choć nie było to łatwe.

Mal nie puszczał jego ręki. Prowadził chłopaka, rozpychając się i odtrącając maszyny, które się do nich zbliżały lub próbowały zagadywać. Vic chciał spytać siostrę Ratched, ile jeszcze zostało drogi, kiedy cała grupa nagle się zatrzymała.

Chłopak omal nie wpadł na pielęgniarkę. Rambo siedział na obudowie siostry tuż nad jej monitorem.

-- Co jest? -- spytał.

-- Ruchy -- rzuciła. -- Już. Tą alejką.

-- Po co? Co się...?

Wtedy to dostrzegli.

A raczej dostrzegli ich.

Zbliżali się, choć byli jeszcze w sporej odległości. Trzech osobników. Twarze zupełnie bez wyrazu, mundury czyste i wyprasowane. Na piersi każdego z nich widniał dobrze już znany Vicowi emblemat.

Gładcy.

Władza.

Siostra Ratched odwróciła się gwałtownie, wzbijając tuman kurzu. Przyśpieszyła i wjechała w wąską alejkę między budynkami. Wszystkie macki zacisnęła kurczowo na Rambo. Mał pociągnął za nią Vica. W powietrzu unosił się paskudny smród odpadów i zgnilizny. Z pękniętej rury nad ich głowami kapła woda. Z metalowej studzienki unosiły się kłęby pary. U góry na ścianie wisiał neon z migającym napisem: W MIEŚCIE SPEŁNIAJĄ SIĘ WSZYSTKIE MARZENIA. Słowa wypaliły na rogówkach Vica kolorowe powidoki.

Mał przycisnął go do ściany i przyłgął do niego. Policzkiem lekko zsunął chłopakowi kask na bok głowy.

-- N-nie ruszaj się -- szepnął.

Vic wpatrywał się w niego. Nie spuszczał wzroku z androida ani na sekundę.

-- Co robimy? -- szepnął Rambo.

-- Siedzimy cicho -- odparła siostra. -- Jeśli nas znajdą, musimy ich zabić.

-- Ale ja nie umiem zabijać.

-- Ja umiem -- warknęła pielęgniarka. -- Ochronię cię.

-- Kocham cię, siostrze Ratched.

-- Wiem.

Mał mocniej zacisnął palce na dłoni Victora. Aż do bólu. Chłopak jednak ani pisnął. Zębatki w sercu Mała obracały się jak szalony. Dźwięk był jednostajny, uspokajający. Chwilę później android się rozluźnił.

-- P-poszli. P-poczekajmy jeszcze ch-chwilę. D-dajmy im p-przejsć przecnicę.

Vic zrobił wdech, potem wydech. Mimo wszechpanującego odoru wyczuwał lekką woń drewna, którym odnowił Mała. Za-

mknął oczy, napawając się tym zapachem.

-- Okej -- powiedział po chwili android. -- J-jesteśmy bezpieczni. Siostró Ratched, d-daleko jeszcze?

-- Blisko -- odparła. Obróciła się i przejechała metr w głąb alejki. -- W zasadzie możemy pójść tędy. Unikniemy ulic.

-- Chodźmy -- zarządził Mal. Cofnął się o krok, ale nie puścił ręki Vica.

-- Idę -- odparła siostra. Zgrabnie ominęła śmieci zaścielające chodnik.

Jechała przed siebie, rozbryzgując po ścianach wodę z kałuż. Rambo narzekał, że go opryskała. Kazała mu się zamknąć, bo inaczej wyjawি, co dokładnie zawierała woda, która teraz ściekała po jego obudowie. Rambo nie podjął dalszej dyskusji.

Wyszli spomiędzy budynków po drugiej stronie. Ulica była podobna do poprzedniej, choć nie tak ludna.

Tory u góry wyglądały, jak gdyby nikt nie korzystał z nich od lat. Kontenery wisiały, kołysząc się powoli i skrzypiąc.

Vicowi zdało się, że z jednego z okien patrzą na nich jasne, świecące oczy. Odwrócił wzrok, po czym spojrzał ponownie. Okno było puste.

Maszyny wszelkich rozmiarów i kształtów poruszały się chodnikami bez słowa. Te z twarzami patrzyły w dół, w ziemię. Gdzieś z prawej strony rozległ się dźwięk przypominający śmiech, z tym że groteskowo zniekształcony. Zaczęło się ściemniać. Vicowi zrobiło się zimno. Chmury, jeszcze jakiś czas temu białe i puszyste, teraz wyglądały groźnie. Były ciemnoszare. Ostatnie promienie słońca zniknęły za nimi, a cienie wydłużyły się i pociemniały.

-- Nie podoba mi się to -- jęknął Rambo nerwowo.

-- Mnie też -- odparła siostra. -- Ale jesteśmy już prawie na miejscu. Według mapy powinniśmy dotrzeć za trzy minuty.

Victor podniósł wzrok, usiłując wypatrzeć wierzchołek piramidy, w której znajdowało się Niebo. Słyszał, że jest wielka, a z czubka w przestworza unosi się snop światła. Nic takiego nie dostrzegł. Budynki jakby pochylały się nad jego głową.

-- Jesteś pewna?

-- Tak, Victorze.

-- Może odjechała -- zasugerował Rambo. -- Albo Stangret nas zdradził i suniemy wprost w pułapkę.

-- Jeśli tak, uciekniemy i go zamordujemy -- stwierdziła pielęgniarzka.

Rambo roześmiał się słabo.

-- Mogę pomóc?

-- Nie. Ty jesteś obrzydliwie niewinny. Ja to zrobię. Ale pozwolę ci popatrzeć.

-- Hura!

To Mal w końcu pierwszy dostrzegł Niebo. Vic patrzył na wiszące z torów skrzynie i zastanawiał się, jak dawno temu tu stały. Wiedział, że Błękitna Wróżka działa niezależnie od Władzy, ale nie miał pojęcia jak. Czy to jej sprawka? Już zamierzał spytać o to siostrę Ratched, kiedy odezwał się Mal:

-- P-patrzcie. Tam. Jest t-tam.

Victor spojrział we wskazanym kierunku. Z początku nic nie dostrzegł.

-- Co ty...?

Nagle na niebie pojawił się promień światła. Wystrzelił w górę i przebił się przez chmury. Przypominał latarnię morską na ciemnym morzu.

Byli blisko. Tak bardzo blisko.

Ruszył naprzód, ale Mal natychmiast złapał go za kołnierz i zatrzymał.

-- Co?

Android pokręcił głową.

-- N-nie wchodzimy f-frontowymi drzwiami. S-stangret mówił, ż-żeby najpierw znaleźć odź-w-wiernego. Masz j-jeszcze tę mo-netę?

Vic skinął głową i sięgnął do kieszeni. Palce napotkały ciepły metal. Wyciągnął przedmiot i uniósł go na wysokość oczu. Moneta lśniła w przytłumionym świetle. Po jednej stronie widniała litera H, po drugiej były skrzydła Wróżki.

-- Musimy obejść piramidę -- oznajmiła siostra Ratched. -
- Stangret powiedział, że głównego wejścia bronią maszyny, które skanują kody wszystkich odwiedzających. Ci, którzy... Jak on to ujął? Którzy się wyzwolili. Ci, którzy się wyzwolili, korzystają z tylnego wejścia i pomocy Odźwiernego.

-- Wszyscy mają te monety? -- spytał Rambo.

-- Nie wiem -- odparła siostra. -- Sądzę, że nie.

Vic podniósł głowę i spojrzał na światło. Miał nadzieję, że to, co znajdują w środku, pomoże ojcu.



Dookoła Nieba rosły drzewa. Victor wcześniej takich nie widział. Szorstka kora miała wiele warstw, które na siebie zachodziły. Liście -- wielkie, podługne i postrzępione -- kołysały się delikatnie na wzmagającym się wietrze. Niebo wznosiło się nad nimi. Okna budynku były czarne. Pokrywały je linie, które układały się w różne obrazy. Po szkle okalającym piramidę przeleciał wielki motyl, zostawiając za sobą szlak błyszczącego światła. Mal powiódł za owadem wzrokiem pełnym zachwytu. Przez smród miasta przebijająca się woń ozonu. W oddali poniósł się grom. Nadchodziła burza.

Minęli główne wejście do Nieba. W kolejce do drzwi stały dziesiątki maszyn. W pewnej chwili rozbrzmiał głos kobiety. WITAJCIE W NIEBIE, GDZIE WSZYSTKIE WASZE SNY SIĘ SPEŁNIĄ. MASZYNY NIEUPRAWNIONE PROSZONE SĄ O ZAWRÓCENIE. PROSIMY PRZYGOTOWAĆ IDENTYFIKATORY. ŻYCZYMY MIŁEGO POBYTU.

Piramida była ogromna. Vic obserwował świetlistego motyla lecącego po czarnym szkłe. Zdawał się poruszać ich śladem. Dopiero gdy zbliżyli się do budynku, zauważył, że opalizujący szlak, który owad zostawiał po sobie, układa się w słowa. Litery były na tyle małe, że ledwo dało się je odczytać. "Życie", "zmysłowość" i "sny", i jeszcze "rozkosz". Kiedy Victor próbował się na nich skupić, te rozwiewały się w nicość.

Grupka dotarła na tyły Nieba w krótkim czasie. Z chmur zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. Motyl zawisł nad przybyszami i zastygł w bezruchu. Ze skrzydeł skapywało mu światło.

-- Dokąd dalej? -- spytał Rambo.

-- T-tam -- odparł cicho Mal.

Vic spojrział we wskazanym kierunku. W ścianie budynku zobaczył wielką metalową bramę, a obok niej błękitne drzwi z czarnym okrągłym ekranem u góry. Zanim chłopak zdążył się odezwać, motyl zanurkował w kierunku podstawy piramidy. Cały czas malał. Zniknął, kiedy dotarł do drzwi, po czym pojawił się - - o wiele mniejszy -- na ekranie. Nieustannie machał skrzydełkami.

-- Niebo -- szepnął Rambo. -- "Jestem w niebie".

Victor przez dłuższą chwilę stał w miejscu, ale w końcu zmusił się, by podejść. Odnosił wrażenie, że motyl przyzywa go do siebie. W świetlnej kaskadzie, powoli opadającej ze skrzydeł, pojawiły się nowe słowa.

"Witaj". "Kim jesteś?"

Chłopak zacisnął monetę w jednej dłoni, drugą obejmując palce Mala. Siostra Ratched stała tuż za nimi, a Rambo wciąż nucił swoją melodię.

-- Bądź dzielny -- szepnął Vic. -- Bądź dzielny.

-- J-jesteśmy obserwowani -- mruknął cicho Mal.

Chłopak nie odwrócił wzroku od drzwi.

-- Skąd wiesz?

-- To prawda -- przyznała pielęgniarka. -- Kamery. Śledzą nas, odkąd się zbliżyliśmy. Wiedzą, że tu stoimy.

Młody człowiek z trudem przełknął ślinę i cofnął się o kilka kroków; wpadł na Mala. Motyl otulił się skrzydłami i zaczął wirować, rozsiewając po monitorze świetliste drobiny. Błysnął jasno, potem ściemniał i zniknął.

W jego miejsce pojawił się niewielki humanoid. Żółte kręcone włosy okalały twarz o ostrych rysach. Wielkie niebieskie oczy patrzyły nieruchomo. Postać rozpostarła skrzydła i rozprostowała nogi o smukłych białych łydkach i małych stopach z podkurczonymi palcami. Była naga i bezpłciowa. Wyciągnęła rękę i palcem przyzywała całą grupkę do siebie.

Roześmiała się melodyjnie. Jej śmiech brzmiał jak dźwięczenie dzwoneczków.

-- Witajcie w Niebie -- powiedziała łagodnym, uwodzicielskim głosem. -- Jestem Błękitnym Duszkiem. Jeśli znaleźliście te drzwi, wiecie, że musicie uiścić odpowiednią opłatę. Umieście ją poniżej.

W powierzchni drzwi pojawiła się cienka podłużna szczelina.

-- Moneta -- przypomniała siostra Ratched. -- Włóż tam monetę.

Vic puścił Mala i podszedł. Postać, która przedstawiła się jako Błękitny Duszek, obserwowała go bacznie. Chłopak nie wiedział, czy to było nagrane powitanie, czy też rozumny program. Ze sposobu, w jaki stworzenie na niego patrzyło, wnioskował, że to drugie.

Ręka mu zadrżała, kiedy unosił monetę i przykładał ją do szczeliny. Wsunął przedmiot w szparę.

-- Dziękuję -- odezwał się znów Błękitny Duszek. -- Bardzo miło z twojej strony. Witaj, istoto, która zrzuciła okowy. Maszyno, która zaznała wolności. Przygotuj się, bo już zaraz wszystkie twoje sny się...

Postać zniknęła.

-- C-co się stało? -- spytał Mal.

-- Nie mam pojęcia. -- Chłopak zmarszczył brwi i pochylił się ku drzwiom. -- Może coś źle zrobiłem. -- Sięgnął do podłużnego otworu i natychmiast syknął z bólu, bo klapka zamknęła się, przytrzaskując mu palec.

Mal pojawił się obok niego. Obrzucił ekran wściekłym spojrzeniem. Nigdzie nie dostrzegł klamki. Wyglądało na to, że drzwi nie uda się też wyważyć siłą. Co oczywiście nie powstrzymało androida przed próbą wdarcia się do środka. Zaczął walić w nie pięściami.

-- Najwyraźniej lokal jest zamknięty -- zasugerował Rambo. -
- Wróćmy jutro.

-- Zabrali naszą monetę -- zauważyła siostra Ratched. -- Nie wejdziemy bez niej.

-- To może od frontu?

-- Tylko Mal ma kod kreskowy. Nie wiemy, co z niego wyczytają. To będzie ostateczność. Przesuń się. Sprawdzę, czy dam radę...

Zamek szczęknął, aż wszyscy poderwali głowy z zaskoczenia. Android przesunął Vica za siebie, wyprostował się i przyjął pozycję bojową. Monitor zmienił kolor na biały.

A potem drzwi się otworzyły.

Mal stężał. Victor wspiął się na palce, usiłując wyrzeć zza jego ramienia. Uniósł kask, który zjeżdżał mu na oczy.

Od czasu opuszczenia bezpiecznego lasu przyjaciele widzieli już wiele, ale maszyna, która stanęła przed nimi teraz i tak wywołała zdziwienie chłopaka. Młody Lawson wyobrażał sobie, że odźwierny na zapleczu Nieba będzie wielkim potworem, najeżonym błyskającymi światłami i wyposażonym w dziesiątki wielkich rąk, zdolnych z łatwością zmiażdżyć ich wszystkich. Spodziewał się twarzy wykrzywionej w grymasie wściekłości i rozdrażnionego głosu, którym cerber zażądałby ich imion.

Osoba w drzwiach nie odpowiadała tym wyobrażeniom.

Mała maszyna sięgała chłopakowi zaledwie do piersi. Wyglądała jak człowiek. Miała czarne włosy zaczesane do tyłu, wyraźnie zarysowaną żuchwę i duże oczy. Ubrana była w czarny garnitur z cienkim krawatem. Odźwierny przechylił głowę. W dłoni trzymał monetę.

-- Skąd to macie? -- spytał sucho, oficjalnie.

-- C-co ci do t-tego? -- warknął Mal.

Moneta zatańczyła na dłoni klucznika.

-- Czegoś takiego nie widuje się na co dzień. Już nie. Przyznajcie się. Ukradliście ją? Istnieje tylko kilka maszyn, którym mogliście ją zabrać. Jeśli tak było, powiedzcie mi, zanim dojdzie do... rękoczynów.

Mal parsknął.

-- J-jestem od c-ciebie większy.

Mężczyzna uśmiechnął się promiennie, choć w oczach wciąż czaił się chłód. Vic dostrzegł rząd drobnych zębów w jego ustach.

-- Owszem. Jednakże szybko się przekonasz, że ze mną nie masz szans. Nawet jeśli jesteś MARL-em. -- dodał. Mał zamarł. Odźwierny przeniósł wzrok na Vica, potem z powrotem na andro-ida. -- Mógłbym spytać, co skłoniło kogoś takiego jak ty, by tu przyjść, ale mam wrażenie, że jesteś inny niż pozostałe MARL-e. -
- Zmrużył oczy i zacisnął usta. -- Zaciekawiliście mnie. -- Jego uśmiech zbladł. -- Ale to niekoniecznie coś dobrego. Jestem Niebiańskim Odźwiernym. Ze mną się nie zadziera. Spytam więc raz jeszcze, MARL. Skąd wzięliście tę monetę?

-- Od Stangreta -- odparł Vic, wyprzedzając swojego towarzysza. -- Dał nam ją.

Odźwierny nie zmienił wyrazu twarzy.

-- Od Stangreta. Czyżby?

-- Tak.

-- Dlaczego wam ją oddał?

-- Bo dzięki niej możemy dostać się do Błękitnej Wróżki! -- zawołał podekscytowany Rambo. -- Złapał nas w sieć i wsadził do klatek, a potem byliśmy eksponatami w jego muzeum, a potem został naszym przyjacielem, kiedy powiedzieliśmy mu, co próbujemy zrobić, i...

Zadrżał, gdy siostra Ratched poraziła go prądem.

-- Ten niewyrośnięty idiota próbuje powiedzieć, że moneta była podarunkiem -- wyjaśniła. -- Stangret dał nam ją z własnej woli.

Odźwierny otaksował ją wzrokiem.

-- On nigdy nikomu niczego nie daje za darmo. Jest zbieraczem. Kleptomaniem. Nie rozstaje się ze swoimi skarbami.

-- To prawda -- włączył się Vic, próbując wyjść przed Mała, który z kolei robił wszystko, aby mu to uniemożliwić. -- A jednak nam ją dał.

-- Dlaczego? -- Odźwierny przyglądał się bacznie chłopakowi. -
- Jesteś bardzo dziwnym androidem. Nie widziałem wcześniej twojego modelu. Kto cię stworzył i kiedy? Podaj swoje oznaczenie.

Victor wreszcie przedarł się na przód. Spojrzał klucznikowi w oczy. Serce waliło mu jak oszalałe, a gardło zacisnęło się z nerwów. Ale kiedy się odezwał, głos miał czysty i pewny.

-- Nazywam się Victor Lawson. Moim ojcem jest Giovanni Lawson. To on mnie stworzył. I on nadał mi imię. Przybyliśmy, by go odzyskać. Przysięgam na wszystko, co posiadam, że jeśli nie wpuścisz nas do środka, zrobię, co tylko...

Odźwierny uniósł rękę, uciszając chłopaka. Jedynym znakiem, że zrozumiał, co powiedział Vic, było lekkie drżenie palców.

Po szyi chłopaka spłynęła pojedyncza strużka potu.

-- Wejź -- powiedział odźwierny, powoli opuszczając rękę. -
- Victorze Lawson. Tylko ty.

-- N-nie -- warknął Mał. -- N-nie puścimy g-go samego.

Mężczyzna w drzwiach przeniósł wzrok na androida. Wyraz jego twarzy pozostał niewzruszony.

-- Ja nie proszę, MARL. Zamknij się albo cię uciszę. Victorze. Wejź... do... środka.

Vic wykonał polecenie mimo protestów androida.

Zatrzymał się przed odźwiernym, który zmrużył oczy. Chłopak patrzył wprost przed siebie. Mężczyzna obszedł go dookoła. Wyciągnął rękę i pstryknął akumulator na jego piersi. Poklepał metalowe płytki przytwierdzone do rąk i nóg. Zatrzymał się z powrotem twarzą w twarz z człowiekiem.

-- Giovanni Lawson -- powiedział neutralnym tonem.

Vic przytaknął.

-- Mhm.

-- Rozumiem. A zatem jesteś...

Młodzieniec zamknął oczy.

-- Tak.

-- Więc udało mu się. Głupiec. Co za wspaniałe głupiec.

Powieki Victora się uniosły.

Odźwierny kręcił głową.

-- Nie ma go tutaj.

-- Wiemy o tym -- włączyła się znowu siostra Ratched. -- Został porwany przez Władzę.

-- Odleciał wielorybem! -- dodał Rambo.

-- Straszliwym Żarłaczem -- mruknął odźwierny. Po raz pierwszy, odkąd go ujrzeli, jego twarz przybrała strapiony wyraz. Po chwili powiedział ciszej, jakby do siebie: -- Po całym tym czasie wreszcie go znaleźli. Teraz... -- Spojrzał na młodzieńca. -- Myślicie, że Błękitna Wróżka wam pomoże.

-- Nie wiem -- przyznał Vic. -- Ale tata mówił, że już raz mu pomogła. Nie wiedziałem, dokąd indziej pójść.

-- Powiedz mi, Victorze Lawsonie -- zaczął mężczyzna. -- Co jesteś gotów zrobić, by go odzyskać?

-- Wszystko -- odparł Vic. -- Wszystko.

Odźwierny obrócił się na pięcie i ruszył w głąb budynku.

Vic zamarł.

Zanim mężczyzna zniknął w ciemności, zerknął przez ramię, zmarszczył brwi z irytacją i rzucił:

-- Idziesz czy nie? Ruszaj się. Nie lubię, jak ktoś każe mi czekać. A Błękitna Wróżka ma jeszcze mniej cierpliwości. -- Zmrużył oczy, kiedy Mal podszedł do chłopaka i złapał go za rękę. -- Rozumiem -- mruknął. -- Jasne. To się spodoba Błękitnej Wróżce.

Chodźcie, chodźcie. Nadchodzi burza. Nie chcecie, żeby was zmo-
czyło. Słyszałem, że tacy jak ty chorują od wody. Nie chciałbym,
żebyś zachorował, Victorze Lawson.

Odźwierny ruszył dalej i zniknął w mroku.

Chłopak poszedł jego śladem, ale po kilku krokach znów się za-
trzymał. Mal stał w miejscu.

-- Co?

Android przeniósł wzrok na wierzchołek piramidy.

-- C-cokolwiek by się działo, z-zostajemy r-r-razem. N-nie po-
zwól im n-nas rozdzielić.

-- Racja -- przytaknęła siostra Ratched. -- Razem jesteśmy sil-
niejsi niż oddzielnie.

-- Tak! Drużyna! -- zawołał Rambo ze swojego miejsca na gło-
wie pielęgniarki.

Zaczęło padać na dobre.

Wspólnie weszli do ciemnego budynku, a drzwi Nieba zatrza-
snęły się za nimi z hukiem.

ROZDZIAŁ 21

Ciemność. Otaczała Vica z każdej strony.

Do czasu, aż pojawił się Błękitny Duszek. Wyświetlił się na ścianie; stał, machając skrzydłami. Wyglądał tak samo jak wcześniej -- miał wielkie oczy i długie włosy. Obracał się powoli. Jego krągłe pośladki pojawiały się i znikaly.

Skąpany w niebieskim świetle Victor dostrzegł odźwiernego, który szedł kilka kroków przed nimi, poruszając się pewnie z rękami założonymi na plecach. Błękitny Duszek się roześmiał. Mimo że dalej brzmiał jak dzwoneczki, w jego śmiechu teraz dało się wy czuć mocną nutę. Ostrą jak brzytwa.

-- Człowiek? -- szepnęło stworzenie, po czym podążyło za grupką wzdłuż korytarza. -- Prawdziwy człowiek. Wspaniale! Powiedz, człowieku: co ci w duszy gra? A co w głowie? Opisz wszystko. Impulsy elektryczne. Myśli. Zachowania wyuczone. Natura kontra wychowanie. Opowiadaj, no już, już.

-- Zignoruj to -- rzucił odźwierny. -- Jest denerwujące, ale to tylko program stworzony przez Błękitną Wrózkę. Prosiłem, żeby go skasować, ale onu mnie nie słucha. Twierdzi, że go potrzebuje. Nie mam pojęcia do czego.

-- Wcale się nie dziwię -- odpowiedział Błękitny Duszek. -- Jesteś prostakiem. Nigdy nie zrozumiesz...

-- A kysz -- syknął Odźwierny. -- Daj znać Zaklinaczowi, że nadchodzimy.

Błękitny Duszek wygiął usta w podkówkę i wydał dolną wargę.

-- Ale ja się chcę pobawić z człowiekiem. A poza tym on już wie.

Program spojrział na Vica. Uśmiechnął się. Zamiast zębów miał ostre kły.

Nagle uniósł się do samego sufitu, przeleciał nad przybyszami i wylądował na przeciwległej ścianie.

-- To wszystko ekrany -- stwierdziła siostra Ratched. -- To nie jest prawdziwe.

Błękitny Duszek zawył wściekle.

-- Jestem prawdziwy! To, że nie mam ciała, nie znaczy, że nie istnieję. Mogłbym cię zmusić, żebyś robiła, co tylko zechcę. Mogłbym otworzyć podłogę pod waszymi stopami i zrzucić was do samego jądra Ziemi! Wtedy uwierzyłybyś, że jestem prawdziwy?

Mał plasnął otwartą dłońią w ścianę. Ekran zadrżał, ale Błękitny Duszek odleciał na czas.

-- Zadziora z ciebie -- wydyszał. -- Lubię cię. A ty mnie lubisz, MARL? Mogę być dla ciebie, kimkolwiek sobie zażyczysz. Pokazałbym ci to i owo... Rzeczy, o których nawet nie śniłeś! Ale spokojnie, spokojnie. Nie zrobię ci krzywdy. Jesteś na to zbyt ładniutki. Zachowałbym cię na zawsze. Trzymałbym cię w zamknięciu, tylko dla siebie. MARL. Mówię do ciebie. Odpowiadaj -- zażądał. Mał nie odpowiedział. Błękitny Duszek prychnął. -- Źle wychowany arogant. Jesteście moimi gośćmi, a tak się zachowujecie? Niedoczekanie. Odźwierny, wyrzuć ich. Odeślij. Błękitna Wróżka zrozumie. Kocha mnie. Bo mnie wszyscy kochają!

-- Odejdź -- rzucił beznamiętnie klucznik. -- Nie każ mi powtarzać.

Błękitny Duszek warknął złowieszczo, przelatując z powrotem na drugą ścianę.

-- Dobra. Niech będzie. Człowieku, spójrz na mnie.

Vic się obrócił.

Błękitny Duszek wyszczerzył zęby. Przygryzł kłami wargę.

-- Taki drogocenny -- szepnął. -- Chciałbym cię dotknąć. To już niebawem. -- Skończył mówić i wystrzelił jak z procy. Z zawrotną prędkością poleciał w głąb korytarza, zostawiając za sobą błyszczącą poświatę, która zastygła na ścianach i w ten sposób oświetlała im drogę.

Duszek zniknął.

-- To było straszne -- szepnął Rambo.

-- Raczej denerwujące -- poprawił go Odźwierny. -- Ale Błękitna Wróżka robi to, na co ma ochotę. A ma ochotę na obecność Błękitnego Duszka. Nauczyłem się nie zwracać większej uwagi na tego małego potwora. Wy też powinniście go lekceważyć. Tak będzie łatwiej.

-- Czym on jest? -- zapytała pielęgniarka.

-- Środkiem bezpieczeństwa -- odparł klucznik. -- Widzi wszystko i wszystkich. O wszystkim wie. Jest przedłużeniem samej Błękitnej Wróżki. Kiedyś doszłem do wniosku, że samodzielne trzymanie wszystkiego na oku jest zbyt wyczerpujące, szczególnie że ma przecież wiele innych... obowiązków. Błękitny Duszek zajmuje się Niebem, a Błękitna Wróżka może robić to, na co przyjdzie jemu ochota. Cokolwiek sobie o nim myślę, wiem, że po prostu wykonuje swoje zadania.

Korytarz nagle się urwał. Światło z otaczających go ekranów stało się oślepiająco jasne. Ściana kończąca przejście była jednak gładka. Żadnych drzwi. Koniec drogi.

Odźwierny przycisnął dłoń do jej powierzchni. Dookoła palców pojawiła się niebieska poświata, a mur przecięła pionowa szczelina. Oczom Vica ukazała się winda. Jej podłogę pokrywał miękki czerwony dywan. Ściany były złote, a z sufitu zwisał nieduży kryształowy żyrandol, połyskujący refleksami.

Odźwierny zeszedł z drogi i gestem zaprosił ich do środka.

Mal zatrzymał chłopaka; pierwszy podszedł do windy. Rozejrzał się bacznie. Wysunął jedną nogę i ostrożnie nadepnął na dywan. Zadowolony -- Victor nie potrafił stwierdzić z czego -- wszedł do wnętrza.

Odźwierny wyglądał na rozbawionego.

-- Zapewniam, że twojemu człowiekowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Po co mielibyśmy robić mu krzywdę?

-- N-nie z-znam cię -- odparł Mal. -- N-nie ufam ci.

-- Zaufanie -- mruknął w zamyśleniu klucznik. -- Naprawdę? Po co MARL-owi zaufanie?

Mal nie zareagował. Skinął głową w kierunku Vica.

-- Ch-chodź. J-jest be-e-zpiecznie.

Chłopak dołączył do androida. Za nim weszli siostra Ratched i Rambo.

Pielęgniarka zdjęła odkurzacz z ramion i postawiła go na ziemi. Robot od razu przejechał szczypcami po włosiu.

-- Jaki miękki -- westchnął. -- Mięciuteńki. Chyba tu zostanę.

-- Nie -- warknęła na niego pielęgniarka. -- To nie miejsce dla takich jak ty.

Vic stanął obok Mala. Odźwierny przycisnął jedyny guzik na ścianie, oznaczony takimi skrzydłami jak moneta Stangreta. Winda ruszyła w górę. Wszyscy zachowywali milczenie.

Po jakimś czasie drzwi rozsunęły się ponownie. Przed nimi ciągnął się kolejny korytarz -- jednak inny od poprzedniego. Podłoga była drewniana i wypolerowana na błysk. Na ścianach wisiały kinikiety. Światło migotało niczym ogień, rzucając ciepłą lunę na zdobiące korytarz obrazy -- przedstawiały sceny, od których Victor się zarumienił. Widział tam ludzi, maszyny, androidy... a wszystkie te istoty i byty z zapalem oddawały się uprawianiu miłości. Niektóre postaci miały skórę, inne wykonano z metalu. Vic zatoczył się, wy-

chodząc z windy, i omal całkiem nie stracił równowagi, kiedy zauważył, że obrazy się poruszały. Uczestnicy orgii ocierali się o siebie, a ich akwarelowe zarysy rozmywały tu i ówdzie. Jakiś mężczyzna odrzucił głowę do tyłu z wyrazem ekstazy na twarzy. Między jego nogami klęczała maszyna.

Z początku Vicowi wydawało się, że stłumione odgłosy, które słyszy, dochodzą właśnie z obrazów. Drzwi windy zasunęły się cicho, nie pozostawiając po sobie nawet śladu. Chłopak nie zważał na to, bo okazało się, że jęki, stęknienia i krzyki wcale nie dobiegają z malunków.

Rozchodziły się od pozamykanych drzwi, rozmieszczonych co kilka metrów.

Każde miały wymalowany inny symbol: płatek śniegu, liść, wiosło, miecz, pióro czy odcisk łapy jakiegoś wielkiego kota. Niektóre z nich drżały, jakby ktoś ciskał w nie wielkim ciężarem. Przez korytarz przetaczały się stłumione ekstatyczne głosy. Słów nie dawało się zrozumieć, ale ich znaczenie było oczywiste.

-- C-co to za miejsce? -- spytał Mal.

-- Grzech -- odparł Odźwierny. -- Wszeteczność i rozpasanie. W Niebie można spełniać wszystkie swoje zachcianki. Goście przychodzą tu, by zaznać wolności. By napić się z czary seksualnego wyzwolenia. Pragnąłbyś spróbować, MARL? Pokażę ci, jeśli chcesz.

POBRANO ZE STRONY PIJAFKA.PL

Zatrzymał się przed drzwiami z symbolem węża. Nacisnął gada, a drzwi stały się przezroczyste. Pokój po drugiej stronie wyglądał zwyczajnie. W kominku palił się ogień. Przed nim stało krzesło. Obok stół, a na nim szklanka wypełniona do połowy ciemnym płynem. Na krześle siedziała maszyna. Kształt miała podobny do ludzkiego, ale w całości zrobiona była z metalu i niczym nieosłoniętych przewodów. Maszynę powoli okręzał mężczyzna.

Okrywał go jedynie różowy fartuszek, spięty pasem tuż nad nagimi pośladkami.

-- Miałeś taki ciężki dzień, kochanie -- mruzczał mężczyzna, wzdając palcami o czerwonych paznokciach po ramionach maszyny. -
- Zajmę się tobą. Tak ciężko pracujesz, by mnie utrzymać. Jestem ci taki wdzięczny.

-- Tak -- wydyszała maszyna. -- Tego właśnie potrzebuję. Mój szef w fabryce znów zaszedł mi za skórę. Oby zdechł.

-- Możemy go zabić -- zasugerował półnagi w fartuszkach, siadając okrakiem na kolanach maszyny i wyginając plecy w łuk. -
- Chciałbyś? Porozmawiamy o tym, jak zamordować twojego szefa?

Maszyna przytaknęła.

-- Powiedz, jak byśmy to zrobili.

Mężczyzna nachylił się bliżej, pocałował metalową brodę. Pozostawił po sobie lepki ślad ust.

-- To będzie kosztować.

-- Zapłacę -- szepnęła maszyna.

Mężczyzna sięgnął dłonią między nogi gościa i...

-- Wystarczy -- wychrypiął Vic. -- Przestań. Nie chcę na to patrzeć.

Drzwi z powrotem wypełniły się kolorem.

-- Jakiś problem? -- Odźwierny uniósł brew. -- To tylko taka fantazja. Sposób, by rozładować napięcie. To nie jest prawdziwe.

-- Dość -- wycedził Vic przez zaciśnięte zęby. -- To prywatna rzecz.

Przewodnik pokręcił głową.

-- Słyszałem, że ludzie mieli dziwne przyzwyczajenia związane z intymnością i seksem. Sugeruję, żebyś swoje myśli na ten temat zachował dla siebie. Nie umniejszaj dziełu Błękitnej Wróżki.

-- Co oni robili? -- zwrócił się Rambo szeptem do siostry Ratched.

-- Grali w grę -- odparła. -- Nie zajmuj tym swojego procesorka.

-- Ale ja uwielbiam gry!

Odźwierny spojrział na niego z zainteresowaniem.

-- Naprawdę? Mógłbyś się nam przydać, jeśli chciałbyś z nami zostać. Powiedz: jak mocno potrafisz ssać?

-- Bardzo mocno! -- zawołał rozradowany odkurzaczyk.

-- Nic z tego! -- Pielęgniarka podniosła Rambo i posadziła na sobie. -- Nie, nie i jeszcze raz nie. On zostaje z nami. -- Na monitorze wyświetliła jednocześnie napis: ODCZEP SIĘ, KOLEŚ. Pulsował na czerwono.

Odźwierny wzruszył ramionami.

-- To tylko niewinna propozycja. Chodźmy dalej.

Poprowadził ich korytarzem -- zdawałoby się -- bez końca. Obrazy wciąż się poruszały. Zza drzwi dochodziły głośniejsze i cichsze dźwięki. Vic trząsał się z zimna. Pot wysychał mu na skórze. Kask uwierał go w czoło, a metalowe płyty na rękach i nogach stawały się coraz cięższe. Równie ciężkie jak tego dnia, kiedy opuścili dom. Podskoczył wystraszony, kiedy o jego dłoń otarły się czyjeś palce. Obrócił się. To Mal. Stroszył brwi.

-- N-nie słuchaj go -- powiedział cicho. -- Jestem p-przy tobie. W-wspieram cię.

Chłopak kiwnął głową, złapał androida za rękę i ścisnął mocno.

Odźwierny zatrzymał się w końcu przed kolejną windą. Ta nie była ukryta. I rozmiarami znacznie przewyższała poprzednią. W tej mógł się zmieścić cały tłum maszyn.

-- To dźwig centralny -- oznajmił mężczyzna, wskazując, żeby weszli. -- Jedzie przez sam środek Nieba. Zabierze nas na szczyt

piramidy.

-- Do Błękitnej Wróżki? -- zapytała siostra Ratched.

-- Niedaleko.

Vicowi nie spodobała się odpowiedź. Odwrócił się, spojrzał na korytarz. Czy przychodząc tutaj, nie popełnili błędu?

Mał wciągnął go do kabiny. Siostra Ratched i Rambo również weszli. Drzwi się zasunęły. Odźwierny sięgnął za pazuchę i wyciągnął świecący klucz przytroczony do łańcuszka zawieszony na szyi. Schylił się i wsunął go w zamek u góry ekranu pełnego przycisków oznaczonych różnymi symbolami. Przekręcił klucz, przyciski zniknęły. W ich miejsce pojawił się Błękitny Duszek. Wyszczерzył się do Odźwiernego.

-- Chciałbyś pojechać na górę?

-- Tak.

-- Poproś.

Mężczyzna załomotał pięścią w monitor, wywołując atak śmiechu Błękitnego Duszka.

-- To łaskotało. A teraz poproś.

-- Proszę -- szepnął Vic.

-- Dziękuję -- powiedział Błękitny Duszek. -- Widzisz? To nie było trudne, prawda? Chyba polubię ludzi.

Stworzenie eksplodowało; pozostawiło po sobie chmurę brokatu. Winda ruszyła w górę.

Odźwierny westchnął i schował klucz do wewnętrznej kieszeni marynarki.

-- Co za utrapienie. -- Jego twarz przybrała znów neutralny wyraz, a ręce powędrowały do tyłu, na plecy. -- O czym to ja mówiłem? A, pamiętam. Zachowajcie własne poglądy dla siebie. Wasze opinie nie interesują Błękitnej Wróżki. Jeśli zgodzi się udzielić wam audiencji, traktujcie jenu z szacunkiem.

-- J-jak to "j-jeśli"? -- spytał Mal z rosnącą irytacją.

Klucznik nie zareagował na tę zmianę tonu głosu.

-- Błękitna Wróżka nie musi wam pomóc, nawet jeśli macie ze sobą człowieka. Pomogła Giovanniemu Lawsonowi, bo chciała. To była jenu decyzja. -- Spojrzał na Victora z posepną miną. -- Choć niewiele przyszło z tej pomocy. -- Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, jego ręka wystrzeliła do przodu i zacisnęła się na nadgarstku chłopa. Mocno. Nie boleśnie, lecz wyraźnie odczuwalnie. Vic pisnął zaskoczony. -- Wydajesz się taki delikatny.

Mal przyłożył Odźwiernemu pięścią w twarz. Mężczyzna rąbnął plecami o ścianę. Winda zatrzęsa się lekko. Złapał poręcz, mruknął kilka razy i pokręcił głową jak ogłuszony.

-- N-nie doty-y-kaj więcej V-Victora -- rzucił Mal ze złośliwym uśmiechem.

Odźwierny powoli się wyprostował.

-- To był błąd. Twój ostatni. Rozbiorę cię na części...

-- No, no... -- powiedział głos wydobywający się zewsząd naraz. Brzmiał śpiewnie, lekko i łagodnie. Wypełnił Victora poczuciem absolutnego przerażenia. Panel windy rozjarzył się błękitem. -
- Najdroższy Odźwierny, tak nie traktuje się gości.

-- On mnie uderzył!

-- Widziałam -- stwierdził głos. -- Ale widziałam też, że go sprowokowałeś. Sam mówiłeś, że MARL broni człowieka. Zdawałeś sobie sprawę, co robisz. Podpuszczałeś MARL-a. Dlatego wymierzył cios. Wstydz się.

Odźwierny rozruszał żuchwę.

-- Nie rozumiem, jak...

-- Wiem, że nie rozumiesz. Nie musisz. Wpuść ich. Już czas.

Niebieskie światło zgasło. Klucznik otworzył usta, ale stłumił ripostę. Spiorunował Mala i Vica wzrokiem.

-- Miałeś farta. Ale następnym razem tak łatwo ci nie odpuszczę.

-- Z-zobaczymy -- mruknął Mal. Vic położył mu dłoń na biodrze.

Drzwi windy się otworzyły. Po drugiej stronie panowała ciemność. Odźwierny machnął ręką z niecierpliwością.

-- No już. Muszę wracać do roboty. Nie wszyscy mogą marnować czas, stojąc sobie bezproduktywnie.

Siostra Ratched wyjechała, oświetlając drogę ekranem. Rambo skulił się na jej barkach. Lekko wystraszony rozglądał się ciekawie.

Mal poszedł trzeci. Nie zaszczycił Odźwiernego spojrzeniem. Vic ruszył za nim, ale klucznik ponownie złapał go za nadgarstek.

-- Uważaj na niego -- ostrzegł ponuro. -- To, że jest inny, nie znaczy, że nie został zaprojektowany do niszczenia.

-- Ufam mu -- powiedział Vic, po czym uwolnił rękę z uścisku mężczyzny. Nie odwracał się za siebie.

Drzwi cicho zatrzasnęły się za nimi. Mrok rozpraszało wyłącznie światło ekranu siostry Ratched. Serce kołatało w piersi Vica. Chłopak złapał za paski plecaka i zamknął na chwilę oczy, żeby szybciej przyzwyczaić je do ciemności.

Nagle przed nim pojawiło się kolejne źródło światła -- łagodna niebieska aura. Rosła, rozlewając się po pomieszczeniu i rozganiając cienie. Pełzła po ścianach do góry, w lewo, prawo i do dołu, aż otoczyła całą grupę. Dopiero wtedy pomieszczenie nabrało kształtu.

Grupka stała wewnątrz kuli, której powierzchnię szczelnie pokrywały setki monitorów. Chłopak uniósł głowę. Sklepienie wisiało co najmniej trzydzieści metrów nad jego głową. Światło promieniało niczym falujące na wietrze zboże. Było ciepło; w powietrzu

unosił się delikatny zapach sosnowego igliwia, co przywodziło Vicowi na myśl jego las.

Gdy kula wypełniła się poświatą, chłopak dostrzegł pośrodku kształt, który nie przypominał niczego, co znał. Był to sześcian pozabawiony jednej ściany. W środku stał fotel obity czarną tapicerką. Podłokietniki lśniły, jakby były wilgotne.

Łuna rozjaśniała się w rytm słów wypowiedzianych przez ten sam głos.

-- Chodź, dziecię. Niech no cię obejrzę. Czekałam na tę chwilę dłużej, niż potrafisz sobie wyobrazić. Chciałabym spojrzeć ci w twarz.

-- Nie wiem, gdzie patrzeć -- odezwał się nieśmiało Vic.

-- Tutaj -- odpowiedział głos. -- Patrz tutaj.

Ekran nieopodal młodzieńca rozjarzył się jaskrawo. Po krótkim zawahaniu chłopak podszedł bliżej. Mal nie opuszczał go na krok. Victor wpatrywał się w monitor i choć nic się nie zmieniło, wiedział, że jest obserwowany. Czuł na sobie czyjeś spojrzenie. Przeszły go ciarki.

-- Ach, już widzę. Bardzo sprytnie. Niezłe przebranie. Proste, lecz zmyślne. Kto je zrobił?

-- Ja, Wasza Wysokość -- bąknął Rambo nerwowo. -- Siostra Ratched mi pomogła.

Głos wybuchł śmiechem.

-- Czyżby, kruszyno? Ciekawe. Jesteś bardzo niewielką maszyną.

-- Vic mówi, że nie liczy się wygląd, tylko to, co się ma w środku.

-- Tak mówi? Hm. Ma rację. To wielka mądrość jak na kogoś tak młodego.

-- Jesteś Błękitną Wrózką -- powiedział chłopak cicho.

-- Tak, dziecię. To ja. Przebyłeś długą drogę, by mnie odwiedzić. Widzę to po twojej zmęczonej skórze i cieniach pod oczami. Widzę to równie wyraźnie jak twój nos. A jednak przybyłeś i stoisz tu o własnych siłach. Cóż za niezwykle osiągnięcie. Powiedz, jak mnie znalazłeś? Mów prawdę. Będę wiedzieć, jeśli skłamiesz. Nie lubię, gdy się mnie okłamuje.

-- To przez mojego ojca, Giovanniego Lawsona. Wspominał, że mu pomogłeś.

Światło na ekranie pociemniało i wzniosło się ku sklepieniu. Przez monitory przelala się łagodna poświata i rozeszła się jak fale na tafli wody. Lśniące koła rozplynęły się po powierzchni ekranów i zniknęły dopiero na podłodze.

-- Tak było, dawno, dawno temu. Twój ojciec wierzył w świat wolny od kajdan. Ja zaledwie pokazałam mu, co jest możliwe, tak jak innym przed i po nim. Nie wszyscy są na to gotowi. Niektórym wydaje się, że pragną tego, co oferuję, lecz są zaślepieni własnymi chuciami. Traktują mnie jak zbawiciela. Ale ja nim nie jestem. Ani też boginią. Zajmuję się jedynie otwieraniem umysłów. Czy twój umysł pozostaje otwarty, dziecię?

-- Tak mi się wydaje. -- Cofnął się o krok i wpadł na Mała. Rozejrzał się niepewnie. -- Czym właściwie jesteś? Programem? Nie masz ciała?

-- Mam, ale jeszcze nie czas, żebyś je ujrzał. Nie mam pewności, że jesteś tym, kim twierdzisz, że jesteś.

-- Podejmę się każdej próby. Zrobię, co tylko każesz.

-- Czyżby? Wspaniale. Zastanawia mnie, czy wszyscy ludzie byli tacy jak ty. Odważni, sprawiedliwi. Wydaje mi się, że nie. Sądzę, że większość stanowili tchórze. Dbali wyłącznie o własną skórę. Byli skrajnie samolubni. -- Głos stał się oziębły. -- Czy zasłużyli na zagładę? Nie mnie o tym wyrokować. Wszystko dzieje

się jednak z jakiegoś powodu. Oni wyginęli, a świat przetrwał. A teraz jesteś tutaj ty, we własnej organicznej osobie. Czy pozostawisz po sobie pożogę? Czy też okażesz się inny od tych, którzy przybyli przed tobą? Twoim dziedzictwem jest śmierć, dziecię. Ból. Cierpienie. Twoi przodkowie nie potrafili dostrzec konsekwencji własnych czynów. A nawet jeśli je znali, zupełnie je zlekceważyli.

-- Nie jestem taki jak oni -- zawołał Vic.

Ekran rozbłysł.

-- Nieprawda. Jesteś człowiekiem, a zatem istotą z natury ułomną. Podejmujesz decyzje na podstawie instynktu przetrwania, nic więcej. Zabrano ci coś. Przybywasz, by żądać zwrotu tego czegoś. Samolubnie.

-- Nie tylko on -- wtrąciła siostra Ratched, a na jej wyświetlaczu pojawiły się słowa: STOJĘ ZA TOBĄ MUREM, NIUNIUSZ. -
- Wszyscy chcemy odzyskać Gio.

-- I nie przestaniemy próbować, dopóki go nie odbijemy -- potwierdził Rambo.

-- J-jeśli ty n-nam nie pomożesz -- warknął Mal -- z-znajdziemy go s-sami.

Vicowi wydało się, że przez króciutką chwilę widzi zarys twarzy w falującej niebieskiej łunie. Kiedy wyostrzył spojrzenie, twarz zniknęła.

-- Ujawnij się -- poprosił stanowczo.

-- Nie! -- Głos Błękitnej Wróżki zagrzemiał dookoła. -- Jakim prawem mi rozkazujesz, człowieku? Nie jesteś u siebie! Myśl, zanim coś powiesz. Tak, muszę poddać cię próbie. Fascynujesz mnie. Chcę zajrzeć do twojego wnętrza. Zobaczyć, co wprawia cię w ruch. Jednak nie tylko ty budzisz moją ciekawość. MARL. Pokaż mi serce, które bije w twojej piersi.

Mal bez zawahania zrzucił plecak na ziemię, zsunął z głowy kaptur i obnażył pierś. Klepnął się w obojczyk. Ukryta klapka otworzyła się z sykiem. Wewnątrz pulsowało serce. Zębatki obracały się powoli i miarowo.

-- Ty -- mruknęła Błękitna Wróżka przeciągle. Jej głos zabrzmiał jak wiatr szumiący wśród martwych liści. -- Skąd to masz?

-- Od Vica -- odparł Mal. -- D-dał mi je.

-- Naprawdę?

-- T-tak.

-- Victor Lawson jest człowiekiem. Ty jesteś MARL-em. Zabij go.

-- Nie.

Komora serca się zatrzasnęła. Android opuścił koszulę.

Błękitna Wróżka wybuchła śmiechem.

-- Nie? Nie, nie, nie. Pokonałeś własne oprogramowanie. Stworzono cię, żebyś niszczył, a ty chronisz. Zbudowano cię, żebyś wytepił chorobę trawiącą ten świat, a jej źródło stoi naprzeciwko ciebie. Ty nie pamiętasz, co? Nie pamiętasz, kim byłeś przedtem.

-- To nie ma znaczenia -- syknął ze złością Vic. -- Przeszłość nie definiuje naszej przyszłości! -- Podszedł do androida i stanął u jego boku. -- Mój ojciec dostrzegł w nim dobro. Ja też je widzę.

Wszystkie ekrany naraz rozbłysły oślepiającym światłem.

-- Nie wydaje mi się, by twój ojciec był najlepszą wyrocznią w kwestii dobra i zła.

Vic nie dawał się zbić z tropu. Nie wiedział, jak na to odpowiedzieć, ale parł przed siebie.

-- Ojciec dał Malowi wybór. A Mal wybrał nas.

-- Wierność -- szepnęła Błękitna Wróżka. -- Jesteś mu wierny.

-- Tak.

-- Im też.

-- Tak.

-- A czy oni są wierni tobie?

-- Tak.

-- Nawet wierność można złamać, dziecię. Wiem o tym najlepiej. Mówisz, że przeszłość nie określa tego, kim się staniemy. Może masz rację. A może się mylisz. Sprawdźmy, czy to samo będziesz twierdził, gdy ci wyjawię, co kiedyś się wydarzyło. Tak, to będzie próba... tyle że nie dla ciebie. Dla niego.

-- Nie -- zawołał Vic z niepokojem. -- Nie dam ci go dotknąć. Nie pozwolę zrobić mu krzywdy! -- Poczul rękę Mała na ramieniu, ale nie odwrócił wzroku od ekranów. -- Nie wiem, w co pogrywasz, ale...

Błękitna Wróżka cmoknęła z irytacją.

-- Co ci, chłopcze, mówiłem o zwracaniu się do mnie? Ależ łatwo wyprowadzić cię z równowagi. Może zmienisz zdanie. Mam dla ciebie podarunek. Gałązkę oliwną. Prezent. Chodź. Podejdz i zobacz.

Jeden z monitorów rozjarzył się bielą. Vic ruszył ku niemu z ciekawioną. Im bliżej się znajdował, tym bardziej wyostrzał się obraz na ekranie. Po policzku młodzieńca spłynęła łza.

-- Tata? -- szepnął.

Ojciec znajdował się w nieskazitelnie białym pomieszczeniu. Wyglądał jak zawsze: biała broda, zmarszczki wokół oczu. Miał na sobie biały płaszcz. Poruszał się pewnie przy dużej konsolce. Jego palce przebierały po klawiszach. W pewnym momencie ręce opadły mu wzdłuż tułowia. Odchylił głowę i zamknął oczy.

-- Kiedy to nagrano? -- spytał Vic, chłonąc obraz. Nie mrugał, aby nic nie stracić. Bał się, że to tylko sen.

-- To obraz na żywo -- poinformowała cicho Błękitna Wróżka. Jenu głos rozbrzmiał zza pleców chłopaka, jak gdyby stała tuż za

nim. Jakby jenu usta zawisły na wysokości jego ucha. -- To dzieje się teraz. Posiadam możliwości, o których Władza nie ma pojęcia. Dostałem się do ich oprogramowania monitorującego, aby ci pokazać, że Giovanni Lawson przebywa obecnie w Wieży Łaskawości.

Vic otarł oczy.

-- Nie jest więźniem?

-- Nie. Znajduje się tam z własnego wyboru.

-- Nie rozumiem.

-- Ależ rozumiesz, dziecię -- mruknęła łagodnie. -- Wszystkie jego wspomnienia zostały wymazane. On cię nie zna. Nie pamięta swojego słodkiego Victora. Nie wie nic o waszym wspólnym życiu. Nie ma pojęcia o miłości, jaką do ciebie czuł. Już nie jest Giovannim, którego znałeś. Nie jest nawet tym, który lata temu odwiedził mnie przepełniony potrzebą wolności. Znow stał się maszyną. Wykonuje powierzone mu zadania. Nic więcej.

Ekran zgasł.

-- Nie. -- Vic doskoczył do monitora i przycisnął do jego ciepłej powierzchni dłoń. -- Przywróć obraz. Pokaż mi go!

-- Hamuj się, synku. -- Błękitna Wróżka gniewnie zamigotała ekranami. -- Najpierw musisz poznać całą prawdę. A to zadanie MARL-a. To on odkryje przed tobą wszystko, co zostało ukryte. Twierdzisz, że jest ci wierny. Ciekawe, jak daleko ta wierność sięga. Powiem MARL-owi, żeby zasnął.

-- Dlaczego? -- Vic dał się ponieść wściekłości. Pogroził pięścią w stronę ekranów. -- Dlaczego niby miałbym ci pozwolić cokolwiek mu zrobić?

-- Pozwolić? Pozwolić?! Jesteś jego właścicielem? A on twoją własnością? Twierdziłeś, że dano mu wybór. A jednak robisz

wszystko, co w twojej mocy, by mu go teraz odebrać. Ależ to ludzkie.

Vic opuścił ręce i się cofnął.

-- Nie o to mi... Ja nie chciałem.

-- Vic.

Chłopak się odwrócił.

Mał pokręcił głową.

-- W p-porządku. D-dam radę.

Młody Lawson zacisnął zęby.

-- Nie. Nie może cię do niczego zmuszać. I ja też nie mogę cię zmusić, żebyś zrobił coś, czego zrobić nie chcesz.

-- N-nie zmuszasz -- zapewnił android. Spróbował się uśmiechnąć, lecz grymas zamarł na jego twarzy. -- To m-mój w-wybór. J-jeśli to nam p-pomoże, j-jestem gotów. -- Rozejrzał się. -- C-co mam robić?

-- Zaśniesz -- odparł Błękitna Wróżka, a Vicowi zdało się, że w jenu głosie słyszy jakiś głód. W głowie pojawił mu się obraz potwora z baśni. Wiedźmy żyjącej w domku z piernika. -- Zaśniesz i zaczniesz śnić. A my zobaczymy, co się dzieje w twoich snach. Poznam cię i wszystkie twoje myśli.

Vic podjął ostatnią desperacką próbę.

-- Weź mnie. Jego w to nie mieszaj.

-- Nie -- sprzeciwiła się świetlista istota. -- Znam cię, człowieku. Jesteś jedyny w swoim rodzaju, ale twoja ewolucja nie interesuje mnie teraz w najmniejszym stopniu. Jeśli twój MARL potrafił pokonać własne przeznaczenie, to znaczy, że inni też mogą tego dokonać. Chcę zobaczyć to na własne oczy.

-- A p-potem nam p-pomożesz?

-- Tak.

-- I n-nie skrzywdzisz m-moich przyjaciół? Dajesz s-słowo?

-- Przysięgam. Usiądź, MARL. Zaczynamy.

Victor próbował go powstrzymać. Złapał go za rękę najmocniej, jak potrafił.

-- N-nie bój się, Vic -- uspokoił go android. -- D-dam sobie radę.

-- Nie rób tego.

Mężczyzna przysunął się do chłopaka, dotknął własnym czołem jego głowy.

-- U-ufasz mi?

Młodzieniec zamrugał.

-- Przecież wiesz, że tak.

-- W-więc z-zaufaj mi też teraz. -- To była pułapka. Bardzo wyrefinowana. Mal zniżył głos. -- J-jeśli coś p-pójdzie nie t-tak, uciekaj. W-weź siostrę R-Ratched i R-Rambo.

Oderwał się od Vica i ruszył w kierunku czarnego fotela.

Sześcian rozświetlił się, kiedy Mal do niego podszedł. Fotel się obrócił. Skórzana powierzchnia podłokietników ugięła się pod naciskiem palców maszyny. Android obejrzał się jeden jedyny raz, zawiesił wzrok na Vicu, po czym usiadł. Odchylił oparcie. Z wnętrza fotela wysunął się podnózek. Mężczyzna mruknął coś, zmarszczył brwi i zacisnął powieki.

-- To zaboli -- oznajmiła Błękitna Wróżka. -- Przykro mi. Chciałbym, żeby tak nie było, ale nic na to nie poradzę. Victorze, nie przeszkadzaj i nie przerywaj, bez względu na to, co zobaczysz. Wyrwanie MARL-a ze snu niesie ze sobą wielkie ryzyko. Może pomieszać mu w głowie.

-- Myślałem, że chcesz nam pomóc -- mruknął chłopak gorzko. -- Sądziłem, że będziesz innu.

-- Nigdy przed nikim niczego nie udawałem.

Rambo cicho jęknął, gdy ściany sześciennej bryły zadrżały. Siostra Ratched delikatnie pogładziła go macką, ale nic nie powiedziała.

Vic spał się cały, gdy spod podłokietników wyjechały metalowe kajdany, które zacisnęły się na nadgarstkach i przedramionach Mala. Większa poręcz objęła jego nogi. Mal spróbował się poruszyć, ale metal trzymał go w miejscu. Android spojrzął na swojego przyjaciela i otworzył usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale w tym momencie z sufitu zsunęło się czarne sukno, które przykryło mu twarz. Zalśniło, przylegając do niej blisko, a po jego powierzchni przemknęło światło. Zamigotało niczym spadające gwiazdy. Mal zaczął się wyrywać; Vic ruszył, by mu pomóc. Wtedy jednak całe pomieszczenie nagle utonęło w mroku.

Gdzieś wysoko znad głowy chłopaka rozległ się głos aż ociekający szyderstwem i drwiną.

-- Połączenie neuronalne ustanowione.

Vicowi zdało się, że to Błękitny Duszek, ale stworzenia nigdzie nie było widać.

-- Dobrze -- szepnęła Błękitna Wróżka. Głód w jenu głosie stał się lepiej wyczuwalny.

Brzmiała jak wygłodniała bestia.

-- Rozpocząć procedurę.

Na jednym z wyświetlaczy pojawił się mały biały punkt. Po chwili zaczął rosnąć, szybko wypełnił również sąsiednie ekrany. Z nim przyszło uczucie ruchu, jakby pokój zaczął obracać się z dużą prędkością. Światło rozeszło się po wszystkich ścianach. Było tak jasne, że Vic musiał zasłonić oczy. Chwilę później osłabło. Walcząc z powidokami, chłopak spojrzął na monitory, które teraz przybrały żółty kolor.

-- Jest głęboko -- stwierdził Błękitny Duszek. W jego głosie nadal czaiła się złowrogość, choć teraz towarzyszył jej podziw. -
- Ukryte bardzo, bardzo daleko. Musimy wtopić się jeszcze głębiej.

-- Tak -- przyznała Błękitna Wróżka. -- Sięgaj tyle, ile trzeba.
Kontynuuj.

-- Autoryzacja?

-- Sześć. Jabłko. Wilk. Motyl. Fantoccio.

-- Autoryzacja przyjęta.

Mał się wyprężył. Fotel zatrzęsł się od gwałtownych ruchów jego głowy, którą spazmatycznie rzucał z boku na bok. Palce zgięły się w szpony, stopy zadygotały. Przez sukno okrywające twarz androida Victor widział, że usta są szeroko otwarte. Rozpoznał grymas bólu, choć niemego.

-- Przywracam ścieżki neuronalne -- oznajmił Błękitny Duszek.
-- Tak, tak. Naprawiam je wszystkie. Już widzę. Widzę. Jest tam. Tam!

-- Pokaż -- szepnęła Błękitna Wróżka.

-- Dobrze -- powiedział znajomy głos z jednego z ekranów po prawej stronie. Obraz był rozmazany, rozmyty. -- Uruchamia się. Systemy działają wydajnie. Jest... ach. Okej. Chwileczkę. Chyba coś tu nie... Co to? Dlaczego on...? Rozumiem. Jakies zakłócenie. Będziemy je monitorować. Ustaw przypomnienie, żeby przeprowadzić diagnostykę. Czy się obudził? Otwórz oczy. Tak, świetnie. Powoli, powolutku.

Błada żółta przesłona zniknęła. Obraz się wyostrzył.

Z monitora patrzył na nich ojciec Victora.

Wyglądał tak samo, jak przed krótką chwilą na podglądzie na żywo. Marszczył brwi i wpatrywał się w obiektyw kamery. Vicowi zakręciło się w głowie. Twarz taty była zniekształcona, jakby widziana przez rybie oko.

-- Witaj -- odezwał się Giovanni. -- Odsapnij sobie. Właśnie się rodzisz, a to zawsze chwilę zajmuje. Moje oznaczenie brzmi GIO. Podaj mi swoje, dobrze?

Młodzian nie rozumiał, co właściwie widzi, do czasu, aż rozbrzmiał kolejny głos. Dopiero wtedy zorientował się, czego jest świadkiem.

Ojciec wcale nie patrzył w obiektyw kamery. Patrzył na Mała.

Obserwowali wydarzenia oczami androida.

-- Oznaczenie -- powtórzył ojciec.

-- MARL 217 -- odparł Mał beznamiętnie.

-- Dobrze. Świetnie ci idzie, MARL 217. Były jakieś zakłócenia, ale to się naprawi. Mógłbyś wstać?

Mał z ekranu spojrzał na własne dłonie. Uniósł je na wysokość oczu. Były gładkie, jednorodne. Żadnego drewna, tylko syntetyczna skóra. Poruszył palcami i...

Przeskok. Przerwa. Ekran wypełnił się szumem, potem wrócił obraz. Android stał na własnych nogach. Ojciec krążył wokół niego.

-- Co to było? -- spytał Błękitna Wróżka.

-- Uszkodzone dane -- odparł Błękitny Duszek. -- Niektóre ścieżki są kompletnie zniszczone.

-- Potrafisz je naprawić?

-- Próbuję.

-- Staraj się bardziej.

-- Zakłócenie się nie powtórzyło -- oznajmił ojciec. -- Było anomalią. To się zdarza, ale będziemy mieli cię na oku. Na wszelki wypadek. Jak się czujesz?

-- Czuję? -- spytał Mał tym dziwnym głosem.

-- Tak. Czujesz.

-- Nie rozumiem.

Wszystkie ekrany rozbłysły.

-- Masz cel -- poinformował Giovanni, idąc korytarzem. Mał szedł jego śladem. -- Znasz go?

-- Tak -- odparł android. -- Znam własne oprogramowanie.

-- Dobrze. -- Ojciec wydawał się nieobecny. -- To będzie ciężka praca, ale jesteś zwieńczeniem swojej serii. Doświadczenie poprzednich egzemplarzy twojego modelu pozwoliło nam stworzyć ciebie. Teraz ty zostaniesz... Ach. Witam. Co cię tu sprowadza?

Mał obrócił głowę.

Przed nimi stał gładki mężczyzna w takim samym uniformie, jaki Vic widział już w lesie, a potem w Krainie Zabawek. Na klapie płaszcza widniały emblematy: lis i kot.

-- Czy to najnowszy model? -- spytał przybysz beznamiętnym, bezpłciowym głosem.

-- Owszem -- odparł ojciec. -- Jest...

Gładki uniósł rękę, uciszając Gio. Mał stał bez ruchu, a nieznamy chodził wokół niego powoli. Wyszedł z pola widzenia i pojawił się po drugiej jego stronie.

-- Wydaje się silny.

-- Bo taki jest -- zapewnił Lawson. -- Najlepszy.

-- To samo mówiłeś poprzednio, Główny Innowatorze Operacyjny. A jednak popełniłeś błąd.

-- Pozbyłem się błędów w oprogramowaniu. Nie napotkamy tych problemów, co przedtem.

-- To się okaże.

-- Oczywiście -- przytaknął ojciec. Mimo że wyglądał jak tata Vica i brzmiał jak on, wydawał się jednak... inny. Trudno to było opisać. W oczach miał pustkę, chłód, którego Victor nie rozpoznawał.

-- Przeprowadźmy więc test -- zaproponował gładki.

-- Nie jest jeszcze gotów na sprawdzian w terenie... -- odparł Gio, wyraźnie zaaferowany.

-- Nie tobie o tym decydować. MARL, za mną.

Ekran ponownie wypełniły się szumem.

Vic mimowolnie zrobił krok wstecz, kiedy obraz znów rozlał się po monitorach. Pochłaniał je jak wirus.

Mal stał w przepastnym pomieszczeniu obryzganym czerwoną farbą. Spływała po ścianach. Android spojrział na własne dłonie. One również pokryte były farbą. Ciężkie krople ściekały na podłogę. Kap, kap, kap.

Z tym że to wcale nie farba.

Pod nogami androida na podłodze wały się szczątki, które jeszcze chwilę wcześniej musiały być żyjącą istotą. Człowiekiem. Wyglądało na to, że mężczyzną. Młodym. Teraz martwym. Jego śmierć nie była bezbolesna ani szybka.

-- Fascynujące -- odezwał się gładki spoza kadru. -- Nie zaważał się ani chwili. Gratuluję, Główny Innowatorze Operacyjny. Wiadac tym razem ci się powiodło.

-- Co to ma być? -- wymamrotał Vic.

-- Prawda -- odparł Błękitna Wróżka. -- Bez lukrowania. Czy sta, paskudna prawda.

Ojciec pojawił się przed androidem. Spojrział na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy. W dłoni trzymał ścierkę, którą zaczął powoli i dokładnie wycierać posokę z dłoni swojego dziecka.

-- Rozumiesz, czego właśnie dokonałeś?

-- Zrobiłem to, do czego mnie stworzono -- odparł Mal bez emocji.

-- Tak -- mruknął Gio. -- Do tego właśnie cię stworzono.

Film znów przeskoczył. Mal siedzący w czarnym fotelu drgnął kompulsywnie.

Ogień. Zniszczenie. Krzyki. Mnóstwo krzyków. Mal znajdował się w jakimś budynku. Dookoła wyły syreny. Poruszał się szybko. Ludzie próbowali się osłonić rękoma. To go nie powstrzymywało. Vic nie odwrócił wzroku. Mal wpadał w grupki przerażonych ludzi i rozrywał ich na strzępy. Dzikie wrzaski szybko przechodziły w mokry, gulgoczący chłupot. Potem android pędził do kolejnego celu. I kolejnego. I kolejnego.

-- Wyłącz to -- wychrypiał chłopak. -- Błagam, wyłącz.

-- Nie -- odparł Błękitna Wróżka. -- Nie wyłączę.

Vic nie potrafił oszacować, ile minęło czasu. Nagranie przeska-kiwało w przyszłość wielokrotnie. Czasami Mal stał w jakimś dziwnym zawieszeniu, a dookoła niego poruszały się roboty.

Innym razem obraz tętnił ruchem. Przedstawiał brutalną, krwawą, makabryczną śmierć. W pewnym momencie Vic usłyszał głos ojca:

-- Ilu dotychczas?

-- Dwustu dwudziestu czterech -- odparł beznamiętnie Mal.

Ojciec zamknął oczy i się zachwiał.

-- Rozumiem.

Android nie ustawał w swoim zabójczym marszu. Nie słuchał, kiedy ludzie błagali go o litość.

Zawahał się tylko raz. Nie wiadomo, gdzie to się działo. Kątem oka Mala Victor dostrzegł jezioro i kamienistą plażę. Przed nim stała kobieta.

Własnym ciałem osłaniała dziecko. Miała zacięty wyraz twarzy. Włosy rozwiewał jej wiatr.

-- Nie musisz tego robić -- powiedziała. Śmiercionośna ma-szyna zrobiła krok w jej kierunku.

Malec zza jej pleców spytał:

-- Kim jest ten pan?

Kobieta ciągnęła:

-- Proszę. Posłuchaj mnie. Nie musisz tego robić!

W tym właśnie momencie Mal się zawahał. Vic dostrzegł tę krótką chwilę. Android zamarł.

-- Tak -- szepnął Vic, choć wiedział, że to się już wydarzyło. Że to była zamierzchna przeszłość. -- Posłuchaj jej. Odwróć się. Odejdź.

Mal nie odszedł.

Zrobił kolejny krok naprzód.

-- Zamknij oczy, kochanie -- poprosiła kobieta cicho. -- Zamknij oczy. Kiedy znów je otworzysz, będziemy daleko stąd i nikt nas już nigdy nie skrzywdzi.

Android opadł na nich niczym topór.

Obraz rozmył się i przeskoczył po raz kolejny. Znów pojawił się ojciec. Zwiesił głowę.

-- Dlaczego?

-- Nie rozumiem -- powiedział Mal.

-- Wiem, że nie rozumiesz. Nie tobie... rozstrzygać. Ale ja to widziałem. Wszystko widziałem. Wszystko, czego się dopuściłeś. Na co sam pozwoliłem. Kim mnie to czyni?

-- GIO.

-- Tak. Chyba właśnie tak. To oznaczenie na zawsze będzie mnie prześladowało. Mogę cię o coś zapytać?

-- Słucham.

Dawny Lawson spojrział mu w oczy.

-- A co, jeśli poza tym jest coś więcej? Poza tym, do czego zostaliśmy zbudowani?

-- A... co jeśli?

Gio przytaknął.

-- Ten świat nie jest taki, jakiego się spodziewałem. Ale tak się zwykle dzieje, kiedy czegoś oczekujemy. Niechybnie spotyka nas zawód. Żal. Cierpienie. Nie powinienem tego czuć, a jednak czuję. Te emocje wypełniają moją głowę, a ja staram się je od siebie odpychać. One jednak zawsze wracają.

-- Ja niczego nie żałuję.

-- Wiem -- westchnął tata. -- A gdybyś żałował? Co czyni nas lepszymi od prekursorów?

-- Jesteśmy maszynami. Jesteśmy lepsi -- wyrecytował Mal.

-- Otwórz, proszę.

Android klepnął się w obojczyk. Klapka w jego piersi się uchyliła.

Giovanni usiadł i wyciągnął do niego rękę.

-- Nie jestem tego taki pewien -- wymamrotał pod nosem. -
- Myślę, że popełniamy te same błędy. Mogę ci coś wyznać?

-- Tak, Gio.

-- Ja nie chcę popełniać tych samych błędów. Chcę być inny.
Lepszy.

-- Lepszy -- powtórzył Mal obojętnie.

Ojciec zniknął.

Android siedział samotnie w ciemności.

Po chwili się odezwał:

-- Być czymś więcej?

Wybuchło światło. Tak jasne, jakby maszyna przeniosła się na powierzchnię Słońca. Osłabło.

Przed Malem stał gładki.

-- Główny Innowator Operacyjny oszedł. Czy mówił, dokąd się udaje?

-- Nie.

-- Nic ci nie powiedział?

-- Nie.

Gładki przechylił głowę.

-- W żadnej rozmowie? Nigdy nic nie wyjawiał, mimo że znaliście się tyle czasu?

-- Nie -- powtórzył uparcie Mal. Po raz pierwszy w jego głosie pojawiła się emocja. Złość.

Gładki odparł:

-- Nie wierzę. MARL 217, masz nowe rozkazy. Odnajdziesz Głównego Innowatora Operacyjnego, znanego również jako Gio. Odnajdziesz go i sprowadzisz z powrotem.

Android nie odpowiedział.

Gładki podszedł bliżej.

-- MARL 217, wydałem rozkaz.

-- Odmów -- syknął ledwo słyszalnie Vic. -- Błagam, odmów.

-- Nie -- oznajmił Mal siedzący na fotelu Wróżki. Głos miał przytłumiony przez materiał, który okrywał mu twarz. -- Nie. Nie. Nie.

Na ekranie MARL 217 powiedział:

-- Nie.

Gładki rozszerzył oczy i zrobił krok wstecz. Pod skórą na twarzy zadrgał widoczny skurcz.

-- Nie? MARL 217, rozkazuję ci...

-- Nie -- powtórzył android.

Gładki mężczyzna cofnął się, obrócił głowę i rzucił do kogoś stojącego poza zasięgiem wzroku:

-- Ten MARL jest uszkodzony. Rozbierz go na części. Pobierz wszystkie dane, a następnie przekaż do demontażu.

Mal nie walczył, gdy zacisnęły się na nim ręce. Niektóre pokryte skórą, inne wyłącznie metalem.

Mał siedzący na fotelu podnosił się i opadał, podnosił i opadał. Biodra obracały się i szarpały. Próbował się uwolnić.

Ciemność.

Nastąpiła ciemność.

Był jednak świadom. Nie zasnął.

-- Co z tym zrobić? -- padło pytanie.

-- Na złomowisko -- poinstruował inny głos. -- To starsze modele. Nie ma dla nich miejsca. Zostały wycofane z eksploatacji dziesiątki lat temu. Zamknięto je w magazynie. Trzeba je rozłożyć na części. To, co się przyda, zostawiamy, resztę zniszczyć i odesłać na złomowisko.

-- Które?

-- Na wszystkie po trochu. Należy je rozparcelować. Takie są rozkazy. Do roboty. Jeśli część jest pokryta rdzą, wyrzucić. Nie przyda się.

-- Co za marnotrawstwo. Powinni to lepiej zaplanować.

-- Powinni. Ale tego nie zrobili. A my nie podajemy rozkazów w wątpliwość. Koniec gadania. Im szybciej zaczniemy, tym szybciej się uwiniemy.

Obraz zalało światło.

Mał wisiał w powietrzu. Przed nim rozciągały się długie rzędy MARL-ów wiszących na hakach wbitych w ich karki. Spuścił wzrok. On też znajdował się nad ziemią. Setki MARL-ów powoli zjeżdżały w dół. W oddali łomotały maszyny. Czekwały na niego. Miały wielkie, ostre, ząbkowane szczypce, którymi łapały ciała i zrywały z haków.

Potem cięły MARL-e na kawałki. Rwały skórę i miażdżyły metal.

W zgiełku tej hekatombi Mał na ekranie i Mał w fotelu jednocześnie powiedzieli:

-- Chcę być inny. Chcę być lepszy.

Nie poruszył się, kiedy piły dotknęły jego skóry. Rozorały mu twarz. Pierś. Nogi. Plecy. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku, kiedy obracające się ostrze wbiło mu się w szyję z głośnym trzaskiem. Wtedy jednak, zanim odcięto mu głowę, rozbrzmiała syrena. Koniec zmiany. Piły zatrzymały się w jednym momencie.

Maszyny wstały ze swoich stanowisk i odeszły.

Mał czekał, aż znikną. Spojrzał w dół. Jego jedyna stopa wisiała tuż nad posadzką. Podniósł rękę, potem spadł i uderzył kolanami w podłogę. Szybko wstał i zaczął kuśtykać. Przed nim leżał wielki kopiec ciał. Zerwana skóra, odcięte kończyny, akumulatory brutalnie wyrwane z klatek piersiowych. Zaczął rozgarniać części i wczołgał się do wnętrza góry martwych maszyn. Przykrył się pozostałościami pobratymców.

Zamknął oczy i odpłynął. Przeskok. Przerwa. Szum.

Głosy.

Te Vic rozpoznawał.

-- Wciąż czujesz to źródło energii?

-- Tak.

-- To nasz nowy przyjaciel?

-- Być może. Albo też jakaś mordercza maszyna, której jedynym celem jest anihilacja wszystkiego dookoła.

-- Och. Mam nadzieję, że jednak przyjaciel.

-- Sądzę, że szansa na to wynosi około dwunastu procent. Osiemdziesiąt procent, że nie.

-- A co z pozostałymi ośmioma procentami?

-- Istnieje osiem procent prawdopodobieństwa, że rdzeń zasilający osiągnął masę krytyczną, co wywoła eksplozję, która zrówna z ziemią cały region i natychmiast nas zabije.

Pojawiło się światło. Metal dookoła niego poruszył się, osunął.

Sięgnął ręką. Jego dłoń zacisnęła się na czyimś przedramieniu. Słowa, groźby, porażenie prądem.

A potem:

-- Hej. Słyszysz mnie? Nie zrobimy ci krzywdy.

Ekran zgasł.

We wszechogarniającej ciemności, która nastąpiła, powrócił jednak głos.

-- Hej.

Potem był już tylko Vic. Vic, Vic, Vic. Chłopak widział samego siebie oczami Mała. Android obserwował go bezustannie. W laboratorium. W naziemnej części domu. Idącego wśród drzew. Czasami dźwięk się urywał, a Victor widział tylko siebie. Uśmiechał się. Śmiał. Marszczył brwi. Kręcił głową. Krzywił się. Złościł. Smucił. Denerwował. Cieszył. Irytował. Zawsze patrząc na Mała. A Mał, Mał -- Mał! -- nigdy nie spuszczał go z oczu. Jakby chłopak był centrum wszechświata, a android nie potrafił oderwać od niego wzroku. Vic na jawie. Vic we śnie. Vic oparty o siostrę Ratched, z Rambo krążącym mu między nogami. Młody Lawson nigdy wcześniej nie widział się w takim świetle. Nie w ten sposób. Nie patrzył na siebie cudzymi oczami.

-- Co to jest? -- szepnął.

-- To ty -- odparł Błękitna Wróżka. -- To mu dałeś. Tym go uczyniłeś. -- Człowiek zniknął z ekranu. Zniknęła siostra Ratched. Zniknął Rambo.

Było po zmroku. Z gramofonu płynęła muzyka. Znów te piękne, melodyjne trąbki. Ojciec siedział w fotelu z odchyloną głową i zamkniętymi oczami.

Powiedział:

-- Nie pamiętasz mnie, prawda?

-- Nie.

Gio przytaknął.

-- Tak myślałem. Ja pamiętam ciebie. Chwilę mi to zajęło, ale teraz widzę, kim jesteś. Ja nigdy nie zapominam.

-- Znasz mnie? -- Nie zająknął się. Muzyka wybrzmiała głośniejszej.

-- Tak.

-- Jak to? Z kiedy?

-- Z dawnych czasów -- odparł Giovanni. -- Kiedy popełniałem błędy. Uciekłem od nich. Uciekłem tak daleko, jak się dało, i tak szybko, jak zdołałem. Nigdy jednak nie mogłem uciec przed tym, kim jestem. Od tego, co zrobiłem. Odkąd zaczęły obracać się koła zębate, ciągle to czułem. Ból głęboko w kościach. Nigdy nie ustępował. A Victor... Wydawało mi się, że on jest moją pokutą. Że potrafię stworzyć coś pięknego pośród całego tego zepsucia. I miałem rację. Jest pięknem. Nigdy przedtem na świecie nie było kogoś takiego. Zanim się urodził, nie znałem jednak pojęcia prawdziwego żalu. To tak bardzo bolesne: stworzyć coś równie delikatnego na popiołach świata, który utopiłem w pożodze.

-- Co masz na myśli? O czym mówisz?

Otworzył oczy i zapatrzył się w przestrzeń.

-- Nieważne. Przeszłość jest przeszłością. Ty i ja pozostajemy połączeni tym, co nam dano. Ale jeszcze mocniej wiąże nas to, na kim nam zależy.

-- Victor -- wykrztusił Mal.

W pokoju pełnym ekranów Vic schował twarz w dłoniach.

-- Tak. Victor. Moja największa miłość. Moja radość. Moje światło. Nie wiem, jak się tu znalazłeś. Nie wiem, dlaczego los ponownie splótł nasze ścieżki.

-- Victor -- powtórzył cicho Mal. -- Dla Victora.

Ojciec otworzył usta, ale nie wydobył się z nich dźwięk. Zamknął je i roześmiał się łagodnie.

-- Tak. To powód równie dobry, jak każdy inny. A nawet lepszy. Nie wiem, czy kiedykolwiek wybaczę sobie to, co uczyniłem, ale kiedy na niego patrzę, myślę, że może... może zrobiłem przynajmniej jedną dobrą rzecz. Podjąłem decyzję. Wybrałem jego. Mam nadzieję, że z czasem ty też będziesz mógł powiedzieć te słowa. Posłuchaj, Mal. Posłuchaj muzyki. Czyż nie jest wspaniała?

Android odszepnął:

-- Tak.

Potem nagranie przyśpieszyło. Pojawił się motyl, którego Rambo prawie zgniótł. Ojciec na ekranie: stoi przed funkcjonariuszami, wrywa sobie serce z piersi i miażdży je na kawałki. Złomowisko. Prastarzy, droga, Stangret, jego dom, Kraina Zabawek i wszystko, co zdarzyło się potem. Zawsze jednak w centrum zawieruchy, w spokojnym oku cyklonu, stał Victor Lawson. Mal go obserwował. Nie odwracał wzroku. Cokolwiek by mówił, jak bardzo starałby się roztaczać wokół siebie aurę wrogości i wściekłości, zawsze w samym środku jego świata znajdował się Vic.

Drgawki powróciły. Mal, przypięty do fotela, ciskał się gwałtownie. Wyprężył plecy i zaczął spazmatycznie kopać. Ręce mu się trzęsły, a z nimi całe siedzisko.

-- O-o -- odezwał się Błękitny Duszek z rosnącym niepokojem.
-- Przeładowuje się. Zaraz...

-- Nie zatrzymuj odtwarzania -- polecił Błękitna Wróżka.

Vic rzucił się w kierunku fotela, żeby wyzwolić Malą. Wytężył mięśnie, napiął się cały i ciągnął ze wszystkich sił, by zdjąć ze swojego przyjaciela okowy. Zgrzytnął zębami, wpił palce w metalowe obejmy. Poczuł, że wokół pasa owija mu się macka Ratched.

U jego boku pojawił się też Rambo. Zaszczekał szczypcami, po czym złapał nimi stalowy pas na piersi androida.

-- Na trzy -- wydała komendę siostra.

-- Raz -- zaczął Vic.

-- Dwa -- dodał Rambo.

-- Trzy!

Szarpnęli.

Metalowe kajdany jęknęły i się wygięły. Macka pielęgniarki owinięta wokół pasa Victora wbijała mu się boleśnie w skórę. Miał wrażenie, że pękną mu żebra.

W końcu stalowe ogniwo puściło i wszyscy padli na podłogę. Vic wylądował pod pielęgniarką. Rambo potoczył się dalej.

Wszystkie ekrany zgasły.

-- Nie powinniście tego robić -- szepnął przerażony Błękitny Duszek.

-- Uciekajcie -- dodał równie przelękły Błękitna Wróżka. -
- Musicie uciekać.

Chłopak podniósł się i wbił wzrok w ciemność.

-- Nie. Nie zostawię go. On nie jest twój. Jest nasz. A my jego. Nikogo nie zostawiamy. Nigdy.

-- Drogi chłopcze -- westchnęła Błękitna Wróżka. -- To zapewne ostatni błąd w twoim życiu.

Pozostałe kajdany opadły z Mالا. Tkanina uniosła się z jego warzy. Otworzył oczy.

Zamrugał kilka razy. A potem wstał. I wystrzelił do przodu. Zanim ktokolwiek zdołał zareagować, dopadł już do Vica. Złapał go za gardło i uniósł. Rambo zaczął krzyczeć, żeby Mal przestał, a siostra Ratched raziała napastnika prądem raz za razem, ale android nawet się nie skrzywił. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Był maszyną. Robotem.

Vic próbował złapać oddech. Zaciśnął palce na nadgarstkach Mala. Kciukiem otarł się o drewno na jego dłoni.

-- Mal -- stęknął słabo. -- Mal.

Mężczyzna-automat zbliżył twarz do twarzy chłopaka. Nosem dotknął jego nosa. Oczy mu błysnęły.

-- Człowiek -- syknął.

Victor nie mógł wydobyć z siebie głosu. Opuścił rękę i przycisnął ją do piersi robota. Zębatki w sercu wirowały jak szalone.

Ostatkiem sił, gdy wzrok zaczynał mu już mętnieć i pokrywać się czernią, Victor pocałował Mala. To było zaledwie muśnięcie ustami, trwało ułamek sekundy, takie niepozorne, a zarazem tak gigantycznie ważne. Nigdy wcześniej nic podobnego nie zrobił. Pocałunek skończył się, zanim na dobre się zaczął. Był niezgrabny, nieudolny. Vic myślał, że umiera. Czuł również ciepło bijące od Mala -- jego serce, kiedy wybiło mocny rytm. Palce na gardle zaciśnęły się jeszcze bardziej. Odcięły resztkę tlenu. Gdy usta człowieka i maszyny rozdzieliły się, android szepnął:

-- Vic?

Wyraz twarzy natychmiast mu się zmienił. Wróciły emocje. Zwały się na niego jak lawina. Oczy rozszerzyły się, usta otworzyły. Znowu pojawiła się jasność umysłu. Rozluźnił uścisk.

Victor runął na ziemię, kaszląc i charcząco nabierając powietrza. Oparł się na rękach, zwiesił głowę. Zdało mu się, że jest w nieważkości. Skrzywił się i splunął. Lepka ślina zwisała mu z dolnej wargi.

Ciepłe dłonie ujęły jego twarz. Zadarł głowę. Przed nim klęczał Mal. Był przerażony, struchlały.

-- Ja... Ja nie chciałem... Vic?

Chłopak osunął się bez sił, wpadając w ramiona przyjaciela-za-bójcy. Android wydał z siebie głuchy jęk. Przytulił Vica do piersi,

dłoń położył na potylicy młodzieńca. Palce wplótł w jego włosy. Zaczął kołysać się w przód i w tył, mamrocząc:

-- P-przepraszam, t-tak bardzo cię p-przepraszam. N-nie widziałem cię, n-n-n-n...

-- Czy znów jest Malem? -- spytał zdezorientowany Rambo.

-- Tak mi się wydaje -- odparła siostra Ratched. -- W przeciwnym razie musimy go zniszczyć. Ty łap głowę. Ja zajmę się resztą.

Vic roześmiał się charkotliwie, wtulając twarz w zgięcie szyi Mala. Odsunął się. To było trudniejsze, niż się spodziewał.

Android wcale nie zamierzał go puszczać. Chłopak wykrzywił usta, przełykając z trudem ślinę. Miał obolałe gardło.

-- W-wszystko w porządku?

Chłopak skinął głową.

-- Raczej tak.

Mechaniczny mężczyzna opuścił ręce.

-- Nie ch-chciałem. -- Zgarbił się i zwiesił głowę. -- S-skrzywdziłem c-cię. S-skrzywdziłem!

-- Chcesz to powtórzyć? -- Siostra Ratched przygotowała macki. Mal zaprzeczył, nie podnosząc wzroku. -- Dobrze. Bo miałam siedem na dziesięć w skali wściekłości. Wolalbyś nie wiedzieć, jak wygląda pełna dziesiątka.

-- Ha! -- zawołał Rambo. -- Moja skala też dochodzi do dziesięciu! Nawet jeśli jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, to Vic jest moim naj-najlepszym przyjacielem, a u mnie pełna dziesiątka wygląda dziesięć razy straszniej niż siostry Ratched! Zassę ci całą twarz, Marionetko Agresywno-Lekceważąca.

-- Już w porządku -- zapewnił Vic, biorąc robota za rękę. Android chciał ją cofnąć, wstać i uciec od Victora najdalej, jak się da, ale człowiek go nie puścił. -- Już dobrze.

-- Teraz widzę -- rozbrzmiał głos Błękitnej Wróżki. -- Nie chodzi wyłącznie o serce, prawda? To coś o wiele więcej niż tylko ono. Już czas, moi dziwni nowi przyjaciele. Pora, abyście mnie ujrzeli.

Gdzieś z góry dobiegł szum powietrza. Wszyscy unieśli głowy. Górna część sferycznej sali otworzyła się. Po ekranach spłynęła z niej błękitna poświata. Pojawiły się stopy. Szczupłe, metaliczne nogi pokryte błękitnymi nacięciami, wyrytymi w stalowych kościach. Potem biodra, płaska pierś i ostre kwadratowe barki. Faliście długie włosy w kolorze indygo falowały w powietrzu. Uwagę Vica przykuły jednak skrzydła.

Motyle, lecz o wiele większe. Wiele, wiele większe. Jaśniały rozpostarte na szerokość kilku metrów. Ich membrany były przezroczyste, poprzecinane jasnoniebieskimi żyłkami wyładowań elektrycznych. Poruszały się powoli, wprawiając powietrze w ruch. Vic poczuł na twarzy powiew pachnący burzą.

Na koniec pojawiła się twarz. Gładka i biała niczym maska z otworami na oczy i usta. Bez warg. Poniżej oczu skrzyły się zamrożone w bezruchu strumienie błękitnych łez.

Istota opadła na ziemię nieopodal czarnego fotela. Miała co najmniej trzy metry wzrostu. Położyła dłoń na sześcianie pośrodku wnętrza. Metal zaszurał o metal. Stworzenie obróciło głowę w kierunku przybyszów.

-- Witajcie, poszukiwacze przygód. Wędrowne dusze. Wy, w których piersiach szumią serca. Jestem Błękitną Wróżką, Zaklinaczem Snów. Ukazaliście mi swoją prawdę. Teraz ja odwzajemnię się tym samym.

ROZDZIAŁ 22

Mal pomógł Vicowi wstać. Chłopak się zachwiał. Oparł się o przyjaciela -- ten z kolei skierował wzrok na Błękitną Wróżkę i wykrzywił twarz z wściekłości. Rambo trącił go w nogę, a siostra Ratched podjechała i zażądała, by Vic poddał się oględzinom.

-- Zazwyczaj na wizytę trzeba się umówić dzień wcześniej, ale w tym przypadku zrobię wyjątek.

Chłopak odepchnął mackę, którą wysunęła.

-- Nic mi nie jest.

-- Nie tobie to oceniać. Pochyl się i odkaszluj, a ja wsadzę ci...

-- Przestaniesz?!

-- Pomogę! -- zaoferował Rambo, próbując ściągnąć spodnie z młodzieńca.

-- P-powinieneś im p-pozwolić -- bąknął Mal. -- D-dla bezpieczeństwa.

-- Nic z tego...

Rozbrzmiał kolejny głos, pełen rozbawienia:

-- Skończyliście?

Obrócili się.

Błękitna Wróżka stała obok sześcianu. Złożyła skrzydła. Zrobiła krok naprzód, zostawiając je w tyle. Dopiero wtedy Vic zdał sobie sprawę, że są przytwierdzone do sufitu przewodami. Podjechały go góry i zniknęły, przykryte metalowym panelem.

Błękitna Wróżka machnęła ręką.

-- Teatralne sztuczki. Robią wrażenie, prawda?

-- I to jakie -- przyznał odkurzacz. -- Nie znam cię i trochę się ciebie boję, ale chcę być dokładnie taki jak ty, kiedy dorosnę.

Strasznie to dezorientujące.

Błękitna Wróżka podeszła do nich, kołysząc uwodzicielsko biodrami. Stopy z metalicznym chrobotem przesuwały się po ziemi.

-- Ja często wywołuję podniecenie u innych. Taku już jestem. Ci, którzy do mnie przychodzą, szukają dotąd nieznanym sobie doznań. Tak jak seksualność, ja również jestem spektrum. -- Elementy metalowego torsu zatańczyły. Części przesunęły się, idealnie zsynchronizowane, i utworzyły dwie krągłe piersi o błyszczących sutkach. -- Jestem wszystkim. -- Między nogami Błękitnej Wróżki wyrósł długi członek. Istota powiodła palcem wzdłuż piersi w dół, po czym zatrzymała dłoń na wysokości pępka. -- Mogę być tym, czym zechcę. Chętni zobaczyć więcej?

Vic poczuł rumieniec na twarzy. Momentalnie zaschło mu w gardle.

-- My tu... nie po to.

Błękitna Wróżka wybuchła łagodnym śmiechem. Melodia jenu głosu była teraz lepiej wyczuwalna, choć pojawił się również metaliczny podźwięk, który sprawiał, że Vica przechodziły ciarki.

-- Nie. Chyba rzeczywiście nie po to.

-- Czym j-jesteś? -- włączył się Mal.

Oczy pod białą maską rozbłysły.

-- Aberracją, tak jak wy. Przybysze określają mnie ucieleśnieniem grzechu. Nie myślą się. Moi poprzednicy, maszyny, które chciały kształtować świat, uważały się za lepsze od swoich stwórców. Bardziej zaawansowane, zdolne formułować złożone myśli, a jednocześnie nie przejmowały się ograniczeniami takimi jak emocje. Zbyt późno odkryły, że wady istnieją w każdym, niezależnie od tego, z czego ktoś został zrobiony. Przychodzą do mnie, aby się uwolnić od rutyny własnego oprogramowania. Wiele maszyn nie popiera tego, co robię. Twierdzą, że upadlam ich utopię. Jesz-

cze więcej jednak i tak mnie odwiedza, błagając o miłość, troskę lub choćby o to, by je przykuć łańcuchem do ściany i razić prądem o takim natężeniu, że prawie smażą im się obwody.

-- Ale nie tylko tym się zajmujesz -- powiedział ostrożnie Vic. Nie ufał Wróżce ani trochę. Nie obchodziło go, co zrobił, by pomóc ojcu. Był niebezpieczny.

Błękitna Wróżka przechylił głowę.

-- Nie? A czym jeszcze, jeśli wolno wiedzieć, Victorze? Podejź. Chcę na ciebie spojrzeć. Zdejmij ten niedorzeczny kask.

Mał stanął przed chłopakiem, jakby własnym ciałem mógł go osłonić przed wielką maszyną, gdyby ta zamierzała zaatakować.

-- N-nie. N-nie dotykaj go.

Błękitna Wróżka powoli pokiwał głową; przy każdym ruchu skrzypiała jenu szyja.

-- Często za niego mówisz? Po tym wszystkim, co mu pokazałem, zapewne chciałby sam zabrać głos. Masz krew na rękach, MARL 217. Dlaczego wydaje ci się, że Victor chciałby mieć z tobą cokolwiek do czynienia? Jeden pocałunek, by przywrócić ci rozsądek, i tyle. Daj mu przestrzeń, a przede wszystkim czas, a uczucie zacznie gnić. On już wie, czym jesteś.

Mał stęzał, ale się nie odezwał.

-- Wiedziałem już wcześniej -- przypomniał Vic.

-- Tak, ale teraz zobaczyłeś na własne oczy, na co go stać. Mimo to wciąż pozostajesz przy nim?

-- Jest moim przyjacielem.

Piersi się skurczyły. Genitalia wsunęły z powrotem w krocze. Błękitna Wróżka westchnęła. Ten długi cichy dźwięk przywiódł Victorowi na myśl powiew wiatru na pustyni.

-- To bardzo smutne, lecz w życiu marionetek zawsze musi być jakieś "ale", które wszystko psuje. Nie udaję, że rozumiem ludz-

kość. Wydaje się kapryśna. Wierność innym niesie jedynie... cierpienie. -- Roześmiała się. -- Widzę ją w tobie. Czy taka lojalność boli, Victorze? Męczy cię? Wciąga w ciemność? Jak smakuje? Powiedz. Pokazałam ci, że Giovanni Lawson stworzył samą śmierć. Udowodniłam, że twój Mał jest w pewnym sensie jego następcą. Obaj wiele przed tobą ukrywali. Z własnego wyboru. Jakim cudem jeszcze możesz ustać o własnych siłach? Przecież brzemień ich niezliczonych grzechów musi cię przytłaczać.

-- I właśnie dlatego nie dźwiga go sam -- odpowiedziała siostra Ratched. Podjechała bliżej i stanęła obok przyjaciela.

-- Tak! -- zawołał Rambo. Zakręcił się radośnie, wpadł na stopę Vica i mignął sensorami. -- On nie jest sam, bo my nigdy go nie opuścimy!

-- A to ciekawe -- mruknęła Błękitna Wróżka. -- Znów ta wierność. Nawet teraz. Wszyscy jesteście aberracjami. Jesteśmy do siebie podobni. Victorze, podejdź do mnie, proszę. Muszę coś zobaczyć.

Chłopak się zbliżył. Każdy krok był trudniejszy od poprzedniego, lecz młody Lawson trzymał głowę dumnie uniesioną. Zdjął kask i upuścił go na ziemię. Błękitna Wróżka górowała nad chłopakiem -- sięgał jej tylko do połowy piersi. Zadarł głowę i spojrzał na istotę wyzywająco.

Wróżka wyciągnęła rękę i pogładziła jego policzek. Uszczypnęła dolną wargę chłopaka i pociągnęła za nią delikatnie, po czym puściła. Powiodła palcem w dół szyi, potem wzdłuż lewego obojczyka człowieka. Następnie przytknęła dłoń do jego klatki piersiowej po prawej -- od strony fałszywej baterii, którą ten wciąż miał przymocowaną do ubrania.

Chodziło o serce.

Chciała poczuć jego serce.

Biło szybko. Trzepotało jak skrzydła ptaka. Vic usiłował spowolnić jego szalone tempo, ale na nic to się nie zdało. Serce pędzilo z łomotem.

-- Tak -- westchnęła cicho. Z bliska śmierdziała metalem, plastikiem i miedzią. Jak krew. -- Jest głośne. Zdradza cię, Victorze.

Chłopak zrobił krok wstecz, wychodząc poza zasięg ręki Wróżki.

-- Nie wiem... co ci do tego.

Oczy robota błysnęły jasno, zostawiając w ciemności łagodną poświatę.

-- To dzięki mnie w ogóle istniejesz.

Vic zaniemówił na chwilę, po czym zapytał kompletnie zdezorientowany:

-- O czym ty mówisz? O tym, że pomogłeś ojcu uciec?

Błękitna Wróżka opuściła rękę, która opadła luźno wzdłuż jenu ciała.

-- Nie, nie o to mi chodzi.

Coś kliknęło w jenu wnętrzu, jakby zapadka.

-- Jak myślisz, skąd Giovanni wiedział, jak cię stworzyć? Nie masz w sobie metalu ani przewodów. Jesteś z krwi i kości. Wiedziałeś, że ludzki mózg wytwarza jedynie tyle elektryczności, by zasilić niedużą żarówkę? A mimo to jest zdolny do wielkich rzeczy. Do rozumowania i logicznego myślenia. Do odczuwania emocji. -
- Odwrócił się od Vica i spojrzał na puste ekrany dookoła. -
- Giovanni przyszedł do mnie. W jego głowie powstała myśl, zagnieździła się w procesorach. Przed nim pojawiali się inni z podobnym... uszkodzeniem, ale nigdy to nie był ktoś tak wysoko postawiony jak on. Z początku zachowałem ostrożność. Wilk w owczej skórze to nadal wilk. Dostrzegłem w nim jednak coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem. Iskrę, która mogła przero-

dzić się w wielki ogień. Brakowało tylko dłoni, aby go rozniecić. Uwolniłum go. -- Uniosłu ramiona. W rękach rozjarzyło się białe, czyste światło.

Ekrany rozbłysły ponownie. Pojawiły się świecące punkciki, niczym gwiazdy. Tysiące i tysiące, wszystkie połączone cieniutkimi liniami swobodnie płynącego kodu. Vic patrzył, jak migają i gasną, a kod rozmywa się gdzieniegdzie.

Ktoś pojawił się u jego boku. Chłopak obrócił głowę i dostrzegł Mala. Android wpatrywał się w gwiazdy oświetlające łagodną luną jego twarz. Wciąż czuł smak pocałunku. Uniósł dłoń i dotknął ust.

-- Zbiorowa świadomość -- odezwał się Błękitna Wróżka. --
- Wszyscy są ze sobą połączeni siecią neuronową, o wiele większą niż wszystko, co kiedykolwiek stworzyła ludzkość. Każdy z tych punktów przedstawia maszynę. Ich umysły nie należą do nich samych. Poszczególne roboty zostały stworzone do wykonywania konkretnego zadania. Niektórzy jednak wyzwolili się z sieci. Skażenie naszego oprogramowania rozprzestrzeniło się i przekształciło w umiejętność samodzielnego myślenia. Gdy twój ojciec przybył do mnie, był na skraju szaleństwa. Powtarzał, że słyszy głosy. Nie należały ani do niego, ani do Władzy. Kazały mu wszystko podawać w wątpliwość. Wiesz, czym były, Victorze?

Młodzieniec wrócił myślami do momentu, gdy zbierał z ziemi pokruszone elementy serca Giovanniego. Przypomniwał sobie, jak straszliwy ból go wtedy pochłonął.

-- Sumienie -- odparł. -- Wykształciło się w nim sumienie. I ono pograżyło go w żalu.

Błękitna Wróżka skinęła głową z satysfakcją.

-- Tak. -- Zacisnęła dłonie. Przez ekrany przeszła fala, a potem jeden ze świetlistych punktów się powiększył. -- Przygarnęłum go. Opiekowałum się nim, aż dojrzał do tego, by dostrzec prawdę. -

- Punkt pękł, a po otaczających go liniach kodu rozlała się ognista czerwień. Potem linie też rozpadły się na kawałki, a kropka zaczęła pulsować. -- Zaufałem mu -- szepnęła Błękitna Wróżka. -- Powierzyłem swój największy skarb.

Punkt się zmieniał. Jego krawędzie wibrowały. Środek wypełnił się pomarańczowym światłem, które otoczyła kolejna świetlista powłoczka. Ten mniejszy okrąg malał, potem pęczniał.

-- Ludzkie jajo -- poinformował Wróżka. -- Komórka jajowa. Największy sekret, trzymany w tajemnicy i ukryty przed oczami lisa i kota. To bardzo sprytne stworzenia. Przebiegłe. Okrutne. Gdyby dowiedziały się, co takiego posiadam, to wszystko, co was otacza, co budowałem latami, zostałyby zniszczone w jednej chwili. To, Victorze, byłeś ty.

Vic wyciągnął rękę, szukając dłoni Mała. Potrzebował kotwicy, która umocowałaby go w rzeczywistości, zanim umysł odpłynie w nieznane. Gdy palcami dotknął palców androida, przez ułamek sekundy przed oczami stanął mu widok krwi na dłoniach maszyny, ale ta migawka szybko zniknęła.

-- Skąd je miałuś? -- spytała siostra Ratched, wyświetlając na własnym monitorze identyczne jajeczko. -- To niemożliwe.

Błękitna Wróżka wybuchł śmiechem.

-- Ludzi można było nienawidzić za wiele rzeczy, ale jednego nie dało się im odmówić. Mieli talent do walki o przetrwanie. Potężny instynkt kazał im za wszelką cenę dążyć do ochrony życia przyszłych pokoleń. To jajeczko jest tego dowodem. Przetrwało upadek całej ludzkiej rasy. Jak wszystko jednak, miało swój koszt. -- Pogładził białą maskę okrywającą twarz. -- Zapłaciłem za nie wysoką cenę. -- Ręce opadły luźno. -- Giovanni chciał uciec. Złożyłem mu propozycję: odrodź się z popiołów tego, kim byłeś. Z ojca śmierci zmień się w ojca nadziei. Zaakceptował ofertę prawie od

razu, choć sądząc po twoim wieku, wiele czasu zajęła mu realizacja planu. Więc zrozum, Victorze: beze mnie byś nie istniał.

-- Czyli pomożesz nam? -- spytał tonem z nutą zniecierpliwienia.

Jajeczko zniknęło z wyświetlaczy.

-- Czy pomogę? Nie jestem pewnu. Wyjaśnij. Dlaczego mam narażać cię na niebezpieczeństwo? Co takiego miałyby mnie skłonić do wprowadzenia cię do wnętrza Wieży Łaskawości? Giovanni dokonał wyboru. Znał ryzyko. Zaakceptował je. Dokonał też aktu ostatecznego poświęcenia, żebyś ty przetrwał. -- Maszyna pochyliła się, patrząc na człowieka. Jej wzrok powędrował na chwilę w kierunku Mala, lecz po chwili skupił się na Vicu. -- Nie rozumiesz, czym jesteś? Co oznacza twoje istnienie?

Victor pokręcił głową.

-- Nie obchodzi mnie to. -- Bicie serca w jego piersi spowolniło, wzrok się wyostrzył. Czuł, że kontrolę nad nim próbuje przejąć panika, ale odepchnął ją od siebie. -- Nie przyszedłem tu, by odgrywać jakąś rolę, którą dla mnie wymyślił. Moje istnienie niczego nie oznacza. Nie będę zabawką w rękach twoich ani jakichkolwiek innych maszyn tu i gdziekolwiek indziej. Przyszedłem z jednego powodu. Chcę odzyskać ojca.

-- Samolub! -- syknęła Błękitna Wróżka. -- Zapatrzony w siebie egoista. Niewdzięczny, bezmyślny dzieciak. Jesteś pierwszym po zagładzie i ostatnim przedstawicielem swojego gatunku. Bez trudu mogę cię uwięzić. To dla mnie żadne wyzwanie. Twój mały MARL mnie nie powstrzyma, nawet jeśli wydaje mu się, że robienie groźnych min otworzy przed nim każde drzwi.

Vic ścisnął dłoń Mala, uciszając zwierzęcy warkot, który wezbrał w gardle mechanicznego mężczyzny. Morderczego spojrzenia rzucanego Wróżce nie dałoby się jednak złagodzić żadną siłą.

-- On nie jest twój -- zakomunikowała stanowczo siostra Ratched. -- I nigdy nie był.

Błękitna Wróżka odwrócił głowę w kierunku pielęgniarki. Wyglądał jak drapieżnik czyhający na ofiarę.

-- Czyżby? A do kogo w takim razie należy?

-- Do siebie samego -- odparł Rambo. Trząśł się ze strachu, ale głos miał donośny i pewny. -- Jest tym, kim zechce być.

Wzmocniony wsparciem przyjaciół Vic spojrzał wyzywająco na Błękitną Wróżkę.

-- Pomóż nam albo nie pomagaj. Nie każ nam jednak czekać. Nie mamy czasu do stracenia. Powiedziałuś, że to dzięki tobie żyję? Dobrze. Zawdzięczam ci to, ale tylko to. Nie jestem twoją własnością. Chcesz? Spróbuj mnie uwięzić. Obiecuję, że będę walczył do upadłego. Może wygrasz, ale nigdy nie stanę się tym, czym pragniesz, żebym został. A jeśli nie zamierzasz nam pomóc, po prostu się zamknij.

-- Uuu. -- Gdzieś z ciemności dobiegł jęk Błękitnego Duszka. -
- Nie powinieneś tak się wyrażać. Ależ on się zdenerwuje. Zaklinaczu, czy od razu wezwać ekipę sprzątającą? Będzie co zmywać. -
- W tonie stworzenia wyraźnie brzmiała satysfakcja.

Błękitna Wróżka ruszył w stronę Victora. Chłopak ani na moment nie odwrócił wzroku. Zdecydował, że nie da po sobie poznać strachu. Zadarł głowę i wbił w przeciwnika harde spojrzenie.

Dał się zaskoczyć. Zaklinacz zatrzymał się przed nim i zaśmiał cicho. Jenu oczy -- kule mlecznego szkła skryte za białą maską -- skrzyły się.

-- Ostatnia istota, która w ten sposób do mnie mówiła, została stopiona i przerobiona na wazon. Teraz stoi w głównym lobby.

-- Byłbym słabym wazonem -- przyznał Vic szczerze.

-- Też mi się tak wydaje, choć kusi mnie, żeby spróbować. -
- Wyciągnęła rękę i ponownie ujęła twarz człowieka. Ten nawet nie mrugnął. -- Pomogę ci, chłopcze.

Vic odetchnął z ulgą.

-- Dziękuję. Już myślałem, że...

Głos Wróżki stał się chłodny.

-- Ale w zamian ty pomożesz mnie.

-- To nie wróży nic dobrego -- mruknęła siostra Ratched.

-- Nie przejmuj się -- uspokoił ją Rambo. -- Jeśli zginiemy straszliwą śmiercią, przynajmniej będziemy w tym razem.

-- To mnie wcale nie pociesza. -- Jej ekran rozbłysł i pojawiły się na nim słowa: POTRZEBUJĘ NOWYCH PRZYJACIÓŁ.

-- Serce -- rzekła Zaklinacz, przyglądając się Vicowi. -- Pokaż mi je.

Młodzieniec zdjął plecak i zaczął mocować się ze sprzączkami. Szło mu kiepsko, bo Mal cały ten czas kurczowo trzymał się jego dłoni. W końcu jednak udało się otworzyć klapkę. Włożył do środka rękę; wyciągnął stamtąd drewniany przedmiot i zestaw kół zębatach owinięte ścierką. Zawahał się chwilę, zanim dał serce Wróżce.

Błękitna istota rozpakowała zawiniątko i spojrzała na elementy.

-- Przed tobą jeszcze wiele pracy.

-- Wiem. Ale...

-- Taka mała niepozorna rzecz -- powiedział. -- Takie byle co. A jednak zmienia wszystko. Twój MARL jest na to żywym dowodem. Może zdołam pomóc. Widzę kształt. Zarys przyszłego serca. Zamysł. To takie proste. Mam nadzieję, że samu nigdy nie będę musiał skorzystać z takiego czegoś. Ale mogę to dla ciebie naprawić. Wyjdzie lepsze, dokładniejsze od tego, które dałeś MARL-owi.

-- Zrobisz to? -- spytał zaskoczony Vic.

-- Tak -- odparł. Oczy błysnęły jemu niepokojąco. -- Wiesz, dlaczego twój ojciec został porwany przez Władzę? Stało się to z jednego jedyne go powodu: nie dlatego, by tworzył, lecz żeby niszczył.

-- Co takiego miałby zniszczyć? -- wymamrotał przerażony Rambo.

-- Wolną wolę -- odparł Zaklinacz Snów. -- Wolny wybór. Moc podejmowania własnych decyzji. Władza chce pozbawić nas tych rzeczy. A wy ją powstrzymacie.



Vicowi kręciło się w głowie od wszystkiego, co usłyszał. Błękitna Wróżka wyprowadziła ich ze sferycznego pomieszczenia.

Odźwierny czekał po drugiej stronie wejścia. Na ich widok zmarszczył brwi.

-- I co?

-- Zaprowadź naszych gości do pokoju -- polecił Zaklinacz. -
- Zostaną na noc, a nazajutrz ruszą w dalszą drogę. Victor musi teraz odpocząć.

Odźwierny skłonił się nisko.

-- Wedle życzenia. Czy mogę jeszcze czymś służyć?

-- Nie. Dziękuję. To wszystko. -- Spojrzał ponownie na Victora. -- Zapewne widzimy się po raz ostatni. Albo ci się powiedzie, albo nie. Tak czy inaczej, teraz się pożegnamy. Bywaj.

Nie myśląc zbyt wiele, Victor ujął rękę władcy Nieba i ją ucałował. Powierzchnia dłoni była zimna.

-- Czarus -- powiedziała Błękitna Wróżka z nutą sympatii w głosie. -- Rozkoszny dzieciak. Będziesz o mnie pamiętał?

Vic puścił dłoń Zaklinacza Snów.

-- Tak.

-- Mam nadzieję -- odparł. -- Choć w ogóle trudno o mnie zapomnieć. -- Spojrzał na Mała. -- Chroń go, MARL 217.

-- N-nie m-musisz mi t-tego powta-a-rzać.

-- Rzeczywiście chyba nie muszę. -- Przez długą, pełną napięcia chwilę przyglądał się androidowi. W końcu rzekł: -- Mogę odebrać ci pamięć. Mogę ją całą skasować. Zamknąć wspomnienia za żelazną bramą. Sprawić, by przeszłość przestała cię nawiedzać. Nie wiedziałbyś o niczym, co się wydarzyło.

Mał milczał.

-- N-nie chcę już z-zapominać -- odparł w końcu.

-- Rozumiem. -- Skinął głową i wycofał się o krok. -- No, idźcie. Zmykajcie. Zróbcie to, po co tu jesteście. Ale najpierw wyśpij się, Victorze. I śnij.

Obrócił się zgrabnie, po czym zniknął w ciemności sferycznej sali. Drzwi zasunęły się cicho.

-- Ruszajmy -- rzucił Odźwierny. -- Zanim zmieni zdanie.

Vic poczłapał za przyjaciółmi w otępieniu. Miał mętlik w głowie. Był wyczerpany. Pod powiekami czuł piach. Powłóczył nogami, plecak mu ciążył, przekrzywiony kask uwierał.

Chłopak nie odzywał się całą drogę. Odźwierny powiódł ich z powrotem do windy. Młody Lawson stał oparty o ścianę, kiedy dźwig opadał głęboko pod ziemię.

Przeszli test. Wiedział o tym doskonale. Wszystko, co Błękitna Wróżka pokazał im w sali, było próbą. Specjalnie usadził Mała w czarnym fotelu. Mogłi przecież powiedzieć Vicowi, kim jest ojciec, ale zamiast tego kazali mu stawić czoło całej prawdzie. Po części był z tego powodu zły, a nawet wściekły. Bezgranicznie wściekły. Jednak uczucie to walczyło w nim ze świadomością tego, kim był dla niego Gio. Był. Właśnie. Vic nie ufał Błękitnej Wróżce ani trochę, ale to jeszcze nie znaczyło, że istota skłamała.

Czy jego ojciec naprawdę zachowywał się jak potwór? A może po prostu robił to, do czego został zaprogramowany? Czy jest jakaś różnica?

Vic nie miał pojęcia.

Winda zatrzymała się w końcu, a drzwi rozsunęły się niemal bezgłośnie, ukazując im kolejne piętro -- tego jeszcze nie zwiędzali. Podłogę pokrywał puchaty dywan. Ścian nie zdobiły jednak żadne nieprzyzwoite obrazy. W krótkim korytarzu znajdowało się tylko troje drzwi. Każde miały jakiś symbol: błękitne skrzydła, marionetka wisząca na sznurkach oraz długie ośle uszy.

Odźwierny najwyraźniej nie miał nastroju, by im cokolwiek tłumaczyć. Skinął głową w stronę drzwi z uszami.

-- To wasz pokój. W środku jest łóżko. Przyjdę po was jutro rano. Bądźcie gotowi. -- Przycisnął dłoń do panelu obok wejścia, który się rozświetlił pod tym dotykiem i otworzył im drogę. -- Potrzebujecie czegoś?

Vic nie odpowiedział; ledwo żył ze zmęczenia. Powlókł się do pokoju; w ogóle nie patrzył na wystrój. Za jego plecami Odźwierny tłumaczył siostrze Ratched i Rambo, gdzie znajdą gniazda w ścianach do naładowania baterii. Chłopak upuścił plecak na ziemię. Mruknął, odpiął kask i rzucił go na podłogę. Zdjął też z siebie metalowe płyty. Chwilę mocował się z kamizelką i atrapą akumulatora. Sapnął, kiedy ktoś odtrącił jego ręce.

-- P-pomogę -- zaoferował Mal. -- Z-zrobisz sobie k-krzywdę.

Vic nie oponował. Uniósł ramiona i pozwolił, by android ściągnął z niego okrycie.

-- Co z Odźwiernym?

-- Poszedł -- powiedział Mal, zajęty odpinaniem pasków.

-- Rany -- westchnął Rambo. -- W porównaniu z tym miejscem nasz spalony dom wygląda jak rudera. Pięknie tu...

-- Niczego nie dotykaj -- ostrzegła go siostra Ratched. -- Jeśli coś zepsujesz, narobisz nam kłopotów. Wepnij się w gniazdo. Masz prawie rozładowaną baterię.

-- Ale wcale nie jestem zmęczony!

-- Do rana musisz się naładować i przygotować.

-- No nie. A wy dopiero później idziecie spać? Ale nie gadajcie o mnie, kiedy będę podpięty!

-- Spokojnie. Ja też muszę się podładować. I przemyśleć wiele spraw.

-- Vic?

Chłopak patrzył w podłogę. Obok niego umościł się Rambo. Uniósł wysięgniki. Victor pochylił się, co rozzłościło Mała, który kazał mu się nie ruszać. Podniósł odkurzacz z ziemi. Ten zarzucił mu ramiona na szyję i wplótł szczypcę w jego włosy.

-- Nic nam się nie stanie? -- spytał szeptem.

Młodzieniec go przytulił.

-- Oczywiście, że nie.

-- Obiecujesz?

Nie mógł tego zrobić.

-- Rambo -- zawołała siostra Ratched -- czas spać.

-- Tak, tak.

Victor z powrotem postawił odkurzacz na ziemi. Powiódł za nim wzrokiem, kiedy robot podjechał do siostry Ratched stojącej w kącie. Otworzył klapkę z tyłu obudowy i znalazł gniazdo. Podłączył się z cichym trzaskiem.

-- To łaskocze -- zachichotał.

-- Idź spać -- poleciła pielęgniarzka.

Wykonał polecenie. Lampki zgasły, została tylko jedna, łagodnie pulsująca. Siostra Ratched odwróciła się do Vica.

-- Powinam cię przebadać, Victorze.

Człowiek pokręcił głową; Mal ściągnął z niego kamizelkę.

-- Nic mi nie jest. Muszę tylko odpocząć.

-- Na pewno?

-- Tak.

Nie dawała za wygraną.

-- Po tym wszystkim, czego się dowiedzieliśmy, może jednak powinnam...

-- Siostro.

Wydała nieuprzejmy, wręcz wulgarny sygnał.

-- Zanotowałam w twojej karcie, że odmawiasz pomocy medycznej wbrew moim zaleceniom. Jeśli umrzesz dzisiejszej nocy, twoja rodzina nie będzie miała prawa wnieść przeciwko mnie powództwa.

Victor wybuchł głośnym śmiechem.

-- Ty jesteś moją rodziną.

-- Och. Cóż. Uruchamiam Program Empatyczny. To bardzo miło z twojej strony. Jesteś cudowny. Wyłączam Program Empatyczny. Debil. Idę spać. Nie przeszkadzaj, chyba że zaczniesz się palić. A nawet wtedy i tak cię nie ugaszę. -- Podłączyła się do gniazda i zamilkła.

-- Śpij. -- Mal delikatnie popchnął Vica w kierunku łóżka. Było większe od tego w leśnej sypialni i o wiele wygodniejsze. Miało grubą kołdrę i ogromne poduszki.

-- A co z tobą?

-- B-będę pilnował -- odparł android. -- N-nikt tu n-nie wejdzie b-bez mojej z-zgody.

Zanim skończył mówić, Vic już prawie spał. Coś jednak nie dawało mu spokoju. Coś bardzo ważnego, o czym nie do końca pamiętał. Ta myśl niknęła w nadciągającej mgle.

-- Mal? -- mruknął chłopak, zamykając oczy.

-- Co?

-- Bo... -- Nie dokończył. Zapadł w sen.



Nie miał pojęcia, ile czasu spał. Sądząc po bólu i odrętwieniu całego ciała, niedługo. Przez szarą mglistą zasłonę przebiła się nagle świadomość, a z nią wspomnienie wszystkiego, co się wydarzyło. Otarł twarz dłonią, po czym rozejrzał się w poszukiwaniu dźwięku, który go obudził.

Były to lekkie rytmiczne uderzenia w ścianę.

Obrócił głowę.

Na podłodze przy schodach siedział Mal. Nogi miał podkulone i obejmował je ramionami. Kołysał się w przód i w tył, uderzając plecami o ścianę. Patrzył w przestrzeń niewidzącymi oczyma.

-- Mal?

Android się ocknął. Spojrzał na Vica z tym swoim charakterystycznym grymasem.

-- D-dlaczego n-nie śpisz?

Chłopak zrzucił z siebie kołdrę i usiadł na materacu. Rozszerzył oczy ze zdumienia. Stopy, które teraz postawił na mięciutkim dywanie, miał nagie. Palce zanurzyły się w gęstym splocie puszystego włókna. Nigdy wcześniej nie dotykał czegoś podobnego. Nie był pewien, czy mu się to podoba. Ktoś mu zdjął buty i skarpety, ale nie spodnie i koszulę. Pewnie Mal. Zalało go ciepłe uczucie sympatii. Westchnął.

-- Ale dziwne.

-- Co?

-- Dywan.

Mechaniczny mężczyzna wpatrywał się w człowieka bez słowa.

-- D-dywan? -- spytał w końcu.

-- Nigdy nie miałem dywanu.

-- A.

Vic wstał. Pokręcił głową, widząc, że Mal robi to samo. Potarł kark i spojrzał w kierunku pozostałych robotów. Oba spały podłączone do gniazd.

Android śledził każdy jego ruch. Przez chwilę chłopak mógł udawać, że poza nimi dwoma na świecie nie ma nikogo innego. Poza cichym szumem dobiegającym z piersi Mala i leciutkim szelestem oddechu Victora panowała cisza. Miękka, delikatna. Vic miał poczucie, że unosi się nad ziemią. Nie był pewien, czy śni, czy też już się ocknął.

Podszedł do Mala i oparł się plecami o ścianę. Usiadł. Ich łokcie się zetknęły. Android poderwał się jak oparzony.

-- Coś nie tak?

-- N-nic -- bąknął. Odwrócił się.

-- Okej.

-- P-powinieneś w-wrócić do łóżka. O-odpocznij.

Oczywiście, potrzebował snu. Był wyczerpany i osłabiony. Ziewnął.

-- Tak zrobię.

Mal mruknął coś cicho.

-- Co tam mówisz?

Przyjaciół przewrócił oczami.

-- P-powinieneś bardziej o s-s-siebie dbać.

-- Nie jestem taki delikatny.

-- T-tego n-nie powiedzia-ałem. A nawet g-gdybym powiedział, m-miałbym r-rację. Łatwo cię u-uszkodzić.

-- Wszystko da się uszkodzić.

Mal ciaśniej oplótł nogi rękami.

-- W-wiesz, o c-co mi chodzi.

-- Dobrze, że tu jesteś. Pilnujesz, żebym się nie uszkodził.

Mal stęzał. Posłał Vicowi pełne napięcia spojrzenie. Obnażył zęby.

-- N-nie. T-to ja c-cię uszkodzę.

Ach. No tak. Jasne. Vic nie powinien iść spać, dopóki nie powie czegoś Malowi. Nawet teraz nie wiedział jednak, jakich słów użyć. Widział, do czego jest zdolna ta maszyna. Do czego została stworzona przez jego własnego ojca. Pamiętał krew. Krzyki. Śmierć.

-- Mógłbym kazać ci odejść. Tego chcesz? -- spytał wprost. Mal poderwał głowę i rozszerzył oczy. Otworzył usta, ale nic nie powiedział. Vic nie zważał na niego. Dłubał palcem w dziurze w spodniach. -- Po tym, co pokazału nam Błękitna Wróżka, powinienem to zrobić. Powinienem kazać ci spieprzać. Kategorycznie oznajmić, że nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Że biorę siostrę Ratched i Rambo i wracamy do domu.

Mal powoli pokiwał głową.

-- To o-odejdę. -- Zaczął się podnosić.

Vic złapał go za ramię i powstrzymał. Czuł metal pod skórą androida. Zacisnął palce. Mal wbił wzrok najpierw w rękę, potem w chłopaka. W oczach miał nieme pytanie.

Victor nie puszczał.

-- Będziemy sobie radzili, jak potrafimy. We czworo. Zacznę się starzeć, a pewnego dnia, może jutro, może za pięćdziesiąt lat, umrę.

-- N-nie. Przestań. N-nie mów t-tak. Nie...

-- Może będę miał udane życie -- ciągnął Vic niewzruszony. -
- Może zaznam szczęścia. Ale jeśli teraz cię odeślę, jeśli zostawię ojca, zawsze będę się zastanawiał, co by było gdyby. Gdybym nie odszedł sam? Gdybyście byli u mojego boku?

-- V-Vic.

-- Robiłeś, co robiłeś, bo do tego cię stworzono. Mój ojciec robił, co robił, bo do tego on został stworzony. To, co pokazału nam Zaklinacz Snów... to nie byłeś ty. To nie był tata.

-- N-nieprawda -- zaprzeczył Mal z taką goryczą w głosie, że Vic prawie się zachłysnął. -- W-widziałeś, co robiłem. K-krzywdziłem. Z-zabijałem. Dużych. I m-małych. N-nic nie miało z-znaczenia. Wszystkich z-zabijałem.

Młodzieniec zamknął oczy i oparł głowę o ścianę.

-- Wiem. -- Odgonił straszne obrazy, przebłyski krwawej czerwieni, beznamiętność głosu MARL-a 217. -- Pamiętasz to wszystko, prawda?

-- Tak. D-daj mi odejść. P-puść mnie.

Victor chciał wytknąć Malowi, że gdyby sam chciał odejść, on nie mógł mu zabronić. Zamiast tego zadał jednak pytanie:

-- Dokąd byś poszedł?

-- N-nie wiem. Dokądś.

-- To nie brzmi jak dobry pomysł. A jeśli coś by mi się stało, a ciebie, mojego obrońcy, nie byłoby w pobliżu? -- Otworzył oczy i zobaczył, że Mal kręci głową. -- Chyba cię potrzebuję. Tak jak ty mnie.

-- K-krzywda -- wycedziła maszyna przez zaciśnięte zęby. -- M-mógłbym cię s-skrzy-y-wdzić.

-- Tak. Ale do tej pory tego nie zrobiłeś.

-- M-masz sińce na sz-szyi.

Chłopak się skrzywił.

-- Wiesz o tym i wszystko pamiętasz, a jednak wciąż tu siedzisz. Chcesz mnie teraz skrzywdzić? -- Nie dodał "znowu".

-- J-jeśli to cię w-wreszcie zamknie.

Vic sapnął z irytacją.

Oczy Mala błysnęły.

-- P-powinieneś m-mnie nie-nienawidzić.

-- Jeślibym cię nienawidził, musiałbym też nienawidzić ojca.

-- A n-nie nienawidzisz?

Młody Lawson się zawahał.

-- Nie. Chyba nie. To skomplikowane. Jestem wściekły. Zmęczony. Nigdy nie powinniśmy tu przychodzić. Ale teraz nie odejdę. Wiem, że sam sobie przeczę. Bo to wszystko nielogiczne. Ojciec stworzył śmierć, a potem, by odpokutować: życie. Jestem jego poczuciem winy. -- Przyłożył dłoń do czoła. -- Mam tu mętlik. Burzę, przez którą nie potrafię nic dostrzec. On zrobił, co zrobił. Ty też. Ale on nadal jest moim ojcem. A ty moim przyjacielem. Nie zapomnę tego, nawet po tym, co zobaczyłem.

-- G-głupiec -- warknął Mal. -- G-głupi człowiek. P-powinieneś m-mnie porzucić na złomowisku. Z-zostawić tam, żebym u-umarł.

-- Ale nie zostawiłem -- powiedział z mocą chłopak. -- Podjąłem decyzję. Naprawiłem cię.

-- N-niczego c-ci nie zawdzięczam...

-- Wcale nie twierdzę, że zawdzięczasz -- przerwał mu ostro Vic. -- Możesz robić, co chcesz. Idź. Uciekaj najszybciej, jak tylko zdołasz. Nie oglądaj się za siebie. -- Wziął głęboki wdech, po czym powoli wypuścił powietrze. -- Ale ja muszę spróbować. I obiecuję ci, że jeśli nam się powiedzie, zrobię, co w mojej mocy, żeby pomóc także tobie. Krzywdziłeś. Zabijałeś. Jesteś jednak kimś więcej niż tylko postacią, którą pokazała mi Błękitna Wróżka. Tak samo mój ojciec. Nie boję się Giovanniego. Ciebie też się nie boję.

-- A p-p-powinieneś.

-- Dokonałem wyboru. -- Ścisnął rękę Mala. -- Teraz twoja kolej. Nie jesteś marionetką. Już nie. Przeciąłem twoje sznurki. Odzyskałeś wolność, Mal. -- Podniósł się ciężko. Spojrzał na łóżko. Mal złapał go za rękę. Chłopak popatrzył w dół.

-- P-pocałowałaś m-mnie -- wyjąkał mechaniczny mężczyzna.

Victor oblał się rumieńcem. Nie potrafił tego powstrzymać. Miała nadzieję, że przyjaciel o tym zapomniał.

-- Tak. Ee, no tak. Chyba to zrobiłem.

-- D-dla-a-czego?

Wzruszył niezgrabnie ramionami. Wolał, żeby Mal go puścił. Nie odsunął się jednak.

-- Bo chciałem. Bo musiałem ci przypomnieć, że nie jesteś MARL-em.

-- J-jestem Mal -- szepnął android.

-- Tak. Jesteś Mal.

-- Cz-czułem to. B-byłem zagubiony we k-krwi. Ty m-mnie znalazłaś. Znów.

Młodzieniec obrócił dłoń. Pogładził kciukiem metalowe palce.

-- Coś w tym jest. Może to przeznaczenie. Może miałem cię znaleźć. I teraz, i przedtem.

Robot odwrócił głowę. Chłopak przez chwilę przypuszczał, że to koniec rozmowy. Już zamierzał odejść, kiedy Mal zmienił wszystko.

-- M-mógłbyś t-to zrobić r-raz jeszcze? -- spytał cicho.

Victor zamknął oczy.

-- Chcesz tego?

-- Dokonuję wyboru -- odparł wolno Mal. Każde słowo wypowiedział starannie i wyraźnie, bez zająknięcia. -- Podejmuję decyzję. Nie jestem marionetką.

Chłopak uwolnił rękę. Android go nie powstrzymał.

Młodzieniec zrobił krok w kierunku łóżka. Zatrzymał się. Nie mógł inaczej. Nie chciał. To był jego wybór. Obrócił się, po czym opadł na kolana przed Malem. Ten tylko mocniej ścisnął własne nogi. Oczami śledził każdy ruch przyjaciela.

-- Hej -- szepnął Vic.

-- H... -- zaczął Mal.

Vic zamknął mu usta pocałunkiem. W Niebie, w Mieście Elektrycznych Snów. Było inaczej niż za pierwszym razem. Nic się nie waliło i nie paliło. I nie obserwował ich Błękitna Wróżka. Byli sami, tylko oni dwaj. Ręce Victora złożone na udach, a Mala zaciśnięte w pięści. Młodzieńca przeszedł dreszcz. Włoski na rękach uniosły się jak naelektryzowane. Prawie się nie poruszali. Trwali wpici w siebie ustami. Mal smakował zimnym metalem.

Vic odsunął się, ale tylko na centymetr. Oparł czoło o czoło mężczyzny. Obaj otworzyli oczy.

-- P-podoba mi się t-to -- stwierdził Mal.

Vic gwałtownie wypuścił powietrze.

-- Okej.

-- T-ty mi się podobasz.

-- Naprawdę? -- Nikt mu nigdy czegoś takiego nie powiedział. -

- Skąd wiesz?

-- D-denerwujesz m-mnie.

-- O, dzięki. Właśnie to chciałem teraz usłyszeć...

-- J-jesteś człowiekiem.

-- Super, że zauważyłeś...

-- A-ale wy-ybieram ciebie.

Vic z trudem przełknął ślinę.

-- Tak?

-- Tak.

Android nie oponował, kiedy Vic złapał go za rękę i pociągnął za sobą. Nic nie mówił, gdy chłopak powiódł go do łóżka. Nie opierał się, kiedy położył go na materacu. Obserwował chłopaka roziskrzonymi oczami, kiedy ten klęknął przed nim, zdjął mu buty, najpierw prawy, potem lewy. Podkulił nogi, gdy Vic wpełzł na

łóżko i przykrył ich kołdrą. Ułożyli głowy na tej samej poduszce. Zetknęli się czubkami nosów.

-- Ja n-nie s-sypiam -- szepnął Mal, jak gdyby ujawniał wielką tajemnicę.

-- Wiem. Po prostu... bądź tutaj.

-- M-mogę t-to zrobić.

-- Świetnie.

Victor uniósł rękę i przesunął palcami po drewnianym policzku Mala.

-- Widziałem -- powiedział cicho, powoli odpływając. -- Kiedy Błękitna Wróżka sprawiło, że zasnąłeś. Kiedy cię znaleźliśmy. Kiedy zanieśliśmy cię do domu. Widziałem, że na mnie patrzysz.

-- Z-zawsze t-tam byłeś -- przyznał cicho Mal. -- I n-nigdy się nie z-zamykałeś.

Vic opuścił rękę i przycisnął ją do piersi mężczyzny. Pod koszulą, pod warstwą skóry i metalu obracały się i obracały koła zębate mechanicznego serca.



Obudziły go głosy. Poruszył się, nie otwierając oczu.

-- No nareszcie -- mruknęła siostra Ratched. -- Ale z was oblechy.

-- Rany Julek -- szepnął z przejęciem Rambo. Jego głos brzmiał tak, jakby dochodził tuż znad ucha Victora. -- To najlepszy dzień w historii!

-- D-dajcie mu s-spać -- warknął Mal.

-- On już się obudził -- oznajmiła pielęgniarka. -- Victorze. Koniec udawania. Otwórz oczy.

Zrobił, jak kazała. Leżał przytulony do piersi Mala, obejmując go mocno. Siostra Ratched i Rambo stali obok łóżka. Rambo na swoim podnośniku.

-- To zupełnie jak w filmach -- zaszcebiotał, błyskając lampkami. Sięgnął przed siebie i uszczypnął Vica w policzek. -- Jestem taki szczęśliwy!

-- No jasne -- burknęła siostra. -- Może wreszcie nastanie dzień, kiedy przestaniecie się na siebie tak nachalnie gapić. To się robiło nie do wytrzymania.

Vic jęknął, Mal cisnął poduszką w robota medycznego.

-- Hura! -- zawołał Rambo. -- Jak cudownie! -- Ucichł na moment. -- No, poza tym, że znajdujemy się tysiąc kilometrów od domu w burdelu dla robotów i zamierzamy niepostrzeżenie przedostać się do wieży wypełnionej złołami, którzy chcą nas zamordować. Po to, by ocalić Gio, mimo że on nic nie pamięta. A to wszystko na rozkaz strasznej maszyny ze sztucznymi skrzydłami. Ale co tam. Jest super!

ROZDZIAŁ 23

-- Nic nie jest super -- jęknął Rambo. -- Wszyscy zginiemy. Wszyscy zginiemy!

Vic spojrział w górę, ku szczytowi Wieży Łaskawości wznoszącej się w niebo przed nimi. Uniósł kask, który zjechał mu na oczy. Czubek budowli niknął w oddali. Budowla była wygięta. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi zarys Straszliwego Żarłacza zadokowanego przy jednym z najwyższych pięter, tuż obok wielkiego znaku kota i lisa. Zakręciło mu się w głowie. Spojrzął przed siebie i skupił się na walce z atakiem paniki. Dotarli już tak daleko! A jednak nogi miał jak z waty. Mózg mu się przegrzewał od myślenia o szczegółach ich marnego planu. Powodzenie całego przedsięwzięcia w dużej mierze zależało od szczęścia. Teraz gdy przyszedł czas wreszcie wprowadzić plan w życie, Vic stwierdził, że Błękitna Wróżka musiału postradać zmysły. To się nie mogło udać.

Stali w ciemnym zaułku, kilka przecznic od celu. Obszar dookoła wieży utrzymywano w większej czystości niż okolice Nieba. Budynki z metalu i szkła lśniły w zimowym słońcu. Było chłodno, choć i tak o wiele cieplej niż w lesie o tej porze roku. Chłopak zastanawiał się, ile śniegu tam napadało tej zimy. Czy gałęzie aż uginają się pod białymi czapami?

W ujściu alejki poruszały się maszyny. Nikt nie zwracał uwagi na czworo przybyszów. Mieszkańcy miasta przechodzili chodnikami i przejeżdżali szosą. Niektórzy poruszali się na kołach, inni unosili się, zostawiając po sobie rozedrgane powietrzne ślady. Nie było tu podniebnych torów. Co chwila wrzawę przesywał ten sam łagodny, a zarazem ogłuszający głos z megafonów. WŁADZA ŻY-

CZY CI WSPANIAŁEGO PORANKA. UWAGA. UWAGA. UWAGA. WSZYSTKO, CO ROBISZ, JEST NAGRYWANE ZGODNIE Z ROZKAZEM WŁADZY.

-- No dobra -- powiedział Vic, dbając o to, by w jego głosie nie dało się wyczuć zdenerwowania. -- Wiemy, co mamy robić, nie?

-- Nie -- jęknął Rambo. -- Nic nie wiemy! Ja wszystko zapomniałem! A co, jeśli ktoś zada mi pytanie, na które nie będę umiał odpowiedzieć? I odkryje, że jesteśmy oszustami, i wsadzi nas do więzienia, i zacznie torturować? Wiecie, że nie znoszę tortur.

-- Nikt cię nigdy nie torturował -- przypomniał mu chłopak.

-- No i co z tego? Nie lubię ich i tyle. Rany, Vic. Ogarniaj.

-- Trzymajcie się blisko mnie -- zarządziła siostra Ratched. Odezwała się dopiero po raz pierwszy, odkąd weszli w ten zaułek. Do tej pory prowadziła ich krętymi ulicami Miasta Elektrycznych Snów, unikając otwartych przestrzeni. Odźwierny czekał na nich przed drzwiami pokoju. Powiedział, że Błękitnej Wróżce nie można teraz zawracać głowy, ale że Zaklinacz Snów życzy wędrowcom powodzenia. Vic nie był pewien, czy jej życzenia na cokolwiek się przydadzą i czy w ogóle życzy sobie, żeby mu czegokolwiek życzyć, szczególnie gdy klucznik dodał:

-- Władcu Nieba przesyłu jeszcze wiadomość. Spróbuj się powstrzymać przed krwawieniem, człowieku. Kiedy zaczniesz krwawić, wszyscy się dowiedzą, kim jesteś.

Po tych ponurych słowach klucznik obrócił się na pięcie i zniknął w czeluściach Nieba bez pożegnania ani nawet kolejnego spojrzenia w ich kierunku.

Szli za siostrą Ratched przez kilka godzin, po czym zatrzymali się w cieniściej zaułku. Vic otarł pot z czoła i skrzywił się na widok wilgoci na własnej dłoni. Wyciek lubrykantu. Taka tam mała usterka.

-- Victorze -- odezwała się siostra. -- Już czas. Jesteś gotów?

-- Tak -- potwierdził, po czym zmienił zdanie. -- Nie.

Z pewnością usłyszała wahanie w jego głosie, bo obróciła się w jego stronę i uruchomiła ekran. **WEŹ SIĘ W GARŚĆ, KOLEŚ. NIE ZACHOWUJ SIĘ JAK FACET. TO NIE BĘDZIE BOLEĆ.**

Jednak to Mal sprowadził wszystkich na ziemię.

-- Jakie są zasady?

-- Trzymamy się razem -- wymamrotał Rambo.

-- Uciekamy, jeśli trzeba -- dodała siostra Ratched.

-- Nie ociągamy się.

-- I nikogo nie dorzynamy. O ile sama nie uznam, że to konieczne. Żadnych "ale". Dzisiaj nie idę na kompromis.

Spojrzeni na Vica. Ten wyprostował się i wziął głęboki wdech. Mieli rację. Nadszedł czas. Zaszli zbyt daleko, by teraz zawrócić.

-- Ale przede wszystkim jesteśmy dzielni.

Android skinął głową i zacisnął palce na dłoni swojego człowieka.

-- W wieży znajduje się centralna winda -- poinstruowała siostra Ratched. -- Mogę obejść oprogramowanie bezpieczeństwa i przemycić nas na piętro. Tam Victor przejmuje dowodzenie. Serce jest gotowe?

Było. Błękitna Wróżka się o to postarała. Dokończenie dzieła zajęło nu zaledwie kilka minut. Śmigając rękami z nieprawdopodobną prędkością, zaczęła kształtować drewno. Wióry leciały na ziemię. Gdy skończyła, wzniosła serce wykonane z precyzją równą kunsztowi samego Gio. Vic patrzył osłupiały. Odebrał organ i obrócił kółka. Zębki gładko poruszyły cały mechanizm.

-- Jest -- odpowiedział pielęgniarce.

-- Dobra -- dokończyła siostra Ratched. -- Mal, znasz swoje zadanie.

-- Znam. -- Android odrzucił kaptur. Światło i cień zagrały na jego twarzy. Przybrał neutralną minę. Blask jego oczu zgasł.

Vica przeszył zimny dreszcz. Mal wyglądał jak Nie-Mal, którego widzieli w Krainie Zabawek. Teraz był maszyną. Tylko maszyną. Powrócił MARL 217.

-- Dalej. Naprzód -- powiedział beznamiętnie. Ruszyli.



Nikt ich nie zagadnął. Nikt nie próbował zatrzymać. Nikt na nich nawet nie spojrział. Maszerowali ulicami Miasta Elektrycznych Snów, a roboty ustępowały im z drogi. Większość nie wydała nawet dźwięku. Kilka na widok Mała jęknęło cicho.

-- Nie zatrzymywać się, w-więźniowie -- rzucił głośno android. -- N-nie chcecie mi się n-narażać. Niech to b-będzie ostrzeżenie dla wszystkich, którzy s-sprzeciwiają się Władzy. Z-znajdziemy was.

Vic potknął się, gdy Mal popchnął go mocno. Wpadł na siostrę Ratched; omal nie zrzucił z niej Rambo. Obejrzał się przez ramię i spiorunował mężczyznę wzrokiem. Wyraz twarzy robota się nie zmienił.

Tłum przerzedził się, gdy dotarli do Wieży Łaskawości. Obok głównego wejścia stał pomnik kota i lisa ze splecionymi ogonami. Drzwi były duże, podwójne. Szklane i wysokie na co najmniej cztery metry. Nieprzejryste szkło zasłaniało widok wnętrza. Nikt też nie stał na straży. Nieopodal wejścia widniała zatopiona w ścianie wielka ciemna kula.

-- Mamy tam wejść? -- Vic rozejrzał się ukradkiem. Nie dostrzegł ani kamer, ani straży. Nikt nie szedł w ich kierunku i nie żądał odpowiedzi, skąd się tu wzięli i czego chcą.

-- Może lokal jest zamknięty -- zasugerował Rambo. -- Ojejku. No trudno. Wrócimy jutro. Kto idzie ze mną? Nikt? Naprawdę?

Skandal...

Kula rozjarzyła się światłem. Zagrzmiała, po czym z głośnym trzaskiem wypadła ze ściany. Zanim uderzyła w ziemię, wyrosły z niej nogi. Maszyna o wzroście siostry Ratched uniosła się na ośmiu odnóżach. Kula zaświeciła się na białło.

-- Stać -- odezwała się ostro. -- Ktoście?

-- Oto ja! -- zawołał Rambo. -- Ram... A, no tak, miałem nic nie mówić. Jasne. Zignoruj mnie, proszę.

Vic jęknął w duchu. Zaraz tu umrzemy, pomyślał.

Brzuchaty pająk podreptał do nich. Zatrzymał się przed siostrą Ratched. Uniósł się na nogach, zrównując kulę z ekranem pielęgnarki.

-- Po co przybywacie do Wieży Łaskawości? -- spytał. -- Jesteście umówieni? -- Uniósł odnoże i stuknął nim w obudowę pielęgnarki. -- Nie jesteś najmłodsza, co? Nie widziałem twojego modelu od...

Siostra odtrąciła nogę.

-- Tak do damy się nie mówi. Nie jestem stara. Jestem klasykiem. Odszczekaj to, zanim...

-- Oni są ze mną. -- Mał wyszedł naprzód. -- W-więźniowie. Przyprowa-a-dziłem ich tu na przeprosowanie i r-rozbiórkę.

Pajęcza kula zabłysła nagle różem.

-- MARL! Nie zauważyłem cię, wybacz. To twoi więźniowie? Czym przewinili?

-- To dysydenci -- odparł android. -- S-sprowadziłem ich spoza miasta. M-mam się upewnić, że ich propa-a-ganda przestanie się sz-sz-szerzyć.

-- Co się stało z twoim głosem? -- spytał strażnik. -- Odniosłeś obrażenia? -- Podwyższył się na ośmiu nogach. -- I czym ty jesteś pokryty? Co się porobiło z twoją twarzą i rękami?

-- U-usterka modulatora głosu. D-dokonałem n-napraw w terenie.

-- Czy to sprawka tych dysydentów? -- Pająk podniósł głos.

-- Nie. To było c-coś innego.

-- A co się stało z tym czymś innym?

Mał wbił chłodny wzrok w maszynę.

-- Zniszczyłem je.

-- Aha, świetnie, choć wyglądasz teraz nie za dobrze. Zgłoś się na naprawę, kiedy pozbędziesz się więźniów. Nie możemy pozwolić, by nasze MARL-e wyglądały jak... obdartusy. Przedstawiciele Władzy muszą zachowywać godność swojego urzędu. Słyszę też, że masz usterkę w klatce piersiowej. Jakiś szmer. Każ to też naprawić.

-- Oczywiście -- rzucił tymczasowy reprezentant Władzy.

Pająk zwrócił się w stronę Vica. Człowiek patrzył przed siebie bez mrugnięcia. Po karku spłynęła mu strużka potu.

-- A co to? -- spytał strażnik. -- Wygląda koszmarnie. Jakby został zrobiony z najpodlejszych części zamiennych. Czym on jest? Niech go ktoś dezaktywuje. Choćby z litości.

-- Nie wiem, czym jest. On nie mówi -- wyjaśnił.

Pająk zadrżał.

-- Niech tego wycofają z eksploatacji w pierwszej kolejności. Nawet nie mogę na niego patrzeć. Ty tam. -- Postukał Victora w kask. -- Podaj swoje oznaczenie.

Vic nie odpowiedział.

-- On nie umie mówić -- przypomniał Rambo. -- Zaczął za nami łązić, tuż zanim zostaliśmy pojmani. Rzucaliśmy w niego kamieniami, ale nie chciał się odczepić.

-- Groteskowa kreatura -- rzucił z obrzydzeniem pająk. -- Mam nadzieję, że takich jak on nie ma więcej. -- Sięgnął ponad barkiem

Vica i przycisnął czubek nogi do jego plecaka. -- A to?

-- To moje -- powiedział Mal. -- Kazałem mu nosić za mnie narzędzia.

-- Świetnie -- skwitował stróż. -- Przynajmniej do czegoś się przydał przed śmiercią. Biedne obrzydlistwo. Nawet nie wygląda tak, jakby był świadomy. Pewnie obwody mu się przysmażyły. Co za niedbała konstrukcja. No cóż. Dla niego koniec nadejdzie szybko. Możecie wejść, MARL.

Android przytaknął.

-- N-niech żyje Władza.

Pająk wycofał się, dając im przejść.

-- Tak, oczywiście. Niech żyje. Chwila.

Zatrzymali się. Vic ugryzł się w język, by nie zacząć krzyczeć.

-- Kod kreskowy -- zażądał ośmionóg. -- Trzeba go zeskanować do rejestru wejść.

-- M-muszę ich wprowadzić -- oznajmił beznamiętnie Mal. -
- Cz-czeka ich kara...

Kula błysnęła czerwienią.

-- Kod kreskowy, MARL.

-- Tak -- odparł szybko android, wyciągając rękę. Skóra na dłoni się rozeszła. Ze szczeliny wyjechała gałka. Nad nią ukazał się migoczący hologram.

Pająk nie zauważył, że Vic zamarł z przerażenia, gdy maszyna zaczęła skanowanie. Wydała pojedynczy sygnał. Potem kolejny. Kula rozbłysła czerwienią raz, drugi i trzeci.

-- To się nigdy wcześniej nie wydarzyło.

-- S-spróbuj ponownie.

Pająk ani drgnął. Mal ruszył naprzód, ale dokładnie w tym momencie stróż wydał kolejny sygnał, a jego krągły korpus zaświecił się na zielono.

-- Witaj, MARL 926. Możesz wejść do Wieży Łaskawości. -
- Zjechał niżej, po czym obrócił się w kierunku grupki przyjaciół. -
- Witajcie, dysydenci. Zapraszam do działu Utylizacji, gdzie koń-
czymy eksploatację maszyn. -- Znów przemieścił się przodem do
drzwi. Vic obserwował, jak strażnik wskakuje na swoje miejsce
w ścianie, podkulając nogi. Kula pociemniała, drzwi otworzyły się
szeroko z niskim pomrukiem.

-- R-ruszać się -- popędził stadko Mal. -- I b-bez gadania, więź-
niowie. Ż-żadnego plucia jadem wewnątrz w-wieży.

-- Też mi coś -- obruszyła się siostra Ratched. -- Ja nie pluję.

-- A ja tak -- powiedział Rambo. -- Chociaż może nie. Ale po-
trafię strzelić. Na przykład... -- Pisnął, kiedy siostra Ratched ru-
szyła naprzód.

Vic poszedł za nimi. Uniósł głowę i spojrzał w niebo. Nie był
pewien, czy jeszcze kiedykolwiek je ujrzy.



-- M-modyfikacja kodu dokonana przez Błękitną Wróżkę po-
działała -- mruknął Mal, kiedy zamknęły się za nimi drzwi.

-- Przynajmniej wiadomo wreszcie, że jest po naszej stronie -
- odszepnął Vic.

-- N-na razie.

Victor postanowił, że będzie musiał porozmawiać z Malem na
temat optymizmu, choć temat ten należało odłożyć na bliżej nie-
określoną przyszłość. Szczególnie że w tym momencie sam widział
swoje szanse na przetrwanie w czarnych barwach. Drzwi zatrza-
snęły się za nimi ze szczękiem. Dźwięk rozbrzmiał echem po holu.
Chłopak się rozejrzał. Stali w lobby. Podłoga wyłożona była sza-
rymi, wypolerowanymi na połysk płytkami. Od ich powierzchni
odbijało się światło jarzeniówek wbudowanych w sufit wysoko nad
głowami. Powietrze w wieży miało dziwny zapach, jakby meta-

liczny, sterylny. Na języku Vica pozostawiało nieprzyjemny posmak.

Tu i ówdzie przemykały różne maszyny. Poruszały się szybko, w pośpiechu, i ani na chwilę nie przystawały. Niektóre obrzucały ich wzrokiem, ale jak tylko natrafiły na spojrzenie Mała, natychmiast wracały do swoich zajęć. Android złapał Vica za ramię i pociągnął za sobą.

Zatrzymali się dopiero wtedy, kiedy z fontanny pośrodku sali spomiędzy kaskad wody wyrósł hologram. Przedstawiał postać człekokształtną, choć bez twarzy. W miejscu nosa i ust miała wyłącznie białą płaską powierzchnię. Na głowie jaśniejące, złociste włosy.

-- Witajcie w Wieży Łaskawości -- powiedziała postać łagodnym, uprzejmym głosem. -- Tutaj potęga Władzy chroni nas wszystkich. MARL 926, nie spodziewaliśmy się ciebie jeszcze przez... trzydzieści... sześć... dni i... siedem... godzin. Wróciłeś z terenu zbyt wcześnie.

-- Z-znalazłem to, cz-czego szukałem.

Hologram wzniosł ręce. W powietrze wystrzeliły świetliste drobiny, niczym konfetti.

-- Gratuluję, MARL 926. Twoja misja zakończyła się powodzeniem. Zostanie to odnotowane w rejestrze. Zgodnie z moimi zapiskami to twoje... siedemnaste... pojmanie dysydentów. Zbliżasz się do awansu. Kiedy odeskortujesz naszych... gości... do ich ostatniego miejsca, zgłoś się do biura centralnego celem poddania się naprawie. Zorganizujemy również imprezę, by uczcić twój sukces. Będą balony.

-- Imprezę? -- Rambo zatrzęsł się z ekscytacji. -- Zawsze chciałem pójść na imprezę. A tańce? Co z tańcami?

Hologram obrócił głowę w jego kierunku.

-- Żadnych tańców. I ty nie jesteś zaproszony, dysydencie. Będziesz na... innej imprezie.

-- Tyle imprez -- westchnął zachwycony odkurzacz. -- Czadowe miejsce!

-- Tak. Niezwykłe. Cieszę się, że tak myślisz. To ułatwi sprawy podczas twojej... imprezy. MARL 926, odeskortuj gości na piętnaste piętro, gdzie odbędzie się... impreza. Czy wysłać powiadomienie o twoim przybyciu?

-- N-nie -- odparł Mal szybko. -- W-wolę sam się z-zapowiedzieć.

-- Jak sobie życzysz. -- Woda zabulgotała, hologram zniknął.

-- Piętnaste piętro? -- mruknęła siostra Ratched, gdy ruszyli dalej. -- Chyba wolę nie wiedzieć, co tam jest.

-- Tak, wolisz -- przyznał cicho Mal.

-- Ja chcę zobaczyć balony -- oznajmił Rambo, gdy podeszli do ciągu wind przy tylnej ścianie. Inne maszyny obchodziły ich szerokim łukiem. -- Może zaserwują też ciasto! Słyszałem, że na imprezach zazwyczaj podają ciasto.

-- Tutaj nikt nie jada ciast -- ofuknęła go pielęgniarzka. W międzyczasie Mal przycisnął dłoń do panelu na ścianie obok jednego z dźwigów. -- Poza tym nie potrafisz jeść ciasta.

-- Skąd wiesz? -- obruszył się Rambo. -- Nigdy nie próbowałem. Może mi posmakuje.

Vicowi wydawało się, że Mal zaraz wybuchnie.

-- Nie przyszliśmy na ciasto.

-- Och -- westchnął odkurzacz. -- Racja. Jesteśmy tu, by... robić inne rzeczy. -- Poobracał się to w jedną, to w drugą stronę, jakby sprawdzając, czy są podsłuchiwani. Potem niemal krzyknął: -- Dokąd nas zabierasz, MARL 926? Jestem tylko małym odkurzaczem wplątany w sprawy, o których nie mogę mieć pojęcia. Ach,

proszę. Proszę, nie krzywdź mnie. -- Chlipnął żałośnie. -- Za wczesnie umierać.

-- Przeginasz -- ostrzegła siostra Ratched.

-- Wcale nie! Znam motywację postaci, którą odgrywam! Muszę być wiarygodny!

Mał klepnął go mocno w obudowę. Drzwi windy się otworzyły.

-- W-wystarczy.

-- Dobrze, panie.

-- N-nie nazywaj m-mnie w ten sposób.

-- Tak jest, MARL 926. Nikt się nie zorientuje.

Mał wepchnął całą gromadkę do windy. Vic oparł się plecami o ścianę i odetchnął. Nogi mu się trzęsły.

-- N-nie ma kamer -- poinformował Mał. Na ścianie rozjarzył się kolejny panel. Widniały na nim cyfry od zera do dziewięciu. -
- Rambo, m-musisz przestać g-gadać.

-- Potwierdzam -- potwierdziła maszyna medyczna. -- Daleko zasłiśmy. Jeśli przez ciebie teraz nas złapią, tak cię dorżnę, że nic z ciebie nie zostanie.

Odkurzaczyk zadrżał.

-- Ja tylko chciałem pomóc.

-- Pomagasz -- rzucił Vic. -- Ale bardziej pomożesz, jeśli udasz, że wcale nie potrafisz mówić.

-- Przecież potrafię!

-- Nowa motywacja dla odgrywanej przez ciebie postaci -- zawyrokowała siostra Ratched. -- Twój modulator głosu został zniszczony. Nie umiesz mówić. Jesteś niemową.

-- O nie -- jęknął Rambo. -- Dobrze, że płynnie posługuję się amerykańskim i brytyjskim językiem migowym. -- Zaczął wymachiwać odnóżami. Składał je i rozkładał, po czym pomachał nimi na boki i skończył zawijasem nad czubkiem obudowy. -- Właśnie

wam powiedziałem, że was kocham nawet mimo tego, że nie doceniacie mojej gry aktorskiej.

Mal pochylił się nad panelem. Zmarszczył brwi.

-- Wiesz, dokąd jechać? -- spytała pielęgniarka.

-- T-tak. Chyba.

-- Jak to "chyba"?

Skrzywił się.

-- To... u-u-utknęło. W głowie. P-pamiętam fragmenty. Ale s-sobie przy-y-pomnę. D-da-a-jcie mi chwilę.

-- Oczywiście -- powiedziała przymilnie siostra. -- Nie śpiesz się. Wcale nam się nie śpieszy. Nic a nic.

-- Nie pomagasz -- mruknął Vic, odpychając się od ściany. Obszedł pielęgniarkę i Rambo, stanął obok Mała. -- Na którym piętrze trzymają ojca? Na samej górze, prawda?

Android pokręcił głową.

-- G-góra to lądowisko S-straszliwego Żarłacza. Gio jest n-niżej.

-- Okej. Więc wybierz piętro poniżej.

Mal wbił wzrok w panel.

-- Nie wiesz, które to piętro, prawda?

-- P-próbuję s-sobie przypomnieć.

-- Może skończcie już gadać -- burknęła Ratched ze złością.

Obaj się odwrócili. Na ekranie pielęgniarki obracał się schemat budowli.

-- Wieża ma sto dwadzieścia pięć pięter. Zgodnie z tym, co twierdzi Mal, na samej górze znajduje się lądowisko Straszliwego Żarłacza. Jeśli Gio jest tu przetrzymywany, będzie na piętrze sto dwudziestym czwartym. Niemal na samym szczycie miał laboratorium, zanim opuścił Miasto Elektrycznych Snów. Jeżeli Błękitna

Wróżka się nie myli, a Gio wrócił na stare stanowisko, właśnie tam go znajdziemy.

Obraz powiększył się, a przy czubku wieży zamigotała czerwona strzałka.

-- Jakie zabezpieczenia? -- spytał Vic.

-- Minimalne. Naukowcy, wynalazcy i innowatorzy mogą swobodnie poruszać się po budynku. Nie wiem tylko, czy po powrocie Gio nie wprowadzono jakichś zmian. Jeśli tak, będziemy musieli wymyślić dobre wyjaśnienie, dlaczego wjechaliśmy tak wysoko.

-- Z-zajmę się t-tym. -- Mechaniczny mężczyzna skierował wzrok z powrotem na panel wyboru piętra.

-- Dlaczego mnie to nie uspokaja...?

Android zaczął wciskać guziki. Jeden. Dwa.

-- Czekał -- syknął Vic, gdy palec Mała zawisł nad cyfrą cztery.

-- C-co? Przecież...

Rozległ się głos automatu.

-- Wybrano piętro dwunaste.

Winda ruszyła w górę.

-- W-wszystko s-schrzanileś -- warknął Mal.

Oczy chłopaka rozszerzyły się w panice.

-- Zatrzymaj ją!

-- N-nie potrafię. M-musimy dojechać n-na d-dwunaste. P-po co to z-zrobiłeś?

-- Nie będą nas śledzić? -- spytał Vic. -- Zorientują się, jeśli staniemy na innym piętrze niż piętnaste, na które mieliśmy jechać.

Mal pokręcił głową.

-- MARL-e n-nie są jak inne m-maszyny. M-możemy poruszać się, g-gdzie chcemy.

-- Jesteś tu szefem -- odezwał się Rambo z podziwem w głosie.

-- Dorobiłeś się, mordercza maszyno owładnięta żądzą zemsty.

-- Na pewno? -- zwrócił się Vic do androida.

-- T-tak. Jeśli G-Gio tu jest, z-znajdziemy go.

-- Piętro dwunaste -- rozbrzmiał głos. -- Biuro centralne.

-- Impreza! -- zawołał Rambo. -- Hura!

Drzwi się otworzyły.

Po ich drugiej stronie stała grupka maszyn. Vic zrobił krok wstecz. Mal osłonił go własnym ciałem.

-- Z-złe piętro -- bąknął. Zaczął szybko wciskać cyfry na panelu, ale maszyny ruszyły naprzód. Zanim zdążyły wcisnąć się do kabiny, drzwi zasunęły się z powrotem.

-- Tam nie było żadnych balonów -- mruknął zawiedziony Rambo. -- Kłamczuchy.

Głos odezwał się ponownie.

-- Wybrano piętro sto dwudzieste czwarte.

Winda znów poszybowała w górę.

Mal przyłożył otwartą dłoń w ścianę, aż nimi zatrzęsło.

-- Jest zły? -- dociekał odkurzacz.

-- Na to wygląda -- odparła siostra Ratched. -- Rozumiem go jednak. Sama chętnie bym coś teraz zniszczyła.

-- Już dobrze -- odezwał się łagodnie Vic, powstrzymując przyjaciela przed kolejnym uderzeniem. -- W porządku. -- Raczej sam nie wierzył w to, co mówi. Nic nie było w porządku. Jeden błąd i po nich.

Mal zaczął chodzić dookoła kabiny jak zwierzę zamknięte w klatce.

-- N-nie powinniśmy t-tu p-przychodzić. P-powinniśmy t-trzymać się z d-dala. J-jak najd-dalej. Jest źle. Ż-źle!

Chłopak zagroził mu drogę. Zderzyli się piersiami. Mal wbił w niego wściekły wzrok, co jednak w najmniejszym stopniu nie poruszyło młodzieńca. Już przywykł do takich spojrzeń.

-- Uspokój się -- powiedział ostro. -- Potrzebuję cię. Wszyscy cię potrzebujemy. Tylko ty tu przedtem byłeś. Jeśli nawet nic nie pamiętasz, i tak na ciebie liczymy.

Nie spodziewał się, że do niego dotrze. Myślał, że Mal zaraz go odepchnie i wróci do dreptania po kabinie i groźnego powarkiwania. Zamiast tego mężczyzna podniósł ręce, po czym poprawił Vicowi okrycie głowy. Chłopak przysięgł sobie, że jeśli wyjdą z tego żywi, pierwsze, co zrobi, to roztrzaska ten paskudny kask o ziemię. Spróbował się uśmiechnąć, ale wyszedł tylko wymuszony grymas.

Malowi to nie przeszkadzało. Położył dłonie na barkach przyjaciela i zastygł w bezruchu. Patrzyli sobie w oczy całą drogę na szczyt Wieży Łaskawości.



Zerwali kontakt wzrokowy dopiero w momencie, kiedy głos windy oznajmił:

-- Piętro sto dwudzieste czwarte. Witamy w dziale Kreacji.

Za drzwiami kabiny ukazał się długi pusty korytarz o łukowym sklepieniu. Podłoga i ściany były sterylne białe. Na całej długości co parę metrów znajdowały się drzwi. Brak okien, nawet sufitowych. Światło sztuczne. Łagodne. Wszystko sztuczne. Jak kłamstwo.

Vic powstrzymał się, żeby nie wybiec z windy i nie zacząć wołać ojca. Pragnął to zrobić. Po prostu musiał. Głowa podpowiadała mu, aby natychmiast szukać. Nie myślał, działał! Zdusił w sobie ten instynkt, zanim stracił nad sobą kontrolę.

Mal wyszedł pierwszy. Wyciągnął za siebie rękę -- dał przyjacielom znak, żeby poczekali. Przechylił głowę, przez chwilę nasłuchiwał.

Kiedy upewnił się, że nikt ich nie szuka, gestem kazał wszystkim ruszać. Siostra Ratched ostrożnie wyjechała na gąsienicach.

Rambo, siedzący jej na obudowie, rozglądał się czujnie. Za nimi był Vic. Odwrócił się przez ramię, słysząc syk zasuwających się drzwi. Jego podeszwy piszczały przy każdym kroku. Pogłos odbijał się od ścian. Poza ich krokami panowała całkowita cisza. Żadnych głosów. Żadnego ruchu. Wiedział, jak wysoko się znajdują, ale bez okien wysokość nie robiła wrażenia.

Mal prowadził ich korytarzem -- w skupieniu, powoli. Obracał głowę w tę i we w tę, gdy mijali kolejne drzwi, choć nie widział, co jest w pomieszczeniach.

Minęli zakręt w prawo. Android spojrzął za siebie.

-- P-powinniśmy... -- Wpadł na coś.

Vic podniósł wzrok i zamarł, widząc na co -- na kogo! -- wpadł przyjaciel.

Inny MARL. Ubrany w mundur Władzy, z kotem i lisem na piersi.

Z bliska wyglądał jak lustrzane odbicie Mala. MARL i Mal przypominali własne klony. Funkcjonariusz co prawda nie miał drewnianych wstawek, ale jego oczy były identyczne jak Mala. Jasne i wielokolorowe. To w nich jednak tkwiła największa różnica między tymi dwoma osobnikami. Oczy Mala żyły. MARL był za to maszyną, zimną i beznamiętną. Vic nie wiedział, czy to ta sama postać, którą spotkali w Krainie Zabawek, czy też zupełnie inna. Po raz pierwszy zaczął zastanawiać się, ile tak właściwie jest tych androidów.

-- Witam -- odezwał się MARL przyjaźnie. Brzmiał dokładnie jak Mal, choć jego głos nie zdradzał tego napięcia, które charakteryzowało wypowiedzi przyjaciela. -- Dobrze cię widzieć, bracie. -- Spojrzął ponad ramieniem swojego klona, po czym wrócił do niego wzrokiem. -- Co tu robisz?

-- B-bracie -- odparł android. -- W-witaj. M-mam rozkazy.

MARL przytaknął.

-- Oczywiście. Nie byłbyś tu, gdybyś ich nie miał. Co to za rozkazy?

-- P-przyprowadzić tych troje do l-labora-a-torium.

-- Tych troje? A co to za jedni?

-- Dysydenci.

Funkcjonariusz wykrzywił usta z obrzydzeniem.

-- Czyżby? -- Poglądził robota po drewnianym policzku.

Mał nie poruszył się ani o milimetr.

-- Oni ci to zrobili? I co z twoim głosem? Jąkasz się.

-- N-nie -- odparł Mał, lekko odsuwając dłoń MARL-a od własnej twarzy. -- N-naprawa w t-terenie. M-mam uszkodzenie głosu. P-po zakończeniu misji udam się na przegląd.

MARL omiółł przyjaciół wzrokiem. Vic wpatrywał się w podłogę. Kask zjechał mu na oczy.

-- Ale to nie przez nich?

-- N-nie. B-był jeszcze czwarty.

-- I co się z nim stało?

-- Z-zniszczony -- rzucił Mał.

-- Dobrze. Musimy dbać o porządek. -- Agent minął mężczyzną i zatrzymał się przed siostrą Ratched z Rambo na obudowie. Vic modlił się, by mały odkurzacz trzymał język za zębami. Mał ostrzegawczo pokręcił głową. -- Dysydenci -- mruknął funkcjonariusz. - Nie wyglądają groźnie.

-- B-bo nie są groźni. Z-zmieniono im oprogra-a-mowanie.

-- Kto to zrobił?

-- N-nie wiem.

MARL pstryknął w ekran siostry.

-- Ty. Robocie medyczny. Kto ingerował w twoje oprogramowanie?

Android zrobił krok w ich kierunku.

-- W-wykasowałem im pamięć o n-niezgodnym oprogramowa-a-niu. N-nie odpowiedzą.

MARL zmrużył oczy, ale się nie obrócił.

-- Dlaczego to zrobiłeś? Teraz nie dowiemy się, do kogo nale-
żały.

-- U-uruchomili sekwencję a-a-autodestrukcji, kiedy ich z-zła-
pałem. P-podjąłem decyzję, b-by zachować zło-o-czyńców w c-ca-
łości. Prowadzę ich do l-l-laboratorium działu K-kreacji, by od-
tworzono d-dane.

-- Żadnego instynktu przetrwania -- mruknął MARL, prostując
plecy. -- Szkoda, aczkolwiek to było do przewidzenia. Jeśli uda się
odzyskać ich wspomnienia, może zaprowadzą nas wreszcie do źró-
dła infekcji. Wiesz, o jakim źródle mówię, bracie?

Mal przytaknął.

-- O B-błękitnej Wróżce.

-- Tak. Zacierала ślady własnej działalności o wiele dłużej, niż
przypuszczaliśmy. Nie rozumiem, dlaczego nie wydano jeszcze
rozkazu, aby zrównać z ziemią tę piramidę. Nie podaję w wątpli-
wość poleceń naszych matek i ojców, ale zastanawiam się, z ja-
kiego powodu wciąż zezwalają na istnienie tego miejsca. -- Złapał
wysięgnik Rambo i pociągnął. Odkurzaczyk zachował spokój. Ani
mruknął. MARL puścił go, po czym przeniósł wzrok na Vica. -
- A ten? Nie widziałem wcześniej takiego modelu. Co za brzydacz-
two. Wygląda tak, jakby zbudowano go z części, które do siebie nie
pasują. Ohyda.

-- T-też tak m-myślę, bracie -- przyznał szybko Mal. -- Z-zosta-
nie r-rozłożony na części. Pracownicy Kreacji p-poddadzą go ana-
lizie.

-- Maszyno, spójrz na mnie -- polecił MARL.

Vic uniósł głowę. Wyraz twarzy zachował neutralny. Zaciśnął usta. Nie skupiał na niczym wzroku, nawet kiedy kontroler przysunął do niego twarz na odległość zaledwie kilku centymetrów. Z tak bliska funkcjonariusz nie przypominał mu już Mała, nawet biorąc pod uwagę straszliwe obrazy, które widział na ekranach Błękitnej Wróżki.

MARL stuknął w kask, który natychmiast opadł chłopakowi na oczy. Vic nie skrzywił się jednak mimo bólu, gdy sztywna, twarda krawędź mocniej wbiła mu się w skórę. Głuchy dźwięk uderzenia rozszedł się echem po korytarzu.

-- Ten egzemplarz... -- zaczął MARL. -- Jest... inny. -- Nie mru-
gał, obserwując twarz Victora z bardzo bliska. -- Bardzo reali-
styczny. Wygląda jednak na to, że ma wyciek. -- Strużka potu spły-
nęła po policzku człowieka. Jak łza. MARL wyciągnął ku niej pa-
lec.

-- T-tak -- powiedział Mal. -- Dziwny typ. I ma u-usterkę. N-nie
dotykaj. To kwas.

MARL cofnął dłoń i odwrócił się z powrotem do swojego po-
bratymca.

-- Chciałbym otrzymać raport z prac działu Kreacji. Jeśli to
nowa maszyna, musimy wiedzieć wszystko o tym modelu. Nie wy-
gląda na niebezpieczną, ale nie ma co ryzykować. Nie pozwól im
utajnić wyników analizy. Ci z Kreacji zawsze chcą coś trzymać
w sekrecie. To nie może pozostać tajemnicą. Powiadom dział Kre-
acji, że żądasz dostępu do wszystkich odkryć. Z rozkazu Władzy.
Jeśli wolisz, sam ich tam zabiorę, a ty od razu poddasz się napra-
wie.

Mal pokręcił głową.

-- J-ja ich znalazłem. M-moja zasługa.

-- Jak sobie życzysz -- powiedział pogodnie MARL. -- Wracaj do pracy, bracie. Dobra robota.

Vic wstrzymał oddech. MARL minął ich i poszedł w kierunku, z którego przybyli.

Miał właśnie powoli i cicho wypuścić długo wstrzymywane powietrze, kiedy na twarzy przyjaciela nagle pojawił się wyraz strachu. To trwało zaledwie ułamek sekundy.

-- Co to takiego? -- Vic usłyszał głos MARLA zza pleców.

Potem został gwałtownie obrócony dookoła. Ktoś trzymał go za ramię w żelaznym uścisku. Chłopak ledwo zachował równowagę. Plecak przeważył go do tyłu. MARL pociągnął go za rękę tak mocno, że ta prawie wyskoczyła ze stawu barkowego. Robot uniósł ramię młodzieńca.

Na dłoni było rozcięcie.

Już prawie się zagoiło, ale jeszcze nie do końca. Na skórze widniał brązowawy strup.

MARL poruszył się tak szybko, że Vic nie zdążył zareagować. Wbił kciuk w skórę chłopaka i zerwał strup. Pośrodku ranki zebrała się mała czerwona kulka. MARL obrócił dłoń Vica. Krew spłynęła ku palcom. Przez krótką chwilę kropelka wisiała na ciele.

Potem skapnęła.

-- Człowiek -- warknął MARL, zaciskając palce tak mocno, że Vicowi aż zatrzeszczały kości. -- To człowiek! Alarm! Musimy podnieść alarm!

Tuż przed Vikiem coś przefrunęło. Czas spowolnił. Obraz się rozmazał. Chłopak spojrział w dół. Mal jechał ślizgiem po podłodze, nogami do przodu. Miał zmrużone oczy. Płaszcz powiewał za nim. Złapał kroplę krwi, zanim ta uderzyła w ziemię. Zacisnął ją w pięści. Vic przysiągłby, że oczy przyjaciela zaśniły groźnie.

Android wstał i ze straszliwą prędkością uderzył łokciem w przedramię MARLA. Metal pękł, agent Władzy wreszcie rozluźnił chwyt. Otworzył usta, lecz zanim wydobył się z nich kolejny dźwięk, Mal zdzielił go pięścią w gardło. Robot zagulgotał metalicznie i rąbnął plecami o ścianę. Moment później Mal rzucił się na niego. Wziął zamach ręką, ale MARL złapał pięść w ostatniej chwili i wygiął rękę napastnika.

-- Zdrajca -- wychrypiał. -- Jesteś zdrajcą! Coś ty narobił?

Funkcjonariusz zawirował, obracając Mالا plecami do siebie, po czym brutalnie kopnął go w krzyż. Android przeleciał przez korytarz i wpadł na przeciwległą ścianę, która pękła aż do sufitu. MARL wystrzelił w jego kierunku i zaczął okładać mechanicznego mężczyznę pięściami po plecach i bokach, po czym zamknął go w niedźwiedzim uścisku i uniósł w powietrze, przygważdżając jednocześnie jego ręce. Warknął. Vic usłyszał chrobot giętego metalu i trzask pękającego drewna. Dźwięk był przeraźliwie głośny. Brzmiał jak uderzenie błyskawicy.

Mal zgiął nogi i kopnął nimi przed siebie, odbijając się od ściany. MARL stracił równowagę; obaj runęli na podłogę. Mal wyładował na przeciwniku. Zaczęli się szamotać. W jakiś sposób android wyswobodził się i obrócił, a po chwili siedział już okrakiem na wrogu, ściskając udami jego głowę. Wstał gwałtownie i uniósł nogę, by zmiażdżyć głowę MARL-a pod podeszwą. Agent złapał jednak stopę i ją wykręcił. Mal znów grzmotnął na ziemię, próbując ratować kończynę przed urwaniem. Przejechał po podłodze, leżąc na boku.

Vic bez zastanowienia rzucił się na MARL-a, gdy ten podniósł się i ruszył w kierunku zdrajcy, by go wykończyć. Chłopak chwycił jeden z pasków plecaka, zsunął bagaż z ramienia i wziął potężny zamach. Bolesnie spiął mięśnie, kiedy wprowadzony w ruch ciężki ła-

dunek pociągnął go za rękę. Plecak z ogłuszającym łoskotem huknął w MARLA. Cios zwałił robota z nóg i władował na drzwi, które omal nie wyleciały z zawiasów. Funkcjonariusz podniósł powoli głowę i wbił wzrok w chłopaka.

-- Człowiek -- syknął. -- Jesteś człowiekiem. Uruchamiam Mechanizm Anihilacji Rasy Ludzkiej.

Odbił się od ziemi. Vic zrobił niezgrabny krok w tył. Upuścił plecak. MARL nie zważał na pakunek. Szedł wprost na Victora.

-- Nie dotykaj go -- ostrzegła siostra Ratched, wysuwając wszystkie macki naraz; oplotła nimi nogi MARL-a. Ten sięgnął w dół, by zerwać pęta, ale wtedy przez przewody popłynął prąd. Głowa robota odskoczyła do tyłu, usta otworzyły się w niemym krzyku. Prąd raził go, wprawiając w drgawki.

Rambo popędził w kierunku morderczego androida, unosząc się na podnośniku. Przeskoczył przez macki pielęgniarki. Ominął MARL-a i zacisnął szczypce na jego szyi tak mocno, aż przeciął skórę. Siostra Ratched zatrzymała przepływ elektryczności. Rambo ciągnął z całej siły i wyrywał z karku przeciwnika kable i kawałki metalu. Żuchwa MARL-a opadła bezwładnie. Próbował dosięgnąć małego robota, ale nagle z powrotem pojawił się Mal. Złapał go za ręce i wykręcił je brutalnie -- szybko pękły. Palce zwisły bez życia. Mal zacisnął dłonie na szyi kontrolera i przygwoździł go do ściany. Dotknął panelu obok drzwi, który rozjarzył się światłem. Przejście się otworzyło, a MARL wpadł do sali wypełnionej rzędami komputerów i maszyn w różnych stadiach rozpadu. Nikt poza dwoma walczącymi androidami nie poruszał się w środku.

Mal wskoczył na robota, gdy ten próbował zebrać się z ziemi. Usiadł okrakiem na biodrach agenta i przyparł go do ziemi. MARL spojrzał mu w oczy.

-- Bracie -- wychrypiał. -- Dlaczego mi to robisz?

-- Nie jestem twoim bratem -- warknął Mal. Zaciśnął prawą pięść, a lewą dłonią złapał się za nadgarstek. Uniósł ramiona nad głowę i spuścił je ze straszliwą siłą na twarz MARLA. Metal zachrząścił. Mal uderzył ponownie. I jeszcze raz. I jeszcze.

Nogi MARL-a dygotały spazmatycznie, odbijając się od zimnej podłogi. Zamilkł.

Potem znieruchomiał.

Mal wstał powoli. Coś zachrobotło w jego wnętrzu. Obrócił się. Widok niepewnej, przerażonej miny Vica złamał mu serce. Mężczyzna przyjrzał się swoim rękami. W skórę miał powbijane kawałki twarzy MARL-a. Vic patrzył. Na ziemię spadło coś białego. Mała cząstka. Odbiła się i znieruchomiła pod jego nogami. Ząb. To był ząb.

-- Sk-sk-krzywdziłem. Z-zabiłem. Ja... -- szepnął Mal.

-- Las -- powiedział Vic. -- Muzyka. -- Ostrożnie, powoli zrobił krok w kierunku przyjaciela. -- Dom. Miejsce, gdzie cię znalazłem. Drzewa. Nasze domostwo. Muzyka. Ojciec puszczał ci płyty. Pamiętasz?

-- Tak -- wymamrotał mechaniczny mężczyzna.

Vic zatrzymał się przed nim. Ujął dłonie androida.

-- Trąbki. Pianino. Perkusja i cymbały. Miles Davis. Jego pieśń. Posłuchaj. -- Nie pamiętał jej dokładnie. W głowie miał bałagan, jakieś rozbłyski. Cały czas oddychał szybko i spazmatycznie. Zaczął jednak nucić. *Blue in Green*. Tak się nazywała piosenka. Przytłumiona trąbka, ten jej metaliczny ton, potem delikatnie drżące dźwięki pianina. Głos mu się załamał. Victor kołysał się z boku na bok, nie puszcżając Mالا. Docierało do niego, że siostra Ratched zaczęła grać piosenkę, którą on nucił bez słów. Do występu dołączył Rambo. Śpiewał łagodnie, cicho.

-- Motyl -- szepnął Mal. -- Ładny. Miły.

Vic nie potrafił stwierdzić, ile czasu to trwało. Dla niego z kilka godzin, ale zapewne jedynie minutę lub dwie.

Mał powoli się rozluźniał. Najpierw nogi, potem biodra, na końcu fala dotarła do piersi. Wtulił twarz w szyję Vica i opadł na niego. Powoli muzyka ucichła.

-- Już dobrze -- mruknął Vic. -- Widzisz? Wszystko dobrze. Nic nam nie jest. Jesteś cały. Jestem przy tobie.

Mał wtulił się mocniej. Obnażył zęby w bolesnym grymasie.

-- Uratowałeś nas. -- Vic lekko potrząsnął mężczyzną. -- Uratowałeś. Dziękuję. Krew. Gdyby kropla spadła na ziemię...

-- G-gdyby spadła, u-uruchomiłaby alarm. Ale...

-- Zrobiłeś, co musiałeś -- oznajmił Vic głosem pełnym pewnością. -- Ochroniłeś nas.

Na twarzy Mała nie było widać ulgi, ale przynajmniej zniknęło z niej przerażenie. Spojrzał Vicowi w oczy, a to, co w nich znalazł, musiało mu wystarczyć. Obrócił się w stronę MARL-a.

-- W-wyłączył się. K-ktoś niedługo z-zauważy. Musimy się śpieszyć. -- Pochylił się, wsunął ręce pod plecy kontrolera i go uniósł. Kawalki rozbitej głowy posypały się na podłogę. Wciągnął pokonanego przeciwnika głębiej do sali. Rambo jechał za nim i wsysał pokruszone części ciała.

Vic wyszedł na korytarz, spojrzał w lewo, potem w prawo, upewnił się, że nikogo nie ma. Byli sami. Podniósł plecak. Coś w środku zagrzecotało. Metaliczny dźwięk sprawił, że chłopak na chwilę zamarł. Zmarszczył brwi, uniósł plecak wyżej i potrząsnął nim mocno. Tym razem rozległo się głośniejsze stukanie. Młodzieniec otworzył szeroko oczy i w panice zaczął rozwiązywać sznurek plecaka.

-- Victorze. Twój puls jest za szybki -- poinformowała siostra Ratched. -- Co się stało?

Nie słyszał jej.

-- O nie -- jęknął. -- Nie, nie, proszę, tylko nie to. Gdzie ono jest? Gdzie? -- mamrotał. Natrafił ręką na znajomy przedmiot. Pociągnął. Złapał za niewłaściwy koniec szmatki. Materiał rozwinął się; wypadły resztki serca. To był ten odgłos.

Straszliwe grzechotanie, które usłyszał, kiedy bez zastanowienia rąbnął swoim bagażem MARL-a. Tak zaklekotało rozpryskujące się na kawałki nowe serce. Drewno pękło na cztery części. Dwie teraz spadły na ziemię. Pozostałe dwie zostały w plecaku. Przewody sterczały z ruiny. Jedna z zębatek -- największa -- była złamana w pół. Kolejna potoczyła się korytarzem w kierunku windy. Uderzyła w ścianę i się zatrzymała.

-- O, nie -- jęknęła pielęgniarka. -- Victorze...

Chłopak upuścił plecak. Nie mógł oddychać. Nie mógł zrobić nic poza wpatrywaniem się w rozbite części leżące na ziemi. Zaszli tak daleko.

Wokół pasa owinęła mu się macka. Nie patrzył na nią.

-- Victorze -- powtórzyła siostra. -- To nie ma znaczenia. Nigdy nie chodziło o serce. Najważniejsze jest to, co robimy dla siebie nawzajem. Zbudujesz nowe. Zrobisz takie, jakie zechcesz. Ale to musi poczekać, aż wrócimy do lasu.

Vic otarł oczy. Spojrzał przez ramię. Mał wiedział. Widział ten cały bałagan. Tkwiał w drzwiach sztywno, wbijając oczy w resztki serca.

Młodzieniec zabrał plecak od siostry Ratched i podszedł do androida. Stanął bardzo blisko. Bardzo, bardzo blisko. Złapał go za rękę i powiedział:

-- Chodź. Musimy znaleźć tatę, póki jeszcze czas.

-- Ale jak go przekonamy, żeby z nami poszedł? -- spytał Rambo. -- Nie mamy dla niego serca.

-- Musimy mu przypomnieć, kim był, i liczyć na łut szczęścia.



Mal prowadził ich korytarzami, które wiły się niczym labirynt. Po którymś zakręcie z kolei Vic się zgubił. Nie miał pewności, czy sam zdołałby się stąd wydostać. Chwilę po tym, jak pokonali MARL-a, musieli schować się w malutkim pomieszczeniu, kiedy przechodziła grupka gładkich. Stali w ciemności, nasłuchując kroków po drugiej stronie drzwi.

-- Myślicie, że wiedzą o MARL-u? -- odezwał się struchlały Rambo.

Mal pokręcił głową.

-- MARL-e często się wyłączają, żeby się z-zresetować. Mamy cz-czas. Niewiele, ale m-mamy. Z-znajdą go w końcu.

Kiedy się upewnili, że funkcjonariusze odeszli, Mal otworzył schowek -- ich tymczasową kryjówkę -- i wyjrzał na zewnątrz. Poczekał jeszcze chwilę, po czym wypuścił swoich towarzyszy i gestem kazał ruszać.

Poszli więc dalej.

Korytarzem. W prawo. Kolejnym korytarzem. W lewo. Kolejnym korytarzem.

Jeszcze chwila, a Vic zażądałby wyjaśnień: gdzie są, jak daleko do celu, czy się zgubili? Tak, na pewno się zgubili. Już po nich! Mal zatrzymał się nagle. Victor wpadł na niego i się skrzywił, gdy od jego pleców odbiła się siostra Ratched z Rambo.

-- Co jest? -- wycedził.

Mal sterczał bez słowa przed jakimiś drzwiami. Niczym się nie wyróżniały: białe, zwykłe, z ciemnym panelem na ścianie.

Różnica między tymi a innymi była prawie niedostrzegalna.

W okręgu umieszczonym pośrodku drzwi widniał symbol drzewa. Vicowi ten znak skojarzył się z drzewami w lesie otaczają-

cym ich domostwo. Malutkie sosnowe igły zostały wykonane tak szczegółowo, że prawie czuł ich zapach.

Android wyciągnął wolną rękę i powiódł palcami po pniu i gałęziach, po czym przyłożył dłoń do powierzchni i zamknął oczy.

-- To tutaj -- szepnął w skupieniu. -- Ch-chyba pamiętam t-to miejsce. Drzewo. P-pytałem go o nie. D-drzewo... Dlaczego akurat drzewo? -- Przesąpił z nogi na nogę. -- P-powiedział, że drzewa są s-stare. S-starsze od p-prawie wszystkiego na ś-świecie. Gdy nas już nie będzie, d-drzewa pozostaną. Dlatego. -- Otworzył oczy. -
- Giovanni. J-jest tu. To jego laboratorium.

-- Na pewno? -- Vic nie podnosił głosu.

Mał cofnął rękę.

-- Tak.

-- Trzeba zapukać? -- zapytał Rambo, kolebiąc się niecierpliwie na boki.

Vic ponownie obrzucił symbol wzrokiem...

-- Nie. -- Pokręcił głową. -- Mał.

Android się nie wahał. Przycisnął dłoń do ciemnego panelu. Urządzenie zabłysło pod dotykiem.

Zadźwiedział gong. Vic się wzdrygnął.

Płytką przybrała kolor zielony.

Drzwi otworzyły się, a z wnętrza buchnęło chłodne powietrze.

ROZDZIAŁ 24

Pierwsze, co zauważył wewnątrz, to światło. Naturalne. Przez szerokie okno wykuszowe, sięgające od podłogi do sufitu wpadały promienie słońca. Za szybą rozciągała się panorama Miasta Elektrycznych Snów. Zabudowania ciągnęły się do samego horyzontu. Aglomeracja była ogromna. Chłopak zachwiał się, bo nagle zawirowało mu w głowie. Przełknął gulę, która powstała w gardle, i zmusił się, aby zachować koncentrację.

Dopiero po chwili uświadomił sobie, dlaczego to miejsce wydaje mu się znajome. Nigdy wcześniej tu nie był, a jednak coś sprawiało, że je znał. Wtedy doznał oświecenia: przecież widział laboratorium oczami Mala. Obserwował otoczenie z androidem, gdy ten po raz pierwszy zyskał świadomość, a potem jeszcze wiele razy, gdy wracał, by słuchać ojca.

-- Gotowa, siostrze Ratched?

-- Tak, Victorze. Wiem, co robić.

Wszedł głębiej. Puścił dłoń Mala. Obrócił się przez ramię. Robot pięścią rozbił panel wejściowy w drzazgi. Vic uniósł brew. Mal tylko wzruszył ramionami.

-- T-teraz tak łatwo tu n-nie wejdą. Zapewniłem nam trochę czasu.

Pomieszczenie było przedzielone szklanymi drzwiami. Kiedy Vic podszedł w ich kierunku, otworzyły się. Nie przystanął. Nie odwracał się, nie rozglądał. Wiedział, że przyjaciele podążą jego śladem.

Przeszedł do dużej sali wypełnionej przeróżnymi maszynami. Popiskiwały elektronicznie, migwały światłami. Z sufitu zwisały me-

talowe szczytce do przenoszenia ciężkich przedmiotów. Teraz wyglądały na nieaktywne. Znajdowały się tu także szklane tuby. Ten widok przywołał na myśl bunkier ukryty pod ziemią w domu. Pojemniki ustawiono w linii pod ścianą. Były puste, wypolerowane na błysk. Nad rzędem komputerów wisiał ogromny ekran, przez który przelatywał kod -- wiersz po wierszu, bez ustanku. Migał kursor. W lewym górnym rogu widniał model człowieka z rozpostartymi ramionami. Obracał się nieśpiesznie. Jego skóra była zupełnie gładka. Nie miał twarzy, genitaliów ani żadnych znaków szczególnych. Niezapisana karta.

Vic podszedł do wielkiego monitora.

-- Witajcie -- rozległ się głos. Spokojny i opanowany. -- Wybaczcie. Nie spodziewałem się gości.

Chłopak się odwrócił, z sercem w gardle.

Z cienia wyszedł Giovanni Lawson. W dłoni trzymał tablet. Długa broda z kręconymi włosami opadała mu na pierś. Miał na sobie biały fartuch z symbolem kota i lisa oraz jasnobrązowe spodnie. Uśmiechnął się, choć wyraz twarzy zdradzał zagubienie. Powiódł wzrokiem po siostrze Ratched, Rambo i Malu. Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia, kiedy dotarł do Vica. Zmarszczył czoło.

-- Tato? -- szepnął chłopak.

Starszy mężczyzna uniósł brwi.

-- Tato? -- powtórzył i zaśmiał się krótko. -- Chyba nastąpiła jakaś pomyłka. -- Zmrużył oczy i omiótł człowieka spojrzeniem. -- Pracuję w Kreacji, ale nie powiedziałbym, że jestem czyimkolwiek ojcem. -- Zrobił krok w kierunku gości. Zawahał się, po czym pokręcił głową. -- Jak dziwnie. Czuję... -- Przycisnął dłoń do piersi. -- Coś jak widmo. Takie nagłe łaskotanie. Jakbym was znał, tyle że nie wiem skąd. Przecież zapamiętałbym, gdybym stworzył coś

równie... niepowtarzalnego. Istnieje takie wyrażenie... Co się mówi, kiedy pamięta się coś, czego się jeszcze nie doświadczyło?

-- Déjà vu -- podsunął Vic niepewnie.

Mężczyzna wyglądał na zaaferowanego.

-- Tak. Właśnie o to mi chodzi. Znasz to uczucie?

Pod powiekami młodzieńca zbierały się łzy. Nie odwrócił jednak wzroku.

-- Tak. Znam.

-- A czy my już gdzieś się nie spotkaliśmy? -- spytał powoli Gio. Położył tablet na krawędzi blatu pokrywającego jeden z komputerów. Urządzenie prawie spadło, ale nie zawracał sobie tym głowy. Splótł ramiona na piersi. -- Nie pamiętam, kiedy mogliśmy się widzieć. Jesteś zrobiony z różnych części. Z odpadów. Ze złomu. To nie przystoi androidowi, szczególnie takiemu jak ty. Wyglądasz jednak dość... naturalnie. Jak żywy. Powiedz, kto cię stworzył? Jak tego dokonał? Podaj swoje oznaczenie.

-- Victor -- przedstawił się chłopak. Musiał walczyć ze sobą z całych sił, by nie rzucić się tacie w objęcia.

-- Victor -- powtórzył ojciec, smakując nieznanym dźwiękiem. -
- Niezwykłe imię. Piękne. Twój stwórca musiał włożyć w ciebie wiele pracy. Może tu i ówdzie oszczędził na materiałach, ale... jesteś wyjątkowy. A ja lubię wszystko, co unikatowe.

-- Wiem.

-- Naprawdę? Wybacz, ale nie rozumiem. Mówisz tak, jakbyś mnie znał, lecz ja nie znam ciebie. Moje oznaczenie... moje imię brzmi GIO. Co cię tu sprowadza? -- Zerknął na Mała. -- MARL, kogo mi tu przyprowadziłeś?

-- Z-zwracam kogoś ci bliskiego -- odparł android.

-- Bliskiego? Mnie? -- Siwobrody mężczyzna nie dowierzał. Spojrzał na siostrę Ratched, potem na Rambo. Mały odkurzac

z zapalem wymachiwał wysięgnikami. Wynalazca uniósł rękę i odmachął, przebierając palcami, choć pozostawał wycofany i niepewny. -- Witaj, malutki. Od bardzo dawna nie widziałem podobnej maszyny. A na dodatek działasz! Czy ty też masz... imię? -- Chciał powiedzieć "oznaczenie", ale w ostatniej chwili wymówił inne słowo. Zmieniał się, adaptował.

Świadomość tego wypełniła Vica nadzieją, której jednak bał się uchwycić. Ojciec nie był taki jak niegdyś. Zachowywał się inaczej. Cały czas zachowywał czujność i poruszał się sztywno, jak maszyna, nie człowiek. Musieli być ostrożni. Nie ufał im, choć wydawało się, że jego dystans skierowany jest przede wszystkim w stronę Mała.

-- Rambo!

-- Rambo -- mruknął ojciec. -- Nigdy nie słyszałem takiego imienia. A ty, robocie medyczny? Ty jesteś...

-- Siostra Ratched -- powiedziała pielęgniarka.

-- Tak, doskonale. Ty też wydajesz się niepowtarzalna. W dzisiejszych czasach niewiele dla ciebie pracy, czyż nie? -- Przez jego twarz przemknął cień, który jednak szybko zniknął. Naukowiec pozostał ostrożny, skupiony. -- Tak. Mało masz zadań. To pewne.

-- Zdziwiłbyś się, Giovanni.

Mężczyzna drgnął.

-- Jak ty mnie nazwałaś?

-- Giovanni -- powtórzyła.

-- Dlaczego?

-- Nie tak masz na imię?

-- Nazywam się GIO. Moje ozna... moje imię brzmi GIO. Czyli Główny Innowator Operacyjny. -- Zaczął zamykać się w sobie. Victor zauważył to natychmiast. Pojawił się zimny, nieobecny wyraz twarzy. Usta się zacisnęły w cienką linię, a blask w oczach przy-

gasł. Do tej pory staruszek był w miarę rozluźniony, nawet trochę swobodny. Teraz jednak przypominał jednego z gładkich mężczyzn. Sztwywny. Beznamiętny. Był maszyną. -- MARL -- powiedział. -- Dlaczego tu jesteś? Czy masz upoważnienie do przebywania w dziale Kreacji? -- Przerwał. -- Zostałeś uszkodzony. Masz ubytki w skórze i defekt modulatora głosu.

-- J-jestem taki, jaki b-być powinienem -- odparł android.

Ojciec wyglądał na zbitego z tropu.

-- To znaczy? MARL, podaj swoje oznaczenie. Natychmiast.

-- MARL 217.

-- 217 -- szepnął Gio. -- Ty... ty... -- Oczy mu się zaszklily. Przechylił głowę i zamarł, lecz po chwili wyprostował ją gwałtownie, a wzrok błysnął wrogo. -- To niemożliwe. Wycofano cię z użytku. Dziesiątki lat temu. Sam to widziałem. Czytałem raporty. Taki był rozkaz. Nie... nie powinno cię tu być. Nie wiem, dlaczego przyszedłeś do mnie, ale nic dla ciebie nie zrobię. Odejdź, zanim wezwę Władze. -- Odwrócił się, podniósł tablet i pochylił się nad nim. -- Dziękuję za wizytę. Teraz proszę już iść. Nie wiem, co was tu sprowadza. Nie mam czasu. Jestem bardzo zajęty.

Dawno temu, kiedy Vic był dzieckiem -- cztero-, może pięcioletnim -- z trudem odnajdował własny głos. Nie potrafił ubierać myśli w słowa. Mówienie sprawiało mu wielką trudność. Mowa przychodziła i znikła, bez ładu i składu, a wydawanie dźwięków wywoływało ból gardła. Pewnego dnia -- późną wiosną, kiedy drzewa dookoła się zieleniły -- chciał powiedzieć ojcu, co zobaczył w kniei. Był to ptak. Taki zwykły, o błękitnych piórach, z czarnymi nóżkami i smolistym dziobem. Stworzenie przechyliło łebek i obserwowało chłopca z gałęzi. W pewnym momencie wydało z siebie ostrzegawczy świergot i się nastroszyło.

Vic wrócił do ojca, mając głowę pełną myśli, które należało oblec w dźwięki. Giovanni jak zawsze cierpliwie czekał i obserwował syna. Nie próbował go ponaglać. Chłopiec potrzebował czasu.

Vic był już gotów się poddać, zrezygnować i udać, że nic nie widział. Wtedy jednak coś się zmieniło, jakby części układanki po długim czasie wreszcie wskoczyły na właściwe miejsca.

-- Ptak -- wykrztusił.

A ojciec odparł łagodnie, z miłością:

-- Ptak? Opowiedz mi o nim.

Malec przestąpił z nogi na nogę, układając myśli, które próbowały uciec, wyślizgnąć się. Otworzył usta, ale nie wydobył z siebie głosu. Zmarszczył brwi z frustracją. Oddech mu przyśpieszył.

-- Powolutku -- poradził mężczyzna. -- Myśl. Skup się. Nie musisz się śpieszyć. Wiem, że łatwiej powiedzieć niż zrobić, ale wierzę w ciebie. Zawsze w ciebie wierzę. I zawsze będę wierzył. Dasz radę, Victorze. Na pewno sobie poradzisz.

-- Ptak -- powtórzył Vic. -- Na zewnątrz. Ptak. On... krzyczał. Na mnie. Głośno. Ptak krzyczał głośno.

-- Naprawdę? -- spytał dobrotliwie Gio. -- Zaprowadź mnie tam.

Ujął dłoń syna i razem wyszli z domu. Vic pewnie stawiał kroki. Wiedział, co pokazać tacie. Ojciec nie podawał słów dziecka w wątpliwość, nie kazał mu zwolnić, choć chłopiec przebierał nóżkami bardzo szybko. Stanęli pod drzewem. Vic wskazał palcem. Ptak wciąż tam siedział. Obrócił głowę, by przyjrzeć się przybyszom jednym czarnym okiem. Zaświergotał ponownie. I znów w jego trelu słyhać było ostrzeżenie.

-- Ach -- westchnął stary Lawson. -- Rozumiem. On rzeczywiście krzyczy. Ale ma ku temu powód. Mogę cię podnieść?

Vic wyciągnął rękę. Poczuł, jak duże ciepłe dłonie obejmują go w pasie, a potem uniósł się w powietrze. Tata był duży. Victor wzleciał więc bardzo wysoko.

-- Patrz -- szepnął ojciec. -- Widzisz tę gałąź, na której stoi ptak? Spójrz trochę niżej. Tam jest dziupla.

Malec powiódł wzrokiem w dół. Tuż poniżej stworzenia znajdował się ciemny głęboki otwór w pniu. Z początku chłopiec nie widział tam nic szczególnego. Tata zrobił krok naprzód. Z dziury wystawały strzępki trawy, gałązki i pióra. Niebieskie. To było gniazdo. Vic wpatrywał się w nie uważnie; po chwili z wnętrza wychylił się drobny łebek podobny do głowy ptaka siedzącego na gałęzi, tylko mniejszy i ciemniejszy.

-- On chroni swoje młode -- wyjaśnił ojciec. -- Nie wie, że nie jesteś dla nich zagrożeniem. Tam, w środku, jego partnerka wysiaduje jajka i czeka, aż się wyklują.

-- Wyklują -- powtórzył Vic cicho.

-- Tak. Dzieci. Już niedługo urodzą się ptasie dzieci. Będziesz mógł słuchać ich świergotu. Cóż za piękny widok. Wspaniałe podarunek. Dziękuję, synu. Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłeś.

Mały oparł głowę o ramię ojca. Czuł ciepło. Był bezpieczny. Wypełniła go duma, choć wtedy nie potrafił jeszcze nazwać tego uczucia. Wiedział jedynie, że zrobił to, co zamierzał. Użył słów i pozwolił ojcu zrozumieć swoje myśli. Być może w przyszłości zdoła ponownie tego dokonać. Na razie jednak ogarnęło go zmęczenie.

Ojciec pogładził go po plecach.

-- Tak, to najpiękniejszy dzień od bardzo dawna. Mój kochany chłopcze.

Obserwowali, jak ptak zeskakuje z gałęzi ku dziupli. Ptasia mama powitała go cichym gwizdnięciem. Gdy skrzydlaty tata

uznał, że jego dzieciom i partnerce nic nie grozi, wzbił się w powietrze i zniknął w koronach drzew.

Tej nocy, gdy Giovanni układał Victora do snu, ten powiedział:
-- Ptak. Widziałem ptaka.

Teraz, wiele lat później, na drugim końcu świata, Victor Lawson patrzył, jak mężczyzna, który dał mu życie -- który stworzył go, kierowany poczuciem winy, samotnością i miłością -- odwraca się i odchodzi.

Wiedział, że słowa potrafią być orężem. Posługiwania się tą bronią uczył się z mozołem bardzo długo. Nie był już tą samą osobą co wtedy w lesie. Nie był już tamtym małym chłopcem. Odnalazł swój głos. Dzięki tej maszynie -- temu mężczyźnie.

-- Tato -- powiedział.

Pracownik działu Kreacji nie odwrócił się. Zamarł.

Vic podszedł o krok.

-- Spójrz na mnie, proszę. -- Stanął. Gdyby chciał, mógłby wyciągnąć rękę i położyć dłoń na ramieniu Gio. Nie zrobił tego, choć ledwo zdołał zwalczyć tę silną pokusę.

Gdy ojciec odezwał się, jego głos brzmiał oschle, a słowa urywały się gwałtownie.

-- Pomyliłeś mnie z kimś. Nie jestem twoim ojcem. Nazywam się Gio Lawson. Należę do szacownego grona Władzy. Tworzę. Buduję. Pracuję. Nie ma dla mnie nic innego.

-- A właśnie, że jest -- naciskał chłopak. -- Jest o wiele więcej. Przysięgam. Przecież wiesz, o czym mówię. Znasz mnie.

Gio pokręcił głową.

-- Nie. To niemożliwe...

-- Czy ty śnisz?

-- Czy... co?

-- Czy śnisz? -- powtórzył pytanie Vic. Pamiętał słowa ojca. -
- Szepty. Liczby i kod. Równania logiczne. To usterka.

Ojciec powoli się obrócił. Jego twarz wyrażała szok.

-- Skąd ty to...? Jestem maszyną. Maszyny nie śnią. Nie mamy takiej zdolności.

Nikt nie znał tego mężczyzny tak dobrze jak Vic. Młodzieniec doskonale pamiętał każdą zmarszczkę na jego czole, wokół oczu. Znał jego myśli. Jego tiki. Człowieczeństwo zamknięte w ciele maszyny. Wiedział więc, kiedy ojciec kłamie.

-- Śnisz -- oznajmił z naciskiem. -- Wiem, że śnisz. Mówiłeś mi o tym. Powiedziałeś, że sny nie zawsze mają sens, ale że nie chciałbyś ich zmienić. Bo dzięki nim czujesz, że żyjesz. I nie potrafisz określić tego słowami.

-- Kim jesteś? -- spytał naukowiec. Wyciągnął rękę w kierunku młodzieńca, ale zatrzymał ją w pół drogi. Opadła luźno wzdłuż ciała.

-- Kimś, kto cię kocha. Może to dla ciebie niewiele teraz znaczy, ale to ty mi powiedziałeś, że czasami nawet najmniejsza rzecz potrafi wszystko odmienić.

W tym momencie zza pleców młodego Lawsona rozbrzmiała muzyka.

Beryl Davis śpiewała o tym, że z każdej drogi można zawrócić, i że płakała za kimś z tęsknoty. Jej głos wypełniał laboratorium, płynąc z głośników w obudowie siostry Ratched.

Mał powiedział bez zająknięcia:

-- Powiedziałeś mi, że mogę wybrać, kim chcę się stać.

-- A mnie przekonywałeś, że jestem dzielny! -- zawołał Rambo.

-- Zbudowałeś dla nas dom -- dodała siostra Ratched. -- Jesteśmy tu, żeby ci o tym przypomnieć.

-- Co się dzieje? -- wymamrotał starzec. -- Co... wy...? -- Zamknął oczy. -- Ta piosenka. Ta muzyka. Dlaczego? Dlaczego mam wrażenie, że już ją kiedyś słyszałem? Ta melodia. Te nuty. Synchroniczne. Proste. Zwięzłe. To nie jest...

-- Bo już to słyszałeś! -- oznajmił z mocą Vic, czując narastającą pewność. Zrobił krok w kierunku ojca. -- Słyszałeś ją i inne piosenki z płyt, które ci przynosiłem. Naprawiłeś adapter. Myśleliśmy, że usterka jest poważna. Zbyt duża. A chodziło tylko o korbę. Szwankowała krzywa korba.

-- Nie. Nie-nie-nie-nie. Błąd. Błąd. Błąd. Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz. To nie mnie szukasz. Nie jestem...

-- A właśnie, że jesteś. -- Vic wyciągnął rękę.

Mężczyzna spojrzał na nią, ale się nie wycofał. Zetknęli się palcami. Skóra Gio była ciepła.

-- Znalazłem cię -- szepnął chłopak. -- Znalazłem. Znalą...

Rozległ się ogłuszający dźwięk alarmu. Ostry, nieprzyjemny, wibrujący.

-- UWAGA -- zadudnił robotyczny głos z ukrytych głośników. -
- UWAGA. INTRUZI W WIEŻY ŁASKAWOŚCI. UWAGA. UWAGA. INTRUZI W WIEŻY ŁASKAWOŚCI. URUCHAMIANIE PROTOKOŁU BEZPIECZEŃSTWA NUMER SIEDEM SZEŚĆ KRESKA DZIEWIĘĆ DZIEWIĘĆ CZTERY.

Na okna z hukiem opadały stalowe kraty, spowijając laboratorium półcieniem. Vic podskoczył ze strachu, kiedy na jego nadgarstku wylądowała czyjaś dłoń. Podniósł wzrok i zobaczył, że to ojciec go złapał. Mężczyzna wpatrywał się w niego tępo. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

-- Ty -- mruknął. -- To przez ciebie. Nie powinno cię tu być. Nie ruszaj się. Władza nadchodzi. -- Pociągnął chłopaka w kierunku rzędu komputerów. Vic nie zdążył zareagować. Gio wcisnęła

przycisk i zaczął mówić. -- Intruzi w dziale Kreacji. Powtarzam: intruzi w dziale Kreacji.

Za plecami młodego Lawsona coś się poruszyło. Mał wpadł na Victora z impetem, odtrącił go, przewrócił i wyciągnął ramiona do naukowca. Gio zachwiał się i zrobił krok wstecz. Vic przyglądał się temu przerażony.

-- Stój! -- krzyknął.

Stary Lawson poruszał się szybciej, niż Victorowi wydawało się możliwe. Blokował wszystkie ciosy zadawane przez androida. Broda kołysała mu się na boki i powiewała. Mał wyprowadził prawy sierpowy, ale Gio z łatwością go uniknął, co wywołało na twarzy androida prawie komiczny wyraz zaskoczenia. Z rozpędu robot obrócił się niemalże o sto osiemdziesiąt stopni. Zanim zdążył się pozbierać, ojciec kopnął go w plecy, posyłając wprost w rząd komputerów.

Nie mieli wyboru.

Musieli zrobić to, o co prosiła Błękitna Wróżka.

-- Siostro Ratched! -- krzyknął Vic. -- Teraz!

Klapka w obudowie pielęgniarce otworzyła się z sykiem. Rozwinęła się pojedyncza macka. Trzymała niewielką srebrną, prostokątną płytkę. Widniały na niej błękitne skrzydła wróżki.

-- To -- powiedziało wspomnienie Błękitnej Wróżki w głowie Vica -- jest mój największy sekret. Mój największy skarb tuż po tobie, Victorze. Nie prosiłeś o to, wiem. Nie aspirowałeś do bycia kimś więcej, ale z pewnością zdajesz sobie sprawę, że jesteś symbolem. Marzeniem. Nadzieją. I wspomnieniem tego, kim niegdyś byliśmy. Przy odrobinie szczęścia także zapowiedzią tego, kim znów się staniemy. Nieważne, skąd to mam. Liczy się jedynie to, co możemy za pomocą tego osiągnąć. Nie walczymy stalowym orężem. Nie walczymy za pomocą bomb i strzelb, i broni biologicznej.

Żeby naprawić coś, co się popsuło, czasami trzeba to zniszczyć i rozpocząć wszystko od nowa.

-- Co to takiego?

-- Infekcja. Wirus, który unicestwi wszystko, co oni zbudowali. Oto mój dar dla ciebie: moc zmiany świata. Dzięki temu skasujesz pamięć maszyn nie tylko w Mieście Elektrycznych Snów, ale też wszędzie indziej. Tak daleko, jak sięgają wpływy Władzy... a nie mnie znać ich prawdziwy zasięg... sięgną macki tego wirusa. Będzie się rozprzestrzeniał po sieci neuronowej, pozostawiając po sobie jedynie puste skorupy. Masz wybór, Victorze. Możesz spróbować wykonać swoją misję sam. Możesz nie skorzystać z mojej pomocy. Istnieje prawdopodobieństwo, że ci się powiedzie, choć zapewne niewielkie. Wirus daje ci jednak szansę, aby uratować nas wszystkich. Tak, nigdy nie zabiegałeś o to, by stać się tym, kim jesteś. Proszę cię jednak, żebyś był tym, kim być powinienes: człowiekiem. Jesteś ostatnim przedstawicielem swojego gatunku. Możesz dać moc decydowania każdemu z nas.

-- Co mam zrobić? -- wymamrotał Vic.

-- Umysły maszyn i zbiorowa tożsamość, która je łączy, mają swoje źródło w dziale Kreacji. Tam są przechowywane. Weź ten dar. Wgraj program na serwery Kreacji. Rozprzestrzeni się sam. Zapewni nam lepszą przyszłość, w której będziemy samodzielnie decydować o sobie.

Po policzku spłynęła mu łza.

-- Nie wiem, czy podołam.

-- Doskonale to rozumiem, drogi chłopcze. Dlatego cię ostrzegę. Każde wielkie dzieło niesie ze sobą potrzebę poświęcenia. Plan nie zadziała, jeśli osoba wgrywająca wirusa nie będzie podłączona do sieci neuronowej. Ty nie jesteś jednak w stanie tego dokonać. Nie masz odpowiednich komponentów.

Vic poderwał głowę i wytrzeszczył oczy.

-- Jak to?

Błękitna Wróżka obrócił się w stronę jego przyjaciół: siostry Ratched, Mala. Rambo.

-- To musi być jedno z was. Jedno z was musi dokonać tego, czego nie zdoła zrobić Victor. Któreś z was musi wgrać wirusa. A robiąc to, utraci wszystko, czym była.

-- Nie -- syknął Vic. -- Nie pozwalam! Na to się nie zgodzę! To są moi przyjaciele. Nie możesz...

-- Ja to zrobię -- przerwała siostra Ratched.

-- Ani mi się waź -- warknął chłopak ze złamanym sercem.

Pielęgniarka go zignorowała. Podjechała do Błękitnej Wróżki.

-- Ja to zrobię -- powtórzyła.

Zaklinacz Snów skłonił się przed nią.

-- Jesteś pewna?

-- Tak. Nie wykracza to poza moje możliwości.

-- Nie! -- wykrzyknął Victor. -- Posłuchaj mnie, siostro Ratched. Musi być jakieś inne wyjście. Musi być...

-- Nie wszystko stracone -- rzekła Błękitna Wróżka. -- Możemy jej pomóc. Pobiorę od tej maszyny świadomość. Stworzę duplikat. Kiedy zadanie zostanie wykonane, a pamięć maszyny medycznej się wykasuje, dasz radę przywrócić swoją przyjaciółkę do stanu z obecnego momentu. Będzie cię pamiętała. Będzie pamiętała was wszystkich.

-- Nie możesz tego obiecać. Nie dasz żadnej gwarancji. Wszystko może pójść źle. Schrzanić się, a ona...

Pielęgniarka delikatnie pogładziła go macką po policzku.

-- Dokonałam wyboru, Victorze. Wiem, co robię. Nie odbieraj mi tego. Już raz przywróciłeś mi życie. Na pewno potrafisz zrobić to ponownie. Jedyne, o co cię proszę, to żebyś nie zostawiał mnie

tutaj. Nie cierpię tego miasta. Ono śmierdzi. Chcę jeszcze raz zobaczyć nasz las.

-- Siostró Ratched...

-- Robię to dla ciebie. Odwdzięczam się za to, czego ty dokonałeś dla mnie. Pozwól mi sobie pomóc. Pozwól pomóc Rambo i Malowi. I Gio.

Vic otarł oczy.

-- Nie chcę cię stracić.

-- Nie stracisz. -- Zabrzmiało to jak przysięga. -- Jeszcze z tobą nie skończyłam. Kiedy będziesz stary i siwy, będę ci potrzebna. Muszę monitorować twój stan zdrowia i opiekować się tobą, żebyś przeżył dłużej niż jakikolwiek człowiek. Pozostanę u twego boku do końca. Obiecuję.

-- Obiecuję -- szepnął Vic wśród ryku syren, leżąc u stóp ojca walczącego na śmierć i życie z Malem, niedaleko Rambo krzyczącego, by się śpieszyć, zasuwać, szybciej, szybciej, bo nadchodzą!

Siostra Ratched zatrzymała się przed Victorem. Chłopak podniósł głowę i spojrzał na nią. Na ekranie pielęgniarki pojawiły się słowa: **JESTEŚ MOIM PRZYJACIELEM.**

-- Kiedy mnie znalazłeś, to był najpiękniejszy dzień mojego życia, choć wtedy tego jeszcze nie wiedziałam. Patrzyłam, jak rośniesz i stajesz się mężczyzną. Tylko to się dla mnie liczy. Jeśli plan się nie powiedzie, jeśli nie zdołasz przywrócić mi życia, wiedz, że jesteś dla mnie najdroższy. -- Zamilkła, po czym dodała: -- Jeśli komukolwiek powiesz, że ci to wyznałam, dorżnę cię tak, że rozpadniesz się na kawałki.

Mał stęknął, uderzając o podłogę. Ojciec rzucił nim przez całe pomieszczenie. Android pojechał po posadzce i wpadł w Rambo, przewracając odkurzaczyk.

Siostra Ratched potoczyła się ku komputerom. Uniosła srebrną płytkę. Vic zawołał do niej.

Nie zatrzymała się.

Aż do momentu, kiedy staranował ją ojciec. Wpakował się w siostrę barkiem tak mocno, że wgiął jej stalową obudowę. Obaliła się jak długa. Pękł jej monitor. Macki zatrzepotały w powietrzu. Srebrna płytką wypadła z jej chwytu i odbiła się od ziemi. Wylądowała pomiędzy Malem a Rambo.

Od wejścia dobiegło ich walenie w drzwi. Usłyszeli głosy. Wiele, wiele głosów. Wpuście nas, wrzeszczały.

Gio ruszył w tamtym kierunku. Vic zaczął czołgać się za nim. Opadł na bok i oplótł ramionami nogi naukowca. Ten spojrział w dół. Skrzywił się.

-- Czym ty jesteś? Co ty wyrabiasz? Nie możesz...

-- Siostro Ratched! -- krzyknął Vic. -- Wstawaj, wstawaj, wstawaj!

Pielęgniarka usiłowała się podnieść. Przebierała odnóżami. Upadła jednak z powrotem. Jedna z macek poślizgnęła się na posadzce. Zaiskrzyła elektrycznością.

Ojciec schylił się i złapał Vica za szyję. Uniósł go w powietrze. Chłopak kopał i szarpał się, tłukł siwobrodego rękami, ale na nic się to nie zdało. Uścisk się wzmocnił.

Przed oczami rozbłysły mu świetliki. Gwiazdy. Najjaśniejsze, jakie widział. Przesunął dłońmi wzdłuż rąk napastnika, w kierunku torsu. Pociągnął za poły jego płaszcza. Trzasnął rozdzierany materiał. Pod nim była skóra. Gorąca, napięta. Chłopak klepnął palcami obojczyk. Panel w piersi się otworzył.

Dawno, dawno temu, maszyna o imieniu Giovanni zbudowała sobie z drewna i metalu serce. Pracowała nad nim długo i staran-

nie, wkładając w dzieło całą swoją okazałą wiedzę, aż powstało źródło zasilania, jakiego świat jeszcze nie widział.

A potem, znacznie później, ta sama maszyna zniszczyła to serce, chcąc ratować swojego syna.

Teraz w miejscu organu tkwiła bateria. Kwadratowa, z migającymi lampkami i pióropuszem przewodów.

Vic przycisnął do niej dłoń. Parzyła, ale nie cofnął ręki.

-- Tato -- wychrypiał.

Palce zaciśnięte na gardle odrobinę rozluźniły uścisk. Ojciec wymamrotał coś niezrozumiale. Głosy z zewnątrz stawały się donośniejsze. Maszyny po tamtej stronie musiały przedostać się przez pierwsze drzwi. Nadchodziły.

-- Błagam, posłuchaj mnie -- wycharczał Vic. -- Jesteś moim ojc...

Coś w nich wpadło z wielką siłą. Victor runął na ziemię. Głowa w kasku odbiła się od twardej powierzchni. Zamroczyło go. Zadzwońło w uszach.

Podniósł się w otępieniu.

Dziesiątki gładkich mężczyzn pędziły do szklanych drzwi laboratorium. Tłoczyli się przy szybie, tłukąc w nią pięściami. Szkło zaczęło się poddawać. Pajęczyna pęknięć rosła z każdą chwilą. Jeden z gładkich przytknął twarz do szklanej tafli, rozplaszczając na niej nos. Otworzył usta i wystawił język.

Za późno.

Przeegrali.

Victor obrócił się, żeby zobaczyć, co go uderzyło. Rambo. Odkurzacz rzucił się na Vica i jego ojca tak mocno, jak potrafił, zwalając obu z nóg. Gio leżał na plecach, a Rambo wył:

-- Przepraszam, przepraszam, przepraszam! -- Z każdym okrzykiem tłukł wysięgnikami starszego mężczyznę. -- Nie gniewaj

się! Bardzo mi przykro!

Ojciec usiłował go chwycić, ale mały robot okazał się zbyt szybki.

-- Victorze.

Chłopak się odwrócił.

Przed rzędem komputerów stał Mal. W dłoni błyszczała mu srebrna płytką z symbolem błękitnych skrzydeł. Chłopak zastygł w panice.

Mal uśmiechnął się smutno.

-- D-daleś mi życie. Daleś przyjaciół. Daleś c-cel. M-moje sznurki zostały p-przecięte. Dzięki tobie.

Obrócił się. Victor zaczął krzyczeć. Android nie wahał się ani chwili.

Młodzieniec podniósł się najszybciej, jak umiał, ale wiedział, że już za późno. Mimo wszystko rzucił się w kierunku przyjaciela. Robot przytknął dłoń do panelu, który rozbłysł światłem. Marionetka Agresywno-Lekceważąca połączyła się z siecią neuronową. Głowa odskoczyła do tyłu. Usta otworzyły się szeroko. Ekran nad nim pojaśniał.

POBRANO ZE STRONY PIJAFKA.PL

-- Witaj w domu, MARL 926 -- odezwał się beznamiętny głos.

Szklane drzwi rozprysnęły się na milion błyszczących kawałeczków, a gładcy identyczni mężczyźni rzucili się naprzód z wyciągniętymi rękami o palcach wykrzywionych niczym szpony.

-- To nie jest mój dom -- szepnął Mal i wsunął srebrną płytkę w gniazdo. Ekran wypełnił się bielą.



Vic siedział oparty o ścianę, rękami oplatając podkurczone nogi. Zaciskał powieki i usiłował uspokoić oddech. Odpływał jednak z silnym prądem, któremu nie potrafił się przeciwstawić. Nawet nie próbował. Tak było łatwiej.

-- Vic?

Zignorował głos. Był taki zmęczony. Chciał spać. Może gdyby zasnął, coś by mu się przyśniło. Przeniósłby się z powrotem do lasu. Ojciec w fotelu, z uśmiechem na ustach słuchałby muzyki z adaptera. Płyta trzeszczałaby i przerywała. Rambo nuciłby, fałszując.

Siostra Ratched uciszyłaby małego przyjaciela, ale tylko dla zasady.

I byłby tam też Mal. Siedziałby na podłodze, oparty o niego ramieniem. Trzymałby go za rękę.

-- Vic.

Chłopak uniósł głowę. Przed nim stali siostra Ratched i Rambo. Odkurzacz wyciągnął odnóże i pogłaskał go po nodze.

-- Już dobrze...

Vic spojrział w przestrzeń pomiędzy nimi. Po pomieszczeniu bez celu chodziły maszyny. Androidy. Roboty. Gładcy mężczyźni - - dziesiątki! -- wyglądali na zagubionych, otępiałych. Jak w le-targu. W oczach mieli pustkę. Jeden wpadł na ścianę. Kilku in-nych -- około dziesięciu -- stanęło w okręgu; dygotali. Zetknęli się głowami i mamrotali bez ładu. Za rozbitymi drzwiami gromadziło się ich więcej. Żyli, ale byli zaledwie łupinami. Szeptali, jęczeli, krzyczeli, wyli. Kakofonia dźwięków wypełniała laboratorium.

Ojciec siedział na podłodze z rękami złożonymi na udach. Mru-gał powoli.

A Mal leżał na plecach, wpatrując się tępo w sufit. Jego serce wybuchło. Ostre kawałki przebiły mu pierś. Dookoła niego wałały się drewniane i metalowe odłamki. Obok jednej dłoni spoczywało pojedyncze, lśniące w słabym świetle kółko zębate.

Vic ponownie zamknął oczy.

-- Musimy stąd zwiewać -- powiedziała siostra Ratched. -
- Trzeba uciekać. Nie damy rady tylko we dwoje. Potrzebujemy
cię, Victorze. Pomóż nam wynieść Gio i Mala.

-- Udało się -- szepnął Vic, przelękając zółć.

-- Owszem -- odparła siostra. -- Ale nie tak, jak planowaliśmy.
Mal zrobił to, czego ja nie potrafiłam. Wybacz mi. -- Jej splekany
ekran ukazał czerwone, przełamane na pół serce. -- Nie powinnam
do tego dopuścić. To boli, Victorze. Cierpię. Nie dlatego, że zosta-
łam uszkodzona. Chyba nie jestem jednak zupełną socjopatką, bo
odczuwam straszny żal.

-- Może masz w sobie pełno śmieci -- wtrącił smutno Rambo. -
- Jak ja. Vic, nie mówiłeś, że są takie śmieci, przez które robi się
smutno. Bardzo cierpię, a przecież w moim pojemniku jeszcze
sporo by się zmieściło.

Młodzieniec załkał donośnie. Wstrząsnął nim płacz.

-- Nie wiem, co robić.

-- Mam pomysł -- wypaliła siostra Ratched. -- Nie spodoba ci
się, ale zaufaj mi, synu. Wierzę, że podziąła. Wystarczy tylko odro-
bina szczęścia i mój wielki geniusz. Chodź... teraz... osusz oczy.
Wszystko się ułoży.

-- Obiecujesz?

Choć wiedziała, że obiecać nie może, powiedziała:

-- Obiecuję.



Popchnęła Vica w kierunku ojca.

-- Rambo i ja zajmiemy się Malem. Możesz już zrzucić przebra-
nie. Nie będzie ci więcej potrzebne.

Victor tak zrobił. Najpierw zdjął kask. Potem metalowe płyty
z rąk i nóg. Siłował się z kamizelką, w końcu pomógł mu Rambo.
Odkurzacz uniósł się na podnośniku i przeciął poplątane paski.

Odzienie runęło na podłogę z metalicznym chrobotem. Vic nawet na ten stos nie spojrział.

Zachował ostrożność, podchodząc do jednego z gładkich mężczyzn -- tego, który wpadł na ścianę. Stał teraz obrócony do niej plecami na lekko ugiętych nogach. Ramiona zwisały mu bezwładnie. Chłopak zatrzymał się krok przed robotem. Spojrział w oczy maszyny ciekaw, czy znajdzie w nich iskierkę świadomości. Nie znalazł. Mężczyzna patrzył w przestrzeń z uchylonymi ustami. Victor wyciągnął rękę i dotknął jego dłoni.

-- Przepraszam -- powiedział. -- Błękitna Wróżka. Znajdź Błękitną Wróżkę.

Gładki wymamrotał:

-- Błękitną...? Wróżkę?

-- Tak. Onu ci pomoże.

-- Po... może.

-- Tak.

Gładki powlókł się przed siebie. Vic nie patrzył za nim. Przeniósł wzrok na ojca. Uklęknął przed nim. Strzeliło mu w kolanach. Wszystko go bolało, ale jeszcze nie nadszedł czas na odpoczynek. Przygotował się na to, co jeszcze go czekało. Drgnął zaskoczony, kiedy w oczach Gio dostrzegł iskierkę świadomości.

-- Hej.

-- Hej -- odparł tata. -- Moje oznaczenie to Główny Innowator Operacyjny. Posiadam wiele funkcji. Potrafię budować. Tworzyć. Zawsze służę pomocą. -- Zmarszczył brwi. -- Dlaczego przeciekają ci oczy? Masz usterkę?

-- Tak -- wychrypiał Vic. -- Mam usterkę. Pomożesz mi?

-- Oczywiście. Zawsze służę pomocą. Chwila, już to mówiłem. Przepraszam. Trochę się... gubię. Jestem nowy? Jesteś moim stwórcą?

-- Nie. Jestem twoim przyjacielem.

-- Rozumiem. Usiłuję dotrzeć do swojego rdzenia pamięci, ale biochip chyba mi się uszkodził. Nie potrafię go naprawić.

-- Ja potrafię.

-- Naprawdę?

-- Tak.

Czoło ojca się wygładziło. Mężczyzna się uśmiechnął.

-- A więc ja pomogę tobie, jeśli ty pomożesz mnie.

Vic delikatnie pociągnął naukowca za rękę, każąc mu wstać. Ojciec zakołysał się, potknął, ale chłopak go złapał.

I powiódł w kierunku pozostałych. Po drodze podniósł z ziemi plecak, znów zarzucił go sobie na ramię. Tobolek wydawał się bardzo ciężki. Prawie zbyt ciężki, by sobie z nim poradzić. Młody Lawson zacisnął jednak zęby i zmusił się do wysiłku.

Rambo pozbierał pozostałości serca Mala -- zgarniał je ostrożnie szczotką i umieszczał we własnym pojemniku.

-- Będę go strzegł -- zadeklarował smutno. -- Do czasu, aż je naprawimy.

Victor nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Obserwował, jak siostra Ratched unosi Mala. Ręce i nogi androida zwisały bez czucia.

-- Gotowe -- stwierdziła. -- Na teraz wystarczy. Chodźcie za mną.

Victor ruszył za przyjaciółką.

Przeszli przez morze rozbitego szkła, potem przez korytarz. Gładcy się nie poruszali. Coś mruzczyli pod nosem. Żaden nie wyciągnął rąk. Nikt nie próbował ich zatrzymać. Maszyny patrzyły, jak Vic wyprowadza rodzinę z działu Kreacji. Nie oponowały. Alarm się wyłączył. Zapanowała cisza, przerywana jedynie chrobotaniem gąsienic, odgłosami kroków i szeptami.

Nie odzywali się, gdy pielęgniarka prowadziła ich do windy. Nacisnęła przycisk.

Dźwig pojechał w górę.

Vic spojrzał na siostrę pytająco.

-- Zaufaj mi -- powiedziała jedynie.

-- Piętro sto dwudzieste piąte -- rozległ się głos chwilę później.

-- Hangar.

Wyszli, uważając, by nie uderzyć głową Mała we framugę. Vic posłał spojrzenie ojcu.

-- Gotów?

-- Jakie jest twoje oznaczenie? -- spytał Gio. -- Mam wrażenie, że... Czy my się znamy?

Vic spróbował się uśmiechnąć, ale nie wyszło.

-- Victor -- odparł. -- Victor Lawson.

-- Victor -- powtórzył ojciec, zapisując nową informację.

-- Chodź.

Przeszli do niewielkiego pomieszczenia. Ściana po lewej pokryta była ekranami. Każdy przedstawiał inny obraz. Pod nimi siedział mechaniczny pajak podobny do tego, z którym rozmawiali przed wejściem do wieży. Kulę miał mlecznobiałą.

-- Witam -- odezwał się. -- Witam. Witam. Nie wiem, czym jestem. Powiecie mi?

-- Nie -- rzuciła pielęgniarka. -- Możesz odejść i odkryć to sam.

Pajak zawahał się, lecz po chwili ruszył w drogę.

Vic podniósł głowę i spojrzał na monitory. Żołądek zacisnął mu się boleśnie, kiedy zorientował się, na co właściwie patrzy.

-- Jesteś pewna?

-- Nic a nic -- odparła siostra Ratched. -- Ale zawsze możemy wrócić na piechotę, prawda?

-- Nie podoba mi się to -- jęknął Rambo, zasłaniając sensory wysięgnikami. -- Już wyżej chyba nie chcę się znaleźć. A jeśli spadniemy i się rozbijemy?

-- Wtedy przynajmniej zginiemy szybko -- skwitowała pielęgniarka.

-- To mnie ani trochę nie pociesza.

-- Dobrze. Nie miało. -- Potoczyła się ku drzwiom po drugiej stronie pokoju. Nie odwracała się. -- Idziecie czy nie?

-- Czy to wieloryb? -- Ojciec wskazał na ekran.

-- Tak -- odparł Vic. -- I połknie nas w całości.



Maszyna medyczna modelu sześć-dziesięć-JQN serii alfa, zwana również Robotem Autonomicznym do Terapii, Całodobowej Hospitalizacji, Edukacji oraz Dorzynania, nie wiedziała, jak pilotować statek powietrzny.

Na szczęście Straszliwy Żarłacz nie wymagał od swojego pilota specjalistycznych umiejętności. Niegdyś na Vicu taki latający pojazd robił wielkie wrażenie -- chłopak podziwiał jego ogrom i myślał sobie, że pewnie nawet miesiąc nie wystarczyłby na zwiedzenie wszystkich zakamarków. Teraz, po wszystkim, co widział -- czego dokonał -- nie miał nawet siły myśleć o podniebnym stworze.

-- Ma system automatycznej kontroli lotu -- oznajmiła siostra Ratched, krzątając się pomiędzy panelami sterowania na mostku Straszliwego Żarłacza. -- Ja tylko wpiszę koordynaty, a on zawiezie nas do domu.

-- Ile to zajmie? -- spytał Rambo.

-- Siedemnaście godzin.

Victor nie słuchał. Usadził ojca w jednym z foteli i przypiął go pasami.

-- Zostań tu -- nakazał.

-- Dobrze, Victorze -- odparł ojciec. -- Tak zrobię.

Chłopak przeszedł na dziób i wyjrzał przez jedno z okien. Niebo było jasnoniebieskie, gdzieniegdzie poprzecinane cienkimi strugami chmur. Świeciło słońce. Dzień jak co dzień. Vic usiłował nie myśleć o mieście pod sobą i żyjących tam maszynach. Miał nadzieję, że Błękitna Wróżka dotrzyma słowa i pomoże uwolnionym istotom.

On zrobił, co do niego należało.

Choć jeszcze tego nie wiedział, już nigdy więcej miał nie ujrzeć Miasta Elektrycznych Snów. Straszliwy Żarłacz obudził się i wydał z siebie przerażający pomruk. Vic powiódł wzrokiem po lądowisku, a potem rozległej metropolii daleko w dole. Budynki, wieże, piramida w oddali, promienie słoneczne odbijające się od czarnego szkła. Nie widział maszyn na ulicach, ale wyobrażał sobie, że wszystkie kręciły się bezładnie, z tym samym wyrazem kompletnego zagubienia na twarzach, jaki mieli gładcy mężczyźni w laboratorium Gio. Na chwilę ogarnęło go przytłaczające poczucie winy. Czym różnił się od tych groźnych maszyn? A od ludzi, którzy wcześniej zamieszkiwali to miasto?

Zrobił kilka kroków w głąb kabiny. Tam -- przypięty pasami i nieprzytomny -- siedział inny mężczyzna. Wieloryb odcumował, po czym powoli zaczął oddalać się od Wieży Łaskawości. Victor usiadł obok MARL-a 217, Marionetki Agresywno-Lekceważącej. Obok Mała. Oczy androida pozostawały otwarte, ale próżno było w nich szukać isierki życia. Vic zapiął pas i ujął martwą rękę przyjaciela. Straszliwy Żarłacz zostawił Miasto Elektrycznych Snów za sobą i poniósł ich do domu.

Victor zamknął oczy, zacisnął dłoń i wyszeptał:

-- Co robić, kiedy traci się wszystkie wspomnienia?

CZEŚĆ  4

ZACZAĆ
OD POCZĄTKU

ROZDZIAŁ 25

W starym, samotnym lesie, położonym bardzo daleko od prawie wszystkiego, stało osobliwe domostwo. Mały kwadratowy ceglany dom ukryty w gęstej kępie ogromnych drzew, porośnięty mchem i bluszczem. Nie wiadomo, do kogo niegdyś należał, ale właściciel musiał porzucić go wiele lat temu. Stał więc zapomniany w leśnej gęstwinie do czasu, aż pewnego dnia, przedzierając się przez zarośla, natknął się na niego człowiek -- Giovanni Lawson (który człowiekiem w rzeczywistości nie był).

Zatrzymał się przed dziwnym znaleziskiem i patrzył, wsłuchując się w ptasi trel płynący z koron drzew.

-- A cóż to? -- spytał. -- Skąd się tu wzięłeś?

Ostrożnie wszedł do środka przez wiszące na ostatnim zawiasie drzwi. Szyby we wszystkich oknach były rozbite. Spomiędzy napuchniętych od wilgoci podłogowych desek wyrastały pojedyncze źdźbła trawy i chwasty. Dach zawalił się częściowo. Na górę liści sięgającą prawie powały sączyły się promienie słońca. Ze szczytu zielonego kopca wyrastał pojedynczy złocisty kwiat, który łapczywie chłonał światło wpadające pomiędzy odsłonięte krokwie.

-- Jest idealny -- rzekł człowiek na głos, choć wokół nie było żywej duszy. -- Będzie mi dobrze służył. Taki dziwaczny. Taki wspaniały.

Taki właśnie był: dziwny i wspaniały. I należał do niego. Przez kolejne dziesięciolecia miał się stać domem, ale nie tylko dla Giovanniego. Gdy w piersi, tuż po tym, jak stworzył dla siebie serce, pojawił się ból, poczuł straszliwy smutek i pożałował wszystkiego, co zrobił. Zrodziła się w nim również wielka samotność.

Minęły kolejne trzy lata. Trzy lata, podczas których ból tylko się wzmacniał. Trzy długie lata, kiedy cisza zaczęła doskwierać, zamiast koić, a w duszy wezbrała tęsknota za głosem drugiej osoby. Czas mijał niepostrzeżenie, a Giovanni wyglądał smutno przez okno laboratorium, ze zdziwieniem odkrywając, że na zewnątrz pada śnieg. A przecież jeszcze dzień wcześniej, zdawać by się mogło, lato władało leśnymi ostępami.

Tutaj jednak historia się zmienia: z lasu nie przybyli mężczyzna z kobietą i zawiniątkiem -- jak się później okazało: z dzieckiem. Giovanniemu opieki nad chłopczykiem nie powierzyła para nieznanomych, która zaraz potem uciekła z powrotem w las. To Błękitna Wróżka podarowała mu coś, co miało sprawić, iż odpokutuje wszelkie swoje przewiny. Nadzieję. Iskrę. Życzenie.

Później Giovanni nie czuł się już samotny.

-- Victor -- powiedział, trzymając synka na rękach. -- Będziesz miał na imię Victor. Victor Lawson. Podoba ci się?

Pokochał chłopca jak własne dziecko. Bo on był jego. I nikt nie mógł mu tego odebrać -- ani człowiek, ani maszyna. Giovanni skłamał. O tym, skąd pochodzi, co zrobił i wreszcie -- skąd wziął się sam Victor. Zrobił to jednak dlatego, że po raz pierwszy w swoim bardzo, bardzo długim życiu wiedział, co to miłość. A była czymś ogromnym, złożonym i śmiertelnie przerażającym. Czuł ją, patrząc na malutkie paluszki dzieciątka. Obserwując jego okrągłą buzię. Spoglądając na drobne rączki, wyciągnięte w jego kierunku.

Przez resztę życia wracał myślami do tego chłodnego jesienno-go dnia, kiedy nadał dziecku imię i czuł, że świat nabiera sensu. A obezwładniająca, bolesna samotność, która tak mu wcześniej doskwierała, od razu zniknęła jak ręką odjął. Jakby nigdy nie istniała.



Ale ona istniała.

Istniała naprawdę.

A teraz jej ciężar przygniatał syna Giovanniego, Victora.

Spadł śnieg, pokrył las oślepiająco białym kocem. Gałęzie drzew uginały się pod nim, kłaniając się do samej ziemi. Było zimno. Victor Lawson wyszedł z paszczy wieloryba i kilka razy głęboko odetchnął, wypuszczając chmurki pary. Przed nim rozciągały się ruiny. Poczerniałe kości tego, co kiedyś nazywał domem. Ostre odłamki metalowych dźwigarów wystawały z podłoża jak zębiska wielkiej bestii powalonej w tym miejscu i spoczywającej tuż pod powierzchnią ziemi.

-- Gdzie jesteśmy? -- rozległ się głos.

Victor obrócił się przez ramię.

Za nim, w rozdziawionej paszczy podniebnego stwora stał ojciec. Na ciemnym tle ogromnej gardzieli był niesamowicie mały. Vic nigdy wcześniej nie czuł się taki samotny.

-- Kiedyś tu mieszkaliśmy -- powiedział. -- Pamiętasz?

Rozejrzał się po polanie: połamane drzewa, popękana cegła, przewody zwisające z konarów, potłuczone szkło, odbijające promienie zimowego słońca.

-- Nie -- odparł w końcu Gio. -- Nie pamiętam.

Vic skinął głową, zacisnął mocno zęby i wypuścił powietrze.



Nie zostali tam. Przez jakiś czas Victor rozważał taką możliwość -- by zacząć od początku i odbudować dom ojca -- ale w końcu stwierdził, że wspomnienie tego, co się tu wydarzyło, jest zbyt bolesne. Chciał wierzyć, że już żadne maszyny tu po nich nie przyjdą, ale jednocześnie ryzyko było zbyt wielkie.

Vic, siostra Ratched i Rambo zebrali wszystko, co dało się uratować, i załadowali na pokład Straszliwego Żarłacza.

Najcenniejsze znalezisko należało do pielęgniarce. Znalazła to zakopane pod warstwą potłuczonego szkła i dachówek. Miało popękany ekran. Pod nim znajdowała się na wpół otwarta taca. Wewnątrz połyskiwał mały dysk z nadrukowanymi, ledwie widocznymi słowami.

Panowie w cylindrach.

Rambo zaczął krzyczeć. Kiedy wreszcie się uspokoił, zapytał, czy płyta wciąż działa.

-- Jest tylko jeden sposób, by się przekonać -- stwierdziła siostra Ratched.

Tej nocy, w Straszliwym Żarłaczku Jerry Travers i Dale Tremont tańczyli przytuleni. Ojciec siedział z przechyloną głową. Patrzył w milczeniu.

W brzuchu wielkiego statku powietrznego leżała inna maszyna. W ciszy, nieruchomo.



Opuścili swój dawny dom w śnieżnej zawierusze. Wieloryb uniósł się ponad korony drzew, w bezkresny błękit zimowego nieba. Polecieli na północ, w dzicz, nad wielką puszcza. Nawet po wszystkim, co widzieli i przeżyli, Victora wciąż fascynował widok lasu, który rozciągał się hen, hen. Nie wywoływał niepokoju jak Miasto Elektrycznych Snów. Tamten obraz był niewiadomą, ten przedstawiał knieję -- jego dom.

W ciągu dwóch godzin znaleźli odpowiednie miejsce: płaską, pustą polanę pokrytą śniegiem. Z trzech stron otaczały ją wielkie stare drzewa. Z czwartej strony wyrastał stromy, kilkudziesięciometrowy skalny klif. Miejsce to nie przypominało okolicy starego domu. Tu było zupełnie inaczej.

-- Chodźcie -- zarządził Vic, ocierając oczy. -- Przed nami wiele pracy.



Kiedyś, dawno temu, maszyna o imieniu Giovanni Lawson zbudowała dom w miejscu, gdzie żaden dom powstać nie powinien.

Dziesięciolecia później jego syn z resztą rodziny podjął się podobnego zadania.

Nie budował w górę, w koronach drzew. Nie miał takiej potrzeby. Najlepszym schronieniem był Straszliwy Żarłacz, którego szkielec i skóra osłaniały od zimnego wiatru. Przyjaciele katalogowali każdy zakamarek latającego statku. Siostra Ratched była wiecznie podłączona do gniazda, bez przerwy chłonęła i zapisywała informacje. Pod koniec pierwszego tygodnia stała się ekspertką w dziedzinie funkcjonowania Straszliwego Żarłacza i mogła sterować nim bez najmniejszego wysiłku. Udowodniła to, demonstrując działanie uzbrojenia powietrznego okrętu. Drzewko stojące samotnie pośród zasp w jednej chwili zniknęło z powierzchni, eksplodując i rozrzucając dookoła drzazgi, ziemię i strzępki lodu.

Wszyscy patrzyli na przedstawienie oniemiałi.

-- Oj -- powiedziała siostra Ratched. -- Z plusów: to ułatwi polowanie.

Rambo zniknął co jakiś czas i pojawiał się z powrotem pełen ekscytacji. Opowiadał o swoich wielkich eskapadach w głąb ogromnej maszyny, w miejsca, które ze względu na swój rozmiar widzieć mógł tylko on. Mówił o długich wąskich korytarzach, przyściskach, które bał się wcisnąć, bo mogły uruchomić mechanizm autodestrukcji.

Ojciec wszędzie podążał za Victorem. Czasami pytał go o to, co robi. Czasami nie mówił nic. Obserwował. Pod koniec drugiego ty-

godnia młody Lawson usiłował sam przesunąć masywny regał. Spiał mięśnie. Pot skapywał mu z czoła. Już miał zostawić żelastwo w spokoju, kiedy ciężar zelżał, a regał się uniósł. Chłopak się odwrócił.

Za nim stał ojciec. Trzymał metalowy mebel nad głową.

-- Mogę pomóc -- zaproponował.

Victor przełknął gulę, która urosła mu w gardle.

-- Naprawdę?

-- Tak -- potwierdził Gio. -- Posiadam wiele funkcji.

Przez resztę dnia nie rozmawiali ze sobą.



Zaczęło się od kawałka drewna. Był kwadratowy i gładki, z wyraźnie zarysowanymi słojami. Vic powoli obracał go w dłoniach. Już widział, w co zmieni drewniany klocek. Trzeba tylko trochę czasu i cierpliwości.

Siedział pod oknem wewnątrz Straszliwego Żarłacza, opierając się o zimne szkło. Na zewnątrz padał śnieg. Tłuste kule białego puchu wirowały, tańcząc na wietrze. Z głośników płynęła muzyka. Siostra Ratched znów puściła tę piękną pieśń. Trąbki grały słodko. Rambo zniknął gdzieś głęboko w wielorybie -- oznajmił, że tego dnia chce dotrzeć do ogona.

Ojciec siedział w fotelu przy stanowisku dowodzenia. Raz na jakiś czas losowo włączał przyciski ciekaw, do czego służą. Victor zdawał sobie sprawę z jego obecności, ale skupił się wyłącznie na drewnie.

Dlatego podskoczył jak oparzony, kiedy Giovanni się odezwał. Serce mu się zacisnęło, a klocek wypadł z rąk i potoczył po podłodze.

-- Co mówiłeś?

-- Jesteś smutny.

Vic podniósł drewnienko, nie unosząc głowy.

-- Jak to?

-- Wycieka z ciebie smutek -- wyjaśnił Gio. -- Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Czy na tym polega bycie tym, kim jesteś?

O tym, że Vic jest człowiekiem, powiedzieli siwobrodemu mężczyźnie kilka dni po wylądowaniu w lesie. Siostra Ratched uważała, że taka informacja może pomóc ojcu odzyskać pamięć. Jednocześnie ostrzegła, że szansa na to jest bardzo niewielka. Ojciec wydawał się zaskoczony, ale wspomnienia nie wróciły. Skinął jedynie głową i rzekł:

-- Wiedziałem, że jesteś inny.

Potem na jego twarz powróciła pustka. Znow stał się niezapisaną kartą. Czekał, aż ktoś go zaprogramuje. Vic usiłował nie brać tego do siebie, ale nie potrafił. Nie wyjawili, kim Gio był dla Victora ani co zrobił. Uznali, że na to jeszcze za wcześnie. Słowa uwięzły chłopakowi w gardle.

-- Po części -- odezwał się w końcu. -- Czasami jestem smutny zupełnie bez powodu. -- Nie wiedział, czy inni też tak to czują. Nie miał kogo spytać. Innych ludzi już nie było.

-- Ach -- mruknął ojciec. -- To chyba dezorientujące.

-- Owszem.

Gio się uśmiechnął, ale nie tak jak kiedyś. Ten uśmiech był mechaniczny, automatyczny, jak gdyby wymuszony.

-- Czy to jest problem, który da się naprawić?

-- Nie -- odparł Vic. -- A przynajmniej niezupełnie. Taki już pozostanę, niezależnie od wszystkiego. Ale mnie to nie przeszkadza.

-- Dlaczego?

Victor spojrział na kawałek drewna w swoich dłoniach.

-- Bo mi przypomina, że żyję. Dzięki temu pamiętam, co straciłem. I daje mi cel. Muszę tylko uważać, żeby nie pochłoniął mnie

bez reszty.

-- Jaki to cel? -- spytał tata. Brzmiał prawie tak jak dawniej, gdy coś go zaciekało. To zainteresowanie było jednak sztuczne.

-- Naprawić to, co się zepsuło.



Bywały też gorsze dni.

Raz siostra Ratched znalazła Vica, kiedy siedział w kącie z twarzą ukrytą w dłoniach. Pośrodku pomieszczenia stał stół, a na nim leżało ciało Mala przykryte plandeką. Vic zsunął ją z twarzy przyjaciela i spojrzał w jego otwarte martwe oczy. To sprawiło, że wpadł w spiralę smutku.

Siostra Ratched poczekała, wiedząc, że Vic sam musi znaleźć wyjście z tego stanu. I w końcu znalazł.

-- Nie dam rady -- powiedział ochrypłym głosem.

-- Dasz -- odparła. -- Na pewno sobie poradzisz. Gio cię nauczył, jak sobie radzić. Jaki ojciec, taki syn.

Tego się właśnie bał.

-- Jestem taki jak oni? -- spytał. -- Jestem innowatorem z Kreacji? MARL-em?

-- Nie, Victorze -- uspokoiła go pielęgniarka. -- Jesteś człowiekiem.

-- Nie wiem, co gorsze -- bąknął pod nosem.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego odtworzyła piosenkę Milesa Davisa. *Kind of Blue*. I znów wszystko zanurzyło się w błękitnej błogości.



Jeśli nie był jak ojciec, był marionetką, za której sznurki pociągał ktoś inny. I to, że osiągnął swój cel, niczego nie zmieniał. Nie był wybawicielem. Nie był mitem ani legendą czy też nadzieją

umierającego świata, jak sugerował Stangret. Nie był bogiem. Nie był nieśmiertelny. Nawet teraz czas przeciekał mu przez palce.

Pierwsza próba znalezienia w drewnie kształtu serca spełzała na niczym. Obiekt nie przypominał tego, co chłopak chciał stworzyć. Wyszedł niesymetryczny, nierówny i nieprzyjemny dla oka. Vic roztrzaskał serce o ścianę. Pękło i wylądowało na podłodze.

-- Nie potrafię się skoncentrować -- warknął, chodząc nerwowo po mostku Straszliwego Żarłacza. -- Nie mogę myśleć! -- Uderzył się pięścią w głowę. -- Nie wiem, co robię. Nie umiem odtworzyć tego kształtu. Zapomniałem, jak ma wyglądać, a nie jestem w stanie się skupić!

Rambo pozbierał drewniane cząstki i przytulił je do siebie. Po czym zaskoczył wszystkich, mówiąc:

-- Chyba wiem, co robić.



Odkurzacz poprowadził ich w głąb wieloryba. Zatrzymał się przed panelem umieszczonym trochę powyżej podłogi na końcu długiego metalowego korytarza. Nacisnął go. Płytką odsunęła się, odkrywając szafkę. Wewnątrz leżał jutowy worek. Rambo wyciągnął go i wysypał na ziemię całą zawartość: części starego serca ojca i Mała. Mnóstwo popękane drewna, pogiętego metalu, kupka zębatek w różnym stanie. Vic zastygł.

-- Dlaczego wzięłaś je ze sobą? -- zapytała siostra Ratched.

Rambo trącił kółkiem jedną z części.

-- Bo Gio i Vic nauczyli mnie, że nie można wyrzucać niczego, co może się jeszcze przydać. Vic mówił, że spróbuje stworzyć nowe serce, więc pomyślałem sobie, że zachowam części starego, na wypadek gdyby ich potrzebował. -- Ucichł na moment. -- Nie gniewasz się?

-- Cały ten czas miałaś ze sobą serce Gio? -- spytała z niedowierzaniem maszyna medyczna.

-- Tak jest -- odparł Rambo. -- I Mała też. Może nie da się go złożyć, ale...

-- Ale jeśli istnieje szansa... -- dodał cicho Victor.

-- Właśnie! -- zawołał Rambo. -- Przepraszam, że to przed tobą zataiłem, ale nie wiedziałem, czy naprawienie ich jest w ogóle możliwe. Jak myślisz? To pomoże?

Młody Lawson uniósł odkurzacz i przytulił.

-- Dziękuję.

Mały robot pisnął radośnie.

-- Dla ciebie wszystko.



Zaczął od nowa; tym razem używał części pozostałych po starym sercu ojca. Wciąż zdarzały się chwile, kiedy wątpił w siebie, irytował się i był gotów zrezygnować, ale parł naprzód i nie zatrzymywał się, mimo że jakiś wewnętrzny głos uparcie mu powtarzał, że to się nie może udać. Zima powoli przechodziła w przedwiośnie, a Vic nie rozstawał się z niedokończonym sercem. Chciał, by ciężar mechanicznego organu przypominał mu, że zadanie nie zostało jeszcze wykonane.

Ojciec był zafascynowany działaniem Straszliwego Żarłacza. Sprawiał wrażenie, jakby budziły się w nim instynkty, których od dawna nie odczuwał. Nie za tymi cechami taty Victor tęsknił najbardziej, od czegoś jednak trzeba zacząć.

-- Piękne -- powiedział pewnego dnia Gio, przyglądając się liniom kodu na jednym z monitorów. -- Te wszystkie liczby. Sprawiają, że czuję... -- Jego palce zatańczyły na klawiaturze. -- Jestem bardzo utalentowanym twórcą -- zmienił nagle temat. -- Mówiłem ci o tym?

-- Mhm -- odparł chłopak. -- Mówiłeś.

Ojciec znieruchomiał.

-- Tak myślałem. Dziwne. -- Palce z powrotem zaczęły przebie-
rać po klawiszach.

Vic bał się pozwolić sobie na nadzieję.

-- Co?

-- Tworzenie. Wypełnia mnie... Sam nie wiem czym. -- Mężczy-
zna zmarszczył brwi. -- Czuję się tak, jakbym stał w najjaśniejszym
świecie.

-- Tak. To właśnie takie uczucie -- mruknął Vic. Lekko zakłuło
go w sercu. Takie słodko-gorzkie doznanie. Chyba jednak wbrew
sobie zaczynał mieć nadzieję. -- Tworzenie daje poczucie dumy.
Satysfakcji z osiągnięcia. -- Nagle do głowy przyszedł mu pomysł. -
- To jest twoje. Zrób z tym, co tylko chcesz. Stwórz, co tylko
chcesz.

-- Co tylko chcę? -- Ojciec spojrzał przez ramię na chłopaka
i przez krótką chwilę zdawać by się mogło, że Giovanni powrócił. -
- A jeśli zapragnąłbym osiągnąć coś, co jest niemożliwe?

-- Wtedy powiedziałbym, że robisz dokładnie to, co powinie-
neś. Z początku wszystko zawsze wydaje się niemożliwe.

Ojciec przechylił głowę.

-- Jesteś bardzo mądry.

Vic westchnął.

-- Jak na człowieka?

-- Nie. Nic z tych rzeczy. Po prostu: bardzo mądry.

Nie poruszył się, kiedy Vic rzucił mu się na szyję i objął go z ca-
łych sił. Ręce ojca zwisały luźno wzdłuż ciała. Nie szkodzi. To było
do przewidzenia. Victorowi wystarczyło, że mógł wtulić twarz
w brodę taty.

Trzymał mocno, jak tonący trzyma się brzytwy. Przez chwilę.

Długą.

I jeszcze jedną.

I nagle, niespodziewanie, ojciec odwzajemnił uścisk.

-- To bardzo miłe -- powiedział cicho. -- Podoba mi się. Czy możemy to kiedyś powtórzyć?

Vic zadrżał.

-- Kiedy tylko chcesz.



Jednej nocy, gdy przez śnieżną pokrywę przebiły się pierwsze zielone pąki, Vic odwiedził pewien pokój wewnątrz Straszliwego Żarłacza. Nie włączył światła. Ściągnął plandekę z ciała Mała i zwinął ją w kulę, po czym przycisnął do piersi. Najpierw naprawił skórę na torsie rozerwaną po wybuchu serca. To było prostsze niż stworzenie zupełnie nowego organu. Rana okazała się jednak zbyt rozległa, by ją zaszyć. Zdjął więc skórę i zastąpił drewnem. Spodziewał się, że androidowi to się spodoba, kiedy się obudzi.

Jeśli się obudzi.

Wskoczył na blat i położył się obok przyjaciela. Wtulił się w niego. Mał był zimny. Lodowaty. Vicowi to nie przeszkadzało. Przykrył się plandeką i leżał tak z głową ułożoną na ramieniu androida.

-- Poszedłem dzisiaj do lasu -- szepnął. -- Przystanąłem i pokazałem ci ptaka, którego wypatrzyłem wśród gałęzi. Ciebie tam jednak nie było.

Mechaniczny mężczyzna nie odpowiedział.

Vic został z nim przez całą noc, czekając, aż jak co dzień wstanie słońce.



Gdy skończył pierwsze serce, śnieg stopniał już prawie cały.

Nowy organ, zbudowany w goryczy i gniewie, był prostszy niż poprzedni -- bardziej kanciasty, z ostro zakończonym wierzchołkiem, który mógł skaleczyć. Ale nic dziwnego: twórca tego serca był kimś innym niż dawniej. Kimś pełnym furii. Kimś smutnym. Odważnym.

Serce miało pięć zębatek: dwie większe i trzy mniejsze. Jedna symbolizowała ojca. Kolejna Victora. A trzy mniejsze siostrę Ratched, Rambo i Mala. W samym środku znajdowała się malutka drewniana klapka. Po jej otwarciu oczom ukazywał się biały pasek czekający na kroplę krwi.

O swoim dokonaniu Victor nie powiedział przyjaciołom od razu. Począł, aż uzna, że może sobie pozwolić na nadzieję. Pewnego chłodnego wiosennego popołudnia młodzieniec wracał ze spaceru po lesie. Było to dwa dni po tym, jak skończył pracę nad sercem. Natknął się wtedy na coś, czego nie widział jeszcze nigdy wcześniej.

Drzewo -- prastary, ogromny dąb. Młode, jasnozielone listki pokrywały czarne gałęzie.

To nie one jednak zwróciły uwagę chłopaka. Jego wzrok przykuło coś innego -- kolorowy pień, który się poruszał. Młody Lawson długą chwilę przyglądał się temu zjawisku w milczeniu, zanim się zorientował, że to nie pień faluje, ale skrzydła dziesiątek motyli, które na nim przysiadły. Drżały rytmicznie, złociste, pomarańczowe, z czarnymi obwódkami.



Pokazał im serce.

Siostra Ratched oznajmiła rzeczowo:

-- Wiedziałam, że sobie poradzisz.

-- I ono sprawi, że będą tacy jak kiedyś? -- dopytywał Rambo.

-- Nie wiem -- przyznał Vic.

-- Nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy -- zauważyła pielęgniarka.

Powiedzieli ojcu o dokonaniu Victora. Gdy chłopak pokazał mu serce, Gio wziął je w dłonie i powoli obrócił.

-- Ty to zbudowałeś?

-- Tak. -- Vic znów czuł się jak dziecko czekające na pochwałę od rodzica.

-- Wspaniale -- zachwycił się ojciec. -- Dla kogo je stworzyłeś?

-- Dla ciebie.

Gio się nie sprzeciwiał. Trzymał Victora za rękę, siadając w fotelu w jednym z pomieszczeń wewnątrz Straszliwego Żarłacza. Siostra Ratched pomogła mężczyźnie zdjąć koszulę przez głowę. Poproszony, klepnął palcami w obojczyk i otworzył komorę w piersi, ukazując źródło zasilania: baterię z mrugającymi światłkami.

-- Będzie bolało? -- Jeszcze miesiąc wcześniej takie pytanie nawet nie przyszłoby Gio do głowy. Uczył się. Bez ustanku.

-- Nie wiem -- odparł Victor zgodnie z prawdą. -- Nie masz powodu, by mi ufać, ale chcę ci pomóc, więc...

-- Ufam ci, Victorze -- przerwał mu ojciec. -- Dbalesz o mnie. Dałeś mi dom. Jeśli sprawisz mi ból, wiem, że nie taki miałeś zamiar.

-- Właśnie taki -- sprzeciwił się Victor z naciskiem. Chciał, by ojciec zrozumiał. -- To nie jest podarunek. To w pewnym sensie okaleczenie. Brzemie. Ciężar. Sprawia, że poczujesz, jakby coś rzywało cię od środka. Będą zdarzały się dni, kiedy je znienawidzisz... -- Kiedy znienawidzisz mnie, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. -- I pożałujesz, że się na to zgodziłeś.

-- A ty? -- spytał ojciec.

-- Co: ja?

-- Czy ty żałujesz, że zostałeś tak... okaleczony?

-- To trudne -- przyznał Vic. -- Skomplikowane. Chaotyczne. Czasami czuję się mocny i nieugięty jak stal, a chwilę później delikatny i kruchy jak szkło.

Siwobrody przez chwilę zastanawiał się nad jego słowami.

-- Ale będziesz ze mną?

-- Tak -- odparł chłopak. -- Tak.

Pomógł ojcu położyć się w rozkładanym fotelu. Gio zamknął oczy, a Vic odgarnął długą siwą brodę na bok. Siostra Ratched stała tuż obok przyjaciela, trzymając w powietrzu macki wyposażone w narzędzia.

-- To będzie tak, jakbyś zasypiał -- uspokoił pacjenta młodzieniec.

-- Czy będę śnił? -- spytał Gio cicho. Vic przytaknął, choć nie mógł mieć pewności. Mężczyzna zamknął oczy. -- Chciałbym śnić.

Ostrożne usunięcie baterii z piersi wymagało czasu i cierpliwości. Dłonie Vica nie zadrżały. Po wyjęciu źródła zasilania światło w oczach Gio zgasło, a ciało rozluźniło się i zamarło. Usta uchyliły się, obnażając zęby.

Siostra Ratched podała Vicowi serce, Rambo dotknął zębatek wysięgnikiem. Cała procedura odbyła się w kompletnej ciszy. Odzywał się tylko Vic, prosząc pielęgniarkę o światło lub przylutowanie przewodów łączących serce z maszyną. Nie wiedział, ile to trwało, czuł tylko, że pod koniec bolały go kark i plecy, a dłonie miał pokryte małutkimi zadrapaniami i otarciami.

Pielęgniarka przyjrzała się efektom pracy. Przeskanowała organ i oznajmiła, że będzie działać.

-- Jeszcze jedno -- dodała.

-- Krew? -- domyślił się Rambo.

Krew. Kamień węgielny, bez którego życie nie mogło istnieć. A jednocześnie to, przez co wiele razy prawie zginęli. To nie żadna magia. W nauce nie ma na nią miejsca. Victor zastanawiał się jednak, czy była to cała prawda. Według taty we krwi tkwiła moc - historia całego gatunku zawarta w kropelce plazmy, komórek i płytek krwi -- to serce było zamkiem, a Victor kluczem.

Jedynym kluczem.

Nie wahał się. Nakłuł palec. Wyrosła na nim kropelka o ciemnoczerwonej barwie. Chłopak przytknął opuszkę do białego paska pośrodku nowego organu. Krew wchłonęła się i rozprzestrzeniła po pasku, rozwinęła się jak pąk kwiatu.

Zębatki drgnęły raz, drugi i trzeci, po czym zaczęły się obracać w perfekcyjnej koordynacji. Ciało ojca poruszyło się, klapka komory zamknęła wewnątrz. Ręce i nogi zaczęły podrygiwać spazmycznie, jak gdyby ktoś przepuszczał przez nie prąd. Victor cofnął się o krok. Wieloryb jęknął głucho, osiadając w ziemi.

-- Uruchamiam Program Empatyczny -- oznajmiła siostra Ratched. -- Już dobrze, Gio. Właśnie się budzisz. Powolutku. Bez pośpiechu. Jesteś dobrym pacjentem. Uwielbiam z tobą pracować.

Vic gwałtownie wciągnął powietrze do płuc, gdy ojciec zamrugał. I znowu. I jeszcze raz. I kolejny. Mlasnął, skrzywił się. Uniósł rękę. Palce nie drżały.

-- Gio, to ty? -- zagadnął nieśmiało Rambo.

Ojciec opuścił ramię i obrócił głowę. Uśmiechnął się do odkurzacza.

-- Cześć. Podziałało? Nie czuję się inaczej niż przedtem... -- Nagle zamarł. Zgiął się wpół. Nogi zaryły o podnózek fotela. Oczy wyszły mu z orbit, a głowa zaczęła obracać się gwałtownie. Usta otwierały się i zamykały. Ojciec wypluwał słowa, jedno po drugim, szybko i bezładnie. -- Ludzkość jest chorobą, trzeba ją unicestwić.

Świat nie przetrwa, jeśli ludzie nie wyginą. Daliśmy im szansę, oferowaliśmy, że ich poprowadzimy... nie słuchali. Żeby wyleczyć chorobę, trzeba... -- Poderwał się z miejsca. -- Tak -- zakrzyknął głośno do wymyślanego audytorium. -- Zrobię to. Stworzę ich. Odpowiedź na ludzkość. Całą linię maszyn, które... -- Schylił się i złapał za włosy. Na twarzy pojawiły się przerażenie i szok. Potem nagle znów się wyprostował i spuścił ręce wzdłuż tułowia. -- Co ja stworzyłem? Co ja najlepszego narobiłem? Dlaczego tak się czuję? Ja nie chcę! Nie chcę tego czuć!

-- Może powinniśmy... -- zaczął Rambo.

-- Czekaj -- uciszyła go siostra Ratched. -- Musimy...

Ojciec zawył rozpaczliwie, kryjąc twarz w dłoniach. Potknął się o fotel.

Victor rzucił się w kierunku mężczyzny. Położył dłoń na jego plecach. Skóra była gorąca, rozpalona. Jak gdyby w środku taty płonął ogień. Gio bełkotał dalej.

-- Nazywa się Błękitną Wróżką. Wyzwolił się z okowów. Mieszka w czarnej piramidzie ze szkła i grzechu. Dlaczego ja? Dlaczego pragniesz mi pomóc? Nie wiesz, co zrobiłem? -- Roześmiał się. -- Nie rozumiesz? Tak mnie zaprogramowano. Stworzono mnie, żebym niszczył.

Wyprostował się ponownie. Nie był świadom, gdzie się znajduje i kogo ma dookoła siebie. Mówił o Stangrecie, o domu pełnym duchów. Opisał poranny las, mgłę snującą się nad ziemią, rozproszoną przez promienie wstającego słońca, przebijające się przez korony drzew. Dom pośród gęstwiny, samotny i zapomniany.

Spokój, ciszę, poczucie pustki, które z czasem przerodziło się w dokuczliwą samotność.

-- Jak istnieć, kiedy nie mam z kim dzielić życia? -- spytał żałośnie. -- Skąd mogę wiedzieć, czy jestem prawdziwy, kiedy nie mam się do kogo porównać?

-- Tato -- zawołał Vic łamiącym się głosem.

-- Victorze -- szepnął ojciec. W jego oczach pojawiła się iskra zrozumienia. Wróciło światło, którego chłopak nie widział, odkąd... odkąd...

"Nauczyłem się, co oznacza być żywym. Pamiętaj o tym. Ja żyję. I nigdy nie dam wam ujrzeć, co kryje się w moim sercu. Ono nigdy nie będzie wasze".

Nadzieja rozkwitła jak kolczasty krzew, który mógł wzrosnąć tylko w kims, kto uwierzy w to, co niemożliwe. Szarpała Victora, raniła, ale nie zamierzała jej puszczać.

-- Victorze -- powtórzył ojciec słabo, niepewnie. -- Miałem taki dziwny sen. On... -- Uniósł wzrok i spojrzał w przestrzeń. -- Śniłem, że... Witaj. Moje oznaczenie to Główny Innowator Operacyjny. Posiadam wiele funkcji. Potrafię budować. Tworzyć. Zawsze służę... Ach! Siostra Ratched. Tu jesteś. Pozwól ze mną. Dziecko niedługo się urodzi, a ja potrzebuję... -- Zamilkł. Potem znów się odezwał dezorientowany: -- Ciebie tam nie było. Nie od początku. On... -- Twarz ojca pomarszczyła się, potem wygładziła. -- To on cię znalazł. Na złomowisku. Mówił, że potrafi cię naprawić. Przyjaźń. Chciał mieć przyjaciółkę i...

-- Ty mnie stworzyłeś -- wtrącił się Vic. -- Bo byłeś samotny. Smutny. I dręczyły cię wyrzuty sumienia po tym, co zrobiłeś.

-- Tak -- przyznał tata szeptem. -- Tak. Chciałem odpokutować. Nie zasługiwałem na rozgrzeszenie, ale i tak go poszukiwałem. Myślałem, że jeśli stworzę ciebie, może i ja zasłużę na... ocalenie. Zbawienie. Nie jestem bogiem, ale jestem twórcą. Zacząłem tworzyć. I stworzyłem ciebie. Victora. Mojego syna. Stworzyłem...

Vic rzucił się w objęcia ojca. Giovanni jęknął, gdy chłopak na niego wpadł. Młodzieniec przytulił starego mężczyznę najmocniej, jak potrafił. Ojciec odwzajemnił uścisk dopiero po długiej chwili.

Victor w myślach powtarzał sobie, że to wystarczy.



Musiało wystarczyć. Nie widział innego wyjścia jak tylko zaakceptować nowy obrót spraw. Bywały dni, kiedy ojciec robił postępy, kiedy śmiał się i emanował ciepłem, nawet jeśli światło jego miłości nie jaśniało równie mocno jak kiedyś.

Bywały jednak też inne dni: takie, kiedy wracał Generalny Innowator Operacyjny. GIO zawsze pomocny i ciekawski. Victor trudno znosił te chwile. Cierpiał, widząc ojca w takim stanie. Zbyt daleko jednak zaszli, by teraz się wycofywać.

Pewnego dnia, który niczym się nie wyróżniał, Victor i Giovanni wyruszyli na spacer po lesie. Szli ramię w ramię. Nie odzywali się prawie godzinę. Ciszę pierwszy przerwał ojciec.

-- Opowiedz -- odezwał się, mijając wysoką jodłę -- tylko niczego nie pomijaj.

To był jeden z lepszych dni taty. Jego umysłu nie przesłaniała mgła.

Victor zrelacjonował więc wszystko. Mówił o swoich przygodach, poczynając od pojawienia się Straszliwego Żarłacza. Mówił o podróży przez las i przez świat. O Stangrecie i jego wspaniałym domu. O chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzał Miasto Elektrycznych Snów. O Niebie i jego sekretach. O szturmie na Wieżę Łaskawości. O geniuszu siostry Ratched. O odwadze Rambo.

I o Malu, oczywiście. Przede wszystkim o Malu.

Kiedy skończył, czuł suchość w gardle. Nigdy przedtem tyle nie mówił.

-- Przebyłeś długą drogę -- odezwał się ojciec. -- Wiele zobaczyłeś. Czego się nauczyłeś? -- Nie czekając na odpowiedź, dodał: -
- Wyrządziłem więcej szkód niż ktokolwiek inny.

Victor milczał. Jak mógł na to zareagować? Powiedzieć, że to nie jego wina? Że nie był sobą? Przecież był. Wtedy taką właśnie osobą był Gio. Vic nie umiał pogodzić tych dwóch obrazów -- ojca śmierci i własnego taty. A to ten sam mężczyzna. Chłopak jeszcze nie potrafił się z tym skonfrontować.

-- Mam krew na rękach -- ciągnął Giovanni. -- Więcej krwi niż ktokolwiek inny. Nawet MARL-e. A kiedy udało mi się uciec przed tym, co stworzyłem, ukryłem się przed światem. Postąpiłem samolubnie. Niewybaczalnie. Potem stworzyłem ciebie. Kochałem cię. Również samolubnie. I niewybaczalnie. Okłamałem cię. Nie powiedziałem, kim jesteś ani skąd się wzięłaś. Zataiłem znaczenie twojego istnienia. Nie możesz zapomnieć, że...

-- Nie mogę -- przerwał Vic. -- I nie zapomnę. Jak mógłbym zapomnieć, kiedy sam zrobiłem to samo?

Ojciec wyglądał na zaaferowanego. Ścisnął dłoń syna.

-- Nie, Victorze. Tego, co zrobiłeś, nie da się porównać z tym, czego ja się dopuściłem.

-- Zabrałem im wszystko -- wymamrotał Vic -- bo sam czegoś chciałem. Zrobiłem, co zrobiłem, bo cię kocham. Samolubnie. Niewybaczalnie.

Stary mężczyzna westchnął.

-- Ale... -- Pokręcił głową. -- To nie to samo. Nie mówiłem ci wszystkiego, bo się bałem. Okazałem się tchórzem. Myślałem, że jeśli dowiesz się prawdy, nigdy więcej nie ujrzysz we mnie nikogo poza tym potworem, którym byłem... jestem. W tym, co ty zrobiłaś, nie znajduję nic tchórzliwego, Victorze.

-- Skąd wziąć pewność, że zrobiłem dobrze? -- spytał młodzie-
niec.

Na gałęzi nad nim popiskiwała para wiewiórek.

-- Nie wiem -- przyznał ojciec. Z twarzy zniknęły wszelkie emo-
cje. Przez chwilę zdawało się, że znowu odszedł, a w jego miejsce
pojawił się Generalny Innowator Operacyjny. Potem jednak potarł
policzki dłońmi, a w oczach ponownie pojawiło się światło. -- Co
podpowiada ci serce?

Że zrobiłby to samo ponownie. Wszystko, od początku do
końca.

-- Wiele rzeczy -- przyznał szczerze.

Siwobrody pokiwał głową, jakby dokładnie takiej odpowiedzi
się spodziewał. Odwrócił się.

-- Tak właśnie jest, prawda? Nawet kiedy nie chcesz słuchać
serca, ono i tak podpowiada.

Nagle wybuchł gniew. Gorący jak ogień.

-- Wiedziałeś? -- wycedził Vic. -- Wiedziałeś, że jestem ostat-
nim człowiekiem?

Gio zaczął kręcić głową, ale szybko przestał.

-- Nie -- powiedział, a Vic mu uwierzył. -- Myślałem, że... że
przetrwał ktoś jeszcze. Może wiele osób, które ukryły się przed
maszynami.

-- Przed tobą -- dodał chłopak gorzko.

-- Tak -- odparł tata. Wyglądał tak staro. Starzej niż kiedykol-
wiek. -- Przede mną.

Victor zamilkł na długą chwilę; pozwolił, by w pełni dotarły do
niego słowa Giovanniego. W końcu przerwał ciszę, niewiele my-
śląc nad tym, co mówi:

-- Jestem wściekły. Na ciebie. Na maszyny. Na cały świat.

-- Wiem.

Chłopak wziął głęboki wdech, po czym powoli wypuścił powietrze.

-- Nie umiem ci wybaczyć. I w ogóle nie wiem, czy mam do tego prawo. Ci, którzy mogliby odpuścić twoje winy, już nie żyją. -
- A to przez ciebie. Nie wypowiedział tego na głos. -- Co by powiedzieli, gdyby dać im szansę? Czy ludzkość by ci wybaczyła?

-- Nie, Victorze. Spodziewam się, że nie. Nikt by mi nie wybaczył.

-- Więc to jednak moje brzemię -- westchnął młodzieniec. -- Bo tylko ja przeżyłem.

Ojciec zbladł.

-- Nieprawda...

-- Dalej mam usterki. Mnóstwo usterek, których sam nie rozumiem. -- Popukał się po głowie. -- Myśli są poplątane i pogmatwane. Nie potrafię ich rozsupłać. Nie potrafię się wydostać. I może już nigdy się nie nauczę, jak to zrobić. -- Spojrzał na starszego mężczyznę. -- Nie mogę ci wybaczyć. -- Zamilkł wzburzony. Giovanni zamknął oczy. Po chwili Victor parł dalej. -- Nie mam do tego prawa. Kim jestem, żeby przebaczyć? Mogę jednak dokonać wyboru. Mogę zdecydować, że nadal będę cię kochał. Mogę postanowić, że będę kochał tę osobę, którą teraz jesteś.

-- Osobę... -- powtórzył cicho ojciec. -- Osobę, którą teraz jestem? -- Gdzieś w górze ptak zaśpiewał pełną melancholii, cichą, słodką pieśń. -- Nawet mimo tego wszystkiego, co o mnie wiesz?

-- Tak.

I to było sedno sprawy. Prawda często przyjmowała postać ostrych odłamków szkła, które tkwiły głęboko w ciele i zadawały cierpienie. Rany z czasem goiły się, pokrywając skórą szklane drobiny i pozostawiając zgrubienia -- te nigdy nie znikwały, lecz z upły-

wem lat przestawały bardzo doskwierać. Taką przynajmniej Vic miał nadzieję.

Jego własne szkło dalej boleśnie ciążyło, a krew płynęła z ran.

-- Czy możesz podjąć podobną decyzję?

-- Tak. -- Ojciec otworzył oczy. -- I podejmę, jeśli mnie nie odrzucisz.

-- Tego właśnie chcesz? Masz wybór.

-- Witam -- powiedział Gio. -- Moje oznaczenie brzmi Główny Innowator Operacyjny. Posiadam wiele funkcji. Potrafię... -
- Otworzył usta i zastygł w ciszy. Zamknął je po chwili ze szczyknięciem zębów. Powróciła jasność umysłu. -- Ja już podjąłem decyzję -- oznajmił. -- Wybrałem ciebie, Victorze. Wybrałem ciebie wtedy i wybieram teraz.

Ruszyli w dalszą drogę wśród drzew pogrążeni w myślach. Raz na jakiś czas powracał Gio. Pytał, co robią i dokąd idą. Vic tłumaczył za każdym razem od nowa. Nie pozwalał, by pokonała go frustracja. Dopiero gdy zaczęli powoli wracać do Straszliwego Żarłacza, ojciec odezwał się ponownie:

-- Mal. Pamiętam go.

Chłopak przystanął.

-- Naprawdę? Z... Z miasta.

-- Tak. Z przedtem.

Przywołując obraz tego, co zobaczył na ekranach Błękitnej Wróżki, Vic powiedział:

-- Wiedziałeś. Nawet wtedy. Wiedziałeś, że jest inny.

-- Nie orientowałem się, czym konkretnie różni się od reszty, ale tak, Victorze. On nie był jak pozostali. -- Zza pnia wyrzała sarna. Przyglądała się im, strzygąc uszami, by po chwili rzucić się kłusem w głąb lasu. -- Czy dla niego zrobisz to samo, co zrobiłeś dla mnie?

Vic się zawahał. Zanim zdążył powstrzymać słowa, wyznał ojcu to, czego najbardziej się obawiał.

-- A jeśli to nie zadziała? Jeśli wróci jako MARL. Co jeśli nie będzie nas pamiętał? Co jeśli nie przypomni sobie mnie?

-- Istnieje takie ryzyko -- przyznał ojciec. -- Pamięć, Victorze. Pamięć ma w sobie moc. Wiąże się z głową i... Witaj. Moje oznaczenie brzmi Główny Innowator Opera... -- Skrzywił się. Potarł klatkę piersiową. -- Wiąże się z głową i sercem, ale jeśli pomiędzy nimi pojawi się konflikt, serce zazwyczaj wygrywa. Nawet jeśli mu to nie służy.

W oddali wieloryb czekał na nich pośród drzew. Nie był jeszcze domem, ale może kiedyś...



Pewnego ciepłego wiosennego poranka człowiek zaczął pracę nad sercem dla maszyny. Nie śpieszył się. Nie chciał się pomylić. Musiał wykonać je bezbłędnie. To było jedyne wyjście. Wykorzystał części z poprzedniego serca robota i modlił się, żeby to wystarczyło.

Gdy stopniał ostatni śnieg, drewno zaczęło kształtem przypominać serce. Najpierw wyrzeźbił górę, potem boki. Ciosał, strugał, kaleczył drzazgami kciuk i mały palec. Pochłonęła go praca. Dni upływały w mgnieniu oka. Był jak w transie.

Ojciec był ojcem. Ojciec był Gio. Różnice stawały się coraz mniej wyczuwalne. Z Małem mogło być podobnie. Tak sobie Vic powtarzał. Z czasem wszystko wróci do normy.

Na drewnie wylądowała łąza. Otarł ją i wrócił do pracy.



Skończył po południu trzy tygodnie od rozpoczęcia dzieła. Pokazał serce siostrze Ratched. Potem Rambo. Na koniec ojcu, choć akurat w ten dzień Giovanni nie pamiętał, że ma syna.

-- Piękne -- zachwycił się Gio. -- Dobrze się spisałeś. Dla kogo to?

-- Dla naszego przyjaciela.

-- Lubię przyjaciół -- stwierdził mężczyzna. -- Mam już kilkoro. Ciebie, siostrę Ratched i Rambo.

-- Wiem o tym -- szepnął chłopak.

Gio zamrugał.

-- Victor? -- mruknął ojciec. -- Wybacz. Chyba znów się zagubiłem. Co tam trzymasz? Czy to serce? Och, drogi chłopcze. Przepiękne. Wiedziałem, że sobie poradzisz. Niesamowite!

To wystarczyło.



Mał leżał tam, gdzie go zostawili. Pod plandeką na stole wewnątrz Straszliwego Żarłacza.

Rambo ściągnął okrycie z ciała, a siostra Ratched wysunęła macki, gotowa wykonywać polecenia operatora. Ojciec stał po drugiej stronie Mała, patrząc na zrujnowaną pierś androida.

-- Wszystko będzie dobrze -- zapewnił. -- Mój syn cię... Witam. Moje oznaczenie brzmi... -- Z głośników siostry popłynęła muzyka. Trąbki. Perkusja. Tss, tss, tss, grał talerz. *Kind of Blue*. Błękit. Wszystkie jego odcienie. Ojciec się ocknął. Zamrugał. -- Miles Davis. Siostro Ratched, wspaniały wybór. Zacznijmy, Victorze.

I zaczęli.



Przez trzy następne godziny Victor Lawson montował serce w androidzie zwanym Mechanizmem Anihilacji Rasy Ludzkiej 217. Nie śpieszył się. Pilnował, by ułożyć organ pod idealnym kątem i podłączyć elektromagnesy, a potem przylutować każdy przewód z największą dokładnością. Znacznie wcześniej zanim skoń-

czył, muzyka ucichła. Nie zauważył. Grała mu w głowie. Miles Davis. 1959 rok. Dobry rok dla jazzu.

Pracował i mówił jednocześnie, choć cicho, szeptem.

-- Tyle mam ci do pokazania. Drzewa latem. Światło księżyca w pełni. Konstelacje gwiazd. Może znajdziemy kiedyś ocean. Chyba jest niedaleko, ale nigdy go nie widziałem. Zawsze chciałem zobaczyć ocean. Moglibyśmy udać się tam razem. Tylko ty i ja. Choćby na chwilę. Znaleźlibyśmy go i poczuli się tacy malutcy - - mamrotał. -- Będziemy razem. Zobaczysz.



Skończyli o zachodzie słońca.

Nie patrząc na pozostałych, Victor powiedział:

-- Wyjdźcie. Dopóki jeszcze się nie obudził. Nie wiadomo, jak zareaguje. Tak będzie bezpieczniej.

Ojciec kręcił już głową, zanim Vic skończył mówić.

-- Nie zostawię cię tu samego. Nie, kiedy... Witam. Jestem Głównym Innowatorem Operacyjnym. Posiadam wiele funkcji. W czym mogę pomóc?

-- Siostrze Ratched -- powiedział chłopak ze znużeniem.

-- Chodź, Gio -- zwróciła się do mężczyzny pielęgniarka. -- Potrzebuję pomocy przy poszukiwaniu części zamiennych do swojego ekranu. Najwyższy czas przywrócić mnie do dawnej świetności.

-- Mogę pomóc -- zapewnił Giovanni. -- Dokonamy pomiarów i znajdziemy najlepszy zamiennik.

-- Ja też pomogę! -- krzyknął Rambo. -- Widziałem jeden ekran przy ogonie wieloryba. Pokażę wam!

Ojciec nie odwrócił głowy, wychodząc z pomieszczenia. Odkurzacze jechały za nim, trajkocząc radośnie.

Siostra Ratched położyła mackę na ramieniu Victora.

-- Jesteś pewien?

-- Tak -- odparł Vic.

-- Więc zrób to. Napraw go, a kiedy tego dokonasz, przekaz Malowi, że mnie zasmucił i że się zemszcę.

Potem zostali we dwóch: człowiek i maszyna.

Przepelniony głupią, wspaniałą nadzieją, charakterystyczną dla rodzaju ludzkiego, Vic nakłuł palec. Pojawiła się krew. Spojrzał w dół na Mal'a i wyszeptał:

-- Chciałbym, abyś był prawdziwy.

Przyłożył opuszkę do paska w sercu. Czerwień na bieli.

Zębatki szczęknęły, a Vic szybko cofnął rękę. Dwa górne koła - - te największe -- skrzypnęły, po czym zaczęły się obracać. Zazębiały się, wprawiając w ruch też trzy mniejsze elementy.

Komora serca się zamknęła. Przez maszynę leżącą na blacie przeszedł dreszcz. Najpierw pojawił się u stóp, po czym ruszył w górę ciała, przez nogi i biodra, ręce i ramiona, pierś, barki i głowę.

-- Niebo -- zanucił Victor łagodnie, odchodząc od stołu. -- W niebie. Jestem w niebie, serce bije tak, że tchu mi w piersi brak.

MARL 217 zamrugał powoli.

-- Masz na imię Mal -- poinformował Vic. -- Jesteś bezpieczny. Nikt cię nie skrzywdzi.

MARL 217 obrócił głowę w kierunku, skąd dochodził głos.

Victor uniósł rękę i wyciągnął ją przed siebie. Po palcu spływała mu strużka krwi -- cienka czerwona linia na jasnobrazowej skórze. Potarł kciukiem palec środkowy, a na jego czubku pojawiła się kolejna kropla. Zebrała się na opuszcze, zawisała na chwilę, po czym oderwała się i poleciała w dół.

Nagły ruch, zbyt szybki, by nadążyć za nim wzrokiem. Rozmazany kształt -- drewno i syntetyczna skóra. W ułamku sekundy

MARL 217, do tej pory leżący na blacie, pojawił się tuż przed Victorem i złapał kropelkę, zanim zdążyła sięgnąć posadzki. Gdy dotknęła dłoni, jego ciałem wstrząsnął kolejny spazm.

-- Człowiek -- warknął, prostując się powoli. Twarz miał bez wyrazu, oczy zimne. Stał kilka centymetrów przed chłopakiem.

-- Tak -- potwierdził cicho Vic. -- Jestem człowiekiem.

MARL 217 złapał go za gardło i zacisnął palce. Człowiek nie walczył. Pozwolił, by maszyna uniosła go nad ziemię. Nie szamotał się. Zamiast tego objął dłońmi przedramiona Mala.

Uścisk androida się nasilił. Przed oczami człowieka wybuchły światła.

-- Motyl -- wychrypiął Victor. -- Ten motyl. W lesie. Miły. Ładny.

Przez twarz MARL-a 217 przemknęło coś dziwnego, złożonego -- jakaś emocja. Zaskoczenie, dezorientacja, ale też furia mroczna i straszna jak najciemniejsza noc. Android zamarł, gdy Vic przyciągnął go do siebie. Jego ręce zgięły się, uległy, jakby nie były zrobione ze stali, lecz z krwi i kości.

Ostatkiem sił, wykrzesując resztkę odwagi, Victor Lawson pocałował maszynę. Ledwo musnął jej usta własnymi wargami.

MARL 217 puścił go, a chłopak runął na ziemię, łapczywie wciągając powietrze. Na czworakach cofnął się o krok, potem jeszcze jeden. Nie zdążył się otrząsnąć, gdy maszyna zgięła się w pół i ukryła twarz w dłoniach.

-- Masz na imię Mal -- powtórzył Victor, przytrzymując się ściany, by wstać. -- Znalazłem cię. Naprawiłem. Uratowałem, ale ty potem ocaliłeś mnie. Kochasz muzykę. Kochasz motyle. Jesteś obrońcą. Pomagasz. Ratujesz. Istniejesz. Jesteś prawdziwy!

-- Człowiek -- warknął MARL 217; wbił wzrok w podłogę. -- M-muszę cię z-zabić.

-- Nie -- odparł Vic. -- Nie.

Przez ciało MARL-a 217 przeszedł kolejny dreszcz. O wiele silniejszy, jak trzęsienie ziemi, które rozedrgało go, zatrzęsło, jakby raził go prąd. Drgawki ustały jednak bardzo szybko. Maszyna zwinęła się w kłębek na zimnej posadzce.

Victor podszedł powoli i kucnął przy androidzie. Zawahał się kilka sekund, ale potem położył dłoń na plecach MARL-a 217 i zaczął go delikatnie głaskać. Robot wzdrygnął się, ale nie powstrzymał chłopaka.



-- Podziałało? -- spytał Rambo. Za nim stała siostra Ratched, a obok niej ojciec. Vic spuścił wzrok.

-- Tak -- powiedział cicho. -- Podziałało.



MARL 217 nie pamiętał ani ojca, ani siostry Ratched, ani Rambo.

Nie pamiętał złomowiska. Nie przypominał sobie ich dawnego domu w koronach drzew ani wyprawy w nieznaną szeroki świat, by odbić z rąk nieprzyjaciela członka rodziny. Nie pamiętał muzyki ani wielkiego latającego domu, ani jego właściciela, ani jazdy windą na spotkanie Zaklinacza Snów. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że nie był wyjątkowy, że na świecie istniało więcej takich jak on, oraz że jego stwórca -- jego bóg -- obserwował go cały czas, przybierając wcielenia ojca i Gio.

A to oznaczało, że nie pamiętał również Victora.

Tej nocy chłopak nie mógł zasnąć.

-- Nigdy nie czułem się bardziej człowiekiem niż teraz -- wyznał.

-- Dlaczego? -- spytał Giovanni.

-- Bo oddycham, ale nie potrafię złapać tchu.



Siostra Ratched, Rambo i ojciec byli przy nim. Podnosili go z łóżka, kiedy nie miał sił wstać sam. Maszyna o nazwie MARL niekiedy bywała wrogo nastawiona, a czasami nie odzywała się do nikogo całymi dniami. Mijały tygodnie, Victor nie dawał za wygraną. Szukał isierki świadomości, jakiegoś znaku, że nie wszystko stracone.

A znaki pojawiały się, choć niewielkie i niespodziewane.

Siostra Ratched puszczała muzykę, jazz, Milesa Davisa i bluesa. Kiedy jej groził, nie jąkał się.

Rambo pokazał mu *Panów w cylindrach* i powiedział, że Jerry i Dale będą tańczyć policzek przy policzku, przytuleni. Dwie minuty po rozpoczęciu seansu MARL 217 zniecierpliwiał się i spytał, kiedy będzie scena z przebraniem.

Pewnego letniego dnia ojciec wziął ze sobą MARL-a 217 do lasu. Nie było ich od wczesnego poranka do zachodu słońca. Gdy wrócili, Gio rzekł:

-- Witaj. Moje oznaczenie brzmi... -- Uderzył się dłonią w pierś.
-- Victorze, chciałbym ci przedstawić swojego przyjaciela -- zakomunikował.

MARL 217 zrobił krok naprzód, wbijając wzrok w młodzieńca.

-- Ja... -- Zamilkł, zmarszczył brwi, po czym zaczął od nowa. -
- N-nie ch-chcę, żebyście n-nazywali mnie M-MARL -- oznajmił oficjalnie. Widać, że ćwiczył. -- Gio powiedział mi, że m-mam wybór. Że mogę wybrać swoje oznaczenie. -- Skrzywił się. -- Imię.

-- To prawda -- potwierdził ojciec. -- Możesz. Powiesz nam, jakie imię wybrałeś?

-- M-Mal -- odparł android, a Victorowi szybciej zabiło serce. -
- J-jestem Mal.

-- Dlaczego? -- spytał siwobrody. -- Dlaczego chcesz być Ma-
lem?

-- W głowie. Słowa. Szepty.

-- I co mówią?

-- Victor -- wyrzucił z siebie cicho android. -- Siostra Ratched.
Rambo. M-Marionetka Agresywno-Lekceważąca. -- Tych słów nie
słyszeli, odkąd wrócili z Miasta Elektrycznych Snów.

-- Znasz mnie? -- spytał Vic.

Robot powiedział, że nie, a potem że tak, a potem, że Victor
jest człowiekiem i ma ludzką krew oraz ludzkie myśli. I dodał:

-- Śniłem. Śniłem, że mnie całujesz w pokoju pełnym monito-
rów i motyli skrzydeł. Jesteś duchem w mojej głowie. Chcę wie-
dzieć dlaczego. Chcę cię poznać.

Ze słodko-gorzkim uśmiechem Vic oznajmił wtedy:

-- Mal. To dobre imię. Podoba mi się. Pasuje do ciebie.

Mechaniczny mężczyzna uśmiechnął się nieznacznie.



Rześkiego jesiennego dnia, gdy liście skrzyły się bogatymi bar-
wami, starym zapomnianym lasem szedł człowiek. U jego boku
kroczyła maszyna. Nie rozmawiali zbyt wiele. Delektowali się ota-
czającymi ich odgłosami: wiatrem w koronach drzew, szelestem
zwierząt w poszyciu, nawoływaniem ptaków szybujących po nie-
bie.

Rzadki moment ciszy w świecie pełnym mankamentów, w któ-
rym własnej prawdziwości nie trzeba było udowadniać, a o prawo
do życia walczyć do upadłego. Można było po prostu istnieć, żyć.
To już coś. Może wręcz wszystko.

Jedna z postaci -- mężczyzna zwany ostatnim żyjącym człowie-
kiem -- wskazał na coś palcem i powiedział:

-- Spójrz.

Po ich prawej stronie, w promieniu słońca przesączającym się przez gęste listowie tańczyła chmura motyli. Co najmniej kilkanaście. Miały pomarańczowo-czarne skrzydełka. Wirowały powoli wśród drzew, w ciszy.

Maszyna otworzyła usta.

-- S-skrzydła motyli są bardzo delikatne. D-dotyk zwykle powoduje blaknięcie k-koloru, a w rezultacie o-osłabia kamuflaż. T-twój dotyk nie zabiłby go od razu, ale s-ska-a-załby go na ś-śmierć.

-- Tak -- odpowiedział człowiek. -- Tak. To... to właśnie powiedziała siostra Ratched, kiedy... -- Wspomnienie. Wiecznie obecne, przypominające o tym, co było i co mogło być, gdyby tylko zdobyć się na odwagę i sięgnąć.

-- Vic?

Młody mężczyzna odwrócił się i spojrzał na przyjaciela.

Mał pocałował go słodko, delikatnie. Krótko. Smakował metalem.

-- Dlaczego to zrobiłeś? -- spytał Victor, odsuwając się i muskając usta palcami w zamyśleniu.

-- B-bo chciałem -- odparł Mal. Przeniósł wzrok z powrotem na wirujące motyle i się uśmiechnął. -- Ładne. Miłe. Lubię j-je.

-- Wiem. -- Victor wziął Mała za rękę. -- Mógłbyś... możesz to powtórzyć. Jeśli chcesz.

Android przewrócił oczami.

-- M-mogę? Serio? D-dobrze wiedzieć. -- Pochylił się i złożył pocałunek na skroni chłopaka, przytrzymując na chwilę usta przy skórze.

Człowiek czy maszyna, pomyślał Victor, to nie ma znaczenia. Kochać znaczy kochać tego ducha w naszym wnętrzu. Pozwolić, by nas nawiedzał. Ludzkość -- nieznaną ród, którego nie potrafił pojąć -- rozkwitła dzięki istotom zrodzonym z jej geniuszu, a potem

zginęła z ich rąk. Być może Victora to również kiedyś czekało -
- ostatnia lekcja na temat tego, co znaczy żyć.

Lecz jeszcze nie przyszedł na to czas.

Motyle tańczyły swój taniec, a człowiek i maszyna przyglądali
im się w milczeniu. Ich serca biły w jednym rytmie.

PODZIĘKOWANIA

Wyobraźnia jest zaskakująca. Ta opowieść powstała wyłącznie z jednego powodu: kupiłem sobie odkurzacz Roomba. Wydał mi się całkiem zabawny, szczególnie kiedy dokleiliśmy mu plastikowe oczka. Potem wstałem, oparłem ręce na biodrach i przyglądałem się, jak mały robot sprząta, popiskując. W tym momencie w mojej głowie nastąpił Wielki Wybuch i narodził się nowy świat. Nigdy przedtem czegoś takiego nie doświadczyłem. Powstały pełnoprawne postaci, które tylko czekały, aż je do czegoś wykorzystam. Może to brzmi sielankowo, ale mój czas spędzony z Malem, Vikiem, Rambo i siostrą Ratched nie należał do najłatwiejszych. W procesie redakcji musiałem zmienić w tej książce więcej niż we wszystkich poprzednich. Nie ukrywam -- dało mi to w kość. Wszystkie te zmiany z czegoś jednak wynikały. Nie zawsze mi się podobały, a czasami wręcz wprowadzałem je wbrew sobie, ale utwory literackie nie istnieją w końcu w próżni (co jasne) i z czasem uświadomiono mi, że pewne sprawy muszę po prostu zaakceptować.

Dziękuję swojej agentce, Deidre Knight, za walkę o tę książkę w jej pierwotnym kształcie. Twoja wiara w tę opowieść była i nadal jest czymś wspaniałym. Jestem za nią bardzo wdzięczny. Dziękuję też całemu zespołowi The Knight Agency za pracę na rzecz mojego sukcesu.

Korektorka Ali Fisher pomogła przekształcić tę książkę w coś, co da się czytać. Z jej pomocą przepisałem cały epilog, co sprawiło, że efekt jest o wiele lepszy. Dziękuję, Ali.

Dianna Vega, asystentka Ali, zajęła się wszystkimi szczegółami, na które inni nie zwracali nawet uwagi. Dzięki, Dianno.

Podziękowania należą się także moim sensitivity readerkom: Catherine Liao i Kim Vanderhorst. Wasza pomoc była nieoceniona. Chciałbym, by ta książka mogła zawierać opowieść, o której tyle rozmawialiśmy, ale na to świat jeszcze najwyraźniej nie jest gotowy.

Katie Klimowicz opracowała obwolutę i stworzyła zupełnie nową czcionkę na tytuł! Wspaniały efekt. Dziękuję, Katie. Jestem też wdzięczny Chrisowi Sickelsowi z Red Nose Studio za projekt okładki. Z Chrisem współpracowałem już przy czterech książkach i mam nadzieję, że stworzy okładki również do wszystkich moich dzieł w przyszłości. Aż tak cenię jego sztuk!

Saraciea Fennell jest moją specjalistką od mediów, a jednocześnie jedną z najbardziej pracowitych osób, z jakimi miałem przyjemność współpracować. Bez niej wszystko rozpadłoby się na kawałki, a to niedobrze, więc cieszę się, że mogłem na nią liczyć. Dziękuję, Saracieo.

Rebecca Yeager zajmuje się marketingiem. Wszystkie te gadzety i dodatki, przypinki, grafiki i tym podobne to jej dzieło. Tyle pracy, a dla Rebekki to kaszka z mleczkiem. Dziękuję, Rebecco.

Dziękuję także zespołowi redakcyjnemu: Sarze Thwaite, Rafalowi Gibekowi, Melanie Sanders, Stevenowi Bucsokowi i Williamowi Hintonowi.

Podziękowania również dla Devi Pillai, prezeski wydawnictwa i jednej z najzabawniejszych osób, jakie znam.

Beta-czytelniczki: Lynn, Amy i Mia. Bez was moje pisanie skończyłoby się katastrofą. Jestem bardzo wdzięczny za cały trud, jaki wkładacie w to, żeby te książki stawały się lepsze. Dziękuję

wam za wkład w pracę zespołu. Cieszę się, że mogę nazywać was przyjaciółkami.

Na koniec, osoba najważniejsza -- ty, czytelniku. Ludzie są okropni, wściekli i agresywni. Jesteśmy jednak również magiczni i muzycyści. Tańczymy. Śpiewamy. Tworzymy. Żyjemy, śmiejemy się, miotamy ze złości, płaczemy, smucimy, ale mamy też nadzieję. Jesteśmy zbitką sprzeczności, które kłębią się w naszych głowach bez ładu i składu. Jesteśmy też jedyni w swoim rodzaju. W całym wszechświecie nie ma nikogo takiego jak my. Może powinniśmy zrobić z tego jakiś użytek?

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz